

Lhasa, Tybet Październik

Nie możesz już tego dłużej odwlekać, stanowczo powiedziała sobie Danielle Warren. Teraz albo nigdy.

Wzięła głęboki oddech i ponownie zapuściła się w płataninę wąskich uliczek Lhasy. Kamienne miasto przesycone było wielowiekową tradycją i bezgłośnymi prośbami, które ulatywały z modlitewnych chorągiewek

w niknącym świetle późnego popołudnia.

Dani także. miała ochotę zmówić pacierz. Bała się, że w ślad za nią ciągnie nie tylko chłodny wiatr, wiejący od zamku Potala w dół, ku miastu.

Wsunąwszy ręce głęboko w kieszenie mocno już zniszczonej kurtki, pochyliła się, by stawić czoło lodowatym powiewom. Jej zmarznięte palce zacisnęły się na dwóch zwitkach chińskich banknotów, jakby w obawie, by pieniądze nie padły łupem tybetańskich demonów wichru.

Przed wszystkim jednak napawały ją lękiem demony dwunożne, które z ogromnym nakładem pracy i wysiłku starała się zgubić w zanikającym powoli świetle dnia.

Październikowy chłód przenikał do szpiku kości. Dygocząc z zimna, poszukała chwilowego schronienia w bramie, pamiętającej zapewne jeszcze czasy przedchrystusowe. Dobrze ponad trzy tysiące metrów nad poziomem

morza powietrze było rozrzedzone i zimne jak lód. Wysokość jednak nie robiła na Dani większego wrażenia; dziewczyna miała za sobą wiele tygodni w wysoko położonych, suchych, pustynnych rejonach Tybetu. Mieszkała wówczas w kopulastych namiotach używanych przez miejscową ludność.

Kątem oka dostrzegła poruszający się cień. A przynajmniej tak się jej wydawało.

Oddychając lekko i bezgłośnie, czekała ze wzrokiem utkwionym

w powoli zapadający zmierzch. W pobliżu nic się nie poruszało, tylko chorągiewki modlitewne powiewały na wietrze, niczym rozwieszona na , sznurze bielizna.

Szybkim, zdecydowanym krokiem Dani wyszła zza swej osłony w bramie i ruszyła w stronę rynku. Jej kroki nie robiły wiele hałasu na ulicach, schodach i przejściach wytartych do gładkości przez czas i niezliczone

stopy ludzi przemierzających tę samą trasę.

Co kilka minut przystawała w cieniu bram lub filarów, jakby mimo ciepłego ubrania szukała schronienia przed wiatrem. I za każdym razem oglądała się za siebie.

Lecz dostrzegała tylko cienie.

Wygląda na to, że udało mi się uciec, przekonywała siebie w duchu.

Najwyraźniej obserwowali wyłącznie front Hotelu, a nie służbowe drzwi z tyłu budynku.

Odetchnęła głęboko i znowu przyspieszyła kroku, zmierzając w stronę rynku. Jako archeolog specjalizujący się w tkaninach, przyzwyczajona była do podróżowania po Tybecie i innych słabo rozwiniętych rejonach świata.

Ale nie przywykła do poczucia zagrożenia, które ciągnęło za nią krok w krok, lecąc na skrzydłach zimnego himalajskiego wichru.

Duchowym centrum Tybetu była Lhasa, okupowane miasto, zdobycz Chińskiej Republiki Ludowej. To, co Dani robiła, czy raczej, co zamierzała zrobić po przyjeździe na rynek, było niezgodne z prawem.

Co gorsza, kłóciło się z jej własnymi poglądami i wewnętrznym poczuciem słuszności. Z osobistego i zawodowego punktu widzenia gorąco potępiała szeroko rozpowszechniony i niezmiernie intratny międzynarodowy handel zabytkowymi tkaninami pochodzącymi z miejsc leżących wzdłuż Jedwabnego Szlaku, którym w starożytności transportowano jedwab. Była naukowcem, nie kustoszem czy kupcem.

Zwalczała nielegalny handel antykami, ilekroć się nań natknęła.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj po raz pierwszy w życiu Dani weszła do gry. I bała się.

Przestań się tym wreszcie przejmować, powiedziała sobie stanowczo. Zamierzasz wprawdzie kupić jedno z dzieł kultury narodowej, którego nie da się niczym zastąpić, ale przecież nie po to, żeby sprzedać je za ocean z tysiącprocentowym zyskiem. Usiłujesz zapobiec tylko zniszczeniu bezcennego, niezmiernie delikatnego i kruchej materiału.

Ponuro zastanawiała się, czy żołnierze Chińskiej Republiki Ludowej o kamiennych twarzach uwierzyliby w takie wyjaśnienie, gdyby przyłapali ją na gorącym uczynku.

Palce rozboleły ją od kurczowego ściskania pieniędzy w kieszeniach.

Za pomocą tych wytłuszczonych banknotów miała zamiar uratować jeden z najbardziej niezwykłych wyrobów, jaki zdarzyło jej się w życiu widzieć.

Niby nic wielkiego ... kupon niebieskiego jedwabiu, liczącego sobie, bagatela, ponad dwa tysiące lat.

Kilka metrów antycznej tkaniny, która, o ile nie będzie należycie chroniona, zostanie rozerwana na strzępki przez gwałtowne podmuchy wiatru.

Kawałek jedwabiu ... Serce i dusza Tybetu.

Przestań o tym myśleć, nakazała sobie. Niczego w ten sposób nie osiągniesz. Już setki razy rozważyłaś wszystkie za i przeciw. I podjęłaś decyzję. A teraz musisz z tym żyć.

Lub umrzeć.

Przestań wreszcie o tym myśleć!

Rozluźniła chwyt na zwitku chińskich banknotów w kieszeniach kurtki. Miała przy sobie równowartość dwóch tysięcy dolarów amerykańskich. Nawet w Nowym Jorku czy Tokio suma była na tyle znacząca, że mogła wzbudzić zainteresowanie, a co dopiero w położonej na końcu świata Lhasie, w której rządziło bezprawie. Za dwa tysiące dolarów w stolicy Tybetu można było kupić wszystko, nawet ludzkie życie. Największy jednak niepokój budzili w Dani dwaj potężnie zbudowani, groźnie wyglądający mężczyźni, którzy deptali jej po piętach przez cały dzień. Żaden z nich jej nie zaczepił, na dobrą sprawę nawet nie usiłował do niej zagadać.

Chociaż prawdę powiedziawszy, Dani poczułaby się o niebo lepiej, gdyby spróbowali ją podrywać. Jak większość kobiet podróżujących samotnie, nabrała dużej wprawy w pozbywaniu się natrętów.

Niestety, ci dwaj byli inni. Pozornie całkowicie ją ignorowali. Co więcej, udawali, że nie dostrzegają siebie nawzajem. A przecież obaj byli Dani wierni jak cień.

Nie niepokoił jej nawet fakt, że jest śledzona. Tajniacy z Urzędu Bezpieczeństwa byli w Lhasie dosłownie wszędzie i obserwowali zarówno Tybetańczyków, jak i cudzoziemców. A turystów, pielgrzymów i podróżników wszelkiej maści nigdy w Lhasie nie brakowało.

Tyle tylko, że ci dwaj nie byli agentami chińskiej bezpieki, lecz ludźmi z Zachodu. A co gorsza, obaj należeli do gatunku, który całkowicie odbierał Dani spokój ducha.

Kiedyś czuła pociąg do potężnych mężczyzn, ale to już dawno minęło. Były mąż nauczył ją bać się męskiej siły fizycznej.

Jeden z nich musiał być Amerykaninem. Dani doszła do takiego wniosku, patrząc najego traktory od Vasque'a i kurtkę North Face z polaru. Natknęła się na niego, gdy w Holiday Inn zamieniała czek podróżny na gotówkę.

Mężczyzna był smagły, miał krótką brodę i gęste krótkie włosy. Swoboda i płynność jego ruchów świadczyła o sile i sprawności.

Dziwne, ale w pewnym sensie uznała go za atrakcyjnego. Zupełnie tego nie rozumiała i za nic nie chciała się do tego przyznać, nawet sama przed sobą. Nieznajomy był zbyt męski, by ona mogła czuć się z tym dobrze.

Spoglądał badawczo i przenikliwie. Gdy w pewnym momencie przyłapała go na tym, że ją obserwuje i odwzajemniła jego spojrzenie, odniosła wrażenie, że mężczyzna wzrokiem sięgnął aż do samego dna jej mózgu i duszy. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by w odpowiedzi potraktować go jak powietrze i spojrzeć przez niego gdzieś w dal.

Zupełnie się tym nie przejął. Ledwie wyszła z hotelu na ulicę wiodącą do Potala, pozostawiając za sobą ostatnią amerykańską placówkę, ciemnowłosy mężczyzna natychmiast ruszył w ślad za nią.

Dani przypuszczała, że nieznajomy do niej podejdzie. Przeliczyła się jednak. Ledwie rzuciwszy na nią okiem, wtopił się w tłum sunących ulicą buddyjskich pielgrzymów i turystów z całego świata.

Dziesięć minut później znowu mignął jej w oddali. W stała do Banku Ludowego, aby wymienić kolejny czek na lokalną walutę. Tym razem mężczyzna "odpoczywał" w cieniu na zewnątrz banku.

Gdy zerknęła w jego stronę, odwrócił wzrok. Jego wygląd mocno jednak utkwiał Dani w pamięci. Opalona i osmagana wiatrem twarz mężczyzny wskazywała na to, iż dłuższy czas spędził w słońcu wysokich partii Himalajów. Jego ciało było szczupłe i dobrze umięśnione. Można by sądzić, że wrócił właśnie z długiej wyprawy wysokogórskiej, podczas której trzeba było racjonować żywność.

Mimo amerykańskiego ubrania na ulicach Lhasy czuł się jak ryba w wodzie. Przechodzącego mnicha powitał skinieniem głowy, wyrażając szacunek, jaki można spotkać wyłącznie u głęboko religijnej miejscowej ludności.

Gest ten od biedy można było odczytać jako próbę ukrycia twarzy przed wzrokiem Dani, ale samo zachowanie wyglądało na całkowicie odruchowe. Im więcej dziewczyna o tym myślała, tym bardziej dochodziła do przekonania, że potężny nieznajomy rzeczywiście może być buddystą. Sposób, w jaki oddał pokłon o połowę mniejszemu od siebie mnichowi, nie wiadomo dlaczego podniósł Dani na duchu.

Jej dobre samopoczucie szybko jednak skończyło się, gdy nieznajomy niczym cień wszedł za nią w tak zwaną Aleję Jaków. Był to ciąg jatek, już samym widokiem budzących obrzydzenie. Dani odczuwała

ogromną wdzięczność wobec losu za to, że w zimnym rozrzedzonym powietrzu zapachy nie rozchodziły się zbyt dobrze. Swego czasu bywała na targowiskach, gdzie handlowano rybami z Amazonki, a bijący od nich odór nawet skunka przyprawiłby o mdłości.

Z Alei Jaków Dani wśliznęła się do cichego mrocznego sklepiku, przylegającego do świątyni Dżokhang. Czekala tam, ile mogła. Dłużej pozostać w tym miejscu nie miała śmiałości.

Gdy opuściła tymczasowe schronienie, wysokiego brodatego brunetajuz nie było. Jego miejsce zajął inny potężnie zbudowany mężczyzna.

Chociaz obaj byli podobnej postury, łatwo dawalo się ich odróżnić.

Ten drugi był blondynem, a w zestawieniu z opalenizną pierwszego wydawał się wręcz bladej. Nie nosił także brody. Rzadkie włosy, tak jasne, że niemal białe, były odrobinę za długie. Wydatne kości policzkowe i puste, jasnoniebieskie oczy nasunęły Dani myśl, że jest Skandynawem.

Zupełnie irracjonalnie zapragnęła nagle, by ten pierwszy mężczyzna powrócił. Jakiś głos płynący z głębi jej duszy przemawiał za ciemnowłosym Amerykaninem.

Drugi nieznamy umiał się doskonale wtopić w otoczenie. Bez wysiłku wmieszał się w którąś z licznych, rozgadanych grup Holendrów, wybierających się na wyprawę wysokogórską. Gromadzili się właśnie tuż przed głównym wejściem do świątyni.

Gdy Dani oddaliła się biegnącą wokół świątyni ścieżką dla pielgrzymów, blondyn o pustych oczach ruszył w ślad za nią. Doszła do wniosku, że obaj mężczyźni śledzą ją na zmianę.

W którymś momencie ponownie mignęła jej czarna kurtka Amerykanina. Ciemne włosy ukrył tym razem pod miękkim, filcowym tybetańskim kapeluszem. Leniwie opierał się o ścianę na wprost targowiska, a nasunięty na oczy kapelusz stwarzał złudzenie, iż mężczyzna jest o krok od zapadnięcia w drzemkę.

Gdy po chwili Dani znowu się rozejrzała, Amerykanina nie było nigdzie widać.

Jednak jego nieobecność nie poprawiła jej samopoczucia. Nawet gdy tu i ówdzie pojawiał się w jej pobliżu jasnowłosy Skandynaw o oczach bez wyrazu, przyłapywała się na tym, że co chwila ogląda się w nadziei ujrzania ciemnowłosego mężczyzny.

A nie dostrzegłszy nigdzie jego spalonej słońcem i wiatrem twarzy, czuła narastający w głębi duszy niepokój. Niemal czekała, aż nieznamy wyskoczy z jakiejś bocznej alejki i ją zaatakuje.

Dani nie ufała wysokim mężczyznom. Byli tyranami bez względu na to, czy uświadamiali to sobie, czy nie. I nie chodziło wcale o to, że sama była niska. Ze swymi stu sześćdziesięcioma trzema centymetrami wzrostu i pięćdziesięcioma kilogramami wysportowanego ciała plasowała się tuż poniżej średniej dla swojej płci. Lecz życie - a także mąż - nauczyli ją, że fizyczne bezpieczeństwo gwarantuje kobiecie tylko i wyłącznie poczucie honoru mężczyzny.

Z tym że dla wielu mężczyzn poczucie honoru było pojęciem zupełnie meznanym.

Przy ulicy wiodącej pod główne schody, które prowadziły w górę do zamku Potala, Dani znalazła osłoniętą altanę. Drżąc, naciągnęła na twarz kołnierz kurtki i wtuliła węń nos, częściowo po to, by zachować ciepło, lecz przede wszystkim, by ukryć europejskie rysy twarzy i orzechową barwę oczu.

Czekała, obserwując, jak ostatnie blaski dnia nikną za postrzępionymi brązowymi górami, otaczającymi Lhasę ze wszystkich stron. Cienie gęstniały. Chłód przenikał przez chiński wacik, który miała na sobie. Brudne i sfatygowane po niemal sześciu tygodniach pracy w terenie okrycie upodobało ją do mamie odzianych tubylców na ulicy.

Chociaz targowiska pustoszały o zachodzie słońca, za sprawą pielgrzymów i turystów wielowiekowe miasto nadal tętniło życiem. Okryci łachmanami pielgrzymi, wyczerpani długą wędrówką, snuli się po mieście

niemal w ekstazie. Z ich twarzy bił zachwyt, iż nareszcie znaleźli się w samym centrum swego duchowego świata.

Bogato wyposażeni turyści, wybierający się na wyprawę w Himalaje, śmiało kroczyli przed siebie, ufni we własne siły, które chcieli wystawić na próbę, mierząc się z najwyższymi górami świata. Ci, którzy właśnie wrócili z wyprawy, którym udało się pokonać góry i samych siebie, mieli twarze pobrużdżone zmęczeniem, lecz rozświetlone dumą i radością, co w zadziwiający sposób upodobało ich do pielgrzymów.

Stojąc bez ruchu, Dani obserwowała, jak oddział chińskiej policji w ciemnozielonych mundurach maszeruje w kierunku szerokich schodów biegnących ukośnie w górę, ku murom otaczającym zamek od frontu.

Żołnierze szli sztywno wyprostowani, poruszali się z dużą ostrożnością. Wbrew oficjalnej propagandzie Chińczycy świetnie zdawali sobie sprawę, że znajdują się na wrogim terytorium.

Minęło ponad czterdzieści lat, odkąd Chińska Republika Ludowa zajęła położone w górach królestwo Tybetu. W tym czasie władze ChRL próbowały złamać ducha Tybetańczyków na dziesiątki jawnych i ukrytych sposobów.

Obyczaje i rytuały kulturowe, z których większość wyrastała z prastarych tradycji religijnych tego kraju, zostały wyjęte spod prawa. Mnichów buddyjskich poddano prześladowaniom, podkopywano ich autorytet i znaczenie w społeczeństwie. Państwo sekularyzowano.

Tysiące Chińczyków osiedliło się w surowej górskiej krainie. Był to wynik celowej polityki władz ChRL zmierzającej do przełamania hegemonii kultury i religii tubylczej ludności. Chińczycy zdominowali społeczne

i handlowe życie Lhasy.

Dani żyła jednak tak, jak nakazywały miejscowe obyczaje poza granicami miast. W kopulastych namiotach rozproszonych na nieurodzajnej wyżynie nadal kwitł buddyzm, niezbędny Tybetańczykom do życia jak powietrze, nadający ich istnieniu rację i sens. Cała egzystencja koczujących pasterzy była jedną wielką modlitwą ofiarowaną bogom.

W miastach natomiast zarysował się wyraźny konflikt między przenikającą wszystko duchowością Tybetańczyków a światopoglądem lansowanym na siłę przez władze ChRL. W ciągu ostatnich pięciu lat napięcia

kilkakrotnie przerodziły się w zamieszki.

Nieśmiała próba powstania została bez trudu zdławiona przez znacznie 'silniejszą armię chińską, ale w Lhasie wciąż jeszcze istniały takie miejsca, w które chińska bezpieka wolała się nie zapuszczać, chyba że w znacznej sile. Były i takie rejony, w których chińscy tajniacy na wszelki wypadek nie pojawiali się wcale. A chociaż Chińczycy rządili tym krajem od kilkadziesiąt lat, nie szcędząc zapewnień ani obietnic powszechnego dobrobytu, komunizmu i społecznej sprawiedliwości, w oczach większości Tybetańczyków pozostali po prostu okupantami.

Przez dziesięć minut Dani czekała na skraju "ziemi niczyjej"; taką przynajmniej opinią cieszył się ten rejon miasta wśród Chińczyków. Mrużąc oczy na silnym wietrze, wzrokiem przeszukiwała okolicę i drogę, którą tu przybyła.

Po dwóch mężczyznach, którzy przedtem deptali jej po piętach, teraz nie było ani śladu. Nikt inny również nie wyglądał na tajniaka z Biura Bezpieczeństwa Publicznego.

Wreszcie ruszyła na spotkanie swej niepewnej przyszłości. Nagle wyrosły przed nią na trzysta pięter w górę białe skrzydła wzniesionej z gliny i kamienia budowli, która, kiedyś była rezydencją dalajlamy.

Komunistyczne władze chińskie skazały najbardziej świątobliwego spośród Tybetańczyków na wygnanie, a świątynię zamieniły na muzeum dla ciekawskich turystów z Zachodu.

Tyle że poza samą budowlą niewiele tam było do oglądania. Przedmioty kultu, które miejscowa ludność otaczała największą czcią, zostały wywiezione do Pekinu na "przechowanie".

Ale mimo zawziętych wysiłków, działania Chińczyków nie były w stanie uwolnić kraju z "okowów" buddyzmu, mogły je co najwyżej osłabić.

W przeciwnym razie Dani nie stałaby w zapadającym mroku, samotna i drżąca, szykując się do kupna uświęconego skrawka przeszłości Tybetu.

Teraz albo nigdy, napomniała się stanowczo. Jeśli ten jedwab nie będzie przechowywany tak, jak trzeba, szybko ulegnie całkowitemu miszce. Zatem jazda, do roboty!

Opuściła chłodny cień i ruszyła w stronę świętego zamku. Przed sobą miała długi ciąg brukowanych kocimi łbami schodów, wiodących aż do kamiennych murów obronnych. Zamiast jednak ruszyć pod górę, zatrzymała się u podnóża wzniesienia.

Dwóch mnichów szło na dół. Ich pomarańczowe szaty nie dawały właściwie żadnej osłony przed zimnym wiatrem. Jeden z nich dostrzegł młodą ciemnowłosą kobietę i zawołał coś do niej po tybetańsku.

W uszach Dani słowa te zabrzmiały jak ostrzeżenie, że o tej porze zarówno muzeum, jak i skarbiec są już zamknięte. Kiwnęła z szacunkiem głową i czekała dalej.

Mnisi przeszli obok niej. Kierowali się w stronę miasta.

Przez pięć minut stała samotnie u podnóża schodów. Robiło się coraz ciemniej. Z pobliskiej alejki doszły ją ostrożne chrobotania i piski gromady szczurów. Kilkaset metrów dalej rozległo się wycie psa, napędzając jej nielicznego stracha.

Zatupała nogami. Od kamiennych stopni wiało chłodem, choć zgromadziły w sobie ciepło z całego dnia.

Na tej wysokości energia słoneczna była równie anemiczna jak powietrze.

Podczas gdy Dani czekała, była rezydencja dalajlamy rozświetlona niesamowitym światłem w powoli zapadającym zmroku. Zbudowane przed wiekami, a wciąż niepoddające się działaniu czasu, kamienne i solidne, a mimo to transcendentalne mury świętego klasztoru górowały nad tą ziemią i świeciły w zamierającym świetle dnia.

Na chwilę Dani poczuła się niczym intruz, pozbawiony znaczenia karzeł, stający w obliczu świętości, wokół której przez tysiąclecia obracało się życie i modlitwy niezliczonych rzesz ludzkich.

Nie po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie nicość ludzkiego istnienia wobec wieczności. Jako archeolog miała okazję poznać wagę czasu i pył, w jaki obracają się ludzkie kości i marzenia. Lecz teraz, szykując się do popełnienia przestępstwa, za które groziła kara śmierci, pierwszy raz w swoim życiu odczuła słabość i kruchość własnego ciała.

Nie ustąpiła jednak na krok. Ten kawałek jedwabiu znaczył więcej niż czyjekolwiek życie.

Nawet jej własne.

2

Szczur był ogromny. Jego ciemnoszara sierść błyszczała w rozproszonym świetle zmierzchającego dnia.

Rozległo się pospieszne, de

likatne stukanie pazurków. Wyłonił się spod obłuzowanych gontów i popędził w dół po spadzistym dachu. W ciszy panującej u podnóża zamku Potala najcichsze nawet dźwięki niosły się daleko.

Shane Crowe, leżący na dachu nieruchomo, z szeroko rozłożonymi rękami, uchwycił moment, kiedy szczur go zwęszył.

WiPział, jak gryzoń zamarł w bezruchu. Tylko czarny koniuszek jego nosa lekko się uniół i drgnął.

Ciemne błyszczące paciorki oczu zwróciły się ku człowiekowi.

Idę o zakład, że drań ma nadzieję na darmowy posiłek, pomyślał Shane z wisielczym humorem. Przykro mi, przyjacielu, ale nic z tego. Fakt, nie pachnę jak róża, a broda swędzi mnie od pyłu pokrywającego ten dach. Ale nie jestem jeszcze trupem pozostawionym niebiosom, żeby zadbały o mój pogrzeb, pozwalając tybetańskim żywiolom oderwać mięso od kości.

Szczur zachowywał ostrożność. Trwał na swoim miejscu i obserwował, czy człowiek przypadkiem się nie poruszy.

Cóż to, czyżbym nie śmierdział jeszcze jak umarłak? - dziwił się w duchu Shane. Dobra, ale lepiej nie odchodzić za daleko. Mam złe przeczucia, jeśli idzie o dzisiejszą noc.

Niech diabli porwą wszystkich amatorów!

Doktor Danielle Warren - dla przyjaciół Dani - nie ma żadnego prawa wystawiać na ryzyko swych długich nóg i smukłej szyi, pomyślał Shane z niechęcią. Zwyczajnie i po prostu, ona nie ma tu czego szukać. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi tak obrzydliwa kreatura, jak Feng. Czekał na niego, Shane zsuwał się ku krawędzi stromego dachu.

Niespodziewanie trafiło mu się urozmaicenie w postaci szczura.

Z właściwą wszystkim drapieżnikom cierpliwością zwierzę usiłowało właśnie rozstrzygnąć, czy ma do czynienia z pożywieniem czy raczej z niebezpieczeństwem i przezorniej będzie umknąć.

Shane wpatrywał się w gryzonia. Wiedział, że spojrzenie prosto w oczy oznacza dla niego groźbę ataku.

Chciał w ten sposób wypłoszyć szczura bez gwałtownych ruchów, które mogłyby zdradzić jego obecność ewentualnemu obserwatorowi na ziemi.

W przeciwieństwie do beztroskiej Dani, Fenga postawiłaby na baczność najmniej szanowana nawet oznaka zagrożenia, bez względu na to, skąd by nadeszła. Również z dachu.

Czy ten facet przyniesie jedwab? Shane zadał sobie to pytanie chyba po raz setny. A może po prostu oskubie śliczną panią archeolog i zwiej e, aż się będzie za nim kurzyło? I

Ośmielony całkowitym bezruchem człowieka, szczur zbliżył się o kilka centymetrów. Jednocześnie z dołu doszedł odgłos innych kroków. Tym razem ludzkich.

W słuchując się w ten dźwięk, Shane zanosił w duchu modlitwy do dawnych bogów, żeby dali mu szansę podsłuchania całej rozmowy między chińskim złodziejem a amerykańską uczoną.

Przynies to, Feng, bezgłośnie błagał Shane. Chcę spotkać człowieka, który zdołał ukraść ten kawałek jedwabiu z Błękitnej Świątyni. Wejścia do niej strzegli "moi" ludzie, osobiście ich wyszkoliłem.

Złodziej musi być prawdziwym mistrzem. Tacy jak on trafiają się raz na milion.

Shane znał stolicę Tybetu na tyle dobrze, na ile człowiek z Zachodu w ogóle może ją poznać, ale Feng przez całe trzy dni wymykał mu się z rąk. To oznaczało, że miał w Lhasie liczne powiązania i był bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Teraz nadarzała się Shane'owi niepowtarzalna okazja odzyskania skradzionej tkaniny.

Diabli nadali tę babę, myślał. Nie mogła wybrać gorszego czasu ani miejsca, żeby mi wejść w paradę.

Nie, żeby był niewdzięczny. Doprowadziła mnie do Fenga, i mam nadzieję, że również do jedwabiu. Ale jest tak cholemie naiwna, że nie mogę pozostawić jej własnemu losowi.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał Dani, odezwała się w nim instynktowna potrzeba chronienia dziewczyny. Tak silna, że sam był tym zaskoczony.

Starał się ją stłumić, bo oznaczała komplikacje, na które w tym momencie nie mógł sobie pozwolić.

Jednak bezskutecznie. Musiał chronić tę kobietę.

Wzruszył ramionami i zaakceptował ten nakaz, podobnie jak nauczył się akceptować wiele innych rzeczy. Nie warto dyskutować z karmą, bo i tak się przegra, zauważył cierpko w duchu. Ale on, Shane, winien był przede wszystkim lojalność mnichom z Błękitnej Świątyni. Wynajęli przecież firmę Risk Limited, i jego osobiście, aby odzyskać świętą relikwię. Realizacja tego zadania stała się teraz jego podstawowym obowiązkiem i to nie podlegało dyskusji.

Gdy nieznanymi przechodźcami minął doktor Warren i odgłos kroków zaczął się oddalać, Shane odczuł jednocześnie rozczarowanie i ulgę. Rozczarowanie, bo relikwia pozostawała poza zasięgiem jego rąk.

Ulgę, bo Dani przestało chwilowo zagrażać bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Nie chciał, żeby dziewczynę ktoś skrzywdził albo choćby przestraszył, jeśli da się tego uniknąć.

Chociaż, pomyślał zniecierpliwiony, mała porcja porządnego strachu wyszłaby jej tylko na zdrowie. Nie zdawała sobie zupełnie sprawy, jak łatwo można było ją skrzywdzić. Kilka łapówek w hotelu i wiedział o niej absolutnie wszystko. Do kompletu brakowało tylko świadectwa urodzenia.

Zresztą gdyby doktor Warren wozila metrykę ze sobą, Shane zdobyłby ten dokument podczas przeszukiwania pokoju dziewczyny. Nie usiłowała ukryć swojej tożsamości i nie przygotowała fałszywych papierów na inne nazwisko, by posłużyć się nimi po dokonaniu nielegalnego zakupu.

Zbyt łatwowierna, myślał Shane. Absolutna nowicjuszka w grze toczony przez wielkie drapieżniki.

Po prostu idiotka, podsumował ponuro ..

Jeszcze teraz nie mógł uwierzyć, że kilka godzin temu Dani sterczała na środku bazaru w pobliżu świątyni i negocjowała z Fengiem warunki umowy. A potem włóczyła się po całym mieście, dokonując legalnych i nielegalnych transakcji walutowych, aby uzyskać żadaną przez złodzieja kwotę.

Shane spędził cały dzień, obserwując jej kolejne posunięcia, aż nazbyt

łatwe do przewidzenia. Jedyną niespodzianką sprawili mu agenci chińskiej służby bezpieczeństwa. Nie mógł się nadziwić, że nie dopadli jej zaraz na wstępie i nie zamknęli na wszelki wypadek.

Albo ten facet, który za nią łązi, pomyślał Shane z niepokojem. Wbrew własnej woli zastanawiał się, jakie ma szanse w ewentualnym starciu. Dałby głowę, że to obywatel któregoś z byłych sowieckich republik.

Błady, z okrągłą głową i jasnymi włosami, wyglądał na Estończyka lub raczej Rosjanina. Shane wielu takich widywał w Afganistanie. Byli to żołnierze Specnazu, oddziałów do zadań specjalnych, które przed upadkiem imperium włóczyły się po kraju niczym stada wilków.

Amerikanin dobrze wiedział, jak wyglądają agenci Specnazu. Wiele miesięcy przebywał z obdartymi żołnierzami mudżahedinów. Szkolił ich w rozwalaniu nowoczesnych sowieckich czołgów za pomocą antycznej broni, jaką dysponowali afgańscy powstańcy.

Klnąc na czym świat stoi, usiłował ogarnąć umysłem bezgraniczną naiwność Dani. Bo przecież tylko naiwne dziecko, do tego ślepe niczym kret, mogłoby nie dostrzec rzucającej się w oczy, wręcz natrętnej inwigilacji ze strony Rosjanina.

Co prawda, przyznał Shane niechętnie, Dziewczyna wykazała się również inteligencją. Zastosowała stary chwyt i hotel Holiday Inn w Lhasie opuściła tylnym służbowym wejściem. Wcale nie była głupia, o nie.

Nie zmieniało to jednak faktu, że jako kompletna amatorka uczestniczyła w grze, w której regularnie ginęli wytrawni zawodowcy.

Może zaślepiała ją chciwość, zauważył w duchu. Tym dałoby się wyjaśnić, czemu podjęła tak wielkie ryzyko.

Jednak obsadzenie Dani w roli chciwego pośrednika w wątpliwym moralnie handlu antykami jakoś nie bardzo trafiło mu do przekonania. Również to, co znalazł w jej pokoju, nie pasowało do takiego wizerunku.

W bagażu dziewczyny brakowało przedmiotów zbytku, które zwykle kojarzą się z chciwością. Jej odzież była wygodna, łatwa do prania w prymitywnych warunkach i bynajmniej nie nowa. .

Bielizna wyglądała podobnie.

Gdyby znalazł w plecaku Danielle jakieś frywolne koronki, natychmiast przestałby nią sobie zawracać głowę. Fantazyjna bielizna kojarzyła mu się z kapryśnymi kobietami. A takie Shane Crowe skreślał od ręki.

Lecz w tych jej zwykłych, porządnie już znoszonych, starannie wypranych rzeczach było coś, co z miejsca do niego przemówiło.

Po raz pierwszy od blisko trzech lat Shane przestał traktować narzucony sobie dobrowolnie celibat jako wyzwolenie. Przeciwnie, stał się on nagle swego rodzaju ograniczeniem.

Z dołu doszedł go ponownie odgłos kroków. Ucichły w miejscu, w którym, jak przypuszczał, stała Dani.

Usłyszał głosy.

Doktor Warren rozmawiała z jakimś mężczyzną.

Z Fengiem? - zastanawiał się Shane.

Jedynie, co w tej chwili mógł zrobić, to zdać się na domysły. Znajdował się zbyt daleko od krawędzi dachu, by widzieć, co się dzieje na dole, lub by rozróżnić słowa. A jeśli wykona jakiś ruch, szczer ucieknie z

piskiem.

Dani by tego w ogóle nie zauważyła, ale Feng z pewnością tak. O ile to on właśnie był rozmówcą dziewczyny.

W gęstniejącym mroku Shane i zwierzę wpatrywali się w siebie nawzajem. Gryzoń był tak blisko, że mężczyzna mógł dostrzec pchłę wędrującą po jego nosie w kierunku kącika oka.

Szczur nie zwracał najmniejszej uwagi na pasożyta. Wciąż trwał nieruchomo w głębokiej rozterce, między impulsem do natychmiastowej ucieczki a niechęcią do porzucenia potencjalnego posiłku.

Mężczyzna dmuchnął delikatnie w jego kierunku.

Zwierzę cofnęło jedną łapkę, potem drugą, wreszcie odwróciło się i pobiegło cichutko w stronę gniazda, mieszczącego się gdzieś na poddaszu.

Shane sprawdził, czy któryś z gontów nie jest przypadkiem obłuzowany, i podjął powolne zsuwanie się ku krawędzi. Całą energię i wszystkie myśli skupił na tym, żeby za żadną cenę nie zdradzić swojej obecności. Jeszcze jakieś dwadzieścia pięć centymetrów do przebycia. Jeszcze piętnaście.

Nie zakłóciwszy nocnej ciszy nawet najłżejszym szmerem, Shane zsuwał się w dół, póki jego rozczapierzone palce nie znalazły się o centymetr od krawędzi dachu.

Teraz już wyraźnie słyszał rozmowę tamtych dwojga.

- Przed chwilą słyszałam, jak pan się tu kręci - powiedziała Dani z wyrzutem.

- Zgadza się, panno Warren.

- Przecież obiecałam panu, że przyjdę sama.

- Wiem. Ale ktoś tak nędzny jak ja koniecznie musiał to sprawdzić.

Shane przesunął się o kilka milimetrów do przodu. Mógł teraz kątem oka dostrzec czubek głowy dziewczyny. Miała ciemne lśniące włosy. Widać jednak było, iż zostały ostatnio obcięte tępymi nożycami lub finką. Oznaczało to, że podróżuje od dłuższego czasu.

Poruszając się wolno jak cień przesuwany w świetle księżyca, Shane pokonał wreszcie ostatni odcinek drogi. Cała twarz Dani znalazła się teraz w polu jego widzenia. Dostrzegł gładką, czystą cerę i harmonijnie ukształtowane rysy. Orzechowe oczy o wciąż zmieniającym się wyrazie były w tym momencie ciemne jak noc.

W każdym czasie i miejscu uznałby doktor Warren za atrakcyjną kobietę, ale teraz, gdy obserwowała wyłaniającego się z mroku Fenga, intensywny blask jej oczu wydał się Shane'owi po prostu zniewalający. W tej dziewczynie tkwi prawdziwa siła, uświadomił sobie nagle.

Cholerna szkoda, że przez głupotę wpakowała się w kłopoty i stanęła po niewłaściwej stronie barykady. Musiała mieć jednak choć trochę rozumu, bo wciąż jeszcze kryła się w cieniu. Przynajmniej na razie.

- Proszę się niczego nie obawiać, panno Warren. To tylko ja, Feng. Szeroki uśmiech nowo przybyłego odsłonił trzy zepsute siekacze, mocno przebarwione na skutek wieloletniego kontaktu z nikotyną.

Widząc ten uśmiech, Dani nie poczuła się ani trochę bezpieczniejszej.

Przywiódł jej na myśl okres dzieciństwa: dynie wycinane na święto Halloween i duchy na cmentarzach.

Zaskoczyło ją, że ów Azjata ze szczerbatym uśmiechem tak świetnie opanował angielski. Mówił wprawdzie powoli, ale nawet trudne głoski wymawiał zupełnie prawidłowo.

- Poznaję pana - oświadczyła. - Gdzie ten jedwab?

Nawet nie próbowała ukryć zniecierpliwienia. Im dłużej przebywała w tym miejscu, tym większe było niebezpieczeństwo, że zostanie odkryta. - Feng zawsze dotrzymuje słowa.

Odwrócił się nieznacznie. Przez plecy przewieszoną miał błyszczącą metalową tubę na skórzanym rzemieniu.

- A jedwab? - nalegała Dani.

- Przecież sama pani widzi.

- Widzę tylko metalową tubę.

Feng zrobił kilka kroków do tyłu, dumnie uniosł głowę i zmierzył dziewczynę wzrokiem od stóp do głów.

- A ja nie widzę ręki trzymającej pieniądze - odparował.

Dani trzymała obie pięści w kieszeniach kurtki. Nie ufała Fengowi nawet w biały dzień, kiedy wokół znajdowali się ludzie. Jeszcze mniej ufała mu teraz, w gęstniejącym mroku, gdy w pobliżu nie było żywej duszy.

- Mam pieniądze - stwierdziła krótko.

- Gdzie?

- Niedaleko.

Feng gwizdnał przez poczerwiałe zęby.

- Nie ma pieniędzy, nie ma jedwabiu - oświadczył obcesowo. Musiał się tego nauczyć od ludzi z Zachodu.

- Jeszcze nie widziałam jedwabiu.

Oczy Fenga zwięzły się. Obrzucił spojrzeniem całe otoczenie, starannie badając, czy przypadkiem w cieniu nie kryje się jakiś obserwator.

Wraz z gęstniejącymi ciemnościami wzmógł się wiatr.

Siłą opanowując drżenie, Dani czekała spokojnie, jakby miała przed sobą całą noc i płonący kominek do dyspozycji.

Z widoczną niechęcią Feng zsunął z pleców tubę i zdjął wieczko.

Odwrocił pojemnik do góry nogami, a ponieważ nic się nie pojawiło, zaczął nim energicznie potrząsać.

_ Stać! - wykrzyknęła Dani z przerażeniem. - Trochę delikatniej!

- Nie tak głośno, proszę! - zaprotestował Feng.

_ Jeśli to ten sam materiał, o którym pan mówił - przestrzegła ciszej - to można go zniszczyć jednym nieostrożnym ruchem.

Feng mruknął coś i zajął w głąb tuby.

Dani miała nieodparte wrażenie, że stojący przed nią mężczyzna nigdy nie widział zawartości pojemnika.

No i dzięki Bogu, stwierdziła w duchu. Może ten, kto pakował jedwab, wiedział coś więcej na temat zabytkowych materiałów.

- Mogę? - spytała.

Wyciągnęła rękę niemal rozkazująco.

Feng zawahał się, lecz po chwili podał jej pojemnik. - Pani to zniszczy, pani zapłaci - oświadczył. Posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

_ Jeśli jedwab w tym pojemniku jest zniszczony, to nie zapłacę złamanego centa - uprzedziła.

Feng tylko jęknął.

Dziewczyna przechyliła metalowy cylinder i zaczęła go delikatnie opukiwać. Po chwili jego zawartość wysunęła się jej na rękę. Był to rulon białego jedwabiu w kilku miejscach przewiązany błękitną wstążką. Wystarczyło jedno spojrzenie na fakturę materiału, by stwierdzić, że ma przed sobą wspólnie, maszynowo tkany jedwab.

Bardziej ją to uspokoiło niż przeraziło. Skoro już eksponatu nie da się umieścić w klimatyzowanej sali muzealnej, opakowanie z ciężkiego jedwabiu stanowiło najlepszą ochronę przed chłodnym i niezwykle suchym

powietrzem Lhasy. A z cienką, mocno już zetlałą tkaniną, którą dziewczyna miała okazję widzieć tego dnia przez krótką chwilę, należało się obchodzić nad wyraz delikatnie.

Ziębniętymi palcami Dani odwiązała wstążkę na jednym końcu rulonu. Lekkim ruchem odgięła brzeg materiału ochronnego, starając się nawet nie oddychać bezpośrednio na to, co kryło się pod spodem.

Wewnątrz tkwił inny kawałek jedwabiu. Nawet w tym oświetleniu mogła rozpoznać mieszaninę włókien z oprzędu owadów żyjących dziko i hodowanych przez człowieka. Również sam sposób tkania, w którym wzór tworzyły wyłącznie nitki wątku, wskazywał na to, iż materiał powstał całe wieki temu.

Jeśli wziąć pod uwagę przypuszczalny wiek tkaniny, niebieski barwnik zachował zadziwiająco intensywność i połysk, widoczne nawet o zmierzchu. Blask bijący od błękitu materii wzmagają dodatkowo niewiarygodnie cienkie złote nitki skręcone tu i ówdzie z jedwabnymi.

Cóż za wspaniały okaz, pomyślała Dani przejęta czią i podziwem. Nawet takie resztki robią ogromne wrażenie.

Koniuszkami palców potarła energicznie o wewnętrzną stronę kurtki. Chciała je rozgrzać i jednocześnie oczyścić z brudu. A potem, najdelikatniej jak umiała, powiodła opuszkami po samym brzeжку tkaniny. Jej doświadczony palce natychmiast wyczuły gładkość i elastyczność skręconych jedwabnych nitki oraz subtelne zmiany faktury materiału, które wynikały zarówno z istoty tworzywa, jak i cech indywidualnych rzemieślnika stojącego przed wiekami przy krosnach.

Tkanina była dokładnie taka sama, jak ta rozłożona na blacie komody na zapleczu sklepu, w którym Feng po raz pierwszy przedstawił dziewczynie swoją ofertę. Doznania wywołane dotykaniem jedwabiu wrażliwymi,

wyszkolonymi przez długą praktykę palcami nie mogły mylić. Z pewnością nie miała do czynienia z falsyfikatem.

Pospiesznie okryła zabytkową tkaninę białym jedwabiem, obwiązała koniec rulonu błękitną wstążką i wsunęła jego koniec do metalowej tuby. Wzdychając z ulgą, starannie docisnęła wieko cylindrycznego pojemnika. Póki nie dotrze ze swoją zdobyczą do Ameryki, nic więcej nie będzie mogła zrobić dla tego antycznego okazu, który tak łatwo mógł ulec zniszczeniu.

Bez ostrzeżenia Feng wyrwał pojemnik z rąk dziewczyny. - Tyle pani wystarczy -

powiedział.

- Tak - zgodziła się Dani, chociaż to nie było pytanie. - W zupełności.

- Pieniądze, panno Warren. To z kolei mnie w zupełności wystarczy.

Feng uśmiechnął się nerwowo, co jej w najmniejszym stopniu nie uspokoiło.

- Zaraz - odparła.

- A na co mamy czekać? Lada chwila zapadnie noc.

Rozumiała to doskonale. A jednak wciąż się wahała.

Jedwab był z pewnością autentyczny. Lecz fakt, iż przez całe popołudnie deptali jej po piętach dwaj potężnie zbudowani mężczyźni, nauczył ją trochę ostrożności.

- Skąd pan to wziął? - spytała otwarcie. Feng tylko prychnął drwiąco.

_ Wy, ludzie Zachodu, jesteście zainteresowani wyłącznie posiadaniem fragmentu bardzo odległej przeszłości wplecionej w ten kawałek jedwabiu - powiedział. - Co was mogą obchodzić metody zupełnie nowoczesnej sztuki handlowania?

_ Wiele się zmieniło, odkąd sto lat temu przybyli tu ludzie z Zachodu - odparła Dani spokojnie. -

Niektórzy z nas chcą mieć pewność, że zabytkowe wyroby i pamiątki są otoczone odpowiednią opieką, a nie po prostu sprzedawane temu, kto daje więcej.

Feng przybrał minę człowieka do głębi dotkniętego takim brakiem zaufania. Uniósł aluminiową tubę i podsunął dziewczynie pod oczy.

_ Jak pani widzi, obchodziłem się z tym bardzo delikatnie - oświadczył. - Mnie też zależy na zachowaniu przeszłości.

_ I dlatego na pojemniku jest kilka wgnieceń - zauważyła z przekąsem.

Feng zaczął protestować, a potem machnął ręką.

_ Nie mogłem nosić tego bez przerwy przy sobie - wyjaśnił. - W dzisiejszych czasach w Lhasie aż się roi od szpicli. Musiałem ukryć pojemnik za kilkoma kamieniami w ścianie mojego domu.

Amerykanka nadal się wahała. Czowała, że nadszedł moment największego zagrożenia. Wpatrując się w Azjatę, usiłowała przeniknąć jego ponurą, osmaganą wiatrem twarz.

Niewiele większy ode mnie, pomyślała, ale na pewno znacznie silniejszy.

Co zrobić, by nie zabrał mi jednocześnie i pieniędzy, i jedwabiu? Feng obejrzał się, okazując coraz większe zniecierpliwienie.

_ Jeszcze jedno pytanie - oznajmiła Dani.

- Ale ...

_ Proszę odpowiedzieć zgodnie z prawdą - przerwała mu. - W przeciwnym razie natychmiast stąd odejść.

Feng nieznacznie kiwnął głową na zgodę.

_ Dlaczego na rynku Barkhor zagadnął pan akurat mnie? Tylko błysk w oczach złodzieja zdradzał zaskoczenie.

_ Pani jest z Zachodu - odparł, szybko odzyskując zimną krew.

- Podoonie jak tysiąc innych osób.

_ Interesowała się pani kupnem rzeczy zabytkowych.

_ Z pięćset osób robiło dokładnie to samo. Więc dlaczego ja, Feng? Czemu wybrał pan właśnie mnie?

Czekała, obserwując jego twarz.

Nic z tego, co zobaczyła, nie uspokoiło jej.

_ Widziałem, eee ... jak drobiazgowo badała pani kampaskie sztandary w świątyni. Dotykała ich pani z taką czułością, że uznałem, iż interesuje się pani jedwabiem.

- Czy naprawdę tak było? - spytała Dani miękko. Feng kiwnął głową.

- Kampaskie sztandary zostały wykonane zaledwie wczoraj - zauważyła Amerykanka - a jednak wiedział pan, że jestem ekspertem od jedwabnych tkanin zabytkowych.

Powieki Azjaty zadrgały. Nie odezwał się ani słowem.

- A może chce mnie pan wplątać w przestępstwo? - spytała Dani.

- Ależ nie, nie, w żadnym razie, panno Warren - zapewnił Feng pospiesznie. Mam więcej powodów niż pani, żeby bać się policji.

- Więc dlaczego właśnie mnie pokazał pan ten jedwab? Rozpłaszczony na dachu Shane sam już nie wiedział, czy ma kląć czy cieszyć się z uporu dziewczyny. Aż do tej chwili sama ochoczo pchała się prosto w pułapkę.

Najwyższy czas, proszę pani, pomyślał szyderczo. Wlazała pani w gówno jaka i zatonała w nim po same usta, lecz dopiero teraz zaczyna to do pani docierać.

Powiedz jej wreszcie, Feng. Dlaczego upatrzyłeś sobie akurat tę małą niewinną intelektualistkę?

Sam był ciekaw odpowiedzi.

Nagle pochwycił słaby, odległy dźwięk. Uderzenie metalu o metal.

Z miejsca rozpoznał jego źródło. Tylne klapy ciężarówki, opuszczona i ponownie zatrzaśnięta.

Niebezpieczeństwo.

Wielokrotnie miał okazję słyszeć ten odgłos, gdy tkwił ukryty w zasadzce lub odbywał nocne patrole w górach. Chińskie samochody wojskowe zaopatrzone były w takie właśnie tylne klapy, które trzeba było opuścić, aby żołnierze mogli zeskoczyć na ziemię.

Bardzo powoli unióśł głowę i utkwiał wzrok w kierunku, skąd doszedł go dźwięk. Wypatrzył ciężarówkę kilkadziesiąt metrów dalej, na najbardziej odległym podjeździe pod murami zamku Potala.

Jeszcze kilka minut temu z pewnością tam nie było.

Mimo zmierzchu bez trudu rozpoznał typowy dla sprzętu wojskowego odcień zieleni. Nie tylko wielokrotnie słyszał opadającą klapy, ale również często widywał mundury armii chińskiej i to w każdym rodzaju oświetlenia.

Jedynym sposobem, aby ciężarówka mogła się pojawić w tym miejscu niezauważona, było przetoczenie jej tutaj z wyłączonym silnikiem i bez świateł.

To nie jest rutynowy patrol, uświadomił sobie Shane. To żołnierze doborowych oddziałów służby bezpieczeństwa, w starannie przygotowanej operacji.

Ciężka cholera!

Odwrócił głowę i rzucił okiem w stronę centrum miasta. Dostrzegł światła nadjeżdżających wozów.

Wszystkie zmierzały w tym samym kierunku.

Dani i Feng są ugotowani, pomyślał w duchu. Siedzą jak szczury w pułapce. Mnie to zresztą także dotyczy.

Jedyna różnica polega na tym, że ja orientuję się w sytuacji, a oni nie.

Miał nadzieję, że taka różnica wystarczy.

Wtem wyłowił uchem inny dźwięk: skrzyknięcie buta na płytach chodnika. Żołnierze zamykali ich w potrzasku.

Trzeba będzie zagarnąć ten jedwab, zdecydował. Lepsza okazja już nigdy mi się nie trafi.

Bardzo powoli unióśł się na dachu, oceniając odległość od złodzieja i jego aluminiowej tuby.

- No i co pan na to, Feng? - ponowiła pytanie Dani. - Dlaczego spośród tylu zachodnich turystów wybrał pan akurat mnie?

Zapytany westchnął i uśmiechnął się nerwowo. Najwyraźniej dał za wygraną:

- Szybko pani kocharzy, panno Warren. Zwróciłem się do pani, bo ... W tym momencie rozległ się cichy, stłumiony odgłos wystrzału. Tłumik, pomyślał Shane odruchowo. Chryste Panie!

Dani spostrzegła wyraz zaskoczenia na twarzy Fenga, gdy na jego marynarce pojawiła się krew. Impet uderzenia cisnął Azjatę na ścianę budynku. Przez ubranie buchnęła krew.

Gdy Feng padał na bruk, Dani odruchowo wyciągnęła ręce po aluminiową tubę, ale nie udało jej się dosięgnąć pojemnika. Ciało rannego owinięło się wokół metalowego cylindra, jakby mężczyzna w dalszym ciągu pragnął bronić swojej własności.

Oniemiała z wrażenia, nie wierząc własnym oczom, dziewczyna wpatrywała się w twarz zastygłą w wyrazie zdziwienia. Przez jego ciało przeszedł dziwny skurcz, ale nie wypuścił tuby z rąk.

Krew z rany przestała płynąć.

Dani uświadomiła sobie, że Feng nie żyje i już nigdy nie odpowie jej na żadne pytanie.

Shane natychmiast zorientował się w sytuacji. Z chłodną precyzją ocenił siłę uderzenia, oszacował czas i określił z grubszą trajektorią, po której poruszała się kula.

Wniosek był natychmiastowy - Rosjanin. Bez dwóch zdań. Oddziały bezpieki nie używają tłumików.

Przeciwnie, wkraczają do akcji, zionąc ogniem ze wszystkich luf i głośno waląc butami w kamienny bruk.

Lata treningu zrobiły swoje. Wiedząc, że wciąż jest ukryty przed oczami zabójcy, Shane z wolna odwrócił głowę w kierunku miejsca, skąd padł strzał. Dostrzegł nieznaczne poruszenie.

Rosjanin zmieniał właśnie pozycję.

Dani aż sapnęła na widok jasnowłosego mężczyzny o nieprzeniknionej twarzy, który wynurzył się z cienia jakieś trzydzieści metrów od niej.

Nieznamy trzymał w ręku broń wycelowaną prosto w jej serce.

- Cofnij się - polecił. - Trzymaj się z dala od tego jedwabiu, w przeciwnym razie zginiesz.

3

Shane miał wrażenie, że wszystko wokół zaczęło się poruszać w zwolnionym tempie. Wyjątek stanowiły jego własne reakcje. Identyczne

odczucia towarzyszyły mu podczas każdej walki na śmierć i życie. Zyskiwał dzięki temu przewagę, która nie każdemu była dana.

Odskakując na bok, wydobył jednocześnie własną broń, którą nosił w kaburze zawieszony z tyłu na pasie. Był to małokalibrowy pistolet z długą lufą, powleczony matową czernią. Z rodzaju tych, jakie chętnie nosi się w plecakach, wędrując po tybetańskich pustkowiach.

Shane znacznie wyżej cenił sobie celność i dokładność tej "zabawki" aniżeli jej zdolność do natychmiastowego zabicia przeciwnika. W każdym razie łatwiej się było wytłumaczyć miejscowym władzom z posiadania takiego pistolecika niż wielkalibrowej, piętnostrzałowej broni, wyposażonej w tysiące wymyślnych akcesoriów.

Zanimjednak Shane zdołał wymierzyć w Rosjanina, usłyszał okrzyk w języku chińskim:

- Stop! Reprezentujemy władze! .

Nieopodal, w prześwicie między budynkami ukazali się dwaj mężczyźni w zielonych mundurach.

Rosjanin zareagował natychmiast. Przetawił swój pistolet z tłumikiem z ognia pojedynczego na ciągły i oddał krótką serię.

Żołnierze Chińskiej Republiki Ludowej skryli się za jakąś osłoną.

Kilka sekund później odpowiedzieli ogniem, również z broni automatycznej.

Teraz Shane mógł przyjrzeć się Rosjaninowi. Jasnowłosa mężczyzna był znakomicie wyszkolony, lecz zachowywał się jak szaleniec albo jak człowiek, który nie wie, co to lęk. A może jedno i drugie. Aby powstrzymać

oddziały bezpieki, strzelał krótkimi, odmierzonymi seriami, zużywając każdorazowo po pół magazynka.

Tyle że zamiast skorzystać z pierwszej okazji i uciec, cicho podkradał się do trupa Fenga.

I do żywej Danielle Warren.

Dziewczyna sięgała właśnie po aluminiową tubę, gdy Rosjanin przejrzał jej zamiary. Wystrzelił krótką serię. Świsł kul odbił się echem między murami niczym złowroga pieśń.

Zaskoczona Dani ze zduszonym okrzykiem odskoczyła do tyłu i zaczęła się gorączkowo rozglądać za jakąś osłoną.

Shane nie potrafił określić, co czuje: ulgę czy wściekłość, gdy dziewczyna rozplaszczyla się na drzwiach budynku, bezpośrednio pod jego stosunkowo bezpiecznym stanowiskiem na dachu.

Nie mrugnawszy nawet powieką, trwał w całkowitym bezruchu i ponownie oceniał sytuację.

Tymczasem Rosjanin znowu ruszył do przodu, wykorzystując naturalną osłonę, jaką stanowiła ciasna zabudowa wąskiej uliczki. Cały czas oddawał precyzyjne, dwustrzałowe serie w kierunku żołnierzy.

Tamci przypadli do ziemi i odpowiedzieli ogniem. Początkowo słychać było tylko jeden pistolet, po chwili odezwał się drugi, potem trzeci. Wkrótce trudno było określić, z ilu automatów strzelano. Kule odbijały się od bruku i wyrwały kawałki zaprawy ze ścian budynków.

Rosjanin wypatrzył stosunkowo długą niszę drzwiową i, rzuciwszy się plecami na ziemię, pod jej osłoną zmienił magazynek. Potem szybko wystrzelił i ruszył dalej.

Od zwłok Fenga dzieliło go jeszcze około dziesięciu metrów, od Dani ze sześć.

Shane spokojnie wymierzył w głowę Rosjanina, nie mógł jednak posłać mu kuli, nie zwracając jednocześnie uwagi chińskiej bezpieki. Oceniał, że zostanie zestrzelony z dachu w ciągu najwyżej pięciu sekund.

Za krótki czas, by uratować życie, nie mówiąc już o jedwabiu. Shane widział przedmiot, o który chodziło Rosjaninowi - aluminiową tubę w rękach martwego mężczyzny. Jemu samemu także ogromnie zależało na tym pojemniku, chwilowo jednak nie miał żadnych szans.

Raptem zorientował się, że Dani opuściła schronienie w drzwiach „jego” budynku. Metalowa tuba z jedwabiem również na nią działała

jak magnes.

Odważna to ona jest, pomyślał Shane z podziwem, szkoda tylko, że brakuje jej rozumu.

Stłumionym głosem zawołał:

- Dani, nie!

Wołanie było tak ciche, że dziewczyna ledwie je dosłyszała, ale rozpoznała własne imię. Zamarła i spojrzała w górę.

Rosjanin podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Kawałek po kawałku badał linię dachu, analizując wpływ nowego czynnika na całą sytuację.

Po raz pierwszy Amerykanin mógł dostrzec zarys broni przeciwnika. Było to uzi.

W odczuciu Shane'a świat zwolnił jeszcze bardziej. Chociaż lufa uzi kierowała się wprost na niego, zdążył jeszcze zdziwić się w duchu, że Rosjanin dysponuje tego rodzaju bronią.

Dostrzegł wylot lufy, wyczuł "spojrzenie" jej wpatzonego w siebie pojedynczego "oka" i zniknął z pola

widzenia ułamek sekundy wcześniej, nim cztery kule roztrzaskały deszczułkę gontową na skraju dachu. Strzały Rosjanina ściągnęły w to miejsce ogień z broni Chińczyków.

Jasnowłosa mężczyzna cofnął się zająkał osłone, podczas gdy kule waliły w ścianę nad jego głową. Wyglądało na to, że żołnierze chińskiej bezpieki nie dostrzegli obecności Shane'a. Skupili ogień w miejscu, gdzie stał Rosjanin, i rozpoczęli swój śmiertelny balet: seria z automatu i skok do przodu. Amerykanin bez trudu mógł przewidzieć wynik tego starcia. Wprawdzie Chińczycy mieli ogromną przewagę liczebną, ale ich przewodnik był na tyle blisko celu, że zdążyłby porwać aluminiową tubę i uciec. Dani również będzie zmuszona do wycofania się. W przeciwnym razie pochłonie ją nacierające wojsko. Wyszkolony agent w tej sytuacji zabrałby się stamtąd cicho i szybko, korzystając z osłony nocy. Dziewczyna jednak nie miała najmniejszego pojęcia, jak to zrobić.

Nigdy jeszcze nie znalazła się w ogniu walki. Nigdy dotąd nie zabito w jej obecności człowieka. I nigdy w życiu sama nie stała się celem dla mordercy.

Była niewinną, nieprzygotowaną do walki kobietą. Jedną z tych osób, które u zawodowców w rodzaju Shane'a Crowe'a wywoływały jedynie przekleństwa.

Shane mógł uratować jedwab albo życie Dani. Jego wybór. Jej życie.

Na dobrą sprawę nie miał więc żadnego wyboru. Do kurwy nędzy, zaklął w bezgłośniej furii.

Potem podpełznął nad sam brzeg dachu i wystawił głowę tak, żeby dziewczyna mogła go dojrzeć.

- Chodź tutaj, Dani - wyszeptał nagle.

Rozwarła szeroko oczy. Wpatrywała się w mężczyznę, jakby był zamkowym maskaradem, który ni stąd, ni zowąd zaczął śpiewać.

Rosjanin padł ofiarą własnego niezdecydowania. Nie mógł teraz wycelować w Shane'a, nie wystawiając się jednocześnie na kule żołnierzy.

Był jednak wytrwałym agentem. Przywarł do framugi i czekał na sprzyjający moment. Shane wyciągnął ramię ponad krawędzią dachu.

_ Złap moją rękę - polecił cichym głosem. - Szybko! To twoja jedyna szansa.

Dani zerknęła na Rosjanina, na zbliżających się chińskich żołnierzy i na martwego Fenga, którego ciało nadal broniło dostępu do pojemnika z drogocennym jedwabem.

Wyszła z mroku i wyciągnęła rękę.

Palce Shane'a zamknęły się na jej nadgarstku. Była niska i lekka, a krew w jego żyłach aż buzowała od adrenaliny. Wciągnął ją na górę jak piórko. Trudno uwierzyć, że składała się z mięśni i kości.

W dodatku mu pomogła. Podrzuciła jedną nogę w górę i zaczepiła nią o krawędź dachu. Następnie szarpnęła się do przodu, podciągnęła i całym ciałem przywarła do krytej gontem powierzchni.

Musiała przejść jakiś trening, pomyślał Shane z ulgą. Wskoczyła na ten dach niczym akrobata na trapezie, którego zadaniem jest złapać drążek zawieszony wysoko nad areną.

Zaciskając dłoń na nadgarstku dziewczyny, odciągnął ją od krawędzi, gdzie groziło im największe niebezpieczeństwo. Nie stawiała oporu. Przesuwała się razem z nim, a potem ponownie rozpląsała na stromej powierzchni. Tym razem leżała na plecach i ciężko dyszała.

Za to Shane oddychał powoli i miarowo. Wyciągnął się na brzuchu i, przerzuciwszy uzbrojone ramię przez ciało dziewczyny, obserwował teren pod nimi. Gdy tak czekał na pojawienie się jakiegoś celu, przez głowę przemknęła mu myśl, że oto leży obok kobiety, w intymnej pozycji, z ręką na jej piersiach.

Przez chwilę napawał się tą kobietą miękkością. Wciąż dyszała po przebyłym wysiłku, a jej oddech owiewał mu twarz. Słodko pachniała.

_ Nie ruszaj się - polecił najciszej, jak potrafił. - Gliniarze jeszcze nas nie dostrzegli.

Przezołgał się przez ciało Dani nad samą krawędź dachu i ostrożnie wyjrzał. Trafił akurat na końcową fazę rozgrywki.

Nastąpiła bez żadnego ostrzeżenia. Strzelając w głąb ulicy, Rosjanin opróżnił niemal cały magazynek, a poszczególne detonacje zły się w jeden ogłuszający huk. Jeszcze nie przebrzmiało echo tych strzałów, gdy wyskoczył zza osłony i pochyłony rzucił się do ucieczki. Prawie nie zwalniając, odepchnął ciało Fenga, porwał aluminiową tubę i pognął dalej.

Żołnierze bezpieki musieli być niełicho zaskoczeni tak śmiałym manewrem, gdyż dopiero po dobrej chwili użyli broni. Zanim jednak otrząsnęli się z oszołomienia i ponownie otworzyli ogień, było już za późno. Cel zniknął im z oczu.

Mimo to strzelali jeszcze z piętnaście sekund, zanim całkiem dali za wygraną.

Odgłos kroków szybko biegnącego człowieka błyskawicznie ucichł. Cisza, która nagle zapadła, miała

siłę gromu.

Po raz kolejny Shane uświadomił sobie, że ma pod sobą kobiece ciało.

Dani przesunęła się lekko, ocierając piersiami o jego ramię. W odczuciu mężczyzny doznanie to było bardzo przyjemne, prawie erotyczne.

Delikatnie zgiął rękę w łokciu i jeszcze raz doświadczył tego samego. Dani przemieszczała się bardzo powoli i delikatnie niczym kochanka przysuwająca się ku niemu nocą.

Zerknął w dół na twarz dziewczyny 'oddaloną o kilkanaście centymetrów od jego własnej. Ta bliskość nie była mu obojętna, i coś z instynktownej męskiej reakcji musiało się uwidocznić w jego oczach.

Wyraz twarzy Dani zmienił się.

- Przesuwam się tylko dlatego - wycodziła cicho przez zęby - że złamany gont wywiercił mi już dziurę w plecach.

- Więc niech ci nie przychodzą do głowy żadne głupie pomysły, to miałaś na myśli? - mruknął Shane.

- Dokładnie.

- Nic się nie martw. Przez najbliższy miesiąc jesteś całkiem bezpieczna.

- Co takiego?

- Na nas już czas - powiedział cicho. - Jak sobie radzisz ze wspinaczką?

- Lepiej niż z leżeniem na plecach.

Shane uśmiechnął się nieznacznie. Zsunął się na bok i przełożył pistolet do drugiej ręki. Ujął dłoń dziewczyny.

- Czołgamy się - mruknął.

Ruszyli powoli w górę spadzistego dachu. Największe niebezpieczeństwo groziło im na samym szczycie, gdzie byli najbardziej widoczni. Nagłym wyrzuceniem ramienia i biodra Shane przepchnął Dani na drugą stronę. Ni to czołgając się, ni to zsuwając, szybko schodzili w dół.

Znalazszy się tuż nad okapem, dziewczyna zawahała się. Shane szarpnął ją za rękę i w sposób niezbyt elegancki zrzucił z dachu. Poza mimowolnym sapnięciem w chwili, gdy doświadczyła siły grawitacji, Dani zachowała ciszę.

Shane był pełen uznania. Większość ludzi narobiłaby mnóstwo hałasu, spadając w sposób niekontrolowany. Przytrzymał ją w połowie drogi, dając dziewczynie czas na opamiętanie się, po czym delikatnie puścił. Z cichym jękiem wylądowała na kocich łbach.

Sekundę później znalazł się na ziemi tuż obok. Chwycił jej rękę i pociągnął za sobą.

Dani zrobiła krok i syknęła z bólu.

- Moja kostka - powiedziała.

- Cisza!

Shane schylił się i przytknął wargi wprost do jej ucha. Dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, z jak niską istotą ma do czynienia. Nie drobną, nie delikatną, tylko zwyczajnie małą.

- Żołnierze usiłują nas otoczyć - szepnął. - Czy mam cię wziąć na ręce?

- Nie martw się, ty wielki draniu - odparła Dani spokojnie. - Nie będę ci opóźniać ucieczki.

Gniew wibrujący w jej głosie zaskoczył Shane'a.

Na niektórych ludzi adrenalina działa w taki właśnie sposób, uprzytomnił sobie. Wywołuje dziki gniew, który nie pozostawia miejsca na nic innego. Zwłaszcza gdy ludzie ci nie są przyzwyczajeni do walki o życie.

- Zostaw mnie tutaj - warknęła dziewczyna. - Nie mam pojęcia, coś za jeden, ani dlaczego chińscy żołnierze do ciebie strzelają. Jeśli jednak o mnie chodzi, to jestem po prostu amerykańskim archeologiem. Zaryzykuję więc pozostanie na miejscu. Myślę, że mogę sobie na to pozwolić.

- Twój e szanse na wywiniecie się z tego są mniej sze niż szanse płatka śniegu w piekle. Charlie Foxtrot jak złoto najszczerze, a ty tkwisz w samym jego śródeczku.

- Co takiego?

- Innymi słowy, bajzel do kwadratu. A więc możesz iść czy mam cię wziąć na ręce?

- Przecież nie wiem, kim jesteś - szepnęła Dani. - Dlaczego miałabym z tobą iść?

- Nazywam się Shane Crowe i jak dotąd tylko ja jeden nie próbowałem cię zakatrupić.

- A jak nazwiesz zrzucenie mnie z dachu?

- Ratowaniem twojego życia.

- Mogę chodzić.

- Świetnie.

Shane wyprostował się, chwycił dziewczynę za rękę i ruszył przed siebie. Dani zaprzestała dalszej walki.

Utykając, szła za swym towarzyszem

wąską aleją, która kończyła się u podnóża schodów wiodących do świętego, otoczonego czcią wiernych

zamku.

Za sobą słyszała narastającą wrzawę - wykrzykiwane rozkazy, tupot nóg oraz gniewne protesty i przeraźliwe wrzaski mieszkańców okolicznych budynków.

Bez trudu mogła sobie wyobrazić, co się teraz dzieje za jej plecami. Widywała już chińskie siły okupacyjne w akcji.

Niech Shane Crowe będzie sobie obcy, wściekły i potężnie zbudowany. W głębi duszy była bardzo rada, że nie zostawił jej tutaj na pastwę losu.

Idący obok mężczyzna miał przed oczami jeszcze dokładniejszą wizję tego, co się za nimi dzieje. Żołnierze chińskiej bezpieki znaleźli martwego Fenga i nikogo więcej. Wszczęli więc wśród Tybetańczyków poszukiwania,

stawiając na nogi całą okolicę.' A gęsto padające na tubylczą ludność ciosy, zadane pięścią bądź kolbą pistoletu, miały na celu rozładowanie wściekłości, gdyż zdobycz wymknęła im się z sieci.

Kostka Dani 'spuchła i boleśnie pulsowała. Dziewczyna zagryzła wargi, zdecydowana dotrzymać kroku towarzyszowi. Jego ruchy odznaczały się swoistym wdziękiem. Przywodziły na myśl zawodowego tancerza lub komandosa dobrze obznajomionego ze sztuką wojenną. Pomyślała, że okoliczności wskazywały raczej na ten drugi przypadek.

Bez cienia wahania Shane wiódł dziewczynę przez istny labirynt wąskich uliczek, w których dobrą orientację mogli mieć tylko rdzenni mieszkańcy Lhasy. Czterokrotnie przystawał i zmuszał Dani do ukrycia się za jakąś osłoną.

Ani razu nie dostrzegła wcześniej żadnego zagrożenia, po czym patrole wojskowe przechodziły w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od ich kryjówki.

Z każdą chwilą w Dani narastała świadomość siły towarzyszącego jej mężczyzny. Co jakiś czas czuła na swym ciele jego stalowe ramię. Nakazywało skryć się przed nadciągającym niebezpieczeństwem.

Zaświtała jej myśl, że mimo tej siły i broni, którą trzymał w drugiej ręce, nie miała poczucia niemocy i bezradności, tak dobrze jej znanych z czasów małżeńskich. Nie rozumiała na czym polega ta różnica.

Wiedziała

tylko, że jest zasadnicza.

Gdy ramię Shane'a opadało, Dani ruszała za swoim przewodnikiem.

W ten sposób doszli do podnóża schodów wiodących w górę, ku murom otaczającym zamek Potala. Shane przystanął, aby mogła złapać oddech.

- A więc jesteś archeologiem? - spytał cicho. - Co tutaj robisz?

- Przyjechałam niedawno, po sześciotygodniowym pobycie na pustyni, gdzie sporządzałam mapy dawnych szlaków handlowych. A kim ty jesteś, gliniarzem?

- Nie - odparł.

- A więc?

- Nieważne. Przypuszczalnie i tak byś mi nie uwierzyła. Nawet gdybym ci powiedział.

- CIA?

Shane zaśmiał się cicho.

- Jak to, jeszcze nie słyszałaś? - spytał. - Jedyne, co oni potrafią, to robić z siebie pośmiewisko, i to na cały świat. Ja działałam całkowicie prywatnie.

Dani potrząsała głową niczym pies wychodzący z wody, chcąc uchwycić sens tego, co się wokół niej działo.

- Pewnie myślisz, że przeżyłaś bardzo dziwny dzień, prawda? - spytał Shane lekko rozbawiony. - Poczekaj no tylko. Za chwilę znajdziesz się tam, gdzie nie dotarła jeszcze żadna kobieta.

Ujął dziewczynę za rękę i powiódł zniszczonymi kamiennymi schodami w górę, aż do pierwszego podestu.

Zapukał w nieduże drewniane drzwi bez okna, osadzone w kamiennym murze.

Otworzyły się bezgłośnie. Zaszuszonego mnicha w ciemnoniebieskiej szacie usunął się na bok, robiąc im przejście.

Shane przekroczył próg i pociągnął Dani za sobą, w Ciemność.

Gdy uświadomiła sobie, gdzie się znajduje, odniosła wrażenie, że właśnie wpadła w króliczą norę i jej życie nigdy już nie będzie takie, jak było.

Miała rację.

4

Posiadłość Harmonia, Aruba Październik

Katia Pilenkova spojrzała na małe elegancki zegarek od Cartiera, który nosiła na ręku. Uwzględniając różnicę czasu, szybko obli

czyła, która godzina jest teraz w Lhasie.

Już za chwilę, dodawała sobie otuchy. Zaraz zadzwoni. Musi. Bez jedwabiu ...

Do jej serca wkradł się niepokój. Uczucie znane jej aż za dobrze. Rozwiąć je potrafiła tylko wódka, schłodzona niemal do stopnia zamarzania.

Jeszcze za wcześnie na alkohol, upomniała się Katia w duchu. Trzeba poczekać na mężczyzn.

Ilja odezwie się, gdy będzie miał coś ważnego. Póki co, zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Przed tym spotkaniem całą posiadłość trzeba doprowadzić do idealnego stanu.

Zamierzała osobiście dopilnować, żeby wszystko, aż po najmniejszy drobiazg, zostało wykonane zgodnie z jej życzeniem.

Tak ambitne plany z góry zniechęciłyby mnóstwo ludzi. Należąca do Katii, niespełna dwuhektarowa posiadłość położona nad samym oceanem, była największą na wyspie spośród tych, które pozostawały jeszcze w prywatnych rękach.

Wzdłuż plaży, ciągnącej się na odcinek czterystu metrów, postawiono dwadzieścia luksusowych domków, które wyglądem przypominały pełne wdzięku pałacyki. Trzy ogromne baseny czekały w przejrzystej turkusowej ciszy

na tych, którzy nie byli amatorami pływania w słonej wodzie.

Główny budynek posiadłości, zbudowany z kamienia i pokryty stiukiem, liczył siedemset pięćdziesiąt metrów

kwadratowych powierzchni użytkowej. Wzniesiony z inicjatywy holenderskiego kupca, został odnowiony przez

wenezuelskiego nafciarza. Następnie jeden z kolumbijskich bossów narkotykowych zainwestował w posiadłość

dziesięć milionów dolarów, ale nie zdążył się nią nacieszyć. Zginął, gdyż nieopatrznie odwrócił się tyłem do niewłaściwego człowieka.

Całość sprawiała wrażenie niezwykle ekskluzywnego ośrodka wypoczynkowego lub też kosztownego "wiejskiego" zacisza dla przedstawicieli świata biznesu. W rzeczywistości jednak posiadłość swym charakterem i

przeznaczeniem najbardziej przypominała siedemnastowieczny francuski salon. Z tą tylko różnicą, że zamiast

filozofów i poetów, w majątku bywały najteższe przestępcze umysły końca dwudziestego wieku.

Właścicielką posiadłości, jej gospodynią i administratorką była Katia Pilenkowa. Harmonia stanowiła zarówno

jej wizytówkę, jak i schronienie.

Bożonarodzeniowa choinka na dziedzińcu była kolejną pozycją na liście zanotowanej w pamięci. Jak to będzie

wyglądało, gdy pojawią się mężczyźni? Najważniejsze są pierwsze wrażenia.

W tym akurat momencie główny dziedziniec majątku pokryty był słynnym arubijskim piaskiem, przypominającym cukier. Była to najbardziej śniegopodobna substancja, jaką można było zdobyć na Karaibach.

Jak zwykle w październiku wyspę owiewał niezbyt silny pasat. W takt jego porywów drżały i kołysały się konary

dwunastometrowego kalifornijskiego świerka, między którymi rozmieszczono niezliczone białe światełka. Mrugały i migotały w tropikalnym powietrzu sześć tysięcy pięćset kilometrów od miejsca, gdzie drzewo to wyrosło.

Świerk zachował jeszcze świeżość, żywą zieloną barwę i żywiczny aromat, który rozchodził się w gorącym, wilgotnym powietrzu Karaibów. Dostarczono go czarterowym samolotem w niecałe dwadzieścia cztery godziny

po ścięciu.

Marszcząc brwi, Katia przyglądała mu się z namysłem. Świeżość drzewa nie miała dla niej większego znaczenia.

Zaprzątała ją problem ozdobienia tej wielkiej choinki. Sprowadziła z Broadwayu dekoratora, który miał zadbać o

święteczne przybranie. Wtedy wydawało się to dobrym rozwiązaniem.

Teraz ogarnęły ją wątpliwości. Nigdy nie miała przekonania do mężczyzn, nad którymi nie panowała pod względem seksualnym. A amerykański dekorator okazał się gejem z szerokim gestem i ekstrawaganckimi

upodobaniami.

Ekstrawagancję Katia była w stanie zrozumieć. Homoseksualizm nie. Krytycznie przyjrzała się zielonej choince.

Świąteczka zostały rozmieszczone artystycznie, podobnie jak ozdoby. Musiała przyznać, że dekorator działał z wyczuciem, harmonijnie łącząc amerykańskie wizerunki św. Mikołaja, szklane bombki z Francji, i ręcznie wytwarzane ornamenty z Włoch.

Wystarczy, zdecydowała na koniec. Drzewko spełni swoją rolę i na pewno znajdzie uznanie w oczach mężczyzn

równie sentymentalnych, co brutalnych.

Rozejrzała się wokół, oceniając dekoracje w posiadłości, której osobiście nadała nazwę Harmonii.

Z palm i mangrowców zwieszały się błyszczące girlandy, połyskując na wietrze. Roztańczone, wielokolorowe

świąteczka wplecione zostały w korony drzew divi-divi, które wyglądały teraz jak pochodnie. Świąteczek tych w

pełnym słońcu praktycznie nie było widać, ale rozbłysną feerią barw, gdy zapadnie tropikalna noc.

"Pałacyki" rozrzucone na całym terenie i wzdłuż osłoniętej od wiatru plaży udekorowano stylowymi ozdobami

wywodzącymi się z dwunastu różnych kultur. Całe dwa hektary gruntu wokół głównego budynku zamieniono w

baśniowy świat ze snów uboższego dziecka.

Iluzję Bożego Narodzenia dopracowano w najdrobniejszych szczegółach. Nie zabrakło nawet 'izopki przed prywatną rezydencją gospodyni, należącej do Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej.

Katia Pilenkowa, trzydziestoletnia naturalna blondynka o zielonych oczach i figurze, na której szyta przez Chanel suknia bez ramiączek prezentowała się wręcz idealnie, była geniuszem w kreowaniu iluzji i zdawała sobie z tego sprawę.

A co ważniejsze, robiła ze swego talentu użytek.

Za czasów Związku Radzieckiego Katia była obiecującą młodą aktorką w Instytucie Filmowym w Moskwie. Jednak już na bardzo wczesnym etapie pracy w zawodzie zorientowała się, że aktorzy i aktorki są tylko nieznaczającymi pionkami. A prawdziwa władza znajduje się po drugiej stronie kamery.

Postanowiła zatem zostać reżyserem i z miejsca zakrzętnęła się wokół swej kariery. Z czasem zyskała opinię jednego z najbardziej wpływowych twórców. Upadek Związku Radzieckiego okazał się niefortunny dla jej ambicji, bo państwo przestało finansować kinematografię.

Dla Katii, jak i wielu innych przedstawicieli sowieckiej nomenklatury, skończyły się przywileje, a zaczęła twarda walka o byt.

Utrzymanie się na powierzchni było bardzo trudne. Niemal z dnia na dzień Moskwa nabrała charakteru miasta przygranicznego. Nieoczekiwana prosperity nastąpiła jednocześnie z upadkiem wszelkich wartości. Raptem okazało się, że wszystko jest na sprzedaż, przy czym najniżej ceniono ludzkie życie. Gdy zabrakło partii komunistycznej, władza przeszła w ręce tych, którzy byli dość twardzi i bezlitośni, aby po nią sięgnąć, a potem utrzymać.

Katia z dumą spoglądała na materialne przejawy odniesionego sukcesu. Zwłaszcza że tak wielu wokół niej przegrywało.

I umierało.

Przeistoczenie się z reżysera w burdelmamę było dla niej rzeczą całkowicie naturalną. Fikcja pozostała fikcją, a jedyna, jej zdaniem, różnica dotyczyła wielkości widowni.

Kiedyś kreowałam iluzje ku zadowoleniu milionów kinomanów, myślała, nieznacznie się uśmiechając. Teraz zaspokajam indywidualne fantazje garstki bogatych i brutalnych mężczyzn, dzierżących w rękę władzę.

Podtrzymywanie tych nowych iluzji było dość kosztowne, a cena ewentualnej porażki byłaby bardziej bolesna i dokuczliwa niż głód. Mimo to obecne życie Katia uważała za znacznie lepsze od poprzedniego. Zawodowe prostytutki mają o wiele większe poczucie realizmu niż zawodowe aktorki.

Sama Katia nie uprawiała nierządu. Nie musiała patrzeć w oczy mężczyzny i mówić mu, że jest najwspanialszym przedstawicielem swego gatunku, wpychając jednocześnie do torebki otrzymaną zapłatę. Zresztą konieczność oszukiwania nie przeszkadzały jej ani trochę, natomiast utrata władzy bardzo. A niewielka doza szacunku, jaką mężczyzna żywił dla słabszej płci, zniknęła bezpowrotnie w momencie, gdy kobieta rozłożyła dla niego nogi.

Zwłaszcza gdy w grę wchodził klient Harmonii.

Życie nauczyło ją jednej prostej prawdy. Takiej mianowicie, że mężczyzna wyżej sobie ceni kobietę, której nie miał, od tej, którą już posiadał. Rosjanka utrzymywała zatem swoją atrakcyjność i kontrolę nad

bywalcami Harmonii, trzymając ich na dystans. I niczym siedemnastowieczna francuska gospodyni salonu literackiego osiągnęła tą pośrednią drogą władzę i wpływy.

Tylko, że to mi nie wystarcza, pomyślała chłodno. Odwróciła się i ruszyła przez dziedziniec, w kierunku głównego pawilonu. Chciała znaczyć jeszcze więcej, a wiele zależało od tej małej bużonarodzeniowej farsy, którą zamierzała odegrać teraz, w październiku.

Ledwie dotknęła stopą marmurów przed głównym wejściem, a już czarny odzwierny w kostiumie elfa otworzył podwójne drzwi, żeby wpuścić ją do środka.

Tuż za progiem owionęła ją fala chłodnego powietrza. Okiennice były szczelnie zamknięte, więc wewnątrz tonęło w mroku.

Boston, odpowiedzialny za całą służbę domową, powitał swoją pracodawczynię szerokim uśmiechem, ukazując nieskazitelnie białe zęby.

_ Podkreć klimatyzację - zarządziła. - Potem dołóż do ognia. Ten pokój ma wyglądać tak, jakby wokół panowała zima.

Boston skinął głową z posępną miną:

- Tak, proszę pani.

Mówił powoli, od niechcienia, z karaibskim akcentem, ale dyrygował lokajami z efektywnością rzadko na Arubie spotykaną.

Katia wskazała połyskliwe pasma, opadające kaskadami z jednej ze ścian.

- A te girlandy? - zapytała. - Jaka tradycję reprezentują?

_ Amerykańską - bez namysłu odparł Boston. - Specjalnie zamówiłem to w Chicago, Caryco.

W stosunkach z Katią zachowywał się w miarę swobodnie. Jako jedyny spośród pracowników Harmonii ośmielał się posługiwać nadanym jej przydomkiem. Jednak robił to tylko wtedy, gdy pewien był dobrego nastroju swej chlebodawczyni.

_ Ozdoby muszą być odpowiednio dobrane - przypomniała mu. - Tradycja Bożego Narodzenia jest ogromnie skomplikowana, a tutaj wszystko ma wyglądać autentycznie.

- Mucha nie siada - zapewnił ją Boston. - Ja też umiem stwarzać iluzje.

- Oczywiście, że tak - potwierdziła niecierpliwie. - W przeciwnym razie nie tolerowałabym twojego zadowolenia z siebie.

Szybko podeszła do kominka. Sprawdziła rząd czerwonych flanelowych pończoch ogromnych rozmiarów, które równym rzędem zwisały z gzymsu wykonanego z wiśniowego drewna w siedemnastowiecznej Anglii.

- Znakomicie - mruknęła.

Boston kiwnął tylko głową. Nie bardzo uśmiechało mu się wbijanie gwoździ w cenny zabytek, ale Katia się uparła.

Teraz mierzyła wzrokiem zawity haft, zdobiący wszystkie dwanaście pończoch.

- Imiona ~ powiedziała.

- Dwukrotnie sprawdziłem pisownię.

- Okropne zawracanie głowy, tyle kultur, tak wielu mężczyzn, których dumę może urazić byle co... j

- Z tego właśnie słynie nasz ośrodek.

Katia przystanąła przy pończosze, na której widniało chińskie imię napisane stylizowanymi rzymskimi literami.

- Pisownię trzykrotnie sprawdzałem u dyrektora Shanghai Trading Bank w Oranjestad - uprzedził Boston wątpliwości szefowej. - To dialekt mandaryński.

- Czyżby Tony Liu nie był Kantonczykiem? - spytała ostro.

- Mówi językiem literackim. Nie mógłby robić tego, co robi, gdyby używał narzecza z jakiejś zapadłej prowincji. - A ty używasz.

- Władam wieloma dialektami i językami, w tym - oksfordzkim angielskim. Dlatego właśnie mnie zatrudniłaś, Caryco.

- Owszem.

Uśmiechając się lekko, ruszyła dalej. W myśli odnotowała jednak, aby jeszcze raz sprawdzić przeszłość Bostona.

Inteligentny sekretarz za bardzo przypóinina oswojonego wilka, stwierdziła w duchu. Wygodny i użyteczny, ale tylko do czasu, bo prędzej czy później musi zdradzić swego pana.

Jej uwagę przykuła sześciometrowa lśniąca choinka ustawiona wewnątrz domu.

Ozdoby na drzewku stanowiły mieszankę wielokulturową. Wśród gałęzi rozwieszono rosyjskie ikony, kolumbijskie *pen as*, włoskie świece i chińskie ideogramy elegancko wymalowane na papierze ryżowym. Ogromna, starannie zaprojektowana część jadalna czekała na pierwszych gości po drugiej stronie pokoju, jak najdalej od zupełnie zbytecznego ognia. Stoły ugięły się od świątecznych dań z dwunastu krajów. Wszystko zaplanowano tak, by zasugerować biesiadnikom, że to czas Bożego Narodzenia, a nie ostatni tydzień przed Halloweenem.

Bar zaopatrzone sownie w świąteczne gatunki whisky oraz innych trunków, a także w ciemne, aromatyczne piwo meksykańskie, produkowane z myślą o bogatych jeleniach przyjeżdżających na Arubę z Włoch, Francji czy Rosji.

Upewniwszy się, że wszystko zostało zorganizowane jak należy, Katia skierowała uwagę na dziewczęta zgromadzone przed zastawionymi stołami.

Czternaście pięknych młodych kobiet dla dwunastu gości. Dwie dodatkowe dziewczyny przeznaczone były dla Kolumbijczyka, Josego Gabriela de la Peny, oraz Salvatore'a Spagnoliniego, nadzorującego interesy chicagowskiej mafii w Las Vegas.

Obaj panowie toczyli ze sobą w Harmonii zacieklą, bezpardonową rywalizację. W pierwszym rzędzie dotyczyła ona terenu sypialni. Gdyby jeden z nich doszedł do wniosku, że jedna panienka mu nie wystarczy, drugi automatycznie też zwiększyłby swoje żądania.

Co za głupota, pomyślała Katia. Spagnolini jest pijusem, który wysiada, zanim przeleci jedną dziewczynę, więc co tu gadać o dwóch.

Świetnie się orientowała w seksualnych upodobaniach i słabych punktach każdego ze swoich gości. Nie bez powodu oglądała taśmy nagrane za pomocą kamer ukrytych za sufitowymi lustrami we wszystkich "pałacach".

Zamontowano je rzekomo po to, by szefowa mogła się upewnić, czy dziewczyny zarabiające dwadzieścia pięć tysięcy dolarów tygodniowo naprawdę zasługują, - na swoją pensję. W rzeczywistości jednak nagrane taśmy stanowiły dla Katii cenne źródło wiedzy.

Piękne dziwki można znaleźć wszędzie, natomiast zdobycie dokładnych informacji jest niezmiernie trudnym zadaniem.

Rozpoczęła szczegółowy przegląd dziewczyn. Na pierwszy ogień poszła Magda, wysoka, smukła modelka z Mexico City. Uśmiechnęła się słodko, ukazując pieprzyk, który ostatnio kazała sobie wytatuować w kąciку chirurgicznie uformowanych ust. Katia usłyszała kiedyś, że Giovanni Scarfo, sycylijski wysłannik, oferował swego czasu milion dolarów Cindy Crawford za wspólnie spędzoną noc i spotkał się z odmową. Magda, z jej nowym pieprzykiem i ustami, powinna być odpowiednim substytutem.

- Bardzo ładnie - kiwnęła głową szefowa.

- *Gracias*.

Katia poddała beznamiętnym oględzinom makijaż Meksykanki, jej biust powiększony do sporych rozmiarów oraz wieczorową suknię sięgającą ud. Rzuciła się w oczy, że dziewczyna nie ma pod spodem bielizny.

- Tylko pamiętaj, żebyś siedząc, trzymała kolana razem - napomniała zwięźle Rosjanka.

- Przez całą noc? - zapytała Magda, szeroko otwierając oczy.

- Oczywiście, że nie. Ale nie możesz rozpraszać uwagi wszystkich obecnych w pokoju mężczyzn.

Zostałaś wybrana specjalnie dla signora Scarfo.

Katia podniosła głos, tak żeby wszystkie dziewczyny mogły ją słyszeć.

- Niektórzy z naszych gości mogą zechcieć w pierwszej kolejności zająć się interesami. Nie zaczynajcie więc pracy zbyt wcześnie. Możecie ich tylko trochę podrażnić. Czekać na mój sygnał, po rozdaniu prezentów.

- A już myślałam, że to my jesteśmy prezentami - powiedziała Galina Tierieszkowa, eteryczna blondynka z Kaukazu.

Była żeńską połową szóstej w światowym rankingu pary sportowej w łyżwiarstwie figurowym, dopóki jej partner nie umarł na AIDS. Teraz opiekowała się nią Katia, mając zamiar włączyć dziewczynę w szereg stałego personelu Harmonii.

Szefowa uśmiechnęła się blade.

- Nie jesteście żadnymi prezentami. Zostałyście tu zaproszone nie po to, żeby się bawić, ale żeby pracować. Radzę wam o tym nie zapominać. Nigdy.

Mówiąc to, podeszła do jednej z Azjatek, wicemiss Tajlandii. Niedawny zabieg chirurgiczny nadał oczom dziewczyny migdałowy kształt.

Po drobiazgowej inspekcji Rosjanka skinieniem głowy wyraziła aprobatę:

- Pierwszorzędna robota. - Przeniosła wzrok na Bostona. - Zanotuj gdzieś nazwisko tego chirurga - poleciła.

- Tak, proszę pani.

- Uwaga, dziewczęta - odezwała się głośno Katia. - Przypominam o zasadach obowiązujących w mojej posiadłości. Nie jesteście zwykłymi prostytutkami. Żadnej z was nie wolno przyjmować od naszych gości napiwków. Pieniądze dostajecie wyłącznie ode mnie, a myślę, że jesteście sowicie wynagradzane. HoBy Trent, zmysłowa blondynka z Los Angeles, którą przeznaczono dla Tony'ego Liu, wymamrotała coś, poprawiając przyciasny biustonosz na okazałych rozmiarów piersiach.

- O co chodzi, Holly?

Dziewczyna skrzywiła się. Była niezadowolona, że przeznaczono ją dla chińskiego gangstera. .

- Chcę dostać pieniądze najpóźniej o ósmej rano - oświadczyła. Będę również potrzebowała odrzutowca. Czekam ciężki weekend w Newport.

- Czyżbyś musiała sobie dorabiać? - weszła jej w słowo Tawni Lee, Amerykanka azjatyckiego pochodzenia o nieskazitelnej twarzy chińskiej lalki.

HoBy zmierzyła koleżankę spojrzeniem, po czym potrząsnęła głową. - Nic egzotycznego, niestety - stwierdziła rzeczowo. - Ci kalifornijscy chłopcy od handlu nieruchomościami. Najbardziej na świecie lubią duże cyce.

- Cyce? Co ty powiesz? - spytała Shari Cyrus z przekąsem. - A ja myślałam, że młode jędrne dupy są bardziej w ich guście.

Shari pochodziła z Teksasu, miała słodką twarz, wąską talię, szczupłe biodra i piersi, które sterczały pod bluzką z czystego jedwabiu na przekór prawu powszechnego ciężenia. Wyraźnie zarysowane brodawki sutkowe sugerowały, że dziewczyna jest pobudzona lub zmarznięta. Katia jednak wiedziała, że to rezultat mistrzowsko przeprowadzonej operacji plastycznej.

- Przestańcie sobie tak wulgarnie dogryzać - wtrąciła. - Pamiętajcie o swoim wykszoleniu.

Shari Cyrus roześmiała się głośno.

- Nie jestem pewna, przez jakie szkolenie wy wszyscy przechodzicie tam, w Rosji - wycodziła - ale tu, w Ameryce, dziewczyna uczy się po prostu rozkładać nogi i pozwalać mężczyźnie na to, co przychodzi mu w sposób naturalny, że się tak wyrażę.

- Mężczyzna może być święcie przekonany, że robi to, co przychodzi mu w sposób naturalny - chłodno skwitowała szefowa - ale cała sztuka tkwi w tym, co bynajmniej nie przychodzi samo z siebie.

- He?

- Moim zadaniem jest rozpaść każdego obecnego w tym pokoju faceta tak, by mnie zapragnął - oświadczyła Katia energicznie. - A zadaniem każdej z was jest doprowadzić do tego, by wasz partner zadowolili się czymś mniejszym.

W pokoju dał się słyszeć cichy szepot zaskoczenia. Po chwili dziewczyny wybuchnęły śmiechem. Twarz Shari powoli się rozjaśniła. .

- Muszę to sobie zapamiętać - oświadczyła. - Przyda mi się, gdy już będę na swoim.

Katia uśmiechnęła się słodko.

- Byle nie na Arubie - zaznaczyła.

- Jasne, że nie - zapewniła ją Shari.

Dziewczyna mówiła szczerze. Szybko się zorientowała, że spośród wszystkich osób, które można było spotkać w Harmonii, Rosjanka należy do najbardziej niebezpiecznych.

- I ostatnia rzecz - kontynuowała szefowa. - Doszły mnie słuchy, że kilka z was przyleciało na wyspę wcześniej i wykręciło kilka nume~ rów ... czy użyłam właściwego terminu? ... w Aruba Hilton Casino. Niektóre z dziewczyn zerknęły kątem oka na bujne kształty rudowłosej Irlandki zwanej Imeldą, która utrzymywała apartament zarówno w Paryżu, jak i w Londynie.

- To musi się skończyć - oznajmiła Katia stanowczo. - Wasi dzisiejsi partnerzy należą do wąskiej grupy najbardziej liczących się na świecie mężczyzn.

- Jakoś nigdy nie widziałam ich w "Timesie" - mruknęła Imelda.

- W gazetach pojawiają się tylko politycy i ludzie robiący karierę towarzyską - odparła Rosjanka. - Mężczyźni, o których mówię, są zbyt bogaci i mają zbyt wielką władzę, by pozwolić sobie na tego rodzaju prasową reklamę.

- I co w związku z tym? - spytała Imelda, wzruszając ramionami.

- Jest więc absolutnie niedopuszczalne, by choć jeden z nich natknął się w moim domu na kobietę, którą kilka nocy wcześniej poderwał w kasynie.

- Żaden z nich nigdy wcześniej tu nie był - zaprotestowała Imelda. - Sprawdziłam to. Nie jestem całkiem pozbawiona rozumu.

- Żaden z naszych "przyjezdnych" klientów nie był w mojej posiadłości - stwierdziła Katia wyraźnie - ale dziś wieczór towarzyszyć im będzie kilku miejscowych dygnitarzy. Jeden z nich stoi na czele lokalnego

oddziału banku Leumi, inny jest regionalnym przedstawicielem banku Seven Oaks z siedzibą w Londynie.
- Bankierzy? A ja myślałam, że to jest przyjęcie dla międzynarodowych, eee ... - Imelda urwała, szukając jakiegoś neutralnego określenia. - Biznesmanów, chyba można ich tak nazwać.

- To z powodu bankierów Harmonia powstała na Arubie - szepnęła jej Shari. - Karaibskie wody w cudowny sposób zmywają krew ze złota.

- Naprawdę? - dopytywała się Irlandka. Jej ton zachęcał do dalszych wyjaśnień, lecz Katia ucięła wszelkie dyskusje.

_ Przeszłość naszych gości nie jest naszym zmartwieniem - oświadczyła chłodno. - Zadbajcie tylko o to, by się dobrze bawili.

Mówiąc to, odnotowała w myślach, że trzeba skreślić Imeldę z listy pracownic ośrodka. Albo dziewczyna była ogromnie naiwna, albo weszła w poszukiwaniu informacji.

Każda z tych ewentualności stanowiła zagrożenie.

Zwłaszcza teraz, gdy tak wiele zależało od starannie przez nią, Katię, opracowanej „jedwabnej” strategii.

Ilja, gdzie jesteś? - myślała niecierpliwie. Czyżbyś jeszcze tego nie miał?

Nie było odpowiedzi. I nie będzie, póki Ilja Kasatonm się nie odezwie.

O ile się odezwie.

Z pewnością to zrobi, powiedziała sobie Katia stanowczo. Musi.

Nawet cień niepokoju nie odbił się na jej twarzy, kiedy kontynuowała przegląd dziewczyn, poprawiając to i owo. Właśnie kończyła, gdy Boston uczynił nieznaczny ruch, by zwrócić na siebie jej uwagę.

- Limuzyny skrzyły właśnie na podjazd - poinformował.

_ Na miejsca, dziewczęta - zarządziła Katia, głośno klaszcząc w ręce. - Zaczyna się przedstawienie.

5

Jako pierwsza zajechała przed rezydencję biała limuzyna ogromnych rozmiarów. Zawodowy szofer z widoczną wprawą zatrzymał wóz tak,

by drzwiczki pasażera znalazły się dokładnie na wprost wejścia do budynku. _

Nim lokaj zdążył do nich podejść, z samochodu wysiadł gruby, lecz muskularny Latynos z wystającym brzuchem, odziany w ciemnobrązowy jedwabny garnitur. Mimo włączonej w limuzynie klimatyzacji jego biała jedwabna koszula była mokra od potu, a ciemną grubo ciosaną twarz pokrywały kropelki wilgoci.

Na przemian, po angielsku i po hiszpańsku, przeklinał pogodę i swoje otoczenie tak wulgarnie, że nawet dziewczyna uliczna z kilkuletnim stażem cofnęła się w popłochu.

Katia uśmiechnęła się szeroko, aby ukryć niesmak.

Próbowała trochę wychować tych wszystkich niewykształconych kryminalistów i rozmaitych zbirów, wpoić im odrobinę dobrych manier, niezbędnych w cywilizowanym świecie. Ale Jose Gabriel de la Pena okazał się oporny na wszelkie nauki. Jego zachowanie w pełni odpowiadało temu, czego można oczekiwać po człowieku trudniącym się niegdyś kradzieżą nagrobków, usuwaniem inskrypcji i odsprzedawaniem ich klientom dotkniętym świeżą żalobą.

- Bardzo mi przykro, Jose, że ta podróż okazała się trudna i nieprzyjemna - powitała go Katia.

- *Hijo de la chingada* - stanowiło jedyną odpowiedź de la Peny. Delikatnie musnęła palcami jego ramię.

Uśmiechając się z oddaniem, typowym dla matek lub kochanek, wygładziła fałdy jedwabnej marynarki na wystającym brzuchu. Jej ręka zabłądziła w pobliże krocza mężczyzny, ale go nie dotknęła.

- Wejdz, *mi corazon*, w środku jest znacznie chłodniej. Reszta gości będzie tu lada chwila.

- Niech poczekają. Najpierw chcę drinka. Dwa drinki.

Rosjanka zerknęła na kilka luksusowych samochodów, z których w cieniu palm wysypywali się kolejni goście. Dziewczyny zbite w gromadkę, niczym barwnie upierzone sokoły, szykowały się do skoku na 'ofiary upatrzoną wśród doprowadzających się do porządku mężczyzn.

- Są tutaj Amerykanie? - spytał de la Pena.

Katia spojrzała na niego spod umiejętnie przyciemnionych rzęs. Facet był nastrojony niezwykle wojowniczo.

- Są - odparła i poprowadziła go do rezydencji. - Co się stało, *mi corazon*?

- Muszę poświęcić trochę czasu tej świni, Spagnoliniemu - wymruczał de la Pena. - Forsa za towar miała dzisiaj wpłynąć do naszych ludzi w Nowym Jorku, ale jej nie ma.

Drepczący ją niepokój wzmógł się, ale na zewnątrz pozostała całkowicie opanowana. Podejrzewała, iż pieniądze stanowią tylko kolejny pretekst w konflikcie między Kolumbijczykiem a amerykańskim mafioso.

- Czy chodzi o dużą sumę? - spytała spokojnie.

Pomimo otyłości i krępej budowy ciała de la Pena wzruszył ramionami z prawdziwie latynoską gracją.

- Półtora miliona - odparł.

- Amerykańskich?

- Tym razem, dla odmiany, kanadyjskich.

Kobieta zamruczała uspokajająco. Nawet kilka milionów dolarów kanadyjskich to za mało, aby awantury zakłóciły jej starannie obmyślane przyjęcie.

- Suma wcale nie jest tu ważna - rzucił de la Pena. - Dostanę tę forszę albo obetnę palantowi jaja. Jeszcze zrozumie, że nikt mi bezkarnie nie będzie podskakiwał.

Katia ponownie zamruczała kojąco i tym razem w jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju podziwu.

Odzwierny otworzył przed nimi na oścież wielkie przeszklone drzwi rezydencji. Pani domu położyła dłoń na ramieniu swego gościa.

- Oczywiście, że nikomu nie uda się ciebie zastraszyć - stwierdziła z przekonaniem.

Gangster tylko chrząknął.

- Ale nie będziesz się tutaj kłócił z panem Spagnolini, prawda? kontynuowała łagodnie. - Obchodzimy specjalną uroczystość.

- On mi jeszcze zapłaci.

- Oczywiście, że tak. Ale to nie jest odpowiednie miejsce ani czas, by mu o tym przypominać.

Znajdujemy się w posiadłości Harmonia, *mi corazon*. To nie Bronx czy Bogota.

De la Pena znowu chrząknął i pozwolił się zaprowadzić do dobrze zaopatrzonego baru w głównym budynku.

Barman był już uprzedzony o nadejściu Kolumbijczyka. Dwa kryształowe kieliszki pełne taniej, nierozcieńczonej południowoamerykańskiej wódki aguadiante stały gotowe do natychmiastowego spożycia.

Tuż obok czekała na klienta otwarta butelka.

De la Pena opróżnił pierwszy kieliszek, niecierpliwie odstawił go na ladę z wiśniowego drewna i sięgnął po następną porcję trunku. Niewiele brakowało, by drugą kolejkę wypił równie zachłannie, ale zreflektował się.

Wiedział, że zbyt dużo alkoholu wypitego zbyt szybko działa na mózg otepiająco.

A nie warto było robić z siebie dumnia u boku pięknej, nietykanej Katii Pilenkowej.

- Są jakieś wieści od Japończyka? - spytał. - Czy Kodzimura będzie tutaj? Albo ten oszust Iszida?

Katia z wdziękiem potrząsnęła głową, starając się olśnić Kolumbijczyka pięknem swych błyszczących włosów. Obmyślała jednocześnie odpowiedź. Zarówno Kodzimura, jak i Iszida stali na czele potężnych japońskich organizacji typu mafijnego, zwanych jakuzami, i odgrywali istotną rolę w planach Rosjanki.

Może nawet ważniejszą niż sam de la Pena.

- Panowie Kodzimura i Iszida byli tu w zeszłym tygodniu - powiadomiła go obojętnym tonem.

Kolumbijczyk powoli sączył ognisty trunek ze swego kieliszka.

- Razem? - zapytał.

- Owszem. Obaj świetnie się bawili, chociaż podejrzewam, że pan Iszida stracił całkiem dużą kwotę w tutejszych kasynach.

- Jak zwykle. Ostatnio bardziej interesuje go hazard niż interesy. Idę o zakład, że Kodzimurajuż wkrótce przestrzeli mu dodatkową dziurę w tyłku.

- Też tak myślę. W każdym razie jakuzza stanie się częścią Harmonii. Ponadto, co dla Katii było znacznie ważniejsze, ten "mariaż" cementował jej osobiste relacje z najbardziej wpływowym człowiekiem Japonii, Jukio Kojamą, powszechnie szanowanym łącznikiem między organizacjami przestępczymi a niezmiernymi bogactwami kraju Kwitnącej Wiśni. Z Kojamą u boku Katia uzyskałaby to, czego tak usilnie od dawna szukała: niezwykle chłonny rynek zbytu dla wyrobów artystycznych i rzemieślniczych, które jej wspólnicy całymi pociągami dostarczali z Rosji, ograbiając swój kraj z resztek po Związku Radzieckim.

De la Pena jednym haustem dopił wódkę i z hałasem postawił kieliszek na barze, dając tym bez słowa do zrozumienia, że życzy sobie następną kolejkę.

Barman ukradkiem zerknął na szefową.

Katia pokręciła przecząco głową ruchem tak nieznacznym, że towarzyszący jej mężczyzna niczego nie zauważył. Aguadiante stanowiła trunek najbardziej popularny wśród kolumbijskich *cartelistas*. De la Pena mógł wypić ogromne jej ilości, zanim sprawność jego umysłu uległaby przytępieniu.

Ale alkohol potęgował jego drażliwość do tego stopnia, że gangster przestawał działać racjonalnie. Katia nie miała najmniejszej ochoty widzieć Harmonii zdewastowanej w wyniku bezsensownej bójki.

- Dlatego zaprosiłam pana Kodzimurę i jego patrona na naszą małą konferencję w Seattle w przyszłym miesiącu - powiedziała. - Podejrzewam, że pan Iszida nie utrzyma się do tego czasu.

- *Verdad?*

- Tak przypuszczam - odparła Rosjanka z cichą satysfakcją. - Wygląda na to, że złapał bolesną i ogólnie wyniszczającą chorobę weneryczną. Nawet przy intensywnym leczeniu ...

Powodowana delikatnością pozwoliła, by reszta zdania pozostała niewypowiedziana.

De la Pena roześmiał się chrapliwie. Niecierpliwym gestem wskazał butelkę kręcącemu się niespokojnie barmanowi.

- Przypomnij mi, żebym kazał przebadać moje dziwki, gdy następnym razem będę nocował w twojej

posiadłości - oświadczył.

- Nigdy bym ci czegoś podobnego nie zrobiła, *mi corazon* - wymruczała Katia.

Zanim barman zdążył napełnić kieliszek de la Pena, pani domu wyjęła mu butelkę z rąk.

- Wszystko wskazuje na to - powiedziała - że obecnie pan Kodzimura jest najbardziej wpływowym przywódcą jakuzi na terenie Japonn.

Kolumbijczyk obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem czarnych oczu. - Patron pana Kodzimury wydaje się chętny do rozważenia kwestii swego ewentualnego udziału w Harmonii, zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami - dodała.

Własnoręcznie nalała pół kieliszka przezroczystego, oleistego płynu. - Wydaje się chętny? - spytał de la Pena. Wlał sobie *aguadiente* prosto w gardło i gwałtownym ruchem wyciągnął kieliszek, domagając się więcej. Jednocześnie dorzucił pogardliwie: - Czy już na nic lepszego cię nie stać, moja słodka madonno? Katia uśmiechnęła się niczym zawodowa aktorka, którą ostatecznie była.

- Wciągnięcie w to Kodzimury jest sprawą życia i śmierci - warknął grubas. - Bez niego nasz towar nie przedostanie się na Wschód. Zgoda, którą ty nazywasz Harmonią, nie będzie warta nawet funta kłaków, jeżeli połowa świata pozostanie dla nas niedostępna.

Uśmiech nie tylko nie zniknął z twarzy Rosjanki, ale jeszcze pogłębił się i zmiękł, wyrażając szczery zachwyt kobiety dla nadzwyczajnej inteligencji towarzyszącego jej mężczyzny.

- Masz oczywiście rację - zagruchała. - Wiele na ten temat myślałam. Kolumbijczyk prychnął. Wprawdzie nie bardzo mu odpowiadały myślące kobiety, ale z drugiej strony, z zadowoleniem witał ogromny wzrost wartości swego osobistego majątku. Był to rezultat przyłączenia się do Harmonii.

- Patron pana Kodzimury - ciągnęła - niczym się od nas nie różni.

Chce tylko uzyskać pewność, że dostrzegamy, jak wysoką pozycję zajmuje w swoim świecie, i że w związku z tym zostanie należycie docemony w naszym.

Z rosnącą niecierpliwością de la Pena wyciągnął kieliszek, czekając, aż pani domu napełni go palącym trunkiem.

Katia przytknęła szyjkę butelki do krawędzi kieliszka. Zręcznie wlała do środka ledwie kilka kropli. Potem zdecydowanym ruchem odstawiła butelkę na ladę baru, dając do zrozumienia, że jej gość na razie więcej nie dostanie.

- Możesz być pewien, że pan Kodzimura jest jednocześnie zainteresowany i chętny - oświadczyła. - Jego patron znacznie myśleć podobnie, z chwilą gdy nasz skromny prezent trafi do jego rąk.

Mówiąc to, pieściła dłoń Kolumbijczyka tak długo, póki ten nie wypuścił kieliszka z ręki.

- Trzeba nam teraz tylko chuchać na niego i dmuchać, żeby ... jak to mówią Amerykanie? .. żeby nie zwinął żagli - kontynuowała.

- Może zamiast tego nadmuchać mu fiuta.

- Niegrzeczny chłopiec - powiedziała Katia, ale jej uśmiech mówił zupełnie co innego.

De la Pena zapomniał o drinku, którego jeszcze nie dostał. Ilekroć przyjeżdżał do ośrodka, nabierał pewności, że coraz mu bliżej do wciśnięcia się między długie nogi Katii.

I za każdym razem opuszczał Harmonię całkowicie zaspokojony. Ale nie przez jasnowłosą madonnę.

- Odkryłam - ciągnęła Rosjanka - że patron pana Kodzimury ma tylko jedną pasję, która go naprawdę porusza. Pan Kojama jest mianowicie nienasyconym kolekcjonerem.

- Czego? Opuszków małych palców?

Śmiejąc się głośno, de la Pena spojrzął na własne ręce. Jak na człowieka, który poderznął więcej gardeł niż przypadająca na niego średnia statystyczna, z dziwną niechęcią i obrzydzeniem odnosił się do starej żołnierskiej tradycji jakuzi, która nakazywała obciąć sobie opuszek małego palca na znak lojalności wobec przywódcy.

- Jedwabiu - zwięźle poinformowała go Katia. - Pan Kojama dorobił się najbogatszej na świecie kolekcji, zarówno materiałów zabytkowych, jak i współczesnych.

- Jedwabiu? Jeśli o mnie chodzi, to pierdź przez jedwab. - De la Pena roześmiał się. - Mogę mu dorzucić moje gacie do kompletu.

Prychnęła z dezaprobatą.

- Jedwab i stal to główne symbole kultury japońskiej - powiedziała. Mężczyzna wzruszył ramionami.

Wykazywa) całkowity brak zainteresowania

jakąkolwiek kulturą, nie wyłączając własnej.

- Pan Kojama ma istną obsesję na punkcie zabytkowych jedwabów ciągnęła Rosjanka. - W swojej kolekcji posiada eksponaty, które pochodzą sprzed narodzin Chrystusa.

- No to zasypmy go jedwabiem - zaproponował Kolumbijczyk.

- Myślę, że potrzeba tu czegoś subtelniejszego - odparła sucho.

Znudzony tą rozmową, de la Pena zerknął na młode uśmiechnięte prostytutki, które z wprawą kołysały biodrami, nęcąc wyznaczonych klientów.

- Szkoda, że go tu dzisiaj nie ma - oświadczył .. - Moglibyśmy zawinąć *las putas* w jedwabne rajstopy i ofiarować mu taki świąteczny prezent na pamiątkę.

- Kobiet mu nie brakuje. A w prezencie powinniśmy mu ofiarować raczej coś wyjątkowego.

- To znaczy co?

- Jedwab, oczywiście.

Katia uśmiechnęła się i wsunęła mężczyźnie dłoń pod ramię.

- Chodź - zagruchała - nadszedł czas rozdawania prezentów.

Gdy wkroczyła do salonu, pobiegły ku niej wszystkie męskie spojrzenia. Na ten milczący sygnał dziewczyny przeprosiły swoich rozmówców i podeszły do długiego gzymsu nad kominkiem. Jedna po drugiej, w ustalonej z góry kolejności, wracały do swoich partnerów, niosąc haftowane bożonarodzeniowe pończochy. Wydawało się, że pani domu wszystkich swoich gości obserwuje jednakowo uważnie. W rzeczywistości jednak jej zainteresowanie skupiło się przede wszystkim na Tonym Liu. Siedział na krześle w samym rogu pomieszczenia. Trzymał się na uboczu, nie nawiązał kontaktu nawet z przydzieloną sobie dziewczyną. Uśmiechał się, kiwał głową i dłubiąc w zębach wykałaczką z kości słoniowej, przypatrywał się, jak inni goście Harmonii przyjmują swoje prezenty. Co parę minut hałaśliwie zasysał powietrze przez szparę między przednimi zębami. Siedział przy tym całkiem spokojnie, jakby oczekiwanie, aż ktoś do niego zagada, było dlań źródłem nie lada przyjemności.

Katia jednak orientowała się, że taki sposób bycia Chińczyka jest przedstawieniem wyreżyserowanym równie starannie, co jej własne zachowanie.

Wśród gości Harmonii Liu wyróżniał się zdecydowanie. Pozostali uczestnicy przyjęcia byli krzepkimi mężczyznami, przystojnymi, a w każdym razie zwracającymi na siebie uwagę. I potężnie umięśnionymi, chociaż w niektórych przypadkach łączyło się to z przedwczesną otyłością. Drobnobudowany, kryjący się w cieniu Liu wydawał się w tym towarzystwie dziwnie nie na miejscu. Jakby nie zasługiwał na uczestnictwo w tak świetnym zgromadzeniu.

Tego rodzaju złudne wrażenie było efektem ciężkiej pracy chińskiego gangstera.

Katia potrafił, a jednak przejrzeć tę maskę i dostrzec rzeczywistość. Starannie odrobiła lekcję, i to zarówno w odniesieniu do małego człowieczka z wielkimi zębami, jak i kultury, w której się wychował. Wiedziała, że w oczach Azjaty publicznie dłubanie w zębach jest zamierzonym afrontem, czymś w rodzaju psucia powietrza przy świątecznym stole.

Liu z upodobaniem obrażał ludzi z Zachodu, ale robił to w taki sposób, by nie mogli się zorientować, że są obrażani. Pozwalało mu to natrzęsać się z nich w dwójnasób.

Była to rozrywka bardzo azjatycka, podobnie jak *tai chi chuarl*, pełna wdzięku, powolna gimnastyka. Na pozór zupełnie nieszkodliwa, a jednak można z jej pomocą przetrącić człowiekowi kark.

Katia doceniała korzyści płynące z pozornej słabpści i świadomości, że jest się zagrożeniem dla innych. W jej oczach ta subtelna, na wskroś kobieca taktyka była znacznie skuteczniejsza od męskiego wymachiwania bronią.

Była to jedna z przyczyn, dla których Rosjanka długo i ciężko pracowała nad tym, by móc zaliczyć Liu w poczet członków Harmonii. Na dobrą sprawę, całą tę bożonarodzeniową szopkę zorganizowano właśnie dla niego. Przyjęcie dostarczyło Katii pretekstu do wręczenia mu prezentu, i to takiego, który zrobi na nim wrażenie, nie raniąc przy tym męskiej próżności pozostałych uczestników zabawy.

W Tonym Liu kryło się o wiele więcej, niż Chińczyk kiedykolwiek pokazał światu. Stał na czele tongu "Ziemia i Niebo", mafiopodobnej organizacji o ponadtrzechsetletniej tradycji. Jej głównym zadaniem było przetrzymywanie na Zachód tysięcy zamorskich Chińczyków.

Niezależnie od tego, zebrał dość znaczny majątek, pracując w całkowicie legalnym rodzinnym interesie: produkcji oraz przetwarzania jarzyn i owoców popularnych w skupiskach chińskich rozrzuconych po całym świecie. Połączenie własnych technicznych możliwości z legalną siecią dystrybucyjną obejmującą cały glob stanowiło łakomy kąsek dla każdej przestępczej organizacji w rodzaju Harmonii.

To, z czego Rosjanka jasno zdawała sobie sprawę, a szefowie Harmonii nie, to okoliczność, że dzięki przymierzemu z Liu Harmonia stałaby się pomostem między szeroko rozprzestrzenioną siecią gangów chińskich

a przestępczym światem Zachodu.

Tong "Ziemia i Niebo" zajmował się dostawami kosztownych samochodów dla przedstawicieli władz w Chinach kontynentalnych. Sekretarze partyjni w ChRL zapraszali Liu do swoich biur i domów. Nawet szefowie tajnych organizacji przestępczych Hongkongu odnosili się do niego z respektem, gdyż zdążyli się przekonać, że Liu nie ustępuje im w przebiegłości i okrucieństwie.

Tony Liu mógł przynieść stowarzyszonym w Harmonii liderom zachodniego świata przestępczego niewyobrażalnie wielkie korzyści. Z drugiej jednak strony mógł ściągnąć na nich równie wielkie kłopoty. Na razie po sześciu miesiącach swego tymczasowego członkostwa, wciąż utrzymywał pełen uśmiechów i dłubania w zębach dystans wobec innych przedstawicieli organizacji.

Dla takiego Josego de la Peny czy Giovanniego Scarfo Tony Liu był wzbudzającym śmiech małym Azjata, który stoi na czele jakiejś niewartej wzmianki sieci kasyn i nielegalnych palami opium w chińskich dzielnicach

na całym świecie, a ponadto kontroluje handel i przetwórstwo warzyw na terenie Azji. Wszyscy mężczyźni stowarzyszeni w Harmonii postrzegali Liu jako prostego wyrobnika, płaczącego się pod nogami im - półbogom przestępczego świata.

Katia z trudem powstrzymała śmiech na myśl o scenie, która miała niebawem nastąpić. Gdy nadeszła kolej Tony'ego Liu, pani domu podeszła do kominka, wzięła bożonarodzeniową pończochę i osobiście wręczyła ją Chińczykowi.

- Panie Liu - powiedziała serdecznie, kłaniając się przy tym z wdziękiem - ten skromny upominek jest wyrazem uznania, jakim darzy pana Harmonia.

Chińczyk był mocno zażenowany. Nieśmiały uśmiech, element świadomej gry, zamarł na jego okrągłej, bezwłosej twarzy. Z dziwną niechęcią przyjął pończochę.

Przed chwilą miał okazję zaobserwować, co dostali inni. Giovanniemu Scarfo, Włochowi ubierającemu się bardzo konwencjonalnie, przypadła w udziale spinka do krawata z trzykaratowym, błękitnym brylantem

bez najmniejszej skazy, którą obdarowany z miejsca wpiął w swój fantazyjnie zawiązany krawat.

De la Pena, zapalony wędkarz, radośnie pobrzękiwał kluczykami do nowej łodzi motorowej, przeznaczonej do żeglugi przybrzeżnej, która czekała nań zacumowana w prywatnej przystani ośrodka.

Sallie Spags, chicagowski gangster, ledwie mógł 6derwać oczy od swojej podobizny. Przytłaczający wielkością i jaskrawością barw portret, namalowany woleju na podstawie kilku fotografii, zamówiony został przez Katię. Reszta prezentów była równie kosztowna i dobrana z ogromną starannością, tak by sprawić obdarowanym możliwie dużo przyjemności.

Chociaż Liu nigdy nie lekceważył odurzającej mocy pochlebstw, samego siebie postrzegał zawsze jako osobę w pełni uodpornioną na tego rodzaju infekcje.

Ale Katia Pilenkowa była białą kobietą niezwyklej urody, a on nie do końca potrafił się oprzeć jej uśmiechowi. Zdołał jednak zachować dość rozsądku i przytomności umysłu, by z pewną rezerwą zastanawiać się teraz, co też Rosjanka wybrała na prezent dla niego.

Pończocha wydawała się prawie pusta. Dopiero na samym końcu ogromnej stopy z czerwonej flaneli ukryty był płaski pakiet niewielkich rozmiarów. Mały człowieczek sięgnął w głąb i zaczął szukać po omacku,

wreszcie odwrócił pończochę do góry nogami i wytrząsnął podarunek na kolana.

Pacuzskę owinięto bardzo ładnym granatowo-złotym cieniutkim papierem i przewiązано aksamitką w podobnym kolorze. Barwy tego opakowania wydawały się Chińczykowi znajome, ale nie potrafił ich skojarzyć z niczym konkretnym.

Nagle przyszło olśnienie. .

Niemal wbrew jego woli palce zaczęły pieścić granatową aksamitkę.

Na ułamek sekundy podniósł wzrok na Katię. Jego spojrzenie zdradziło, że jest zaskoczony.

Oczy Rosjanki lśniły zachwytem, jak przystało u kobiety, która czerpie przyjemność ze sprawiania radości swemu panu i władcy.

Jakby broniąc się jeszcze przed całkowitą kapitulacją, drobny człowieczek odwrócił pakiet i uważnie obejrzał go z drugiej strony. Wreszcie odsunął aksamitkę szczupłymi zręcznymi palcami i złamał pieczęć na opakowaniu. Granatowa barwa papieru idealnie odpowiadała granatowi okładki niewielkiej książeczki, która stanowiła zawartość pakietu.

Odgadł, co to za książeczka, zanim jeszcze ją odwrócił i ujrzał złote, drukowane litery na froncie: Paszport, Kanada.

W milczeniu obwiodł palcami wytłoczone na okładce godło państwowe. Otworzył dokument i wbił wzrok w oficjalnie ostemplowane prostokątne zdjęcie umieszczone na wewnętrznej stronie okładki. Pod fotografią widniało puste miejsce przeznaczone na podpis właściciela paszportu.

Na kilka sekund z jego twarzy zniknął uśmiech. Z całej postawy przebijał otwarty sceptycyzm. Z pozorną obojętnością zlustrował okładkę paszportu i sposób złączenia kartek. Szczególnie starannie obejrzał stronę ze zdjęciem. Przekartkował książeczkę, uważnie oglądając puste miejsca przeznaczone na WIZY.

- Znakomite fałszerstwo - oświadczył wreszcie.

- Władze Kanady nie zwykły wystawiać fałszywych dokumentów - spokojnie odparła Katia. Liu zerknął na nią, usiłując wytropić dowcip, który musiał przecież kryć się w jej słowach. Posłała mu uśmiech pełen czaru i wdzięku.

- Ten dokument jest równie autentyczny, co uznanie, jakie Harmonia żywi dla pana. Wszystkie pańskie podania zostały załatwione pozytywnie.

Odpowiednie dokumenty wystawiono w Ottawie. - Wyjęła wieczne pióro firmy Mont Blanc i wręczyła je swemu gościowi.

_ Proszę podpisać we właściwym miejscu. Staje się pan właśnie obywatelem Kanady - oświadczyła.

- Kanady?

Sallie Spagnolini zaśmiał się i podszedł bliżej, żeby spojrzeć na okładkę paszportu.

_ Gdybym wiedział, że potrzebne panu nowe obywatelstwo - powiedział - pogadałbym z którymś z moich senatorów. Mógłby pan nawet zostać rdzennym Amerykaninem.

Spojrzenie, jakie Katia posłała mówiącemu, było bardzo chłodne.

_ Amerykańskie obywatelstwo nie jest już tym, czym było kiedyś zaznaczyła. - Paszport kanadyjski zapewnia tyle samo korzyści, a jednocześnie pozwala uniknąć wielu problemów.

_ Co fakt, to fakt, Sallie - wtrącił się de la Pena. - Amerykanin na pokładzie porwanego samolotu jest zakładnikiem, natomiast Kanadyjczyk staje się wysłannikiem dobrej woli.

Zanim złośliwa uwaga zdążyła wywołać jakieś kłopoty, Katia dyskretnie dała sygnał. Nastąpiła eksplozja westchnień, zebranych owionęła chmura perfum i każda z dziewczyn zajęła się przydzielonym jej klientem.

Mężczyźni Harmonii pozostawili panią domu i jej skromnego gościa samym sobie.

Chociaż wyraz twarzy Chińczyka pozornie nie uległ zmianie, po raz pierwszy jego inteligencja stała się widoczna pod maską, jaką na co dzień nosił.

- Jak to zostało załatwione? - spytał spokojnie.

_ Jak to się stało, że pańskie ostatnie podanie zostało załatwione pozytywnie, skoro wszystkie wcześniejsze odrzucano? - uściśliła Rosjanka.

- Tak.

~ Nieważne. - Mmm?

_ Liczy się tylko to - łagodnie wyjaśniła kobieta - że będzie pan mógł przejść obok oficerów imigracyjnych i inspektorów celnych na lotnisku w Vancouver, gdy tylko przyjdzie panu ochota zobaczyć malutkiego wnuczka w Burnaby.

N a wzmiankę o wnuku czarne oczy Chińczyka rozszerzyły się nieznacznie.

_ Będzie pan mógł również przekroczyć granicę ze Stanami Zjednoczonymi - dodała Katia. - Obywatele kanadyjscy mają do tego pełne prawo.

- Pod warunkiem, że nie nazywają się Tony Liu - zauważył cicho.

- Nie będzie żadnych kłopotów - zapewniła. - Jeden z naszych przyjaciół usunął pańskie nazwisko z czarnej listy zamieszczonej w systemie komputerowym Urzędu Imigracyjnego Stanów Zjednoczonych. W oczach mężczyzny pojawił się błysk, który równie dobrze mógł być wyrazem niechęci, jak i szacunku.

- Skąd się pani dowiedziała o moim wnuku? - spytał.

Z całą świadomością Katia pozwoliła, by z jej twarzy na krótką chwilę zniknął czarujący uśmiech. Wyraz bezlitosnej, wyrachowanej inteligencji, maskowany zazwyczaj niecodzienną urodą, uświadomił rozmówcy, kto tak naprawdę kieruje Harmonią.

- Dbanie o wygodę wszystkich przyjaciół zaproszonych do mojego domu sprawia mi ogromną przyjemność - powiedziała cicho.

- I przykładanie się także do ich niewygód? - podsunął miękko Chińczyk.

- Tylko wówczas, gdy jest to konieczne, panie Liu. Inteligentny człowiek nigdy nie będzie musiał martwić się o niewygody.

Znowu się uśmiechała. Znowu była czarująca. Wabiła swymi egzotycznymi oczami, zielonymi i okrągłymi, oraz włosami w kolorze zachodzącego słońca.

Liu nie mógł uwierzyć, że to ta sama kobieta, w której spojrzeniu jeszcze sekundę temu można było dostrzec inteligencję istoty ludzkiej i emocje zmił.

- Ma pani głowę na karku, prawda? - powiedział w zamyśleniu.

- Kobiety zawsze muszą mieć głowę na karku, ponieważ mężczyźni są silniejsi.

Liu ponownie spojrzął na paszport. Zastanawiał się, w jaki sposób Katia dowiedziała się o jego dotychczasowych, niezbyt fortunnych próbach zdobycia takiego dokumentu. Próbował również odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak niewłaściwie ją dotąd oceniał.

I wreszcie: dlaczego Katia Pilenkova wybrała akurat dzisiejszy wieczór, aby się przed nim odsłonić.

- Najmocniej przepraszam - odezwał się Boston.

Katia rzuciła mu spojrzenie, mówiące wyraźnie, że byłoby dla niego lepiej, gdyby okazało się, że przeszkadza im z istotnego powodu.

- Telefon - oświadczył. .

Dziwny, pełen wyczekiwania grymas przemknął przez jej twarz. Tylko jedna jedyna osoba zasługiwała na tyle uwagi.

Ilja, myślała gorączkowo. Nareszcie!

6

Katia pospieszyła z pawilonu do swego biura. Znajdowało się ono w najdalszym skrzydle, które tylko weranda łączyła z głównym bu

dynkiem posiadłości. Mieściły się tam również jej osobiste apartamenty. Podczas pracy czy zabawiania swego niebezpiecznego kochanka chciała mieć możliwość odseparowania się od podwładnych i dysponowania

pełnią intymności.

Najej prywatnym telefonie mrugało światełko. Drżącymi z podniecenia dłońmi zdjęła z prawego ucha koleczyk zawierający rosyjski brylant i kolumbijski szmaragd i położyła klejnot na stole koło komputera.

Zupełnie automatycznie włączyła magnetofon. Gdy podniosła słuchawkę, usłyszała jednostajny szum, który sygnalizował połączenie na

bardzo dużą odległość.

Bez powodzenia próbowała opanować rozgorączkowanie.

_ Ilja? - spytała ochrypłym głosem - Czy to ty? Wymówione imię pomknęło po kablu na drugi koniec świata.

_ Żadnych imion, kobieto - chłodno przestrzegł ją Ilja Kasatonin. Komputery Stanów Zjednoczonych są na stałym nasłuchu.

Zaczerwieniła się. Wstyd, że trzeba jej o tym przypominać. Świetnie się orientowała, że międzynarodowe połączenia telefoniczne podlegały ustawicznej kontroli amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a przypuszczalnie również władz lokalnych.

_ Przepraszam - powiedziała spokojnie. - Już nigdy o tym nie zapomnę.

W głębi duszy Katia była bardzo podobna do Tony'ego Liu. Starannie ukrywała swoje prawdziwe emocje. Dla wszystkich mężczyzn, z wyjątkiem jednego, żywiła przede wszystkim pogardę.

A ten jedyny znajdował się właśnie na drugim końcu linii telefonicznej.

_ No, już tlobrze - odparł Kasatonin. - Wcale nie twierdzę, że moja kobieta jest idiotką.

_ Głupieję tylko na twoim punkcie, kochany. Martwiłam się. Myślę, że tego się po mnie spodziewasz, prawda? Gdzie teraz jesteś?

Tubalny męski śmiech niósł się przez kontynenty.

_ Dokładnie tam, gdzie powinienem być.

- A więc masz ... to?

Znowu roześmiał się z całego serca.

- Oczywiście.

- Oczywiście, oczywiście - przedrzeźniała go. - To dlaczego, kochanie, tak późno dzwonisz?

- Były drobne trudności.

Katii zabrakło tchu.

- Czy wszystko u ciebie w porządku? - zaczęła się dopytywać.

- A czy mój głos sugeruje coś innego?

Westchnęła.

- Nie, martwię się po prostu. Co nie wyszło?

- Podejrzewam naszych starych przyjaciół z kalifornijskich pustyń.

- Matko Święta! - mruknęła. - Wszystko, tylko nie to.

- Osiągnąłem cel, a reszta nie ma znaczenia.

- Czy nic ci już nie grozi?

- Chwilowo jeszcze muszę uważać, ale spodziewam się, że wkrótce wszystkie kłopoty będę miał za sobą.

- Wracasz normalną trasą? - spytała.

- Nie. Trzeba będzie improwizować. Wygląda na to, że lokalne władze trochę się zdenerwowały.

Serce podeszło Katii do gardła. Ilja zwykle okazywał tym więcej chłodu, im większe było zagrożenie.

- Czy jest coś, co ja mogę zrobić?

- Nic, chyba że dysponujesz wycarterowanym odrzutowcem gotowym do natychmiastowego startu.

- Nie ma sprawy.
- I postarasz się o jakieś bezpieczne miejsce do lądowania po tej stronie.
Zapadło milczenie. Oboje wiedzieli, że nie ma żadnych szans na znalezienie w Tybecie bezpiecznego miejsca do lądowania, poza tymi, które zostały zatwierdzone przez władze Chińskiej Republiki Ludowej.
- Więc co zamierzasz zrobić? - spytała po chwili Katia.
- Znajdę jakiś wolniejszy środek lokomocji.
Zmarszczyła brwi. Miała nadzieję na rychłe spotkanie. Chciała go ujrzeć jak najprędzej.
- Zorganizuj kogoś, kto mógłby się ze mną spotkać w uzgodnionym miejscu, jeszcze zanim odjadę - polecił Kasatonin. - Najlepiej kogoś z bardzo dobrymi kontaktami lokalnymi. Czy to się da zrobić?
Uśmiechnęła się z ulgą.
- Owszem - odparła. - Prawdę powiedziawszy, znam człowieka, który sobie z tym świetnie poradzi. Jest akurat pod ręką.
- Dobrze. Zatem liczę na ciebie.
- A ja na ciebie, kochany - odrzekła cicho.
- Co powiedziałaś? Nie słyszę. Jakiś szum w telefonie.
- Nic, nic.
- To dobrze. Bo już myślałem, że zebrało ci się na czułości. - Kasatonin roześmiał się szorstko. - No i co, moja mała? Bardzo za mną tęsknisz?
- Tak, bardzo, usycham z tęsknoty - odrzekła.
- No i co ja mam z tobą zrobić, głupi dzieciaku?
Katia przymknęła oczy.
- Przychodzi mi do głowy parę rzeczy, skarbie - wymruczała.
- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś dała sobie ze mną spokój? - zachnął się. - W końcu podczas którejś z moich przygód powinien mi się noga.
- Nie!
- Ależ tak. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. I co się wtedy z tobą stanie, głuptasie?
- Nie wiem - szepnęła.
W jej głosie zabrzmiała rozpacz, która dla członków Harmonii byłaby prawdziwym zaskoczeniem. W zbroi, którą nosiła Rosjanka, był tylko jeden słaby punkt: zwał się Ilja Kasatonin.
- Ostrzegałem cię - powiedział mężczyzna opryskliwie, dając do zrozumienia, iż ma już tego dosyć. - Wykorzystujemy się nawzajem i dobrze na tym wychodzimy. Ale przestań mi gadać o miłości. To dobre dla wieśniaków i głupców.
Przez chwilę milczała. W panującej ciszy szum w słuchawce przybrał na sile.
- Muszę iść - oświadczył wreszcie Kasatonin.
Katia przełknęła z trudem. Gdy przemówiła, jej głos odzyskał już zwykłą dźwięczność.
- Kiedy przybędziesz do miasta, o którym swego czasu mówiliśmy? - spytała.
- Za cztery dni.
- Przypuszczam, że będzie to ktoś wysłany przez Kanadyjczyka imieniem Tony.
- Tony, zrozumiałem.
Rozległ się lekki stuk. Ilja przerwał połączenie.
Długo stała bez ruchu, wpatrując się w martwą słuchawkę w swojej dłoni. Po chwili odwiesiła ją i głęboko odetchnęła, chcąc odzyskać panowanie nad sobą.
Ciężko jej było uwierzyć, że potrzebuje go tak bardzo. Z trudem to akceptowała i starała się zawczasu zminimalizować szkody.
W tej chwili musiała ukryć swą bardzo osobistą, bardzo kobiecą reakcję na wieść o niebezpieczeństwie zagrażającym kochankowi, który wciąż wymykał się jej z rąk. Gdyby członkowie Harmonii dowiedzieli się, jak silnych doświadczała emocji, wykorzystaliby tę wiedzę przeciwko niej.
Podobnie jak ona sama wykorzystywała słabości poszczególnych mężczyzn.
Zatrzymała i przewinęła taśmę. Miała zamiar przesłuchać jajeszcze wiele razy, ale dopiero wtedy, gdy będzie pewna, że wszyscy niebezpieczni mężczyźni Harmonii są całkowicie pochłonięci zabawą z dziewczętami.
U siadła przy stole, na którym stał komputer. Był jak zwykle włączony i gotowy do pracy. Lekko uderzyła palcami w klawiaturę i wywołała specjalny zaszyfowany plik.
Używała go do rejestracji rozmów telefonicznych oraz wszelkich pomysłów, jakie przychodziły jej do głowy w chwilach, gdy na umysł nie działał jeszcze alkohol. Bo lodowata wódka stała się Katii równie niezbędna do życia, co obecność Kasatonina. Z tą tylko różnicą, że nad tym pierwszym pragnieniem była w stanie

zapanować, nad drugim - nie.

Pisała przez minutę, notując treść 'rozmowy telefonicznej za pomocą wymyślonych przez siebie skrótów. Automatycznie przekopiowała zapis do archiwum na twardym dysku.

Gdy wzięła z biurka swój brylantowo-szmaragdowy kolczyk i ponownie wpięła go w ucho, palce już jej nie drżały.

Chłodnym okiem przyjrzała się sobie w lustrze na drzwiach. Zobaczyła piękną, tajemniczą kobietę w szarozielonej sukni. Opanowaną i gotową stawić czoło wrogiemu światu.

Gdy wróciła do głównego pawilonu, stwierdziła, że przyjęcie sprowadzone zostało do rywalizacji w picciu i pokazu zawodowych umiejętności zgromadzonych tam prostytutek. Uświadamiając sobie, jak niewiele ma czasu, podeszła do Tony'ego Liu.

Drobny Azjata siedział samotnie przed ogniem buzującym w kamiennym kominku. Zamyślony wpatrywał się w granatowy paszport, który wciąż trzymał w dłoni.

Podniósł na nią wzrok. Jego spojrzenie wyrażało szacunek.

- Mądra z pani kobieta - powiedział. - Aż do dzisiaj nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Ma pan na myśli ten podarunek? To drobiazg.

- Tu nie chodzi o sam podarunek.

Czekała, mając nadzieję, że nie uraziła niechący dumnego, zamkniętego w sobie Chińczyka.

- Większość kobiet - oświadczył Liu spokojnie - potrafi za pomocą skurczów pochwy zapanować nad jednym mężczyzną. Ale Katia Pilenkowa panuje nad tuzinem mężczyzn, i to bez uciekania się do pomocy pochwy.

Mówił to bez niechęci, jakby cała sprawa autentycznie go bawiła.

I może oczywiście tak było.

Katia czekała, czując, że Chińczyk podjął właśnie jakąś decyzję. Jeszcze przez chwilę uderzał paszportem w swoją otwartą dłoń. Następnie

wsunął otrzymany prezent do wewnętrznej kieszeni marynarki. _ Myślałem, że nie poddam się już żadnej słabości - przyznał. Ajednak, ku memu zdziwieniu, w pewnym stopniu udało się pani zdobyć kontrolę również nade mną.

Rosjanka pełnym wdzięku zachowaniem skwitowała swoje zwycięstwo. Uśmiechała się do Liu tak, jakby naprawdę był niezwykle cennym przyjacielem.

I w tym momencie faktycznie był. Chociażby ze względu na Kasatonina.

_ Może lepiej mówić o przyjaźni, a nie o kontroli - zaproponowała łagodnie.

Uśmiech Chińczyka był pełen ironii.

_ Wychodzi na to - mruknął - że pani kontrola nade mną sięga korzeniami czasów, gdy okazałem słabość w ramionach kobiety. Gdyby nie ta słabość, nigdy nie miałbym syna, on z kolei też nie miałby syna, wobec czego ja nie stałbym się pani dłużnikiem.

_ Zadłużenie jest obustronne - odparła. - Dzięki temu istnieje Harmonia.

Chińczyk umilkł.

W tym momencie Katia odczuła niemal ulgę, że jest zmuszona prosić ostrożnego i powściągliwego Azjatę o przysługę. Jak wszyscy mężczyźni Harmonii, a ściślej biorąc, wszyscy mężczyźni na świecie, Tony Liu był bardzo dumny. Jako wróg byłby ogromnie niebezpieczny.

A ona potrzebowała niebezpiecznego przyjaciela.

_ Panie Liu - rzekła przyciszonym głosem. - Podejrzewam, że jest pan spokrewniony z przywódcą Karenów, człowiekiem zwanym Królem

Maku. .

W ułamku sekundy zniknął gdzieś inteligentny, skłonny do refleksji mężczyzna i Liu przybrał ponownie swoją zwykłą maskę. Najego twarzy rozlał się szeroki, trochę służalczy uśmiech.

- Jesteśmy spokrewnieni, to prawda.

_ Jest takie małe miasteczko zwane Baoszan, położone nad górnym biegiem Lancang-ciang, czyli rzeki Mekong, mniej więcej w miejscu, gdzie opuszcza ona Himalaje - powiedziała Katia. - Przypuszczam, że obszar ten jest kontrolowany przez pańskich krewnych.

Liu kiwnął głową.

- Karenowie panują nad całym tym terenem, mimo że leży on w granicach komunistycznych Chin.

- Czy Karenowie mogliby przewieźć cenną przesyłkę z tego miasta do, powiedzmy, Hongkongu?

Ponownie skinął głową.

- Pod warunkiem, że paczka jest naprawdę mała i dostatecznie cenna, żeby warto było ryzykować.

- Jest mała, a dla Harmonii cenniejsza niż całe nieoczyszczone opium, jakie Karenowie są w stanie wyprodukować w ciągu roku. W ciągu dziesięciu lat.

W oczach Chińczyka przez moment błysnęło zainteresowanie. - Da się zrobić - powiedział.

- Zajmie się pan tym osobiście?

Przytaknął.

- Dla dobra Harmonii - oznajmiła Rosjanka - chciałabym, ~eby za cztery dni znalazł się w Baoszan ktoś, komu pan ufa. Niech skontaktuje się z mężczyzną nazwiskiem Ilja Kasatonin.

- Kasatonin? Pani rodak? Jak on wygląda? To pytanie Katia pominęła milczeniem.

- Będzie tam jedynym Rosjaninem - powiedziała. - Przekaze niewielką, ale niezmiernie ważną paczuszkę, którą trzeba będzie przeszmugłować do Hongkongu.

- Nie widzę żadnych przeszkód.

- A czy byłoby możliwe przesłanie potem tej paczuski do miasta zwanego Seattle, położonego w północno-zachodniej części Stanów Zjednoczonych?

- Tak. Ile mam na to czasu?

- Miesiąc.

Liu namyślał się przez chwilę.

- Za miesiąc - stwierdził - ma pani umówione spotkanie z otoczonym powszechnym szacunkiem, małowównym i pełnym rezerwy dżentelmenem z Japonii, prawda?

#,

Katia zdawała sobie sprawę, że jeśli skłamię w tej chwili, nie tylko nic nie zyska, ale może wiele stracić.

- Tak - przyznała.

- Czy z tą przesyłką trzeba się obchodzić w jakiś specjalny sposób?

- Bardzo możliwe.

- Będę musiał zadzwonić w kilka miejsc - oświaaczył.

- Domek, w którym zwykle się pan zatrzymuje, jest przygotowany. Wynajęłam kucharza z Taipei, by zaspokajał pańskie życzenia.

_ I niewątpliwie kobietę o małych stopach, pochodzącą z prowincji Fukien, prawda? - podpowiedział Liu, kłaniając się nieznacznie. - Niezależnie od blondynki o dość obfitych kształtach.

- Pańskie zadowolenie jest dla mnie przyjemnością.

_ Pani gościnność nie ma sobie równych, jak zwykle zresztą. Odchodząc do swego apartamentu, Liu ponownie się uklonił, tym razem nieco głębiej.

Katia oddała mu ukłon z iście chińską precyzją. Był akurat na tyle głęboki, żeby odwzajemnić okazany jej szacunek.

Ani mniej, ani więcej.

Następnie odwróciła się i podeszła do de la Peny, obserwującego ją z drugiego końca pokoju. Potężny Kolumbijczyk siedział rozwalony w fotelu na wprost ognia. Pieściły go dwie dziewczyny, wsłuchane w jego słowa jak w Ewangelię.

_ Przydałoby się trochę krewetek z lodu, prawda? - podsunęła pani domu.

Gangster mruknął coś niewyraźnie. Machnął ręką i dziewczyny, które go zabawiały, ruszyły w stronę bufetu. Tam miały czekać na ponowne przywołanie.

- Co ty masz za interesy z tym całym Liu? - spytał bez wstępów.

Katia wolałaby całą sprawę przemilczeć, ale de la Pena był przewodniczącym Harmonii, wybranym zgodnie z wszelkimi zasadami.

W przyszłości miało się to oczywiście zmienić.

_ Były pewne trudności z przesłaniem prezentu dla pana Kojamy początkowo wybraną drogą - poinformowała. - Pan Liu zna inną, lepszą trasę.

_ Trzeba było przyjść z tym do mnie. Załatwiłbym ci transport morski przez Tajlandię. Jeden z przywódców Triady jest mi co nieco winien.

- Pan Liu musi poczuć, że jest pełnowartościowym członkiem Harmonii.

De la Pena chrząknął bez przekonania.

_ Z tą przesyłką - zaznaczyła - trzeba się obchodzić znacznie delikatniej niż z heroiną. Pan Liu dysponuje niezbędnymi kontaktami. Bez kłopotu może dopilnować, żeby paczuska była właściwie zabezpieczona.

Imigranci, których on szmugluje na Zachód, przewożą dla niego dzieła sztuki. Kolumbijczyk wzruszył ramionami akceptując tym samym decyzję Rosjanki. Jego wzrok powędrował ku bufetowi.

Dostrzegłszy u niego oznaki podniecenia, Katia odezwała się pośpiesznie.

- Czy ten waszyngtoński prawnik nadal jest na twojej liście płac? spytała.

Mężczyzna spojrział na nią z irytacją.

- Demosthenesa rezerwuję tylko do spraw najwyższej wagi - zauważył chłodno.
- Ależ oczywiście.
- Po tej *cagada* z Bankiem Kredytowo-Handlowym waszyngtońscy prawnicy są bardzo ostrożni w doborze spraw, które podejmują się prowadzić.
- To jest naprawdę bardzo ważna sprawa.
- Znowu przekupstwo?
- Nie. Zupełnie co innego.

Kolumbijczyk uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy ostrych, krzywych zębów.

- Mój sześciolatek jest lepszym zabójcą niż ten prawnik - oświadczył.
- To nic krwawego - zapewniła go Katia ubawiona. - Po prostu trzeba ostrzec pewną grupę ludzi, którzy od jakiegoś czasu sprawiają nam zbyt dużo kłopotów.

Uwaga de la Peny ponownie skupiła się na rozmowie. - Kłopotów?

- Tak.

Uklękła tuż obok Kolumbijczyka. W ten sposób mogła z nim rozmawiać bez obawy, iż ktoś zdoła ich podsłuchać.

- Czy słyszałeś - wyszeptala z ustami tuż przy jego wilgotnych od potu włosach - o grupie prywatnych detektywów amerykańskich, którzy zwą się Risk Limited?

7

Tybet Październik

Początkowo nerwy Danielle Warren zostały poddane próbie ciszy. Miała za sobą osiemnaście godzin samotności i nasłuchiwania naj

słabszego bodaj szmeru w nieruchomym powietrzu miniaturowej kamiennej celi, głęboko w podziemiach zamku Potala.

Obecnie do szaleństwa doprowadzał ją świdrujący, ogłuszający łoskot niewyciszonego silnika, który pracował jakieś pół metra od jej głowy. A raczej doprowadziłby do szaleństwa, gdyby na to pozwoliła.

Przynajmniej nie jestem teraz sama, pocieszała się w duchu.

Z drugiej jednak strony, nie miała pewności, czy obecność towarzysza zmieniała jej sytuację na lepsze. W skrzyni z pewnością byłoby więcej miejsca bez Shane'a Crowe'a, na którym praktycznie cały czas leżała.

Jeszcze przed świtem upchnięto ich oboje w szmuglerskim schowku, usytuowanym pod przednim siedzeniem ciężarówki, przemierzającej cały kraj. Schowek ten był metalową skrzynią wielkości mniej więcej

trumny, nie przeznaczoną bynajmniej do transportu ludzi. Toteż nie było w niej żadnych wygod. Z wyjątkiem ciała Shane'a służącego Dani za materac.

Średnio miękki, jak zauważyła. Mięśnie tego faceta pod względem twardości mogły konkurować ze stalą, a w pozycji, w jakiej się znalazła, mogła ocenić i docenić każdy centymetr jego ciała.

No cóż, może nie każdy, przyznawała z ironią.

Własna pogodna akceptacja tej sytuacji budziła w niej na przemian zdumienie i przerażenie. W końcu, na skutek ciasnoty całymi godzinami pozostawała w fizycznym kontakcie z wielkim, obcym facetem.

Jeszcze wczoraj Dani nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić, że nie będzie mogła oddychać, nie dotykając piersiami przy każdym wdechu jego ciała, że każdy jego oddech będzie owiewał jej twarz. Już sama myśl o takiej niechcianej bliskości przyprawiłaby ją o dreszcze.

Z drugiej jednak strony, jeszcze wczoraj nie byłaby w stanie wyobrazić sobie wielu innych rzeczy. Na przykład mężczyzny zastrzelonego dosłownie u jej stóp.

Żyj i ucz się, powiedziała sama do siebie. Ty przynajmniej żyjesz i możesz się dalej uczyć, a dla Fenga wszystko na zawsze się skończyło.

Gdyby nie Shane, byłoby również po tobie.

Przekonanie, że zawdzięcza życie obcemu mężczyźnie, było bardzo niepokojące. Lecz jeszcze bardziej wytrącała ją z równowagi świadomość, że tak naprawdę sprawia jej przyjemność dotyk męskiego ciała i wdychanie jego zapachu.

W końcu to przyjemniejsze niż wachanie spalin, przekonywała samą siebie. Nie mówiąc o tym paskudztwie, które pali kierowca.

Potem zaciekało ją, co myśli leżący pod nią mężczyzna i jak działa na niego jej zapach.

Wszystkie te rozważania, choć niepokojące, były daleko lepsze niż ustawiczne rozpamiętywanie odczuwanego zmęczenia, mdłości czy

strachu, które maskowała wisielczym humorem i z trudem zachowywaną samokontrolą.

To jest prawdziwa przygoda, powtórzyła w duchu chyba po raz setny. Przecież dlatego właśnie zdecydowała się

na pracę w terenie. Chciała przeżywać przygody, zamiast siedzieć za biurkiem na uczelni. Tylko czy tych przygód nie zrobiło się przypadkiem za dużo? Ciężarówka podskoczyła na wyboju. Dani z całej siły uderzyła o wieko skrzyni, a potem o ciało Shane'a.

Początkowo hałas był dla niej najgorszą torturą. Po pięciu godzinach jazdy praktycznie przestała go słyszeć. Zmiana jej stosunku do Crowe'a była znacznie bardziej subtelna. Jego siła nie budziła już w dziewczynie żadnych obaw. Fakt, że uratował jej życie i najwyraźniej nie miał zamiaru wykorzystywać przymusowego kontaktu fizycznego, wzbudził w niej zaufanie.

Bez względu na to, jakie jeszcze cechy charakteru ujawni Shane Crowe, jedno było pewne: w przeciwieństwie do jej byłego męża, nie miał zwyczaju zaspokajać swoich zachcianek wbrew woli partnerki.

Samochód wjechał na długą krętą drogę prowadzącą pod górę, w głąb Himalajów. Ogłuszający hałas silnika przeszedł w delikatne mruczenie. Każdej zmianie biegów towarzyszyły jakieś zgrzyty. Wielkie kłęby spalin z układu wydechowego ciężarówki mieszały się z dymem tytoniowym wypełniającym szoferkę nad ich głowami.

Z ponurym zacięciem Dani wciągała powietrze nosem i wydychała przez zaciśnięte zęby. Walcząc z mdłościami, powtarzała sobie, że jedyną alternatywą jazdy w szmuglerskim schowku była prawdziwa trumna. Bez ciężarówki nie mieli najmniejszej szansy na wydostanie się ze zorganizowanej przez wojsko i policję obławy, która obejmowała Lhasę i spory pierścień przylegających do miasta terenów wiejskich. Mimo że Dani była w pełni świadoma sytuacji, na widok rozmiarów metalowej skrzyni w pierwszej chwili nie mogła się powstrzymać od komentarzy.

Za to Shane bez jednego słowa wspiał się po prostu do skrzyni i ułożył na plecach. Zbyt szerokie bary zmusiły go, do wsunięcia jednej ręki pod siebie.

Dani wczłogała się na niego i skuliła po jednej stronie. Chociaż było jej okropnie niewygodnie, zdawała sobie sprawę, że jego sytuacja jest znacznie gorsza.

Mimo to Shane przez wiele godzin nawet nie drgnął.

Gdyby nie czuła jego regularnego oddechu, pomyślałaby, że mężczyzna nie żyje. Oczy miał na wpół przymknięte, a ciało całkowicie zrelaksowane.

Widowała coś takiego wyłącznie wśród mnichów, którzy byli mistrzami w praktykowaniu swoistej formy medytacji, mocno zbliżonej do autohipnozy.

Ciężarówka zakołysała się gwałtownie, zawadziwszy o pobocze, po czym ponownie wróciła na drogę. Szczęknęła skrzynia biegów.

Shane rejestrował hałas i smród jako bodźce dochodzące z dużej odległości i dbał starannie, by ten dystans ani na chwilę nie uległ zmniejszeniu. Jego zmysły rejestrowały ból w lewym ramieniu, ale mózg na to nie reagował.

Prawe ramię, przygniecione ciężarem Dani, ścierpło już dawno temu.

Fizyczna niewygodność nie była w tym momencie dla niego czymś realnym, gdyż cały swój potencjał intelektualny skoncentrował na zaokrąglonych powierzchniach rygla znajdującego się na wieku skrzyni, tuż nad jego głową.

Był to jedyny obiekt, któremu pozwolił zaistnieć w swoim osobistym świecie, i badał go z niesłabnącą uwagą.

Wszystko, absolutnie wszystko było nierealne, z wyjątkiem rygla i medytującego na jego temat umysłu.

Mimo kołysania i podrzucania na wybojach, mimo ogłuszającego huku silnika i zgrzytów skrzyni biegów, mimo dławiących wyciewów i znacznie bardziej rozpraszającego kobiecego zapachu Dani, Shane kontemlował realność istnienia rygla jako jedynej rzeczy godnej uwagi.

Myślał o historii tego rodzaju zamków.

O rozmaitych technologiach, dzięki którym można było rygle produkować.

Wyobraził sobie szeregi sprytnych i pomysłowych naczelników, którzy wnieśli wkład w opracowanie konkretnych technologii.

Dobrą chwilę poświęcił nawet rozważaniom, co też by się stało, gdyby jednocześnie zniknęły ze świata wszelkie rygle.

Myślał o wszystkim, byle tylko znieczulić swój umysł na cuchnące powietrze, rozdzierający uszy hałas i zapach kobiety, której głowa spoczywała na jego ramieniu.

Przezornie wyzbywał się wszelkich myśli na temat reszty kobiecego ciała, które leżało na jego ciele w intymnej bliskości.

Odwracając głowę, mógł dostrzec cieniutką smużkę światła w szparze między kabiną a skrzynią ciężarówki z

ośmioma tonami różnorodnego ładunku.

Wiedział, że minęli już dwa wojskowe punkty kontrolne. Pierwszy z nich, na drodze do Katmandu, miał charakter

stały. Drugi natomiast, wystawiony był doraźnie, prawdopodobnie w związku z obławą.

Wszystkie te rozważania przez długi czas pomagały mu trzymać się w korbach, jednak po kilku godzinach zaczął

odczuwać coraz silniejszy wewnętrzny opór.

Początkowo robił sobie wyrzuty z powodu rozproszenia uwagi. Jestem zmęczony, usprawiedliwiał się w duchu. Zbyt zmęczony, by zapanować nad własnymi myślami, a co dopiero mówić o kierowaniu nimi tak, jak nakazuje buddyzm.

Lecz chociaż takie wyjaśnienie brzmiało całkiem sensownie, z miejsca odrzucił. Zdarzało mu się już w życiu medytować całymi godzinami, i to w warunkach znacznie większej niewygody fizycznej niż ta, jaką w tym momencie odczuwał.

To z powodu Dani, przyznał otwarcie. Czują ją na całym ciele i choć mogą zignorować jak dokuczliwą wysypkę, tylko ja wiem, ile mnie to kosztuje.

Ciało dziewczyny przestało już stawiać opór. Przedtem było sztywne i napięte, gdyż usiłowała trzymać się jak najdalej od swego "materaca" i jak najmniej o niego obijać, kiedy samochód zarzucał na wybojach. Shane mógłby ją z góry uprzedzić, że to pierwsze powodowało niepotrzebną stratę energii, a to drugie/było tak czy siak nieuniknione.

W katakumbach pod zamkiem Potala nie spędzili ze sobą ani chwili.

Shane podejrzewał, że jego obecność w zamkniętej celi stanowiłaby dla niej dodatkowe źródło stresu.

A może nie miałem racji, pomyślał. Może ona wcale nie odczuwa lęku i niechęci na mój widok.

Może to, może owo. A może świnię potrafią latać.

Wprawdzie spędził w buddyjskim klasztorze dużo czasu, nie aż tyle jednak, żeby zapomnieć, jak kobieta patrzy na mężczyznę, który ją interesuje.

Uświadomił sobie, że od samego początku, od chwili, gdy Dani dostrzegła go w hotelu w Lhasie, jej oczy wysyłały zupełnie jednoznaczne sygnały.

Lepiej się zdrzemnąć, poradziłyby mu Cassandra.

Podczas lat pracy na stanowisku ambasadora Cassandra do perfekcji doprowadziła "wymowność" swego spojrzenia. Shane, odkąd przystał do Risk Limited, nie raz i nie dwa odczuwał je na sobie.

Przy czym wcale nie chodziło mu o to, by nawiązać z nią fizyczną bliskość. Wprost przeciwnie, daleki był od" tego.

Najpierw musiałbym poradzić sobie jakoś z Gilliem, pomyślał szydlerczo, a w końcu moja mama nie wychowała syna na durnia ..

No, może ostatnio udało mi się wygłupić.

Całkiem ostatecznie, przyznał. Pewna kobieta o orzechowych oczach i słodko pachnących włosach robi, co chce, z moją zdolnością koncentracji.

Rozluźnij się, Dani, doradzał jej bezgłośnie. Żaręczam, że wyjdziemy z tego cali i zdrowi.

Może głusi, ale poza tym nietknięci.

Od chwili ich wejścia do schowka hałas wykluczał wszelką rozmowę. Gdyby nie to, wytłumaczyłby swojej towarzyszkę, że w tych warunkach klaustrofobia była zjawiskiem nie tylko normalnym, ale wręcz

nieuniknionym.

Czy widzisz tę cieniutką smugę światła? - zapytywał ją w duchu. Na zewnątrz tej skrzyni jest cały wielki świat. Już wkrótce się w tym świecie znajdziemy.

Mam nadzieję; że jesteś tak samo dzielna jak wczoraj.

Wiedział coś, z czego dziewczyna kompletnie nie zdawała sobie sprawy - najtrudniejsze odcinki drogi mieli jeszcze przed sobą.

Ciężarówka wspięła się właśnie na szczyt wzniesienia. W ułamku sekundy zapadła cisza.

Dani domyślała się, dlaczego i bynajmniej nie podniosło jej to na duchu. Wprawdzie nigdy przedtem nie towarzyszyła tybetańskim kierowcom ciężarówek, ale wiedziała o powszechnie praktykowanej przez nich metodzie zjeżdżania w dół po przerażająco stromych pochyłościach: z wyłączonym silnikiem, na hamulcach, których okładziny były równie mizerne jak powietrze na wysokości blisko pięciu tysięcy metrów.

Nagle gwałtowne usztywnienie ciała dziewczyny zburzyło resztki koncentracji Shane'a.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Były to pierwsze słowa, jakie padły między nimi od wielu godzin. - Świetnie - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Nie zabrzmiało to przekonująco.

- Zanim ramię doszczętnie mi zdrętwiało, czułem, że drżysz - powiedział.

- Nic mi nie jest - zapewniła go powtórnie. - Mam tylko nadzieję, że ta droga przez piekło jest naprawdę konieczna.

- Jest. W tej chwili w całym Tybecie aż się roi od uzbrojonych ludzi. Szukają właśnie nas. .

- Ale dlaczego? Czy ich zdaniem to my zabiliśmy Fenga?

- Mają go w nosie. Jeden zabity przemytnik więcej, jeden mniej, co za różnica. Są jednak przekonani, że to my mamy jedwab.

- Skąd wiesz?

- Mam w Lhasie dobre źródła informacji. Czy możesz na minutkę unieść głowę?

Dani spełniła jego prośbę i z całej siły wyrznęła w ostry metalowy kant. Z trudem stłumiła okrzyk bólu i irytacji.

- Przepraszam - powiedział Shane.

Nieznacznie przesunął ramię. Czucie zaczęło wracać, najpierw jako ostry ból, potem jako klucie tysięcy igieł.

- Okay - odetchnął. - Wszystko wraca do normy.

- Do normy? - jęknęła dziewczyna, lecz ponownie wsparła głowę o ramię swego towarzysza. - W jakim sensie? Co właściwie uważasz za normalne?

- Co mogę zrobić, żeby było ci choć trochę wygodniej? - spytał. Poza zniknięciem bez śladu?

Ta troska o nią była tak nieoczekiwana, że Dani roześmiała się głośno.

- Zniknięcie też by wiele nie pomogło - odparła. - Jesteś bardziej miękki niż to pudło. Zdecydowanie.

Odrobina światła przenikająca z szoferki pozwoliła jej dostrzec błysk uśmiechu na twarzy mężczyzny.

- A poza tym - dorzuciła - z nas dwojga ty masz znacznie więcej powodów do narzekania.

- Niby dlaczego?

- Bo leżysz pod spodem.

Pierś mężczyzny zadrgała w bezgłośnym śmiechu.

Dani czuła to każdą komórką swego ciała. Przez głowę przemknęło jej pytanie, czy Shane podobnie reaguje na jej ruchy. Zaniepokoiła się i spytała czym prędzej:

- Jak długo będziemy tu jeszcze zamknięci?

- Jakieś trzy godziny - odparł. - Może ...

Reszta jego słów utonęła w zgrzycie skrzyni biegów i ryku silnika. Ciężarówka zaczęła się wspinać na kolejne wzniesienie.

Dani westchnęła ciężko, przewidując, że te trzy najbliższe godziny będą się ciągnąć długo. Całe wieki.

Shane starał się ponownie skoncentrować na ryglu sterującym z wieka skrzyni tuż nad jego głową.

W ślamazarnym tempie upłynęło dwadzieścia minut.

Nagle do jego świadomości dotarło, że ciało leżącej na nim dziewczyny jest znowu sztywne i spięte.

I ponownie wokół nich zapadła cisza.

- Jeszcze trzy godziny, może cztery - rzucił Shane pospiesznie, bez żadnych wstępów.

Dani usiłowała stłumić jęk.

- Oddychaj powoli, tylko przez usta - poradził. - W ten sposób spaliny mniej ci będą dokuczać. .

Nie dodał przy tym, że jeśli skoncentruje się na oddychaniu, czas zacznie płynąć szybciej.

Posłuchała go i po kilku minutach napięcie w jej ciele ustąpiło, co Shane od razu wyczuł. Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

Powieki miała tak mocno zaciśnięte, że w kącikach oczu uwidoczniły się kurze łapki.

_ Otwórz oczy - polecił. - Znajdź sobie coś, na co mogłabyś patrzeć.

Zrobiła to bardzo niechętnie.

Wpatrywanie się w skrzynię nie działało bynajmniej uspokajająco.

Przeniosła więc spojrzenie na wymiętą koszulę khaki, jaką miał na sobie Shane. Patrzyła z tak bliskiej odległości, że obraz rozmywał się jej przed oczami.

- Myśl o tym, co widzisz - komenderował mężczyzna. - Pozwól, aby twoje ciało samo zatroszczyło się o zachowanie równowagi, umysł nie musi się tym zajmować.

- Łatwo ci mówić.

- Tylko spróbuj.

Właściwie, dlaczego nie? - zadała sobie pytanie. Może to zadziała.

Bóg świadkiem, że Shane jest całkowicie rozluźniony.

Wkładając w to odrobinę wysiłku, Dani wyobraziła sobie, że fałdki na koszuli mężczyzny w rzeczywistości są bezludnymi górami i dolinami w księżycowym krajobrazie Tybetu. A ona sama leży na latającym dywanie i patrzy z wysoka na te ogromne, niedostępne obszary.

Nagle skrzynia wydała się jej znacznie większa.

Leżąc na swym „magicznym dywanie”, zupełnie nieświadomie zaczerpnęła powietrza i rozluźniła całe ciało.

- Lepiej? - zapytał Shane.

W odpowiedzi skinęła tylko głową.

Wyczuł ten ruch. Czuł również, jak leżąca na nim kobieta coraz bardziej się odpręża.

Bardzo dobrze, pochwalił ją w duchu. Będziesz potrzebowała wszystkich sił na stawienie czoła temu, co nas jeszcze czeka.

_ A tak przy okazji, kim jesteś? - spytała Dani po jakimś czasie. - Agentem CIA:?

Shane wydał dźwięk, który można by odczytać jako śmiech.

- A więc znowu wróciliśmy do tematu, prawda?

_ Powiedziałaś, że bym znalazła sobie coś do patrzenia. Do wyboru mam ciebie albo tę skrzynię, a prawdę powiedziawszy, napatrzyłam się na nią tyle, że starczy mi do końca życia.

- A dlaczego myślisz, że jestem z CIA?

- Dużo wiesz o podziemiu i rządzących nim prawach.

- Taak?

- Tak. Żaden zwyczajny cywil nie byłby w stanie wyciągnąć mnie stamtąd żywej.

Shane nie podjął dyskusji. Aż za dobrze pamiętał wybór między mniejszym a większym złem, którego musiał wtedy dokonać.

Uratować jedwab czy uratować kobietę.

- Sama jesteś dość niezwykłą istotą.

- Pod względem głupoty? - podsunęła.

- Początkowo faktycznie tak myślałem.

- Wielkie dzięki.

- Nie ma za co. Później zmieniłem zdanie.

- A co cię do tego skłoniło? - zainteresowała się dziewczyna.

- Głupiec narobiłby wrzasku, zanim by się nam udało opuścić w tej skrzyni granice Lhasy.

- Czy to ma być komplement?

- Stwierdzam tylko fakt.

Dani tak głęboko zamyśliła się nad jego słowami, że nie zauważyła kolejnych wybojów i kołysania wozu. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że Shane nie odpowiedział na jej pierwsze pytanie.

- A zatem, jesteś z CIA? - drążyła z uporem.

- Nie. Jestem cywilem. Pracuję dla organizacji zwanej Risk Limited.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

- Po to przecież płacimy, i to niemało, speccom od reklamy - odparł Shane - żeby nie mówiono o nas w serwisach informacyjnych. - Czy główna siedziba Risk Limited mieści się w Azji?

- W Stanach Zjednoczonych.

- A przypadkiem nie za bardzo oddaliłeś się od domu?

- Mamy ... zawarliśmy umowę z buddyjską Błękitną Sektą. Byliśmy ich doradcami i mieliśmy zapewnić im bezpieczeństwo. Przepuszczalnie zerwą teraz ten kontrakt.

- A zatem CIA, tak jak mówiłam - odparła Dani sceptycznie. Shane nabrał powietrza w płuca i po)Volu je wypuścił, starając się opanować w ten sposób uczucie irytacji.

- A co za różnica? - zapytał na koniec.

- Myślę, że żadna. Przynajmniej nie podajesz się za kogoś, kim nie jesteś, jak to robią niektórzy z nas. - Was?

- Różne ciemne typy wykorzystujące działalność badawczą jako przykrywkę dla innych spraw.

- Straszne - skomentował krótko Shane.

_ A żebyś wiedział - rozzłościła się Dani. - Archeolodzy mają i tak cholemie dużo kłopotów w krajach trzeciego świata. Świetnie się obejdują bez dodatkowych komplikacji w postaci szpiegów czy agentów działających

pod pozorem prowadzenia prac wykopaliskowych.

Shane coś powiedział, lecz jego słowa utonęły w huku silnika, który raptem zaczął pracować o wiele głośniejsze.

Dani na moment zeszytywniała, a potem znowu się rozluźniła. Shane'a zaciekawilo, na czym tym razem postanowiła się skupić.

Odwrocił lekko głowę, by wysledzić, dokąd kieruje się jej spojrzenie.

Oczy miała otwarte, ale przysłonięte długimi, gęstymi rzęsami.

Nie ma na nich tuszu, zauważył mimochodem. Jej twarz jest czysta i promienna. Patrząc pod tym kątem, może zobaczyć wyłącznie swoją koszulę. No i co ona tam widzi? Pot? Brud?

W końcu to wszystko jedno. Grunt, że to coś pomaga się jej odprężyć. Utkwił ponownie wzrok w ryglu nad głową, ale już nie potrafił skupić

na nim uwagi. Przeniósł spojrzenie na rzęsy Dani.

Czarne motyle, zawyrokował. Przysiadły na chwilę dla odpoczynku. A potem myśli mężczyzny powędrowały ku starej azjatyckiej zagadce: Ostatniej nocy śniłem o tym, że jestem motylem. Po obudzeniu przekonałem się, że jestem mężczyzną.

A może jestem motylem śniącym, iż jest mężczyzną?

Zagadka ta okazała się dla Shane'a o wiele ciekawsza niż zardzewiały rygiel. Z drugiej zaś strony nie odbierała mu spokoju ucha w takim stopniu, jak rzęsy Dani.

Przez długi czas każde z nich przebywało samotnie w swoim prywatnym świecie, głuche i ślepe na hałas, smród czy niewygody jazdy w ciasnym metalowym pudle.

Znienacka warkot silnika gwałtownie zmienił tonację. Kierowca trzykrotnie ostro nacisnął pedał hamulca.

Dani zwróciła się twarzą w stronę Shane'a i zaczęła coś mówić, lecz on ruchem głowy nakazał jej milczenie.

Kierowca zaczął zmieniać biegi i hamować z zupełnie niepotrzebną gwałtownością.

- Żołnierze - szepnął Shane.

Dani zamarła.

Ciężarówka stanęła. Silnik pracował na jałowym biegu.

Przez jego szum do uszu dziewczyny dochodziły szorstkie rozkazy wydawane po chińsku i odpowiedzi mamrotane w języku tybetańskim.

Cieniutka smużka światła w skrzyni raptownie zgasła. Przesłoniła ją żołnierska pierś obleczona w ciemnozielony mundur.

Czerwona gwiazda świadczyła o przynależności do sił zbrojnych Chińskiej Republiki Ludowej.

Och, Boże, pomyślała Dani. A więc dopadli nas.

8

Zupełnie odruchowo Dani wstrzymała oddech i skuliła się. Wyczuła przy tym napięcie leżącego pod nią mężczyzny. Dziwna rzecz, ale

dodało jej to otuchy. Shane był tak potężny, opanowany, tak pewny siebie, że zdawał się nie podlegać żadnym stresom i lękom. Świadomość, że jest inaczej zmniejszyła jej poczucie osamotnienia.

Nie opanowała języka na tyle, by móc śledzić rozmowę między żołnierzami a kierowcą ciężarówki.

W przeciwieństwie do niej Shaile posługiwał się chińskim całkiem biegle. Z napiętą uwagą przysłuchiwał się każdemu słowu, chcąc należycie ocenić sytuację.

Kierowca poczęstował wszystkich papierosami. Podczas oficjalnych blokad drogowych oczekiwano od szoferów raczej drobnych "grzeczności" aniżeli łapówek.

Tybetańczyk wysiadł z ciężarówki. Zapalił wraz z żołnierzami. Stali i rozmawiali, nie zwracając uwagi na ostry wiatr. W miarę jak pogawędka się przeciągała - wymieniano uwagi dotyczące mroźnej pogody,

gorących

trunków, upartych szefów i chętnych kobiet - Shane odetchnął z ulgą i rozluźnił się.

Żołnierze nie szukali wcale pary uciekających Amerykanów. Byli najzwyczajniej w świecie znudzeni sterczeniem na samotnym posterunku, zagubionym wysoko w bocznym paśmie Himalajów.

Wreszcie silnik zwiększył obroty i hałas się wzmógł. Strzelając z gaźnika i zostawiając za sobą chmurę spalin, ciężarówka minęła punkt kontrolny. Po kilku wstrząsach silnik przeszedł na jałowy bieg i wóz zaczął swobodnie staczać się w dół zbocza.

Napięcie całkowicie opuściło Shane'a. Wprawdzie w żadnym razie nie można było powiedzieć, że to, co najgorsze, mają już za sobą, ale z pewnością zbliżyli się o krok do celu.

- No i proszę - odezwała się Dani. - Doszło do tego, że brakuje mi tych spalin.

- Chyba żartujesz?

- Ani trochę. Teraz zrobiło mi się zimno.

- Rozepnij kurtkę - polecił mężczyzna rzeczowo. - Mam w sobie dostatecznie dużo ciepła, żeby ogrzać nas oboje.

Podniosła gwałtownie głowę, chcąc zobaczyć twarz swego towarzysza i znowu uderzyła o ściankę skrzyni.

Zgrzytnęły biegi. Silnik z hałasem wrócił do życia i huczał coraz głośniejsze, w miarę jak samochód przyspieszał na szutrowej drodze.

Rozmowa stała się niemożliwa.

Ciężarówka wspinała się w górę, coraz to wyżej, aż wreszcie nawet spaliny nie były w stanie zapewnić Dani ciepła.

"Rozepnij kurtkę. Mam w sobie dostatecznie dużo ciepła, żeby ogrzać nas oboje".

Rozpinanie okrycia w ciasnej skrzyni wymagało nie lada gimnastyki, ale wreszcie zdołała tego dokonać.

Od razu przekonała się, że nie rzucił słów na wiatr. Faktycznie był w stanie ogrzać ich oboje.

Z głębokim westchnieniem ulgi Dani pozwoliła swemu umysłowi ponownie wznieść się ponad szczyty i doliny na ciepłym magicznym dywanie.

Shane czuł teraz na szyi jej oddech, a wszystkie jego zmysły rejestrowały pełną życia miękkość dziewczęcego ciała. I w duchu przeklinał własną głupotę, w wyniku której zaproponował dziewczynie rozpięcie kurtki.

Jestem motylem śniącym o tym, że jest mężczyzną, zdecydował ostatecznie.

W zaistniałej sytuacji nie miał wielkiego wyboru. Skoro jest motylem, Dani musi być kwiatem, w przeciwnym bowiem razie zgryotłaby go na placek.

Nie ma to jak logika, powiedział sobie Shane. Jest kluczem do zachowania samokontroli. Motyl i kwiat.

Delikatne, zmysłowe, rytmiczne zagłębianie się między jedwabiste płatki, dopóki nie popłynie ciepły nektar

...

W jednej chwili Shane ponownie przerzucił się na rozważania o zardzewiałym ryglu.

Nie miał pojęcia, ile upłynęło czasu, nim ucichł hałas wypełniający metalową skrzynię. Mrugnął kilka razy, wracając do rzeczywistości i by określić porę dnia, przyjrzał się smudze światła wpadającego do środka.

Wczesne popołudnie.

Kierowca skręcił w boczną drogę odchodzącą od głównego traktu. Wyłączył silnik, wysiadł i wysikał się tuż za ciężarówką. Następnie stanął przy masce i zaczął ciskać gromy na silnik, używając słów, jakich mnich w żadnym razie znać nie powinien.

- Przygotuj się - szepnął Shane.

- Na co?

- Możesz chodzić czy mam cię nieść?

- Chyba już raz rozmawialiśmy na ten temat?

- Owszem. Odpowiedz.

- Mogę chodzić.

- W razie czego poniosę cię.

Dani wcale w to nie wątpiła. Głos mężczyzny brzmiał bezbarwnie i w równym stopniu pozbawiony był wszelkich akcentów osobistych, co metalowa trumna wokół nich.

Rozległy się ostre zgrzytliwe dźwięki, gdy kierowca podnosił klapę silnika. Wrócił do kabiny, mamrocząc coś w góralskim dialekcie o narzędziach i o przewrotnym demonie-jaku siedzącym w metalu.

A następnie wsunął głowę w głąb szoferki i cichym głosem polecił związłe po angielsku:

- Szybko. Stanęliśmy obok niedużej stupy. Z tyłu za nią leży wasz plecak. Kiedy podniosę fotel, zabierajcie swój ekwipunek i w nogi.

- Nie ma tu nikogo?

- Jakież dwie mile za nami wystawiono wojskowy posterunek.

- Cholera!

- Odciągnę ich, ale musicie się pospieszyć!

Kiedy szofer otworzył skrzynię, jaskrawe popołudniowe słońce niemal oślepiło Dani. Zamrugła gwałtownie. Pojękując, próbowała podnieść zeszywniałe ciało do pozycji pionowej. Kierowca zawrócił ponownie

ku przodowi ciężarówki. W ręku niósł klucz.

Shane objął ją ramieniem i pomógł usiąść. Krzyknęła zaskoczona. - Czy możesz się ruszać? - spytał.

Zamiast odpowiedzieć, zaczęła po prostu gramolić się ze skrzyni. Odetchnęła głęboko. Ostre lodowate powietrze wypełniło jej płuca. Kawalek dalej, po prawej stronie dostrzegła małą stupę, kamienny relikwiarz. Wystrzępione przez wiatr jedwabne chorągiewki modlitewne powiewały swobodnie, śląc do górskich bogów bezgłośnie nieustające błagania o opiekę.

- Przejdź przez drzwiczki od strony pasażera i schowaj się za stupą - polecił Shane. - Koniecznie się pochyl. W powietrzu takim jak to widoczność sięga nawet setek mil.

Tłumiąc jęk bólu wywołanego skurczem zeszywniałych mięśni, Dani wydostała się jakoś ze szmuglerskiego schowka i przeczłogała przez

siedzenie dla pasażera ciężarówki. Ledwie jednak dotknęła stopami gruntu, kolana się pod nią ugięły.

Uklękła na szosie. Usiłowała opanować zawroty głowy, zapinając jednocześnie kurtkę.

Zanim zdążyła się uporać z pierwszym guzikiem, Shane wylądował tuż obok niej. Wielka dłoń zamknęła się na ramieniu dziewczyny i przywróciła

jej równowagę.

Z pewną dozą goryczy Dani skonstatowała, że mężczyzna porusza się z zadziwiającą łatwością. Rzecz godna uwagi u kogoś jego postury, kto na dokładkę całymi godzinami leżał ściśnięty w metalowej skrzyni niczym sardynka w puszcze.

_ Prędko, prędko - ponaglał ich kierowca, nie podnosząc głosu.

Shane ruszył do przodu, stawiając Dani na nogi. Posuwał się szybko mimo zgiętej, niemal kucznej pozycji ciała i mimo tego, iż praktycznie ciągnął dziewczynę za sobą.

_ Dzięki, Dordzi - rzucił miękko na odchodnym w stronę kierowcy. - Niech demony uśmiechają się do ciebie.

_ I do ciebie, wielce szanowny panie - zawołał za nimi szofer. - Spieszcie się!

Gdy Amerykanie skryli się w cieniu relikwiarza, zatrzasnął maskę samochodu. Błyskawicznie wskoczył za kierownicę. Uruchomił hałaśliwy silnik, wycofał wóz na główną szosę, wrzucił jedynkę i powoli odjechał. Dani siedziała oparta plecami o kamienny mur relikwiarza, dysząc ciężko w rozrzedzonym, czystym i lodowato zimnym powietrzu. Podczas gdy Shane grzebał w zniszczonym skórzanym plecaku, który tli na nich czekał, udało jej się zapiąć kurtkę.

Z drogi biegnącej za ich plecami dobiegł warkot następnego samochodu, który z wysiłkiem wspinał się ku zagubionej w górach stupie.

Shane poderwał głowę, ocenił odległość, zastanowił się chwilę i podjął decyzję. Wszystko razem nie trwało dłużej niż kilka sekund.

_ Jakies trzydzieści metrów stąd znajduje się parów - powiedział, pokazując palcem. - Widzisz go?

Dani kiwnęła głową.

_ Tam właśnie idziemy - oświadczył. - Natychmiast!

Bez zbędnych słów poderwał dziewczynę na nogi i puścił się biegiem po nierównym stoku. Wszędzie leżały wielkie głazy narzutowe i mniejsze kamienie, niczym pozostałości ogromnej świątyni rozwalonej przez jakiegoś niedbałego boga.

Shane nie zwolnił po osiągnięciu krawędzi parowu. W dalszym ciągu

włókł Dani za sobą w dół stromego zbocza. Wskazując na łożysko wyschniętego strumienia, krzyknął:

- Biegnij, tu chodzi o życie!

Poparł rozkaz uderzeniem po ramieniu.

Ruszyła biegiem.

Shane był o krok za nią. Ciężki, rżący oddech dziewczyny wkrótce całkowicie zagłuszył tupot ich nóg, uderzających o ziemię usianą drobnymi kamyczkami. Dani czuła się tak, jakby przebiegła już ponad kilometr,

choć wiedziała, że tak naprawdę nie było to więcej niż sto metrów.

Raptem Shane pchnął ją w bok i pociągnął do kryjówki w niewielkiej suchej grocie, wydrążonej w zboczu parowu

przez topniejące wiosną śniegi.

- Nie ruszaj się - wysapał zdyszany. - Nic lepszego ... już nie mogło ... nam się trafić.

Kiwnęła tylko głową. Nie była w stanie odpowiedzieć.

- Jak twoja kostka? - spytał po chwili. - Możesz iść dalej?

I znowu kiwnięcie głową musiało starczyć za odpowiedź. Mężczyzna dotknął policzka Dani pieszczotliwym gestem i uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że jesteś twardsza, niż na to wyglądasz - oświadczył. Odwzajemniła uśmiech, choć widząc łatwość,

z jaką Shane dochodził

do siebie, nie mogła być zadowolona z własnej reakcji. - A co ... teraz? - zdołała wysapać.

- Musimy czekać.

- Na przewodnika?

- Na przedstawicieli Chińskiej Republiki Ludowej - odparł, wskazując kciukiem za siebie, w kierunku stupy.

- Nie ruszaj się stąd na krok. Obiecujesz?

Skinęła głową.

Shane zsunął się po szorstkiej ścianie rzecznego łożyska do miejsca, skąd mógł obserwować wzniesienie i relikwiarz, nie będąc samemu widzianym.

Chwilę później ujrzał na szutrowej drodze głównej maszyną zieloną ciężarówkę armii chińskiej. Jechała w kierunku stupy.

Shane oddychał już bez wysiłku, spokojnie czekając na to, co tybetańskie demony trzymały dla niego w zanadrzu.

Ciężarówka z rykiem przejechała koło relikwiarza.

Mężczyzna bezgłośnie, samymi ruchami warg, sformułował tybetańskie słowa dziękczynienia, po czym wrócił

do swej towarzyszki.

Zgodnie z obietnicą nie ruszyła się z miejsca.

- No i co? - spytała.

- Chińscy żołnierze z Lhasy - odparł zwięźle. - Nadal jadą śladem Dordziego. Jeśli go dorwą, zostanie z niego tylko mokra plama.

- A dlaczego mieliby się interesować kierowcą siedzącym w ciężarówce na pustej skrzyni?

Shane chwilowo pominął to pytanie milczeniem i ponownie zerknął ponad brzegiem rzecznego łożyska. Nie widać było ani ciężarówki Dordziego, ani wojskowego patrolu. Posłał za Dordżim milczącą modlitwę i wrócił do

Dani.

- Dordzi nie jest zwyczajnym kierowcą ciężarówki - powiedział. - Jest duchownym, mnichem z Błękitnej Sekty.

Dziewczyna wlepiała w niego wzrok.

- Jest jednym z moich najlepszych ludzi - dodał. - Żołnierze wykończą go, jeśli wpadnie im w ręce.

Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Przypomniała sobie, jak Dordzi nazwał Shane'a wielce szanownym panem.

- A czy nie moglibyśmy mu pomóc? - spytała z naleganiem w głosie.

- Pojednał się ze sobą i swymi bogami, kiedy na ochotnika zgłosił się do prowadzenia tej ciężarówki.

- Ale ...

_ Wszystko, co my możemy zrobić, to dołożyć starań, aby jego poświęcenie nie poszło na marne - wpadł jej w słowo Shane. - W drogę!

Dani rozejrzała się wokół. Jak okiem sięgnąć, rozciągał się dziki, bezludny teren. Nic, dosłownie nic nie wskazywało na to, by jakiś kierunek był lepszy od pozostałych.

- Dokąd? - spytała.

- Będziesz musiała mi zaufać - zauważył Shane z ironią.

- Czy mam jakiś wybór?

_ Tylko co do środka lokomocji: w moich ramionach albo na własnych nogach.

Dani podniosła się.

- Jak chcesz - stwierdził. - Daj mi znać, gdy zmienisz zdanie.

- Z wyjątkiem pierwszego roku przez całe życie chodziłam o własnych siłach - wycedziła przez zęby. - Tyle że nie na tej wysokości.

- Kilka miesięcy spędziłam z pasterzami w górach.

- To wiele wyjaśnia.
- Co wyjaśnia?
- Twoja kurtka. Wygląda na to, że jej poprzednim właścicielem był chiński szmaciarz.
Ujął swą towarzyszkę mocno za ramię.
- Idziemy - zakomenderował. - W ciągu dwóch godzin musimy zrobić ładnych parę kilometrów. Czasem pod górę.
Dani wyrwała się z uchwytu Shane'a. W jego geście było coś z postawy właściciela, przeciwko czemu buntowała się instynktownie.
- Nie jestem dodatkową sztuką bagażu - zauważyła. - Nie trzeba mnie wlec przez całą drogę.
Mężczyzna obrzucił ją szybkim spojrzeniem, po czym okręcił się na pięcie i ruszył przed siebie. Poszła w jego ślady.
Przecinali naga suchą równinę, a Shane nadawał dość ostre tempo.
Miał długie nogi, świetną kondycję i był przyzwyczajony do rozrzedzonego powietrza. Ponadto skrzydeł dodawała mu świadomość, że z każdym krokiem zbliżają się do bezpiecznego azylu.
Dani również przeszła niezły trening na dużych wysokościach, ale stawiała znacznie krótsze kroki. Co chwila musiała podbiegać, aby się z nim zrównać i nie opóźnić marszu. Wiedziała, że skutki sforsowania kontuzjowanej nogi pojawią się nieuchronnie podczas postoju, a z powodu mrozu będą tym bardziej dotkliwe.
Wzdłuż górskich pasm zbierały się chmury. Shane obserwował je bacznie. Nic nie mówił, chociaż sytuacja coraz mniej mu się podobała.
Według szacunków Dani zrobili około czterech kilometrów, gdy mężczyzna wszedł na jakieś wzniesienie i zatrzymał się po drugiej stronie grzbietu. Bez słowa usiadła na kamieniu i odpoczywała.
Shane zerknął w jej kierunku. Była blada i ciężko dyszała, ale w żadnym razie nie zamierzała się poddać. Skinął głową, odwrócił się i ponownie wspinał ku grani. Oceniał wzrokiem przebytą drogę.
Rozglądając się wokół, łatwo można było dojść do wniosku, że na całej kuli ziemskiej nie ma żywego ducha. A ściślej biorąc, nie ma kompletnie niczego.
Szarobiałe pasmo szutrowej drogi wilo się wśród jałowego krajobrazu. Na pustym niebie nie widać było ani jednego sępa. Słońce zeszło już bardzo nisko i świeciło tuż nad wierzchołkami gór.
Za jakieś pół godziny schowa się za ośnieżone szczyty. A wówczas zimno brutalnie da im się we znaki.
Gdy Shane podszedł do dziewczyny, oddychała już znacznie wolniej. Ujął ją za nadgarstek, odwinął rękawiczkę i poszukał tętna.
- Co ... - zaczęła.
- Spokój - przerwał jej.
Usłuchała zaskoczona.
- Poniżej osiemdziesięciu - stwierdził, puszczać jej rękę. - Nie żartowałaś o życiu wśród pasterzy jaków, prawda? Robiąc te cztery kilometry, wspiealiśmy się jakieś trzysta metrów do góry.
Dani odczuła nagły przypływ dumy. Dotrzymała kroku potężnie zbudowanemu, wysportowanemu mężczyźnie, i to pomimo kontuzjowanej kostki.
Gdyby tylko Steve mógł mnie teraz zobaczyć, przemknęło jej przez głowę. Nareszcie zniknąłby grymas wyższości z tej jego zarozumiałej gęby.
- Co za uśmiech, pełen jadu - zauważył Shane. - Ciesz się, że jeszcze nie całkiem upadłaś na duchu.
- Ale dlaczego? Przecież do przejścia został nam już tylko kilometr.
- Faktycznie. Tylko kilometr ...
Wskazał kamienną ścianę, która groźnie majaczyła przed nimi. Natężając wzrok i wyobraźnię, Dani prawie dostrzegła ścieżkę wijącą się po stromym, usianym kamieniami zboczu. Serce w niej zamarło.
~ A niech to cholera!
- Nawet Gillie lepiej by tego nie ujął.
- Kim jest Gillie?
- Na górze znajduje się jaskinia pustelnika - objaśnił Shane, pomijając milczeniem pytanie dziewczyny. - Jest

tam coś w rodzaju naturalnego amfiteatru, z małym jeziorkiem i kawałkiem pastwiska dla jaków. - Niczego takiego nie widzę.

- Wieczór w górach zapada wcześniej - stwierdził, przyglądając się stokowi - a gwiazdy świecą niczym wieczna aureola. Nikogo tam teraz nie ma.

Dani przyjrzała mu się spod oka.

- Najwyraźniej znasz to miejsce całkiem dobrze - zauważyła.

- Spędziłem tam sześć miesięcy. .

- Pasąc jaki? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie. Medytując przed wstąpieniem w szeregi Błękitnej Sekty.

Zanim zdołała wymyślić jakąś odpowiedź, Shane zarzucił sobie ich bagaż na plecy i ruszył w górę zbocza.

Nie

obejrzał się za siebie.

Po przejściu pierwszych stu metrów szlaku Dani przestała zwracać sobie tym głowę. Skoncentrowała się na dwóch tylko rzeczach: na przebieraniu nogami i oddychaniu. Na nic innego nie miała już siły.

Wraz z zachodem słońca pojawił się wiatr. Chłód przenikał i pochłaniał wszystko dokoła niczym żarłoczna żywa

istota.

Gdy Dani dotarła do celu, Shane zdążył już w jednoizbowej chatce rozpaścić ogień. Z niewielkiego imbryka ulatywała para. Dziewczyna przekroczyła próg z niewyobrażalnym uczuciem ulgi. Nareszcie znalazła się poza zasięgiem wiatru.

Słońce wciąż jeszcze świeciło ponad ośnieżonymi szczytami, ale w położonej kilkaset metrów niżej dolinie mocno się ochłodziło. Zimne powietrze wdychane do płuc przywodziło na myśl rozproszone igiełki lodu.

Minęło kilka minut, nim Dani zaczęła normalnie oddychać i nim rozgrzała nad ogniem pozbawione czucia ręce. Wolałaby, aby ogień był silniejszy, ale leżący obok stos drewna wyglądał mizernie.

- Obawiam się, że to nam nie wystarczy na całą noc - powiedziała.

- Gdybyś była moją *sang-jam*, zagoniłbym cię do zbierania wysuszonego łąjna jaków.

- Wybij to sobie z głowy - odparowała. - Ty nie jesteś mnichem, a ja z całą pewnością nie jestem twoją wierną i oddaną żoną.

Shane uśmiechnął się nieznacznie.

- W dodatku zupełnie nie potrafię wyobrazić sobie siebie jako mnicha - dodała.

- Dlaczego?

- Myślę, że mój pierwszy domysł odnośnie twojego zawodu był prawdziwy.

- Masz na myśli CIA? Kiwnęła głową.

- Kiedyś dla nich pracowałem - przyznał. - Podczas tej obrzydliwej małej wojny w Afganistanie. A potem nasze drogi się rozeszły.

Ton, jakim to powiedział, sugerował, że rozstanie nie należało do najprzyjemniejszych.

- Tak więc - podsumowała dziewczyna - byłeś już w życiu agentem wywiadu i pustelnikiem. Kim jeszcze?

Wzruszył ramionami.

- Przez chwilę byłem członkiem prywatnej organizacji charytatywnej, zajmującej się budową osiedli mieszkaniowych i porządkowaniem terenu.

Dani roześmiała się głośno.

- Budowa osiedli? - spytała ironicznie. - Ty? Z twoją przeszłością w CIA? I co tam robiłeś? Szkoliłeś partyzantów?

Shane wyciągnął z plecaka metalową tubę i zaczął ją otwierać.

- Kopałem w ziemi dołki - oświadczył.

- Zaminowywałeś teren?

- Odwrotnie, rozminowywałem go. Rosjanie po całym kraju rozrzucaли miny przeciwpiechotne. Mudzahedini robili zresztą dokładnie to samo.

- Więc?

- Więc gdy ustały walki, ktoś musiał tam iść i je wykopać, zanim zrobią to dzieciaki z sąsiedztwa.

Dani zamarła pochylona nad ogniskiem i niedowierzająco przyjrzała się Shane'owi. Jego nonszalancja przyprawiała ją o dreszcz ..

- Więc dla pieniędzy wykopywałeś i rozbrajałeś miny przeciwpiechotne? - spytała w końcu.

- Wykopywałem je i uczyłem ludność cywilną, jak należy to robić.

- Mój Boże.

- Bóg nie miał z tym wiele wspólnego - zauważył mężczyzna. - Zgodnie ze statystykami ONZ na świecie rozrzucono jakieś pięć milionów min przeciwpiechotnych. Pensja wprawdzie nie jest oszałamiająca, ale

człowiekowi przynajmniej nie grozi bezrobocie.

- Więc dlaczego to rzuciłeś?

Shane zerknął na nią znad metalowego stelaża, który właśnie składał. Spojrzenie jego przymkniętych oczu nie wyrażało żadnych uczuć. - Zadajesz mnóstwo pytań - zauważył.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co dzięki tobie dzisiaj przeżyłam, pytań było doprawdy niewiele - odcięła się Dani.

Twarz mężczyzny zmiękła. Wrócił do pracy nad stelażem.

- Odszedłem, bo wysiadły mi nerwy - powiedział po prostu.

- Tobie? Nie wierzę.

- Uwierz. Miałem trzech pomocników, bystrych, młodych Afgańczyków. Zginęli w ciągu ośmiu miesięcy. Doszedłem wówczas do wniosku, że może nie byłem zbyt dobrym nauczycielem.

- Może oni nie byli zbyt dobrymi uczniami - podsunęła Dani. - Bystry młody człowiek też może się czasem głupio zachować. Wiem coś na ten temat. Sama miałam z kilkoma do czynienia.

Shane nie odpowiedział. Pełen skupienia umocował antenę na niewielkiej podstawie. Gdy osiągnął zadowalający rezultat, wystawił ją na zewnątrz chaty. Następnie wyciągnął z plecaka mały aparat radiowy, sprawdził baterie i podłączył do niego antenę. Pstryknął kilkoma guzikami, uważnie przyjrzał się tarczy z podziałką i odstawił aparat na bok.

- I co teraz? - spytała Dani.

- Czekamy na środek transportu.

- A co to będzie: latające jakoby czy może czarodziejski dywan?

- Nic aż tak egzotycznego. Stąd do Nepalu jest w linii prostej ledwo sto sześćdziesiąt kilometrów. Helikopter zdolny do latania na dużych wysokościach stoi tam i czeka na nasz sygnał. O ile nie będzie zbyt ciemno, przyleci tu jeszcze dzisiejszej nocy, a najdalej jutro.

- Dysponujesz radiowym nadajnikiem naprowadzającym i helikopterem do lotu na dużych wysokościach, a chcesz mi wmówić, że nie pracujesz dla CIA?

- Agencja jest dobrze wyposażona, to prawda, ale Risk Limited ma lepszy sprzęt. Jesteśmy firmą prywatną.

Shane spojrział Dani prosto w oczy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu. Dokładnie od chwili, gdy w rozmowie wypłynęła sprawa min przeciwpiechotnych.

- A teraz słówko na temat łajna jaków - powiedział.

- Co takiego?

Spojrzał na złote światło płonące na niebie ponad szczytami gór.

- Mamy bardzo mało czasu do dyspozycji. Jeśli ten śmigłowiec nie przyleci w ciągu pół godziny, będziemy musieli czekać do jutra rana. Tak więc albo zdecydujesz się na spanie ze mną, albo już teraz zacznij zbierać wysuszone gówno jaków.

- Wolę zbierać łajno.

- Twój wybór.

W aparacie radiowym rozbłysła czerwona lampka. Rozległy się jakieś trzaski.

Shane wcisnął guzik potwierdzający odbiór.

- Musieli już być w powietrzu i tylko czekali na nasz sygnał - powiedział. - Zdążysz do Katmandu na obiad.

Podniósł się i stanął w drzwiach chaty. W milczeniu obserwował niebo.

Dani stanęła obok niego. Gdzieś z daleka dobiegł ich słaby, ale dobrze znajomy warkot śmigłowca.

- Jestem twoim wielkim dłużnikiem, Gillie - mruknął Shane. - Większym, niż myślisz.

A potem cicho się zaśmiał.

Dani spojrzała na jego twarz. Mimo mroku panującego w dolinie widziała, że twarde rysy mężczyzny wyraźnie zmiękły.

Uśmiechał się z ulgą.

Świadomość, że bezpieczeństwo jest już niemal w zasięgu ręki, spowodowała gwałtowny spadek napięcia.

Nareszcie miała za sobą nieustanną huśtawkę emocjonalną, jaką przyniosły jej ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Zwiotczała niczym przekłuty balon.

Zakręciło jej się w głowie, a w zwichniętej kostce poczuła przenikliwy ból. Wyciągnęła rękę, szukając oparcia, i przypadkiem złapała Shane'a za ramię.

- Dani?

- Noga.

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Świat wokół zakotłował się, gdy mężczyzna wzięła rękę i przytulił do piersi.

- Spokojnie, kochana - powiedział z ustami w jej włosach. - Już niemal po wszystkim.

Czuła ciepło i siłę, które niczym prąd elektryczny, płynęły ku niej z jego ciała. Odetchnęła głęboko.

Zaczynała oswajać się z myślą, że jest bezpieczna.

Helikopter przeleciał nisko nad wierzchołkami gór, zakłócając spokój małej doliny. Pilot wylądował bez wahania na płaskim terenie oddalonym jakieś pięćdziesiąt metrów od bocznej ściany chaty.

Shane nie wypuszczając dziewczyny z objęć ruszył w stronę helikoptera.

- Ranna? - spytał pilot.

Ku zaskoczeniu Dani, głos był kobiecy.

- Zwichnięta kostka i wyczerpanie - odparł Shane.

- W porządku. Dawaj ją.

Posadził dziewczynę w fotelu i zapiął pasy.

- Gotowe - powiedział, robiąc krok do tyłu.

W tym momencie Dani uświadomiła sobie, że Shane nie zamierza jej towarzyszyć. Poczula się oszukana i rozczarowana.

- Zaczekaj! - krzyknęła. - A ty się dokąd wybierasz?

- Szukać jedwabiu.

_ Chcesz powiedzieć, że wszystko było tylko po to, żeby wydostać mnie z Tybetu?

Kiwnął twierdząco głową i zatoczył dłonią kilka kółek.

Śmigło helikoptera przyspieszyło.

_ Ale dlaczego? - dopytywała się dziewczyna. - Przecież nawet mnie nie znasz!

_ To był mój wybór, Dani, nie twój. Nikomu niczego nie zawdzięczasz. Pamiętaj o tym, jak przyjdą do ciebie. Nic nikomu nie jesteś winna.

_ Kto przyjdzie? O czym ty mówisz? Niech to diabli, kim ty jesteś?!

Silnik zaryczał i maszyna poderwała się ku ciemniejącemu niebu, zagłuszając odpowiedź Shane'a.

O ile w ogóle odpowiedział. Dani mocno w to wątpiła.

9

Aruba

Listopad

Przez otwarte drzwi prywatnego apartamentu Katii Pilenkowej wpadało wilgotne, jedwabiste nocne powietrze. Księżyc w pełni wisi nad rozkołysanymi wodami Morza Karaibskiego.

Jak zwykle po wieczorze spędzonym z miejscowymi bankierami, Katia moczyła się w wannie wypełnionej perfumowaną wodą. Gorąca kąpiel sprawiała, że jej mięśnie po jakimś czasie rozluźniały się, a uczucie obrzydzenia wobec mężczyzn, których musiała zabawiać, wyraźnie słabło.

Olejek zapachowy usuwał z jej nozdrzy odór męskiego potu i prymitywnego seksualizmu.

Zwierzęta, myślała pogardliwie.

Czy nigdy nie zrozumieją, że nie jestem dziwką, gotową na każde skinienie zaspokajając ich żądze?

Bankierzy to zwykle urzędnicy, biurokraci i kompletne zera.

Mimo gorącej wody i kosztownego olejku rozsiewającego subtelną woń Katia nie była spokojna i zrelaksowana. Zżymała się i przeklinała swoich gości, bo tutejsi finansisci niewiele jej mogli zaoferować od czasu, gdy dzięki Harmonii zdobyła własny majątek. I to wcale niemały.

Bankierzy są znacznie gorsi niż mężczyźni stowarzyszeni w Harmonii, myślała z chłodnym obrzydzeniem. Przywódcy potężnych organizacji przestępczych i uznani kryminaliści dorobili się przynajmniej ogromnych majątków i władzy, a czym właściwie dysponują bankierzy? Wyłącznie tytułem.

Z drugiej jednak strony, przyznawała niechętnie, są bardzo użyteczni. Podobnie jak sprzątaczk. Służą do prania brudnych pieniędzy i robią to bardzo sprawnie.

Ta myśl uspokoiła ją o wiele skuteczniej niż perfumy czy gorąca woda. W końcu nie zmarnowała dzisiejszego wieczoru. Sprzątaczk wprawdzie niewiele znaczą, ale obejść się bez nich nie sposób.

Z westchnieniem ulgi zanurzyła się w pianistej kąpeli.

Kiedy wreszcie wyszła z wanny, jej blada zwykle cera mocno poróżowiła. Katia osuszyła ręcznikiem wilgotną, pachnącą skórę na piersiach, nogach i plecach. Leniwie narzuciła na siebie szlafrok z czystego czerwonego jedwabiu. Kontakt delikatnej materii z nagim ciałem przywodził jej na myśl oddech kochanka. Gdzie teraz jest Ilja? - myślała. Czy nic mu nie grozi? Kiedy do mnie wróci?

Nie było odpowiedzi. Wokół panował spokój i niczym niezmacona cisza. Tylko zasłony w sypialni lekko poruszały się na wietrze.

Katia zgasiła światło w łazience i poszła do łóżka. Okna były zasłonięte, ale blask księżycy wpadał przez oszklone drzwi od strony bocznego patio.

Jak miło byłoby w taką noc pospacerować na świeżym powietrzu, pomyślała. Nie czuła się senna.

Pozostała jednak w ciemnym pokoju. Dręczyła ją obawa, że ktoś mógłby z zewnątrz obserwować jej okna.

Uczucie to nawiedzało ją często, gdy mężczyźni stowarzyszeni w Harmonii kręcili się po terenie posiadłości. Coś jakby zimne palce musnęło ją po szyi. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, zanim uprzytomniła sobie, że to wilgotne po kąpieli kosmyki łaskotały wrażliwą skórę na karku. Niecierpliwie związała wspaniałe jasne włosy czarną aksamitką. Jej ciało przeszył zimny dreszcz. Lęku i pożądania jednocześnie. Te dwa uczucia były w jej przypadku nierozzerwalnie ze sobą związane. Pragnęła tylko takich mężczyzn, których się bała i nad którymi nie umiała zapanować. Zwłaszcza jednego. Ilję Kasatonina. Katia podeszła szybko do małego podręcznego barku z alkoholami. Otworzyła specjalną zamrażarkę i wyjęła butelkę wódki. Oszroniona szyjka podzwaniała o brzeg kryształowej szklancezki do whisky. Trunek był tak wyziębiony, że zewnętrzna powierzchnia naczynia pokrywała się w miarę nalewania cienką warstewką sadzi. Wszystko w niej aż się rwało do alkoholu. Zanim jednak pozwoliła sobie na niewielki łyk, starannie zamknęła butelkę i odstawiła do zamrażarki. Każdy jej gest był starannie odmierzony, niemal zrytualizowany. To ona, Katia, będzie rządziła wódką, a nie odwrotnie. Początkowo sączyła trunek wolno, małymi łykami. Po chwili jednak przechyliła szklaneczkę i resztę podwójnej porcji wypiła już jednym haustem. Przyjemne ciepło rozeszło się z żołądka po całym ciele. - Aaa ~ wymruczała z zadowoleniem. Po wieczorze spędzonym z bankierami, którzy wprawdzie patrzyli na nią pożądliwie, ale zachowywali się bardzo nieśmiało, Rosjanka potrzebowała czegoś mocniejszego, by sprostać satynowej miękkości karaibskiej nocy. Z lodowatą szklaneczką w dłoni stała i rozmyślała o proszonym obiedzie, który wydała dzisiejszego wieczoru. Dobro Harmonii było jedynym celem tego przedsięwzięcia. Do stołu zasiadło dokładnie dwunastu najbardziej wpływowych bankierów Amby. I wszyscy co do jednego gapili się na jej piersi, tak sprytnie osłonięte szmaragdowozielonym adamaszkiem, że widać było połowę biustu. Szkoda tylko, że nie znalazł się wśród nich ani jeden prawdziwy mężczyzna, myślała pogardliwie. Boją się nawet mnie dotknąć, a co dopiero iść ze mną do łóżka. To dlatego tak chciwie wyciągają ręce po kurwy. W towarzystwie dziwki każdy z nich czuje się panem stworzenia nawet w najbardziej drażliwym momencie, gdy rozdęty kutas wyrzuca swoje nędzne nasienie. Katia stała w ciemności, uśmiechając się chłodno. Bardzo wczesnie zrozumiała, że większość mężczyzn boi się utraty samokontroli w ramionach kobiety, a obawa ta jest tylko odrobinę mniejsza od lęku przed śmiercią. - Za naszą małą śmierć, jak mawiają Francuzi - szepnęła, unosząc szklaneczkę w parodii toastu. Nawet brutalni władcy Harmonii mieli się na baczości, gdy w grę wchodziło umiowanie w ten sposób. Z nią. Ta obawa stawiała ich w jednym szeregu z anemicznymi bankierami, beznamiętnymi prawnikami i pozbawionymi kręgosłupa sławnymi politykami. Prawdę mówiąc, tutejsi faceci wcale nie są tacy głupi, przyznała. Pamiętają, jak zabiłam mojego czeczeńskiego patrona, kiedy mu w końcu pozwoliłam się uwieść. Tak po prostu ... zastrzyk z trucizny w sam czubek jego fiuta. Wspaniała śmierć. Atak serca, jak orzekła policja. Przedstawiciele rosyjskiej mafii patrzyli na to inaczej. Szanowali ją za geniusz i za spryt, z jakim zajęła miejsce czeczeńskiego gangstera. Ale i oni się jej bali. Katia osobiście dopilnowała, by ta historia doszła do uszu mężczyzn stowarzyszonych w Harmonii. - Za strach - rzuciła pogardliwie. - Jedyne afrodyzjak, który naprawdę działa. Postawiła szklaneczkę do góry dnem. Odnosiła niekiedy wrażenie, że świat zaludniony jest eunuchami z wielkich korporacji, biurokratami i liczyknipami wszelkiej maści. Kreaturami całkowicie pozbawionymi siły, zdolnymi wyłącznie do pełzania i podszytymi lękiem zerami, zapatrzonymi wyłącznie w koniec własnego nosa. Na samą myśl, że mogłaby któregoś z nich wpuścić w głąb swego ciała, przenikał ją chłód, który nie ustępował nawet pod wpływem rozgrzewającego działania wódki. Podeszła do zamrażarki, otworzyła ją i naląła sobie kolejną porcję. Odstawiwszy butelkę na miejsce, stanowczym ruchem załknęła drzwiczki. Jeszcze tylko ta jedna szklaneczką, dzisiejszego wieczoru zasłużyłam sobie na to, postanowiła w duchu. Błyskawicznie rozprawiła się z zawartością kryształowego naczynia, chcąc jakby umniejszyć znacznie faktu, że oto właśnie złamała ustanowione przez siebie reguły dotyczące ilości wypijanego alkoholu.

W końcu, co za różnica? - pomyślała z goryczą: Jestem samotna.

Mogłabym otworzyć na oścież wszystkie drzwi, a i tak żaden z nich nie przyjdzie, żeby zbadać, co się kryje w ciemnościach tego apartamentu.

Zabraknie im odwagi.

Katia powędrowała do sypialni, chociaż nadal nie odczuwała senności. Kotara zasłaniająca szklane przesuwne drzwi poruszała się lekko w przeciągu.

W powietrzu unosił się jakiś obcy zapach. Zapach mężczyzny.

Ktoś był w pokoju razem z nią.

Nim zdążyła krzyknąć, mocne ramię otoczyło jej ciało tuż poniżej piersi, a twarda dłoń stłumiła wydobywający się z gardła głos. Napastnik przycisnął ją do siebie bez wysiłku, traktując próby oswobodzenia się jak dobry żart.

Katia dusiła się. Usiłowała nabrać powietrza w płuca i krzyżeć, ale dłoń mężczyzny zatykała jej usta i nos. Jego ramię mocniej opasało żebra ofiary, zostawiając siniaki na piersiach i pozbawiając ją resztek powietrza. _ Mógłbym cię zabić, wiesz chyba o tym - szepnął miękko.

Katia zamarła. Przeszył ją dreszcz niepewności i strachu .. , i jeszcze innego uczucia, równie pierwotnego, co lęk przed śmiercią.

_ Wiesz o tym, prawda? - powtórzył mężczyzna chrapliwie.

Skinęła głową.

- Kto wie, może to zrobię.

Wargi napastnika znajdowały się tuż przy jej uchu. Zgiął lekko ramię opasujące jej ciało tuż pod biustem.

Miał dość siły, aby złamać jej żebra, gdyby przyszła mu na to ochota.

Zadrżała.

Czy to już koniec?

Uczuła narastające pobudzenie seksualne.

Mężczyzna wciągnął powietrze głęboko w płuca, jakby dopiero teraz wyczuł zapach olejku dodanego przez Katię do kąpielii, zapach jej strachu i jeszcze czegoś. Czegoś bardzo pierwotnego.

Roześmiał się cicho.

- No, może jednak cię nie zabiję - wyszeptał. - Może jeszcze nie tym razem. Ale musisz mi być posłuszna i spełniać wszystkie moje żądania.

Zwolnił nieco ucisk. Katia niepewnie, z wahaniem nabrała powietrza. Mężczyzna podbródkiem potarł miękką skórę poniżej jej ucha. Sądząc po kłującej szczecinie zarostu najego twarzy, nie golił się co najmniej od tygodnia. Pachniał wódką i jakimiś egzotycznymi przyprawami. Może curry albo azjatyckim chilli.

Katia stała na czubkach palców i wstrzymywała oddech. Jej ciało aż dygotało z wysiłku.

- Jesteś tu sama? - zapytał intruz. Skinęła głową.

Powoli napastnik zdjął prawą rękę z ust swej ofiary, lewą nadal przyciskając ją do siebie. Czekał na najmniejszą bodaj oznakę, że zamierza wszczać alarm.

Nic takiego nie nastąpiło.

- Aaa - zauważył. - Pojętna jesteś.

Ponieważ nadal milczała, opuścił rękę. A potem przesunął dłoń wzdłuż mostka i zaczął głaskać prawą pierś. Skóra na opuszkach jego palców była szorstka i zgrubiała, co chwila zaczepiał o delikatny materiał i o coś znacznie bardziej interesującego.

Wbrew samej sobie Katia poczuła, jak jej sutki twardnieją. Mężczyzna wbił czubki palców w ciało kobiety tak silnie, że sprawił jej ból. Westchnęła. Przesunął dłoń po jedwabiu w miejscu, gdzie sterczała brodawka.

- Nie warto krzyżeć - ostrzegł przyciszonym głosem. - Zabiję każdego, kto tu wejdzie. Ale wcześniej zabiję ciebie.

Katia nie miała co do tego wątpliwości.

Ręka spoczywająca na jej piersi przesunęła się. Kobieta pochwyciła jakiś słaby dźwięk, coś jakby metal drapiący o sztywny materiał. Przed jej oczyma pojawił się nóż. Narzędzie było ostro zakończone, a równolegle

do jego grzbietu biegło głębokie wyżłobienie.

Światło księżycy zaślniło na ostrzu tak zimnym blaskiem, jakby odbiło się od zamrożonej rtęci.

- Zrobię wszystko, czego zażadasz - szepnęła Katia z drżeniem. Tylko nie rób mi krzywdy.

- Oczywiście, że spełnisz wszystkie moje życzenia. Na widok tego noża kobiety stają się bardzo, ale to bardzo posłuszne.

Zwolnił ucisk i przeciągnął otwartą dłonią po napiętym brzuchu. Katia wyczuła odpowiedni moment

i sprężyła mięśnie do skoku.

Okazał się dla niej za szybki. Jak zwykle zresztą:

Wykręcił jej ramiona do tyłu i przytrzymał na plecach jedną ręką, a drugą szarpnął ku sobie. Przez chwilę tkwiła w tym uchwycie niczym piękny ptak z podciętymi skrzydłami.

Straszne uczucie bezsilności odebrało Katii wszystkie siły, nogi się pod nią ugięły.

_ Będziesz robić to, czego ja chcę - rzekł napastnik - ponieważ ty również tego chcesz. Pozostaje tylko pytanie, kiedy schowam nóż do pochwy. No i do której?

Katia ponownie zadrżała, wpatrując się w połyskujący metal. Mężczyzna zaśmiał się. Jednym ruchem ręki przesunął klingę wzdłuż jej mostka. Czubek noża wbił się w delikatny materiał nocnej koszuli.

Poczuła, że jedwab zsuwa się z jej prawej piersi. Kolejny błysk noża.

Katia zachłysnęła się powietrzem. Lecz ostrze ponownie trafiło na materiał, nie drasnawszy skóry.

Przynajmniej na razie.

W chwili, gdy napastnik ostrym szarpnięciem przyciągnął ciało kobiety ku sobie, koszula opadła jej aż do talii. Katia trzęsła się. Z jej gardła wydobywał się niski chrapliwy dźwięk.

_ Spokój - rzucił jej mężczyzna wprost do ucha. - Póki co, nikt nie zrobił ci krzywdy, prawda?

Bezgłośnie potrząsnęła głową.

Widziała, że patrzy na jej piersi, i wręcz nakazała sobie zachowanie niewzruszonej, obojętnej postawy.

Jej sutki jednak uniosły się i stwardniały.

Tym razem śmiech mężczyzny zabrzmiał szczerze.

Tym razem.

Karcący uchwyt ręki zelżał. Świat wokół Katii zawirował, straciła resztkę sił i poddała się.

_ Naprawdę myślałaś, że to będzie takie proste? - szepnął.

Trzymając jej ramię nadal wykręcone do tyłu, wsunął zimną stal w zagłębienie pomiędzy piersiami. Ostry czubek oparł się na skórze u nasady szyi.

Stęknęła i uniosła głowę, próbując odsunąć się od ostrego szpikulca.

_ Wiesz już, czego się od ciebie żąda? - spytał szeptem.

- Tak.

- Nie ufam ci. Chodź ze mną.

Przez chwilę w pokoju słychać było odgłos cichych, niepewnych kroków zmierzających po dywanie w stronę łóżka. Kiedy zwalniała, mężczyzna ponaglał ją pchnięciem stopy.

On także był bez butów.

Gdy już znaleźli się obok łóżka, jedynym dźwiękiem docierającym do uszu Katii był chrapliwy oddech napastnika i jej własny, równie gwałtowny i wytężony.

- Nie ruszaj się - ostrzegł. Puścił jej ramiona.

Poczuła dotknięcie szorstkiej dłoni na swojej szyi. Palcem wskazującym, pełnym odcisków i zadrapań głąskał meszek na jej karku. Katia zadrżała i gwałtownie z sykiem wciągnęła powietrze, gdy mężczyzna rozwiązał kokardkę z aksamitu. Zimne, wilgotne pasma włosów opadły jej na szyję i plecy.

- Odwróć się - rozkazał.

Ociągając się, z wahaniem Katia wykonała polecenie. Głowę trzymała nisko pochyloną. Bała się spojrzeć mu w twarz. Bała się, że tym razem ujrzy wyłącznie zabójcę, a nie kochankę ze swoich snów.

I koszmarów.

Był wysoki. Zbyt wysoki. I silny. Zbyt silny. To tak, jakby wiotka wierzba usiłowała rywalizować ze wspaniałym dębem.

- Daj mi ręce - rozkazał cicho.

- Nie - szepnęła. - Proszę.

- Daj mi ręce.

Katia opuściła głowę jeszcze niżej. Tym razem, by ukryć pełen triumfu uśmiech, jaki na mgnienie oka zagościł na jej wargach. Nawet ten mężczyzna miał się przed nią na baczności.

W przeciwieństwie jednak do bankierów i gangsterów, ten ją posiadzie. Mimo wszystko.

Bez pośpiechu podała mu obie dłonie.

Nóż zniknął w pochwie. Szybkim ruchem napastnik owinał jej nadgarstki aksamitną wstążką. Nie zdążyła głębiej odetchnąć, a już miała spętane ręce.

Spłynęło na nią jednocześnie uczucie triumfu i bezradności, a to pobudziło ją silniej niż jakakolwiek inna podnieta.

- Kładź się - rozkazał. - Wiesz jak.

Powoli opadła na łóżko, pilnie dbając, by nie patrzeć mu w twarz, gdy do niej podchodził. Jedwabna pościel

przyjemnie chłodziła rozpalone ciało.

Przesunęła się po prześcieradle i oparła o poduszkę. Związanymi dłońmi osłaniała jasną kępkę owłosienia łonowego.

- Czy tego właśnie chcesz? - spytała.

Jej głos brzmiał miękko i zaskakująco niewinnie.

_ Nie - odparł krótko. - Czy mam odświeżyć twoją pamięć za pomocą krwi?

Katia patrzyła, jak jego dłoń sunie ku rękojeści noża. Gdy palcami dotknął stali, podniosła związane ręce i wyciągnęła je za głowę.

Dopiero teraz uniosła powieki i spojrzała napastnikowi prosto w twarz. Ulga, strach, pożądanie wstrząsnęły jej ciałem jednocześnie

- Wolisz tak jak teraz, Ilja? - szepnęła.

- Rozsuń szerzej nogi.

Gdy posłusznie wykonała polecenie, zerwał z siebie brudną koszulę. Skóra na jego piersi była jasna, gładka, bezwłosa, niczym rzeźba z białego kamienia. Pofałdowane blizny pokrywały dobrze umięśnione ramiona i barki.

Kasatonin odrzucił koszulę daleko od siebie. Jego ręka na chwilę spoczęła na rękojeści noża zatkniętego za pas. Znienacka w świetle księżyca rozbłysła stal.

_ Jeszcze mogę cię zabić, spróbuj tylko mnie nie zadowolić - oświadczył. - A zresztą, mogę cię zabić tak czy siak.

Katia milczała. Mężczyzna mówił prawdę. Na tym właśnie polegała władza, którą nad nią roztaczał. Nigdy nie miała pewności, jaka śmierć czeka ją w ramionach Ilji Kasatonina: ta mała czy ta nieco większa.

Upuścił nóż obok łóżka i rozpiął pasek. Ubranie opadło na podłogę.

Gdy podchodził do wezglowia, księżyc oświetlił gładkie, wypukłe blizny pokrywające jego lędźwia.

Katia wydała dźwięk będący na poły westchnieniem, na poły szlochem. Przetoczyła się ku niemu i wyciągnęła związane ręce.

Niewielki kawałek męskiego ciała drgnął pod jej dłonią. Tylko tyle pozostało z genitaliów Ilji Kasatonina. Pieszczotliwym ruchem kobieta przycisnęła dłoń do budzących dreszcze, gorących blizn.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam - szepnęła.

Mężczyzna nie odpowiedział. Stał i pozwalał jej głaskać ślady ran i resztki męskości. Po-raz nie wiadomo który zastanawiał się, czy te afgańskie potwory aż tak źle opanowały sztukę chirurgii.

Czy przeciwnie, aż tak dobrze.

Po dłuższej chwili przymknął oczy, rozkoszując się dotykiem wprawnych dłoni kochanki.

- Bałam się, że nigdy nie wrócisz - powiedziała Katia, wzdychając.

_ A dlaczego miałyby cię to martwić? - spytał głosem ochryłym z pożądania. - Świetnie wiesz, że niczego ode mnie nie dostaniesz.

- Dostanę dokładnie to, co chcę

Katia przysunęła się bliżej i uniosła twarz, gotowa całować blizny rozsiane wokół załosnej pozostałości po jego członku.

- Nie w ten sposób - powiedział.

Odwrócił się i ruszył do zamrażarki, gdzie wódka stała czekała w pogotowiu.

Przez chwilę wzrok Katii spoczął na nożu leżącym u stóp łóżka. Nie, powiedziała sobie. Ilja jest zbyt silny i zbyt szybki.

Przekonała się o tym, gdy wziął ją po raz pierwszy. Na pamiątkę zostały jej cienkie blizny rozchodzące się promieniście pod włosami łonowymi.

Pierwszy raz w życiu miała wówczas orgazm. Było to uczucie znacznie silniej uzależniające niż wódka i o wiele bardziej niebezpieczne.

Mężczyzna wrócił z oszronioną butelką. Zerknął na nietknięty nóż i uśmiechnął się lekko. Pociągnął dobry łyk z niemal pustej flaszki. Potem przytknął pokrytą lodem, gładką szyjkę butelki do piersi Katii.

Sapnęła i usiadła wyprostowana.

- Świnia! Przecież to jest lodowate!

- Tylko świnia ma prawo wstępu do twego łóżka, skarbie.

Obojętnym ruchem lewą ręką przytrzymał nadgarstki Katii. Prawą, w której tkwiła butelka, zataczał kręgi wokół sutków kochanki, dotykając zimną szyjką rozgrzanej skóry.

Kobieta drżała, ale nie podejmowała żadnych prób ucieczki. Gdy przeciągnął butelką w dół po jej ciepłym brzuchu, zagryzła dolną wargę, wiedząc, co za chwilę nastąpi.

- Ta flaszka jest wprost rozkoszna - oznajmił Ilja miękko. - Zupełnie jak ty.

- Co masz na myśli?
- Jest lodowata, gładka i przezroczysta. I jak wszystko, co jest ze szkła, kiedyś z pewnością się stłucze. Lecz zanim to nastąpi, znajdzie się dla niej wiele zastosowań.
- Zastosowań? - szepnęła Katia.
Kasatonin zaśmiał się, podniósł butelkę do ust i pił prawie do dna. Następnie, obserwując swoją kochankę, kontynuował zabawę.
Katia wstrzymała oddech. Zimny ogień ześliznął się w dół jej brzucha i zatrzymał u nasady delikatnych włosków.
- Wiele zastosowań - powtórzył Kasatonin cichym głosem. - W taki właśnie sposób Tony Liu przewozi jedwab.
- Co takiego? - spytała Katia oszołomiona. .
Nigdy nie umiała przewidzieć, co kochankowi za chwilę strzeli do głowy.
Odwrócił butelkę do góry dnem. Lodowaty płyn utworzył niewielką kałużę na ciele kobiety.
_ Jego człowiek przywiózł ze sobą z Bangkoku specja od wydmuchiwania szkła.
- Z Bangkoku - powtórzyła Katia zupełnie bezmyślnie.
Nie była w stanie wymyślić żadnej innej odpowiedzi.
_ Facet jest narkomanem, który na swą dzienną dawkę heroiny zarabia wytwarzaniem szkła laboratoryjnego.
Katia wyprężyla się jak struna, gdy lodowaty trunek spłynął z jej wzdórka łonowego między nogi.
- Zamknęli jedwab w szklanej kapsule - kontynuował Kasatonin, nie spuszczać wzroku z kochanki - tak więc materiał nie będzie narażony na gnienie w wilgotnym powietrzu tropików.
Zwolnił chwyt najej nadgarstkach. Podążając szlakiem wódki, przeciągnął zimnymi ustami po ciele kobiety, aż doszedł do punktu, skąd mógł wysysać rozgrzewający płyn.
Katia leżała na wznak wstrząsana zmysłowymi dreszczami. Pragnęła, by te pieszczoty trwały bez końca.
- To mój pomysł - powiedziała słabym głosem. - Ta kapsuła. Jego język błędził w dżungli jasnych włosów Katii.
- Dlaczego? - spytał.
_ Jedwab dla tak ważnego Japończyka musi być w idealnym stanie.
- Przez ten jedwab o mało nie zginąłem.
Przy tych słowach wylał resztki trunku na ciało kochanki.
- Czy dlatego jesteś teraz taka mokra? - dopytywał się. - Spodobała ci się myśl o mojej śmierci?
Zanim zdążyła odpowiedzieć, dotknął ustami jej brzucha. Pieścił ją językiem i gryzł, póki nie zaczęła wic się i błagać o spełnienie, od którego dzielił ją tylko jeden krok. Kochanek jednak nie pozwalał jej tego kroku zrobić.
Cieszyła go jej udręka, tak podobna do jego własnej, od czasu, gdy mudżahedini, traktując to jako ostrzeżenie, okaleczyli go i odesłali do Rosji.
Potem los zetknął go z Katią zimną jak lód. Kasatonin mógł się wówczas przekonać, że lód też można rozpalić, trzeba tylko wiedzieć jak. Przy okazji dowiedział się czegoś o sobie. Stwierdził, że i on może osiągnąć pewien rodzaj satysfakcji. Cóż, dobre i to.
I dlatego nie zabił jej, gdy usiłowała poderżnąć mu gardło.
Katia wydawała chrapliwe dźwięki, gdy lód wchodził w nią brutalnie, miarowo. Tego właśnie pragnęła, ale to jej nie wystarczało.
Oboje o tym wiedzieli.
Kasatonin wsunął głowę między jej nogi. Niezmordowanie drażnił pobudzoną skórę, rozkoszując się smakiem wódki. '
Lód wewnątrz niej, ogień na zewnątrz. Katia powstrzymywała się od krzyku, czując intensywny ból. I rozkosz. Związanymi rękami zaczęła odpychać głowę kochanka. '
- Przestań - powiedziała ochryłym głosem.
- Nie. Lubię się zabawiać w ten sposób.
- Ale to zbyt ostre!
- Bidulka - ironizował. - Naprawdę zbyt ostre? A może przeciwnie, jeszcze za mało ostre?
Zacisnął zęby, czując smak krwi zmieszanej z wódką. I coś jeszcze, w chwili gdy szczytowała. Roześmiał się głośno.
- Nadaję się wyłącznie do ostrych zabaw - stwierdził, unosząc głowę. - I dlatego zależy ci tylko na mnie. Na nikim więcej.
A potem jeszcze trochę bawił się nicii dręczył, póki nie padła zupełnie wyczerpana, błagając go, by przestał.

Spełnił jej życzenie' dopiero wtedy, gdy się upewnił, że ponownie ją pobudził.

I nie zaspokoił.

Spokojnie podniósł nóż i przeciął aksamitne więzy na jej rękach.

~ Podobnie jak ja, nadajesz się wyłącznie do ostrych zabaw - oświadczył.

Podciągnął się wyżej na łóżku, przygniatając ją całym ciężarem, a następnie przetoczył się na plecy, tak że znalazła się na nim.

- Do ostrych zabaw - powtórzyła z wysiłkiem. - Właśnie taką dla ciebie zaplanowałam.

- Naprawdę?

Kasatonin brutalnie wepchnął w nią to, co zostało z jego członka. Akurat tyle, by udrzeć oboje.

Katia wstrzymała oddech, częściowo z bólu, częściowo z rozkoszy.

- Tak - powiedziała chrapliwie. - Najpierw taka zabawa, a potem inna.

Ruchem wyćwiczonym przez długą praktykę zmieniła pozycję tak, by mogła sięgnąć ustami jego okaleczonej męskości, a w zamian zaproponować własne posiniaczone ciało.

Palce Kasatonina zacisnęły się na rękojeści noża. Nadchodził moment największej wrażliwości i bezbronności. Wiedział o tym.

I pragnął go.

- O jakiej zabawie mówisz? - spytał. .

- Trzeba było zabić tamtych durniów w Lhasie - powiedziała, ssąc go lekko, drażniąc.

Musiała robić to ostrożnie. Nóż w rękach kochanka był w równym stopniu groźbą co obietnicą.

- Tego gościa z Risk Limited? - spytał Kasatonin lekko napiętym głosem.

Katię ogarnęła fala triumfu spotęgowana przez rozkoszne doznania erotyczne. Tylko jej zręczne, niebezpieczne usta potrafiły tchnąć życie w to okaleczone męskie ciało. Hmm, może tylko półżycie. Nigdy nie miała co do tego pewności.

Wiedziała jednak, że porażka może w każdej chwili przynieść jej śmierć z rąk Kasatonina.

- Owszem, tego Amerykanina i jego towarzyszkę - odparła.

-Ona się nie liczy.

Przez chwilę Katia była zbyt zajęta, by odpowiedzieć. Gdy doszła do wniosku, że kochanek jest już u kresu wytrzymałości, przerwała.

- Nie należy za sobą zostawiać ... jak to mówią Amerykanie? ... żadnych niedokończonych spraw - wyjaśniła.

Zmarszczył brwi, po czym kiwnął głową. - Masz rację. Żadnych śladów.

Nagrodziła go szybkim ssaniem, na pograniczu rozkoszy i bólu. Wpychał kikut w jej usta, poruszał się coraz szybciej i gwałtowniej,

Wreszcie zaczął podrygiwać niczym zawieszona na sznurku kukielka.

Katia poczuła ulgę. Wszystko wskazywało na to, że dzisiejszą noc przeżyje.

Ale jutro?

Drżąc z przerażenia w przewidywaniu najgorszego, całowała okaleczone ciało Kasatonina, kochając go w jedyny dostępny jej sposób.

10

Waszyngton Listopad

To był mój wybór, Dani, nie twój. Nikomu niczego nie zawdzięczasz. Pamiętaj o tym, jak tylko przyjdą do ciebie. Nic nikomu nie jesteś

wmna.

Wsiadając do taksówki, Danielle Warren zastanawiała się, czy zaproszenie na spotkanie z Elmerem Johnstonem i dyskusję o metodach konserwacji zabytkowych materiałów nie pochodzi przypadkiem od owych tajemniczych "onych", wspomnianych przez Shane'a.

Oczywiście, że nie, powiedziała sobie po raz dziesiąty w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

Od jej powrotu do Waszyngtonu upłynęło już kilka tygodni. Miała wrażenie, że lato na pustyni w Azji Środkowej, kontakt ze śmiercią i nielegalnym handlem dziełami sztuki były tylko snem.

Snem mocno wytrącającym ją z równowagi, to fakt. Zwłaszcza gdy pamięć podsuwała obraz ciemnowłosego mężczyzny o piwnych oczach oraz niebezpiecznie atrakcyjnym uśmiechu.

To sen, nic więcej, uparcie przekonywała samą siebie. Niekiedy nawet w to wierzyła.

Niestety, ostre powietrze stolicy co i rusz przywoływało pogrzebane wspomnieni~. Wiatr szeptał opowieści o tybetańskich chłodach i ukrytej górskiej dolinie. I o chatce, gdzie ciemnowłosa mężczyzna kiedyś medytował.

Bo wprawdzie poruszał się jak'wojownik, ale postanowił zostać mnichem.

Jesteś teraz w Dystrykcie Kolumbia, a nie w Tybecie, powtarzała sobie bez przerwy. Popatrz tylko na te dęby

i wiązy, a sama się przekonasz. W Tybecie nie ma drzew, o których warto byłoby wspominać. Zgodnie z instrukcją zawartą w grzecznej, niewiele mówiącej notce od Johnstone'a, Dani zatrzymała taksówkę na wprost nowego skrzydła National Gallery of Art. Gdy wysiadła, wokół jej nóg zawirowały liście opadłe z wiązów, tworzących szpaler wzdłuż deptaku. Nieco dalej, przed Kapitołem, w królewskim majestacie rosły potężne dęby, których nagie konary wyraźnie odcinały się od szarego nieba. Podskórne napięcie, narastające stopniowo od momentu otrzymania zaproszenia, zniknęło jak ręką odjął. Dani uwielbiała długi deptak biegnący do samego centrum metropolii, która od lat była jej domem. Gdy patrzyła na niego, niezależnie od pory roku cieszyła się, że żyje i że mieszka właśnie tu. Krępy mężczyzna w szarym płaszczu oderwał wzrok od "The Post". Obserwował, jak Dani płaci taksówkarzowi, a następnie rusza w stronę muzeum. Dziewczyna zastanawiała się, czy to właśnie jest Johnstone.

Za to on nie miał żadnych wątpliwości co do jej tożsamości.

- Pani Warren - stwierdził, podając jej miękką, różową, ciastowatą rękę. - Jestem Elmer Johnstone.

Dani uśmiechnęła się automatycznie, ze zdawkową uprzejmością kogoś, kto brał udział w aż nazbyt wielu wydziałowych herbatkach. Pomimo tego uśmiechu orzechowe oczy dziewczyny taksowały nieznanego, jakby był kawałkiem materiału przedłożonym jej do fachowej oceny.

- Witam, panie Johnstone - odparła, ujmując jego dłoń.

Pod eleganckim, częściowo rozpiętym płaszczem mężczyzna miał granatową marynarkę, białą koszulę i żółtą wiązaną muszkę. Stanowiła akcent bardzo indywidualny, wyróżniający go z tłumu. Pasowałyby raczej do senatora z Południa, biznesmena o dluzszych wpływach czy ekscentrycznego reprezentanta stołecznej prasy.

- Miło, że pani przyszła - oświadczył ciepłym głosem.

Polityk albo biznesmen, rozstrzygnęła Dani w duchu. Żaden dziennikarz nie zawracałby sobie głowy, żeby mnie dobrze usposobić.

- Zawsze chętnie przychodzę do National Gallery, żeby porozmawiać o "właściwych sposobach przechowywania i konserwacji tekstyliów, istotnych z punktu widzenia archeologii bądź mających duże znaczenie historyczne".

Uśmiech Johnstone'a zmienił się nieznacznie, gdy mężczyzna rozpoznał dokładny cytat z własnego listu, wysłanego wczoraj przez posłańca.

- A, tak :- powiedział z nagłą powagą na okrągłej twarzy. - No cóż, to jest właśnie to, co chciałbym pani wytłumaczyć. W tym konkretnie przypadku istnieje pewien problem, który trzeba będzie rozwiązać, zanim dojdziemy do kwestii "przechowywania i konserwacji". To jest, eee ... - urwał, jakby w poszukiwaniu właściwego sformułowania.

Czekała, uśmiechając się chłodno.

- Boję się, że mnie pani przyłapała - oświadczył z westchnieniem. Nie jestem pracownikiem National Gallery ...

- W takim razie, kim pan jest? - wpadła mu w słowo Dani.

- ... ale chciałbym przez chwilę prywatnie z panią porozmawiać - kontynuował Johnstone jednym tchem

- a nie znam innego miejsca, które, choć ogólnie dostępne, zapewniłoby jednocześnie absolutną anonimowość, jak właśnie Pennsylvania Avenue w dzień równie chłodny jak dzisiejszy. Przejdziemy się?

- Czy ma to coś wspólnego z zabytkowymi materiałami?

- Ma.

Dani jednak nadal się wahała. Johnstone wyglądał wprawdzie dość nieszkodliwie, ale ona nie należała bynajmniej do słodkich idiotek. Po Waszyngtonie pętało się aż nazbyt wielu łajdaków, zarówno tych cieszących

się poparciem wyborców, jak i zwyczajnych samozwańców.

- Proszę się nie obawiać - rzekł Johnstone z uśmiechem. - I to nie tylko dlatego, że moje małżeństwo jest nad wyraz szczęśliwe. W żadnym razie nie mógłbym dotrzymać kroku sprawnej młodej kobiecie, która przechadza

się po dachach Lhasy i podróżuje górskimi szlakami z dala od głównej drogi wiodącej do Katmandu.

Dobrych kilka minut Dani wpatrywała się w niego bez słowa.

Z nikim, ale to absolutnie z nikim nie rozmawiała o swojej przygodzie w Lhasie.

- Tybet? - spytała spokojnie. - Byłam tam ostatnio. Towarzyszyłam miejscowym plemionom w ich wędrówkach po górach.

- Oraz złodziejowi znanemu jako Feng.

- Feng? To jakieś nieporozumienie. Mój tłumacz nie nazywał się Feng. Nie był także złodziejem.

Johnstone z zadowoleniem kiwnął głową.

- Tak jak mówił, naiwna, ale z pewnością niegłupia.

- On?

- Shane Crowe, rzecz jasna.

Tym razem Dani z trudnością zapanowała nad sobą.

- Pracuję dla Risk Limited - oświadczył Johnstone. - Shane jest moim starym przyjacielem. Dokładniej rzecz biorąc, uratował mi życie. Podobnie jak pani.

Delikatny nacisk położony na ostatnie zdanie nie uszedł uwadze dziewczyny.

Nikomu niczego nie zawdzięczasz. Pamiętaj o tym, jak przyjdą do ciebie.

Wyglądało na to, że "oni" właśnie przyszli.

W tej więc sprawie Shane miał rację, ale mylił się co do reszty: niewątpliwie zawdzięczała mu życie.

Prawdę powiedziawszy, zawdzięczała mu znacznie więcej. Przekonał ją, że przynajmniej jeden potężnie zbudowany mężczyzna zasługuje na zaufanie; że z pewnością nie wykorzysta swej siły przeciwko kobiecie.

Nie wiedziała, który z tych dwóch długów był większy.

- Czy to Shane pana przysłał? - spytała bez wstępow.

- Nie. Jego szef.

- A więc nie Shane.

Nie ulegało wątpliwości, że poczuła się rozczarowana, chociaż sama nie bardzo wiedziała, dlaczego.

- Nie - odparł Johnstone. - Shane był temu przeciwny. Mocno się nawet przy tym upierał, jeśli chce pani znać prawdę.

Z tymi słowy zerknął na okazałych rozmiarów ręczny zegarek z nierdzewnej stali, marki Rolex Oyster, który w zestawieniu z żółtą muszką wyglądał przygnębiająco praktycznie.

- Boję się, że kiepsko stoimy z czasem, jak by to ujął Gillie - zauważył Johnstone.

- Gillie? Shane kiedyś coś o nim wspomniał.

- Naprawdę? To ciekawe. W każdym razie, Gillie uznał, że powinna się pani dowiedzieć, z jakimi problemami Risk Limited musi się obecnie borykać w związku z faktem, że Shane wypuścił w Lhasie ten jedwab z rąk.

"To był mój wybór, Dani, nie twój". Zamiast ratować jedwab, uratował ją. -

Przejdziemy się? - spytał Johnstone.

- Tak - odparła Dani gwahownie .. - Myślę, że tak.

Poprowadził ją w górę Pennsylvania Avenue, w kierunku Capitol Hill, od którego dzieliły ich trzy przecznice. Poruszał się sprężystym krokiem, zadziwiającym u człowieka tej tuszy.

Po drodze nie przestawał mówić.

- Jak można się domyślić z mojego akcentu, jestem Kanadyjczykiem. Byłem korespondentem "Toronto Globe and Mail" w Iranie.

- Teraz przypominam sobie pańskie nazwisko - powiedziała. - Kilka lat temu zbuntowani Kurdowie wzięli palia jako zakładnika, prawda?

Mężczyzna przytaknął. - Podziwiam pani pamięć. Wzruszyła ramionami.

- Sama spędziłam trochę czasu w Kurdystanie - stwierdziła. - Mają bogatą tradycję w dziedzinie produkcji wspaniałych tkanin.

Uśmiechnął się dość ponuro.

- W przeciwieństwie do pani, moje wspomnienia odnośnie Kurdów nie są, eee, natury estetycznej.

- To zrozumiałe. - Zmarszczyła brwi. - A właściwie, jak się pan uratował, bo chyba nigdy o tym nie słyszałam. Ni stąd, ni zowąd pańska sprawa zniknęła z serwisów informacyjnych.

- Moja firma skreśliła mnie publicznie. Stwierdzili, że nie zamierzają płacić okupu ze względów zasadniczych.

- Czarujące pociągnięcie.

- Inteligentne - poprawił ją Johnstone. - Wynajęli już wówczas prywatną firmę wyspecjalizowaną w sprawach porwań i wykupu zakładników. - Risk Limited - powiedziała.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Dokładnie.

- Prywatna, nie rządowa - zauważyła Dani.

Tym razem w jej słowach krył się sceptycyzm.

- Bardzo prywatna - potwierdził. - W naszym nowoczesnym świecie potężne instytucje ... czy to rządy, czy międzynarodowe korporacje ... nie są po prostu w stanie rozpalic małego ogniska, nie wznecając przy okazji wielkiego pożaru.

Nie podjęła dyskusji. Wiedziała, że negocjacje, których celem jest uwolnienie zakładników, ciągną się zwykle bez końca. *Aż* za często ich jedynym rezultatem są nagłówki na pierwszych stronach gazet i trupy porwanych, którzy idą w zapomnienie wraz z następnym aktem terroryzmu.

- Czym dokładnie jest Risk Limited? - spytała.

- Międzynarodowym konsorcjum kobiet i mężczyzn, którzy wykazali się umiejętnością działania we wrogim, niesformalizowanym otoczeniu.

- A w prostych żołnierskich słowach?

Johnstone uśmiechnął się.

- Risk Limited - odparł - wykonuje robotę tam, gdzie nikt nie przyznaje nagród za styl. .

Teraz ona nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nooo, nie wiem - powiedziała z wahaniem. - Shane ma swój styl, i to dość charakterystyczny. - Hmm!

- Prawość skojarzona z siłą i inteligencją - wyjaśniła.

- Prawość - powtórzył Johnstone, jakby smakując to słowo. - Ciekawe.

- Czyżby, pana zdaniem, Shane nie zasługiwał na to określenie?

- Ależ nie, wprost przeciwnie. Jednak większość ludzi błędnie go ocenia. Uważając go na przykład za brutala,

a nie utalentowanego negocjatora.

- Negocjatora? Podejrzewam, że lada chwila uzna pan rewolwer za narzędzie negocjacji - skwitowała Dani sucho.

. - Nie nazwałem przecież Shane'a Matką Teresą. Gdy negocjacje zawodzą, odwołuje się do innych metod.

W ten

sposób i mnie uratował. - Prowadząc rozmowy?

- Prawdę mówiąc, nie wydał ani jednego dźwięku. Znokautował strażnika na dziedzińcu pod moim oknem i wspiął się do mnie po skalistej ścianie.

- A potem nastąpiła długa jazda w szmuglerskim schowku, prawda?

- Nie w moim przypadku. Pięć minut szybkim krokiem, a tam już czekał na nas helikopter.

- Wygląda na to, że Shane zawsze ma jakiś śmigłowiec pod ręką - zauważyła.

- To żadna sztuka. Oczywiście pod warunkiem, że gotowa jest pani płacić tysiąc dolarów za godzinę postoju maszyny w pełnej gotowości - stwierdził Johnstone.

Dani otworzyła szeroko oczy.

- Risk Limited musi mieć niesamowite koszty własne.

- Aby je zrównoważyć, żąda niesamowitych honorariów. Wyciągnięcie mnie stamtąd kosztowało moją firmę prawie milion dolarów.

"Nic nikomu nie jesteś winna".

A jakże, nic jak jasna cholera, pomyślała z goryczą. Wpakowała się w tarapaty. Shane i Risk Limited pomogli

mi się z nich wykaraskać.

I jeszcze ten błękitny mnich zwany Dordzi. Nigdy go nie zapomnę. "Pojednał się z sobą i swymi bogami, gdy na

ochotnika zgłosił się do prowadzenia tej ciężarówki. A wszystko, co my możemy zrobić, to dołożyć starań, aby

jego poświęcenie nie poszło na marne".

- To ile pieniędzy ja was kosztowałam? - spytała.

Johnstone rozejrzał się w milczeniu, przeprowadził ją przez Pennsylvania Avenue i ruszył chodnikiem okrążającym Kapitol od południa. Przed nimi wyrósł budynek, w którym mieściły się biura Senatu.

- Gdyby było kogo obciążyć kosztami - odezwał się wreszcie - na przykład Wydział Archeologii, gdzie pani pracuje, rachunek sięgnąłby kilkuset tysięcy dolarów.

- Sto tysięcy dziennie czy może trochę mniej? - spytała.

- Cena uzależniona jest od miejsca i okoliczności.

Nic nie powiedziała.

Nie mogła. Ten dług przyjdzie jej spłacać do końca życia. Johnstone popatrzył na nią spod oka.

- Niech pani nie będzie taka przerażona, pani Warren. Shane już tam był, pracował dla innego klienta. Upiera się

w dodatku, żeby akcję na pani rzecz Risk Limited potraktowała jako swój "charytatywny wkład" . -

Korporacje

nie uprawiają dobroczynności.

- I dlatego Risk Limited nie jest korporacją - mężczyzna uśmiechnął się zwycięsko. - Jakby nie było, Shane oświadczył, że waży pani zbyt mało, by mogło to wpłynąć na zużycie paliwa.

Dani przypomniała sobie ostatni krótki odcinek drogi do helikoptera. I tamto wszechogarniające poczucie bezpieczeństwa w ramionach Shane'a.

- Miałam dużo szczęścia - powiedziała miękko.

- Oboje mieliśmy. Oboje zawdzięczamy życie temu samemu mężczyźnie i tej samej organizacji.

- Owszem.

- To właśnie dług wdzięczności wobec mojego zbawcy sprawił, że jestem dzisiaj tym, czym jestem.

- To znaczy?

- Odkąd zetknąłem się z Shanem Crowem, zostałem konsultantem Risk Limited do spraw reklamy i kontaktów z prasą.

- Jednym z tych, którzy biorą pieniądze za to, by nazwa firmy nie pojawiała się w mediach.

- Strzał w dziesiątkę.

- To jego słowa, nie moje. Ale mnie to wszystko nadal pachnie CIA - stwierdziła Dani.

- Naiwna, ale nieufna. Interesująca kombinacja.

- Naiwna czy nie, samotna kobieta, jeżeli ma żyć, musi błyskawicznie wyzbyć się ufności - odparowała.

- Tym bardziej więc jestem zaskoczony, że wtedy w Lhasie zdecydowała się pani podać rękę Shane'owi Crowe'owi.

Dani odetchnęła głośno.

- Podobnie jakja - szepnęła. - Do dzisiaj nie wiem, dlaczego właściwie mu zaufałam.

- Może martwy człowiek u pani stóp miał z tym jakiś związekpodsunął Johnstone ironicznie.

- Nie wiedziałam, kto zastrzelił Fenga. Nadal nie wiem.

- Coś podobnego. W głowie się nie mieści. Nic dziwnego zatem, że Shane okazał się wobec pani taki opiekuńczy.

Dani potrząsnęła w milczeniu głową, ale wiedziała, że nie może zaprzeczać temu, co się wówczas wydarzyło.

Była komuś coś winna.

- Czego Risk Limited żąda tytułem spłaty długu? - zapytała prosto z mostu.

- Zatrudniamy wielu specjalistów, albo jako konsultantów, albo pracowników w niepełnym wymiarze godzin.

Czekała.

- No i proszę, jesteśmy na miejscu. - To było wszystko co usłyszała. "Miejsce" okazało się bocznym wejściem do nowego budynku biur

Senatu, usytuowanego na południe od Kapitolu. Johnstone poprowadził Dani przez bramki do wykrywania metalu, a potem korytarzem, aż do niewielkiego stanowiska ochrony, znajdującego się na wprost

nieoznakowanych

podwójnych drzwi.

Umundurowany strażnik przy biurku porównał legitymację Johnstone'a z leżącą na blacie listą. Po chwili kiwnął głową i wyjął dwie plakietki na długich łańcuszkach.

Johnstone jedną zawiesił sobie na szyi, drugą podał Dani. Podniosła plakietkę i przyjrzała się jej uważnie. Widniał na niej wyraźny

napis: "Zaproszony gość".

- Zaproszony do czego? - spytała.

- Tędy proszę - powiedział Johnstone.

Chwilę później gestem wskazał słabo widoczną wywieszkę z brązu, osadzoną w marmurowej płycie w pobliżu drzwi.

Sala Przesłuchań, Senacka Komisja ds. Wywiadu Nieupoważnionym wstęp
wzbroniony

"

Już otwierała usta, by coś powiedzieć.

_ N a razie żadnych więcej pytań - uciszył ją. - Gdyby ktoś miał wątpliwości, jest pani konsultantem pracującym dla Risk Limited.

- Nie jestem ...

_ Warunki umowy omówimy później - przerwał. - W tej chwili naprawdę musimy być cicho.

Nie dając Dani żadnych szans na wycofanie się, otworzył jedno skrzydło podwójnych drzwi i wprowadził dziewczynę na korytarze władzy.

11

Pomieszczenie było niewielkie. Brakowało w nim krzeseł dla publiczności i galerii dla dziennikarzy.

Komisja do spraw Wywiadu była

jedną z nielicznych grup legislacyjnych, którym pozwolono wykonywać swoje obowiązki w prywatnym zaciszu.

W tym momencie obecnych było tylko pięciu senatorów. Przewodniczył elegancki Południowiec - Horace Sumpter.

Poza nim Dani rozpoznała tylko cieszącego się dużą popularnością Johna Fitzroya, potomka jednej z najstarszych i najpotężniejszych amerykańskich "dynastii" zajmujących się polityką. Był senatorem stanu Connecticut i zanosilo się na to, że swą pozycję zachowa do końca życia.

Pozostali obecni, rozparci w skórzanych fotelach, też wydali się jej w jakimś sensie znajomi. Choćby dlatego, że wyglądali, jakby wyszli spod jednej sztancy: rośli, silni, z widoczną skłonnością do rządzenia. I bez względu na to, jakie reprezentowali poglądy, wszyscy ubrani byli w tradycyjne wełniane garnitury.

W Dani natychmiast odezwał się znawca historii tekstyliów. Odnotowała w duchu elegancję senatorskich strojów. Ubranie z delikatnej wełny było znakiem firmowym waszyngtońskiej elity, podobnie jak jedwabna toga stanowiła w dawnych czasach obowiązkowy strój najpotężniejszych patrycjuszów Rzymu.

Dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy kosztowna, wysokogatunkowa wełna wytrzyma próbę czasu równie dobrze, co przetykany złótem jedwab, który widziała w Lhasie. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, mocno w to wątpiła. Dla Tybetańczyków zabytkowa tkanina stanowiła obiekt religijnej czci i przedmiot uwielbienia jako materialny pomost wiodący do świata, który leży poza obszarem ludzkiego poznania. Wełniane garnitury były tylko i wyłącznie ubraniem.

Umeblowanie sali przesłuchań składało się z piętnastu obitych skórą foteli o wysokich oparciach, ustawionych na zgrabnym podwyższeniu - kilku krzeseł dla etatowych pracowników oraz stołu dla świadków. Podium w kształcie podkowy sprawiło, że centralnym punktem pomieszczenia wydawał się właśnie stół dla świadków, przy którym w tym akurat momencie siedziała kobieta i dwóch mężczyzn.

Dani zaparło dech, gdy rozpoznała jednego z nich.

Od Lhasy dzieliło ich wprawdzie pół świata, ale Shane Crowe w ciemnym ubraniu, białej koszuli i ciemnozielonym krawacie wyglądał równie zabójczo jak wówczas, gdy miał na sobie sfatygowany strój turystyczny, a na twarzy tygodniowy zarost.

Dani z wysiłkiem oderwała od niego wzrok. Drugi mężczyzna był wysoki, dobrze zbudowany i nawet siedząc, zachowywał wojskową postawę. Czarne włosy miał obcięte na jeża.

W pierwszej chwili pomyślała, że jest bardzo silnie opalony. Dopiero gdy zwrócił się ku kobiecie siedzącej obok, dziewczyna uświadomiła sobie, że jest po prostu czarny. A chociaż lata młodości pozostawił dawno za sobą, był najprzystojniejszym mężczyzną jakiego kiedykolwiek widziała.

Gdyby Michał Anioł miał okazję go zobaczyć, wyrzeźbiłby swojego Dawida w czarnym marmurze, a nie w białym, przemknęło jej przez myśl.

Mężczyzna cichym głosem mówił coś do kobiety zajmującej środkowe miejsce przy stole. Siedziała wyprostowana, a chociaż jej zachowanie zdradzało pewność siebie, nie było w nim nic z wojskowego drylu.

Gdy odwróciła twarz w stronę ciemnoskórego rozmówcy, Dani zorientowała się, że ma przed sobą w pełni dojrzałą kobietę o delikatnych, nieco zwiórczałych już rysach. Z jej twarzy promieniowała inteligencja i niespożyta energia. Dyskretny makijaż podkreślał naturalną urodę, a siwiejące rude włosy wskazywały na to, że kobieta zna swoją wartość i nie widzi potrzeby udawania młodszej, niż jest w istocie. Dani odnotowała to z aprobatą.

- Cassandra Redpath - szepnęła jej Johnstone do ucha. To tłumaczy jej pewność siebie, pomyślała.

Redpath była pierwszą kobietą na stanowisku zastępcy szefa Centralnej Agencji Wywiadowczej, ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy Organizacji Narodów Zjednoczonych i wysoko cenionym historykiem.

- Co ją wiąże z Shanem? - zapytała Dani najcichszym szeptem.

- Jest jego szefową. Ale teraz już ani słowa, proszę.

Podczas gdy dziewczyna oswajała się z informacją, że siedząca nieopodal kobieta kieruje Risk Limited, drzwi za podium otworzyły się i do pokoju wkroczył szósty senator. Pomachał Redpath na powitanie i zajął swoje miejsce.

W odpowiedzi rudowłosa kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się.

Po czym zwróciła się z czymś do Crowe'a siedzącego po jej prawej ręce.

Shane pochylił się, by szepnąć jej coś do ucha i, zerknąwszy przez ramię, dostrzegł Dani w towarzystwie Elmera Johnstone'a. Jedynej reakcją było nieznaczne przymrużenie oczu.

Dziewczyna nie miała jednak cienia wątpliwości, że nie jest on bynajmniej zadowolony, widząc ją znowu. "Nic nikomu nie jesteś winna".

Ładny gest, pomyślała ze złością, ale ja mam zwyczaj spłacać swoje długi.

Lekko dotykając łokcia Dani, Johnstone skierował ją ku pojedynczemu rzędowi krzeseł ustawionych pod ścianą pokoju.

Ledwie zajęli miejsca, gdy przewodniczący kiwnął głową w stronę świadków.

Rozpoczęło się przesłuchanie.

- Szanowna pani ambasador, z prawdziwą przyjemnością witam panią znowu w Waszyngtonie - zagaił Sumpter. - Pani mądrość i intuicja są zawsze mile widziane.

Urwał, żeby odchrząknąć, i pogłaskał ręką krawat, jakby chciał się upewnić, że ta część garderoby znajduje się na właściwym miejscu.

Nerwowy gest? - zastanawiała się Dani. Czy może facet należy do mężczyzn, którzy przywiązują nadmierną wagę do swoich strojów?

- Ponieważ jednak nie jest to zwykle przesłuchanie, pani ambasador - kontynuował Sumpter - należy się pani wyjaśnienie dotyczące celu naszego spotkania.

- Doceniam pańską uprzejmość, panie senatorze, ale zapewniam, że świetnie się orientujemy, dlaczego nas tu zaproszono. Nie wszyscy z tu obecnych z entuzjazmem odnoszą się do istnienia Risk Limited.

Sumpter dotknął złotej spinki do krawata.

- Hmm - mruknął. - Tak czy inaczej, kierowana przez panią prywatna organizacja ma na swym koncie działania, które przyniosły niemałe korzyści społeczeństwu.

Senator Fitzroy poruszył się i zastukał w stół długopisem. Dźwięk nie był głośny, ale odwrócił uwagę słuchaczy od słów Sumptera.

- Ujawnienie kompromitujących powiązań między ministrem obrony Meksyku a kolumbij skimi handlarzami narkotyków było dużym osiągnięciem wywiadowczym - kontynuował przewodniczący odrobinę głośniejsze. - Dziękuję - powiedziała wyraźnie Cassandra Redpath.

- Podobnie należy oceniać odzyskanie przez was ukrytych aktywów

Ferdinanda Marcosa - ciągnął dalej Sumpter - czy skonfiskowanie Rosjanom materiałów rozszczepialnych przechowywanych w Zurychu.

Rudowłosa kobieta skinęła tylko głową, czekając, co będzie dalej.

Podejrzewała, że lada chwila padną słowa krytyki.

- Mówiąc otwarcie, wasze osiągnięcia zirykowały kilku profesjonalistów z rządowych służb wywiadowczych - dodał przewodniczący.

- Risk Limited nie rywalizuje z agencjami rządowymi - odparła Redpath. - Jesteśmy firmą całkowicie prywatną.

Długopis Fitzroya stukał coraz głośniejsze.

- Mając powiązania i układy na całym świecie - zaznaczył Sumpter.

- Międzynarodowe korporacje nie są nielegalne.

- Oczywiście, że nie.

- Działalność Risk Limited najlepiej oceniać oczami naszych wrogów, panie senatorze. - Słucham?

- W wyniku pomocy udzielonej przez Risk Limited niektórym włoskim miastom w walce z korupcją, mafia sycylijska wyznaczyła sto tysięcy dolarów nagrody za moją głowę - oświadczyła pani ambasador. Sumpter zerknął spod oka na Fitzroya. Jego coraz głośniejsze postukiwanie długopisem zaczynało być obraźliwe.

Jednakże Cassandra Redpath ignorowała Fitzroya całkowicie.

- W ubiegłym roku połączone siły kilku rosyjskich organizacji przestępczych doprowadziły do śmierci jednego z naszych ludzi w Brighton Beach - kontynuowała - a w Cambrii, w Kalifornii podczas przesłuchania

świadka urządzono zasadzkę na innego agenta. .

- Zakładam, że ta wyliczanka ma czemuś służyć? - wtrącił Fitzroy.

Spojrzała w jego kierunku.

- Owszem, panie senatorze - odparła sucho. - Nasi wrogowie są jednocześnie wrogami całego cywilizowanego świata. A mimo to jako firma zajmująca się prywatnymi dochodzeniami nie doznajemy zwykłej zawodowej uprzejmości, która przysługuje przecież specjalnym agentom legalnych rządów.

- N a przykład?

- Chodzi o oficjalnie usankcjonowane milczenie na temat ich poczynañ.

Z tymi słowy skierowała swą uwagę ponownie ku Sumpterowi.

_ Dlatego też - kontynuowała - Risk Limited stara się trzymać w cieniu. Przesłuchania takie jak obecne mocno nas niepokoją, ponieważ stanowią potencjalne źródło zagrożenia dla naszych pracowników. Sumpter skinął głową, po czym pochylił się do przodu i z wysokości podium spojrział w dół na swego kolegę z Nowej Anglii.

- Chciałbym mieć pewność - powiedział - że po dzisiejszym spotkaniu nie pozostanie żaden ślad, podobnie jak to ma miejsce z większością przesłuchań prowadzonych przez naszą komisję.

Fitzroy wyglądał na znudzonego.

- Pani ambasador Redpath i jej koledzy przyszli tutaj dobrowolnie - kontynuował Sumpter. - Nie będzie żadnych przecieków z tego, co zostanie tu powiedziane. Żadne informacje czy wzmianki na temat poczynañ Risk Limited nie zostaną przekazane prasie.

Fitzroy zerknął na zegarek. Jego asystent pochylił się i zaczął coś mu szeptać do ucha.

~ Po tych wstępnych uwagach - oświadczył Sumpter - oddaję głos mojemu dobremu przyjacielowi, senatorowi Fitzroyowi, który osobiście domagał się stawienia przedstawicieli Risk Limited na tej sali. Wywołany nie przerwał rozmowy ze swoim asystentem. Z bezbłędną precyzją, wyostrzoną w toku długich lat uprawiania polityki, odmierzył czas. Pauza była dość długa, by można ją było uznać za afront, ale nie na tyle, by potraktować ją jako jawnie obelżywę.

Dani uśmiechała się dyskretnie. Nawet kompletny ignorant bez trudu mógł się zorientować, że Fitzroya nie można zaliczyć do fanów Risk Limited.

Twarz senatora, pojawiająca się równie często w serwisach informacyjnych, co w kronice towarzyskiej, na żywo wydawała się zaczerwieniona i lekko opuchnięta. Fitzroy cieszył się reputacją pijaka i kobieciarza. Nic w tym nowego, pomyślała Dani. Większość polityków w Waszyngtonie zasługiwała na podobną opinię. Schludnie wyglądający młody mężczyzna w okrągłych okularach i o nienagannym sposobie bycia, typowym dla absolwentów szkół prywatnych, nie przerwał potoku informacji wypowiedzianych szeptem na użytek senatora. Kartkował przy tym kilkustronicowy dokument, wskazując wybrane akapity, po czym wręczył opracowanie swojemu szefowi.

Poirytowany Fitzroy założył okulary do czytania i zagłębił się w lekturze. Trwało to dobrą chwilę. Wreszcie odsunął fotel od swego asystenta i zwrócił się twarzą ku stołowi dla świadków.

- Dziękuję, panie przewodniczący - rzekł. - Chciałbym zapewnić moich znakomitych kolegów, że nie z mojej strony doszło do przecieków z prac tej komisji nad sprawą Masona-Dixona.

Sumpter obojętnie kiwnął głową.

Pomimo starannego doboru słów i uprzejmych wypowiedzi dla Dani było zupełnie jasne, że ci dwaj mężczyźni nie darzą się szacunkiem.

- Jednocześnie, panie przewodniczący - kontynuował Fitzroy dźwięcznym, chociaż nieco ściszym głosem - wielką troską napawa mnie zjawisko prywatyzacji międzynarodowych instytucji strzegących prawa. Jestem głęboko przekonany, że sprawy życia i śmierci powinny pozostać w rękach legalnie ukonstytuowanych rządów.

Sumpter wyglądał na niezbyt zainteresowanego. Najwyraźniej nie po raz pierwszy usłyszał tę opinię.

- W szczególności - Fitzroy zwrócił się do Redpath - kwestionuję działalność prywatnych organizacji ochroniarskich, takich jak firma kierowana przez panią. W związku z tym mam wiele pytań.

- Dlatego tu jesteśmy - odparła.

- Czy nie jest prawdą - ciągnął senator - że prywatne firmy zostały zdominowane przez zdyskredytowanych agentów wywiadu i bezwzględnych wolnych strzelców, którzy najpierw zdobywają wyszkolenie zawodowe na koszt legalnej władzy, a następnie sprzedają swoje umiejętności temu, kto im więcej zapłaci? Na przykład wielonarodowym organizacjom, które w obcych krajach wynajmują prywatne armie, aby zagwarantować sobie planowane zyski?

Cassandra Redpath uśmiechnęła się pod nosem, wyraźnie ubawiona. - Panie senatorze - odparła. - Pańska wypowiedź, pełna aluzji, opiera się na dość wątpliwych założeniach.

Fitzroy poruszył się i otwarcie spojrział jej w twarz, jakby zaskoczony bezpośredniością odpowiedzi. Już otwierał usta, by zareplikować, ale Redpath mówiła dalej, nie dając mu dojść do słowa.

- Risk Limited zatrudnia byłych żołnierzy, oficerów wywiadu i pracowników wszelkich instytucji powołanych do strzeżenia prawa. Do tej kategorii i ja należę. Swego czasu pracowałam jako urzędnik państwowy i cieszyłam się nieposzlakowaną opinią, czego o wielu wysoko postawionych osobistościach, wyłanianych w drodze wyborów, nie da się powiedzieć.

- Ten punkt. .. - zaczął Fitzroy. Redpath zignorowała go.

- Jeśli zaś chodzi o zleceniodawców - wpadła mu w słowo - to Risk Limited rzeczywiście pracuje dla

prywatnych korporacji na całym świecie. Przyjmujemy również zlecenia od obcych rządów, kiedy sytuacja zmusza je do przeprowadzenia dochodzenia poza granicami swego kraju, oraz od osób prywatnych, które doszły do wniosku, że tego rodzaju specjalistyczne usługi są im potrzebne.

- Specjalistyczne usługi - zauważył Fitzroy z sarkazmem. - A której z waszych specjalistycznych usług może potrzebować ucziwy człowiek?

- Rady, jak postępować w przypadku porwania kogoś bliskiego przez terrorystów czy organizacje przestępcze działające gdzieś w świecie. W ciągu ostatnich lat prowadziliśmy wiele tego rodzaju spraw.

- Dla kogo? - dopytywał się senator.

- Świetnie pan wie, że gwarantujemy naszym klientom pełną anonimowość.

- Jak to szlachetnie brzmi. Ja jednak twierdzę, że taka sytuacja jest dla was niezmiernie wygodna.

Redpath milczała. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Pod płaszczkiem anonimowości kryją się czyny przestępcze - dodał Fitzroy.

- Nie będę zaprzeczać przez szacunek dla pańskiego ogromnego doświadczenia w tej dziedzinie - odrzekła gładko.

- Ależ pani doświadczenie jest znacznie większe - odparował senator. - "Anonimowa grupa" wynajęła Risk Limited do zgładzenia aktywistów politycznych w Irlandii Północnej. '

Fitzroy wymownie spojrzął na wysokiego ciemnoskórego mężczyznę siedzącego obok Redpath.

Pani ambasador pochyliła się do mikrofonu.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedziała. Jej głos brzmiał ciepło, ale zielone oczy były zimne jak lód.

- Mam na myśli waszego współpracownika, sierżanta sztabowego Gillespiego - wyjaśnił Fitzroy.

Mężczyzna zachowujący wojskową postawę jeszcze mocniej się wyprostował.

- Pan Gillespie - ciągnął senator - jest byłym członkiem osławionej brytyjskiej Tajnej Służby Powietrznej, SAS, bandyckiej jednostki, która w straszliwy sposób ciemniżyła Irlandię Północną, zajmowała się mordowaniem niewinnych aktywistów politycznych i burzeniem porządku społecznego.

- Osławionej? Bandyckiej? Straszliwy? Mordowaniem? - powtórzyła Redpath ostrym głosem, a potem dodała chłodno: - To niedorzeczności, panie senatorze. Tak jak niedorzecznością jest nazywanie członków Irlandzkiej

Armii Republikańskiej "niewinnymi aktywistami politycznymf'.

- To wcale nie są niedorzeczności - zachnął się Fitzroy. - Czy nie jest prawdą, że pan Gillespie jest człowiekiem, którego brytyjska prasa zidentyfikowała jako żołnierza numer trzy? Miało to miejsce podczas prowadzonego przez władzę dochodzenia w sprawie zabójstw politycznych dokonywanych przez brytyjskich agentów specjalnych na terenie

Irlandii Północnej. I

Dani dostrzegła, że przy tych słowach Shane zeszywniał. 'Podobnie zareagowała Cassandra Redpath.

Natomiast Gillespie ani drgnął.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że to przesłuchanie będzie dotyczyło taktyki wojennej i polityki militarnej Wielkiej Brytanii - odparła Redpath, nie okazując emocji. - W przeciwnym razie przyprowadziłabym ze sobą eksperta.

- Niniejsze przesłuchanie dotyczy działalności prywatnych agencji ochroniarskich i rozmaitych wyrzutków, których one zatrudniają - odciął się Fitzroy. - Pani osoba wystarczy w charakterze tak zwanego eksperta.

Gillespie pochylił się i szepnął jej coś do ucha. Redpath spojrzała na niego. W jej oczach pojawił się błysk natury bardziej osobistej niż zawodowej.

Nieznacznie przecząco potrząsnęła głową, a Gillespie znowu coś szepnął.

Redpath osłoniła usta dłonią i powiedziała kilka słów. "' Zaskakująco delikatny uśmiech i przeżący ruch głową były jedyną odpowiedzią.

Z wyraźnym ociąganiem, Redpath przesunęła mikrofon w jego kierunku.

Gillespie pochylił się do przodu i przemówił głębokim głosem, w którym można było naprzemiennie wychwycić akcenty karaibski, brytyjski i amerykański.

- Jestem Ranulph Gillespie, emerytowany podoficer dwudziestego drugiego pułku SAS Jej Królewskiej Mości - oznajmił. - Jestem również

człowiekiem, którego publicznie zidentyfikowano jako żołnierza numer trzy podczas wspomnianego przez pana dochodzenia.

Cassandra Redpath zacisnęła usta.

- Nie popełniłem żadnego czynu, który mógłby być uznany za niezgodny z prawem - kontynuował Gillespie.

- Tak brzmiał wniosek z dochodzenia, o którym pan mówił.

- Brytyjskiego dochodzenia - skwitował Fitzroy.

- "Niewinni polityczni aktywiści", którzy znaleźli się w ogniu wydarzeń objętych późniejszym

dochodzeniem - ciągnął sierżantbyli dwoma młodymi Irlandczykami uzbrojonymi w karabin Armalite AR-IS, ulubioną broń skrytobójców i zamachowców wszelkiej maści, trzy granaty ręczne i pistolet typu browning hi-power, kaliber dziewięć milimetrów.

Fitzroy postukiwał długopisem w blat stołu.

- Gotów jestem się zgodzić, panie senatorze - powiedział Gillespie że byli bardzo naiwni, a może również niewinni. Później odkryliśmy, że zostali podpuszczeni przez swoich towarzyszy z Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

- Wątpię w to.

- Może pan wątpić - odparł Gillespie - dysponujemy bezspornymi dowodami. Chcąc wywołać incydent międzynarodowy, IRA świadomie wystawiła tych dwóch chłopców i skazała ich na śmierć.

- Zatem przyznaje pan, że byli to chłopcy.

- Panie senatorze, w wieku, jaki osiągnęliśmy i pan, i ja, połowę ludzkości uznaje się za smarkaczy.

Sumpter zachichotał.

Fitzroya najwyraźniej zirytował fakt, iż publicznie przypomniano mu, ile ma lat.

- Jeśli jestem czemukolwiek winien - dodał Gillespie - to tylko temu, że okazałem się lepszym strzelcem niż ci dwaj młodzi mężczyźni, którzy zresztą robili, co mogli, żeby mnie zabić.

Fitzroy gwahownie odwrócił się do swego asystenta. Młody człowiek nerwowo:wertował dokumenty.

Redpath pochyliła się do mikrofonu i powiedziała:

- Tym, co powinno szczególnie pana zainteresować, senatorze, jest fakt; że ci dwaj młodzi Irlandczycy mieli przy sobie broń kupioną za pieniądze zebrane w Stanach Zjednoczonych.

Senator spojrział na nią.

- Udało nam się właśnie ustalić pochodzenie tych funduszy - ciągnęła Redpath. ~ Większość potrzebnej kwoty zebrano w barach Republiki

Irlandzkiej w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Właściciele tych lokali należą do pańskich najwierniejszych politycznych popleczników.

Ciemny rumieniec rozlał się po twarzy Fitzroya.

- Czyżby sugerowała pani, że mam jakieś powiązania z działalnością terrorystyczną? - zagrzmiął senator z oburzeniem.

- Pani ambasador nigdy by tego nie zrobiła - spokojnie odpowiedział Gillespie. - Przytoczyła po prostu dwa mało znane fakty. Wyciąganie wniosków pozostawia innym.

Fitzroy spojrział sierżantowi w oczy. Gillespie uśmiechnął się.

Polityk przeniósł wzrok na asystenta, który wiercił się nerwowo u jego boku.

Już na pierwszy rzut oka widać było, -iż młody człowiek jest chłopcem z dobrego domu i pochodzi ze wschodniego wybrzeża. Swoboda bycia, polor i nienagannie skrojone ubranie świadczyły o jego ambicjach, starannym wykształceniu i powiązaniach rodzinnych. Teraz jednak wpatrywał się zdumionym wzrokiem w Gillespiego, jakby nie był w stanie uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

Dopiero po chwili zorientował się, że senator wymachuje mu przed oczami plikiem kartek. Przeniósł spojrzenie na swego szefa.

Osloniwszy usta dłonią, Fitzroy szepnął kilka słów. Młody asystent bezradnie wzruszył ramionami. Wyjął papiery z rąk senatora, przerzucił kilka kartek i wskazał jakiś ustęp.

Polityk szybko przebiegł wzrokiem treść akapitu, potrząsnął głową i rzucił sekretarzowi spojrzenie, które mogłoby stopić szkło.

- Panie przewodniczący - powiedział, spoglądając na zegarek. - Mój asystent przypomniał mi właśnie o niezmiernie istotnym zagadnieniu dyskutowanym obecnie w Komisji do spraw Handlu, której również jestem

członkiem. Jeśli zatem nie ma pan nic przeciwko temu, proponowałbym, aby dalsze przesłuchanie ów młody człowiek, Sidney March, poprowadził .samodzielnie.

Sumpter nie krył zdziwienia.

- Odniosłem wrażenie, że panu szczególnie zależało na tym przesłuchaniu - rzekł. - Czy mam zatem rozumieć, iż omawiane zagadnienie przestało pana interesować?

Na twarzy Fitzroya zajaśniał "telewizyjny" uśmiech, który stał się niejako jego znakiem firmowym.

- W żadnym razie, panie przewodniczący - odparł. - Do zainteresowania się tą sprawą skłoniły mnie badania przeprowadzone przez pana Marcha. Jest więc kwestią zwykłej przyzwoitości pozwolenie mu na zadanie pani ambasador kilku pytań.

Senator podał swemu asystentowi przygotowaną zawczasu listę pytań, następnie wstał, skinął uroczyście głową Sumpterowi i opuścił salę przesłuchań.

Sidney March wpatrywał się przez długą chwilę w trzymane w ręku papiery, po czym zerknął na Sumptera i

wreszcie przeniósł spojrzenie na troje ludzi siedzących za stołem dla świadków. Właśnie dotarło do niego, że szef rzucił go wilkom na pożarcie.

- Gdy będzie pan gotów, panie March - odezwał się przewodniczący - proszę zaczynać.

Młody człowiek z trudem przełknął i spróbował odzyskać panowanie nad sobą. Znowu przejrzał papiery, szukając jakiegoś faktu czy pytania, które wybawiłoby go z kłopotu.

- Pani ambasador - zaczął drżącym nieco głosem - czy nie jest prawdą, że pani firma działa jako swego rodzaju organizacja ochroniarsko-terrorystyczna, a ściślej mówiąc, jako organizacja niewspierana przez prawo?

Redpath ponownie odebrała Gillespiemu mikrofon.

- Zdecydowanie nie - odparła. - Agenci Risk Limited działają w ramach legalnych struktur kraju, w którym akurat przychodzi im wykonywać swoje obowiązki. Gdybyśmy nie przestrzegali tej kardynalnej zasady, narazilibyśmy się na ryzyko oskarżenia o przestępstwo, podobnie jak każdy obywatel tego kraju.

- A co się dzieje, gdy w danym kraju nie istnieją legalne struktury prawne? - drążył dalej March.

- Jeśli istnieją, działamy zgodnie z prawem. Jeśli zaś nie, postępujemy zgodnie z tym, co podpowiada nam zdrowy rozsądek.

- Pani pracownicy są dobrze wyszkoleni w stosowaniu gwałtu i przemocy - wytknął asystent senatora.

- Owszem. Czasami stanowi to jedyną alternatywę kapitulacji.

- A zatem aprobuję pani zadawanie śmierci przez osoby prywatne triumfująco zaznaczył March.

Gillespie pochylił się do przodu i dotknął ramienia rudowłosej kobiety. Oddała mu mikrofon.

- Tylko nieliczni spośród ludzi posługujących się śmiercionośną bronią aprobują przemoc, nie wspominając już o płynącym stąd zadowoleniu - odparł. - Do moich obowiązków należy między innymi pilnowanie, żeby ci, którym gwałt i przemoc sprawiają przyjemność, nie byli zatrudniani przez Risk Limited.

Sidney March zaczął coś mówić, ale Sumpter stanowczo mu przerwał:

- Panie March, zamiast skupiać się na faktach, tracimy cenny czas na dyskusje o charakterze filozoficznym. Jaki konkretny incydent czy incydenty odkryte przez pana doprowadziły senatora Fitzroya do wniosku, iż Risk Limited działa nieetycznie?

Zapytany dwukrotnie otworzył i zamknął usta.

- Zamierzałem to właśnie ustalić podczas niniejszego przesłuchania - odezwał się wreszcie.

- Senator Fitzroy nieco inaczej uzasadniał potrzebę przeprowadzenia tego przesłuchania - zauważył Sumpter.

- Wspomniał o jednoznacznych dowodach. Czy zechce pan je przedstawić?

- Ja ... ja ... to znaczy, miałem nadzieję ...

- Dziękuję panu - przerwał mu przewodniczący. - Wydaje mi się, że ...

March zaczerwienił się i rozejrzał, licząc na pomoc innych senatorów. Ale na sali był już tylko jeden.

Pozostali wymknęli się niepostrzeżenie, zorientowawszy się, skąd wiej~polityczne wiatry.

- Przyjmuję, że nikt więcej nie ma pytań do świadków - rzekł Sumpter. W sali przesłuchań zapadła cisza.

- W takim razie - oświadczył przewodniczący - dziękuję państwu za przybycie i udział w naszych poszukiwaniach dziury w całym.

- Cała przyjemność po naszej stronie, panie przewodniczący - odparła Cassandra Redpath.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Sumpter ujął leżący koło jego łokcia młotek i stuknął nim kilkakrotnie w podium.

- Oświadczam niniejszym, że posiedzenie komisji zostaje odroczone - rzekł. - Panie March, czy mogę prosić na słowo?

- My też powinniśmy zamienić parę słów - szepnął ktoś wprost do ucha Dani.

Podskoczyła i spojrzała na Shane'a. Była tak pochłonięta tym, co się działo, że nie usłyszała, jak do niej podchodził. Obok Crowe'a stał Gillespie.

Poczuła się przy nich jak karzeł. Błyskawicznie poderwała się na nogi.

- Później z nią porozmawiasz - powiedział Gillespie do Shane'a. Teraz pani Warren jedzie na spotkanie z Tybetańczykami.

- Doprawdy? - spytała Dani.

- Tak - potwierdził Gillespie tonem nie znoszącym sprzeciwu. - W rozkazie dziennym spotkanie wyznaczono na czternastą zero zero.

- Melduję posłusznie, sir, że może mnie pan pocałować w nos - odparła Dani z uśmiechem.

Shane zachichotał. Gillespie też się roześmiał.

- Witamy na pokładzie, pani Warren - powiedział. - Jeśli nie sprawi to pani zbyt wielkiego kłopotu, proponuję, by ruszyła pani swój czarujący tyłeczek w kierunku drzwi. Za dwadzieścia minut musimy być na miej scu.

- Tybetańczycy - powiedziała Dani. - Chodzi zatem o jedwab z Lhasy, prawda?

Gillespie i Shane jednocześnie rozejrzeli się wokół siebie, sprawdzając, czy ktoś przypadkiem mógł dosłyszeć te słowa.

Ale w pobliżu nikogo nie było.

- Tak - rzekł Gillespie, zniżając głos.

- Za czterdzieści minut rozpoczyna się seminarium, które prowadzę - oświadczyła.

- Ma już pani zastępstwo.

- Słucham?

- Ambasador zna wielu absolwentów pani wydziału. Niektórzy z nich pracują na wyższych uczelniach.

Ma pani zastępstwo.

- Tak po prostu?

Gillespie kiwnął głową.

- Możemy iść? - spytał.

- Nie musisz - wtrącił Shane. - Pamiętasz, co ci mówiłem?

- Każde słowo - odparła Dani. - Idę z panem, sierzancie.

12

Właśnie zakończyła obrady inna, znacznie liczniejsza senacka komisja. W kryptarzu tłoczyli się dziennikarze i ekipy kamerzy

stów. Ich aktualnym celem był senator, który z wielką swadą krytykował system podatkowy i podkreślał konieczność uwzględnienia oczekiwań najuboższej części społeczeństwa.

Nawet jeśli reporterzy dostrzegli sprzeczności w przemówieniu polityka, żaden o tym nie wspomniał.

- Proszę iść z Shanem - powiedział Gillespie do Dani. - Za chwilę do was dołączymy.

Crowe ujął dziewczynę za ramię i niczym lodołamacz przebijający się przez pokrywę lodową torował im drogę

przez zatłoczony hol.

Czując na ramieniu jego silną dłoń, wróciła myślami do wydarzeń z Tybetu. Uratował jej wtedy życie, ochraniał

przed wszystkimi, którzy mogliby wyrządzić jej krzywdę.

Świadomość, że i tu się o nią troszczy, była miłą, ale zarazem irytującą.

Jesteśmy przecież w Waszyngtonie, a nie w dzikich rejonach Tybetu, myślała Dani. Co może mi grozić w budynku, w którym mieszczą się biura senatu?

Gdy doszli do obrotowych drzwi wiodących na ulicę, Shane puścił jej ramię, wyprzedził i pierwszy wsunął się za

ruchome skrzydło. Dani zajęła następną "kabinę". Po chwili znalazła się na zewnątrz w rześkim powietrzu jesiennego popołudnia. Wokół unosił się zapach palonych liści.

Shane wyciągnął ku niej rękę, ale całą jego uwagę pochłaniało obserwowanie ulicy. Gdzieś po drodze, między

pokojem przesłuchań a chodnikiem, zdążył rozpiąć marynarkę.

Dani dostrzegła matową czerń pistoletu sterczącego z kabury u pasa. Przez krótką chwilę wydawało się jej, że

znowu jest w Tybecie. Rześki chłód powietrza zmienił się nagle w ostry mróz, a dym nie pochodził z palonych

liści, lecz z tysiąca ognisk, nad którymi przyrządzano posiłki. - Dani?

Podniosła wzrok i napotkała jego badawcze spojrzenie.

- Co się stało? - spytał Shane. - Czy zobaczyłaś kogoś, kogo pamiętasz z Tybetu?

- Nie kogoś. Coś.

- Co?

- Twoją broń. Przez chwilę wydawało mi się, że znowu jesteśmy w Lhasie.

Shane'a opuściło napięcie, ledwie zauważalne w jego postawie.

- Słyszałaś, co mówiła pani ambasador - powiedział. - Lhasa jest przedmieściem Waszyngtonu. Nasza mała niebieska planeta z każdym dniem robi się coraz mniejsza.

- Jeśli usiłujesz mnie nastraszyć, to możesz sobie darować. Mieszkam w okolicy Adams Morgan. W sąsiedztwie

mam chyba połowę stołecznych taksówkarzy i pewnie wszystkich cudzoziemskich terrorystów z całego dystryktu.

Shane głośno się roześmiał, ale już po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia, jakby własna reakcja

była dlań zupełnie nieoczekiwana.

I nie na miejscu.

Rozejrzał się wokół z miną pozornie obojętną i lekko dotknął ramienia Dani.

Jego bez troskie zachowanie nie zwiódło dziewczyny. Wiedziała, że błyszczące ciemne oczy Crowe'a nie przegapiły niczego.

- Tędy, proszę - rzekł i podprowadził Dani do czarnej limuzyny zaparkowanej w pobliżu.

Mimo iż był bardzo uprzejmy i swobodny, zdawała sobie sprawę, że lewą dłoń cały czas trzyma w pobliżu ukrytego pod marynarką pistoletu. Otworzył przed nią drzwi auta i gestem wskazał obite pluszem tylne siedzenie,

ale cała jego uwaga koncentrowała się na tym, co dzieje się na jezdni i obu chodnikach.

W jej duszy załagał się niepokój, jakby poczuła na sobie technienie śmierci. Tu, w Waszyngtonie, był równie czujny

i sprężony do walki, jak tamtej nocy w Lhasie, gdy wciągnął ją na dach, a potem w ciemnej alei opuścił na ziemię.

. Ich kolana zetknęły się, gdy Shane usiadł na jednym z dwóch opuszczanych foteli naprzeciwko Dani. Ten krótki

fizyczny kontakt uzmysłowił dziewczynie, że ma na sobie modną mini. W pozycji siedzącej brzeg spódniczki

wypadał grubo powyżej kolan.

Crowe również to zauważył. Ich spojrzenia na sekundę się spotkały.

Posłał jej uśmiech zaskakujący w swej szczerości.

Uśmiech ten był dla dziewczyny równie niepokojący, co fakt, że Shane jest uzbrojony.

- Nic dziwnego, że musiałeś opuścić klasztor - mruknęła.

Shane jeszcze przez chwilę patrzył na jej smukłe nogi, dopiero potem ponownie spojrzął jej w oczy.

- To nie dlatego - powiedział. - Ale jeszcze przez moment będziesz bezpieczna.

- A co mi zagraża?

- Ja.

Otworzyła usta, lecz nie wydała żadnego dźwięku.

- Ostrzegalem cie. Pamiętasz, jak mówiłem, że nic nikomu nie jesteś winna. Jeśli więc przyłączyłaś się do nas

tylko dlatego, bo uznałaś, że masz jakieś zobowiązania wobec mnie czy Risk Limited, otwórz te drzwi i uciekaj,

gdzie pieprz rośnie.

- Ale ...

- To było ostatnie ostrzeżenie - przerwał jej. - Za minutę zjawi się tu Gillie.

- Jestem tu z powodu jedwabiu - stwierdziła Dani. - A ty nie?

- Jest jedwab i jedwab - powiedział, znowu wpatrzony w nogi dziewczyny.

- Przestań, do cholery!

- Z pewnością nie jestem pierwszym facetem, który uznał twoje nogi za godne uwagi - zauważył spokojnie.

- Nie, ale ... - głos Dani zamarł.

- Ale? - odpowiedział usłużnie,

Zacisnęła zęby. Nie zamierzała się przyznawać, że tym razem męskie spojrzenie wytręcało ją z równowagi po

prostu dlatego, że Shane bardzo się jej podobał.

- Idź do diabła - mruknęła.

- Już tam byłem. I to nie raz. Nie jest to miejsce, które mógłbym komukolwiek polecić. Dlatego powtarzam: odejdz, póki jeszcze możesz.

Rzuciła mu chłodne spojrzenie i całą uwagę skupiła na przyciemnionych szybach samochodu.

Shane wyciągnął nogi trochę w bok, przed miejsce, którego nikt nie zajmował, i usadowił się wygodnie w swoim

opuszczanym fotelu. Sprawiał wrażenie rozluźnionego, ale jego ręka ani na chwilę nie oddalała się od paska z

kaburą.

Drzwi limuzyny otworzyły się. Cassandra Redpath weszła do auta i usiadła obok Shane'a. Poruszała się z gracją i

pewnością siebie. Widać było, że ma dobry nastrój, a w limuzynie czuje się jak u siebie w domu.

Rzuciła swoją skózaną torbę na miękką wykładzinę wyściełającą podłogę samochodu. Rozległ się stuk, jakby

torba zawierała stertę ciężkich książek.

Miejsce koło Dani zajął Gillespie. Drzwi zamknęły się za nim z głośnym trzaskiem, mającym w sobie coś ostatecznego.

Powinnaś wysiąść z tej limuzyny, zanim będzie za późno, pomyślała Dani. Lecz w głębi duszy podejrzewała, że

tak naprawdę za późno było już w chwili, gdy wsunęła swoją dłoń w dłoń Shane'a.

- Cassandra Redpath - zwróciła się pani ambasador do Dani. - Przepraszam za całą tę dziwną procedurę, za

wszystkie sekrety i tajemnicze miny - dodała pogodnie. - Prawdopodobnie jest to całkiem zbędne, ale w zaistniałych okolicznościach nie możemy być tego pewni.

Ujęła dłoń Dani i uściśnęła serdecznie, jak troskliwa ciotka, która chce podnieść na duchu „ukochaną siostrzenicę.

- A to jest Ranulph Gillespie, emerytowany żołnierz armii brytyjskiej - przedstawiła sierżanta.

- Spotkaliśmy się w sali przesłuchań - odparła Dani automatycznie.

- Tak? No cóż, Gilliemu, kiedy jest mocno zaabsorbowany pracą, zdarza się zapominać o drobnych grzecznościach - wyjaśniła Redpath.

Gillespie skinął głową.

- Pani Warren, bardzo mi miło panią poznać - rzekł, po czym pochylił się do przodu, wsunął rękę między Shane'a

jego sąsiadkę i zastukał w kuloodporną szybę oddzielającą ich od kierowcy.

Limuzyna ruszyła z miejsca.

- Podaj mi to - zwrócił się sierżant do Shane'a.

Crowe podniósł ciężką skórzaną torbę i wręczył ciemnoskóremu mężczyźnie. Gillespie otworzył ją.

Przed oczami Dani mignęła lekka broń maszynowa oraz kilka magazynków amunicji.

- Proszę się nie przejmować sierżantem sztabowym, pani Warren powiedziała Redpath na poły żartobliwie. - Należy on do ludzi zawodowo posługujących się bronią, o których mówiłam przed komisją. Oznacza to, że dostrzega obecność wrogów, o których pani czy ja nie mamy zielonego pojęcia.

- Od razu poczułam się pewniej - odparła Dani z ironią.

- Gillie chyba jeszcze nie doszedł do siebie - dorzuciła pani ambasador. - Nie przywykł do rozrywania na strzępy amerykańskich senatorów. - Prawdę mówiąc, mam o wiele większą wprawę we wdęptywaniu w ziemię głupich polityków, niż można by podejrzewać. Ale wkurzają mnie przede wszystkim te małe gnojki, które dla nich pracują.

Gillespie odwrócił się ku Dani i przewiercił ją na wylot czarnymi, bystrymi oczyma. I

- Co pani pomyślała o naszym starciu? - spytał.

- Będę musiała częściej oglądać w telewizji programy polityczne - odparła spokojnie. - Nie miałam pojęcia, że przesłuchania przed senackimi komisjami mogą być aż tak fascynujące.

- Myślę, że to ostatnie zasłużyło na miano królewskiego Charlie Foxtrota - zauważył sierżant.

Dani próbowała nie zdradzić, że rozumie, co się kryje za tym określeniem.

Shane mrugnął do niej.

- Ten gnojek March chciał przedstawić Risk Limited tak, jakby to była tajna armia Olliego Northa - ciągnął Gillespie. - A potem przekazać stenogram swojemu kumplowi, który pracuje dla waszyngtońskiego "Post".

Dani uniosła brwi.

- A co on ma przeciwko Risk Limited? - spytała.

- Nic osobistego, na ile mogłem się zorientować - odparł Shane.

- Czyli po prostu chce zdobyć władzę, choćby idąc po trupach. Prawdę mówiąc, takich gagatków nigdy w Waszyngtonie nie brakowało.

- To całkiem możliwe. - Shane wzruszył ramionami. - Z informacji, które o nim zebrałem, wynika, że zżera go ambicja. Już na "et nie dostrzega, że Fitzroy go wykorzystuje.

- Wykorzystuje?

~ Tak. - Shane zwrócił się do Redpath. - Czy dowiedziałaś się, kto pociągał za sznurki?

Pani ambasador uśmiechnęła się tajemniczo.

- Uciełam sobie miłą pogawędkę z panem Marchem - odparła. To doprawdy bardzo uprzejmy i nader pomocny młodzieniec, zwłaszcza gdy wie, gdzie stoją konfitury.

Gillespie prychnął lekceważąco.

- Pomysł takiego wyróżnienia dla Risk Limited - mówiła dalej Redpath - podsunął mu jeden ze starszych partnerów firmy Demby, Kravitz i Shorr, mieszczącej się przy Pennsylvania Avenue.

- Czy "Demby" oznacza Gerge'a Demby'ego, byłego przewodniczącego Krajowego Komitetu Partii

Demokratycznej? - spytał Shane. - Owszem, to ten sam człowiek - potwierdził Gillespie. - Oficjalnie są waszyngtońską firmą prawniczą o przeciętnych wpływach ...

- ... ale są również oficjalnymi przedstawicielami kilku towarzystw holdingowych w Luksemburgu oraz Ligi Bankierów na Arubie - dokończyła rudowłosa kobieta.

- Aruba? - zainteresował się Shane. - A więc to już pewne, że chodzi o Harmonię?

Ani Redpath, ani Gillespie nie pofatygowali się z odpowiedzią, co samo w sobie stanowiło wystarczające potwierdzenie.

Shane zwrócił się teraz do Dani.

- Chryste Panie, kobieto - powiedział miękko. - Gdy już zdecydowałaś się wdepnąć w gównno, bezbłędnie wybrałaś największą górę łajna, jaka istnieje na kuli ziemskiej.

Dziewczyna na chwilę zaniemówiła i tylko wpatrywała się w Shane'a. Ale nic w jego spojrzeniu i ponurym grymasie ust nie wskazywało na to, by żartował.

- Jedyna harmonia, o jakiej słyszałam - odezwała się wreszcie - to współbrzmienie dźwięków w muzyce. Jakim więc cudem mogłam komukolwiek wejść w drogę?

- Chciała pani uratować jedwab - odparła Redpath.

- W Lhasie? - upewniła się Dani.

Shane skinął głową.

- Oczywiście, że chciałam uratować jedwab - powiedziała dziewczyna niecierpliwie. - Przecież z tego żyję. Znajduję, pozyskuję, a jeśli trzeba, także zabezpieczam przed niszczącym działaniem czasu zabytkowe tkaniny. Robię to od lat, bez wdeptywania w gównno, jak to delikatnie ująłeś, Shane.

Uśmiechnął się, lecz był to uśmiech, który nie tyle wyrażał rozbawienie, co maskował niepokój.

- Przecież cały czas ci powtarzam, że świat jest niewiele większy od grajdołu.

- Co znaczy ... ?

- Co znaczy tyle, że ten sukinsyn z głowajak piłka, który zabił Fenga i próbował zabić ciebie, to Rosjanin nazwiskiem Iija Kasatonin.

- Skąd to wiesz? - zapytała Dani, czując się osaczona.

Shane wyczuł jej obawy, ale tylko potrząsnął głową.

- Za późno, kochanie - powiedział. - Tkwisz w tym teraz po uszy.

- Kasatonin - wyjaśnił Gillespie - jest zwolnionym ze służby weteranem Specnazu.

- Czyli sowieckich sił specjalnych - dodał Shane.

- I co z tego? - naciskała Dani.

- Mówiąc wprost, pani Warren - podsumował Gillespie - Kasatonin jest jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi na świecie. Pracuje jako szef ochrony Harmonii i zabija bez litości, ilekroć wymagają tego interesy stowarzyszenia.

- Znowu Harmonia - zauważyła dziewczyna. - Co to takiego? Gillespie spojrzał na Shane'a i nieznacznie potrząsnął głową. Ale Dani dostrzegła ten ruch.

- Później - powiedział ciemnoskóry mężczyzna.

- Tak, w porządku - oświadczyła Dani tonem, który wyraźnie przeczył jej słowom. - A skąd mam mieć pewność, że ten cały Kasatonin jest właśnie taki, jak mówicie. Shane nawet słowem nie wspomniał o nim w Lhasie.

Crowe spojrzął spod oka na sierżanta.

- Uprzedzałem cię, że ona jest niewinna, ale bynajmniej nie głupia - powiedział. - Przypomnij no sobie.

Gillespie jęknął.

- Sam się o to prosiłeś - ciągnął Shane nieubłaganie. - Do cholery, domagałeś się tego. No to masz, czego chciałeś. Ciesz się.

- Niech to szlag! - zaklął Gillespie.

Redpath popatrzyła na obu mężczyzn, ale nie odezwała się.

Gillespie wyciągnął nogi i oparł stopy na siedzeniu między Redpath a Shanem. Splecione ręce założył na kawk.

Przez minutę w samochodzie panowała cisza.

- Z Lhasy nie prowadzi się zbyt wielu międzynarodowych rozmów telefonicznych - powiedział wreszcie Gillespie.

Dani kiwnęła głową. Wiedziała, jak trudno jest o niezawodną linię na drugi koniec ulicy, a co dopiero na drugi koniec świata.

- Pewien mieszkaniec Zachodu, potężnie zbudowany blondyn, odbył szereg rozmów telefonicznych w tygodniu poprzedzającym pani spotkanie z Fengiem - wyjaśnił ciemnoskóry mężczyzna. - Potem dzwonił jeszcze tylko raz, tuż po śmierci Fenga. Wszystkie połączenia wiodły na Karaiby.

- Sugeruje pan, że ktoś widział tego blondyna z kartą telefoniczną w dłoni - zauważyła Dani sceptycznie.
- To nie było aż tak proste - odezwała się Redpath.
- Jestem pod wrażeniem - wyznała dziewczyna.
Pani ambasador uśmiechnęła się nieznacznie.
- Proszę zrozumieć, że Gillespie niechętnie zdradza, jakie metody stosuje, aby uzyskać rezultaty, które często zakrawają po prostu na cud. - Metody i środki - skorygował Gillespie z irytacją. - Nigdy nie ujawniam metod i środków.
- Nie kłóćmy się o sformułowania, bo to zwykła gra słów - powiedziała Redpath.
- Ta gra słów kosztowała dziesięć tysięcy dolarów, zanim uzyskałem to, na czym mi zależało - odciął się sierżant.
Dani wołała nie wyobrażać sobie, ile kosztowało uratowanie jej samej. - Więc była to kosztowna gra słów - skwitowała Redpath, wzruszając ramionami. Potem uśmiechnęła się i zwróciła do Gillespiego. - Wy tłumacz jej wszystko. Jest nam potrzebna.
Surowa twarz ciemnoskórego mężczyzny na moment złagodniała.
Nadal jednak było oczywiste, że nie ma on ochoty wchodzić w szczegółowe wyjaśnienia.
- Spędziłam kiedyś cały dzień w towarzystwie afrykańskiego szamana - powiedziała Dani takim 'tonem, jakby prowadziła towarzyską pogawędkę. - Wyjaśnił mi znaczenie każdego świętego amuletu i napoju, jakie miał w swojej torbie ze skóry zebry. Nigdy nie zawiodłam jego zaufania, sierżancie. Nie zawiodę i pańskiego.
Gillespie przyjrzał się jej badawczo, szukając jakichś oznak, że tylko żartowała. .
- Ona mówi poważnie - zauważył Shane. - Możesz próbować trzymać ją w całkowitej nieświadomości, ale jestem gotów się założyć, że w jej przypadku zasada "wiedzieć tylko tyle, ile trzeba" przyniesie ci wyłącznie kilka potężnych siniaków na łydkach.
Słowa "przecież cię uprzedzałem" wisiały w powietrzu, ale Crowe nie wypowiedział ich głośno. Nie musiał tego robić.
Sierżant zrozumiał.
- Gdy Shane dowiedział się o tych rozmowach - wyjaśnił - wysłałem tam jednego z naszych agentów. Udawał handlowca zajmującego się sprzedażą sprzętu telekomunikacyjnego. Zajrzał do miejscowego operatora sieci telefonicznej i kupił wykaz rozmów międzynarodowych, które przeprowadzono w ciągu interesującego nas tygodnia.
- Tak po prostu? - spytała Dani, lecz po chwili dodała: - Cofam pytanie. Twarda waluta jest w Tybecie prawdziwą rzadkością.
Przez twarz Gillespiego przemknął uśmiech.
- Gdy już mieliśmy wykaz - mówił dalej - reszta okazała się dziecinną igraszką. Zarejestrowano około sześciu tysięcy rozmów, ale układały się według klucza równie czytelnego, co zadrukowana kartka papieru. Sześć rozmów przeprowadzono z tym samym numerem na Arubie.
Dani przetrwała tę informację. Po chwili zwróciła się do Shane'a: - A skąd wiedziałeś, że to Rosjanin?
- Mówiłem ci, że kiedyś spędziłem trochę czasu z mudżahedinami w Afganistanie - odparł.
Dziewczyna kiwnęła głową.
- Wystarczy tylko raz zobaczyć oddział Specnazu w akcji - wyjaśnił bez owijania w bawełnę. - Jeśli przeżyjesz, do końca swoich dni zapamiętasz ich taktykę "pał wszystko i posuwaj się do przodu". Ze skórzanej torby Redpath wyjęła teczkę z dokumentami, a z niej dużą fotografię. Podała zdjęcie Dani. Przedstawiało wysokiego, dobrze umięśnionego mężczyznę, który balansował na końcu trampoliny zawieszanej nad dużym basenem. Fotografia miała grube ziarno. Najwyraźniej był to powiększenie zdjęcia zrobionego z bardzo dużej odległości.
Ale i tak widać było wiele szczegółów. Przede wszystkim rysy twarzy fotografowanego mężczyzny. I trzy głębokie blizny na jego torsie. A że był całkiem nagi, można było też dostrzec, że stracił część genitaliów.
- Mój Boże - jęknęła Dani słabym głosem.
- Ten interesujący rodzaj tortury Afgańczycy rezerwowali dla żołnierzy z rosyjskich oddziałów specjalnych - wyjaśnił Shane. - Wystarczało o niej wspomnieć, a większość z nich z miejsca się załamywała. Jak widać, Ilja Kasatonin nie ugiął się tak od razu.
- Wciąż się zastanawiam - powiedział Gillespie - jak udaje mu się zaspokajać naszą słodką Katię.
- Użyj wyobraźni - zasugerował Shane.
- Próbowałem, ale to na nic.
- Pozwól, że podsunę ci kilka filmów.

- Odwal się.
- Kim jest Katia? - spytała Dani.
- Katia Pilenkova to właścicielka ośrodka Harmonia - poinformowała ją Redpath. - I najprawdopodobniej właśnie ona jest spoiwem, które trzyma w kupie tę bandę spod ciemnej gwiazdy.
- Mówiąc o bandzie spod ciemnej gwiazdy, ma pani na myśli ludzi takich jak Kasatonin?
- Niezupełnie - wtrącił Shane. - Pozostali nie są uszkodzeni, chociaż w tych sprawach możliwości co niektórych niewarte są nawet wzmianki.
- Kasatonin musiał znaleźć jakiś sposób - stwierdził Gillespie. - Katia ma swoje potrzeby, chociaż nam mogą wydawać się dziwne.

Dani popatrzyła na obu mężczyzn szeroko otwartymi oczyma.

- 000, czyżbyście byli zwolennikami seksu "z mocno 'zaciśniętymi ustami i bez pomocy rąk"? - zapytała uprzejmie.

W pierwszej chwili Gillespiemu opadła szczeka, potem ryknął śmiechem. Podobnie zareagowała Redpath. Shane rzucił tylko dziewczynie badawcze spojrzenie.

Jest stanowczo za szybki jak dla mnie, pomyślała. Kiedy wreszcie nauczę się trzymać język za zębami w jego towarzystwie?

Oddała fotografię pani ambasador, po czym spokojnie odwzajemniła spojrzenie Crowe'a.

- To mężczyzna z Lhasy - potwierdziła. Przeniosła wzrok na Redpath.
- Podejrzewam, że Shane chciał ukraść ten jedwab - powiedziała.
- Tak jak ty - głos Crowe'a brzmiał ostro i niezbyt przyjaźnie.
- Ja chciałam go kupić i miałam po teqm uzasadnione powody- oświadczyła Dani.
- D la akademii?

- Żeby go poddać konserwacji. Stare tekstylia są niezwykle delikatne. Mimo wplecionej w tkaninę złotej nici o dużej wytrzymałości na rozciąganie, ktoś taki jak Feng zniszczyłby materiał, nawet gdyby był on o połowę młodszy, niż ta kreatura sugerowała.

- Ale ten jedwab naprawdę jest bardzo stary - odparła Redpath.

- Z siódmego wieku przed naszą erą? - zapytała Dani. - Bardzo wątpliwe.

- Prawowici właściciele materiału nie mają wątpliwości ani co do jego wieku, ani pochodzenia.

Dziewczyna w milczeniu zestawiała zasłyszane informacje z tym, co zapamiętała na podstawie własnych obserwacji.

- No, może - rzuciła pojednawczo. - W każdym bądź razie tkanina, którą pokazał mi Feng, miała już swoje lata. A mimo to była w znakomitym stanie. Najwyraźniej dotychczasowy właściciel wiedział, jak się z nią obchodzić.

Shane zerknął na Redpath, a gdy kobieta lekko skinęła głową, powiedział:

- Ten jedwab jest własnością Błękitnej Sekty.
- Błękitnej Sekty .. , - powtórzyła Dani, marszcząc czoło. Po chwili skojarzyła: - Dordzi. Nasz kierowca. Czy on jest błękitnym mnichem? I dlatego ryzykował dla nas życiem? Bo ten jedwab jest dla niego świętością?

- Tak - odparł Shane.

- Czy udało mu się wyjść z tego cało? - spytała Dani.

- Trochę go poharatali, ale żyje.

Odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu - powiedziała cicho. - Świadomość, że zginął z mojego powodu, byłaby dla mnie ... po prostu nie do zniesienia. .

Gillespie rzucił jej krótkie spojrzenie. Wyrażało jednocześnie zaskoczenie i aprobatę.

Redpath kiwnęła tylko głową, jakby słowa dziewczyny potwierdzały opinię, którą już przedtem sobie wyrobiła. Sięgnęła do teczki i wyjęła następne zdjęcie.

- Czy właśnie ten jedwab pokazywał pani Feng?

Przez chwilę Dani wpatrywała się w fotografię. Ukazywała ona kawałek błękitnego jedwabiu zamkniętego w szklanej gablocie. Zdjęcie zrobiono w ostrym świetle lampy błyskowej, ale nawet takie oświetlenie nie było w stanie przytłumić blasku bijącego od mieszaniny jedwabnych i złotych nici.

Gablota spoczywała na ołtarzu pokrytym buddyjskimi symbolami.

Wokół ołtarza widać było ściany z ciemnego kamienia. Dani przypomniała się cela, w której ukrywała się długie godziny, zanim Shane przyszedł ją uwolnić.

- Jedwab na zdjęciu wygląda bardzo podobnie - oświadczyła wreszcie - ale dopóki nie będę mogła obejrzeć go z bliska ... dotknąć ... określić, jaką techniką go tkano, nie będę miała stuprocentowej pewności.

- Ale to może być ten sam jedwab? - dopytywała się Redpath.
- Może, ale nie musi.
- Nie nazwałbym tego pozytywną identyfikacją - mruknął Gillespie.
- Wolałby pan, żebym skłamała?
- Niech Bóg broni - zaprzeczyli obaj mężczyźni jednocześnie.
- Ale pomogłoby nam, gdybyś dokładniej określiła nasze szanse - dodał Shane.
- Czy widziałeś oryginalną tkaninę? Tę w gablocie? - spytała go Dani.
- Tak.
- Była tego samego koloru, co materiał na zdjęciu?
Crowe ściągnął brwi.
- Chyba tak, chociaż w rzeczywistości ten materiał jest bardziej ... świetlisty. Sam nie wiem, jak to określić. Nigdzie nie widziałem niczego w takim odcieniu błękitu.
- Więc są duże szanse, że mówisz o tym samym kawałku jedwabiu, który widziałam w Lhasie - oświadczyła Dani.
- Gillespie uśmiechnął się. - To dobra wiadomość.
- Naprawdę? - spytała dziewczyna. - Wszystkie kolory z czasem blakną. Jest mało prawdopodobne, że ten jedwab ma tyle lat, ile mu dają mnisi.
- To pani jest ekspertem - odparł ciemnoskóry mężczyzna, wruszając ramionami. - Ale stary czy nowy, mnisi stracili ten jedwab i chcą go odzyskać. .
- Zimne i suche powietrze Tybetu zaskakująco dobrze konserwuje różne rzeczy - podkreślił Shane.
- Zgoda, ale ... - zaczęła dziewczyna.
- Ten kawałek jedwabiu jest otoczony wielką czcią - ciągnął dalej Shane. - Mnisi strzegli go jak oka w głowie. Jest dla buddystów tym, czym Całun Turyński dla katolików. To szata samego Buddy.
- Nie kwestionuję świętości materiału - stwierdziła Dani ostrożnie tylko wiek, jaki mu się przypisuje. Przez chwilę wydawało się, że Shane będzie dalej protestował, ale w końcu tylko wruszył ramionami.
- Niewiele słyszałam o Błękitnej Sekcie - zagadnęła dziewczyna, zmieniając temat.
- Bo zachowują o wiele większą rezerwę wobec prasy niż Żółta Sekta dalej Lamy - wyjaśnił Shane. - Ale błękitni mnisi nie są ani trochę mniej ważni dla tybetańskich wyznawców.
- Uważa się - dodała Redpath - że uosabiają prastarą tradycję królestwa gór i pustyni. To właśnie królestwo budowało miasta, obecnie zrujnowane, wzdłuż Jedwabnego Szlaku. O ile wiem, spędziła pani jakiś czas w Tybecie?
- Tak.
- Czy tamtejsze ludy nie są głęboko uduchowione?
- Nawet bardzo - odparła Dani. - Religia jest tak mocno wpleciona w życie codzienne, że usunięcie jej oznaczałoby zniszczenie całej społeczności.
- A jednak chciałaś kupić ten jedwab - zauważył Shane.
- Tylko po to, żeby go uratować - zapewniła. - Skąd niby miałam wiedzieć, że to święta relikwia?
- Do diabła, trzeba się było zatem trzymać ... Redpath chrząknęła znacząco i Shane zamilkł.
- Buddyjski Tybet - powiedziała pani ambasador łagodnym głosem jest raczej strukturą religijną niż państwem narodowym, tak jak je rozumiemy na Zachodzie.
- Z pewnością na pogórzach i w samych górach ludzkim życiem rządzi religia - przyznała Dani.
- Mieszkańcy miast znacznie mniej afiszują się ze swymi wierzeniami - stwierdził Shane. - Nie mogą inaczej, jeśli chcą żyć. Ale również oni są głęboko religijni.
- Relikwie, takie jak ten kawałek jedwabiu, odgrywają bardzo ważną rolę - powiedziała Redpath. - Na nich skupia się duma narodowa, wszelkie religijne i polityczne sentymenty.
- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała Dani. - To jeden z powodów, dla których komunistyczne Chiny ścigają osoby wywożące stamtąd wyroby rzemiosła artystycznego i dzieła sztuki.
- Z wyjątkiem przypadków, kiedy dzieje się to w majestacie prawa, a wywozem zajmują się przedstawiciele władz - zauważył Shane. - W ówczas zabierają wszystkie buddyjskie świętości, na których tylko uda im się położyć łapy, i wywożają do Pekinu na "przechowanie".
- Czy sugerujesz, że Feng był agentem chińskiego rządu? - spytała Dani.
- Przyszło nam to do głowy - potwierdził Shane. - Powinnaś była sama na to wpaść.
- Wpadłam.
- Ale dość późno - mruknął.

- Panie Crowe - skarciła go Redpath.
- Tak jest, szefie. Od tej pory będę trzymał gębę na kłódkę.
- Wspaniale. - Redpath zwróciła się do Dani. - Miała pani kilka tygodni na przemyślenie swoich doświadczeń w Lhasie. Czy domyśla się pani, dlaczego Feng ze swoją ofertą zwrócił się akurat do niej?
- Sądzę ... - dziewczyna zawahała się na moment.. - Sądzę, że ten, kto dał jedwab Fengowi, chciał mieć pewność, iż materiał nie ulegnie przypadkowemu zniszczeniu. Ten ktoś musiał się w jakiś sposób dowiedzieć,

że mam duże doświadczenie w konserwacji tkanin.

- Interesujące - mruknęła rudowłosa kobieta. - Więc pani zdaniem to nie Feng był złodziejem?
- W żadnym razie - odparła Dani bez wahania. - Feng nie miał pojęcia, jak należy się obchodzić z zabytkowymi tkaninami. Gdyby to on ukraść jedwab, do moich rąk dotarłyby tylko żalozne strzępy. Gillespie pokiwał głową.

- Mieli rację, że ona nam się przyda - rzekł. - Żaden z naszych doradców i rzeczoznawców na to nie wpadł.

Shane uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

- Czy zechce nam pani pomóc? - spytała Redpath.

- W jaki sposób? Jestem naukowcem, nie wojownikiem.

Rudowłosa kobieta roześmiała się.

- Risk Limited zatrudnia więcej ekspertów z naj różnitszych dziedzin niż ... wojowników.

Dani milczała. Patrzyła uważnie w przenikliwie oczy starszej kobiety. - Ma pani unikalną wiedzę na temat tkanin w ogóle, a zwłaszcza na temat tego skradzionego kawałka jedwabiu - ciągnęła Redpath. - Wykazała się pani zdolnością analitycznego myślenia. Shane zaświadcza, iż potrafi się pani właściwie zachować w sytuacjach zagrożenia.

Dani, zaskoczona, spojrzała na Crowe'a.

- Powiedziałem, że umiałaś wziąć się w garść - wymamrotał.

- Chyba powinnam ci podziękować.

- Kiedy to prawda - zapewnił ją, wzruszając ramionami.

Samochód zwolnił i skręcił w długą, wąską ulicę, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się eleganckie rezydencje. Przed nimi, na niewielkim wzgórzu wznosił się duży przedwojenny dom. Otaczająca go sceneria tchnęła spokojem. Wydawało się, iż lata świetlne dzielą tę posiadłość od świata gwahu i przemocy, w którym z chciwości, ze względów politycznych lub dla pokazania, gdzie faktycznie leży władza, kradnie się święte relikwie.

Samochód podjechał pod portyk i zatrzymał się przed masywnymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Dom był pomalowany na białe, co tym mocniej podkreślało niebieską barwę drzwi.

Dani od razu rozpoznała ten odcień. Takiego właśnie koloru była szata mnicha, który ukrył ją i Shane'a po ucieczce z zamku Potala.

- Błękitni mnisi? - spytała. - Tutaj?

- Jak już pani ambasador wspomniała - odparł Shane - wartość skradzionego jedwabiu ma wymiar zarówno świecki, jak i duchowy. Przedmieścia naszej stolicy stanowią mekkę jego świeckich "wyznawców".

Gillespie już wyciągał rękę, aby otworzyć drzwi limuzyny, lecz Redpath powstrzymała go lekkim dotknięciem dłoni.

- Pani Warren - spytała - czy podjęła pani decyzję?

- Podjęłam decyzję w momencie, gdy dowiedziałam się, ile kosztuje przetrzymywanie helikoptera gotowego do lotu - odparła Dani.

Nikommu nic nie jesteś ... - zaczął Shane.

- Brednie - przerwała mu gwahownie. - Jeśli Risk Limited mnie potrzebuje, jestem gotowa.

Redpath uśmiechnęła się. '

- Naprawdę pani potrzebujemy. Teraz nawet bardziej niż dotychczas.

- Dlaczego? - zapytał Shane.

- Ponieważ mam wątpliwości, czy możemy do końca zaufać naszym klientom.

- Mnichom? - w głosie Cowe'a zabrzmiało niedowierzenie.

Krótkie, starannie utrzymane paznokcie rudowłosej kobiety zabębniły po skórzanej teczce leżącej na jej kolanach.

- Dlaczego? - dopytywał się Crowe.

- Nazwij to intuicją.

- Nazwę to raczej wierutną bzdurą - odpalił.

Gillespie rzucił Shane'owi ostrzegawcze spojrzenie. Redpath tylko się uśmiechnęła.

- Otwórz te drzwi, Gillie - powiedziała. - Mamy jeszcze sporo roboty, a czas nas goni.

13

Odźwierny nosił ciemny garnitur typowy dla człowieka interesu, ale ogorzała cera i czarne, obcięte na jeża włosy zdradzały Tybetań

czyka. Otworzywszy drzwi limuzyny, skłonił się nisko przed wysiadającymi z auta gośćmi.

Gdy Shane pozdrowił go w jego ojczystym języku, Azjata uśmiechnął się szeroko, powiedział kilka słów po tybetańsku i przeszedł na angielski.

- Prasam Dhamsa będzie zaszczycony, gdy się dowie, że zechciała pani przyjechać, pani ambasador - rzekł ponownie nisko się kłaniając. - Pięciu centów bym za to nie dał - szepnął Gillespie, tak by tylko szefowa mogła go usłyszeć.

Ignorując sierżanta, Redpath uśmiechnęła się i lekko skłoniła przed Tybetańczykiem.

- To ja czuję się zaszczycona - powiedziała.

Odźwierny powiódł gości ku błękitnym drzwiom i wprowadził do westybulu.

Mieli wrażenie, że odbyli podróż w czasie, cofając się do epoki, w której jeszcze nie było maszyn. Istnieli tylko bogowie.

Nad drzwiami prowadzącymi w głąb domu widniały dwa stylizowane jelenie podtrzymujące koło. Taki sam motyw, dobrze znany i Shane'owi i Dani, znajdował się nad wejściem do wszystkich tybetańskich świątyń buddyjskich.

Jelenie symbolizowały miejsce, w którym Budda wygłosił swoje pierwsze kazanie, przekazując ludziom cztery szlachetne prawdy - o cierpieniu, o jego przyczynach, o wyzwoleniu się od cierpienia i o ścieżce wiodącej do wyzwolenia się od cierpienia. Koło natomiast reprezentowało złożone prawdy i ich powiązanie z człowiekiem oraz z niekończącym się cyklem narodzin i śmierci.

Ściany obszernego pomieszczenia zdobiły wizerunki Buddy, siedzącego w pełnej wdzięku pozie medytacyjnej. Do głównej sali z trzech stron przylegały liczne małe pokoiki.

Wszędzie stały młynki modlitewne, jakby czekały, że ktoś przechodząc wprawi je w ruch, tak by wirując, mogły przesłać ku górze umiesz" czone w nich święte słowa. Powietrze, przesycone wonią kadzideł, wibrowało

w rytm odległych, śpiewnych deklamacji prowadzonych przez medytujących mnichów.

Człowiekowi z Zachodu dźwięk ten kojarzył się raczej z szybkim oddechem jakiejś ogromnej bestii niż z powolną elegancją chorałów gregoriańskich w wykonaniu mnichów europejskich. Było w nim jednak coś hipnotyzującego, coś, co wykracza poza umysł i dotyka naj głębszych pokładów świadomości.

Dani zorientowała się, że odźwierny gdzieś zniknął. Nikogo więcej nie było widać.

Po minucie czekania Gillespie przyjął pozycję spoczniej, ale i tak emanowało z niego napięcie.

Postawa Shane'a była swobodniejsza, lecz (on się niecierpliwił. - Nie będzie zwykłych powitań? - spytała go Dani szeptem.

- Nie - odpowiedział jej cicho. - Prasam Dhamsa musi być na mnie wściekły jak cholera.

Gillespie wyrzekł kilka słów w śpiewnym narzeczu jamajskim. Redpath rzuciła mu spod oka przeciągłe spojrzenie i odpowiedziała w tym samym języku.

- Nie lubię, gdy się mnie traktuje jak chłopca na posyłki - oznajmił sierżant naj czystsza angielszczyzną, po czym dodał znacznie ciszej: Zwłaszcza jeśli to pułapka.

- Mimo wszystko - mruknęła Redpath - będziemy postępować bardzo, bardzo delikatnie i może uda nam się przyłapać mnichów, rozumiesz?

- Jeżeli to pułapka'- wtrącił spokojnie Shane - to bardzo wątpię, czy Dhamsa maczał w tym palce.

Gillespie skrzywił się.

- Nie możemy tego wykluczyć - stwierdziła Redpath. - Ale jeśli masz rację, oznacza to, że jego wpływ na Błękitnych jest ograniczony. Musimy więc zachować tym większą ostrożność.

Shane skinął głową.

Gillespie wymruczał jeszcze kilka zdań w narzeczu jamajskim i umilkł.

Dani z zainteresowaniem śledziła tę scenę. Redpath była szefem, ale nie z tego powodu ostatnie słowo należało do niej. Widać było, że obaj mężczyźni doceniają jej inteligencję i darzą ogromnym szacunkiem. I dlatego podporządkowują się jej woli.

A przecież jeden i drugi bez trudu mógłby złamać ją jak zapalkę.

Gillespie był jeszcze potężniej zbudowany niż Shane. Redpath sięgała mu ledwie do piersi, zachowywała się jednak tak, jakby różnica wzrostu nie grała najmniejszej roli.

Może dla niektórych mężczyzn faktycznie nie ma ona znaczenia. Dla niezwykłych mężczyzn.

Ta myśl obudziła w dziewczynie pewną nadzieję. Doświadczenie nauczyło ją, że w którymś momencie po osiągnięciu dojrzałości mężczyźni stają się silniejsi od kobiet. Tej prostej prawdy nie podważą żadne

argumenty o równości płci. W warunkach naturalnych, niepoddanych wpływowi cywilizacji, mężczyzna mógł zabrać kobiecie wszystko, na co tylko miał ochotę, odwołując się po prostu do swojej przewagi fizycznej.

Dani wciąż jeszcze pamiętała szok, jaki przeżyła, gdy jej szkolni koledzy raptem stali się od niej fizycznie silniejsi. A niektórzy okazali się również szybsi.

Jak Shane. Dani nigdy przedtem nie widziała mężczyzny poruszającego się równie szybko jak Crowe na dachu w Lhasie. Ale jego ruchy były też przemyślane i celowe. A co najważniejsze, w pełni kontrolowane. Może właśnie to się liczy, snuła dalej swe rozważania. Obie płcie znakomicie koegzystują, gdy mężczyźni przestają korzystać ze swej przewagi fizycznej.

Steve nigdy się tego nie nauczył. Prawdę mówiąc, nawet nie próbował. Rozkoszował się faktem, że był ode mnie silniejszy.

Wykorzystywał to. Wykorzystywał również mnie.

Po doświadczeniach ze Stevem Dani doszła do wniosku, że w relacjach damsko-męskich kobiety zawsze w końcu lądują na przegranej pozycji. Teraz jednak, obserwując Redpath, Shane'a i Gillespiego, pomyślała, że kobiety i mężczyźni mogą współdziałać ze sobą bez odwoływania się do brutalnej przemocy.

Spod oka przyglądała się Shane'owi.

Ciekawe, na czym musiałaby się oprzeć kobieta, aby stworzyć z nim trwałą związek? - zastanawiała się.

Jest taki opanowany. Jego samokontrola zakrawa niemal na obsesję.

Dyscyplina wewnętrzna Shane'a była dla Dani źródłem zarówno poczucia bezpieczeństwa, jak i niepokoju.

Bo co by się stało, gdyby kiedyś odrzucił ten pancerz?

Ta myśl nie bardzo jej się spodobała.

Za to Shane podobał się jej coraz bardziej.

- To musiał namalować Gilbert Stuart - głośno zauważyła Redpath. Dani uprzytomniła sobie, że zapatrzyła się na Shane'a, a on na nią. Szybko zwróciła się w stronę Redpath, która z uwagą przyglądała się

obrazowi zawieszonemu na ścianie westybulu.

- Pewnie kupili go razem z domem - orzekł Shane. - Mnisi szanują sztukę, nawet jeśli jest im całkowicie obca.

- Dlaczego właściwie Błękitni przybyli do Wirginii? - spytała Dani. Skraj obwodnicy trudno uznać za miejsce odpowiednie dla mnichów, którzy są zwolennikami prostoty i zajmują się duchowymi aspektami plemiennego życia.

- Świat jest mały, a robi się jeszcze mniejszy - odparł Shane. - Błękitni w końcu zrozumieli, że muszą wyjść ze swojej skorupy, jeśli chcą w przyszłości pokonać Chińczyków.

Coś w jego głosie zaintrygowało dziewczynę.

- Czy pomogłeś im w uświadomieniu sobie tych oczywistych faktów? - zapytała.

- Nie wiem.

- Ale ta wiadomość z pewnością nie poprawiła im humoru, prawda? Shane milczał. Ciszę przerwała Redpath.

- Na dobre czy na złe, ale Błękitni stali się ludźmi światowymipowiedziała. - Podejmują w tym domu amerykańskich i europejskich dygnitarzy, na których chcą zrobić wrażenie posmakami egzotyki.

- Mocno ryzykowne - zauważyła Dani. - Ludzie władzy reprezentują zwykle niski poziom i mają kiepski gust. Kadzidla, gardłowe śpiewy, zbiorowe medytacje czy wizerunki Buddy są czymś zupełnie niezrozumiałym

dla polityków amerykańskich.

Starsza kobieta uśmiechnęła się nieznacznie.

- Zgadza się - mruknęła. - Póhóra roku temu, gdy wraz z ambasadorami sześciu krajów brałam udział w zorganizowanym tu seminarium, nie było słyhać żadnych śpiewów, a woń kadzideł była ledwie wyczuwalna.

Portrety Buddy kryły się w cieniu, światła skierowano w inną stronę.

- Dhamsa musiał uznać, że jest pani odporna na wstrząsy - orzekła Dani.

Zanim Redpath zdążyła odpowiedzieć, wewnętrzne drzwi otworzyły się z rozmachem i wpłynął przez nie rząd Tybetańczyków w błękitnych szatach. Mężczyźni weszli krokiem tak dziarskim, że można by ich wziąć za pluton dobrze wyszkolonych żołnierzy.

Ich przywódca wyróżniał się wzrostem, a w jego postawie było coś imponującego. Miał czarne, obcięte na jeża włosy, nosił okrągłe szkła bez oprawek, które upodobały go do naukowca, i sprawiał wrażenie człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów.

- Dobry wieczór, pani ambasador - rzekł lama. - Mam nadzieję, że podróż nie przysporzyła trudności.

Mówił wolno i z silnym obcym akcentem, jakby mówienie po angielsku stanowiło próbę, której, acz niechętnie, musiał się poddać.

- Prasam Dhamsa, możliwość zobaczenia się z panem zawsze warta jest drobnych niewygód - odparła Redpath uprzejmie.

Wyciągnęła do niego rękę.

Buddyjski lama ujął ją obiema dłońmi. Gest ten w założeniu miał być ciepły i zarazem formalny, ale okazał się tylko formalny.

- Za mną - powiedział. - Będziemy jeść.

Powiodł gości do wygodnej jadalni urządzonej w zachodnim stylu.

Czarne, przenikliwe oczy gospodarza pilnowały właściwego rozmieszczenia Amerykanów i kilku członków jego świty wokół wielkiego stołu.

Dani zauważyła, że podano tradycyjne tybetańskie potrawy: ciecierzycę, świeżo pieczone podpłomyki i mocno przyprawiony, tłusty gulasz.

Kilkakrotnie pociągnęła nosem, analizując zapachy. Zmarszczyła brwi.

Czegoś jej tu brakowało.

- Wołowina zamiast mięsa jaków - wyjaśnił Shane.

- A tak, oczywiście.

- Ale herbata zostanie zaparzona z masłem jaków.

- To dobrze.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Polubiłam ją podczas pobytu w Tybecie - wyznała.

- Tak jak ja. Gillie uważa, że kompletnie zwariowałam. Cassandra jest tego samego zdania. .

- Dzięki temu dla nas zostanie więcej - oświadczyła Dani, już teraz oblizując się ze smakiem.

Shane roześmiał się cicho.

Zaczęli jeść. Dhamsa z minuty na minutę zachowywał się coraz mniej formalnie. Jego sympatię budziło zwłaszcza upodobanie Dani do prostych potraw i jej widoczna znajomość rytuałów związanych z nakładaniem

i jedzeniem poszczególnych dań.

W pewnej chwili lama zwrócił się do Redpath, siedzącej po jego prawej stronie.

- Mój jedwab? - spytał. - Czy coś pani słyszała?

Tylko lata przepracowane w dyplomacji pozwoliły pani ambasador ukryć zaskoczenie tak niezwykle bezceremonialnością.

- W dalszym ciągu badamy kilka różnych tropów - odparła. Dhamsa zawahał się, szukając odpowiednich słów.

Redpath już chciała mu zaproponować, żeby skorzystał z usług Shane'a jako tłumacza, ale po namyśle uznała, że lepiej tego nie robić.

- Doktor Danielle Warren będzie nam pomagać - powiedziała, wskazując głową dziewczynę.

- Kobieta? - zdziwił się lama.

- Ta kobieta - wyjaśniła Redpath - jest pracownikiem wydziału archeologii na amerykańskim uniwersytecie. Doktor Warren jest ekspertem w dziedzinie zabytkowych tkanin azjatyckich.

Taksujące spojrzenie czarnych oczu świadczyło o tym, że lama w jednej chwili zrewidował swój sąd o Dani.

- Uczona - powiedział. - Honor to dla mnie.

- To ja czuję się zaszczycona, wasza świątobliwość - odparła dziewczyna, pochylając głowę. - A chociaż wiele słyszałam o waszym zakonie, nie sądziłam, że spotkam waszą świątobliwość w krainie koni, jaką jest Wirginia.

- Słyszała pani o nas? - spytał lama.

Dani poczuła, że stopa Shane'a delikatnie uciska jej stopę. Odczytała to jako ostrzeżenie, żeby nie mówić za wiele.

- Kilkakrotnie spędzałam letnie miesiące na Jedwabnym Szlakupowiedziała. - Tamtejsze plemiona otaczają błękitnych mnichów głęboką
czcią:

_ Jedwabny Szlak - westchnął Dhamsa. - Szlak Wiedzy. Tam zrodziła się reguła Błękitnych. Duch, który ... ja ...

- Prasam Dhamsa przeszedł kiedyś od jednego krańca Jedwabnego Szlaku do drugiego - wyjaśnił Shane - przebywając trasę, którą przed wiekami rozprzestrzenił się buddyzm na drodze z Indii do Chin. W ciszy panującej na tych rozległych terenach objawił mu się wówczas duch Gautamy zwanego Buddą.

Lama uśmiechnął się i energicznie pokiwał głową.

- Tak, mój synu - powiedział. - Bardzo tak! Znowu któregoś dnia przejdę Szlakiem Wiedzy, jeżeli tylko ... - westchnął, a potem uśmiechnął się ze smutkiem. - Skomplikowany jest ten świat. Tutaj jest moje miejsce. Mnich siedzący po lewej ręce Prasama po raz pierwszy podniósł wzrok znad swojej nietkniętej porcji jedzenia.

- Witamy w zachodnim domu Błękitnych Mnichów - zwrócił się do Dani doskonałą angielszczyzną. Był młody, na tyle młody, że mógłby uchodzić za wnuka Dhamsy. Dziewczyna już przedtem zwróciła uwagę, że jego szata została wykonana nie z bawełny, jak szata starego lamy, lecz z delikatnego, błękitnego jak niebo jedwabiu.

- Pani ekspertyzy będą teraz podwójnie przydatne - dodał.

- Jak to? - spytała ostrożnie.

- Jedyny poza panią człowiek z Zachodu, który poznał i rozumiał nasz sposób myślenia, został haniebnie wyrzucony z Tybetu. Czy nie tak, panie Crowe?

Shane starannie przeżuł to, co miał akurat w ustach, a potem pociągnął kilka łyków jaKowej herbaty. Zgodnie z zasadami dobrego wychowania przyjętymi w zachodnim świecie nie należy mówić z pełnymi ustami. Ale w oczach społeczności plemiennej zachowanie, jakie zaprezentował Amerykanin, oznaczało lekceważenie rozmówcy. Shane był tego świadom, podobnie jak Dani.

Wiedział o tym również młody mnich. Dostał oto po uszach, mimo iż zapytany nie wyrzekł ani słowa.

- Czy ja znam tego młodzika? - spytał Shane lamę.

Dhamsa zerknął na chłopaka, a jego wzrok wyrażał jednocześnie irytację, akceptację i szacunek.

- Pakit Rama - odparł. - Młodszy mnich.

Brwi Shane'a uniosły się w zdumieniu. Tak swobodne odezwanie się młodszego mnicha w obecności lamy było sprawą bez precedensu. Crowe kiwnął głową Pakitowi Ramie.

- Jak się pan pewnie zorientował - odezwał się znowu młodzieniec - kształciłem się na Zachodzie.

- Posługuje się pan znakomitą angielszczyzną - zauważyła Redpath, wtrącając do rozmowy element neutralny.

- Podobnie jak pani - odwzajemnił komplement młodzieniec. Gillespie zmierzył go wzrokiem.

Dhamsa rzucił kilka słów w ojczystym języku. Pakit zacisnął usta, lecz złożył pełen szacunku ukłon najpierw lamie, a potem rudowłosej kobiecie.

- Nie chciałem pani urazić - zwrócił się do Redpath.

- Nie poczułam się urażona - odparła.

Dani nie była pewna, czy im wierzyć.

- Obawiam się, że zaraziłem się niecierpliwością Zachodu - tłumaczył Pakit. - Ten jedwab ma dla Tybetu wprost kapitalne znaczenie ... Brak mi słów, by to w pełni opisać.

- Rozumiem - odparła Redpath.

Tym razem Dani uwierzyła obojgu.

- Prasam Dhamsa - stwierdził Pakit - polega na moich radach dotyczących sposobów załatwiania naszych spraw w zewnętrznym świecie.

Wyraz twarzy Dhamsy sugerował jednak, że rady młodego mnicha nie zawsze były mile widziane.

Shane świetnie rozumiał sprzeczne uczucia targające przywódcą. Nie było łatwo przeskoczyć "plot" oddzielający duchową prostotę Tybetu od geopolitycznej złożoności zachodniego świata.

Ciężka sprawa, myślał Shane. Praktycznie niemożliwa do osiągnięcia. Przynajmniej mnie nie udało się tego dokonać.

- Zachodnia edukacja, która tak bardzo niepokoi mojego świętego przywódcę, dotyczyła polityki międzynarodowej i dyplomacji - objaśnił Pakit.

- Stanford czy University of California? - spytała Redpath. Młodzieniec wyglądał na zaskoczonego.

- Stanford, ale jak pani to odgadła?

- Mówi pan z kalifornijskim akcentem.

- Naprawdę? Nie zauważyłem.

- Proszę się nie martwić - uspokajała młodego mnicha Redpath. Telewizja zrównuje wszelkie różnice lingwistyczne. Pański akcent jest, albo wkrótce będzie dominujący w naszym kraju.

Uśmiechnąwszy się nieznacznie, Dani pociągnęła łyk herbaty zaprawionej masłem jaka i wróciła myślami do miesięcy spędzonych na Jedwabnym Szlaku.

- Wiele spośród pani prac stanowiło lekturę obowiązkową na moich studiach - oznajmił młody człowiek.

Miał to być komplement, ale został wypowiedziany takim tonem, jakby Pakita chciał zasugerować, że nie zwracałby sobie głowy czytaniem prac Cassandry Redpath, gdyby nie było to wymagane w toku nauki.

Shane popijał herbatę i wyglądał, podobnie jak Dani, na całkowicie odprężonego. W rzeczywistości jednak

był spięty. Wyczuwał niechętnie nastawienie Pakita do Redpath.

Prawdopodobnie w grę wchodzi tylko jego duma, myślał. Wszyscy młodzi na to cierpią. Chciałby być jedynym człowiekiem szepczącym Prasamowi do ucha, jedynym, który wywiera na lamę wpływ.

- Część z tych tekstów powstała, zanim pojawił się pan na świecie - powiedziała Redpath tonem towarzyskiej pogawędki. - Z pewnością uznał pan niektóre z nich za nieaktualne.

Pakit uśmiechnął się dziwnie.

- Nasz świat zmienia się bardzo szybko - zgodził się z rozmówczynią. - Instytucje, które trwają, muszą się zmieniać wraz z nim.

Dhamsa zmarszczył brwi, wyraźnie zirytowany.

- Świat może się zmieniać - odparła Redpath - ale natura ludzka wciąż jest taka sama. Ambicja, chciwość, duma, lęk, popęd seksualny pozostają niezmiennione.

- Bardzo niemodny pogląd - zauważył Pakit.

- Dziękuję - mruknęła Redpath. - Muszę przyznać, że w postmodernizmie nie znajduję niczego, co mogłabym komukolwiek polecić.

Shane ukrył uśmiech w filiżance herbaty. Podejrzewał, że młody mnich sam wkrótce zauważy, iż wdawanie się w słowne pojedynki z Redpath stanowi najkrótszą drogę do odkrycia, że w porównaniu z nią jest się patentowanym osłem.

- Jego świątobliwość podziela pani poglądy - rzekł Pakit.

- Owszem - przytaknęła Redpath. - Dzięki panu Crowe'owi jego świątobliwość i ja przeprowadziliśmy niejedną filozoficzną dyskusję. - Rozumiem teraz, dlaczego zdecydował się zaufać pani i jej ludziom w sprawie naszej świętej relikwii.

- Z pana słów wnoszę, że nie zgadza się pan z decyzją lamy - zauważyła Redpath.

Pakit z emfazą potrząsnął głową.

- Przede wszystkim muszę stwierdzić, że nie widziałem potrzeby stawiania przy niej straży - oznajmił. - To pociągnięcie zwróciło tylko uwagę na bezcenną relikwię.

Dhamsa powiedział coś w swym ojczystym języku. Shane przetłumaczył:

- Szata Buddy stanowi jądro kultury tybetańskiej. Władze chińskie świetnie rozumieją znaczenie tego rodzaju symboli religijnych, nawet jeśli niektórzy spośród młodszych błękitnych mnichów nie potrafią tego pojąć.

Pakit oparł łokcie na stole, splótł palce i wlepił spojrzenie w Dhamsę. Na jego wargach błąkał się chłodny uśmiešek.

- My Tybetańczycy musimy w końcu zawrzeć pokój z Chińską Republiką Ludową - oświadczył po angielsku.

- Musimy? - spytał lama.

- Tak. To nasza przyszłość.

Dhamsa powiedział coś po tybetańsku. Shane ponownie przełożył jego słowa:

- Jego świątobliwość mówi, że wiele już było przyszłości, które przeminęły. Pozostaje buddyzm. To jest esencja, która przetrwa wszystkie zmiany. Jest Wielkim Niezmiennikiem.

Pakit spojrział na Shane'a spod zmrużonych powiek.

- Czyżbym zrobił jakiś błąd w tłumaczeniu? - spytał Amerykanin młodego mnicha.

- Było znakomite.

- Jest pan bardzo łaskaw - powiedział Shane obojętnym tonem.

- Faktem pozostaje - zaznaczył Pakit - że Republika Ludowa nie bardziej zagraża Tybetowi niż jakakolwiek inna władza centralna.

- Być może - rzekł Shane. - Jednak większość Tybetańczyków jest odmiennego zdania. Wierzą oni, że królbojownik,

Dżezar, kiedyś powróci. A wówczas Tybet znów będzie mógł cieszyć się wolnością, która przychodzi wraz z odpowiednim władcą.

- Większość Tybetańczyków nie oddaliła się na więcej niż trzydzieści kilometrów od swego miejsca urodzenia - powiedział Pakit.

- I dlatego tak cenią religię - odparł Shane. - Są nią przepojeni do szpiku kości. Tkwi ona w powietrzu, którym oddychają, w niebie nad ich głowami i w kamieniach, po których chodzą. Tylko tam to, co transcendentne,

nabiera charakteru namacalnej rzeczywistości.

_ Przecież religia i modernizm mogą świetnie ze sobą koegzystować - zauważył Pakit. - Niech za przykład posłuży nam Ameryka.

- W Ameryce rząd nie miesza się do religii - powiedział Shane. Czego nie da się powiedzieć o

komunistycznych Chinach.

_ Na pierwszy rzut oka; zgoda - odparł Pakit. - Ale Chińska Republika Ludowa ...

_ Dostyc tego - bezceremonialnie przerwał im Dhamsa. - Jedwab jest ważny. Gadać szkoda.

Odstawił filiżankę z głośnym stuknięciem.

Pakit sięgnął po swoją herbatę, pociągnął łyk i odezwał się znowu: _ Proszę o wybaczenie - powiedział. - Jego świątobliwość, jak zwykle

zresztą, mówi o samej esencji, podczas gdy mniejsi duchem jeszcze się uczą:

Twarz Dhamsy nieco złagodniała. Gestem zachęcił młodego mnicha, by dalej prowadził rozmowę:

_ Wypowiadałem się przeciwko strzeżeniu jedwabiu, który kiedyś okrywał ciało samego Gautamy Buddy - powiedział Pakit.

Dhamsa nie wyglądał na zadowolonego.

_ Późniejsze wypadki udowodniły, że moje obawy nie były bezpodstawne - podkreślił młodzieniec. - Są na świecie złodzieje sprytniejsi od agentów renomowanej firmy Risk Limited.

Dhamsa jęknął.

Gillespie poruszył się na krześle, po raz pierwszy ściągając na siebie uwagę zgromadzonych. Tracił już cierpliwość do młodego, starannie wykształconego mnicha, który najwyraźniej uwielbiał słuchać samego siebie. _ Nie bądź tego taki pewny, kolego - przestrzegł chłopaka. - Mamy

kilka gorących tropów, za którymi podążamy.

_ Naprawdę? - odrzekł Pakit. - Więc dlaczego sławny pan Crowe przebywa tutaj, a nie w Tybecie?

Gillespie zerknął na Redpath. Sączyła obrzydliwą herbatę zaprawioną masłem jaka z taką miną, jakby piła najprzedniejsze wino.

_ Idziemy tam, dokąd prowadzi nas ślad - powiedziała po chwili. _ Innymi słowy, jesteście przekonani, że jedwab opuścił już granice naszego królestwa - naciskał Pakit..

Potem powtórzył to samo po tybetańsku, jakby chciał zyskać pewność, że ogrom katastrofy dotarł do świadomości Dhamsy.

Nie było to konieczne. Chociaż lama miał duże trudności z mówieniem, rozumiał po angielsku całkiem dobrze.

_ Człowiek, który odebrał jedwab Fengowi, nie był Tybetańczykiem powiedział Shane. - Wątpliwe jest zatem, by pozostał w Tybecie.

Dhamsa rzucił kilka słów w ojczystym języku.

- Ale dlaczego ktokolwiek miałby zabierać jedwab Buddy z Tybetu? - przetłumaczył Pakit. - U nas ten materiał

jest przedmiotem czci. Wywiezienie go z Tybetu byłoby tym samym, co wywiezienie Ziemi Świętej z Jerozolimy.

To bez sensu!

Dani spojrzała na młodego mnicha ze zdziwieniem.

- Z pewnością wytłumaczył pan jego świątobliwości, że na świecie istnieją kolekcjonerzy - zwróciła się do Pakita.

- Ja ... - młodzieniec wyglądał na mocno zmieszanego. - Taka możliwość w odniesieniu do świętej relikwii w ogóle mi nie przyszła do głowy.

- A zatem pomimo wykształcenia w Uniwersytecie Stanforda jest pan w znacznie większym stopniu buddystą niż

modernistą - zauważył Shane.

- Kolekcjonerzy? - spytał lama. - Proszę mi to wytłumaczyć.

- Na całym świecie istnieją ludzie, którzy zbierają jedwab - powiedziała Dani. - Zabytkowe tkaniny mogą być równie cenne jak obrazy starych mistrzów czy greckie rzeźby z czasów Peryklesa.

Dhamsa siedział nieruchomo, jakby zbierał siły do walki, która mogła mu przynieść zagładę.

- Szczególnie zachłannymi zbieraczami są Japończycy - ciągnęła dziewczyna. - Doceniają wartość starych jedwabów i mają pieniądze, by za niektóre okazy zapłacić nawet setki tysięcy dolarów.

- Co mogłoby się stać, gdyby nasz złodziej kradł z myślą o takich właśnie świeckich kolekcjonerach? - spytał

Pakit.

- Prawdopodobnie jedwab zostałby sprzedany temu, kto zaoferowałby najwięcej - odparła Dani.

- Jak to? - dopytywał się Pakit. - Jest przecież taki delikatny ... Shane rzucił młodemu mnichowi spojrzenie,

w którym kryło się więcej współczucia niż zniecierpliwienia.

- Złodzieje bardzo dbali o ten jedwab - zapewnił. ~ Prawda, Dani? Dziewczyna uznała, że lepiej będzie nie

współinać niekompetencji Fenga.

- Oczywiście - potwierdziła. - Jedwab straci całą wartość, jeśli zmieni się w garść luźno wiszących nitok. Pakit był przerażony.

Dhamsa wyglądał, jakby w jednej chwili postarzał się o dwadzieścia lat. - Czy zostanie wystawiony na aukcji? - zapytał Pakit słabym głosem.

- Biorąc pod uwagę historię tego jedwabiu oraz sposób, w jaki skradziono go waszemu zakonowi, wątpię, czy

zostanie wystawiony na aukcji.

- Dlaczego?

- Bo to ryzykowne - odparła Dani zwięźle. - Gdyby rozeszła się wiadomość, że to święta relikwia, powstałoby

nieleńcze zamieszanie.

- Jedwab zostałby skonfiskowany i zwrócony prawowitym właścicielom - dorzuciła Redpath. - Z wyrazami ubolewania ze strony wszystkich zainteresowanych.

- To prawda - zgodziła się Dani. - Dlatego jedwab zostanie prawdopodobnie dyskretnie zaoferowany kilku prywatnym kolekcjonerom. Niewykluczone zresztą, że został skradziony na czyjeś zlecenie.

- Wyjaśnić - polecił Dhamsa szorstko.

- Złodzieje mogli zostać z góry opłaceni przez jakiegoś klienta, zanim jeszcze zabrali się do roboty.

- A co z muzeami? - nalegał Pakit. - Większość dzisiejszych zbiorów muzealnych swego czasu po prostu zrabowano.

- Niektórzy ludzie tak to widzą - odparła Dani. - Inni są odmiennego zdania. Tak czy owak, kradzieże dzieł sztuki

dokonane ostatnimi czasy są traktowane jak przestępstwa pospolite.

- Więc żadne muzeum nie przyjmie naszego jedwabiu? - spytał Pakit.

- To możliwe, ale niezbyt prawdopodobne. Dlaczego pan pyta?

- Muzeum czy uniwersytet dbałby o ten jedwab - odparł młody mnich. - A złodzieje czy zbieracze, którzy kupują kradzione ... kto wie, na ile chcą czy potrafią zadbać o taki stary materiał?

- I dlatego musimy odzyskać ten jedwab możliwie szybko - powiedziała Redpath.

- Byłoby o wiele lepiej, gdyby pan Crowe go nie stracił - zauważył Pakit.

- Shane nie stracił jedwabiu - oświadczyła Dani. - To była moja wina.

Pakit pokręcił tylko głową, przytłoczony tym, co usłyszał.

- Prasam Dhamsa - odezwał się Shane. - Wasz zakon jest czczony w całym Tybecie. Pan i pańscy rodacy słyszą

często rzeczy, które mogłyby być dla nas pomocne, nawet jeśli wam wydają się błahe.

Dhamsa wolno skinął głową.

- Czy doszły do waszej świątobliwości jakieś informacje o niezwykłych pielgrzymkach albo wyprawach górskich

przemierzających cały kraj - spytał Shane.

W pierwszej chwili wydawało się, że lama nie dosłyszał pytania.

Miękkim głosem mówił coś w ojczystym języku.

- Nigdy mi w głowie nawet nie powstało, że szata Buddy mogłaby opuścić Tybet - tłumaczył jego słowa Shane

-

chyba że zabraliby ją Chińczycy. Jest taka delikatna, tak łatwo ją zniszczyć. Czasem myślę sobie, że tak jak najbardziej oddani wierze spośród nas, nie jest gotowa na kontakt z szerokim światem.

- Musimy być gotowi, by stanąć oko w oko z całym światem - powiedział stanowczo Pakit. - W przeciwnym razie ten świat nas pochłonie. Tyle przynajmniej zdołałem się nauczyć na Zachodzie.

Dhamsa mówił dalej, a Shane tłumaczył:

- Wracając do twojego pytania, władze chińskie wykazują ostatnio wzmożoną czujność. Sprawdzają i przeszukują wszystko, co porusza się na lądzie czy w powietrzu.

- Są inne sposoby opuszczenia Tybetu, wasza świątobliwość - zauważyła Redpath.

- Można rozwinąć skrzydła niczym sęp, który z góry pilnuje, czy nie trzeba czasem komuś wyprawić pogrzebu - rzucił cierpko Pakit.

- Chodzi o drogi ucieczki na tyle trudne, że władze chińskie nie biorą ich w ogóle pod uwagę - wyjaśnił Shane.

Dhamsa zamyślił się, a potem powiedział coś do Pakita po tybetańsku. - Jeden z naszych braci, który przebywał w klasztorze na wschodzie kraju - przetłumaczył młody mnich - doniósł, że widziano grupę pielgrzymów zmierzających w góry Tang-la.

- Kiedy? - zapytał Shane.
- Kilka dni po kradzieży.
- Dlaczego nie poinformowano nas o tym? - zdziwił się Crowe.
- To byli zwykli europejscy turyści szukający nowych szczytów do zdobycia - odparł Pakit. - Takich jak oni w Tybecie jest bez liku.
Shane kiwnął głową i zamyślił się głęboko. Patrząc na niego, Dani gotowa była uwierzyć, że spędził sześć miesięcy na medytacjach. Wypełniająca go mieszanina spokoju i wewnętrznej koncentracji była niemal namacalna.
- Czy jeszcze o czymś donoszono? - spytała Redpath Dhamse.
- Nie.
Pani ambasador przejęła kontrolę nad konwersacją. Ani razu nie dała do zrozumienia, że się spieszy, nie uchybiła również zasadom dobrego tonu, ale w ciągu niecałego kwadransa udało jej się doprowadzić spotkanie do końca. Niezbędne grzeczności przy pożegnaniu zajęły zaledwie pięć minut.
Gdy tylko wszyscy czworo znaleźli się w limuzynie, Redpath zwróciła się do Shane'a:
- No dobra, powiedz to wreszcie. Dlaczego chciałeś, żebyśmy się stamtąd zabrali?
- Pamiętasz, jak Dani i ja wydostaliśmy się z Tybetu? - odpowiedział jej pytaniem.
- Pewnie, że pamiętam! Musiałam przecież zapłacić rachunek za helikopter!
Dani drgnęła.
- Cóż, gdyby ta droga okazała się zamknięta - stwierdził Shanemój plan awaryjny przewidywał spłynięcie Mekongiem aż do wzgórz Karen w Tajlandii.
- I?
- Mekong przepływa przez trzy różne kraje południowo-wschodniej Azji - mówił Shane. - W każdym z tych krajów jest zresztą inaczej nazywany. Górny odcinek, w pobliżu źródeł, znany jest pod nazwą Nu Džiang.
- Do czego zmierzasz? - zniecierpliwiła się Redpath.
- Najbliższe szczyty wznoszą się w górach Tang-la. Jest tam kilka sporych gór, ale wątpię, czy skusiłyby jakiegokolwiek himalaistę.
Przez długą chwilę rudowłosa kobieta wpatrywała się w ciemniejące za oknem lasy. Przecież Mekongiem można uciec, bez względu na to, jak się tę rzekę nazywa, myślała.
I nagle zrozumiała, o co chodziło Shane'owi.
Sięgnęła po telefon będący na wyposażeniu samochodu.
- Gillie?
- Tak, szefie?
- Jaki jest numer kierunkowy do Tajlandii? Musimy uruchomić jeszcze jednego lokalnego agenta.

14

Podczas gdy Redpath w swoim prywatnym gabinecie wciąż prowadziła rozmowy telefoniczne, rozpoczęte jeszcze w samochodzie, po została trójka czekała w bibliotece, w budynku stanowiącym waszyngtońską siedzibę firmy Risk Limited. Budynek wznosił się na rozległej posesji sąsiadującej z parkiem Rock Creek w Georgetown. Na parterze znajdowały się obszerne pomieszczenia biurowe, jakich nie powstydziliby się rządowy komitet doradczy czy majątna fundacja charytatywna. Wyższe kondygnacje zajmowały prywatne apartamenty, w których mieszkali pracownicy firmy podczas pobytu w Waszyngtonie.
W bibliotece 'panowała cisza. Zakłócał ją tylko niewyraźny szmer rozmów prowadzonych w gabinecie.
- Gdy zobaczyłam ten budynek po raz pierwszy, wydał mi się dziwnie znajomy - odezwała się Dani, chcąc nawiązać rozmowę.
Skierowała te słowa do Shane'a, który przez całą drogę powrotną z Wirginii prawie nic nie mówił, ale zareagował Gillespie.
- Bo zaprojektował go Frank Lloyd Wright - powiedział.
- N o tak, to wszystko tłumaczy - odparła.
Shane nadal się nie odzywał. Od pożegnania z Błękitnymi Mnichami traktował jajak powietrze.
A przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Dwukrotnie, gdy zmienacka odwracała się ku niemu, napotykała jego badawcze spojrzenie. W jego ciemnych oczach dostrzegała mieszaninę czysto męskiego zainteresowania i wrogości.
Sama nie wiedziała, co bardziej wytrąca ją z równowagi.
Aby oderwać myśli od Shane'a, rozejrzała się po bibliotece. Pomieszczenie miało rozmiary małej sali balowej. Wypełniały je ksi~ki i dzieła sztuki.

Dziewczyna przesunęła palcami wzdłuż drewnianej półki z książkami. Drewno było chłodne i gładkie, dotykając go sprawiała jej wręcz zmysłową przyjemność.

- To wiśnia - poinformował ją Gillespie.
- Słucham? - spytała zaskoczona.
- Te półki wykonano z drewna wiśniowego.
- Są bardzo piękne.

Spojrzenie Dani przeniosło się z regału na książki i w jednej chwili dziewczyna kompletnie straciła głowę. Zapomniała o upływie czasu, zapomniała o sobie, zapomniała o całym świecie; przytłoczona ogromem wiedzy zgromadzonej w tym jednym pomieszczeniu, wolnym krokiem wędrowała między półkami. Prace historyczne i kulturoznawcze, analizy polityczne, publikacje w językach dawnych i współczesnych. Oprawne w skórę pierwsze wydania, iluminowane manuskrypty, nowe edycje w twardych oprawach, skrypty uniwersyteckie. Było tam wszystko. Uporządkowane według klucza, którego Dani nie zdołała wychwycić. Nie miała jednak wątpliwości, że taki klucz istnieje, Cassandra Redpath potrafiła dostrzec porządek tam, gdzie inni widzieli wyłącznie chaos. - Imponujące - zauważyła Dani.

- Ta biblioteka przeznaczona jest do pracy, a nie na pokaz - odparł Gillespie.
- Miałam na myśli umysł, który to wszystko zgromadził.

Twarz ciemnoskórego mężczyzny rozjaśnił uśmiech, przypominając Dani, z jak przystojnym facetem ma do czynienia.

- Cassandra jest niezwykłą kobietą - powiedział.
- To widać. Musi czytać w co najmniej pięciu językach.

Gillespie przytaknął w roztargnieniu. Drzwi prywatnego gabinetu Redpath były uchylone i jego uwagę pochłaniał bez reszty miękki głos szefowej, która rozmawiała z podwładnymi na całym świecie. Dani poszła dalej, chcąc rzucić okiem na kolejny rząd regałów. Wiedząc, iż Redpath w przeszłości zajmowała się polityką, dziewczyna poczuła się zaskoczona na widok ogromnego wyboru książek o sztuce i rzemiośle artystycznym.

Można było odnieść wrażenie, iż zdobnictwo islamu, chińskie brązy, sztuka Celtów i bogato iluminowane późnośredniowieczne manuskrypty stanowiły pozycje szczególnie ulubione przez właścicielkę.

- Zdziwiająca - szepnęła Dani.
- Co takiego?

Dziewczyna drgnęła i obróciła się na pięcie.

Tuż za nią stał Shane. Nie wyczuła przedtem jego obecności. .

- Zaskoczyła mnie taka liczba książek o sztuce - wyjaśniła. - W sztuce wyraża się esencja danej społeczności.

Dani skrzywiła się, myśląc o tym, co widziała podczas swej ostatniej wędrowki po galeriach Manhattanu.

- Wynika z tego, że wpadliśmy w łajno jaków po samą szyję - mruknęła.

Shane uśmiechnął się.

Uszło to jednak uwadze dziewczyny, która w tym właśnie momencie dostrzegła pierwsze wydanie starofrancuskiej monografii o dywanach perskich. .

- Czytałam to w przekładzie - powiedziała, przebiegając wzrokiem spis treści. - Nie mieści mi się w głowie, że można posiadać oryginał. Musiał kosztować masę pieniędzy.
- Prawdopodobnie - potwierdził Shane obojętnie.

Wolumin nosił ślady częstego używania. Na półce zajmował miejsce tuż obok współczesnego opracowania na temat średniowiecznej broni siecznej, zakończonego omówieniem subtelnych różnic użytkowych między jedno- i dwuręcznymi mieczami.

- Zdziwiająca - powtórzyła Dani.
- Pieniądze?

Podniosła wzrok i spostrzegła, że Shane bacznie się jej przygląda.

Poczuła falę dziwnego podniecenia przepływającego przez jej ciało.

- Nie - odparła, delikatnie odstawiając książkę na miejsce. - Mieszanina piękna i przemocy. Motyw ten jest stale obecny w tutejszej bibliotece.
- Dotyczy to chyba życia jako takiego.
- Chciałabym zaprzeczyć, ale niestety nie mogę.
- Czyżbyś opuszczała czasem swoją wieżę z kości słoniowej? - zapytał.

Sarkazm w głosie Shane'a zirytował ją.

- Zmuszono mnie do jej opuszczenia wieki temu - odpowiedziała, nie okazując emocji. - Nie spędzam dni na upieraniu się, że w otaczającym mnie świecie przemoc nie istnieje, a wieczorów w domu zamkniętym na cztery spusty, tak na wszelki wypadek, żeby na własnej skórze nie przekonać się o czymś przeciwnym.

- Czyli akceptujesz przemoc?

- Czy mam prawo do innej odpowiedzi niż "tak" lub "nie"?

Niewiele brakowało, a Shane wybuchnąłby śmiechem.

- Przepraszam - powiedział. - Tylko nieliczni traktują przemoc jako nieodłączny element życia.

Dani otwarcie mu się przyjrzała. Do tej pory uważała go za człowieka gotowego w każdej chwili nieść śmierć i zniszczenie, teraz nieco złagodziła swoją opinię.

Mimo wszystko, napomniała samą siebie, ten facet pod świetnie skrojoną marynarką nosi pistolet.

- Zawsze gotowy do odparcia przemocy - powiedziała, głośno myśląc.

- Zawsze gotowy na śmierć - poprawił ją Shane. ~ Różnica jest zasadnicza. To jedyny sposób osiągnięcia spokoju w naszym pełnym przemocy świecie.

- Łatwo tak mówić potężnemu, sprawnemu fizycznie mężczyźnie. Niewielka jest szansa, że tuż za rogiem natkniesz się na kogoś, kto będzie w stanie ci dorównać.

- Tak sądzisz?

- Wiem o tym.

- Mylisz się. Nie, potrzeba wielkiej siły, żeby pociągnąć za spust. Spytaj dowolnego rodzica, któremu zdarzyło się zostawić naładowaną broń w nieodpowiednim miejscu.

Dani skrzywiła się, ale i tym razem nie znalazła kontrargumentów.

W ciszy pokoju rozdzwoniły się srebrne kuranty. Już drugi raz, odkąd weszli do biblioteki, kryształowy zegar wybił godzinę.

Dziewczyna przeszła w drugi koniec pokoju, gdzie na środku konferencyjnego stołu stał niezwykley czasomierz. Wyglądał jak globus.

W skazywał dziesiątą.

Dani usiadła przy długim stole i uważnie przyjrzała się zegarowi. Jednak nawet po dziesięciu minutach wpatrywania się weń ani na jotę nie zbliżyła się do zrozumienia mechanizmu jego działania.

- Kwarc - odezwał się Shane tuż za jej plecami.

Dani głośno wciągnęła powietrze. Lekkość, z jaką ten mężczyzna się przemieszczał, doprowadzała ją do szału.

- Cały globus drga, podobnie jak kryształ w zegarku, który nosisz na rękę - wyjaśnił Shane. - Prawdę mówiąc, jedno i drugie zaprojektowali ci sami ludzie. Cassandra pomogła im kiedyś w sprawie o naruszenie praw patentowych.

Gillespie rozsiadł się w obitym skórą fotelu przed płonącym kominkiem, tak jakby na zewnątrz panowała ostra zima.

- To cholerstwo to najprawdziwszy Charlie Foxtrot - zauważył.

- Co masz na myśli? - spytała Dani z niewinną miną.

Shane zachichotał.

- Całkowicie niepraktyczny - odpowiedział ciemnoskóry mężczyzna. - Wystarczy go dotknąć, a zaraz staje. Każdej sprzątacze, która tu pracuje, przydarzyło się to przynajmniej raz. A potem trzeba było płacić bająnskie sumy za jego regulację.

- Skąd właściwie wzięło się wyrażenie "Charlie Foxtrot"? - dopytywała się Dani.

Gillespie poczuł się odrobinę nieswojo. Gdy nie było w pobliżu Redpath, towarzystwo innych kobiet z jakiegoś powodu mocno go kępowało, wyraźnie tracił przy nich pewność siebie.

- Śmiało, Gillie - zachęcał go Shane.

- To amerykańskie wyrażenie - odparł Gillespie. - Ty jej wytłumacz.

Dani spojrziała na Crowe'a pytająco, jakby nie miała najmniejszego pojęcia, o czym rrtowa. Zdradzały ją tylko roztańczone iskierki w oczach. - To międzynarodowe zawołanie radiowe - wyjaśnił. - Określenie "Charlie Foxtrot" zastępuje litery C i F i stanowi uprzejmy sposób powiedzenia, że coś jest "kompletnie spieprzone" albo że "burdel sięgnął dna".

- A nie wiąże się to przypadkiem z siedzącymi w kręgu mężczyznami, którzy wspólnie walą konia? - spytała Dani z poważną miną.

Gillespie spojrział na nią zdumiony i dopiero po chwili wybuchnął głośnym śmiechem, idąc w ślady Shane'a.

- Pojąłem aluzję - oświadczył. - Może sobie pani być małą kobietką i naukowcem, ale nie ucieka pani przed prawdziwym życiem. Dobra robota.

Zanim Dani zdążyła spytać, co właściwie chciał przez to powiedzieć, otworzyły się drzwi prywatnego gabinetu i Redpath weszła do biblioteki. Wyglądała na zmęczoną, ale jej twarz rozjaśniał uśmiech.

- Jeden z moich dawnych kolegów z Langley pracuje obecnie w Tajlandii w sekcji do walki z narkotykami - oznajmiła. - Ma dobre stosunki z kontrolą paszportów na wszystkich lotniskach tego regionu.

Wszelkie ślady rozluźnienia zniknęły z postawy Gillespiego. Podobnie zareagował Shane. Obaj czekali

w napięciu.

Redpath ziewnęła.

- Jeśli mi wybaczyście ...

- Dopiero gdy przekażesz nam wszystkie nowiny - zaprotestował Shane.

- Wysoki, przystojny, jasnowłosy Europejczyk usiłował wejść na pokład samolotu British Airways - powiedziała.

- I? - ponaglił ją Gillespie.

Posłała mu koci uśmiech.

- Niestety - wymruczała - w jego południowoafrykańskim paszporcie nie było wizy wjazdowej.

- A skąd przyjechał? - spytał Shane.

- Ze Złotego Trójkąta.

- Terytorium Karenów - stwierdził Crowe. - Nie wiedziałem, że Harmonia ma tam swoje kontakty.

- Ja też nie - wyznała Redpath. - Wygląda na to, że Tony Liu dołączył do światowej stawki.

- A niech to szlag! - mruknął Gillespie.

- Popieram - dorzucił Shane. - Coś jeszcze?

- Lokalne władze zbadały bilet tego mężczyzny i sprawdziły trasę, jaką zamierzał przebyć -

poinformowała Redpath. - Otóż miał rezerwację do Londynu przez Karaczi, a stamtąd na Karaiby.

- Aruba? - spytał Gillespie. †;

- Aruba - potwierdziła.

- Dużo ludzi podróżuje na Arubę - zauważył Shane. - Musimy mieć pewność.

- Mamy - odparła.

- Całkowitą?

- Stuprocentową. Ponieważ facet przybywał z regionu znanego z produkcji opium, starannie przeszukano jego samego i jego rzeczy.

_ Czyżby dokładna rewizja osobista, sprawdzanie ust, nozdrzy, odbytnicy, wszystkiego? - dopytywał się Gillespie. - Co znaleziono?

_ Wrażenie zrobiło na nich dopiero to, czego nie znaleziono - powiedziała Redpath.

Shane połapał się pierwszy. Uśmiechnął się pod wąsem.

_ Czyli był to Kasatonin - podsumował. - Miał jedwab?

- Nie.

_ Czy ktoś mu towarzyszył? - zapytał Gillespie.

_ Nie. Ale to i tak nie miałyby żadnego znaczenia. Z jakichś powodów lokalny oficer z brygady antynarkotykowej sprawdził wszystkich, którzy przyjechali razem z Rosjaninem. Shane cicho gwizdnął.

_ Władze chińskie muszą być naprawdę wkurzone, skoro ogłaszają alarm na kilka krajów.

_ Zgadza się - potwierdziła Redpath. - Nie znaleziono żadnej kontrabandy, zupełnie nic.

_ Fatalnie się składa - mruknął Shane. - Chętnie zamieniłbym kilka słów z dowolnym pasażerem samolotu, którym leciał Kasatonin.

_ Zdrowo naciskaliśmy - powiedziała Redpath - ale nic z tego nie wyszło. Im mniejszy kraj, tym większa duma narodowa i tym łatwiej ją urazić.

Gillespie jęknął.

_ Dali nam przynajmniej listę pasażerów?

- Nie.

- A żeby ich pokręciło!

_ Za to włamaliśmy się do ich komputera - wyznała spokojnie. - Porównanie wszystkich informacji z danymi z wywiadu wyłoniło jeszcze jednego osobnika.

_ Amerykanin? - spytał Shane.

_ Brytyjczyk. Z zawodu technik laboratoryjny. Podejrzewa się go o dostarczanie profesjonalnego sprzętu chińskim triadom, które przetwarzają kareńskie opium na heroinę.

Shane zmarszczył brwi.

- I?

_ W jego bagażu znaleziono niewielką pompę próżniową i wyposażenie potrzebne do topienia i wydmuchiwania szkła. Nie natknięto się natomiast ani na opium, ani na heroinę. Najmniejszego śladu narkotyków.

Obaj mężczyźni wyglądali na zaskoczonych. W przeciwieństwie do Dani.

- Dzięki Bogu - powiedziała.
- Co takiego wspaniałego widzisz w sytuacji, że ktoś ciągnie Mekongiem sprzęt do wydmuchiwania szkła? - spytał Shane.
- Oznacza to tylko jedno: że jedwab będzie dobrze przechowywany.
- Jak?
- Szczelna kapsuła to niemal idealne opakowanie dla tego kawałka materiału - wyjaśniła Dani. - Tylko odrobinę gorsze od muzealnej gabloty w klimatyzowanej sali.
- Wspaniale, pani Warren - powiedziała Redpath. - Cieszę się, że zdecydowała się pani zostać naszym konsultantem. Teraz przynajmniej wiemy, czego mamy szukać.
Gillespie rzucił koledze spojrzenie, które wyraźnie mówiło: "A widzisz!". Usta Shane'a rozciągnęły się w uśmiechu.

Dani dostrzegła to i zaczęła się zastanawiać, dlaczego Shane początkowo sprzeciwiał się jej udziałowi w całej sprawie:

- Kasatonin musiał być dość pewny siebie, skoro nie miał jedwabiu przy sobie - zauważył Gillespie. I
- Karenowie opanowali sztukę szmuglowania na długo przed opracowaniem jakichkolwiek przepisów prawnych - stwierdził Shane. - Jeśli ktokolwiek mógł przetransportować przez dżungłę mały, bezcenny ładunek, to tylko oni.
- Więc w którą stronę będzie teraz wędrować ten jedwab? - spytał Gillespie.
- Czyżbyś planował łobną kradzież? - odpowiedział pytaniem Shane.
- Tak czy inaczej, musimy tę cholerną szmatę odzyskać.
- Pragmatyk, jak zawsze - sucho zauważyła Redpath.
- Przecież tylko dlatego mnie trzymasz, szefie.
- Naprawdę uważasz, że tylko dlatego? - odparła. - Ciekawe.

Ciemnoskóry mężczyzna mrugnął do swojej szefowej, przez co wyraz jego twarzy zmienił się całkowicie: z dzikiego przeszedł w zmysłowy.

Dani wpatrywała się weń z niedowierzaniem.

Shane zignorował oboje. Już dawno przestał się zastanawiać nad ich skomplikowanymi wzajemnymi relacjami. Po prostu je zaakceptował. - A tu mamy trasę, jaką ten jedwab odbędzie - powiedział. Wskazał kryształowy globus stojący na stole. Ostrożnie, żeby nie dotknąć drgającego kryształu, nakreślił domniemaną marszrutę na lśniącej powierzchni miniaturowej kuli ziemskiej.

- Zatoka Tajlandzka - powiedział - a potem Morze Południowochińskie.

Jego palec przesunął się najpierw ku północy, a potem na wschód, wskazując miejsca na obrzeżach Pacyfiku.

_ Hongkong - zdecydował na koniec. Gillespie pochylił się do przodu.

_ Dobrze - oświadczył. - Jesteśmy już w połowie drogi.

Shane potrząsnął głową:

_ Czy masz pojęcie, ile łodzi znajduje się w tamtym zakątku świata? - spytał.

_ W każdym razie skończona liczba - odpowiedział sierżant.

_ Bardzo wielka skończona liczba - poprawił go Shane. - Bez dodatkowych informacji z równym powodzeniem możesz w młynku do pieprzu wielkości Lincoln Memorial szukać gówna muchy domowej. Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy czworo wpatrywali się w kryształowy zegar, jakby tam właśnie tkwiła odpowiedź na jedyne pytanie, które w tym momencie całkowicie ich zaprzętało.

Gdzie jest poszukiwany jedwab?

Dani poczuła falę ożywienia. Jej wiedza i inteligencja nie były dotąd poddawane tego rodzaju próbom. Zupełnie jak partia szachów, przemknęło jej przez myśl.

Ale po krótkiej chwili zreflektowała się, że jednak niezupełnie. Znacznie bardziej przypomina to turniej brydżowy, zdecydowała.

Także gra, lecz taka, w której wygranie szlema wymaga czegoś więcej niż liczenie spadających atutów. Shane potrząsnął głową i cicho zaklął. Rozpatrzył w myślach rozmaite warianty i kombinacje, lecz wnioski, do jakich doszedł, nie budziły optymizmu.

_ Aruba _ powiedział beznamiętnie. - To wszystko, co mamy.

Redpath popatrzyła na niego ostro.

_ Nie mogę na to pozwolić - zaprotestowała. - Faktycznym właścicielem tej wyspy jest Harmonia.

_ Wcale nie twierdzę, że ten pomysł mi się podoba - mruknął Crowe. _ Powiedziałem po prostu, jaka jest sytuacja.

. _ Mamy tam tylko jednego człowieka - podkreśliła Redpath. - A i on nie jest do końca sprawdzony. Shane wzruszył ramionami.

_ Życie bywa pełne zasadzek, a na końcu i tak trzeba umrzeć. Polecę tam, gdy tylko zdołam załatwić jakiś transport.

_ Wykluczone - sprzeciwiła się Redpath. - Nie możesz jechać sam. To zbyt niebezpieczne.

_ Najbardziej niebezpieczna jest utrata jedwabiu - przypomniał jej niemal łagodnie.

Kąciki ust Redpath opadły w dół. Nie powiedziała ani słowa.

- Dlaczego? - spytała Dani.

Shane obrócił się i przyjrzał dziewczynie spod w półprzymkniętych powiek.

- Z dwóch powodów - odpowiedział. - Gdy wiadomość o stracie się rozejdzie - a nie da się tego uniknąć - błękitni mnisi stracą szacunek, jakim darzą ich rodacy.

- Dla nich - uzupełniła Redpath - szata Buddy oznacza namacalność tego, co przez człowieka nieogarnione.

Jest to prawda trudna do pojęcia dla ludzi z Zachodu, nie przestaje jednak z tego powodu być prawdą.

Dani zawahała się, po czym skinęła głową.

- Błękitni mnisi są spoiwem wszystkich ruchów na rzecz Wolnego Tybetu - dodał Shane.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić Prasama Dhamsy jako terrorysty czy bojownika o wolność - zaoponowała dziewczyna.

- Bo nim nie jest - uciął Shane. - Ale sam fakt istnienia Błękitnych jako opiekunów i strażników relikwii stanowi dla Tybetańczyków ważny symbol. Sztandar, jeśli wolisz.

Dani ponownie skinęła głową.

- Komunistyczne Chiny - powiedziała Redpath - już teraz kontrolują bardzo dużą część światowej populacji. Zbyt duży jak na gust tych wszystkich, którzy wierzą w prawo jednostki do podejmowania indywidualnych decyzji.

- Komunistyczne Chiny nie są przecież wieczne - odparła Dani. _ Wystarczy spojrzeć na Związek Radziecki.

- ZSRR rozpadł się z wielu przyczyn - wtrącił się do rozmowy Gillespie - z których bynajmniej nie najmniej ważną był zaciekły upór, aby produkować coraz więcej broni przy stale zmniejszającym się produkcie narodowym brutto. Gdyby nie ten upór, Związek Radziecki przypuszczalnie istniałby do dziś.

- To tyle, jeśli idzie o skalę makro - powiedział Shane. - Ale należy rozpatrzyć także pomniejsze sprawy.

- Na przykład osobiste? - spytała Dani.

- Nie, raczej zawodowe - odparł chłodno. - Jeżeli Prasam Dhamsa rozgłosi wszem i wobec, że Risk Limited nie potrafi wykonać roboty, wszystko, co osiągnęli Cassandra i Gillie, wszystko, na czym nam zależy, nie będzie warte funta kłaków.

- Nie ma obawy, nasza reputacja wytrzyma to i o - powiedziała Redpath. - A wyłącznie ze względu na reputację nie poślę cię w paszczę lwa. Ani ciebie, ani nikogo innego.

- Niepotrzebne mi twoje pozwolenie - odparował Shane. - Jestem ochotnikiem.

- Ale ...

- Żadne ale - wpadł jej w słowo. - Przeze mnie straciliśmy ten jedwab, muszę go więc odzyskać. A jeżeli trzeba będzie poświęcić w tym celu jeden czy dwa atuty, to trudno. Risk Limited może sobie pozwolić na taką grę. Dani spojrzała na Shane'a, lekko zaszokowana jego aluzjami do rozgrywek karcianych. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jakimś cudem podsłuchał myśli, które chodziły jej po głowie.

- Atuty? - spytała. - Czy znaczą to samo, co "pomocnicy" lub "agenci"? Skinął głową.

- Zatem ludzie - podsumowała. Ponownie kiwnął głową.

- Mówisz o ludziach, którzy mogą stracić życie.

- Wcześniej czy później wszystkich nas to czeka.

Przez pełną napięcia chwilę wpatrywała się w niego. Z całkowitym spokojem odwzajemnił jej spojrzenie. Dla niego to nie tylko słowa, uzmysłowiła sobie Dani i przeniknął ją zimny dreszcz. On naprawdę wierzy, że w każdej chwili musi być gotowy na śmierć, bo to jedyny sposób na życie w spokoju.

Ale nie chciała, aby Shane zginął. Nie, nie można do tego dopuścić.

- Wołałabym, żeby przytrafiło ci się to później niż wcześniej oświadczyła.

Spojrzenie ciemnych oczu spoczęło na jej twarzy. Dani znowu doznała tego dziwnego uczucia, że Shane wwierca się wzrokiem do jej wnętrza, oceniając emocjonalną prawdę wypowiedzianych przez nią słów. - Mamy informatora, który pracuje w samej Harmonii - powiedziała Redpath. - Kłopot w tym, że nie został do końca sprawdzony.

- A co to znaczy? - spytała Dani.

- Shane mógłby się znaleźć w sytuacji, w której jego jedynym sprzymierzeńcem byłby podwójny agent.

- Mój Boże.

- W normalnych warunkach zabroniłabym Shane'owi tej akcji - oświadczyła Redpath. - Mam do tego

prawo. Risk Limited jest moim dziełem. Mogę sprawować władzę absolutną, jeśli dojdę do wniosku, że tak będzie lepiej.

- Więc proszę to zrobić - powiedziała Dani.

- Niestety, może się okazać, że na taki luksus nie możemy sobie pozwolić - przyznała Redpath.

Gillespie przyglądał dłonią krótko obcięte włosy.

- Pojadę z nim - oświadczył.

- Nie - odpowiedzieli jednocześnie Redpath i Shane.

- Na Karaibach jesteś dość szeroko znany - podkreśliła rudowłosa kobieta. - Groziłoby ci zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

- A mnie na Arubie nie zna nikt - zaznaczył Shane. - W ogóle mało ludzi wie, że jestem agentem Risk Limited.

- Jak chcesz się tam dostać? - spytała Redpath.

- Tę wyspę tydzień w tydzień odwiedza pięć tysięcy turystów - odparł.

- Harmonia obserwuje każdy lot - sprzeciwił się Gillespie. - Robią w portki ze strachu, że agenci DEA czy FBI mogliby do nich zajrzeć.

- Chyba o czymś zapomniałeś - zwróciła się Dani do Shane'a.

- O czym?

- Kasatonin cię widział.

- Masz rację - odparł pośpiesznie. - A więc plan B. Wynajmę szybką łódź w Curacao.

Redpath spojrzała na Gillespiego.

- Mogę zorganizować łódź - oświadczył sierżant - albo helikopter. Nie trzeba będzie zabierać wiele sprzętu. Poślemy wcześniej Dillmana i Southera. Kupią czy wynajmą w Oranjestad wszystko, czego Shane może potrzebować.

- Nie będą mogli wynająć godnej zaufania dziewczyny - stwierdziła Dani.

Shane wbił w nią wzrok, jakby chciał się upewnić, że słuch go nie zwodzi. - Pojedynczy mężczyzna może wzbudzić podejrzenia - tłumaczyła dziewczyna. - A mężczyzna w towarzystwie przyjaciółki jest po prostu facetem, który chce się dobrze zabawić.

- Nie - zaprotestował Shane. - Za żadne skarby świata.

- To ja jestem odpowiedzialna za stratę jedwabiu, nie ty - upierała się Dani. - Gdybym nie pomieszała ci szyków, odebrałbyś go Kasatoninowi.

- Nie.

Dani spojrzała na Redpath.

- Kto tu rządzi? - spytała spokojnie. - Pani czy Crowe?

Rudowłosa kobieta roześmiała się głośno. *I*,

- Ona ma rację, Shane - orzekła. - Mniej się będziesz rzucał w oczy z kobietą u boku.

- Gówno.

- Jaka czy krowy? - odcięła się Dani. - Nie wiem, czy pamiętasz, ale w Tybecie dotrzymywałam ci kroku.

- Nie brak ci odwagi - przyznał Shane - ale nie masz żadnego przygotowania.

_ No, nie wiem. Z mojego byłego męża był kawał chłopca. Podobno całkiem dobrze wyglądałam owinięta wokół jego ramienia.

Shane tylko parsknął ze zniecierpliwieniem.

_ A poza tym - kontynuowała Dani - nawet jeśli będziesz miał szczęście i znajdziesz jedwab na Arubie, to skąd będziesz wiedział, że to oryginalny kawałek, a nie imitacja?

_ Widziałem oryginał wielokrotnie.

_ A czy potrafiłbyś go rozpoznać po ciemku, kierując się wyłącznie dotykiem? - naciskała dziewczyna.

- Nie.

- A ja tak.

_ Co takiego?! - wykrzyknęli jednocześnie Redpath i Gillespie.

Wzruszyła ramionami.

_ Mam dużą wiedzę, wieloletnią praktykę i wyjątkowo czułe opuszki palców. Jeden z moich profesorów mawiał, że powinnam zostać kasiarzem. _ Niebawem - westchnęła Redpath. - Wielu jest takich ekspertów?

_ Nie. Większość ludzi polega raczej na analizach naukowych. Ja zresztą też przede wszystkim nimi się kieruję.

_ Ale dla pani stanowią wyłącznie potwierdzenie - zauważyła Redpath. Mimo iż nie było to pytanie, Dani twierdząco skinęła głową. Crowe milczał.

Wiedział, iż udział Dani w tej wyprawie ma głęboki sens. Tyle że zupełnie mu się to nie uśmiechało. Do furii doprowadzała go myśl, że dziewczyna ponownie stanie oko w oko z niebezpieczeństwem. Z drugiej jednak strony, miał ograniczone możliwości wyboru i nie bardzo mógł wybrzydzać.

_ Umiesz pływać? - spytał w końcu.

Dani uśmiechnęła się z triumfem.

_ Mam dyplom uprawniający do nurkowania na otwartych wodach.

Przez chwilę Shane i Dani patrzyli sobie w oczy. Świat wokół nich przestał istnieć.

_ Odprowadzę cię do domu - powiedział. - Jeśli potem nadal będziesz chciała mi towarzyszyć, zgodzę się.

Dani podjęła wyzwanie.

_ Chodźmy więc, wielki mężczyzno - powiedziała, ujmując go pod ramię.

_ Niech to diabli - stanowiło całą jego odpowiedź.

Georgetown pogrążone było w ciszy, którą zakłócał tylko szelest liści poruszanych nocnym wiatrem.

Szybkim krokiem przemierzali kolejne ulice. Przeszli ponad kilometr, zanim Shane nieco zwolnił.

Dani zrobiła głęboki wdech i skróciła krok. Byli na Pennsylvania Avenue i zmiierzali w stronę jej mieszkania.

- Nie jestem przyzwyczajony do pracy z kimś ~ odezwał się Shane.

- Z kimś czy po prostu ze mną?

- Z kimś. Wolę działać w pojedynkę. Z tego powodu wystąpiłem z wojska. Z tego powodu pojechałem do Tybetu, by tam żyć jak pustelnik. Odpowiedzialność za innych zżera mnie całkowicie, kompletnie pozbawia sił.

Pod pozornym spokojem Shane'a Dani wyczuwała burzę kłębiących się uczuć.

- Nikomu tego nie mówiłem - dodał. - Jednak Gillespie to wyczuł. Nigdy, aż do dziś, nie zmuszał mnie do pracy z partnerem. - Przecież w Tybecie szło nam zupełnie dobrze.

- Ale Aruba nie jest Tybetem.

- Domyślam się, że chodzi ci o coś więcej niż klimat - powiedziała Dani sucho.

- Harmonia jest. .. samym złem. Trochę staroświeckie słowo, ale pasuje. Jeżeli zorientują się, kim jesteśmy, przerobią nas na przynętę dla krabów. - Nic im nie powiem, jeśli i ty będziesz milczał.

- To nie jest zabawa - zniecierpliwził się.

- Wtedy w Tybecie też nie bardzo się ubawiliśmy. Kule w każdym razie były prawdziwe.

Spróbował z innej beczki.

- Dlaczego tak ci zależy na tej wyprawie? - spytał.

- Chodzi mi o jedwab - odparła prosto z mostu.

- Przecież nie wierzysz, że tę szatę nosił sam Budda.

- A muszę?

- A po co innego chciałabyś jechać? - spytał.

- Żeby zobaczyć ten jedwab raz jeszcze. Upewnić się, że jest bezpieczny.

Shane był pewien, iż dziewczyna mówi szczerze i z pełnym przekonaniem.

Pozostała mi już tylko jedna karta, uznał. Miałem nadzieję, że obejdzie się bez tego. A przeci,ez samo echo tej myśli przyspieszyło mu tętno i obudziło pragnienie.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, potem automatycznie skręcili w Connecticut Avenue, wreszcie w jej ulicę. Im bliżej byli celu, tym wolniej stawiali kroki. Fakt, iż Shane wiedział, gdzie Dani mieszka, nie był dla dziewczyny zaskoczeniem.

Tuż obok nich przejechał powoli samochód. W jego wnętrzu panowała ciemność, ale Dani zdołała dostrzec kontury dwóch męskich sylwetek: kierowcy i siedzącego z przodu pasażera.

W jednej chwili poczuła przypływ adrenaliny. Gdyby była na ulicy sama, przyspieszyłaby kroku, żeby jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym zaciszu budynku.

Shane rzucił okiem w kierunku mijającego ich pojazdu. Na sekundę zdołał nawiązać kontakt wzrokowy z pasażerem samochodu.

Wyraz twarzy tamtego zmienił się gwałtownie: chłodny namysł ustąpił wyraźnemu skrępowaniu. Mężczyzna powiedział coś do kierowcy. Samochód przyspieszył i po chwili zniknął.

Shane szedł dalej, jakby nic się nie stało.

- Nie bałeś się, że ci dwaj mogą być przedstawicielami Harmonii? spytała Dani.

- Jeśli Harmonia zechce się ciebie pozbyć, to jej ludzie nie będą krążyć wokół twego domu. Po prostu wyskoczą z szafy i podziurawią ci majtki jak sito.

- Majtki?

- Tak. Strzelają nisko, taki już mają zwyczaj.

- Cudownie.

- Gillie też tak myśli. To jedno z jego ulubionych powiedzonek.

Dani wsunęła klucz w zamek ciężkich, przeciwwłamaniowych drzwi budynku. Shane stał z rękami w kieszeniach marynarki i obserwował ją spod wpolprzymkniętych powiek.

- Co mogę powiedzieć, żeby skłonić cię do zmiany zdania? - spytał bez ogródek.

Dziewczyna spojrzała na Cowe'a. Słabe światło z holu rzucało na jego twarz podłużne cienie, przez co wydał się jej jeszcze ciemniejszy, a emanująca z niego siła jeszcze groźniejsza.

Nie bała się go jednak. Nie Shane'a.

- Nic. Twoje słowa niczego nie zmieniają - stwierdziła spokojnie. Wolnym ruchem wyjął rękę z kieszeni i wyciągnął je ku niej. Wstrzymała oddech. Nie była pewna, co teraz nastąpi. Trochę się tego obawiała, ale nie był to prawdziwy strach. Położył jej dłonie na ramionach, przyciągnął ją bliżej i pochylił się do jej ust.

Pocałunek był delikatniejszy, niż Dani się spodziewała, ale też wyrażał głód daleko większy, niż mogła oczekiwać. Zawładnął jej uczuciami w stopniu, który nie miał nic wspólnego z jej lękiem przed masywnie zbudowanymi mężczyznami.

- A co o tym powiesz? - spytał Shane miękko. - Czy teraz zmienisz zdanie?

- A powinnam?

- Cholemie dobrze wiesz, że tak.

Znowu ją pocałował, tym razem mniej delikatnie. Wyczuła w nim z trudem hamowaną pasję i zadrzała. Ale nie ze strachu.

Nagle przyłapała się na tym, że obejmuje go z całej siły i całuje dziko, jakby oczekiwała od niego czegoś więcej niż chłodnej powściągliwości wojownika.

Shane wydał chrapliwy dźwięk, podniósł ją do góry i przytulił tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

Potem, bardzo niechętnie, pozwolił dziewczynie osunąć się w dół. Nie zrobił nic, by ukryć erekcję. Patrzył na Dani z nieskrywanym pożądaniem, które budziło w niej pragnienie, by znaleźć się ponownie blisko niego.

Im bliżej, tym lepiej.

- To właśnie usiłowałam ci powiedzieć - oświadczył szorstko. _ Pragniemy się nawzajem. A w przypadku tajnej operacji nie ma nic gorszego niż seks.

Jeszcze przez chwilę rozkoszowała się ciepłem jego dłoni, pieszczotliwym naciskiem jego kciuków na spodnią część piersi i nieskrywanym pragnieniem w jego oczach.

A potem głęboko wciągnęła powietrze w płuca i powoli je wypuściła. - Wobec tego będziemy sobie musieli powiedzieć „nie” - oświadczyła. Shane powiedział coś po tybetańsku, ale dziewczyna nie poprosiła o tłumaczenie.

- Więc nadal upierasz się przy wyjeździe? - spytał bez większej nadziei.

- Tak.

- To będzie prawdziwe piekło, madame. Mogę ci zagwarantować, że poczujesz, co to znaczy być przypiekany na wolnym ogniu.

15

Curacao Listopad

Pięć dni później Dani siedziała w odrzutowcu kierownictwa Risk Limited i spoglądała na niebieską wodę pod nimi. Patrzyła, ale

właściwie jej nie widziała. Przed oczami wciąż miała twarz Shane'a, poprzecinaną jaśniejszymi i ciemniejszymi plamami światła i cienia, bładą, napiętą z pożądania.

Od tamtej nocy prawie się do niej nie odzywał. To Gillespie zorganizował jej krótkie, intensywne szkolenie na poligonie. Sierżant był mile zaskoczony, przekonawszy się, że dziewczyna liźnęła już nieco dzudo i znała kilka chwytów, którymi można powalić mężczyznę.

Nauczył też Dani posługiwać się bronią palną. Tak długo natrząsał się z niej i rozwodził nad jej ignorancją, że pod koniec szkolenia umiała ładować i strzelać z różnych typów rewolwerów czy półautomatycznych pistoletów. Nauczyła się nawet oddawać trzystrzałowe serie z izraelskiego uzi, który agenci Risk Limited wyraźnie sobie upodobali.

Czasami udawało się jej trafić do celu. Jednak sierżant ciągle mrucał coś o tym, że powinna odczekać, dopóki nie ujrzy biały punkt przeciwnika, a potem zwiewać, ile sił w nogach.

Tenże sam Gillespie chwalił ją za dobrze rozwinięty, naturalny zmysł orientacji, umiejętność posługiwania się mapami i planami, zdolność zapamiętywania twarzy i nazwisk oraz wydawania i wykonywania rozkazów.

Powinnam również dostać wysoką ocenę za zadowalanie się własnym towarzystwem, myślała Dani z

goryczą. Shane unika mnie od tamtej nocy, gdy odprowadził mnie do domu, chociaż od jego pocałunku o mały włos nie stopił się beton pod moimi nogami.

Starła się nie myśleć o dzikiej namiętności, która tak nieoczekiwanie rozpałała się między nimi.

Niestety, długi lot do Curacao dostarczył jej niewiele innych tematów do rozmyślań, może poza niebezpieczeństwem, jakie czyhało na nią w najbliższej przyszłości.

I w gruncie rzeczy wołała już myśleć o tego rodzaju zagrożeniu niż o uczuciach, jakie budził w niej Shane. Niczym sokół zniżający lot, samolot podszedł do lądowania na widniejącej w dole płycie lotniska Pl esman. Gillespie wychylił się ze swego fotela obok pilota i skinął głową.

Shane nawet nie drgnął. Od początku lotu siedział nieruchomo, bezustannie zastanawiając się nad jednym: jak to się stało, że wpadł jak śliwka w kompot i za partnera w tajnej operacji będzie miał Danielle Warren. To czysta głupota, uznał mocno zdegustowany. Albo namiętność. Co zresztą na jedno wychodzi.

Gdy Gulfstream II dotknął kołami pasa startowego, helikopter Bell JetRanger czekał już na skraju płyty lotniska, gotów do odlotu. Gillespie

otworzył drzwi odrzutowca, nie czekając, aż pilot dokołuje do śmigłowca i zatrzyma maszynę.

Sierżant wysiadł z samolotu i przeciągnął się z rozanieloną miną, gdy owiało go duszne, gorące powietrze wiejącego pasatu. Szorty koloru khaki i czarna koszula w wielkie czerwone kwiaty jak ulał pasowała do jego roli turysty.

- A niech mnie, nareszcie jestem w domu - oznajmił z szerokim uśmiechem, kiedy Dani znalazła się na ziemi obok niego. - Cholemie gorąco, ale nie ma to jak u siebie.

- Biorąc pod uwagę nazwisko, sądziłam, że jesteś kimś w rodzaju właściciela ziemskiego ze Szkocji - oświadczyła dziewczyna.

- Bo jestem, ale część moich genów pochodzi z za zwrotnika Koziorożca.

- To dwa różne światy, ale jak widać, dobrze się czujesz w obydwu - zauważyła Dani.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Rusz się, Gillie - odezwał się Cłowe. - Mamy cholemie mało czasu.

Sierżant zasalutował Shane'owi i skierował się w stronę helikoptera. Crowe niemal deptał mu po piętach.

Dani musiała prawie biec, aby za nimi nadążyć.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli dostawać się na Arubę wplaw? - mruknęła.

- Sądziłem, że jesteś amatorką przygód - odparł Shane.

- Cholera, cholera, cholera! W ciągu ostatnich pięciu dni robiłam wszystko, co do mnie należy. Nawet Gillie uznał, że jestem gotowa. Bądź więc łaskaw siedzieć cicho, jakby on to ujął.

- Gillie dał ci ocenę "minimalną" ze znajomości broni palnej i "odpowiednią" z samoobrony - zauważył Shane cierpko. - Z takimi wynikami żaden działający w terenie agent Risk Limited nie dostałby zezwolenia nawet na samodzielne pójście do toalety, a co dopiero na wejście w paszczę lwa.

- Gillie dał mi najwyższą ocenę z orientacji. w terenie i "bardzo dobry" ze wspólnego rozwiązywania problemów - oznajmiła Dani z całą stanowczością.

Shane tylko parsknął.

- Jeśli będzie trzeba, mogę nawet złamać facetowi nos - zapewniła dziewczyna. - Ale mój plan przewiduje pozostawienie tobie troski o cały ten kram. Dla siebie rezerwuję wytworniejsze zajęcia.

- Plan, też coś. Jezu Chryste. Pewno wierzysz także w świętego Mikołaja.

- A ty nie?

Rzucił jej spojrzenie tak twarde, że nadawałoby się do rycia w kamieniu.

- To ja jestem starszym agentem - oznajmił beznamiętnie. - I ja tu dowodzę. Do mnie należy podejmowanie decyzji. - A gdzie się podziała demokracja?

- Została w domu. Przypominam, że sama chciałaś brać w tym udział.

- Dajcie już spokój - powiedział Gillespie, odwracając się raptownie. - Czy przemierzając Tybet cały czas warczeliście na siebie w taki sposób?

- Nie - odparł Shane.

- Tak - brzmiała odpowiedź Dani.

Zaskoczeni, spojrzeli po sobie, po czym wybuchnęli śmiechem. Gillespie odetchnął z ulgą, ale tak, by nikt tego nie zauważył. Odbył

z Cassandrą wiele "dyskusji" na temat celowości wysyłania w teren kogoś tak niedoświadczonego jak Dani, zwłaszcza że Shane był przeciwny temu projektowi.

W końcu jednak wylądowali tu we dwójkę. I nieprędko mieli się rozstać.

Pilot helikoptera zszedł na ziemię, a Gillespie ruszył ku niemu, żeby się przywitać. Podali sobie dłonie jak starzy przyjaciele i zamienili kilka słów, przekrzykując głośny warkot silnika.

Potem sierżant obszedł wokół maszynę, sprawdzając wszystko, tak jakby osobiście odpowiadał za jej

funkcjonowanie.

Dani obserwowała Gilliego z rozbawieniem. Po kilku dniach nauczyła się nie zwracać uwagi na jego nieprzeciętną urodę, a za to dostrzegać tkwiącego pod spodem człowieka. Był dokładny w najdrobniejszych szczegółach, nieugięty, czasami szorstki, niekiedy pełen współczucia, ale zawsze inteligentny. W otoczeniu maszyn, uzbrojenia i towarzyszy broni czuł się całkiem swobodnie.

Pod wieloma względami Gillespie i Shane 'są do siebie bardzo podobni, myślała Dani. Obaj są wojownikami. Obaj są wspaniali dla przyjaciół i straszni dla wrogów.

Tyle że Shane nie podzielał fascynacji sierżanta naj nowszymi zdobyczami techniki. Korzystał z nowoczesnych urządzeń, ale się nimi nie zachwycał. Dbał tylko o to, by były zawsze zdatne do użytku i stale były pod ręką.

Przyglądając się spod oka obu mężczyznom i porównując ich ze sobą, Dani doszła do wniosku, że różnice między nimi na tym się nie kończą:

Shane nie nosi się po wojskowemu, uświadomiła sobie. Mimo potężnych rozmiarów wtapia się w tło. Łatwo go nie docenić. Tak jakby stale ... krył się w cieniu.

Przywodził jej na myśl spokojne wody, w których pod gładką taflą kryje się głębia i bardzo niebezpieczne wiry.

Ten intuicyjny obraz był zarazem intrygujący i niepokojący. Przyciągał, a jednocześnie przestrzegał i zalecał ostrożność.

- Gillie chętnie by się z nami wybrał, prawda? - spytała Shane'a.

- Tak, z radością wróciłby do pracy w terenie, ale Cassandra trzyma go przy sobie. Wciąż jest jej potrzebny.

- Nie wygląda na kogoś, kto byłby gotów zrezygnować z tego, na czym mu bardzo zależy.

- Domyślam się, że znalazł w zamian coś, na czym zależy mu jeszcze bardziej.

- Cassandrze?

Shane wzruszył ramionami.

- Cassandrze albo Risk Limited, do wyboru, do koloru - odparł. _ Gillie stał się legendą wśród żołnierzy Specjalnej Służby Powietrznej Jej Królewskiej Mości. A Cassandra jest jedynym człowiekiem na świecie, przed którym ugiął swój sztywny kark.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakby Gillie dostał się do ciężkiej niewoli, na którą nie miał najmniejszej ochoty. - Ajak inaczej można by na to spojrzeć?

- Jak na układ partnerski.

Shane mruknął coś niewyraźnie.

- Jakoś nie słyszałam, by któreś z nich się skarżyło - dorzuciła dziewczyna. - A ty?

Nie odpowiedział.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na wirnik helikoptera, Gillespie podszedł do Shane'a i Dani. W rękę trzymał czarno-żółtą papierową kopertę, którą wręczył Crowe'owi.

- Umowa o wynajem samochodu, niebieskiej toyoty z opuszczanym dachem, kluczyki i klucz do plażowego dothku hotelu Hyatt Regency na Arubie - powiedział. - Samochód czeka w zagajniku, w którym przeważa palma karłowata. Miller wysadzi was na plaży, jakieś sto metrów od tego miejsca.

Shane kiwnął głową i schował kopertę do kieszeni. Sierżant spojrzał na Dani.

- W apartamencie znajdziesz wszystko, co może ci być potrzebne _ rzekł. - Stroje plażowe i kilka sukien nadających się do kasyna. I pamiętajcie, że jesteście szczęśliwymi kochankami, którzy wybrali się na wakacje.

- Ach tak, szczęśliwi kochankowie? - powtórzyła Dani i zwróciła się do Shane'a: - Nie zapominaj o tym, gdy już popadniesz w swoje zwykłe, niezłomne milczenie.

Zagadnięty mruknął coś pod nosem.

- Bądź dziewczyną w starym stylu - powiedział Gillespie do Dani. Pozwól swemu mężczyźnie podejmować wszystkie decyzje taktyczne. - Nigdy nie byłam zbyt dobra w roli kobiety-powojnu.

- Cholera - westchnął sierżant. - Pięć dni okazało się zbyt krótkim czasem.

- I pięć lat by nie wystarczyło - warknął Shane.

Gillespie posłał mu rozbawione spojrzenie, po czym ponownie zwrócił się do dziewczyny. Delikatnie poklepał się w czoło palcem wskazującym i powiedział:

- Pan Bóg nie poskąpił ci rozumu. Może częściej używaj głowy zamiast języka.

Mimowolnie uśmiechnęła się i lekko go uściskała. Ten serdeczny gest zaskoczył ich oboje.

- Chyba powinnam ci podziękować - stwierdziła.

Odwzajemnił uśmiech, uściśniętą dłoń Shane'a i pomachał im obojgu na pożegnanie, gdy wchodzili na pokład

helikoptera.

Za sterami śmigłowca siedział szpakowaty mężczyzna z siwymi wąsami. U prawej ręki brakowało mu dwóch palców, ale kalectwo nie umniejszało szybkości jego ruchów. W ciągu kilku sekund maszyna znalazła się w powietrzu.

Shane i Dani siedzieli na tylnych fotelach, niemal stykając się kolanami. Huk rotora uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę.

I oto znowu znaleźliśmy się w wypełnionym hałasem pudle, pomyślała dziewczyna. Tyle że tym razem siedzenia są wygodniejsze. No, w pewnym sensie, bo z Shane'a był naprawdę znakomity materac.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Crowe wręczył jej słuchawki, palcem wskazał przełącznik i nasunął swoje słuchawki na uszy.

- Trochę ćwiczeń utrwalających materiał - oświadczył.

Z kartonowej teczki wyjął kilka fotografii. Podał Dani jedną z nich.

- Katia Pilenkova - powiedziała dziewczyna. - Szefowa prostytutek, zamieszkała na stałe w posiadłości Harmonii. Kiedyś należała do radzieckiej nomenklatury. Po upadku imperium pomagała rozgrabiać pozostały majątek. Brudne pieniądze z Zachodu wymieniano na ruble, które trafiały do rąk włoskiej mafii i kolumbijskiego kartelu. Za te ruble na rosyjskim czarnym rynku kupowano dosłownie wszystko, od dzieł sztuki po materiały rozszczepialne. Potem, już całkowicie legalnie, Katia sprzedawała cały ten kram na Zachód. W ten sposób uzyskiwała czyste dolary.

Shane poruszył się niecierpliwie. Nie interesowała go biografia Rosjanki. Chciał, żeby Dani skupiła się na jednej, jedynej rzeczy.

- Czy Katia jest niebezpieczna? - spytał zwięźle.

- Tylko wtedy, gdy odwrócisz się do niej plecami. Lub w łóżku. Albo wówczas, gdy zamienisz się w butelkę na wpół zamrożonej wódki. Boże drogi, jakże ta kobieta potrafi pić ..

Shane uśmiechnął się półgębkiem. Wyjął z pliku kolejną fotografię. - Ilja Kasatonin - wyrecytowała Dani. - Kochanek i przypuszczalnie partner Katii. Stały mieszkaniec Harmonii, ich etatowy zabójca. Pastwił się nad Afgańczykami, a oni odpłacili mu pięknym za nadobne. I tak jest niebezpieczny.

Pojawiło się trzecie zdjęcie.

- Kodzimura. Podejrzewamy, że zachowuje pewną rezerwę i nie chce "obiema nogami" wskoczyć w Harmonię, tak jak to zrobił Tony Liu z Chin. Katia wciąż rozgląda się za czymś, co pozwoliłoby jej kierować Liu według własnej w<;>li. Znalazła już jakiś sposób na Iszidę, który jest ważną figurą w jakuzie.

- Jeśli to Karenowie przewiezli jedwab, a wszystko na to wskazuje, Katia musiała znaleźć jakiś skuteczny sposób na Liu - zauważył Shane. - Pozostaje więc tylko Kodzimura. Bez wsparcia z jego strony Harmonia znajdzie się w impasie. A jakuzi nie omieszka rozegrać tego tak, że napuści członków Harmonii na siebie nawzajem.

Pokazał czwarte zdjęcie, potem piąte i następne. Dani bez namysłu podawała nazwiska: de la Pena, Spagnolini, Liu, Iszida. Długa lista ich zbrodni miast przerażać, odbierała raczej głos. Dziewczyna przytaczała tylko gołe fakty; coś w rodzaju wyliczanki, ile brzoskwiń mieści się w skrzynce na owoce, ile butelek wchodzi na jedną paletę, czy też ile ciał leży w jednym masowym grobie.

Odczuwając to jako coś zupełnie nierealnego, Dani przyjrzała się zdjęciu Iszidy i przypomniała sobie jego rywał, Kodzimurę.

- Co z jego prywatnym życiem? - spytała. - Czy interesuje go coś poza piciem, dziwkami i znęcaniem się nad tym biedactwem, które poślubił?

- Jest członkiem jakuzy w trzecim pokoleniu - odparł Shane. - Chce, by go szanowano i jednocześnie odczuwano przed nim lęk. Wielki entuzjasta kultury japońskiej, podobnie jak jego patron.

- Pośrednik? Shane skinął głową.

_ Nie udało nam się jeszcze wykryć, kto nim jest.

Dani przyjrzała się fotografii Kodzimury. Japończycy, podobnie jak Sycylijczycy, zaakceptowali istnienie zorganizowanej przestępczości, co w praktyce oznaczało obecność "pośredników", i to usytuowanych na najwyższych szczeblach drabiny społecznej, gdzieś między legalnym światem interesów a nielegalnym światem rozmaitych jakuz. Takim właśnie pośrednikiem mógł być Jukio Kojama.

_ Jakiego wyznania jest Kodzimura? Jest chrześcijaninem, buddystą, muzułmaninem, hinduistą czy jeszcze kim innym? - spytała.

- Podejrzewam, że satanistą.

_ W Azji? Mocno w to wątpię. Ma jakieś pasje czy obsesje, poza ośmioletnimi blondynkami?

_ Stare japońskie miecze. Jego rodzina słynie z ogromnej kolekcji białej broni. Ale ostatnio zmienił zainteresowania na ...

Głos Shane'a zamarł. Najego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, ale zniknął tak szybko, że Dani nie

była pewna, czy go tam w ogóle widziała.

- Na co? - spytała.

_ Jedwab - odparł Shane.- Kodzimura zaczął zbierać jedwabie. Podejrzewam, że jego ojciec i dziad zdołali zgromadzić wszystkie godne uwagi miecze.

- Jaki jedwab? Dawny czy współczesny?

- I taki, i taki.

- Azjatycki czy europejski?

- Azjatycki.

- Japoński, chiński, perski, hinduski?

_ Na Boga, kobieto, zadajesz mnóstwo pytań. - Przeszanę pytać, gdy uzyskam odpowiedź.

_ Nie mam pojęcia, w czym Kodzimura się specjalizuje.

- Więc się dowiedz.

- Czy to takie ważne?

_ Zbieracze są dziwakami. Niektórzy lubią się chwalić swoją kolekcją. Inni trzymają swoje "skarby" pod kluczem i napawają się nimi w samotności. Są też tacy, którzy robią i to, i to. Niektórzy kolekcjonerzy nawet nie spojrzą na coś, co nie pochodzi ze ściśle określonej epoki. Inni upierają się przy wyrobach chińskich, japońskich czy jakich tam. Jeszcze inni stawiają warunki dotyczące zarówno czasu, jak i miejsca produkcji, niekiedy także sposobu tkania i ...

- Mam już ogólną orientację - przerwał jej Shane. - Jeśli jedwab Buddy pasuje do profilu kolekcji tego faceta, nie musimy się martwić żadną prywatną aukcją. Katia użyje tkaniny do scementowania więzi z Japończykiem, a Kodzimura wpadnie w sieci Harmonii jak dojrzała brzoskwinia.

- Jak już powiedziałam: zbieracze są bandą dziwaków.

Shane zmienił kanał w swoim aparacie radiowym, rzucił kilka szybkich słów pilotowi i ponownie przełączył się na kanał Dani. Bez słowa zaczął wyciągać z teczki następane zdjęcia.

Posłusznie recytowała kolejne nazwiska, podawała narodowość i mrozącą krew w żyłach historię życia tego czy innego barona podziemia, który przyłączył się do organizacji, ironicznie nazwanej przez Katię Pi lenkową

"Harmonią", żeby wspólnie prowadzić interesy.

Shane słuchał w milczeniu. Wiedział, że to repetytorium nie jest Dani potrzebne. Tak naprawdę służyło tylko jednemu celowi - odwróceniu jej myśli od tego, co ich czeka w najbliższej przyszłości.

Albo odwróceniu od tego swoich własnych myśli, przyznał w duchu.

Na łzy Buddy, wolałbym, że ona została w domu!

Ale nie została. Teraz, gdy zaczynał się okres pełen niebezpieczeństw, jeszcze jedno życie zależało od jego umiejętności.

Umrzeć w wyniku własnych błędów to jedno, a zupełnie czymś innym jest pociągnięcie kogoś za sobą.

Zwłaszcza Dani. Do jasnej cholery, dlaczego to musiała być właśnie ona?

Gdy znaleźli się kilkanaście kilometrów od Amby, pilot zniżył maszynę, tak że leciała jakieś trzy, cztery metry nad lustrem wody.

Leżąca na wprost nich bryła lądu zaczęła nabierać kształtów. Dani cały swój wolny czas, wszystkie przerwy w intensywnym szkoleniu wykorzystywała na czytanie książek o Arubie i na studiowanie odpowiednich map. Ten wysiłek sownie się jej opłacił. Charakterystyczne cechy terenu, które przedtem oglądała wyłącznie na zdjęciach, pojawiły się teraz jako trójwymiarowa rzeczywistość.

Haystack wygląda tak jak na fotografii, pomyślała. Ponad sto pięćdziesiąt metrów wysokości. Poza tym cały teren jest piaszczysty i płaski jak stół. Mimo iż była przygotowana na coś w rodzaju karaibskiej pustyni, posępna mieszanina skał, piasku i pochylonych przez wiatr drzew divi-divi wywołała w niej niepokój. .

To tyle, jeśli chodzi o marzenia o tropikalnym raju, pomyślała. No cóż, w końcu nie jesteśmy na prawdziwej eskapadzie kochanków. Będziemy raczej zwiedzać największą pralnię, jaką kiedykolwiek urządzono na świeżym powietrzu. Wpływa tutaj połowa światowych zasobów brudnych pieniędzy, a opuszczają wyspę równie czyste i białe, jak arubijski piasek.

Nie po raz pierwszy przyszło Dani do głowy, jak dziwny jest fakt, że i Risk Limited, i Harmonia, zawdzięczają życie temu samemu "tektonicznemu" poruszeniu w światowej polityce: implozji radzieckiego imperium. Załamanie się społecznego porządku i granic państwa stworzyło ogromne możliwości, natychmiast dostrzeżone i z miejsca wykorzystane przez naj rozmaitsze kryminalne organizacje o zasięgu międzynarodowym.

Japońska jakuza, chiński tong, sycylijska i amerykańska mafia, kolumbijski kartel, rosyjska mafia ... nazwa nie miała żadnego znaczenia. Rezultaty natomiast były ludożerczo podobne: przechwytywano lub korumpowano

władzę cywilną, jaka w danym miejscu działała.

Chłód przeniknął Dani, gdy jeszcze raz przetrawiała informacje zdobyte w ciągu ostatnich kilku dni, dotyczące organizacji zwanej Harmonią.

Żadna z tych informacji nie była pocieszająca.

_ Szkoda, że ani politycy, ani gliniarze nie potrafią tak zgodnie ze sobą współpracować, jak organizacje przestępcze o światowym zasięgu - stwierdziła. - Gdyby potrafiły, Harmonia zwiędłaby w zaraniu.

_ Ale nie zwiędła. Wprost przeciwnie, rozkwita. Jej jądro stanowi Aruba. Brzuch Wielkiej Bestii w różnych odcieniach bieli i turkus.

_ A my jesteśmy po prostu beztroskimi turystami.

- Taak.

_ Mam nadzieję, że nie mylisz się co do Katii i jej urojeń o wielkości.

_ Wódka, pita w dostatecznej ilości, zmienia nawet najtwardsze umysły. Harmonia wyrosła tak szybko, napotykać przy tym tak niewielki opór, że Katia nabrała przekonania, iż kule się jej nie imają.

Dani przygryzła wargi i omiotła spojrzeniem wyspę. Pomyślała o Fengu i o jego zabójcy nazwiskiem Kasatonin.

Śmigłowiec zbliżył się do Aruby. Plaże na wschodnim krańcu były dziksze i węższe niż te położone po zachodniej stronie wyspy. Cieszyły się również znacznie mniej szym powodzeniem zarówno wśród turystów, jak i u miejscowej ludności. Dlatego Gillespie wybrał tę właśnie część wybrzeża jako miejsce "desantu".

Pilot zamienił terkoczącą maszynę w poruszającego się z wdziękiem ptaka morskiego. Wzniósł się ponad linią palm, a następnie opadł nad wąską drogą biegnącą wzdłuż południowego wybrzeża. Z jego twarzy nawet na moment nie zniknął pełen dumy uśmiech, dzięki któremu do złudzenia przypominał chłopca na diabelskim młynie w wesołym miasteczku. Zmniejszył szybkość dopiero wtedy, gdy znaleźli się w pobliżu "lądowiska".

W słuchawkach, które Shane i Dani mieli na uszach, rozległ się głos pilota:

- Na moje oko nie ma tu nawet psa z kulawą nogą.

- Zrozumiałem - powiedział Crowe. - Co dalej?

- Otwórz drzwi. Przeleć kawałek wzdłuż plaży, a wy wyskakujcie i kierujcie się w głąb wyspy.

- Zrozumiałem. Wyskakujemy.

Shane zdjął z głowy słuchawki i odpiął pasy. Gdy Dani poszła za jego przykładem, już otwierał przesuwne drzwi. Pęd powietrza spod wirnika wypełnił całą kabinę wyciem wiatru.

Dziewczyna poczuła nagły przypływ adrenaliny.

To rzeczywistość, pomyślała. Mój Boże, w co ja się wpakowałam? Rzuciła okiem na spokojną twarz swego towarzysza i panika ustąpiła jak

ręką odjął.

Przynajmniej nie jestem sama, pomyślała Dani. Nawet jeśli mój partner zachowuje się czasami jak niemowa.

Shane dostrzegł niebieski samochód ukryty w gęstwinie. Wskazał go i dał sygnał do zejścia niżej.

Pilot zwolnił dzwignię. Śmigłowiec zaczął się spuszczać w dół i zawisł jakieś półtora metra nad powierzchnią gruntu.

Shane wyszedł na płożę helikoptera i raptem zniknął w chmurze wirującego piasku. Nie patrząc za siebie, wyciągnął rękę do Dani i odsunął się po płożie jeszcze kilka centymetrów dalej od maszyny.

Po chwili wahania dziewczyna ujęła dłoń mężczyzny i pozwoliła mu się naprowadzić na właściwą pozycję w drzwiach.

Helikopter obniżył lot jeszcze odrobinę i teraz unosił się w powietrzu niczym mała stojąca trąba powietrzna.

Pilota podał Dani niewielką skórzaną torbę.

Odruchowo chwyciła za pasek. W następnej chwili Shane wyciągnął ją na płożę i oboje zeskoczyli na plażę.

Ledwie stopy dziewczyny dotknęły gruntu, otoczył ją ramionami, przycisnął jej twarz do piersi i ustawił się plecami do śmigłowca.

Helikopter natychmiast skoczył ku niebu, pozostawiając Shane'a i Dani sam na sam z Harmonią.

16

Aruba Listopad

Dani mocno zacisnęła powieki i wtuliła twarz w koszulę Shane'a, wdzięczna za tę osłonę przed gwałtownie wirującym piachem, porwanym w górę przez helikopter.

W ciągu piętnastu sekund głośny terkot śmigłowca zamarł w oddali, ustępując miejsca szumowi morza i

wiatru.

Shane pomyślał, że pierwsza przeszkoda została pokonana. Przenikanie na teren wroga stanowiło najbardziej niebezpieczną część każdej operacji. Na drugim miejscu pod względem stopnia zagrożenia plasowało się opuszczanie wrogiego terytorium.

Niech to diabli, Dani, dlaczego nie chciałaś zostać w domu, gdzie nic by ci nie groziło? - po raz nie wiadomo który zadał sobie to pytanie.

Cóż, nie została. I teraz on był za nią odpowiedzialny.

Czuł na piersi gorący oddech dziewczyny, gorętszy niż tropikalne powietrze. Uświadomił sobie, że oto stoi jak skończony idiota, trzymając ją w ramionach, zamiast zniknąć z miejsca "desantu", i to możliwie szybko.

Przy niej diabli biorą moją zdolność koncentracji, pomyślał ze złością. Zbyt długo przebywałem w klasztorze. Niech to piekło pochłonie!

Puścił dziewczynę i sięgnął po skórzaną torbę. W środku znajdował się pakunek owinięty kawałkiem materiału i przewiązany sznurkiem. Crowe szybko uporał się z opakowaniem.

Oczom Dani ukazał się pistolet. Shane sprawdził go kilkoma sprawnymi ruchami dłoni i stwierdziwszy, że broń jest zdarna do użytku, wrzucił ją ponownie do torby.

_ Dobrze by było stąd zniknąć - mruknął, po czym zwrócił się do dziewczyny: - Stój tu, dopóki cię nie zawołam.

- Dokąd idziesz?

- Do samochodu.

Rozejrzała się wokoło. Niebieska toyota była dobrze widoczna z góry, lecz z ziemi nie można jej było dostrzec. Shane musiał więc jeszcze w helikopterze ustalić dokładne położenie samochodu.

Z szybkością i precyzją, które wiele mówiły o jego doświadczeniu, zlustrował teren wokół zarośli z niskorosłej palmy wachlarzowatej. Nie było widać żadnych śladów. Najwyraźniej nikt tu ostatnio nie zaglądał, a po zamaskowaniu samochodu palmowymi "wachlarzami" wszystkie wcześniejsze ślady zostały zatarte.

Shane zaczął zrywać osłonę.

Kiedy Dani uświadomiła sobie, że zarośla kryjące wynajętą toyotę były tylko artystycznie wykonanym maskowaniem, ruszyła powoli w stronę Crowe'a.

- Nie ruszaj się, do cholery! - rozkazała, nie oglądając się za siebie. Zatrzymała się w pół kroku. Skąd on wiedział, że szłam w jego stronę? - zastanawiała się. Przez te kilka dni zdążył mnie poznać lepiej niż mój były mąż w ciągu całej naszej znajomości.

Sama nie wiedziała, czy ją to cieszy, niepokoi, czy może irytuje. Szybko, nie dotykając niczego, Shane obejrzał samochód. Potem położył się na brzuchu i uważnie zlustrował podwozie. Zadowolony z wyników inspekcji, podniósł się, otrząpął z piasku i sięgnął do klamki.

Mechanizm nie stawiał oporu.

Drugą przeszkodę mamy z głowy, pomyślał. Diabli jednak wiedzą, ile ich jeszcze przed nami.

Otworzył drzwi, usiadł za kierownicą, włożył kluczyk do stacyjki i przekreślił.

Silnik zaskoczył od razu. Trzecia przeszkoda pokonana.

- W porządku - zawołał. - Możesz podejść.

Gdy znalazła się w środku, Shane otworzył schowek na rękawiczki i upchnął w nim skórzaną torbę.

- O co tu chodzi? - spytała Dani, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- ZBO numer dwieście trzydzieści siedem według Gilliego - powiedział Shane, wyjeżdżając tyłem na drogę. - Zasadzkę najlepiej urządzać obok samochodu, który ma posłużyć do ucieczki.

- Co to jest ZBO?

- Zaślepiający błysk oczywistości.

Dani roześmiała się.

- Zaślepiający błysk oczywistości - ciągnął Shane - jest znacznie lepszy niż oslepiający błysk wybuchu samochodu-pułapki. Tak brzmi ZBO numer jeden.

Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny.

- Jeśli zamierzałeś mnie przestraszyć, to osiągnąłeś już cel i możesz przestać - powiedziała.

- Usiłuję cię szkolić. Jeśli bomba w samochodzie jest dobrze skonstruowana, to wybucha w sekundę od przekręcenia kluczyka w stacyjce.

- Będę to stale miała na uwadze.

_ Znakomicie. Nie podzielam poglądów Gilliego w kwestii treningu operacyjnego. Jego zdaniem robienie tego, co przychodzi naturalnie, jest zawsze dobrą taktyką, ale ja mam w tej sprawie poważne wątpliwości.

Gdy wjechali na twardą nawierzchnię, Shane przyspieszył. Zaledwie trzy minuty upłynęły od chwili, gdy

Shane i Dani zeskoczyli z płozy helikoptera, a już zniknęły wszelkie dowody świadczące o tym, że nie są oni najzwyczajniejszymi w świecie turystami.

Shane prowadził pewnie, tak jakby był rdzennym mieszkańcem wyspy, za to Dani szybko poczuła się kompletnie skołowana. Jej "orientacja w terenie" najwyraźniej zawodziła.

Znając Gilliego, pomyślała, głowę bym dała, że gdzieś tu leży mapa.

Przeznaczona dla mnie, nie dla Shane'a. Ten cyborg zen świetnie się bez niej obejdzie.

Plan Aruby istotnie spoczywał w bocznej kieszeni po stronie pasażera. Dziewczyna w mgnieniu oka zorientowała się, gdzie się w tym momencie znajdują i dokąd zmierzają.

Piętnaście minut później Shane skręcił na główną szosę i ruszył w stronę Oranjenstadu. Pojawiły się pierwsze zabudowania, niewielkie szałaszy ozdobione pogańskimi totemami. Później mijali eleganckie bungalowy i holenderskie wiatraki, obracające się nieprzerwanie na nigdy niecichnącym wietrze. Okolice tchnęła niezwykłym spokojem.

Dani rozluźniła się. W takim otoczeniu udawanie turystów nie będzie zbyt trudnym zadaniem, pomyślała. Za lotniskiem wjechali w wielkomijską część Oranjestadu. Dani popuściła wodze wyobraźni: oto ona i Shane w samochodzie. Są dokładnie tymi, na kogo wyglądają, czyli parą turystów, którzy niebawem opuszczą wyspę tą samą drogą, jaką tu przybyli, na pokładzie samolotu American Airlines, takiego, jak maszyna kołująca w tym właśnie momencie ku dworcowi lotniczemu.

Najzwyczajniejsi kochankowie na wakacjach.

Zerknęła na siedzącego obok mężczyznę. Takiego towarzysza podróży żadna by się nie powstydziała: inteligentny, przystojny i niezmiernie ujmujący, jeśli mu na tym zależy.

Co ostatnio nie zdarzało się zbyt często.

_ Z pewnością wiesz, jak dostarczyć dziewczynie rozrywek w egzotycznych miejscach - zagaiła. -

Najpierw Lhasa, teraz Aruba.

Szerokim gestem wskazała miasto i górujące nad nim budynki hotelowe, wznoszące się wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy.

_ Nie zapominaj, dlaczego tutaj jesteśmy - odparł Shane.

- Nie martw się, na pewno nie zapomnę. A gdyby nawet, to nie wątpię, że wielki cyborg zen nie omieszka mi o tym przypomnieć.

- Wielki co?

- Ty.

Na twarzy Crowe'a pojawił się wyraz napięcia, a potem jego rysy zastygły w maskę, która prawie nie zniknęła, odkąd Redpath poinformowała go, że Dani pojedzie na Arubę.

Z Shanem Crowem albo bez niego.

Podejrzewał, że szefowa blefuje, ale wołał tego nie sprawdzać. W ostateczności Gillespie pojechałby zamiast niego, co z zawodowego punktu widzenia nie miało wielkiego sensu.

A jeśli idzie o sprawy osobiste, to Shane co i rusz musiał sobie przypominać o swoich dobrowolnie złożonych ślubach czystości.

Jego abstynencja trwała już dwa lata, jedenaście miesięcy, dwadzieścia dwa dni.

Centrum Oranjenstadu wyglądało dokładnie tak, jak na filmie wideo, który pokazał im Gillespie. Utrzymane w pastelowych kolorach budynki z epoki kolonialnej, w których dawno temu prowadzono interesy, sąsiadowały z wielkimi, błyszczącymi centrami handlowymi, kasynami oplecionymi siecią wielobarwnych neonów i siedzibami nowoczesnych banków, wzniesionymi z przydymionego szkła i nierdzewnej stali.

Dani wciągnęła powietrze w płuca. Wokół unosiła się jakaś słodka woń.

- Owoce? - spytała. - A może perfumują powietrze dla turystów?

- To po prostu słaby zapaszek korupcji.

- Jakże romantyczne.

- Romantyczne? - roześmiał się chrapliwie. - Na wyspie jest jakieś trzysta pięćdziesiąt banków i tylko się prześcigają w lewych interesach. Budynki, na które patrzysz, to wzniesione ze stali i szkła pomniki korupcji i niczym niemaskowanej chciwości.

- Uśmiechnij się, kochanie. Miej stale w pamięci, że jesteśmy przecież na wakacjach.

Shane rzucił swej towarzyszyce niedowierzające spojrzenie.

- A ściślej mówiąc, na wakacjach kochanków - dodała słodkim głosem. - Czy nie tak ujął to Gillie?

- Ciężka cholera!

Ugryzła się w język. Wyczuła, że Shane jest już u kresu wytrzymałości i lada chwila może wybuchnąć. Osiągnąwszy północny skraj miasta, skręcili i pojechali główną drogą wiodącą wzdłuż plaży. Po obu jej stronach ciągnęły się małe hoteliki, kasyna i restauracje. Skromne budynki szybko ustąpiły miejsca

architektonicznym

kolosom przeznaczonym dla najbogatszych turystów.

W prześwitach między tymi wzniesionymi ręką ludzką "skałami" można było dostrzec przepelnione plaże, których piasek kolorem i fakturą przypominał cukier. Był tak biały, że mimo okularów słonecznych od patrzenia nań bolały oczy. Oślepiający pas piachu ciągnął się aż do połyskującej błękitem wody.

- Witaj w okolicy, która stała się domem Harmonii - odezwał się Shane. - Życzę przyjemnych wakacji.
- Prawdę powiedziawszy, czułabym się o wiele lepiej, gdyby Gillie nie poinformował mnie o wszystkim.
- Miałaś wybór.

- Czy nigdy nie znudzi ci się to ciągle powtarzanie "A nie mówiłem"? - spytała Dani ostro.

- Nie. Nie zapominaj, że jestem maszyną. Cyborgiem. Dziewczyna drgnęła. W ustach Shane' a słowo to zabrzmiało wręcz odpychająco. Postanowiła więc zmienić temat. I to szybko.

- Trudno sobie wyobrazić, że wielu ludzi spędza wakacje w cieniu czegoś takiego jak Harmonia - powiedziała.

- Byłaś może w Rio?

- Nie, ale mam nadzieję, że kiedyś tam pojedę. Słyszałam, że to piękne miasto.

- Rio jest jak ostrze - odparł. - Ostrze bandyckiego noża. Tamtejsze plaże nie są bezpieczne dla turystów. Na dobrą sprawę, mało co jest tam bezpieczne.

- Postrzegasz świat w dość ponurych kolorach.

- Co wynika z faktu, że nie chroni mnie wieża z kości słoniowej ani różowe okulary.

- Czy bycie skunksem przychodzi ci naturalnie, samo z siebie, czy też musisz nad tym trochę popracować?

- Zupełnie naturalnie. Moi rodzice nigdy nie wzięli ślubu.

- To tyle, jeśli idzie o rozmowę. Nie ma co gadać, bawimy się jak norki, prawda?

- Nie.

- Uśmiechnij się ty skunk ... nie, ty twardogłowy sukinsynu - poprawiła się. - Jesteśmy kochankami na wakacjach, a ten samochód ma otwierany dach. Patrzą na nas.

Shane uśmiechnął się niczym wilk zapatrzony w barani kotlet.

- Zapomnij o tym, co powiedziałam - wycofała się Dani. - Będę się uśmiechać za nas oboje.

Toyota przemknęła obok kompleksów hotelowych, składających się z połączonych ze sobą dwóch lub trzech identycznych wieżowców. W kompleksy rekreacyjne zręcznie wkomponowano bogato zdobione kasyna, jakby

były równie potrzebne z punktu widzenia zysków, co baseny pływackie.

- Zupełnie inaczej niż w Las Vegas - zauważyła. - W Vegas stają na głowie i robią wszystko, co się da, może z wyjątkiem odpalenia bomby atomowej, żeby przyciągnąć turystów do kasyn.

- Vegas? Lubisz hazard?

- A dla jakich innych powodów spędzałabym wakacje na Jedwabnym Szlaku? - odparła.

- Miałem na myśli hazard, w którym stawia się pieniądze, a nie własną głowę.

Dani wzruszyła ramionami.

- Gra na pieniądze zupełnie do mnie nie przemawia. Ale wiem, że na niektórych działa jak narkotyk.

- Nie jest dziełem przypadku, że zł5rodnia, hazard komercyjny i korupcja administracji idą ze sobą ręką w rękę - stwierdził Shane. - Zapach ludzkich słabości przyciąga drapieżniki, podobnie jak zaropiała rana ściąga ku sobie roje much.

- Co za przyjemny obraz.

- Muchy niewątpliwie są tego zdania.

- Czeka! - zawołała Dani raptownie. - Właśnie mineliśmy Hyatt.

- Wiem. Przyjrzyj się następnej posesji.

Dostrzegła wielką stalową bramę zamykającą boczną drogę prowadzącą ku morzu. Wypolerowana tabliczka z brązu głosiła:

HARMONIA, POSIADŁOŚĆ PRYWATNA, WSTĘP WZBRONIONY

- Wygląda jak połowa plaży w Malibu - beztrasko skomentowała dziewczyna.

- Proszę się nie oszukiwać, pani profesor. To nie jest Malibu.

- Nie miałam pojęcia, że zamieszkamy tak blisko Harmonii.

- Tę bliskość podyktowały nam zadania, które mamy tutaj do wykonania.

Shane, niczym prawdziwy turysta, zrobił nawrót na samym środku jezdni i zjechał w boczną drogę wiodącą na tereny hotelu Hyatt Regency. Po chwili zaparkował w cieniu zarośli palmowych. Sięgnął do schowka na rękawiczki i wyjął skórzaną torbę.

Wysiadł z auta, zanim Dani zdołała otworzyć drzwi. Szybko wyskoczyła z samochodu, aby do niego dołączyć.

- Trochę wolniej, kochanie - napomniała.
- Przepraszam. To ten upał dodaje mi napędu.
Dobrze wiedziała, że napędu Shane'owi dodawała tylko i wyłącznie jej obecność.
- Nie umiesz przegrywać z wdziękiem - mruknęła.
- Jeśli pokażesz mi kogoś, kto umie przegrywać, to ja ci pokażę człowieka przegranego. Kropka.
Wsunęła mu rękę pod ramię i zaparła się obcasami.
- Stań na chwilę - powiedziała spokojnie.
Shane zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na dziewczynę. Jej uśmiech ukazywał wszystkie zęby, ale nie było w nim ciepła.
- Przypominam ci, że jesteśmy kochankami na wakacjach - szepnęła.
- Sposób, w jaki mi stałe ...
Położyła mu dłoń na ustach. Gest ten mógłby uchodzić za pieszczotę kochającej kobiety, ale nim nie był. Wspięła się na palce i szepnęła mu wprost do ucha:
- Przystań traktować mnie jak uprzykrzoną młodszą siostrę. Zwłaszcza pod samym nosem ludzi, których usiłujemy oszukać.
Gdy opadała ponownie na pięty, jedna z jej piersi musnęła przedramię Shane'a. Kontakt mógł być zamierzony, lecz wcale nie musiał.
Crowe zapragnął nagle, aby się tego dowiedzieć, i już sama myśl przyprawiła go o dreszcz.
Zostało jeszcze całych osiem dni abstynencji, przypomniał sobie. Niby niedużo, ale z drugiej strony, jego ślubowanie miało bardzo specyficzny wymiar.
Pochylił się i pocałował kącik ust Dani.
- Cieszy mnie, że chcesz to rozegrać w taki właśnie sposób - powiedział ochryplym głosem.
- Ja wcale nie ...
Resztę słów dziewczyny stłumił pocałunek.
- Trochę cierpliwości, kochanie - rzekł Shane z uśmiechem. - Już wkrótce będziemy pod dachem.
- Ty ss ...
Chwył Dani za głowę i przycisnął jej usta do swojej szyi.
- Jesteśmy kochankami, chyba o tym nie zapomniłaś? - szepnął jej wprost do ucha. - Przypominam, że sama przed chwilą wyraziłaś opinię, jakoby nawet palmy miały uszy.
Kiwnęła głową, pocierając czołem o skórę na jego szyi, lekko już szorstką od popołudniowego zarostu.
- A dopóki się nie upewnię, że w ścianach naszego domku nie tkwią żadne uszy, będziesz trzymała buzię na kłódkę - polecił. - Wyjątek sta,nowią pocałunki. Jeśli jeszcze raz otworzysz usta bez mojego wyraźnego polecenia, potraktuję to jako zaproszenie do łóżka. Jasne?
Dani zeszywniała od pięt po czubek głowy. Szybko skinęła głową. Shane uwolnił jej głowę. Robiąc to, przeczesał palcami włosy dziewczyny, co można było odczytać jako ostrzeżenie albo jako pieszczotę. Albo jedno i drugie.
Ramię w ramię ruszyli ścieżką w stronę domków plażowych. Gdy podeszli do budynku usytuowanego najbliżej morza, a tym samym najbliżej ogrodzenia z kutego żelaza, otaczającego posiadłość Harmonia, Shane wyciągnął z kieszeni szortów klucz. Sprawdziwszy numer na wiszącej u klucza tabliczce, pochylił się ku Dani.
- Zacznij coś mówić, jak przystało na prawdziwą turystkę - szepnął. - I pamiętaj, że jesteśmy tu już od kilku dni.
- Wciąż jeszcze nie napatrzyłam ~ię kwiatom do syta - powiedziała po chwili namysłu. - Przywodzą mi na myśl jedwab.
Shane spojrzał na nią z przyganą.
- A ściślej mówiąc, satynę - poprawiła się pospiesznie. - Wszystkie są takie soczyste, połyskliwe i miękkie. Jęknął tylko.
- A te ptaki stojące na plaży na jednej nodze - szczebiotała dalej dziewczyna. - Czyż nie są słodkie?
- Słodkie? Może.
- W głowie mi się nie mieści, że ta wspaniała plaża wciąż jest pusta. Myślisz, że ktoś by zaprotestował, gdybyśmy się tam zakradli i z niej skorzystali? Ten płot nie ciągnie się chyba do samej wody.
Podążył spojrzeniem za wzrokiem Dani. Przez sztachety z kutego żelaza przyglądała się sąsiedniej posiadłości. Tylko zwoje ostrego jak brzytwa drutu wieńczące parkan oraz kamery bez przerwy omiatające plażę zakłócały obraz najprawdziwszego raję.
- Jasne, że by protestowali - odparł Shane kwaśno. - Bogacze okropnie mnie wkurzają. Sami nie korzystają z tego, co mają, i innym nie pozwolą się tym nacieszyć.
Klucz obrócił się lekko w dobrze naoliwionym zamku. Drzwi nie skrzypnęły.

Nic nie wybuchło.

Spojrzeniem, które sprawiało wrażenie doskonale obojętnego, Shane omiótł całe pomieszczenie, zanim zrobił choćby jeden krok.

Pusto.

- Idź pierwsza - mruknął.

Gdy Dani weszła do środka, uświadomiła sobie, że lewą rękę cały czas trzymał na kieszeni torby, w której spoczywała broń.

Przeszył ją dreszcz nie mający nic wspólnego ze sprawnie pracującą klimatyzacją, chłodzącą apartament więcej niż skutecznie. Ani słońce, ani kwiaty, ani gorące powietrze tropiku nie zdołały przytępić wyostrzonej czujności towarzyszącego jej mężczyzny.

Niespokojnie rozejrzała się dokoła. Centralną część domku zajmował salon, którego okna wychodziły na plażę. Niewielkie pomieszczenie po lewej stronie mieściło dobrze zaopatrzony barek z alkoholami. Po drugiej stronie znajdowała się sypialnia.

- Podobają mi się te meble - rzuciła Dani.

- Taak - odparł Shane w roztargnieniu. - Naprawdę ładne.

Nie zwracał uwagi na jakość umeblowania. Dokładnie oglądał krzesła i stoły oraz resztę sprzętów, szukając elektronicznych pluskw.

Gdy zaczął sprawdzać kinkiety, Dani udała się na samodzielną inspekcję. Raz po raz rzucała luźne uwagi, wyrażające jej zachwyt nad meblami, widokiem z okna, pogodą czy faktem, że drzwi domku wychodzą wprost na plażę.

Odpowiedzi Shane' a ograniczały się do "aha?", "tak" bądź "to miłe".

- Nie można też narzekać na dobór trunków - powiedziała, spoglądając na barek.

- Taak?

- Grand Marnier.

- Fajnie.

- No, myślę. Butelka tych rozmiarów kosztuje pewnie z pięćdziesiąt dolców w strefie bezcłowej.

Shane przerwał sprawdzanie nietypowo umieszczonego kontaktu i spojrzał na dziewczynę.

- Czybyś lubiła Grand Marnier? - spytał.

- Ach, ci mężczyźni - mruknęła Dani. - Nie potrafisz nawet zapamiętać mojego ulubionego trunku, prawda? . - Eee ...

- No właśnie. Eee ...

Shane wrócił do sprawdzania pomieszczenia. Tak naprawdę nie był zaniepokojony. Tylko ostrożny. W Afganistanie nauczył się, że ostrożni żyją dłużej.

Wiedział, że nie ma najmniejszej szansy na wykrycie pluskwy najnowszej generacji. Na pociechę zostawało mu tylko jedno: jeśli Harmonia zdołała przejrzeć ich "bajeczkę" i zawczasu założyć w pokoju podsłuch, to on i Dani już byli martwi, niezależnie od tego, co zrobią.

- Miło ze strony twojego szefa, że zafundował ci te wakacje jako premię - powiedziała dziewczyna.

- Owszem.

- Wynajęcie takiego domku musi kosztować najmarniej pięć setek dziennie.

- Osiemset pięćdziesiąt. Za minutkę wracam.

Podszedł do drzwi sypialni i otworzył je. Zajrzawszy do wnętrza, gorzko się uśmiechnął. Budda ma nie byle jakie poczucie humoru, pomyślał.

Szybko sprawdził sypialnię i łazienkę. Nie znalazł niczego poza tym, co już wcześniej odkrył. Spuścił wodę i słuchał. Wszystko działało bez zarzutu.

. Łącznie z nim samym.

Był pobudzony seksualnie; przez cały czas. I nic nie pomagały ćwiczenia duchowe, które tak dobrze sprawdzały się w Tybecie. Na koszuli czuł zapach Dani, na wargach jej smak i a na samo wspomnienie tego, co odczuwał, gdy dotykał jej piersi, jego szorty robiły się za ciasne.

Niech to cholera! - zaklął w duchu.

Przeszedł przez główny pokój do barku i szarpnięciem otworzył drzwiczki lodówki. Znalazł tam butelkę piwa karaibskiego. Otworzył ją i pociągnął solidny łyk.

- Czy coś się stało? - spytała Dani. Pociągnął drugi łyk.

Przyjrzała się jego twarzy. Jego oczy były ciemne jak noc i równie nieodgadnione.

Opuścił butelkę. A potem się uśmiechnął.

Nie wiem w jaki sposób, ale ktoś wdepnął w łajno jaka, pomyślała Dani. I to głęboko.

- Nie, nic - odparł Sahne.

- Całe twoje zachowanie, każdy gest, sugeruje coś wręcz przeciwnego.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale tak jak poprzednio, w jego uśmiechu nie było ani odrobiny ciepła.

- Zachowanie, gesty - powtórzył, jakby po raz pierwszy w życiu słyszał te słowa. - N o tak.

- Czy rozmawiamy na ten sam temat? - dopytywała się dziewczyna.

- Na razie nie, ale za chwilę będziemy.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

Skinął głową w kierunku sypialni.

- Zobacz - powiedział. - I pamiętaj, kochanie, że sama się o to prosiłaś. Uparłaś się jak osioł.

Dani podeszła do drzwi sypialni i zajrzała do środka.

Pokój tonął w półmroku, gdyż zasłony były zaciągnięte. W otwartej szafie wisiały wczasowe stroje, obiecane jej przez Gillespiego.

Nie zwracała sobie głowy przymierzaniem. Była pewna, że wszystko będzie leżało na niej jak ulał. Ktoś rozpakował rzeczy Shane'a. Na poręczy krzesła wisiała bawełniana koszulka. Na drugim leżał zwinięty czerwony szlafrok.

Przez otwarte drzwi łazienki Dani dostrzegła rozłożone przybory toaletowe. Dobrano je zgodnie z jej upodobaniami. Niektóre tubki i buteleczki zostały częściowo opróżnione, jakby już przedtem z nich korzystano.

Ogólnie rzecz biorąc pokój sprawiał wrażenie zamieszkanego, był wygodny i przytulny. Atmosferę tę podkreślały rozmaite drobiazgi, aż po narzutę zrolowaną w nogach szerokiego podwójnego łóżka.

Dopiero po chwili zrozumiała, o co chodziło Shane'owi.

Jedno łóżko.

Dwoje ludzi.

Odwróciła się na pięcie. Crowe stał w salonie, tuż za progiem sypialni. Uniósł butelkę piwa w milczącym toaście.

_ Spójrz na jaśniejsze strony całej sprawy - poradził.

- Pokaż mi je, a pójdę za twoją radą.

_ Zanim to się skończy, oboje będziemy mieli okazję się przekonać, jak dobrą aktorką jesteś.

- A żeby cię pokręciło, kowboju - prychnęła Dani. _ Kowboju? Czy to brzmi lepiej niż cyborg zen?

Drzwi sypialni zatrasnęły się z taką siłą, że niemal wytrąciły mu butelkę z ręki.

17

Świtało. W promieniach wschodzącego słońca Aruba jarzyła się feerią barw. Shane jednym ruchem poderwał się z podłogi po "swojej" stronie łóżka, dziękując w duchu Bogu, że już rano. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, jak wąski może się okazać szeroki podwójny materac.

Niewiele zmieniał fakt, że Dani przywierała do krawędzi łóżka, jakby to była lina ratunkowa. Każdy oddech dziewczyny, każde poruszenie jej ciała, nawet przesywywanie się włosów na poduszce, wciąż na nowo podsycaly płomienie liżące jego ciało.

Jak to dobrze, że nie zdecydowałem się na życie klasztorne, myślał.

Gdybym potem spotkał Dani, całe życie żałowałbym złożonych ślubów. A tak muszę ich żałować jeszcze tylko przez kilka dni.

Kilkoma szybkimi ruchami wciągnął szorty, a potem wyjął lornetkę z walizki, którą mu wcześniej przygotowano.

Na niewielkim ganku od strony oceanu jaśniał kwadrat przesianego przez korony drzew światła słonecznego. Z tego miejsca można było obserwować teren Harmonii, nie będąc samemu widzianym.

Następne pół godziny Shane spędził na wpatrywaniu się przez zasłonę z liści w sąsiednią posiadłość. Obiektem jego obserwacji było ogrodzenie.

Parkan ten robił imponujące wrażenie.

Wysoki na trzy metry, zbudowany z żelaznych sztachet osadzonych jedna przy drugiej i zwieńczony zwojami ostrego jak brzytwa stalowego drutu, który połyskiwał groźnie w promieniach wstającego słońca. W przeciwieństwie do stalowego drutu, pręty z kutego żelaza były w kiepskim stanie. Nieustanne wiatry i rozpylana woda morską przyczyniły się do korozji metalu pod warstwą czarnej farby.

- Co robisz?

Shane aż podskoczył, słysząc kobiecy głos tuż za plecami. Zirykowało go to. Nie pamiętał, by kiedykolwiek komuś udało się tak go podejść. - Podziwiam widoki - odparł.

Dani w milczeniu przełknęła zgryźliwą odpowiedź. Między nimi i tak już panowało silne napięcie, nie należało pogarszać sytuacji. Nawet pięćset dolarów, które wczorajszego wieczoru Shane wygrał w oko, najwyraźniej nie poprawiło mu humoru.

- Jesteś już ubrana? - spytał rzeczowo, nie odwracając głowy.

- Jeśli chodzi ci o bikini, to nie, nie mam go na sobie. Majtki typu string odsłaniają całą pupę.

- - Właśnie o to mi chodziło.

Przypomniał sobie, jak Dani wyglądała wczorajszego popołudnia, gdy zrzuciła ręcznik plażowy, wskoczyła do basenu i zaczęła przemierzać go tam i z powrotem. Z pewnością były kobiety lepiej od niej zbudowane, wystarczyło się dobrze rozejrzeć. Niektóre miały wręcz posągowe kształty, ale żadna nie oddziaływała na jego zmysły tak jak Dani.

Shane opuścił lornetkę i obejrzał się przez ramię. Ciemne włosy dziewczyny były jeszcze potargane, a skóra zaróżowiona od snu. Miała na sobie hotelowy szlafrok z białego frotte.

Była boso, palce jej nóg igrały swobodnie w miękkim piasku na brzegu patio, zupełnie jakby drażniła śpiącego kochanka.

Na tę myśl w żyłach Shane'a rozlał się żar. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie i ponownie pogrzył w obserwacji bariery oddzielającej Harmonię od reszty świata.

_ Ładny płot, co? - zagadnęła Dani. - Nie ma to jak dobrosąsiedzkie stosunki.

- Aha.

_ Zastanawiam się, czy mają tutaj taki sam problem z wyrobami żelaznymi, jak na Florydzie.

- Co masz na myśli?

_ Kiepskich wykonawców i przesycone soląpowietrze - odparła zwięźle.

- I ja się nad tym zastanawiałem.

- A wnioski?

_ Wydaje się, że niektóre z tych prętów nie są tak solidne, na jakie wyglądają. Kilka jest mocno przerdzewiałych. A skąd wiesz, jak jest na Florydzie?

_ Moi byli teściowie tam mieszkają. Swój ozdobny płot z kutego żelaza musieli wymienić już po dwóch latach.

Zaintrygowany Shane ponownie spojrzął na Dani.

_ Za drugim razem - ciągnęła dziewczyna - zażądali, by wykonawca jeszcze przed postawieniem ogrodzenia sprawdził wybrane na chybił-trafił sztachety. Chcieli mieć pewność, że nowy parkan będzie z kutego żelaza, a nie z blachy nawiniętej na karton.

- Przynajmniej czegoś się nauczyli.

_ Tak. Szkoda tylko, że nie przekazali własnych walorów swemu jednemu synowi.

- Niedojda, co?

_ Ani trochę - odparła. - Tyle że w głębokim poważaniu miał wszystko, co nie było silniejsze i sprytniejsze od niego.

Shane zacisnął dłoń na lornetce. Wyprany z wszelkich emocji głos Dani wiele mu powiedział o jej niezagojonych ranach, ledwie przysłoniętych zdawkowym uśmiechem.

Nic dziwnego, że nie ufa mężczyznom, pomyślał. Wygląda na to, że trafił się jej potomek królewskiego rodu.

_ Widywałem takie typy - zauważył obojętnie. - Ale nigdy w moim lusterku do golenia.

Dani roześmiała się i wyrzuciła z siebie spontanicznie:

- Wiem o tym. W przeciwnym razie nie ograniczyłabym się do zatrzęsnięcia drzwi sypialni. Zamknęłabym je na klucz.

Shane nadal wpatrywał się w ogrodzenie.

- Nie musisz spać na podłodze - powiedziała dziewczyna. - To łóżko ma rozmiar lodowiska do hokeja. I

- W klasztorze miałem okazję przywyknąć do podłóg.

- Ile czasu spędziłeś z Błękitnymi?

- Wystarczająco dużo, by Prasam mógł się zorientować, że nie jestem jednym z nich.

- Nie ta rasa?

- Nie ten temperament.

Przez chwilę oboje milczeli. Dani obserwowała Shane'a, który przyglądał się ogrodzeniu.

- Co ... - zaczęła.

- Nie teraz - przerwał jej.

Powróciła do obserwowania mężczyzny. Fascynowały ją nieznaczące ruchy mięśni pod skórą pleców, gdy kawałek po kawałku uważnie lustrował żelazne sztachety. Zupełnie jakby przyglądała się promieniowi światła ślizgającemu się po misternie tkanym jedwabiu. Chciała przeciągnąć dłońmi po rysujących się muskułach, wyczuć opuszkami palców podskórny splot żywych włókien.

- Tak jak myślałem - mruknął.

Dani cofnęła dłoń i splótła ręce na karku.

- Co takiego? - spytała.

- Mają tu wewnętrzny układ telewizyjnych kamer kontrolnych, ale ich ruch nie jest do końca zsynchronizowany - odpowiedział.

Dani odetchnęła z ulgą. A więc nie zauważył, jak bardzo świerzbią ją palce.

- I co to znaczy? - spytała.

- Słoną wodę i słodkie nieróbstwo.

- No cóż, wszystko jasne - mruknęła zgryźliwie. - Ciekawe tylko, dlaczego nic z tego nie zrozumiałam?

Shane spojrział na nią przez ramię.

- Widzisz te kamery? - spytał.

- Już wczoraj je zauważyłam.

- Ich zadaniem jest bezustanna obserwacja ogrodzenia. Pola widzenia jednej i drugiej częściowo się na siebie nakładają.

Dani przyjrzała się uważnie kamerom, obracającym się powolnym, jednostajnym ruchem wokół własnej osi.

- Wygląda na to, że wypełniają swoje zadanie - stwierdziła po dłuższej chwili.

- Nie do końca. Co trzy minuty tworzy się martwe pole. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Najak długo?

- Dwadzieścia dziewięć sekund.

- A jak duży jest obszar, którego nie "widzą"?

- Dorosły mężczyzna zdoła się przemknąć - stwierdził Shane.

- Nie zamierzasz chyba ... - zaczęła.

- Jasne, że tak - przerwał jej. - Co trzy minuty część ogrodzenia, ta, która graniczy z plażowymi boiskami do siatkówki, staje się niewidoczna dla obserwatora w kontrolnym centrum Harmonii.

- Oillie powiedział, że mamy się spotkać z naszą wtyczką na terenie neutralnym.

- Owszem.

Odpowiedź Shane'a nie uspokoiła Dani. Wręcz przeciwnie.

- Na tym drucie kolczastym na szczycie nie widać nawet śladu rdzy zauważyła.

- Pewnie, że nie. Ale to mi przypomina, że powinienem się ogolić. Przecież zaraz po śniadaniu wybieramy się do muzeum.

Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale po namyśle zrezygnowała. Crowe tymczasem zdążył się już poderwać na nogi i ruszyć do łazienki.

Dobrze, że nosi szorty, a nie obcisłe seksowne slipy, które znalazły się w jego bagażu, pomyślała Dani.

Wybrali się do miasta wczesnym przedpołudniem. Do tego czasu nad Arubę nadciągnęły ciężkie chmury, nadając wyspie wręcz niesamowity wygląd. Shane podniósł dach wynajętej niebieskiej Toyoty. Mimo włączonej klimatyzacji w samochodzie było potwornie duszno.

Zaparkowali przy spokojnej uliczce na tyłach miejskiego targowiska. Dalej poszli pieszo.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Shane, wskazując ruchem głowy budynek, który właśnie mijali.

- Nie zatrzymuj się - dodał. - Chcę się rozejrzeć po okolicy, zanim wejdziemy do środka.

- Museo Numismatico - odczytała Dani napis na tablicy informacyjnej. - Muzeum pieniędzy?

- Pieniądze stanowią paliwo tej małej rajskiej wyspy. Około trzystu pięćdziesięciu banków i mniej więcej tyle samo kasyn gry.

- Odpowiednie miejsce na spotkanie ze szpiegiem - mruknęła dziewczyna pod nosem. - Zakładam, że twój człowiek, Boston, jest wystarczająco dobrze opłacany za dostarczanie informacji na temat Harmonii?

- A ile jest warte ludzkie życie?

- W niektórych miejscach przerażająco mało - odcięła się.

Shane nie zaprzeczył. Większość dorosłego życia spędził w takich właśnie miejscach.

- Boston pochodzi ze starej miejscowej rodziny - wyjaśnił. - Jego ojciec umarł przed dziesięcioma laty, tuż przed objęciem urzędu premiera.

- Z przyczyn naturalnych?

- Jeśli chciwość nazwiesz zjawiskiem naturalnym.

- Co mu się stało? - spytała Dani.

- Zabili go Kolumbijczycy. Potrzebne im było miejsce, w którym mogliby postawić powolne sobie banki. - A on nie chciał ich tutaj wpuścić?

- Właśnie. Za to nowy premier nie nadaża z braniem od nich łapówek. Pieniądze płyną jak rzeka.

- Rozumiem.

- Boston gardzi forszą - powiedział Shane. - Uważa, że pieniądze zniszczyły jego rodzinną wyspę.

- Raczej miłość do pieniędzy, która leży u podstaw wszelkiego zła sprostowała Dani.

- Boston nie podziela twojego akademickiego podejścia do tematu - stwierdził Shane. - Jest tradycjonalistą.

Marzy mu się totalne unicestwienie ludzi, którzy zamienili Arubę w kloakę świata finansowego.

- Czy dlatego przyłączył się do Risk Limited?

- To myśmy się z nim skontaktowali. Jest szefem służby domowej w posiadłości Katii.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Gillie wiele opowiadał mi o Katii. Coś mi się zdaje, że ten facet powinien dostać dodatek kombatancki.

- Katia jest suką pierwszej wody, ale Boston ma co do niej pewne plany.

- Jakże?

- Że któregoś dnia zatopi w jej plecach nóż. Po samą rękojeść.

Dani potknęła się. Sh'ane złapał ją za ramię i pomógł utrzymać równowagę.

- Przepraszam - powiedziała - ale ziemia pod moimi stopami wciąż trzęsie się w posadach.

- Czy wtedy, gdy powtarzam "A nie mówiłem"?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Daj spokój - powiedziała, bezbłędnie naśladowując brytyjski akcent Gilliego.

Roześmiała się. Nadal trzymała dziewczynę za ramię, chociaż przestało to być potrzebne. Po prostu miała skórę niezmiernie miękką i miłą w dotyku.

- Gdzie Boston przeszedł szkolenie? - spytała.

W spojrzeniu towarzyszącego jej mężczyzny pojawił się znak zapytania.

- Szkolenie?

- No, wiesz. Jak prowadzić tajne operacje na terytorium wroga, tego rodzaju rzeczy.

- Boston jest sprytny, ma mnóstwo powiązań i znajomości, a do tego potężną urazę. To cały jego trening.

- Ale Katia jest bardzo sprytna.

- Jak dotąd Boston nie zauważył, by go o cokolwiek podejrzewała - odparł Shane.

Po chwili przystanął przed jakimś sklepem i zaczął przyglądać się witrynie.

Dani zastanawiała się, co przyciągnęło jej uwagę.

Szybko zorientowała się, że Shane nie patrzy na to, co znajduje się za szybą, lecz po prostu traktuje witrynę jak lustro, chcąc sprawdzić, co się dzieje za ich plecami.

Wielka kropla deszczu rozprysnęła się na pękniętej płytce chodnikowej tuż pod ich stopami. Dani zerknęła na niebo, którego wygląd mógł wzbudzić przerażenie.

- Broszury biur podróży ani słowem nie wspominają o deszczu - zauważyła.

- Co roku w listopadzie pada, masz to jak w banku.

Satysfakcji brzmiącej w głosie Shane'a z niczym nie dałoby się pomylić. Patrzył, jak okoliczni przechodnie zadzierają do góry głowy i mierzą czarne chmury spojrzeniem, po czym co prędzej zaczynają się rozglądać za jakimś schronieniem przed deszczem.

- Nadchodzi burza - powiedział.

Następna wielka kropla rozprysnęła się na postrzępionej markizie nad ich głowami. A potem jeszcze jedna. I kolejna. W ciągu kilku sekund powietrze zamieniło się w wodę.

- Chodź - powiedział Shane, chwytając Dani za rękę. - Zachowujmy się jak porządni turyści. Niedaleko jest miejsce, gdzie schowamy się przed deszczem.

Pobiegli w dół ulicy. Wkrótce znaleźli się przed frontowym wejściem do muzeum. Szczupły czarnoskóry mężczyzna, ubrany w elegancki tropikalny garnitur i słomkowy kapelusz, wszedł tuż przed nimi. Nawet na nich nie spojrzął. Shane kupił dwa bilety i niemal wciągnął Dani za sobą do środka.

Jedyną poza nimi osobą w zasięgu wzroku był strażnik, który wyglądał na śpiącego. Opierał się plecami o framugę drzwi wiodących do pierwszej sali wystawowej. Najwyraźniej praca w muzeum była jego stałym zajęciem, do którego zdążył się przyzwyczaić.

W pierwszej sali stały gabloty, w których umieszczono waluty krajów Ameryki Południowej i Centralnej.

Dani ledwie zdążyła rzucić okiem na eksponaty, bo Shane wciąż ciągnął ją za rękę.

- Daruj sobie te papierki - oświadczył. - Do prawdziwego towaru jest jeszcze kawałek.

- A co to jest prawdziwy towar?

- Złoto.

- A miłość do niego leży u podłoża wszelkiego zła, zgadza się?

- Jak zwykle ma pani rację, pani profesor.

- Prawdę mówiąc, jestem tylko docentem. Ale jeśli dobrze się spiszę, moja nominacja nadejdzie jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Pominął tę uwagę milczeniem. Właśnie dostrzegł Bostona, który bacznie się przyglądał hiszpańskim realom i złotym dublonom.

Rzut oka dookoła upewnił Shane'a, że w pomieszczeniu poza nimi nie ma nikogo innego, nikt również nie

pojawił się w drzwiach.

- Jesteśmy u celu - powiedział. - Oto prawdziwe dwudziestoczerokaratowe złoto.

Przez kilka sekund wszyscy troje stali w pewnej odległości od siebie, jak zupełnie obce sobie osoby, które przypadkiem podziwiają ten sam eksponat na wystawie.

Dani nie miała pojęcia, czym w tej chwili są zajęci obaj mężczyźni, ale sama wsłuchiwała się w dźwięki dochodzące spoza drzwi, próbując wychwycić odgłos zbliżających się kroków.

Niczego takiego nie usłyszała.

Dopiero po kolejnych kilku sekundach Boston zdjął swój biały kapelusz i skłonił się lekko przed Dani i Shanem.

- Proszę wybaczyć mojej biednej wyspie - powiedział. - Słońce wkrótce znowu wyjdzie zza chmur.

- Nic się nie stało - odparł Shane. - Lubię złoto.

- Na Arubie jest dużo złota.

Boston uśmiechnął się szeroko, demonstrując wspaniały garnitur lśniących białych zębów.

W jego bystrym spojrzeniu nie było nawet cienia służalczości.

_ Czy to jedyne miejsce, gdzie możemy pogadać? - spytał Shane przyciszonym głosem.

_ Strażnikiem jest mój brat - odparł Arubijczyk. Amerykanin w dalszym ciągu nie wyglądał na zadowolonego.

_ Jest jednym z ostatnich pozostałych przy życiu członków Frontu Wyzwolenia Aruby - dodał Boston. -

Pieniądze go nie nęca, podobnie

jak mnie.

Shane pospiesznie się rozejrzył. Nadal byli sami.

_ Pani jest miss Danielle Warren? - spytał czarnoskóry mężczyzna.

- Dani - sprostowała.

Boston wskazał na eksponaty.

_ Swego czasu była to Wyspa Szczęśliwości - powiedział. - Jedyne miejsce na Karaibach, które nigdy nie zostało splamione niewolnictwem.

Dani kiwnęła głową. Szkolenie zorganizowane przez Gillespiego okazało się dokładne.

_ Niestety, obecnie tutejsi ludzie chętnie rezygnują z wolności i idą na służbę prawdziwych potworów. A wszystko z chciwości - zauważył

Boston z goryczą:

_ Nie oni pierwsi - odparł Shane. - Ani ostatni. Które z potworów Harmonii przebywają obecnie na wyspie?

- Tylko główny smok, Katia.

_ To dobrze. Dzięki temu ochrona będzie słabsza.

Boston skinął głową.

_ Ale delegaci z organizacji członkowskich zamierzają się niebawem znowu spotkać - powiedział.

- Tutaj?

_ Nie. Na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

_ Trochę nie po drodze z Sycylii czy Chicago - zauważył Shane.

- To dla wygody Chińczyków.

Amerykanin zeszywniał.

_ Wynika z tego, że Katii w końcu udało się jakoś ich znęcić.

_ Obawiam się, że Tony Liu został naj świeższym członkiem Harmonii - stwierdził Boston.

- Cholera! Jesteś pewien?

Arubijczyk wzruszył ramionami.

_ Katia osobiście wręczyła mu bożonarodzeniową pończochę. A potem długo rozmawiali w cztery oczy.

Tak długo, że de la Pena zaczął się

niespokojnie wiercić.

_ Czy wiesz, co było w tej pończosze?

- Nie mam pewności, ale wyglądało to na paszport.

- Amerykański? - spytał Shane tonem pełnym powątpiewania.

- Niewykluczone. Z daleka widziałem tylko, że jest granatowy.

- Taki kolor mają paszporty kanadyjskie - wtrąciła Dani.

- A co z Japończykami? - pytał dalej Shane.

- Czas pokaże - odparł Boston. - Katia wiąże z jakuzą wielkie nadzieje. Nadskakuje kilku facetom, ale przede wszystkim Kodzimurze i Iszidzie.

- Dobrze by było, gdyby do Harmonii przyłączył się Iszida, a nie Kodzimura - mruknął Shane.

- A co za różnica? - spytała Dani.

- Iszidzie nie zostało wiele czasu, najwyżej kilka tygodni. Kodzimura już naszykował nóż i tylko czeka.
- Żywoć krótki, ale szczęśliwy - skomentowała Dani z przekąsem.
- Im krótszy, tym lepszy - uciął Shane, po czym zwrócił się do Arubijczyka - Kiedy i gdzie odbędzie się to spotkanie?

Boston ze smutkiem pokręcił głową.

- Katia, przesłodka dziwka, powierza mi wyłącznie prace domowe. Poza tym nie ufa mi za grosz.
- Czy również osobiście prowadzi przygotowania do podróży?
- Wszystkie dane, plany podróży i temu podobne przechowuje w swym osobistym komputerze.
- Zakodowane?
- Nie wiem. - Arubijczyk wzruszył ramionami. - Prawdopodobnie zapisuje wszystko po rosyjsku, a nie mam pojęcia o tym języku.
- Czy znasz jej kod dostępu?
- Nie rozumiem.
- Niektóre komputery są tak zaprogramowane, że może ich używać tylko osoba znająca hasło.
- Komputery to dla mnie czarna magia - wyznał Boston. - Nie mam pojęcia, jak działają. Ledwie zdołałem przesłać sygnał do pańskich zwierzchników. Pozostali pracownicy wiedzą mniej więcej tyle samo co ja. Katia pilnuje takich rzeczy.
- Gdzie stoi ten komputer? - spytał Shane.
- W jej osobistym apartamencie.
- Zamknięty na klucz?
- Po co zamykać na klucz coś, czego i tak nikt nie rozumie? - odpowiedział pytaniem Boston. - Komputer stoi na biurku w salonie jej prywatnego skrzydła. Jest stale włączony. Katia lekceważy Arubijczyków, a przede wszystkim mnie.

_ Może to wódka wpływa na jej opinie - zauważył Shane.

_ Diabeł nie byłby aż taki uprzejmy - mruknął Boston - a Pan Bóg najwyraźniej porzucił swój skorumpowany raj.

Chociaż powiedział to spokojnym głosem, jego napięte ciało sygnalizowało tłumioną złość.

_ W pokoju Carycy znajduje się sejf - dodał. - Nigdy z niego nie korzystałem, ale podpatrzyłem kombinację.

Dani spojrzała na Shane'a. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, dziewczyna jednak wyczuła, że wiedział o istnieniu sejfu i znał otwierającą go kombinację cyfr.

_ Potrzebując jak najwięcej informacji na temat tego spotkania z Azjatami - zwrócił się do Arubijczyka. - Każdy strzęp podsłuchanej rozmowy może okazać się przydatny. .

_ Wiem tylko, że Katia pracuje nad tym od wielu miesięcy. Uparła się, aby całą Azję wciągnąć do Harmonii. Na tym punkcie ma istną obsesję.

_ Chiny to niezły początek - zauważyła Dani sucho.

_ Ale nie wystarczy - stwierdził Shane. - Tylko Japończycy zapewnią Katii dostęp do finansowych centrów rozmieszczonych wzdłuż wybrzeży

Pacyfiku.

_ Powinna przpuścić atak na Narody Zjednoczone.

_ Na to akurat szkoda fatygi. Dobrzy są wyłącznie w gadaniu. Członkowie Harmonii zmywali krew z rąk dostatecznie długo i starannie, aby traktowano ich z należytą kurtuazją i zawierano z nimi korzystne umowy finansowe.

Arubijczyk lekko się uśmiechnął.

Dani pomyślała o nożu w plecach Rosjanki.

_ Japończycy, którym Katia nadskakuje, mają spore możliwości - powiedział Boston - ale też niemal na pewno mają kryminalną przeszłość.

_ Dlaczego tak myślisz? - spytała Dani. - Czy tylko dlatego, że z nią współpracują?

_ Ludzie ci mają ogromne trudności z uzyskaniem zgody na wjazd do Stanów Zjednoczonych - odparł. - Katia wydaje tysiące dolarów, aby im przetrzeć szlaki.

_ Ciekawe - mruknął Shane. - Gdzie ona teraz jest?

- W domu.

- A co z Kasatoninem ?

- Wyjechał dziś rano.

_ Dobrze. Bardzo bym nie chciał potknąć się o niego w ciemnościach.

- Co do mnie, to modłę się o jego rychły powrót - oświadczył Boston. - Bez niego Katia jest równie miła, jak grzejąca się kocica.

- Czy Kasatonin przywiózł coś ze sobą? Coś niezwykłego? - spytała Dani. - Na przykład metalową tubę długości mniej więcej metra? Albo szklany pojemnik z materiałem w środku?

Arubijczyk potrząsnął głową.

- Przyjechał, jak zwykle zresztą, tylko z paszportem i dużą ilością gotówki.

- Niech to licho. Może zdeponował pakunek na lotnisku.

- Bardziej prawdopodobne, że nie widział go na oczy, odkąd opuścił Tybet - orzekł Shane. - Przynajmniej ja na jego miejscu tak właśnie bym zrobił. Trzymałbym się od tego jak najdalej, dopóki cała sprawa nie przyschnie.

- Od czego? - spytał Boston.

Dani gotowa była wyjaśnić, ale Shane wszedł jej w słowo.

- Bezpieczniej dla niego, jeżeli nie będzie o niczym widział - stwierdził bez ogródek.

- A gdybym zobaczył metalową czy szklaną tubę, co mam zrobić? - spytał Arubijczyk.

- Zabierz to i natychmiast znikaj z horyzontu, a potem możliwie szybko skontaktuj się z Risk Limited - poinstruował go Shane. - Nie zatrzymuj się nawet po to, żeby zadźgać Katię. Jasne?

Boston zawahał się, potem skinął głową.

- Kiedy Pilenkowa śpi sama, jakie są jej zwyczaje? - spytał Shane. - O której wstaje, kiedy się kładzie?

- Jeśli nie zabawia żadnych gości, udaje się do swoich apartamentów około dziewiątej - odpowiedział

Arubijczyk. - Pracuje potem tam zwykle aż do północy przy komputerze.

- Skąd możesz wiedzieć? Podsluchujesz?

- Światło komputera odbija się w szybie - wyjaśnił Boston. - Kiedy ona pracuje, poświata wygląda trochę inaczej.

Shane skinął głową.

- A co do podsłuchiwania - ciągnął czarnoskóry mężczyzna - to jeszcze tego nie robiłem. I nie zamierzam, chyba że zdecyduję się na śmierć. Katia ma swoje sposoby wykrywania, kto podsłuchuje, a kto me.

Amerikanin nie był zaskoczony tą informacją.

- A gdy już skończy pracę, co robi? - spytał. .

- Jeśli Kasatonina nie ma w pobliżu, pije tyle, żeby móc zasnąć.

- Jak długo to trwa? - zainteresowała się Dani.

- Mniej więcej godzinę. Gdy Katia sięga po butelkę, przestaje zachowywać się jak dama.

- Zatem około pierwszej w nocy jest już z niej zimny trup? - dopytywał się Shane.

Boston wzruszył ramionami.

- Na to wygląda. Kilka razy, kiedy trzeba było jej przekazać pilne wiadomości, musiałem dobrze nią potrząsnąć, żeby się obudziła.

- A kiedy wstaje?

- O świcie. Zawsze.

Shane gwizdnął cicho.

- Twarda sztuka - zauważył.

- A owszem - zgodził się Arubijczyk. - Ma wielką dyscyplinę wewnętrzną, ogromne ambicje, płodny umysł i nie cofa się przed niczym.

- A jakie są jej plany na dzisiejszy wieczór? - spytał Shane.

- Wydaje obiad dla kilkunastu bankierów z Oranjestadu i Medellin.

- Czy to zatrzyma ją w głównym budynku, z dala od jej prywatnych apartamentów?

Boston zawahał się.

- Zwykle zostaje z gośćmi do północy, czasem do pierwszej - odpowiedział po chwili. - Musi się upewnić, że jej goście płci męskiej są .. zadowoleni.

- Czy zabawia ich osobiście? - spytała Dani.

- Katia? - Boston uśmiechnął się zimno. - Nigdy. Akceptuje mężczyznę tylko pod groźbą śmierci i nie daje mu zadowolenia. Kasatonin bierze ją siłą, ale i on niewiele może wskórać.

Dani przypomniała sobie fotografię nagiego Rosjanina.

- To dość dziwny układ - stwierdziła.

- Ich najwyraźniej zadowala - skomentował Shane lakonicznie. - A więc Katia przez cały wieczór będzie poza swoim apartamentem. Co z pozostałym personelem? Ze strażnikami? .

- Gdy nie ma Kasatonina, personel jest znacznie mniej czujny - zapewnił Boston.

- Także strażnicy przy bramie?

- Niestety nie. To Turcy. Reszta ochroniarzy rekrutuje się stąd. Wyspiarze są zbyt łagodni, aby mogli być dobrymi wartownikami.

- Najwyraźniej nie wszyscy - powiedział Shane, spoglądając wymownie na swego rozmówcę.

- No tak. Ale to ja przyjmowałem ich do pracy. Wszystkich z wyjątkiem strażników przy bramie.
- Jak wygląda ochrona posiadłości z dala od głównych budynków? dopytywał się Crowe.
- Gdy Kasatonin jest nieobecny, tylko jeden człowiek obserwuje ekrany. Większość czasu spędza zresztą przy monitorach nastawionych na komercyjne stacje w Caracas.
- Czy strażnik bywa głodny podczas samotnej warty? - spytał Shane.
- Zaleca się do naszego cukiernika.
- :Znakomicie. Dopilnuj, żeby ona ... lub on ... zaniósł wartownikowi małą przekąskę dziś wieczorem o wpół do jedenastej.
- Przekąskę? - spytał Boston z uśmiechem. - Może raczej miskę smaczkowej zupy dobrze przyprawionej wodzianem chlorału?
- Nic aż tak drastycznego. Zadbaj tylko o to, aby dokładnie o dziesiątej trzydzięci oderwał się od monitorów.
- I to wszystko?
- Wystarczy - odparł Shane.

A przynajmniej mam nadzieję, że wystarczy, dodał w duchu.

18

Waszyngton

Listopad

Taka muzyka zupełnie nie pasuje do księgarni tej klasy, pomyślała Cassandra Redpath z irytacją. O wiele lepsze byłyby barokowe kon-

certy albo renesansowe madrygały, albo chociaż chorały średniowieczne.

Lecz w DuPont Circle królowały dysonans i kakofonia.

Redpath wbiła wzrok w głośnik umieszczony tuż za ladą. Przez ostatnie dwadzieścia minut wydobywały się z niego ogłuszające dźwięki, przywodzące na myśl świnię parzącą się podczas odpalania rakiety dalekiego zasięgu.

Jakby w odpowiedzi na jej gniew nastawiono inną płytę. Z głośnika popłynął rapowy hymn przerywany seriami z broni maszynowej, które miały symbolizować wielkomięską nienawiść.

Wolę już chyba te kopulujące świnię, stwierdziła Redpath w duchu. Dziewczyna siedząca przy kasie była anorektyczką. Z wyjątkiem czerwonej bandany okręconej wokół głowy, od stóp do głów odziana była w czerń. W jej uszach, brwiach, nozdrzach tkwiły metalowe sztyfty, i to w takich ilościach, że bez trudu zdołałyby uruchomić wykrywacz metalu.

Dziewczyna nie zauważyła Redpath stojącej z drugiej strony kasy.

Była zbyt zajęta strojeniem groźnych min pod adresem otwartego podręcznika biologii, leżącego przed nią na kontuarze.

Redpath z rozmachem położyła wybrane książki na ladzie. Uderzenie było wystarczająco silne, by kartki podręcznika frunęły do góry.

Z całkowitym brakiem zainteresowania dziewczyna uniosła powieki. - Czymśmogęsłużyć?

Redpath porównała te dźwięki z przechowywanym w mózgu słownictwem kilku różnych języków:

Powtórzyła operację. Wreszcie doszła do wniosku, że kasjerka odezwała się chyba po angielsku.

- Czymśmogęsłużyć? - powtórzyła dziewczyna ze zniecierpliwieniem.

- Owszem, może pani. - Redpath mówiła z nienaganną dykcją. - Chciałabym zapłacić.

- Taaak?

- Taaak.

- Pani czytuje takie rzeczy?

- Nie. Za pomocą takich książek trenuję podnoszenie ciężarów.

- Ekstra.

Dziewczyna spojrzała na książki, następnie przeniosła wzrok na kasę z taką miną, jakby nie mogła zrozumieć, jaki jest związek jednego z drugim.

- W takim hałasie trudno się skoncentrować, prawda? - zagadnęła Redpath.

- Jakby nie potrafię się nigdzie skoncentrować? - odparła dziewczyna. - Tu jest koszmarnie? Tyle książek, wykańcza mnie to?

Jej głos wznosił się na ostatnim słowie każdego zdania, zmieniając stwierdzenia w swego rodzaju pytania. W opinii Redpath był to najbardziej irytujący lingwistyczny tik, jaki wszedł w modę od czasu „no wiesz?”.

- Czy pani czyta? - spytała z umiarkowanym zainteresowaniem.

- He?

- Słowa. Zdania. Może nawet całe akapity.

- Och, jasna sprawa - odparła kasjerka, wrzeszcząc ramionami. - Powiedzieli, że muszę czytać, żeby

dostać tę pracę.

- Ale czy pani czyta?

- Chodzi pani jakby o książki?

Redpath kiwnęła głową.

- Och, nie - odparła dziewczyna. - Należę do ludzi, którzy bardziej słuchają?

- Dzięki Bogu, że wiele książek nagrano na taśmę - zauważyła Redpath.

Kasjerka zamruwała powiekami.

- Miałam na myśli płyty kompaktowe?

- Och, oczywiście - mruknęła Redpath. - Co też mi przychodzi do głowy?

Położyła na kontuarze studolarowy banknot, chcąc zapłacić za trzy książki.

- Ekstra - skomentowała kasjerka. - Czy to prawdziwe?

Redpath już chciała pouczyć dziewczynę, że ludzie, którzy czytają, częściej mają dostęp do prawdziwych pieniędzy niż ci, którzy nie czytają, ale ostatecznie doszła do wniosku, że nie warto się fatygować.

- Prawdziwe - potwierdziła.

W stukając ceny w maszynę, kasjerka powoli poruszała wargami przy odczytywaniu kolejnych tytułów: *Chińskie triady i wojna opiumowa*, *Jedwab a mentalność azjatycka*, *Nowe mafie rosyjskie*.

- Pani naprawdę będzie to czytać? - spytała.

- Dziś wieczorem? Nie. Ale za jakiś czas owszem.

Dziewczyna uruchomiła kasę. Po jej twarzy przemknął wyraz szczerego współczucia.

- No wie pani, warto by trochę pożyczyć? - szepnęła. Redpath roześmiała się.

- Kiedy ostatnim razem sprawdzałam, odniosłam wrażenie, że żyję.

- No nie, ja miałam na myśli prawdziwe życie?

- Ja też.

Potrząsając niedowierzająco głową, kasjerka odliczyła resztę i podała ją klientce razem z plastikową torbą, do której włożyła zakupione książki.

- Życzę miłego dnia - rzuciła automatycznie, mimo iż dochodziła właśnie dziewiąta wieczór.

Redpath wsunęła książki do swojej skórzanej torby, zawiesiła ją na ramieniu i otworzyła drzwi wyjściowe.

Przez chwilę stała niezdecydowana, nie wiedząc, czy się przejść czy raczej wezwać taksówkę.

Księżyc w pełni złotym blaskiem oświetlał drzewa w parku Rock Creek. Powietrze przesycone było słodkoostrą

wonią palonych liści.

Taki chłód dodaje wigoru, zdecydowała.

Wracała właśnie z zajęć tai chi chuan, prowadzonych przez instruktora z sekcji zajmującej się sprawami Chińskiej Republiki Ludowej. Miała na sobie spodnie, żakiet i wygodne buty. Całe jej ciało tętniło życiem, a zdolność koncentracji wyraźnie się wzmogła.

Spacer będzie w dechę, jakby to ujął Gillie, zdecydowała z uśmiechem.

Jej uśmiech przybladł nieco na myśl, jaka byłaby reakcja ciemnoskórego mężczyzny, gdyby wiedział, że ona po zapadnięciu zmroku wybrała się na samotną przechadzkę.

Ale przecież Gillespie nie wróci przed północą. Jeżeli dotrę do domu przed nim, pomyślała Redpath, nie będę musiała wysłuchiwać kazań na temat bezpieczeństwa i wychodzenia po zmroku na samotne spacerki.

Ich najgorętsza i najdłuższa kłótnia dotyczyła ochrony osobistej dla niej. Gillespie upierał się, że ochrona jest Cassandrze potrzebna, ona zaś nie chciała się na obstawę zgodzić. Twierdziła, że goryle będą naruszali jej swobodę osobistą. Nieugięcie trwała przy swoim zdaniu.

Skręciła na południe, wybierając dobrze oświetloną trasę wzdłuż Connecticutu.

Parę chwil później z cienia jakiejś bramy wynurzył się potężnie zbudowany mężczyzna. Znajdował się jednak w odległości na tyle dużej, że nie wzbudził w Redpath lęku.

- Dobry wieczór, pani ambasador - zagadnął uprzejmie.

Wykonała pół obrotu. Od razu się zorientowała, z kim ma do czynienia. Ilja Kasatonin.

Rosjanin dostrzegł, że źrenice kobiety raptownie się rozszerzyły. Musiała go rozpoznać.

- Proszę zachować spokój, a nic się pani nie stanie - powiedział cicho. - I proszę przyjąć do wiadomości, że życie sierżanta Gillespiego jest w moich rękach.

- Wątpię - odparła.

Kasatonin trzymał w prawej dłoni telefon komórkowy. Mała czerwona lampka sygnalizowała, iż urządzenie jest włączone.

- Odezwałbym się do pani wcześniej - oświadczył Rosjanin - gdyby nie to, że jakiś czas temu straciliśmy sierżanta sztabowego z oczu.

- Nieuchwytny z niego człowiek - mruknęła Redpath obojętnym tonem. - Wątpię, czy go odnaleźliście.

- Znaleźliśmy - zapewnił Kasatonin. - Chwilowo przebywa w Miami.
- Tak jak wielu innych ludzi.
- Ale nie wszyscy czekają na powrotny lot do Waszyngtonu.
Redpath milczała. Starła się nie okazywać, jak bardzo przeraziły ją słowa Rosjanina.
- Widzę, że mi pani nie wierzy - powiedział Kasatonin. - Świetnie to rozumiem. Pozwoli pani zatem, że dokładnie opowiem, co on robi.
Podniósł telefon do ucha i powiedział coś po rosyjsku.
Redpath najmniejszym gestem czy grymasem twarzy nie zdradziła, że rozumie każde słowo. Rosjanin spytał odległego rozmówcę, co Gillespie w tej chwili robi.
- Mówią - odezwał się po angielsku - że właśnie kupił sobie w kiosku obwarzanek. Jest na nim coś żółtego ... musztarda czy coś takiego.
Redpath modliła się, by jej twarz niczego nie zdradzała. Jako wegetarianin Gillespie znajdował na lotniskach niewiele do jedzenia, pozostawały mu tylko obwarzanki.
- Czyta jakąś miękką książkę - ciągnął Kasatonin. - Powiniennem chyba powiedzieć w miękkiej oprawie, prawda?
Nie spuszczała z niego wzroku.
- Tytuł książki brzmi ... - Rosjanin urwał. Rzucił jakieś krótkie pytanie do słuchawki.
- *Culloden*? - powtórzył za swoim rozmówcą. - Jest taka książka? Redpath wolno skinęła głową.
- Monografia pióra Johna Prebble'a - wyjaśniła, mając nadzieję, że jej głos brzmi tak, jak zwykle. -Dotyczy ostatniego powstania górali szkockich przeciwko' Anglii.
Nie wspomniała, że widziała, jak Gillespie zapakował tę właśnie książkę, zanim przed dziesięcioma godzinami opuścił mieszkanie w mieście.
Uśmiech Kasatonina był zaskakująco smutny.
- *Culloden* - powiedział Rosjanin. - Czy mnie by się spodobała? Jak pani zapewne wie, sierżant sztabowy i ja mamy wiele wspólnych zainteresowań.
- Ale nie takich, które naprawdę się liczą.
Uśmiech zniknął i twarz Rosjanina pozostała bez wyrazu. Była to twarz człowieka, którego nic nie jest w stanie dotknąć czy poruszyć. Obojętne, co go w życiu cieszyło, obojętne, ilu ludzi wysłał na tamten świat, obojętne, ile zadał cierpień czy ile sam przecierpiał: wszystko spływało po nim jak woda po gęsi.
Patrząc na tę twarz, Redpath zastanawiała się, czy poza genitaliami Afgańczycy nie pozbawili go czegoś jeszcze. ,
- Ten telefon - oznajmił Kasatonin - łączy mnie z człowiekiem, który trzyma życie sierżanta sztabowego w swoich rękach. Jeśli wezwie pani ochronę lub w jakikolwiek inny sposób zwróci na siebie uwagę, Gillespie umrze. Czy to jasne?
Nie była pewna, czy jej głos nie zdradzi gniewu bądź lęku, więc kiwnęła tylko głową.
Ochroniarze, pomyślała. Och, Gillie, to ty miałeś rację. Ale kto ciebie ochroni, gdy mnie przy tobie nie ma? Mijający ich ludzie nie okazywali nawet cienia zainteresowania dla mężczyzny kryjącego się w cieniu bramy i kobiety, która przystanąła w pobliżu. Kasatonin nie stał na tyle blisko, by przypadkowy obserwator mógł go uznać za napastnika. W oczach przechodniów Redpath wyglądała na kobietę, która przystanąła, żeby zamienić kilka słów ze znajomym.
Facet jest przezorny, pomyślała z goryczą. Skoro nie zabił mnie od razu, muszę być mu do czegoś potrzebna.
Wzrok Rosjanina bezustannie błądził po zacienionych miejscach po drugiej stronie ulicy i uważnie śledził przejeżdżające w pobliżu samochody.
Jest przekonany, że chodzi za mną jeden czy dwóch ochroniarzy, którzy celowo trzymają się na uboczu, uznała Redpath. Następnym razem nie będę się sprzeczać z Gilliem. O ile będzie następny raz.
Próbowała nie myśleć o Gilliem. Nie po raz pierwszy tropili go zabójcy. On zresztą nie pozostawał im dłużny i w miarę swych możliwości deptał przeciwnikom po piętach. A teraz wszystko, co ona mogła zrobić, to nie tracić głowy i starać się zyskać na czasie.
- Czego pan chce? - spytała.
_ Mam pewną propozycję - odparł Kasatonin. - Może się okazać bardzo korzystna dla obu stron.
Redpath czekała na dalsze słowa Rosjanina.
_ Ławka na przystanku autobusowym, jeśli pani tak łaskawa - powiedział i wskazał ławkę stojącą w odległości kilkunastu metrów.
Redpath bez słowa ruszyła we wskazanym kierunku. Usiadłszy, położyła na kolanach torbę z książkami i

mocno przytuliła ją do piersi. W ąpiła, by trzy woluminy, nawet w twardej oprawie, mogły zatrzymać kulę. Ale nie miała lepszej osłony, poza przekonaniem Rosjanina, że gdzieś W pobliżu musi się kręcić jej obstawa.

Kasatonin przytknął telefon do ucha i spytał po rosyjsku, kiedy, zgodnie z rozkładem, Gillespie odlatuje do Waszyngtonu. Potem przypomniał swemu rozmówcy, że ciemnoskóry mężczyzna jest świetnie wyszkolonym

agentem. Powtórzył to dwukrotnie, najwyraźniej niezadowolony z odpowiedzi tarritego.

Redpath w duchu życzyła Gillespiemu udanego polowania.

_ Zapewniam panią - oświadczył Rosjanin, opuszczając telefonże żywimy jak największy szacunek dla pani i jej organizacji.

, Uśmiechał się, ale nie odrywał wzroku od rąk Amerykanki. Najwyraźniej uznał, że nawet w tej sytuacji jest niebezpieczną przeciwniczką.

- My? - spytała Redpath.

_ Ależ pani ambasador. Z pewnością mnie pani rozpoznała.

- Ilja Kasatonin?

Skłonił głowę w lekko szyderczym ukłonie.

- W takim razie - rzuciła Redpath energicznie - owo "my" odnosi się do sfory kundli działającej pod nazwą Harmonia. Na jej czele stoi niejaka Katia Pilenkowa, której podlega z tuzin dziwek.

Usta mężczyzny rozciągnęły się w uśmiechu, który mógł być wyrazem autentycznego rozbawienia.

- Harmonia - wyjaśnił - to taki żarcik Katii. Stanowi po prostu dość luźne przymierze rozmaitych osób połączonych wspólnymi interesami.

Redpath nie odpowiedziała.

Kasatonin wciąż bacznie obserwował jej ręce.

- Na dobrą sprawę - powiedział - pani organizacja ma wiele cech i zainteresowań zbieżnych z cechami Harmonii.

- Co też pan mówi? Naprawdę? No proszę, kto by pomyślał - odparła gładko Amerykanka.

- Nie ma w tym nic dziwnego. P pani osobiście, i wasi ludzie, jesteście inteligentnymi, agresywnymi osobnikami, gotowymi pójść na wielkie ryzyko, byle tylko wykonać powierzone sobie zadania.

- Nasze cele niezupełnie pokrywają się z celami Harmonii.

- Umie pani patrzeć całościowo - ciągnął Rosjanin, jakby Redpath nie powiedziała ani słowa. - Taka jasność widzenia jest rzadkością w świecie, który stacza się ku wojnom klanów i tyranii niecałkiem ucywilizowanych

dowódców wojskowych, którzy nie potrafią obejść się bez zabijania.

- Proces, który pan opisuje, ulega znacznemu przyspieszeniu w wyniku działalności dowolnego członka Harmonii, a opóźnieniu dzięki agentom Risk Limited - zauważyła Redpath. - Jakoś nie potrafię się dopatrzeć zbieżności naszych interesów.

- Ma pani -godne uwagi zaplecze - stwierdził Kasatonin. - Żadna organizacja, z wyjątkiem byłej KGB i CIA takie, jakimi były przed dwudziestu laty, nie dysponuje tak wieloma agentami i pomocnikami rozsianymi po całym świecie i gotowymi włączyć się do akcji na każde wezwame.

- Bardzo pochlebne, ale zupełnie nieprawdziwe. Czyżby przymierzał się pan do pracy w reklamie? A może chce pan wymusić na rządzie zmianę ustawodawstwa albo zbić majątek na sprzedaży maści węzowej?

Rosjanin roześmiał się, lecz jego reakcja wynikała bardziej z zaskoczenia niż z rozbawienia.

- Jest pani zbyt skromna.

- Nic podobnego, jestem realistką.

- Żadna organizacja, z wyjątkiem Risk Limited, nie zdołałaby przeniknąć do sycylijskiej grupy zajmującej się produkcją i sprzedażą heroiny. Wasza działalność przysporzyła im takich strat, że do tej pory nie mogą się pozbierać.

Redpath patrzyła na swego rozmówcę spojrzeniem kompletnie bez wyrazu.

- Nic o tym nie wiedziałam - oświadczyła. - Wspaniały wyczyn, chylę czoła przed grupą, która tego dokonała.

- Proszę zatem uhonorować siebie, pani ambasador. Ktoś poinformował włoską policję o świeżej dostawie. A potem ten sam informator przekazał wiadomość Amerykanom, aby w ten sposób zmusić Włochów do działania. W efekcie cały towar został skonfiskowany przez władze.

- Zdziwiający.

- Wiemy, że tak było, gdyż informator sprzedał tę wiadomość również nam.

- Niezwykle przedsiębiorcza jednostka, o bardzo bogatej wyobraźni - zauważyła Redpath.

- Poinformowanie Amerykanów było genialnym posunięciem stwierdził Kasatonin. - Muszę pani

pogratulować. Nic innego nie skłoniłoby włoskiego rządu do wystąpienia przeciwko mafii.

- Zakładając nawet, że wszystko, co pan mówi, jest prawdą - a nie jest - w którym miejscu nasze interesy miałyby się zbiegać? - zapytała. - Podobno w Harmonii wszyscy są równi, ale Sycylijczycy należą do równiej szych.

- Rzeczywiście, ta konfiskata dotknęła nas podwójnie - przyznał Kasatonin.

- To świetnie.

- Przesyłkę sfmansowano rosyjskimi pieniędzmi - oświadczył. - Jak pani wiadomo, waluty zachodnie stanowią w moim kraju towar niezmiernie wysoko ceniony. Po tej konfiskacie spadło wiele głów.

Dosłownie, rzecz Jasna.

- Zupełnie mnie to nie interesuje - oznajmiła Redpath różnym głosem. - Risk Umited jest prywatną korporacją, udzielającą porad i konsultacji w kwestiach bezpieczeństwa. Nasi klienci rekrutują się zarówno spośród Amerykanów, jak i obywateli innych państw. Nie jesteśmy ani policjantami, ani ochroniarzami. My tylko radzimy i, niekiedy, pomagamy.

- Radzimy? Pomagamy? - zimnym głosem powtórzył Kasatonin. A ten ciemnowłosy drań, który o mały włos nie przestrzelił mi głowy w Lhasie? Proszę mi powiedzieć, czy udzielał w tym momencie porady, czy może raczej pomagał?

- Będzie pan musiał spytać go osobiście, bo ja nie mam pojęcia, o czym pan mówi - Redpath uśmiechnęła się nieznacznie. - A kiedy już go pan odnajdzie, proszę łaskawie również mnie podać jego nazwisko. Interesują nas ludzie, którzy mogą działać na terenie Azji.

Kasatonin zerknął na zegarek, a gdy ponownie podniósł na nią wzrok, od razu się zorientowała, że czas, jaki dano jej i Gillespiemu, właśnie dobiegł końca.

- No, dość tej zabawy w ciuciubabkę - uciął. - Sporo wiemy o waszych operacjach. Robią duże wrażenie. I dlatego dajemy wam szansę przyłączenia się do Harmonii.

Redpath nie była w stanie ukryć zaskoczenia. Przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w swego rozmówcę.

- Jeśli wie pan cokolwiek o Risk Limited - oświadczyła wreszcie musi się pan orientować, że nienawidzimy wszystkiego, co Harmonia sobą reprezentuje.

- Władza i pieniądze to cele uniwersalne; w swoich artykułach wielokrotnie podkreśla pani ten właśnie aspekt sprawy. A Harmonia oferuje naj krótszą drogę do osiągnięcia jednego i drugiego.

- Ta okreźna bardziej mi odpowiada - odparła.

- Proszę się tak nie spieszyć. Żyjemy w świecie, w którym supermocarstwa upadły, kraje takie jak Stany Zjednoczone nie mają już ochoty działać, a słabsze państwa są zainteresowane wyłącznie utrzymaniem porządku na własnym podwórku. Podsumowując: powstała próżnia, jeśli chodzi o międzynarodową potęgę.

- Trafnie pan to ujął.

- Dziękuję. Przeczytałem to w jednej z pani prac.

- W pana przypadku nie było to chyba konieczne.

Uśmiech Rosjanina, takjakiego oczy, zdradzał chłodną inteligencję.

- Ma pani rację - powiedział. - Otóż tę próżnię wypełni Harmonia. A wtedy zniażdziemy naszych wrogów. - Podniósł trzymany w rękę telefon. - Jeśli odrzuci pani moją ofertę, akcję skierowaną przeciwko naszym wrogom zaczniemy od razu, tu i teraz.

Redpath poczuła w piersi igielki lodu. Kasatonin miał głowę nie od parady. Podobnie jak ta zimna dziwka, która stała za nim.

Dlaczego naciskają akurat teraz, i to tak silnie? - zastanawiała się. Odpowiedź nasunęła się niemal od razu.

Jedwab.

Z jakiegoś powodu ten kawałek materiału miał dla Harmonii ogromne znaczenie. Gotowi byli raczej zwerbować przeciwników niż zaryzykować utratę tkaniny.

Zwerbować nas czy zabić? - rozważała kobieta. W ostatecznym rachunku niewielka różnica.

Z telefonu komórkowego dobiegły charkotliwe dźwięki. Kasatonin przyłożył słuchawkę do ucha.

- Tak, ty worku gówna - warknął po rosyjsku. - Idź za nim za wszelką cenę. Tylko pamiętaj! Nie podchodź za blisko! Może jest starzejącym się lwem, ale zęby nadal ma ostre.

Rosjanin opuścił telefon.

- Widzi pani - powiedział - szanuję ludzi w rodzaju Gillespiego. Rzadko się spotyka tak udane połączenie talentów i możliwości. Należy to cenić. W stale zmieniającym się systemie przymierzy, znanym jako Harmonia, mężczyzna jego pokroju byłby bardzo użyteczny.

- Gillie jest ostatnim człowiekiem na świecie, który byłby skłonny związać swój los z Harmonią.

- I dlatego z naszą ofertą nie zwróciliśmy się bezpośrednio do niego. Wiemy, że jest lojalny wyłącznie

wobec pani. Wiemy jak pies.

Redpath siedziała bez ruchu.

- Pani też - powiedział Kasatonin - zasługuje na szczególną ochronę. Gdy już staniemy się międzynarodową potęgą, pani wybitnie twórczy i przenikliwy umysł na pewno bardzo się przyda.

- Podobne cechy ma przecież pańska szefowa - zauważyła Redpath.

- Ale do pani nawet się nie umywa. Katia jest kobietą o niezrównanym instynkcie. Świetnie się nadaje dla psów Harmonii.

Amerykanka uniosła brwi, ale nie odezwała się ani słowem. Wprawdzie od wielu lat żaden wróg nie usiłował jej zwerbować, ale jeszcze nie zapomniła podstawowej zasady: przede wszystkim ująć z życiem.

- Gdy możliwości danej organizacji przestępczej przekroczą określony punkt - mówił Kasatonin - pojawia się następująca alternatywa: albo organizacja rozpadnie się na kilka zwalczających się grup, albo też wyłoni przywódcę na tyle mądrego, by wprowadzić ją do świata "legalnej" władzy. Do świata papierów wartościowych i spekulacji giełdowych, rządów i pozarządowych grup nacisku. Katia nie da rady tego zrobić, a pani tak.

- NieślycQane - powiedziała Redpath szczerze. Nie sposób było zaprzeczyć, że Rosjanin jest naprawdę bystry i przewidujący. - A co z panem?

Wzruszył ramionami.

- Nie potrafię podlizywać się i wysługiwać durniom, brak mi do tego cierpliwości. Pani będzie moim doradcą.

- Stracę kontakty i dojścia, gdy tylko rozejdzie się wieść, że zostałam doradcą Harmonii.

- Nikt, poza nami dwojgiem, nie musi o tym wiedzieć.

- Katia nie jest idiotką.

- Katia jest piękną, ulepioną z lodu, śmiertcionośną bronią. Ale wódka ją rozpuszcza.

- Na pewno nie w sposób zauważalny - upierała się Redpath.

- Coraz bardziej zauważalny. Kiedyś noga się jej powinie. A wówczas na jej miejsce wejdzie pani.

Redpath nie czuła zimna ani chłodnych powiewów wiatru. Myślała intensywnie, na kilku poziomach jednocześnie.

Oferta Kasatonina mogła być szczerą. Ale mogła też być równie fałszywa jak jego uśmiech.

W grę wchodziła i trzecia możliwość: to, czym ta oferta okaże się w praktyce, będzie zależało od okoliczności.

A w tej chwili życie Gillespiego i jej samej zależało od jej decyzji. Doceniała finezję aktualnego posunięcia Harmonii. Kasatonin mógłby zabić Gillespiego, traktując to jako ostrzeżenie dla całej Risk Limited z szefową na czele. Zastosował jednak inną taktykę.

Propozycja współpracy zamiast pokazu siły.

Katia Pilenkowa musi być istotą znacznie subtelniejszą, niż by się wydawało, pomyślała Redpath. A może to pomysł Kasatonina.

Ta druga myśl wydała się jej o wiele bardziej przerażająca.

- Przypuśćmy, że jestem zainteresowana pańską ofertą - powiedziała, starannie dobierając słowa. - I co dalej? Jak pan to sobie wyobraża?

- Musimy zbudować podstawę wzajemnego zaufania - odparł Kasatonin. Powiedział to tak, jakby pomysł współpracy z Risk Limited dopiero przed chwilą przyszedł mu do głowy, jakby nigdy nie pozyskiwał ludzi za pomocą gróźb lub łapówek, pochlebstw czy zwyczajnego bicia.

Jakby nie trzymał życia Gillespiego w swoich pokancerowanych rękach. - Ktoś musi zrobić pierwszy krok - dodał.

Telefon komórkowy znowu wydał z siebie kilka ochryplych dźwięków. Rosjanin podniósł aparat do ucha i przez chwilę słuchał ze zmarszczonymi brwiami. .

- Tak, oczywiście - rzuciła pospiesznie Redpath. - Co konkretnie miał pan na myśli?

Kasatonin zawahał się, lecz słuchał dalej. Jego wargi mocno się zacisnęły.

Rudowłosa kobieta zaczęła się wiercić na ławce, jakby właśnie sobie uzmysłowiła, że rozmawia z wrogiem, i różne myśli dotyczące całej sprawy dopiero teraz zaczęły cisnąć się jej do głowy.

Oboje wiedzieli, że rekrutacja to proces niezmiernie delikatny. Krótka przerwa w nieodpowiednim momencie, jedno niewłaściwe słowo czy

spojrzenie, a ryba może zerwać się z haczyka, zanim na dobre znalazła się w sieci.

Redpath zaczęła nerwowo grzebać w torebce, szurać nogami i rozglądać się wokół siebie, jakby w oczekiwaniu na przechodniów. Sprawiała wrażenie kobiety, która z coraz większym trudem znosi sytuację, w jakiej się znalazła.

Kasatonin opuścił telefon i ponownie skoncentrował się na swojej rozmówczyni.

- Kto z Harmonii jest informatorem? - spytał bez wstępów. - Podanie jego nazwiska byłoby odpowiednim gestem, umacniającym pani więź z nowymi współnikami.

- Zakłada pan, że taki informator istnieje?

- Oczywiście. W przeciwnym razie nikt, nawet pani, nie byłby w stanie wyrządzić nam tylu szkód w ciągu ostatnich kilku lat.

Redpath ponownie zaczęła grzebać w torebce. Jednocześnie myślała intensywnie, skrupulatnie rozpatrując wszelkie za i przeciw.

- Gdybyśmy mieli takiego informatora - powiedziała w końcu powoli - byłby to niezmiernie cenny agent. Co dostanę w zamian?

- Innego cennego agenta. Sierżanta sztabowego.

- Nawet gdybym miała swojego człowieka wewnątrz pańskiej organizacji - oświadczyła Redpath - nie mogłabym go wydać i nadal być dla pana użyteczna.

- Dlaczego? - spytał Kasatonin.

- Nasi agenci współpracują z Risk Limited dobrowolnie. Jeśli więc pojawi się choćby najmniejsze podejrzenie, że zdradziłam tożsamość któregoś z nich, nie pozostanie mi ani jeden.

Rosjanin potrząsnął głową.

- Dziwię się pani, pani ambasador - oświadczył. - Gotowa jest pani poświęcić grubą rybę, taką jak Gillespie, by ochronić jakąś drobną płotkę ... prawdopodobnie jedną z dziwek Katii.

- Gillespie jest dla mnie cenniejszy, niż pan sobie wyobraża - odparła Redpath. - Dlatego chcę przedstawić kontrpropozycję. - Pani sytuacja nie upoważnia do żadnych targów. Podniósł telefon do ucha.

- Proszę zaczekać! - rzuciła z nutą nalegania w głosie. - Zawsze można zabić człowieka, ale nie da się go potem wskrzesić. Proszę mnie wysłuchać.

Przekonanie w jej głosie powstrzymało Rosjanina.

- Słucham - rzekł krótko.

- Wycofam wszystkich ewentualnych agentów, jakich mam wewnątrz Harmonii, i zobowiązę się, że nie będę szukać nowych.

Kasatonin spojrział na nią z zainteresowaniem.

- W zamian za to - ciągnęła - pan zgodzi się na kilka warunków. Po pierwsze, chciałabym się spotkać z Katią Pilenkową.

Pokręcił przecząco głową.

- To niemożliwe - odparł. - Katia zapewne chciałaby się z panią spotkać, ale zanim zaczniemy rozważać taką ewentualność, muszę znać nazwisko informatora.

- Dlaczego? - łagodnie spytała Redpath.

- Chodzi o dyscyplinę.

- Ale godzi się pan na mój warunek?

- Katia Pilenkowa jest przyjacielsko nastawioną kobietą - obojętnie stwierdził Kasatonin. - Zawsze chętnie spotyka się z ludźmi.

- Niech więc ją pan namówi do przyjazdu i spotkania ze mną - powiedziała Redpath pośpiesznie. - Są rzeczy, o których mogę rozmawiać tylko i wyłącznie z nią.

- Jest jedna rzecz, którą musi mi pani wyjawić natychmiast: kto jest pani szpiegiem? Któraś z dziwek? Ktoś ze służby domowej? Przez ostatni tydzień miałem wszystkich pod lupą, ale muszę być pewien. Boston. Shane. Warren.

Chociaż nazwiska te tłukły się Redpath po głowie, nie zawahała się ani na chwilę.

- A może któryś z tych zakichanych bankierów z Oranjenstadu? dopytywał się Kasatonin. - Muszę to wiedzieć!

- Przecież nie mówiłam, że mam jakiegoś informatora - przypomniała mu. - Powiedziałam tylko, że dysponuję informacjami, które jedynie Katia mogłaby korzystnie spożytkować.

- Nazwisko - warknął Kasatonin. - I to natychmiast. Redpath zaczerpnęła tchu i zagrała swoją kartą atutową.

- Będę współpracować - obiecała - ale najpierw muszę mieć pewność, że działa pan w imieniu Harmonii, a nie na własną rękę. Że nie realizuje pan jakichś własnych celów. Niech mi pan pozwoli porozmawiać z Pilenkową.

- Nie - brzmiała odpowiedź. Kasatonin podniósł słuchawkę do ucha.

- Macie go w polu widzenia? - zapytał niewidocznego rozmówcę. Redpath zamarła. Każda decyzja podjęta w tych okolicznościach

musiała być zła.

- Niech mi pan pozwoli porozmawiać z Katią - poprosiła. - Chcę mieć pewność, że działa pan za jej wiedzą i zgodą.

- Nie.

Spokojnym głosem Kasatonin wydał po rosyjsku rozkaz zabicia Gillespiego przy pierwszej okazji dającej szansę zniknięcia potem bez śladu. - Jeśli będzie pani uważnie słuchać - powiedział, wyciągając ku niej telefon - usłyszysz pani strzał, który pozbawi życia sierżanta sztabowego.

- Nie!

- Zatem proszę o nazwisko! - warknął. - Jeszcze nie jest za późno.

Do uszu Redpath dobiegły z telefonu jakieś niezbyt głośne dźwięki. Ktoś po hiszpańsku wezwał pasażerów do samolotu.

Potem usłyszała szuranie i zdławiony jęk bólu. I jeszcze inne, bliżej nieokreślone odgłosy.

Dzikie, niemal zwierzęce. Z rodzaju tych, jakie towarzyszą maksymalnemu wysiłkowi fizycznemu.

Identyczne odgłosy wydawał Gillespie, gdy trenował całymi godzinami, aż do zupełnego wyczerpania.

Udanego polowania, Gillie, pomyślała Redpath.

Kasatonin przycisnął słuchawkę do ucha i zaczął bardzo szybko mówić po rosyjsku.

- Czeżeńcu, Czeżeńcu! Co tam się dzieje? Odpowiedz!

Redpath miała ochotę sięgnąć po aparat i wysłuchać najświeższych informacji.

Twarz Rosjanina była kompletnie bez wyrazu, ale po chwili na jego wargach zaigrał słaby uśmiezek. Podał telefon rudowłosej kobiecie.

Chwyliła go i odwróciła się do swego rozmówcy plecami. Bała się, że Kasatonin zbyt wiele zdoła wyczytać z jej twarzy.

- Tak? - odezwała się zachrypniętym głosem.

- Cześć, koteczku. Co ty, na Boga jedyne, robisz na drugim końcu tej właśnie linii?

Usłyszawszy głos Gillespiego, odczuła tak wielką ulgę, że niemal zakręciło się jej w głowie.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Niech skonam! A co z tobą?

- Dobre pytanie.

Odwróciła się, by spojrzeć na Rosjanina.

Ławka była pusta. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha, jakby Kasatonin nigdy nie istniał.

Przez krótką chwilę wydawało jej się, że słyszy słaby odgłos kroków dobiegający z pobliskiej alei. A potem wszystko ucichło.

Była sama.

- Nic mi się nie stało - powiedziała. - Czy na pewno nie jesteś ranny, Gillie?

- Wkrótce będę jak nowy, czego nie da się powiedzieć o tych dwóch palantach, którzy usiłowali mnie zabić.

Co się, do diabła, dzieje?

Gillespie oddychał płytko i szybko, jakby miał za sobą pięćdziesiąt metrów ostrego sprintu, a teraz z trudem łapał powietrze.

- Później ci wyjaśnię - odparła Redpath. - Najpierw musimy skontaktować się z Shanem. Obawiam się, że on i Dani znaleźli się w dużym niebezpieczeństwie.

- Jasna cholera! Załatw to, szefie. Ja poczekam.

Zacząła wystukiwać numer Risk Limited, aby przez sieć firmy połączyć się z Shanem Crowem.

Modliła się w duchu, by się nie okazało, że telefonuje do martwego człowieka.

19

Aruba Listopad

Tropikalny deszcz bębnił jednostajnie w ukośny dach bungalowu. Poza tym dźwiękiem w pokoju hotelowym od jakiegoś czasu panowała cisza.

Dani nie spuszczała Shane'a z oczu. Jej spojrzenie było równie ponure jak noc, która zapadła nad wyspą.

Jeśli nawet zauważył utkwiony w siebie wzrok, najmniejszym gestem nie dał tego po sobie poznać. Siedział przy stole, a jego uwagę pochłaniały narzędzia, które kupił tego popołudnia w Oranjestad.

- Nadal myślę, że to cholernie głupi pomysł - powiedziała Dani szorstko.

- Gillie był odmiennego zdania. Właśnie dlatego zapakował kable i twarde dyski razem z kostiumami bikini i innym fatalaszkami.

- Podobno stanowimy zespół.

- Wejście na teren posiadłości jest dla ciebie zbyt niebezpieczne - uciął.

- Za to dla ciebie nie?

- Zgadza się.
- Nic się nie zgadza!

Shane podniósł wzrok. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, w ciemnych oczach malował się spokój.

- Potrzebuję tylko pięciu minut z komputerem Katii - oświadczył.
- Tylko tyle? Nic więcej? - zapytała Dani z przekąsem. - A nie przydałaby ci się opieka dobrej wróżki albo złota karoca, która zajechałaby po ciebie, gdy już znajdziesz się za ogrodzeniem?
- Za bardzo rzucałaby się w oczy.
- Do cholery, to nie pora na żarty!
- A czy ja żartuję?
- Shane, ten komputer może być podłączony do całego systemu zabezpieczeń.
- Nie jest.
- Skąd wiesz?
- Od Bostona.
- A jeśli on się myli? - nie ustępowała Dani.
- A jeśli ma rację?

Dziewczyna poderwała się z fotela i zaczęła krążyć po pokoju. Nadal nie spuszczała Shane'a z oka. Nie patrząc na nią, owinał plastikową folią prostokątne metalowe pudełko wielkości bochenka chleba. Paczkę włożył do plecaka z ciemnego brezentu.

Również on sam ciemną plamą odcinał się od ścian. Ciemna koszula z długimi rękawami, ciemne spodnie, ciemne włosy. Stopy tkwiły w ciemnych miękkich butach przeznaczonych do turystyki górskiej. Ciemne przeciwdeszczowe ponczo wisiało tuż obok, na poręczu krzesła.

Na pierwszy rzut oka odzież Shane'a wyglądała jak modny strój na'dający się do noszenia w tropiku. Dopiero przy uważnych oględzinach dawało się zauważyć nietypowo dużą liczbę kieszeni. A jeszcze skrupulatniejsza

obserwacja ujawniała arcydziwny fakt: żadna sztuka odzieży nie była czarna. Wyglądały tak, jakby na ciemnym tle rozrzucono w przypadkowy sposób jeszcze ciemniejsze smugi i plamy.

N ocny kamuflaż, uświadomiła sobie Dani.

- Bez wzgędu na to, co mówi Boston, jakoś nie chce mi się wierzyć, że Katia nie koduje swoich plików - zauważyła.
- Przecież nie muszę ich czytać, wystarczy je skopiować.
- Ale ...
- Żadnych ale - przerwał jej Shane niecierpliwie. - Cassandra zatrudnia hackerów. Kiedyś, ot tak sobie, dla draki, ukradli miesięczny wykaz opłat uiszczanych za pomocą karty American Express.

- Chciałeś mnie w ten sposób uspokoić?
- Mnie to poprawia humor. Ci chłopcy nawet zardzewiałym gwoździem potrafiliby otworzyć dowolny dostępny na rynku plik, który" został zakodowany przez producenta.
- Więc dlaczego po prostu nie włamią się do jej komputera?
- Jest za mądra na to, by podłączyć modem. Nie ma modemu, nie ma dostępu, żadnego sposobu wejścia do środka. Pozostaje tylko tradycyjna metoda.

Shane sięgnął po piłkę do metalu. Po chwili znalazła się w ciemnym plecaku, obok twardego dysku. Wrzucił do środka jeszcze kilka narzędzi. Na stole zostały tylko przegubowe szczypce do cięcia metalu.

Gdy zarzucał sobie plecak na ramiona, Dani podeszła do niego.

- Pozwól mi iść z tobą - poprosiła. - Znam się na komputerach lepiej od ciebie.
- To, co umiem, wystarczy, żeby sobie poradzić z tą robotą - odparł. Włożył przegubowe szczypce do bocznej kieszeni spodni.
- A jakie jest moje zadanie, partnerze? - spytała Dani. - Może powinnam złożyć ręce i się modlić?
- Wolałbym, żebyś obserwowała tylne drzwi.
- Co takiego?

Shane wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Aparat został specjalnie przerobiony, tak by wibrował bezgłośnie, sygnalizując połączenie.

- Kiedy znajdę się w środku, nie będę widział kamer - wyjaśnił Crowe. - Do ciebie będzie należało poinformować mnie, czy koło ogrodzenia nikt się nie kręci, żebym mógł bezpiecznie wyjść.

Spojrzenie, jaki mu Dani posłała, pełne było sceptycyzmu. Shane uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie chcesz chyba, żebym został gwiazdą filmów kręconych ukrytą kamerą?

Kontrolując każdy swój ruch, Dani podeszła do okna i rozsunęła zasłony. - Obie kamery są umieszczone na wysokich słupach - powiedziała. - Nawet przy takim zachmurzeniu jak dzisiejsze będziesz je widział. -

Niewiele uchodzi twojej uwadze, prawda?

- Takie "bycie prawie martwą" znakomicie wyostrza zmysły - odparła słodkim głosem.

Zapadła cisza, słychać było tylko bębnienie deszczu o dach. Wbrew temu, co podpowiadał jej rozum, Dani wciąż miała nadzieję, że Shane zacznie wreszcie zwracać uwagę na jej słowa.

Po dłuższej chwili Crowe podszedł do niej i ujął jej głowę w obie dłonie. Łagodnie, lecz nieustępliwie napierał kciukami na podbródek, aż uniósł jej twarz ku górze i ich spojrzenia się spotkały.

Głód, jaki dostrzegła w jego oczach, zdumiewał ją, ale i cieszył.

- Nie jestem cyborgiem zen - powiedział Shane. - Kiedy na ciebie patrzę, bardzo cię pragnę. Tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Poczuł drżenie przenikające jej ciało.

- Przestraszona? - spytał.

- Nie - szepnęła.

- A powinnaś być. Mnie to przeraża. Jestem samotnym wilkiem, Dani. Zawsze taki byłem. Ani na moment nie stałem się częścią niczyjego życia. Ale z tobą ...

Głos Shane'a zamarł. Jego ręce mocniej zacisnęły się na policzkach dziewczyny, kciukami pieściliwie gładził podbródek i to miejsce na szyi, gdzie gwałtownie biło tętno.

~ Jesteś inna niż wszystkie - powiedział po prostu. - Bez trudu docierasz do samego środka mojej duszy.

Przez chwilę tylko się w niego wpatrywała. Ciemne oczy Shane'a były takie jak słowa: szczerze i bezwzględne. Nie dawały możliwości ukrycia się.

Ani jemu, ani jej.

Tego mężczyznę mogłabym pokochać, pomyślała. Gdybym sobie na to pozwoliła.

Gdyby on mi na to pozwolił.

Uświadomienie sobie tego faktu wywołało kolejną falę dreszczy. On również je wyczuł. Między nimi płynął prąd, równie prawdziwy jak prąd elektryczny.

Shane oderwał ręce od twarzy Dani.

- Czy rozumiesz, co chciałem powiedzieć? - zapytał miękko. - Dzisiejszej nocy muszę iść sam.

- Ale ...

- Wysłuchaj mnie - przerwał jej gwałtownie. - Nie potrafię myśleć o tobie i nie pragnę cię dotykać. Nie potrafię cię dotykać, nie zapominając natychmiast o wszystkim z wyjątkiem jednej, jedynej rzeczy: jak bardzo cię pragnę. .

Odwrócił się od okna i patrzył na czarne ogrodzenie z połyskującymi na szczycie zwojami kolczastego drutu. Bezgłośnie liczył drgnięcia kamer, czekając na moment, kiedy ich pola widzenia przestaną się na siebie nakładać.

- Tamtej nocy - wyznał - pocałowałem cię, bo myślałem, że to cię skłoni do pozostania w domu. - Jak to?

- Boisz się potężnie zbudowanych mężczyzn.

- Ale nie ciebie ..

- Dlaczego?

Dani zawahała się, a potem wzruszyła ramionami.

- Przez cały czas spędzony w tym przeklętym pudle, gdy wyjeżdżaliśmy z Tybetu - powiedziała. - Ty nie

...

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Nie wykorzystałem okazji? - dokończył. Kiwnęła głową.

- Ale to nie wyjaśnia, dlaczego mi ufasz - stwierdził. - Gdy stałaś nad martwym Fengiem i wyciągnąłem do ciebie rękę, ty bez wahania podałaś mi swoją. Dlaczego?

- Widziałam cię już wcześniej.

- I co z tego? Kasatonina też już wcześniej widziałaś. Czy jemu także podałabyś dłoń?

- Nie - odparła bez namysłu.

- Dlaczego, Dani?

- Bo nie jest tobą.

I znów przez długą chwilę słychać było tylko bębnienie deszczu o poszycie dachu.

- Czy zawsze kierujesz się intuicją? - przerwał milczenie Shane. Potrząsnęła przecząco głową.

- Gdy byłam młodsza - powiedziała - nie słuchałam tego cichego głosu, który odzywał się gdzieś w głębi mojej duszy i mówił, że coś jest albo nie jest w porządku.

- Twój były mąż? - domyślił się mężczyzna.

- Tak - potwierdziła. - Wysoki, przystojny i czarujący. Nieszczególnie bystry, ale i nie głupi. Mówiłam

sobie, że przecież nikt nie jest doskonały, że sama mam wady, że wszystkie panny młode mają pewne wątpliwości, i temu podobne bzdury.

Ciszę wypełnił łomot, z jakim krople deszczu waliły o dach.

- Dopiero po tej pomyłce - ciągnęła Dani - postanowiłam dla odmiany kierować się intuicją. Do diabła z tak zwanym racjonalnym podejściem do życia.

Shane uśmiechnął się lekko.

- Żaden buddysta nie powstydziliby się tych słów.

Dani miała ochotę się roześmiać, ale obawiała się, że jej śmiech będzie bardziej atakiem hysterii niż przejawem dobrego humoru.

- I rozum, i intuicja - oświadczył Shane - podpowiadają mi, że nie mogę pracować, jeśli mam co chwila oglądać się przez ramię, aby się upewnić, że z tobą wszystko jest w porządku. Łatwo zginąć, gdy człowiek ciągle ogląda się za siebie.

- Łatwo zginąć, gdy tyły pozostają nie strzeżone - odparowała.

- Masz rację. Zostań więc w domu i pilnuj moich tyłów.

Dani przymknęła oczy.

- Boję się o ciebie - wyszeptwała.

Śmiech Shane'a był ostry i gorzki jak skorupka migdała. - Czuję dokładnie to samo w odniesieniu do ciebie.

- Więc nie zostawiaj mnie w domu!

- Przez całe życie uczyłem się, jak dbać o siebie, więc umiem to robić. A ty nie. I dlatego ja jestem szefem, a nie ty. Zostań w domu, Dani. Obiecay mi to.

Nie odpowiedziała.

- Dani? Czy mogę na ciebie liczyć?

Zanim zdążyła otworzyć usta, Shane znał już odpowiedź, którą odczytał z położenia jej ramion, wielkim głosem "krzyżujących" o przegranej.

- Zostanę - obiecała.

Pragnął podejść do niej, wziąć za rękę, podnieść na duchu. Obawiał się jednak, że nie zdoła na tym poprzestać.

Ale się porobiło, niech to piekło pochłonie, myślał z irytacją. Zupełnie jakbym nigdy przedtem nie pragnął kobiety.

Nagle uświadomił sobie, że to jest prawda. Nigdy przedtem nie pragnął kobiety. A przynajmniej nie tak bardzo, jak teraz Danielle Warren.

Zerknął na zegarek. Pora iść.

Sięgnął po ponczo, narzucił je na ramiona i zapiął suwak. Kaptur rzucił cień na jego twarz. Shane otworzył drzwi, wyszedł na patio i nie oglądając się za siebie, zagłębił się w zlewany potokami deszczu mrok nocy.

Przemknąwszy niczym cień ku ogrodzeniu, zatrzymał się i niemal wtopił w pień wysokiej palmy.

Nad latarniami rozstawionymi wokół posiadłości Harmonia wiatr porozwieszał srebrzyste zasłony z deszczówki. Shane nie musiał patrzeć na kamery, aby wiedzieć, jakie jest ich aktualne położenie. Miarowy rytm ich codziennej jednostajnej pracy miał już wryty w mózgu.

Niebawem obiektywy obu kamer miną palmę i nastąpi krótka przerwa w nakładaniu się ich pól widzenia. Aż do tego momentu Shane będzie musiał czekać, trwając nieruchomo jak głaz.

Trwanie w bezruchu było jedną z wielu dyscyplin, jakie opanował w klasztorze Błękitnych. Prasam Dhamsa okazał się znakomitym nauczycielem. Dostrzegał w Shanie cechy, jakich Amerykanin sam nigdy nie zauważył: cierpliwość, zdolność do poświęceń, inteligencję i trawiący go głód czegoś, co nie było śmiercią. Dhamsa dostrzegł jeszcze jedną rzecz, z którą Shane początkowo nie potrafił się pogodzić. Później, choć z wielkimi oporami, przyznał, że droga buddyjskiego mnicha nie jest dla niego.

Ale dopiero teraz w pełni to zrozumiał.

Skąd wiedziałeś, Prasam? - pytał w duchu starego nauczyciela. Przecież to ostatnia rzecz, która mnie samemu przyszlaby do głowy. Gdy już podjąłem decyzję, celibat wcale nie okazał się trudny.

A potem Danielle Warren wsunęła swoją dłoń w moją, wierząc, że wydrę ją śmierci i obdarzę życiem. A może było na odwrót? Może to ona obdarzyła mnie nowym rodzajem życia?

Będę musiał spytać o to Prasama, kiedy go znowu zobaczę. O ile go jeszcze zobaczę.

Podobnie jak Dani, nie mam dobrych przeczuć, jeśli chodzi o tę akcję. Zbyt wielu amatorów. Zbyt wiele niewiadomych. I stanowczo za mało czasu.

Ciężkie krople spadały na mięsą, podgumowaną tkaninę ponczo i cienkimi strumyczkami spływały w dół. Nogi miał już całkiem mokre. Na szczęście twardy dysk pozostał suchy.

No, i pysznie, jakby powiedział Gillie. W tym konkretnym przypadku rola człowieka polega na tym, żeby

wnieść pewne urządzenie na teren Harmonii, a potem je stamtąd wynieść. Tyle że jeśli człowiek jest mokry, może się to okazać trudne. Bo urządzenie trzeba za wszelką cenę uchronić przed wilgocią.

Precyzyjny "metronom" w mózgu Shane'a odmierzał sekundy, jakie pozostały do utworzenia się martwego pola. A chociaż w postawie mężczyzny nie zaszła najmniejsza zmiana, tempo przepływu krwi w jego żyłach rosło, w miarę jak odliczanie zbliżało się do końca.

Swoim zwyczajem Shane rozkoszował się wolnością, jaką przynosiła noc. Cieszyła go nadchodząca próba sił, poczucie pewności, że robi to, co umie, w czym jest dobry i bez czego nie potrafiłby żyć.

Coś, co się naprawdę liczy.

A jednak ... nawet w chwili, gdy wszystkie jego zmysły wyostriły się do granic możliwości, gdy stwierdził, że 'osiągnął maksymalną gotowość do działania, nie opuszczała go świadomość, że tym razem jest jakoś inaczej. Zmieniła się jego definicja wolności. W głębi duszy marzył, by mieć już to wszystko za sobą i wrócić do kobiety, która na niego czeka, bo ją o to poprosił.

Tylko tyle. Poprosił.

A przecież Dani była równie cicha i uległa jak pantera broniąca swoich małych. Umysł miała ostry jak brzytwa i taki sam język.

A jednak zaufała mu, tak jak nikt dotąd mu nie ufał. Nawet on sam.

W dalszym ciągu lało jak z cebra. Co jakiś czas niebo przecinały błyskawice, a wkrótce po nich rozlegały się grzmoty. Ani w deszczu, ani w wyładowaniach atmosferycznych nie dawało się uchwycić żadnej stałej sekwencji czy rytmu. Jedynymi niesprawiającymi żadnych niespodzianek elementami były dwie kamery i tętno mężczyzny.

Shane odliczył ostatnie sekundy i odsunął się od mokrego pnia. Działał bez pośpiechu. Szaroczarne cienie na ponczo stanowiły wprawdzie skuteczny kamuflaż, ale gwałtowne ruchy mogłyby przyciągnąć uwagę ewentualnego obserwatora. Zbliżając się do ogrodzenia z kutego żelaza, wyciągnął z kieszeni na udzie szczypce do cięcia prętów.

Kilka ostrożnych pociągnięć opuszkami palców po pomalowanych czarną farbą sztachetach wystarczyło, by zrozumiał, że ma mnóstwo szczęścia. Sztachety były przeżarte rdzą. Farba szybko się złuszczyła, a przesycone solą powietrze przez całe lata "rozpracowywało" znajdujący się pod spodem metal.

Sztachety nie skorodowały równomiernie. Jedne były bardziej przerdzewiałe, inne mniej. Shane szybko zbadał stan kilku z nich, wybrał jedną i przystąpił do pracy.

Początkowo szczypce bez trudu wchodziły w przeżarte rdzą żelazo, ale po chwili trafiły na nieskorodowany metal. Shane chwycił narzędzie oburącz i naparł z całej siły. Na czole i wzdłuż kręgosłupa wystąpiły mu krople potu.

Wreszcie rozległo się wyczekiwane stuknięcie, gdy krawędzie tnące szczypiec spotkały się ze sobą. Shane przykleknął i błyskawicznie przeciął ten sam pręt kilkanaście centymetrów nad ziemią. Kawalek sztachety długości mniej więcej metra upadł na piasek.

Crowe rozpoczął całą operację po raz drugi, na sąsiednim przecię.

Tym razem miał mniej szczęścia. Korozja nie była aż tak zaawansowana. Shane próbował wyginać pręt, posługując się szczypcami jak dźwignią, w górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół ... Mimo ogromnego wysiłku, jaki w to wkładał, szczęki szczypiec wciąż rozdzielała solidna warstwa żelaza.

W głowie Shane'a "tikały" kolejne sekundy, ale nie przyspieszały roboty. Mięśnie wystąpiły mu na karku, pot strumieniami spływał wzdłuż kręgosłupa, gdy mozolnie walczył z opornym materiałem.

Wreszcie kolejny odcinek sztachety opadł na ziemię. Shane włożył szczypce do kieszeni, zabrał oba metalowe pręty i przeczołgał się przez ogrodzenie.

W ciągu kilku sekund znalazł się w gęstych zaroślach. Cieniste tulipanowce stanowiły znakomitą osłonę. Zanim kamera bliższa linii brzegowej zakończyła swój bieg i ruszyła w drogę powrotną, ku niechronionemu odcinkowi ogrodzenia, Shane był już dobrze ukryty. .

Boston odwalił kawał dobrej roboty, pomyślał. Dzięki niemu system ochrony "uwielbianej" szefowej mocno trącił tandetą.

Shane porzucił oba pręty pod jakimś krzakiem i ruszył przez teren posiadłości, który ze względów bezpieczeństwa powinien być w całości oświetlony. Ale i tutaj rzucały się w oczy daleko idące zaniedbania. Niezbędne prace konserwacyjne prowadzono dość opieszale. Bez trudu przemykał się od cienia do cienia. Tylko wokół basenów kąpielowych nie było ani jednej przepalanej żarówki. Ominął je, bo w jaskrawym oświetleniu jego ciemna sylwetka z pewnością rzucałaby się w oczy. Chwilę później przeczołgał się przez ścieżkę wiodącą ku piaszczystej białej plaży i eleganckim domkom letniskowym.

Nagle nocną ciszę zakłócił jakiś głos.

Shane zamarł w bezruchu. Przestraszył się, że go odkryto. Głos nie milkł. Dochodził z najbliższego budynku.

Jeden rzut oka przez szybę okienną upewnił Shane'a, że nadal jest bezpieczny. Któryś z zaproszonych na obiad gości, Wenezuelczyk, sądząc z akcentu, jęczał w uścisku młodej Arubijki. prostytutka ujeżdżała go, mechanicznie poruszając biodrami. Jej mina wskazywała na to, że z równym zapałem mogłaby polerować srebra.

A ujeżdżaj go, panienko, ujeżdżaj, nie żałuj sobie, pomyślał Shane.

Dzięki tobie będę miał o jednego mniej do pilnowania. Cały czas muszę uważać, żeby na nikogo po ciemku nie nadebrać.

Deszcz wciąż padał. Niebo przecięła błyskawica, a po chwili rozległ się grzmot.

Burza była z wielu względów korzystna, ale miała też pewne wady.

Huk piorunów i szum deszczu zagłuszały wszelkie dźwięki, jednak każda błyskawica mogła zdradzić jego obecność, z taką samą niezawodnością jak punktowe światło rzucone na mroczną scenę.

Shane oddalił się od domków plażowych i, skrywszy się w gęstych krzewach poinsecji, ruszył w stronę kamiennego, pokrytego stiukiem domu. Ani na chwilę nie przestał się rozglądać. Wiedział, że kilku ochroniarzy

zawsze pilnowało terenu, nawet jeśli pod nieobecność Kasatonina wykonywali swoje obowiązki bardzo niedbale.

Pierwszy strażnik siedział koło plażowego domku, na rozstawionym na trawniku leżaku. Niewielki daszek chronił go przed deszczem. Gdy

Shane przemykał się w pobliżu, do jego uszu doszło chrapanie ochroniarza, na tyle głośne, iż nie utonęło w szumie deszczu.

Drugi strażnik stał w głębokim cieniu rzucałym przez inny domek i grał w łapki z pokojówką. Oboje najwyraźniej świetnie się bawili, zapomniawszy o bożym świecie.

Shane pozostawił ich samym sobie.

Wiatr wiał wokół dużego domu, przyginając do ziemi palmy i kołysząc cienkimi gałązkami drzew dividivi, które chrzęściły niczym kości w stawach. Shane bezszelestnie przemykał się od jednej plamy cienia do drugiej, dopóki nie wypatrzył strażników strzegących głównego wejścia. Zbici w gromadkę stali na frontowej werandzie i palili coś, co zapachem zupełnie nie przypominało tytoniu.

La mota, stwierdził Shane. Ciągnijcie mocno, chłopcy, życzę przyjemnych snów.

Katia może być jędzą na jędzami, jeśli idzie o służbę domową, ale potrzeba tak zimnego drania jak Kasatonin, aby utrzymać w ryzach ochroniarzy zatrudnionych przez Bostona.

Shane parł naprzód cicho jak duch. Z okien na parterze biło jaskrawe światło. Stanąwszy w cieniu zarośli, w sporej odległości od domu, odważył się zajrzeć do środka.

Katia Pilenkowa była j edyną kobietą w towarzystwie. Przy stole poza nią siedziało kilkunastu dobrze ubranych, mocno już pijanych mężczyzn.

Bankierzy czy spece od prania brudnych pieniędzy? - zastanawiał się Shane. Nieważne, bo na Arubie, dzięki działalności Harmonii, te dwa gatunki niewiele się od siebie różniły.

Gospodyni miała na sobie płomiennoczerwoną suknię, która podkreślała biel jej nagich ramion. Mimo ciepłego koloru materii przypominała lodową rzeźbę: pełna rezerwy, wiejąca chłodem.

Nie ulegało wątpliwości, że biesiadnicy mieli już za sobą liczne dania i wiele kolejek alkoholu. Na stole królowały likier i brandy, a przed każdym z gości stała mikroskopijna filiżanka kawy. Popielniczki były przepelnione, krawaty rozluźnione, a twarze mężczyzn zaczerwienione i mokre od potu. Kilku z nich zwisło ciężko na bok, a ich szkliste oczy niewiele już widziały.

Dziwki nie będą miały dzisiejszej nocy zbyt wiele pracy, zauważył w duchu Shane. Połowie tych mężczyzn nawet łubki w wiadomym miejscu niewiele by pomogły.

Katia siedziała z koniakówką w dłoni i karafką brandy w zasięgu ręki. Wlala w siebie solidną porcję złocistego trunku, jakby to była mrożona herbata.

A może to faktycznie herbata, pomyślał Shane. Piękna Rosjanka nie wygląda na pijaną.

Katia uśmiechnęła się do jednego z mężczyzn, potem do drugiego.

Pochyliła się ku trzeciemu, pozwalając mu zajrzeć głęboko w dekolt. Czwartego obdarzyła lekkim dotknięciem i wiele obiecującym spojrzeniem spod oka. Inni biesiadnicy pochyliłi się ku niej, przyciągani lodowatym urokiem gospodyni.

Obiecanki, cacanki, myślał cynicznie Shane. Ciekawe, co tak porusza tych bankierów: rozmowy o forsie czy jej cycki? Co by to jednak było, już w tej chwili jedzą jej z ręki, żaden nawet okiem nie mrugnie.

Cofnął się w mrok nocy, aby odświeżyć i uzupełnić swoją znajomość głównego budynku. Centrum kontrolne systemu bezpieczeństwa mieściło się na tyłach domu. Przez zalane deszczem szyby Shane patrzył na ścianę pokrytą monitorami. Ukazywały samotne ogrodzenie, schłostane wiatrem drzewa palmowe, deszcz, baseny kąpielowe, domki plażowe i najbliższe otoczenie głównego budynku.

Na żadnym z ekranów nie widać było terenu wokół prywatnych apartamentów Katii.

Boston miał rację, pomyślał Shane z satysfakcją. Ta mistrzyni w podglądaniu innych najwyraźniej nie życzy sobie, by ktokolwiek podglądał ją. Nawet ze względów bezpieczeństwa.

Spośród monitorów umieszczonych w centrum kontrolnym tylko jeden przykuwał uwagę strażnika.

Nastawiony był na komercyjny kanał telewizji południowoamerykańskiej. Nadawano jakiś serial. Para aktorów świetnie znanych z meksykańskich telenowel odgrywała scenę miłosną.

Shane uznał, że robią to z większym zaangażowaniem niż prostytutka' zabawiająca pijanego Wenezuelczyka w eleganckim domku plażowym przeznaczonym dla gości.

Odwrócił się i przez zarośla poinsecji przedarł się do położonego na uboczu domku Katii. Pokoje były ciemne i najwyraźniej puste. Żaden strażnik nie czuwał na werandzie, nikt z głównego budynku nie obserwował

wejścia do apartamentów gospodyni.

Shane obszedł budynek dookoła. Tylko w jednym miejscu dostrzegł odrobinę światła. W pierwszej chwili pomyślał, że Katia zostawiła włączony telewizor. Stwierdziwszy jednak, że rozjaśnienia i przyciemnienia światła następują w stałej, łatwej do uchwycenia sekwencji, doszedł do wniosku, że to nie telewizor, lecz monitor komputerowy z włączonym wygaszaczem ekranu.

Podszedł do tylnych drzwi wychodzących na patio. Włożył rękawiczki chirurgiczne, wyjął z plecaka komplet wytrychów i zaczął majstrować przy zamku. Po chwili zamek ustąpił. Drzwi otworzyły się bez szmeru.

Shane ściągnął mokre ponczo i upchnął je za jakąś rośliną doniczkową stojącą na patio. Tuż obok postawił swoje ubłocone buty.

Boso, ale nadal w rękawiczkach, wśliznął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

W powietrzu unosił się słodki zapach perfum, zbyt intensywny jak na gust Shane'a. Stojąc w bezruchu, cały zamienił się w słuch, podczas gdy jego oczy przyzwyczajają się do panującego w pomieszczeniu mroku.

Docierało tu tylko słabe światło rozstawionych w ogrodzie latarni.

Sypialnia została urządzona na biało: białe zasłony i dywan, białe meble i bibeloty.

Upodobania dziewczycy, pomyślał Shane z ironią. Katia uwodzi mężczyzn, ale z nimi nie sypia. Może ją osiąść tylko gwałcieciel, i to taki, którego ona śmiertelnie się boi.

Oczywiście, że jest dziewczycą.

Zło tkwiące w duszy słodkiej Katii jest jak ogień, uświadomił sobie Shane. Kiedyś ją spali. Ale zanim do tego dojdzie, ta kobieta będzie się stawiała cokolwiek większym zagrożeniem dla innych.

Przeszedł do salonu. Nocna lampka łagodnym blaskiem oświetlała pomieszczenie. Poruszał się pochylony, na ugiętych kolanach, aby jego cień nie padł na zasłony. Obszedłszy w ten sposób cały pokój, dotarł do komputera stojącego na niskim stoliku tuż obok barku z alkoholami.

Komputer był włączony, w każdej chwili gotowy do pracy. Rzucił się w oczy niecodzienny wygaszacz ekranu, który ukazywał niekończące się zbliżenie między parą niezwykle gibkich kochanków.

Shane dotknął klawiatury. Monitor zajaśniał intensywnym białym światłem. Crowe przyciemnił ekran, rzucił okiem na katalog główny i zaczął przeglądać kolejne podkatalogi. Zgodnie z jego oczekiwaniem były po rosyjsku. Za to występujące obok liczby dobrze rozumiał.

Za dużo danych jak na twardy dysk, który przyniósł ze sobą. Przeglądał tytuł za tytułem, klnąc w duchu na czym świat stoi. Bo chociaż nazwy plików nie zostały zaszyfrowane, i tak nic mu nie mówiły.

Poza imponującą listą rosyjskich przekleństw, Shane nie władał tym językiem na tyle dobrze, by rozpoznać, które pliki należy skopiować, a które pominąć. Pozornie "ważny" plik mógł się okazać prościutkim programikiem dostępnym w sklepach komputerowych na całym świecie.

Wtem jakieś słowo po rosyjsku przykuło jego uwagę. Wiedział, co ono znaczy: zjadaczy świńskich ekskrementów.

Dziwne. Shane otworzył podkatalog i przejrzał zawarte w nim pliki.

Rzuciły mu się w oczy nazwiska zapisane alfabetem łacińskim, a nie cyrylicą.

De la Pena. Liu. Spagnolini.

Lista ciągnęła się dalej, niektóre nazwiska zapisano cyrylicą, inne nie. Tong.

Jakuza.

Kartel.

W każdym zbiorze zawarte były podzbiory, a niektóre rosyjskie nazwy powtarzały się w katalogu głównym.

Shane odetchnął z ulgą i rozbawieniem.

Katii, ty chyba na głowę upadłaś, pomyślał. Zaczę od Zjadaczy Świńskich Ekskrementów, a potem będę upychać wszystko, co ma jakiś nieprzyzwoity nagłówek, dopóki mój dysk nie odmówi dalszej współpracy. Komputerowi cybermaniacy Cassandry poradzą sobie z całym tym gnoJem.

Wyjęcie dysku z plecaka i podłączenie końcówek kabla do komputera Katii zajęło Shane'owi nie więcej niż minutę.

Przeglądał katalog główny, pozycja po pozycji, a zegar w jego głowie odliczał sekundy. Kliknięcie, przeciągnięcie myszą nad ikonkę nośnika, i oto kolejny plik wyznaczony do skopiowania. Z imponującą szybkością komputer zaczął przepisywać całe zbiory danych na podłączony dysk.

Jeżeli gdzieś włączył się jakiś sygnał alarmowy, Shane ani go dostrzegł, ani nie dosłyszał.

Zmówiwszy w duchu modlitwę, wcisnął "shift" i w miarę przeglądania katalogu głównego wybierał do skopiowania coraz to nowe pliki.

W kieszeni odezwał się pager, wibrując delikatnie tuż przy jego nodze. Shane zignorował wezwanie Dani.

Wiedział, że mijają kolejne "okienka" w pracy dwóch kamer telewizyjnych, ale jego twardy dysk wciąż połykał ogromne zestawy informacji zaznaczone do skopiowania.

Gdy komputery zajęte były pracą, Shane podszedł do ogromnej staroświeckiej szafy pancерnej, która stała w rogu pokoju. Zgodnie z tym, co mówił Boston, był to wyrób dziewiętnastowieczny. Jego twórcy najwyraźniej

większe zaufanie pokładali w masie sejfów niż w zamkach o wymyślnej konstrukcji.

Ale kto miałby kraść u Królowej Złodziei, skoro na straży jej bezpieczeństwa stał sam Książę Ciemności?

Shane zabrał się do otwierania szafy pancерnej. Kolejne zapadki, jedna po drugiej, odsłaniały ze szcękaniem. Wreszcie masywne drzwiczki sejfów stanęły otworem.

Nie rozdzwonił się żaden alarm.

Shane wyjął miniaturową latarkę i cieniutkim strumieniem światła omiotł wnętrze schowka. Kasety ze złotymi monetami, paczki czegoś, co wyglądało jak nieoprawione brylanty, stosy banknotów różnych walut wypełniały długi rząd biegnących pionowo przegródek.

Rezerwa na wypadek ucieczki? - pomyślał. Może forsa na łapówki? Zlekceważył tę przenośną fortunę i niecierpliwie wyciągnął rękę ku drzwiczkom osadzonym we wnętrzu szafy. Przestrzeń za nimi była jedynym schowkiem na tyle dużym, by dało się w nim ukryć kapsułę ze skradzionym jedwabiem.

Pager znowu zawibrował.

Ignorując ten sygnał, Shane sięgnął po wcisniętą w schowek niemal metrowej wielkości lalkę, ubraną w sukienkę z bardzo starej koronki. Porcelanową głowę "porastały" prawdziwe loki w kolorze identycznym, co złote włosy Katii. W miękkiej i w takiej zabawce w żaden sposób nie dałoby się ukryć pojemnika z jedwabem.

Lalce ktoś wydrapał oczy. Na koronkowej sukience, na wysokości krocza, rozlewała się ciemna plama, zupełnie jakby zabawka została zgwałcona, a krew zdążyła wyschnąć już całe lata temu.

Na dnie schowka leżały fotografie. Ukazywały dziewczynkę na różnych etapach jej rozwoju. Zdjęcia niemowlęce, portrety kilkulatki w koronkowej sukience, migawkowe ujęcia pięknego podlotka o pustych oczach Katii i jej zimnym uśmiechu.

Pager wibrował nieprzerwanie, ale Shane zarejestrował ten sygnał jako coś niezmiernie odległego. Wąski strumień światła z jego latarki wyląwiał z ciemności jedno zdjęcie po drugim.

Na wielu z nich dziecko trzymał na ręku jakiś starszy mężczyzna.

Oczy dziewczynki były zawsze wydrapane, jego zaś nietknięte, w przeciwieństwie do krocza, które zostało potraktowane równie bezpardonowo, co przyrodzenie Kasatonina.

Delikatnym ruchem Shane odłożył lalkę na miejsce i zamknął drzwiczki. Lalka i zdjęcia przywołały wspomnienie nauk Ngona tok gyen, który głosił, że ilekroć człowiek wstrzymuje oddech, pojawia się w tym miejscu Budda jako wcielenie współczucia.

Shane zastanawiał się, czy ktokolwiek, nie wyłączając samego Buddy, miałby siłę żyć, mając tak jak Katia, duszę okaleczoną i wynaturzoną, przepelnioną smutkiem i mrokiem.

Zamknął sejf, przekręcił tarczę i wrócił do komputera. Twardy dysk wciąż jeszcze pochłaniał przesyłane pliki. Mężczyzna zaznaczył kolejną porcję do kopiowania, przeciągnął myszą nad ikonkę "złodzieja" i zaczął szukać dalszych "ciekawych" dokumentów.

Nagle do jego uszu dobiegł szelest poinsecji poruszonej przez podmuch wiatru lub coś, co przemknęło w pobliżu.

Sprawcą hałasu mógł być także człowiek, który przedzierał się przez zarośla, żeby zajrzeć do środka przez okno.

Shane zlecił kopiowanie dużego zbioru plików i jednym ruchem

myszy włączył wygaszacz ekranu. Potem cicho podszedł do okna.

Sze-lest. Sze-lest.

Dźwięk dochodził z patio.

Shane wyrzwał przez okno w ciemność. Nie dostrzegł niczego.

Nie ufaj oczom, przestrzegł sam siebie. Kieruj się raczej instynktem. Co on ci podpowiada?

Odpowiedź pojawiła się natychmiast.

Na zewnątrz jest ktoś, kto wie, że ja jestem tutaj.

Błyskawicznie rozważył szanse i możliwości. Komputer nadal posłusznie wykonywał zlecone mu zadanie kopiowania zbiorów na podłączony twardy dysk, a każda informacja była na wagę złota. Ponadto odłączenie przewodów, schowanie wszystkiego i wyniesienie się stąd wymagało trochę czasu.

Shane wsłuchiwał się w dźwięki nocy. Wiatr szumiał w koronach drzew, gałęzie krzewów postukiwały o szyby okienne, krople deszczu miarowo bębniły o dach. Co jakiś czas rozlegał się grom.

Zadnych głosów.

Zadnych prób sforsowania zamka u drzwi.

A może to kolejna para nastrojonych *amoroso* służących, szukających dla siebie zacisznego kąta, pomyślał Shane. Jeśli tak, to za chwilę pójdą dalej. Choćby nie wiem jak byli napaleni, nie odważą się na żadne igraszki w prywatnych apartamentach Carycy.

Rozluźnił się odrobinę, przesunął ku drzwiom i trochę je uchylił. Wszystkimi zmysłami usiłował przeniknąć panującą na dworze ciemność. Wprawdzie deszcz i wiatr zagłuszały wszystkie dźwięki, ale niedogodność tę kompensowała wilgotność powietrza, intensyfikując wszelkie wonie.

Shane wziął głęboki wdech. Nozdrza wypełniła mu woń deszczu i roślinności. Lecz pod tymi zapachami kryło się coś jeszcze, coś ... kobiecego.

To nie może być Katia, pomyślał, ostrożnie wypuszczając powietrze.

Jej obecność nawet w rzeźni wywęszyłbym z odległości stu metrów.

Chyba że używa tych jaśminowo-gardeniowych perfum wyłącznie w sypialni. Jeśli tak, to siedzę w gównie jaka po samą szyję. Mogła przecież wrócić do domu, wyczuć intruza i zniknąć.

A ja, zostając tutaj, wpadam prosto w pułapkę.

Z drugiej jednak strony, mógł to być tylko strażnik na rutynowym obchodzie. Jeśli tak ...

Shane bezszelestnie otworzył drzwi, wyszedł, zamknął je za sobą i wtopił się w noc niczym cień. Przykucnął w gęstych zaroślach i z kieszeni spodni wyciągnął składany nóż. Jeden krótki ruch kciuka i ostrze wysunęło się, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Nóż nie stanowił dostatecznego uzbrojenia przeciwko karabinom, jakie nosili strażnicy, ale tym akurat Shane specjalnie się nie martwił. Afganistan. .. i Gillie nauczyli go, że dobrze wyszkolony mężczyzna potrafi przeżyć, mając do dyspozycji nóż, ciszę i głowę na karku.

Zimny deszcz bezlitośnie dobierał mu się do skóry. Przenikał przez ubranie i ściekał po ciele. Przyczajony w krzakach Shane rozglądał się na wszystkie strony.

Nic.

Już zaczął się prostować, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zamarł w bezruchu, gotów do natychmiastowego skoku, niczym czający się w zasadzce tygrys.

Jakaś postać wychyliła się zza pobliskiego pnia i ruszyła wprost na niego. Shane mógł ocenić jej rozmiary, ale nic więcej nie udało mu się zobaczyć, poza tym, że intruz trzymał coś w prawej ręce.

A potem, wraz z wiatrem i deszczem doszedł go zapach, tym razem całkiem wyraźny. Zapach, który nawiedzał go nawet w snach.

Shane wyprostował się za nieznaną postacią, ręką przykrył jej usta i pociągnął na ziemię w krzakach.

- Co tutaj robisz, do cholery? - spytał gniewnym, ale stłumionym głosem. - Obiecałaś na mnie czekać!

Spięte ciało Dani rozluźniło się w jego objęciach, gdy tylko dziewczyna uświadomiła sobie, kto ją pochwycił. Jedną ręką dotknęła jego ust. W drugiej trzymała telefon komórkowy.

Shane przytknął aparat do ucha, ale nie zdjął dłoni z ust Dani. - Co jest? - warknął cicho.

W słuchawce rozległ się głos Cassandry: - Natychmiast zabierać się z wyspy.

- Ale ...

- Natychmiast!

20

- Jestem na terenie Harmonii - powiedział Shane do mikrofonu.

- Ostrzeż Bostona i przyskajcie stamtąd - nalegała Cassandra. .

- Jesteś pewna, że on nie jest podwójnym agentem?

- Tak. Dani ci wszystko wytłumaczy. Ruszaj się!

Shane zaklął pod nosem. Przyciągnął Dani bliżej. Mokre ubranie przyłgnęło do jej ciała niczym druga,

zimniejsza skóra. Powoli opuścił rękę:

- Powiedziała, że mi wszystko wyjaśnisz - rzekł cicho. - Nie podnoś jednak głosu. I nie szepcz, bo szept niesie się bardzo daleko.

- Przez ubiegły tydzień Kasatonin miał cały personel pod ścisłą obserwacją:

- O, cholera!

Shane myślał szybko. Nie zauważył, by ktokolwiek śledził Bostona, ale to jeszcze niczego nie gwarantowało. Zwłaszcza jeśli Rosjanin był jakimś cudem zawczasu uprzedzony.

- Jeżeli Bostona śledzono - powiedziała Dani - ludzie Kasatonina mogli nas przyuważyć.

- Albo sfotografować.

- To właśnie powiedział Gillie. Jedno zdjęcie w zupełności wystarczy. Ten bandyta od razu rozpozna każde z nas.

- Zabiorę twardy dysk, a potem ostrzeżę Bostona - zdecydował Shane.

- Cassandra powiedziała, żeby się stąd zabierać bez względu na straty. Helikopter już czeka.

- Nie zgadzam się. Na tym dysku mam mnóstwo surowych danych. Risk Limited nie byłaby w stanie ich zdobyć nawet przez kilka lat.

- Ale ...

Obleczona gumową rękawiczką dłoń mężczyzny ponownie przykryła usta Dani.

- Pamiętasz numer Bostona? - spytał. Skinęła głową.

- Idź do dziury w ogrodzeniu - polecił Shane. - Schowaj się w zaroślach i zadzwoń do niego. Pamiętasz, jak ma brzmieć wiadomość?

Dani przytaknęła. Hasło wryło jej się w mózg: *Au revoir, mon cher*.

- Czekać na mnie w zaroślach w pobliżu ogrodzenia - powiedział jej Shane wprost do ucha. - Jasne?

Ponownie skinęła głową.

- Jeśli usłyszysz jakiś hałas dochodzący z apartamentów Katii- mruknął - to nie czekaj, tylko zwiewaj, aż się będzie za tobą kurzyło.

Ciało dziewczyny zeszywniało w bezgłośnym proteście. Shane wydawał kolejne polecenia:

- Na miejsce spotkania jedź samochodem. Nadaj sygnał i ukryj się o sto metrów od wozu, dopóki helikopter nie wylądaje. Zrozumiałaś?

Dani nawet nie drgnęła.

- Posłuchaj mnie - powiedział Shane. - Umiem przypaść do ziemi na terytorium wroga. A ty nie. Pamiętasz, co powiedział Gillie?

Niechętnie skinęła głową. Ta instrukcja od początku nie przypadła jej do gustu, a teraz wydawała się wręcz nienawistna.

Jeśli wynikną jakieś problemy, słuchaj Shane'a i bez dyskusji wykonuj jego polecenia.

Crowe rozejrzał się dokoła. Nic się nie zmieniło.

Spojrzał na Dani. Trzęsła się pod wpływem chłodu i nadmiaru adrenaliny, ale nie straciła głowy, jej oczy nadal patrzyły czujnie. Przygryzała dolną wargę, aby powstrzymać szcęknięcie zębami.

Było w tym coś nieprawdopodobnie zmysłowego. Shane usiłował odwrócić wzrok, ale mu się to nie udało. Tylko tyle mógł zrobić, aby powstrzymać się od pocałunku, tego ostatniego gorącego przejawu życia, zanim wróci do zimnego, niebezpiecznego apartamentu Katii.

Zaczął wstawać.

Ręce Dani przywarły do jego nadgarstka w bezgłośnym ostrzeżeniu. Nie było QUO_potrzebne. Shane też zauważył ruch, który Dani wcześniej dostrzegła.

Ścieżką szła Katia. W jednej ręce trzymała wielki czarny parasol, a drugą przytrzymywała skraj długiej sukni. Czerwone cekiny naszyte na wieczorową kreację połyskiwały w świetle mijanych latami.

Rosjanka poruszała się bardzo wolno, jak człowiek pijany, któremu zależy na tym, by wyglądać na trzeźwego.

Chyba nie była to mrożona herbata, przeniknęło Shane'owi przez głowę. Gdybym to ja miał wracać do tego pokoju i tego sejfu, stawałbym na głowie, żeby się przedtem znieczulić na amen.

Crowe i Dani zamarli w całkowitym bezruchu. Rosjanka minęła ich w odległości kilku metrów.

Gdyby Shane miał pewność, całkowitą pewność, że uda mu się zabić Katię bez hałasu, zrobiłby to. Wiedział, że tak należało postąpić, choćby po to, by nikt nie odkrył kradzieży danych z jej komputera.

Ale nie mógł uwierzyć, że Caryca nie ma przy sobie obstawy. Za plecami kobiety na ogrodowej ścieżce kładły się liczne cienie, z których każdy mógł być strażnikiem podążającym za swoją zwierzchniczką w dyskretnej odległości.

Ten stary trick, mający na celu wywabienie wroga z ukrycia, stosowano często i od bardzo dawna.

Zwykle przynosił rezultaty.

Wystarczy zamachać przynętą, a potem przyłożyć ościeniem rybie, która zdecyduje się wypłynąć z cienia. Gdyby Shane był sam, podjąłby ryzyko. Ale nie odważył się rzucić na szalę życia Dani.

Przeraziły go własne myśli. Powinien martwić się o twardy dysk, a nie zaprzętać sobie głowę towarzyszącą mu dziewczyną.

Ale faktem pozostaje, że martwię się przede wszystkim o nią, pomyślał, i nie ma co udawać, że jest inaczej. Trzeba uznać ten fakt, zamiast dziwić mu się wciąż na nowo. Zbyt wielu mężczyzn umiera z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

A poza tym, chociaż Katia zasługuje na śmierć, zabicie jej przyniosłoby więcej szkód niż pożytku. Powinien kierować się zasadą, którą wciąż powtarza Cassandra: najcenniejsze są te informacje, o których twój wróg nie wie, że je posiadasz.

Gdybym zabił piękną Katię, Kasatonin doszedłby do wniosku, że przejrzelśmy całą operację, i z miejsca zabrałby się do minimalizacji strat.

Zaczynając od jedwabiu.

Shane odrzucił myśl o zabiciu Rosjanki, chyba że zabójstwo to stałoby się dla nich ostatnią deską ratunku. Zdecydował się na czekanie, okazując cierpliwość człowieka, który spędził całe miesiące na medytacjach wśród lodowatych wiatrów Tybetu.

Stanąwszy pod drzwiami, Katia wypuściła z ręki skraj sukni. Nie spiesząc się, wygrzebała z naszywanej cekinami miniaturowej torebki klucz do apartamentu. Odłożyła parasolkę, aby otworzyć drzwi. Jej lśniące włosy pod wpływem uporczywie padającego deszczu ściemniały i oklapły.

Zakłęła po rosyjsku i ponownie spróbowała otworzyć zamek. Jeszcze przez chwilę szarpała się z kluczem, nieustannie przeklinając, wreszcie udało jej się wejść do środka.

- Szykuj się - powiedział Shane stłumionym głosem. - Jedno jej spojrzenie na kable i twardy dysk i rozpęta się tu piekło.

Za Carycą zamknęły się drzwi.

Shane z uwagą obserwował okna. Rosjanka mignęła mu, gdy przechodziła przez salon, nie zapalwszy światła.

Kilka sekund później była już w sypialni. Włączyła nocną lampkę stojącą przy łóżku. Przez okno widać było tylko ciemną sylwetkę na jasnym tle. Katia rozpięła suwak i wieczorowa kreacja opadła na podłogę. Jednym krokiem wyszła z niej i kopnęła suknię na bok. Stanik i rajstopy powędrowały tą samą drogą.

Dani zerknęła na Shane'a.

Uparcie spoglądał wszędzie z wyjątkiem okna, za którym rozbierała się Rosjanka. Wiedział już, co można znaleźć wewnątrz domku, bardziej martwiło go, na co ewentualnie mogą natknąć się na zewnątrz.

- Widzę, że umiesz zabawiać kobiety - szepnęła mu Dani do ucha. Jeszcze nigdy nie widziałam strip-teasu.

Shane nie wiedział, czy ma się śmiać, czy może raczej udusić dziewczynę za próbę rozśmieszenia go w chwili, gdy powinien być czujny, czujny i jeszcze raz czujny.

Potrząsnął głową i palcami zakrył Dani usta. Przez cienką gumę rękawiczek wyczuł, że wargi ma chłodne, a oddech gorący.

Katia ruszyła do łazienki. Po chwili wynurzyła się stamtąd z dużym ręcznikiem. Energicznie się rżym wytarła, następnie zwinęła go jak turban na mokrych włosach. Wyjęła z szafy płaszcz kąpielowy i przeszła do salonu.

Shane zdjął dłoń z warg Dani. W duchu przygotowywał się do poderwania dziewczyny na nogi i szybkiej ucieczki.

Na pociechę pozostaje nam tylko jedno, pomyślał. Nie kręcą się tu strażnicy, a przynajmniej ja żadnego nie zauważyłem.

Jak na razie.

Ku jego ogromnej uldze Katia nadal nie zapalała światła w salonie. Wygląda na to, że zatankowała dostatecznie dużo i ostre światło razi

ją w oczy, skomentował w duchu.

Ponownie nastawił się na czekanie. Z zapartym tchem śledził każdy ruch Rosjanki. Obserwował, jak przeszła obok komputera, zmierzając do barku z alkoholami. Wzięła z półki szklaneczkę, otworzyła zamrażalnik i szczerą ręką naląła sobie wódki.

Nim szklaneczka zdążyła pokryć się szronem, kobieta jednym haustem pochłonęła całą zawartość.

- Musi mieć problemy z zasypianiem - mruknęła Dani.

- Problemów ma bez liku. Koniec, kropka.

Katia naląła sobie jeszcze jedną solidną porcję i ostrożnie stawiając kroki, przeszła do sypialni. Zbliżywszy się do przesuwanych drzwi, których używał Shane, zatrzymała się nagle, jakby coś przykuło jej uwagę.

Ciężka cholera, pomyślał Shane. Czyżbym zostawił jakieś ślady na tym jej dziewiczym dywanie?
Katia stała w drzwiach. Po chwili odsunęła zasłonę i, trzymając ją w ręku, zapatrzyła się w czarną noc i lejący jak z cebra deszcz. Światło błyskawic na krótkie chwile wydobywało jej twarz z cienia. Skóra Rosjanki przypominała biały marmur, jej oczy lśniły niesamowicie. Amerykanie zamarli. Katia patrzyła prosto na nich. Po chwili Shane uprzytomnił sobie, że kobieta, zapatrzona we własne myśli, niczego wokół siebie nie dostrzega. Wyraz jej twarzy powoli ulegał zmianie. Na wargach wykwitł upiorny uśmiech, na którego widok Dani miała ochotę odkręcić się na pięcie i uciec, gdzie pieprz rośnie. Katia uniosła oszronioną szklaneczkę w pełnym szyderstwa toaście za świat, który tak łatwo daje się skorumpować. A potem przechyliła głowę i wysączyła wódkę do ostatniej lodowatej kropli. Zasłona wysunęła się jej z palców. Kobieta dość niepewnie zrobiła w tył zwrot i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę łóżka. Szklaneczka wysliznęła się z jej rąk i potoczyła po dywanie. Zupełnie jakby miała pod stopami nierówny grunt, Katia dwukrotnie zmieniała kierunek, zanim udało się jej dotrzeć do celu. Padła na łóżko. Światło nocnej lampki, mimo że przyćmione, okazało się zbyt mocne dla jej rozszerzonych alkoholem źrenic. Wyciągnęła rękę do wyłącznika, ale nie mogła nań natrafić. Z kablem poszło jej łatwiej. Wyszarpnęła go z kontaktu. W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, - Niech wszystkie twoje sny okażą się koszmarami - mruknął Shane. Dani zadrżała. - Nawet za milion dolarów nie chciałabym mieć takiego kaca, jaki będzie ją męczył jutro rano - powiedziała. - Musi bardzo tęsknić za swoim demonicznym kochankiem. - Miłość nie jest tu chyba właściwym słowem. W każdym razie ja bym go nie użył ani w stosunku do niej, ani do Kasatonina. - No cóż, prawdę mówiąc, jak na demona żyjącego w grzechu brakuje mu pewnego ... Shane zdławił śmiech, a jego ręka ponownie spoczęła na wargach Dani. - Kobieto - wymruczał - ten twój ostry języczek sprowadzi kiedyś na nas nieszczęście. Spod jego ręki dobył się stłumiony dźwięk. Nie wiedział, czy miał to lwr. nrotest czy zgoda. Ale nie bardzo go to w tym momencie obchodziło. - Potrafisz sama wrócić do dziury w ogrodzeniu? - spytał. Energicznie pokiwała głową. - Idź tam i czekaj na mnie w zrosłach. Ponownie rozległ się stłumiony dźwięk. Shane zignorował gp. - Kiedy już tam dotrzesz - powiedział - daj mi znać, dzwoniąc na komórkę. Jeden sygnał. A jeśli będziesz miała jakieś kłopoty, zadzwoń dwukrotnie albo krzycz do utraty tchu. Przytaknęła. - Idź pod sam płot, Dani. Wszystko, co napotkam po drodze, potraktuję jak wroga. Mógłbym cię zabić i dopiero po fakcie zorientować się, że to ty, a wtedy byłoby już za późno. Rozumiesz? Zadrżała i ponownie przytaknęła. Shane zabrał dłoń z jej ust. - Idź - powiedział cicho. - Dołączę do ciebie, gdy tylko zabiorę twardego dyska. - Cassandra powiedziała ... - zaczęła dziewczyna. Shane ponownie zakrył jej usta. Szybko, ale bardzo uważnie sprawdził całe otoczenie, wyęzając wszystkie zmysły, łącznie z szóstym, który niejednokrotnie ratował mu życie. Niczego nie zauważył, poza karaibską burzą, która szalała wokół nich i zanosilo się, że nie ustanie do rana. Uniósł dłoń. - Idź już! Dani spojrzała mu w oczy i zorientowała się, że tym razem z nim nie wygra. Odeszła.

Shane wtopił się w noc i w srebrzystoczarne strugi deszczu, którymi w ciemnościach otulił się jak płaszczem. Czekał. Bez jednego drgnienia.

W apartamencie KaW nic się nie poruszyło. N a zewnątrz także nie.

Czekał. Cały zamienił się w słuch, "badał" otoczenie wszystkimi zmysłami. Nareszcie pager zawibrował tuż przy jego skórze. Raz. Odmawiając w duchu modlitwę dziękczynną, Shane przeszedł przez patio. Nie potrzebował! Inafzędzi włamywacza. KaW nie udało się zaryglować drzwi.

Starannie wytarł gołe stopy o ponczo i wszedł do środka. Ruszył prosto do komputera. Jedną ręką przyciemnił

ekran, drugą uderzył w pierwszy lepszy klawisz.

Na monitorze natychmiast pojawił się napis informujący, że na twardym dysku nie wystarczyło miejsca na wszystkie wybrane przez niego dokumenty.

Shane cofnął polecenie kopiowania. Zręcznie, bez hałasu, odłączył kable i razem z twardym dyskiem upchnął w

plecaku. Plecak nasiąkł trochę wilgocią, ale nie na tyle, by uszkodzić nośnik.

Na ekranie ponownie pojawił się wygaszacz. Wygimnastykowane postacie łączyły się i rozłączały z regularnością mechanicznego tłoka.

Shane przywrócił jasność ekranu do pierwotnego stanu. Potem otworzył drzwi na patio, wyszedł na zewnątrz i cicho przymknął je za sobą. Ściągnąwszy gumowe rękawiczki, podniósł z ziemi swoje buty i ponczo. Boso przeszedł do najbliższych zarośli i dopiero tam się ubrał.

Z każdą upływającą sekundą coraz bardziej się martwił, że Dani zostanie odkryta, zanim on do niej dołączy. Krople wody i mokre liście ślizgały się po powierzchni poncza, ale w czasie całej drogi piorun uderzył tylko raz. Burza najwyraźniej już się oddalała, pozostawiając po sobie tylko intensywną ulewę.

Shane wyczuł obecność dziewczyny, zanim ją zobaczył. Kuliła się w gęstych krzakach. Wstrząsające nią dreszcze maskowane były drzeniem liści bombardowanych kroplami wody.

Pomimo straszliwej niewygody Dani nie odrywała wzroku od obu kamer. Shane zaszedł ją od tyłu. Kolejny liaz zakrył jej usta dłonią, aby stłumić ewentualny okrzyk zaskoczenia. Kolejny raz jej ciało zeszywniało ze strachu, a potem rozluźniło się, gdy uświadomiła sobie, kto ją dotyka.

Uniósł rękę.

- Ile jeszcze czasu do "okienka"? - rzucił jej wprost do ucha.

- Dziewięć sekund. Masz dysk?

- Tak. Idź prosto do samochodu, ale nie waż się go dotykać.

- A ty?

- Będę o krok za tobą. .

Chwilę później Dani prześliznęła się przez dziurę w ogrodzeniu.

Zgodnie z obietnicą Shane trzymał się tuż zają plecami. Zanim jednak dotarli do samochodu, wyprzedził ją o jakieś trzysta metrów.

Patrzyła, jak Shane z daleka obchodzi samochód. Wszystko wyglądało tak, jak zwykle. Po tej inspekcji mężczyzna ponownie ruszył w jej stronę i zobaczył, że dziewczyna szykuje się właśnie do otworzenia wozu. W rękę trzymała kluczyki.

- Co ... - zaczął.

- Trzymaj się w bezpiecznej odległości.!: wpadła mu w słowo.

- Daj mi te kluczyki - zażądał.

- Nie. Jak to już raz zaznaczyłeś, masz znacznie większe niż ja szanse na przeżycie z tym twardym dyskiem na terytorium wroga. Cofnij się.

Shane toczył ze sobą walkę. Rozum mówił mu, że Dani ma rację. Emocje natomiast jawnie się przeciwko temu buntowały.

Na koniec dyscyplina zwyciężyła.

- Żadnych świateł i żadnych hałasów - ostrzegł.

Zaśmiała się, ale bez przekonania.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecała.

Przeklinając w duchu każdy swój krok, Shane cofnął się i czekał. Dani otworzyła drzwiczki samochodu, a potem zapuściła silnik. Żadna sztuczna błyskawica, żaden grzmot nie rozdarły samochodu na części.

Gdy Shane podbiegł do samochodu, Dani przesiadała się już na miejsce dla pasażera. Bardzo się spieszył, więc wcisnął się za kierownicę w mokrym ponczo i z pakunkiem na plecach, ale drzwi zamknął za sobą bez szmeru.

Ruszył po ciemku. Światła zapalił, dopiero gdy znaleźli się poza terenem hotelu i włączyli się do ruchu na drodze wiodącej w stronę kasyn.

- Czy skontaktowałaś się z Bostonem? - zapytał.

- T-t-tak.

Dopiero teraz zorientował się, że choć nie było zimno, dziewczyna przemarzła do szpiku kości. Włączył ogrzewanie.

Po kilku minutach Dani odetchnęła z ulgą. Ciepło przenikało w głąb jej ciała, wyziębionego przez deszcz, wiatr i lęk.

- Mam nadzieję, że Boston nie zechce na odchodnym zakatrupić Katii - zauważył Shane.

- Dlaczego?

- Z tych samych powodów, dla których ja tego nie zrobiłem. Informacje znajdujące się na tym dysku będą miały znacznie większą wartość, jeśli nikt w Harmonii nie zorientuje się, że je zdobyliśmy.

- No tak.

Dreszcz, który przeniknął ciało Dani, nie był bynajmniej wywołany chłodem.

- Czy często to robisz? - spytała po chwili.

- Zabijam ludzi?

- Tak.

- Nie - odparł. - Mam zabijania po dziurki w nosie, zostało mi to po Afganistanie.

- Czy z tego powodu chciałeś zostać mnichem?

Nie odpowiedział, skupił się na prowadzeniu wozu. Bez względu na to, ile razy skręcał, jak czy zjeżdżał na parkingi przed hotelami czy kasynami, zaden samochód nie wyskakiwał na szosę, żeby popędzić w ślad za nimi.

Shane ruszył ku bocznej drodze. Żadne światła nie pojawiły się w tyle za nimi. Żadne także nie zajaśniały z przodu.

- Czy dlatego? - spytała Dani, jakby od czasu, kiedy postawiła to pytanie, nie upłynęła nawet sekunda.

Zerknął na dziewczynę spod oka.

- Czy twój były mąż cię bił? - spytał chłodno. - Czy dlatego od niego odeszłaś?

Wydała okrzyk zaskoczenia. Na końcu języka miała już uwagę, że Shane nie ma prawa o to pytać, bo to nie jego sprawa, ale uświadomiła sobie, że jego pytanie nie było bardziej niedyskretne niż to, które sama zadała.

- Nie chciałam być wścibska - powiedziała. A po chwili dodała, wyraźnie wymawiając każde słowo: -

Odpowiedź na oba pytania brzmi "tak". Łamanie dobrowolnie złożonych przysięg przychodzi mi równie trudno jak tobie.

- Cieszę się, że rozumiesz, co znaczy dotrzymywać słowa - mruknął Shane.

- Dlaczego?

- Ponieważ będzie cholemie zimno podczas czekania na helikopter.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zobaczysz. Czekaj tu, póki po ciebie nie przyjdę.

Skręcił z drogi w zarośla, zgasił światła, wyłączył silnik i wysiadł.

Przez ścianę deszczu dziewczyna ledwie widziała jego sylwetkę, gdy otwierał bagażnik. A potem zniknął w deszczu i mroku, niosąc elektroniczne urządzenie, którego sygnał miał przywołać śmigłowiec.

W samochodzie robiło się coraz zimniej. Czekając, Dani zastanawiała się, jak długo to jeszcze potrwa. Już teraz wilgotne ubranie niczym zimny plaster kleiło jej się do skóry.

Drzwiczki od strony pasażera otworzyły się. Deszcz i wiatr wpadły do środka.

- Wsiadaj - polecił Shane.

- Ale ...

- Tak, wiem - przerwał jej bezceremonialnie. - Tutaj jest przynajmniej sucho. Ale w pierwszej kolejności właśnie tutaj będą nas szukać.

Dani wygramoliła się z samochodu i ruszyła za Shanem między palmy i krzewy nieustannie zlewane deszczem. Niemal wpadła na niego, gdy zatrzymał się, ukląkł, a potem usiadł na ziemi z plecami opartymi o pień palmy.

Woda ściekała jej z włosów na kark, ale nie zwracała na to uwagi.

Była tak przemoczona, jakby dopiero co wyszła z basenu kąpielowego. Trzęsąc się z zimna, usiadła na ziemi w pobliżu Shane'a, ramionami opasała kolana i mocno przycisnęła je do piersi.

Nie prosiła o ponczo. Zdawała sobie sprawę, że ochrona twardego dysku przed wilgocią jest o wiele ważniejsza niż zapewnienie jej ciepła.

- Cz-czy śmigłowiec m-może latać w-w czasie burzy? - spytała. Jak na razie zęby jej nie szczękały.

Jeszcze nie. Ale niedługo zaczną.

- Latałem już przy gorszej pogodzie - zapewnił ją Shane.

- A j-jak długo b-będziemy na na n-niego czekać?

Shane zmełł w ustach przekleństwo pod adresem bogów, którzy postanowili potorturować go akurat tym, na czym mu zależało najbardziej na świecie, a czego w żaden sposób nie mógł dostać.

A przynajmniej bez złamania przysięgi.

- Zbyt długo - stwierdził z ponurą pewnością. - I jednocześnie nie dość długo.

- T -twoje s-s-słowa brzmią t-tak, jakjed-dna z owych tajemnic z-zen, którą mistrzowie przekazują sswoim uczniom.

- Najpierw cyborg, a teraz tajemnica. Czy mam rozumieć, że zyskuję w twoich oczach?

Dani roześmiała się, nie zwracając uwagi na niewygody. Wsłuchując się w ten śmiech, mężczyzna zastanawiał się, jak długo jeszcze zdoła się powstrzymać przed całowaniem jej, dotykaniem, zbadaniem jedwabistego ciepła jej ciała.

Obawiał się, że nadejdzie czas, gdy będzie miał okazję się o tym przekonać. Już wkrótce. .

Może nawet zbyt wcześnie. Szlag by to trafił!

Szybkim ruchem Shane chwycił za suwak poncza i pociągnął do samego końca, rozpinając okrycie. Otwór wokół szyi okazał się jednak nie dość duży.

Wyjął z kieszeni nóż. Jeden ruch kciuka i wysunęło się ostrze. Stał przeszła przez miękki materiał jak przez masło.

- Co r-robisz? - wyszczękała Dani.

- Miejsce na dwie głowy.

- Ale t-twardy d-dysk ...

- Nic się nie martw - przerwał jej Shane.

Twardy dysk, powtórzył w myśli. Powinien nad tym terminem pomedytować. Z pewnością jest tego wart.

- Chodź no tu - odezwał się do dziewczyny.

Dani nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Uklękła i wcisnęła się pod ponczo. Poczła zapach roślinności i mokrej odzieży i ciepło męskiego ciała. Kombinację wręcz odurzającą. Zapragnęła móc tak siedzieć bez końca i po prostu oddychać.

Niechętnie wysunęła głó'wę przez świeżo powiększony "dekolt" poncza, próbując usadowić się wygodniej.

- Przystań się wiercić i usiądź plecami do mnie - polecił jej Shane. Wykonała polecenie. Od razu poczuła, iż jego ciało otacza ją ze wszystkich stron. Plecami dotykała torsu, po obu stronach miała jego nogi, a ramionami po prostu ją objął.

Na biodrze czuła wyraźny dowód jego pożądania.

- Och - wyrwało się dziewczynie.

Shane niemal się roześmiał.

- Nie bój się - powiedział. - Nie zamierzam cię zgwałcić.

- Wiem. Po prostu poczułam się zaskoczona.

Przez kilka minut tulił Dani do siebie, starając się ją ogrzać.

- Lepiej? - zapytał.

Usta Shane'a znalazły się tak blisko jej ucha, że poczuła ciepło jego oddechu. Dreszcz, który ją w tym momencie przeniknął, nie miał już nic wspólnego z zimnem.

- Tak - odparła, zagryzając dolną wargę. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dwóm ciałom razem jest o wiele cieplej niż tym samym dwóm ciałom oddzielnie.

- Czuję, że się rozgrzałam.

Shane roześmiał się.

Do Dani dotarło, co powiedziała, i o mały włos nie jęknęła. - Nie to miałam na myśli - oświadczyła.

- Wiem.

Położyła mu dłonie na przedramionach. Jego ubranie, wykonane z materiału o specjalnym przeznaczeniu, było w dotyku chłodne, ale on sam - ani trochę.

Dani przesunęła dłońmi po ramionach Shane' a, od nadgarstków do barków i z powrotem. W ciszy zakłócanej tylko pluskiem deszczu wciąż na nowo badała opuszkami palców zarysy bicepsów, jakby chciała w ten sposób oszacować siłę obejmującego ją mężczyzny.

Po raz pierwszy, odkąd były małż nadużył jej zaufania, zauważyła, iż cieszy ją różnica w sile fizycznej między mężczyznami a kobietami. Z wolna zaczęła pieścić rozpychające skórę mięśnie, tak różne od jej własnych.

Pod dotknięciem dłoni dziewczyny ramiona Shane'a napięły się i stwardniały. Przytulił ją mocniej i przedramionami uniósł w delikatnej pieśszczocie miękki ciężar jej piersi.

Przez ciało Dani przeszedł dreszcz pożądania. Poczwała, że stwardniały jej brodawki. Była to reakcja w takim samym stopniu mimowolna, co nie dająca się ukryć erekcja u Shane'a. Mężczyzna pochylił się i przesunął wargami po miękkiej, wilgotnej skórze jej karku. A potem delikatnie posmakował języczkiem.

- Shane? - szepnęła Dani.

- Jestem tutaj.

- Czy to dobry pomysł?

- Nie - odparł. - Chcesz, żebym przestał?

- Nie.

Na chwilę całkowicie znieruchomiał.

- Lepiej, gdy dwa ciała są razem, niż gdy są oddzielnie - powtórzyła jego słowa.

- Ciepłej - poprawił ją.

- To też.

Roześmiał się cicho.

Dziewczyna przyknęła oczy i przechyliła głowę na bok, oferując mu większą powierzchnię do całowania. Jego usta natrafiły na płatek jej ucha. Zlizwał ściekającą z niego kroplę deszczu.

- Mmm, nektar - powiedział.

- Tylko deszcz.

- Po prostu ty.

Jego dłonie prześlizgnęły się po jej brzuchu. Bluzka wciąż była zimna od deszczu, ale ukryte pod wilgotnym materiałem kobiece ciepło przyzywało go syrenim śpiewem, starym jak świat.

Przesunął dłonie wyżej, dotknął piersi. Pragnął sprawdzić twardość brodawek, ale zawahał się.

Wtedy Dani lekko się poruszyła i Shane już nie musiał ze sobą walczyć. Naprężone koniuszki dotknęły jego palców. Dziewczyna wypięła piersi i powolnymi, zmysłowymi ruchami zaczęła się ocierać o jego dłonie.

Zdławił przekleństwo wywołane przyjemnością i żalem. Jej sutki, podobnie jak jego ciało, były pobudzone, twarde, spragnione dotyku.

Znowu się poruszyła i otarła piersiami o jego ręce w niewypowiedzianym błaganiu. Jej palce spoczęły na jego dłoniach, ściskając je nagłaco. Po chwili uniosła ręce.

Przemknęło mu przez głowę, że zmieniła zdanie, ale już po kilku sekundach poczuł, że Dani rozpina bluzkę, a potem umieszczone z przodu haftki biustonosza. Przyciągnęła jego ręce ku swoim nagim piersiom.

Shanem wstrząsnęło najprymitywniejsze pożądanie. Nie pragnął niczego więcej, tylko zerwać z niej resztę ubrania i zatopić się w niej bez reszty.

Czas jest nieodpowiedni, napominał sam siebie. Miejsce również. Za to kobieta właściwa.

Ze zdławionym jękiem Shane wziął to, co Dani oferowała tak szczerze. Pieścił jej piersi, ugniatał brodawki, dopóki nie zaczęła głośno jęczeć z rozkoszy. Każdy dźwięk, jaki z siebie wydawała, wzmagął ból jego spragnionego ciała.

- Czuję bicie twojego serca - powiedział. - Wali mocniej niż deszcz. To mi się podoba.

- Czuję, jak bardzo mnie pragniesz - odparła. - Nigdy nie sądziłam, że jeszcze to kiedyś polubię, ale nie zamierzam przeczyć faktom.

Wygiąwszy się do tyłu, Dani zaczęła się łagodnie kręcić, zwiększając nacisk bioder na wewnętrzną stronę ud Shane'a.

- Ja też cię pragnę - szepnęła schrypniętym głosem. - Nigdy w życiu nie pragnęłam mężczyzny tak, jak teraz pragnę ciebie.

Na mgnienie oka ramiona Shane'a zacisnęły się wokół niej tak mocno, że z trudem mogła oddychać. Trzymał ją z całej siły, wysuwając ku niej biodra. Nagle jednak poluznił uchwyt, wtulił twarz w jej kark i głośno jęknął.

- Czy jest ci niewygodnie? - spytała dziewczyna, odwracając ku niemu głowę. - Mogę się odsunąć.

Shane zamknął jej usta pocałunkiem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do siły jego pragnień.

Palce lekko mu się trzęsły, gdy rozpinał mosiężny guzik jej dzinsów.

Potem wolnym ruchem rozsunął suwak, jego długie palce wśliznęły się pod skąpe majtki dziewczyny.

Dani wydała gardłowy dźwięk i wygięła się w łuk, aby mu ułatwić dostęp do siebie. Shane pieścił ciepłe, gładkie ciało, a potem pocierał twardą grudkę, która wyłoniła się ku niemu z jej kobiecej miękkości.

Dani jęknęła i próbowała się obrócić w jego ramionach. Nie dała rady, zbyt mocno ją trzymał. Sięgnęła ręką za siebie, chcąc go popieścić. Złapał jednak jej palce i przycisnął lekko do biodra.

- Pozwól mi. .. - zaczęła.

- Nie - przerwał jej chrapliwym głosem.

- Chcę cię dotykać.

- Wiem o tym.

- Czy ty nie chcesz ...

Urwała i głośno wciągnęła powietrze, gdy mężczyzna zgłębił śliskie ciepło jej ciała. .

- Do diabła, jasne, że chcę - jęknął Shane. - Ale nie skorzystam.

Dani wrócił zdrowy rozsądek.

- Niech to cholera! - zaklęła gwahownie. - Masz rację. Niczego nie biorę. Mogłabym zająć w ciążę.

Słyszając te słowa, Shane poczuł się jak uskrzydłony. Własna reakcja kompletnie go zaskoczyła.

- Nie zajdziesz - obiecał.

- A co? Prawdziwy harcerz? Zawsze zabezpieczony?

- Nie. Wiążą mnie śluby.

Jego dłoń nadal się poruszała, dostarczając jej cudownych doznań.

- Jakie ... śluby? - Dani z trudem łapała powietrze.

Dłoń Shane'a zagłębiała się i wycofywała w rytmie, który pozbawiał ją wszelkiej kontroli nad sobą.

Dziewczyna zagryzła wargi, powstrzymując krzyk, gdy przepłynęła przez nią fala rozkoszy, jakiej nigdy przedtem nie zaznała.

- Śluby czystości - szepnął jej Shane do ucha.

- Co takiego?

- Przysięgam zachować wstrzemięźliwość przez trzy lata. Ale nie martw się. Tylko jedno z nas będzie tego żałować.

Dani kręciła głową, wstrząśnięta jego słowami i oszałamiającą przyjemnością, jaką jej dawał.

- Chyba żartujesz - wyjąkała.

Nie odpowiedział. Po prostu przykrył usta Dani swoimi i pieścił ją, dopóki nie wygięła się niczym mocno napięty łuk i z drzeniem ciała nie zaczęła się wić.

Wreszcie zmusił się do uwolnienia ust dziewczyny i jej gorącego ciała. Twarz miała mokrą, a on nie wiedział, czy od łez ekstazy, czy może od deszczu. Wiedział tylko, że bez namysłu sprzedałby własną duszę, byle tylko móc tej wilgoci spróbować.

Ale gdyby się przekonał, iż to łzy, złamałby dobrowolnie złożoną przysięgę.

Ostrożnie zdjął plecak, wygramolił się spod poncza i odszedł na bok, by samotnie moknąć na deszczu.

21

Waszyngton Listopad

Zapomnij o tym, perswadowała sobie Dani. To się nie zdarzyło. Minęły już trzy dni, a wciąż jeszcze krew gorącą falą zalewała jej

policzki, ilekroć dziewczyna przypominała sobie, jak zażądała (bo trudno to inaczej określić), by Shane się z nią kochał.

Nic dziwnego, że odszedł, nie oglądając się za siebie, pomyślała.

Właściwie powinien był mnie wystawić na deszcz, żeby ostudzić moje niewczesne zapały.

Ale tego nie zrobił. Przeciwnie. W ciągu kilku minut dał mi więcej, niż dostałam od wszystkich mężczyzn razem wziętych przez całe życie.

Wydruki komputerowe rozpląnęły się i rozmazały przed jej oczyma.

Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spała dłużej niż godzinę czy dwie.

Nie mogła.

Podniosła oczy znad wydruków piętrzących się na biurku i próbowała skupić wzrok na swoim gabinecie, który mieścił się na terenie kampusu uniwersyteckiego. Spojrzenie Dani prześliznęło się po rozpiętych na ramach jedwabiach i rozwieszonych na ścianach gobelinach. Rozmaite materiały, które w ciągu wieków utraciły kolory, w jej oczach wciąż były wibrująco żywe.

Kochała zabytkowe tkaniny. Każda mówiła coś o kulturze, w jakiej powstała. Różne style tkackie, rozmaite techniki stosowane przez rzemieślników czy wreszcie barwniki otrzymane z roślin, mięczaków bądź minerałów były charakterystyczne dla określonych regionów i nigdzie więcej nie występowały.

W gabinecie znalazł się także współczesny włoski szal jedwabny, którego deseń zapożyczono z malowanej płyty klasztoru położonego na Jedwabnym Szlaku. Tuż obok stała szklana szkatuła zawierająca delikatne fragmenty tkaniny bawełnianej, uznanej za bezużyteczną i porzuconej w rozszabrowanych ruinach Anasazi. Współczesne japońskie kimono, zielono-niebiesko-białe, połyskiwało w gablocie ustawionej wzdłuż jednej ze ścian.

Naprzeciwno wisiał gobelin *k'ossu* z późnej epoki Ming, przedstawiający feniksa w locie. Kolory nie wyblakły, były równie żywe jak przed laty. Dani zapłaciła za gobelin równowartość swojej sześciomiesięcznej pensji, a sądziła, że jego prawdziwa wartość jest trzykrotnie wyższa.

Ta kolekcja materiałów śpiewała dziewczynie pieśń o tysiącletniach, w ciągu których kobiety przędły i tkęły;

rozmawiając i śmiejąc się, tworzyły coś, co przeżyło je same, ich dzieci, wnuki, prawnuki ... pieśń o kolejnych

pokoleniach wytwarzających materiały z pojedynczych włókien, tworzących piękno tam, gdzie wcześniej nie istniało nic.

Jak tych kilka chwil na Arubie, przemknęło Dani przez głowę.

Ze znużeniem przetarła oczy i zaczęła się zastanawiać, dlaczego los wciąż na nowo każe jej wybierać niewłaściwych mężczyzn.

Śluby czystości.

Poczuła falę gniewu i wstydu. Gdyby wcześniej mi o tym powiedział, pomyślała, nie wygłupiłabym się wtedy. Niech go cholera!

Wysłałam na kompletną idiotkę:

Powróciła myślami do chwili obecnej. Podczas gdy ona bawiła w tropikach, w Waszyngtonie nastąpiła nowa pora roku. Lodowaty deszcz z Appalachów zmienił miasto w miejsce szare i przesiąknięte wilgocią. Rozpanoszyła się zima, surowa jak tybetański klasztor. Na myśl o mnichach przeszył dziewczynę dreszcz. Jej rozważania przerwał dzwonek telefonu. Z ulgą podniosła słuchawkę, zanim zadzwieczał ponownie.

- Danielle Warren, słucham.

- Wciąż nad tym siedzisz, dziecino?

Głęboki głos Gillespiego spowodował, że Dani z poczuciem winy zerknęła na piętrzący się przed nią stos papierów.

- Robię, co mogę - powiedziała. - Ale tego są całe góry.

_ Pestka w porównaniu z tym, co Shane przywiózł ze sobą. Cassandra i czterech innych tłumaczy siedzą na tyłkach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

_ Czy znaleźli jakieś informacje na temat jedwabiu? - spytała Dani z ożywieniem w głosie.

- Nie.

- Niech to szlag trafi - mruknęła.

- Amen. A co wpadło w twoją sieć uplecioną z entuzjastów zabytkowych tkanin.

_ Nikt nie słyszał, by wystawiono na sprzedaż cenny kawałek hinduskiego, tybetańskiego czy chińskiego jedwabiu. A jeśli słyszał, to nie chce mówić.

- Cholera.

- Czy teraz moja kolej, żeby powiedzieć "amen"?

Gillespie roześmiał się:

- W tej kwestii Shane również miał rację - oświadczył.

- W jakiej kwestii?

_ Powiedział, że bez względu na to, jak bardzo napięta była sytuacja, zawsze umiałś sprowokować go do śmiechu.

Dani zamknęła oczy i próbowała opanować rumieniec, który zalewał jej policzki.

_ Czy wiesz, co on czuł, patrząc, jak uruchamiasz ten cholerny samochód? - spytał Gillespie.

Dani zapało dech, ale powiedziała tylko: - Jakoś niczego po sobie nie pokazał.

- Jesteś cholernie dobrym żołnierzem. Shane nie miał słów zachwytu dla twojej rozwagi i zdolności oceny sytuacji.

- No, no, myślałby kto. Najpewniej z tego właśnie powodu w towarzystwie pana Crowe'a czułam się ustawicznie jak piąte koło u wozu.

Gillespie odchrząknął. A może nawet się roześmiał, Dani nie była tego pewna.

- Czy Bostonowi udało się stamtąd wydostać? - spytała. I

- Zdjęliśmy go przedwczoraj.

Odetchnęła z ulgą.

- To dobrze - powiedziała. - Shane obawiał się, że Boston będzie chciał najpierw załatwić swoje porachunki z Katią.

- Niewiele brakowało - stwierdził Gillespie. - Jego bratu nie poszczyło się, niestety.

- Co takiego?!

- Pamiętasz strażnika z muzeum? Harmonia dorwała się do niego przed nami.

Dziewczyna wbiła wzrok w deszcz za oknem i starała się nie myśleć o niczym.

- Dani? Jesteś tam?

- Tak.

- To dobrze. Wysyłamy ci kolejny pakiet. Daj znać, co o nim myślisz. To ostatnia rzecz, jaką nasi chłopcy wydłubali z Internetu.

Nie zdołała stłumić jęku.

- Przez ostatnie trzy dni nie robiłam nic innego, tylko odpowiadałam na tysiące pytań, opiniowałam setki uwag i sugestii naukowców, handlarzy dziełami sztuki i rozmaitych "agentów" - powiedziała. - A teraz na dokładkę będę miała na głowie jakichś cybermaniaków.

- Szef docenia twoje wysiłki.

- Naprawdę? A czy docenia także fakt, że nie każdy jest w stanie funkcjonować, śpiąc trzy godziny na dobę?

Gillespie roześmiał się.

- No proszę, aja sądziłem, że potraktowaliśmy cię szczególnie delikatnie.

- Było to przed czy po maratonie?

- O jakim maratonie mówisz?

- O moim szkoleniu - uprzejmie wyjaśniła Dani. - Z pewnością pamiętasz nasze trzynastogodzinne pogaduchy przy kawie.

- Shane'a maglowaliśmy tak kiedyś chyba przez dwadzieścia godzin.

- Czy to ma mnie pocieszyć?

- Jeżeli jesteś sadystką, to tak - odparł sierżant beztrąsko.

- Nie jestem sadystką. Ale miej, proszę, na uwadze, że nie jestem również masochistką.

- Doszłaś już do kresu wytrzymałości?

Dani przemyślała to pytanie, westchnęła i ponownie wlepiała wzrok w strugi wody za oknem.

- Chyba jeszcze nie - powiedziała. - Ale wiesz, Gillie, szlag mnie trafia, gdy pomyślę, że podjęliśmy tak wielkie ryzyko na Arubie i wciąż nie mamy pojęcia, ani gdzie ten jedwab się podziewa, ani dlaczego Harmonii

tak na nim zależało!

- Akceptujemy także sensowne domniemania.

- Mam wątpliwości, czy moje będą sensowniejsze niż Shane'a.

- Jego poglądy są typowe dla Wschodu. A twoje nie.

- Dla Wschodu? Chodzi ci o to, że są orientalne?

Sierżant przytaknął.

- Gillie - odezwała się Dani z całkowitym spokojem - czy ty chociaż masz pojęcie, jak trudne zadanie mi przydzielili?

- Nie, oświeć mnie.

- Zażądałeś opracowania nowoczesnej monografii w ciągu trzech dni.

Pomruk, który usłyszała w odpowiedzi, mógł w ostateczności uchodzić za wyraz współczucia.

Doszła do wniosku, że tak właśnie będzie go interpretować.

- Monografie - zaznaczyła dobitnie - pisze się zwykle latami.

- To świetnie, że jesteś taka bystra.

Puściła komplement mimo uszu.

- Moje poprzednie monografie były pisane już po fakcie - ciągnęła. - Po upływie kilkuset lat. A niekiedy tysiący.

Gillespie wydał dźwięk, który wyrażał zdecydowaną zachętę, ale jednocześnie pytanie.

- Sytuacja była statyczna, a nie dynamiczna. Nie musiałam się spieszyć, rozpatrując poszczególne modele, trendy, hipotezy - powiedziała Dani, usiłując -wytłumaczyć, o co jej chodzi.

- Cassandra twierdzi, że jesteś znakomita w tworzeniu modeli. Dlatego tak jej zależy, żebyś to ty analizowała informacje z Harmonii, a także polityczne i ekonomiczne naciski wywierane na Azję, rozpatrywane wariantowo

- zależnie od siły ruchu Wolny Tybet i potęgi Harmonii, z udziałem lub bez poszczególnych jej członków.

- Gillie - odezwała się dziewczyna zmęczonym głosem - jak dotąd moje monografie nie decydowały o niczym życiu lub śmierci.

- A to nie byle jaka różnica, prawda? Uderza do głowy jak najprzedniejsza szkocka.

- Owszem - przyznała. - Tylko co z późniejszym kaczem?

- Spytaj Shane'a. Przez ostatnie kilka dni był zupełnie nie do wytrzymania. W końcu posłałem go do Błękitnych, żeby popracował trochę nad tym całym Parkietem.

- Biedny człowiek.

- Shane?

- Pakit.

- Daruj sobie. Próbuje namówić lamę, żeby zerwał umowę z Risk Limited i wynajął jakąś inną firmę.

- Z jakichś szczególnych powodów?
- Parkiet twierdzi, że Shane utracił ten materiał dwukrotnie - powiedział Gillespie głosem pełnym obrzydzenia.
- Co takiego?
- Raz w Lhasie, gdy zamiast jedwabiu uratował ciebie, a potem na Arubie.
- Przecież nie ma nawet cienia dowodu, że ten jedwab był na Arubie - powiedziała Dani. - Boston zapewnił nas, że Kasatonin przyjechał bez bagażu.
- Parkiet twierdzi, że nie potrafimy dowieść, iż tego jedwabiu nie było na Arubie.
- Cudownie.
- Skoro tak twierdzisz - skwitował Gillespie. - Z naszej perspektywy wygląda jak najprawdziwszy Charlie Foxtrot.
- To powinieneś zobaczyć mój gabinet. Charlie Foxtrot do kwadratu.
Gillespie roześmiał się serdecznie.
- Gdybyś czegoś potrzebowała, kochanie, to dzwoń.
- Potrzebuję więcej czasu!
- Jeżeli praca przez dwadzieścia cztery godziny dziennie nie wystarczy, by wykonać zadanie
- ... to zacznij pracować nocami - sucho zakończyła Dani. - Dzięki, Gillie. Przypomnij mi czasem o jakiejś przysłudze, którą mogłabym ci wyświadczyć. Chwilowo przychodzi mi do głowy tylko posolona kawa. Sierżant sztabowy wciąż jeszcze ryczał ze śmiechu, gdy dziewczyna odkładała słuchawkę. Ku swemu zdziwieniu ona także się uśmiechała. Rozmowa z Gilliem wyraźnie poprawiła jej samopoczucie. To całkiem pozytywny skutek, stwierdziła w duchu. Teraz przyda mi się cała moja energia wewnętrzna. Jej biurko i wszystkie blaty w gabinecie pokryte były stosami dokumentów, katalogów i wycinków prasowych. Niektóre wyciągnięto z komputerowych banków danych, będących własnością Risk Limited. Ale większość materiałów informacyjnych pochodziła z prywatnych zbiorów Dani: katalogów wystaw, programów aukcyjnych, książek, które nigdy nie zostały wydane, i wydawnictw akademickich drukowanych w niewielkich nakładach, za to zawierających informacje niedostępne gdzie indziej.
Przed wyjazdem na Arubę i po powrocie Dani spędzała całe dni na sortowaniu i podsumowywaniu danych. Powoli dochodziła do wniosku, że sama stanowi unikalną wręcz skarbnicę wiedzy i informacji. Obcy ludzie często traktowali jej zainteresowanie zabytkowymi tkaninami jako dziwactwo czy wręcz głupotę. Teraz upewniła się, że i ta pasja może się przydać nie tylko do pisania monografii historycznych. Ona, doktor Warren, ma coś do powiedzenia także w sprawach bieżących czy nawet w kwestiach niepewnej przyszłości. Jej aktualna praca jest ważna nie tylko dla garstki uczonych, ale i dla polityków oraz ludów rozrzuconych po całym świecie.
I dla rozmaitych aferzystów oraz morderców, uzupełniła w duchu. Nawet po miesiącach spędzonych na Jedwabnym Szlaku, gdzie dość swobodnie traktowano prawo, pobyt na Arubie okazał się dla Dani przełomowym doświadczeniem. Różnił się od jej dotychczasowych doświadczeń życiowych, jak ulotka dla turystów od raportu koronera.
Przeciętny turysta zwiedzający Karaiby widział słoneczne plaże i kolorowe światła nocą. A przecież istniała także inna, ciemniejsza strona rzeczywistości, ukryta pod powierzchnią, na którą składał się biały piasek plaży i kolorowe neony Aruby. W tej rzeczywistości ludzie żyli i umierali. Zaprzeczanie istnieniu ciemności oznaczało trywializację dobra, które przecież nie całkiem zanikło.
A my moglibyśmy wnieść tam więcej światła, pomyślała Dani, wyciągając ze stosu kolejny dokument. Kilka obozowych ognisk nie wystarczy do rozjaśnienia ciemności, jakie Harmonia rozciąga wokół siebie. Pozornie na chybił trafił wybrała jeszcze kilka dokumentów. Kiedyś zastanawiała się, czym właściwie się kieruje, wybierając takie a nie inne dane. Ale przestała zaprzętać sobie tym głowę. Przekonała się, że racjonalna część jej umysłu nie zawsze bywa najbardziej użyteczna. Właściwe rozwiązania częstokroć wyłaniały się skądinąd, z miejsc, w których rodził się instynkt.
Pojadę popracować w domu, zdecydowała, upychając papiery do skórzanej torby. Przyrządę sobie zupełne minestrone. Gdy będzie się gotować, puszcze chorały, a potem zajmę się robotą.
Po chwili wahania włożyła do torby pozostałe dokumenty Risk Limited. Odkąd zobaczyła, jak sprawnie Shane posługuje się wytrychem, straciła zaufanie do zamków.
Racjonalna część jej umysłu bagatelizowała niejasne obawy, że Harmonia mogłaby się wdrzeć do jej gabinetu w kampusie, wykraść dokumenty i dowiedzieć się z nich, że ich własne zabezpieczenia antywłamaniowe okazały się gorsze, niż przypuszczano.

Ale intuicja nakazywała zignorować racjonalne wątpliwości i włożyć dokumenty Risk Limited do torby. Poszła za głosem intuicji.

Ktoś zapukał do drzwi i otworzył je, zanim Dani zdążyła się odezwać. Do środka zajrzał Henley Cage, dziekan wydziału archeologii. Ten wysoki, szczupły mężczyzna, absolwent jednego z uniwersytetów

należących do Ivy League, wyraźnie upodobał sobie sztruksowe marynarki z naszytymi na łokcie skórzanymi łatami oraz fryzury, które nie zaliczały się ani do specjalnie długich, ani do krótkich.

- Witaj, piękna nieznajoma - rmciał beztrasko.

- Cześć, Henley - odparła Dani z uśmiechem. - Co się stało?

- Cieszę się, że cię wreszcie złapałem. Szukam ciejuż od kilku dni.

Cage jako szef był wprawdzie tolerancyjny dla podwładnych, ale uważał, że wszystko ma swoje granice. Najwyraźniej Dani je przekroczyła.

- Przykro mi - powiedziała. - Sprawy nabrały tempa.

- Na to wygląda.

Wszedł do środka, rzucając pełne domysłów spojrzenia na stosy książek i artykułów rozsianych po całym pokoju.

Zupełnie odruchowo Dani domknęła torbę z plikiem dokumentów z Risk Limited. Tego rodzaju impuls był w jej przypadku całkowitą nowością. Zrobiło się jej głupio. Czyżby zaczynała cierpieć na manię prześladowczą? .

Cage wziął do ręki jakąś książkę i zaczął przerzucać kartki. - Od kiedy interesujesz się archeologią Karaibów? - spytał.

- Od nigdy. Interesują mnie za to wakacje. Odkąd wyraziłeś zgodę na moją współpracę z Cassandrą Redpath, nie miałam nawet czasu podrapać się w tyłek. .

- A, tak - mruknął Cage. - Pani Redpath. Dałem ci wtedy zielone światło, prawda?

- Owszem.

Cage odłożył książkę o Karaibach i sięgnął po monografię dotyczącą różnic w sposobach skręcania nitki między dzikimi jedwabnikami w Indiach, a wczesnymi udomowionymi odmianami w Chinach sprzed czterech tysięcy lat.

- Jakoś nie potrafie uwierzyć, że ten właśnie temat trzymał cię poza uniwersytetem przez ostatnie kilka tygodni.

Napięcie, zmęczenie i pragnienie, by być już w domu i ugotować supę minestrone sprawiły, że Dani odezwała się bardzo ostro:

- Czy to ma być oficjalne przesłuchanie przez władze wydziału, dziekanie Cage?

- Noo ...

- Bo jeśli tak - przerwała mu chłodno - to pragnę podkreślić, że w tym semestrze mam wyjątkowo mało godzin dydaktycznych.

- Tylko jedno seminarium - zgodził się Cage, po czym dodał: - A nawet tego nie poprowadziłaś w zeszłym tygodniu.

- Zastąpiła mnie pani Samms. Jej wiedza o jedwabniach z okresu renesansu dorównuje mojej lub nawet ją przewyższa.

- Oczywiście - zaczął Cage - ale ...

- A poza tym - ciągnęła Dani, nie dając mu dojść do słowa - zarówno godziny pracy, jak i nadgodziny poświęciłam na zadanie, do którego ty sam mnie rekomendowałeś.

- Dobrze wiesz, że zawsze uważałem cię za jedną z gwiazd wydziału.

- Dziękuję.

- Ale wydawało mi się, że te konsultacje dla Redpath potrwają znacznie krócej. Czy wiesz, kiedy się skończą?

- Gdy tylko będę wiedziała, powiadomię cię w pierwszej kolejności.

- Nie o to pytałem.

- Przykro mi, ale nie mogę podać żadnego terminu.

Zmarszczył brwi .

- Czy uważasz, że zaniedbywanie pracy naukowej na rzecz projektu o nieokreślonym czasie trwania jest dobrym pomysłem? - spytał.

- To, co robię dla pani Redpath, jest ściśle związane z przedmiotem moich badań. Uważam, że ta współpraca stwarza mi wyjątkową szansę rozwoju zawodowego.

- Mówisz jak maturzystka namawiająca tatusia do sfinansowania jej studiów.

Dani ugryzła się w język, przypomniał sobie, że Cage jest przecież jej szefem. A chociaż jego zainteresowania koncentrowały się na brązach z czasów dynastii Ch'in, a jej na azjatyckich tkaninach, często zwracał się do niej z sugestiami czy pytaniami.

- Cassandra Redpath jest znakomita - stwierdziła Dani spokojnie. Praca pod jej kierunkiem stanowi dla mnie niebywałą okazję.

Zmarszczki na czole dziekana pogłębiły się. - Właśnie tego się obawiałem - powiedział.

- To znaczy czego?

- Pani Redpath jest obdarzona ogromną charyzmą. Ale ...

Dani czekała.

- ... ale jej geniusz - Cage ostrożnie dobierał słowa - zmierza niekiedy w niewłaściwym kierunku.

- Nie bardzo rozumiem.

Westchnął.

- Czy mogę mówić szczerze?

- Oczywiście.

- W ciągu ostatnich lat pani Redpath kilkakrotnie udało się narozrabiać. I to zdrowo. Jest uważana za osobę o podejrzanym reputacji, jeśli nie wręcz za renegata.

- Doprawdy? A przez kogo?

Mężczyzna wykonał rękami niezobowiązujący gest. Wyglądał jak człowiek, który wie więcej, niż chce ujawnić.

- Chociaż wyraziłem zgodę na twoją współpracę z Risk Limited kontynuował - nie sądziłem, iż praca dla Redpath zaabsorbuje cię do tego stopnia.

- Ja ... - zaczęła Dani, ale dziekan wpadł jej w słowo.

- Jesteś pracownikiem naukowym. W pierwszym rzędzie masz zobowiązania wobec naszej uczelni.

- Czy były jakieś skargi dotyczące mojej pracy?

Cage milczał.

Dziewczyna poczuła klucie w karku. Nie wiedziała jeszcze, co jest nie w porządku, ale nie miała wątpliwości, że coś nie gra.

- Jeżeli ktoś ma mi coś do zarzucenia - powiedziała, ostrożnie dobierając słowa - chciałabym wiedzieć, kto to jest.

Hanley Cage rzucił jej chłodne spojrzenie.

- Nie ma mowy o żadnych zarzutach - oświadczył. - Nasza przyjacielska pogawędka miała ci tylko przypomnieć, że zostałaś zatrudniona jako nauczyciel akademicki, a nie czcicielka nieco zbrukanego autorytetu pani Redpath.

- Jeśli o to idzie, to nie ma żadnych obaw - odparła Dani, ukazując w uśmiechu dwa rzędy idealnie białych zębów. - Z czczenia autorytetów wyrosłam mniej więcej w tym samym czasie, co z wiary w świętego Mikołaja.

Podniosła torbę i przewiesiła ją sobie przez ramię.

- Zatem wracasz do pracy w pełnym wymiarze godzin?

- Gdy tylko wykonam zadanie, które osobiście mi zleciłeś. Chyba że dostanę na piśmie jakieś inne polecenia.

Nadal się uśmiechając, Dani czekała, aż Cage podsumuje ich "przyjacielską pogawędkę", a wnioski ujmie w oficjalnym oświadczeniu.

Dziekan wzruszył ramionami.

~ Na razie nie będę zwracał głowy tą sprawą radzie wydziału - oznajmił.

- A kiedy się na to zdecydujesz? - spytała.

- Za dziesięć dni wypadają egzaminy końcowe. Bardzo bym nie chciał, aby twoja znakomita reputacja została nieco nadszarpnięta w wyniku niestarannie przygotowanego testu dla studentów.

- Ja równie bardzo bym tego nie chciała - stwierdziła Dani. - Bez względu na to, czym się zajmuję w czasie pracy i poza godzinami, nie zaniedbam moich akademickich obowiązków.

Cage zawałał się, po czym znów wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Dani.

- Wyrzuć to wreszcie z siebie, Henley. Poza protokołem.

- Obowiązki akademickie to pojęcie bardzo szerokie i trudne do zdefiniowania.

- Co oznacza? ..

- Ubiegasz się o stały etat.

- I. ..

_ To moje ostatnie słowo w tej materii - przerwał jej Cage. - Już i tak powiedziałem więcej, niż powinienem.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Dani zamyśliła się. Jej umysł i instynkt tym razem w pełni współgrały ze sobą.

Podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę i wybrała prywatny, bezpośredni numer Redpath.

Nie czekała długo. Cassandra odebrała już po pierwszym sygnale.

- Tak? - odezwała się.

W jej głosie pobrzmiewała irytacja, jakby żyła w jeszcze większym napięciu niż Dani.

_ Wciąż nie wiem, ile kart jest w tej talii - oświadczyła dziewczyna - ale mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że zawiera ona przynajmniej jednego jokera.

- Czekamy na ciebie.

I tak oto rozwiąło się marzenie o domowej zupie minestrone, pomyślała Dani.

22

Seattle Listopad

Poziome pasy w kolorach żółtym, niebieskim i czerwonym kontrastowały z szarym niebem nad zatoką Elliota. Patrząc przez lornetkę

na kolumbijską flagę powiewającą na maszcie "Esmeraidy", Ilja Kasatonin widział je bardzo wyraźnie.

Starannie utrzymane, zielono-białe holowniki Fossa przeciągały sfatygowany kontenerowiec na stanowisko przy doku czterdziestym trzecim.

- Widzisz coś? - dopytywała się Katia.

- Jeszcze nie - odparł Kasatonin.

Pilenkowa kręciła się niespokojnie na tylnym siedzeniu limuzyny.

Nierwowym ruchem wygładziła na swoich smukłych udach kaszmirowy płaszcz. Wolałaby nosić sobole, ale nie chciała zwracać na siebie uwagi. Niechęć Amerykanów do zamieniania zwierząt futerkowych w ciepłe palta wydawała się jej nieracjonalna.

Kasatonin przesunął lornetkę nieco w bok, przepatrując szeregi kontenerów, które czekały na dalszy transport.

Jakieś dwieście metrów od brzegu, po szlakach zarezerwowanych dla statków handlowych i holowników, kręciła się tam i z powrotem niewielka łódź, ciągnąc za sobą haki z przynętą. Prowadził ją uciekinier z Wietnamu nazwiskiem Huang Khe.

Swego czasu był głęboko zakonspirowanym agentem Wietkongu w Sajgonie. Obecnie pracował w tym samym charakterze w Seattle, z tą tylko

różnicą, że raporty składał Kasatoninowi, a nie Ho Szi Minowi. W tej chwili zajęty był tym samym, co jego szef: szukał jednego, ściśle określonego pojemnika. Niełatwe zadanie z uwagi na ogromne ilości identycznie wyglądających potężnych skrzyń, znajdujących się obecnie na wodach

zatoki Elliota.

Huang z uwagą przyglądał się ułożonym w szachownicę porzewiałym stalowym pojemnikom wielkości wagonu towarowego, które umieszczono na pokładzie kolumbijskiego statku. W pierwszej chwili nie dostrzegł

żadnych niebieskich kontenerów oznakowanych czteroliterowym emblematem firmy spedycyjnej z Tajwanu.

Kasatonin również nie dostrzegł nic ciekawego:

- Jest coś? - spytała Katia.

- Cierpliwości, myszko. Jest jeszcze bardzo wcześnie.

Kobieta zacisnęła wargi, ale nie powiedziała ani słowa. Orientowała się, że gdzieś na szlaku działa szpieg Kasatonina, ale nie wiedziała dokładnie, gdzie.

Przednie siedzenie obok kierowcy zajmował Tony Liu. Zgarbiony, wyglądał jak mnich podczas medytacji.

Najmniejszym gestem nie okazał, że słyszy każde słowo wypowiedziane za przydymioną szybą oddzielającego

i kierowcę od siedzących z tyłu Rosjan.

Jak na razie nie dowiedział się niczego pożytecznego. Katia i Kasatonin nie byli nowicjuszami. Zdawali sobie sprawę z możliwości podsłuchu i rozmawiali po rosyjsku. Później zleci tłumaczenie taśmy z nagraniem ich rozmowy.

Człowiek, który był na tyle głupi, by nie dostrzegać oczywistości, nie miał szans na długie życie w świecie Harmonii. A Tony Liu nie zaliczał się do głupców.

- Kontenery - powiedział Kasatonin - to idealne narzędzie dla szmuglerów. Są anonimowe jak jajka w kurniku.

- Właśnie dlatego się kontroluje - zauważyła Katia. - Bo jak inaczej odróżnić komputery od marynowanych warzyw z Azji?
- Nie każdy kontener podlega kontroli.
- Ale mimo to ryzyko. . . .
- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Światowy transport dokonał za nas reszty. Tyle krajów. Tyle wagonów.
- Tylu szpiegów - dodała.

Kasatonin wzruszył ramionami.

- Ze szpiegami jakoś sobie radzimy - stwierdził.
- Gdy ich znajdujemy. A jeśli któremuś udało się prześliznąć?

Nie odpowiedział. Całą uwagę skupił na łódce Wietnamczyka, ledwie teraz widocznej w prześwicie między szeregami kontenerów.

Huang podciągał właśnie linki, jakby znużyło go już łowienie bez naj mniej szych sukcesów. Podeszedł do skrzynki na pokładzie, wyciągnął z niej wielką niebieską szmatę i potrząsnął nią siedmiokrotnie. Następnie wytarł w szmatę ręce i ponownie odłożył do skrzynki.

- Jest tutaj - powiedział Kasatonin po rosyjsku.
- Jesteś pewien? - spytała Katia w tym samym języku.
- Tak.

Przesunęła się ku najbliższemu oknu. Część holownika, którą mogła dostrzec, wyglądała niezwykle elegancko na tle porzdewiałego kontenerowca. Ze smukłego nachylonego komina wałyły kłęby dymu, gdy holowniki zaciągały ogromny statek na miejsce postoju.

Nawet przez przydymione szyby samochodu dawało się odróżnić niebieskie pojemniki na jego pokładzie towarowym. Trzy kontenery znajdowały się tuż za sterówką, cztery dalsze umieszczono w górnym rzędzie części dziobowej.

Wszystkie należały do firmy spedycyjnej podlegającej tongowi "Ziemia i Niebo" Tony'ego Liu.

Kasatonin roześmiał się głośno na samą myśl, co musi się dziać wśród amerykańskich celników.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała Katia.
- Twój pan Liu jest mądrym człowiekiem - odparł Kasatonin po angielsku.
- Oczywiście, że tak. Nie wchodzę w układy z durniami.
- Liu jest mądrzejszy od większości twoich współpracowników - zawyrokował Kasatonin, ponownie przechodząc na rosyjski. - Anglik powiedziałby, że Tony dostarcza celnikom kłopotów płynących z nadmiaru możliwości.

Katia z trudem opanowała chęć uszczyplenia go. - Wyjaśnij mi to jakoś przystępniej - zażądała.

- Amerykańska służba celna dysponuje siecią wywiadowczą obejmującą cały świat. Jej zadaniem jest dyskretne przyglądanie się przesyłkom, zwłaszcza tym, które przybywają z miejsc znanych Jako zagłębia narkotykowe. Na pierwszy plan wysuwa się tu Bangkok.

- Właśnie dlatego nie chciałam, aby te kontenery nadeszły z Bangkoku. Ale ty się uparłeś, żeby zaufać Liu, który z pewnością wie, jak przeschmuglować ten jedwab do Stanów.

- Liu przysłał tym statkiem aż siedem kontenerów. Wszystkie niebieskie. Wszystkie z emblematami tej samej firmy spedycyjnej. - Kasatonin roześmiał się. - Amerykanie będą mieli używanie jak muchy na gównie. - Faktycznie niegłupio - mruknęła Katia. - Tylko on wie, który kontener zawiera kontrabandę.

- My też to wiemy - zauważył Kasatonin.
- Oczywiście. Słono nas ta informacja kpsztowała.
- Właściwie należała nam się bez żadnych dodatkowych opłat.

Katia uśmiechnęła się.

- Trzeba przyznać, że Liu jest cwaniakiem pierwszej wody - stwierdziła. - Nikt w Harmonii nie orientuje się dokładnie, jak funkcjonuje jego szmuglerski system.
- W tym konkretnym przypadku, z wyjątkiem nas.

Kasatonin umilkł i wyteżył wzrok, by odczytać numery identyfikacyjne na krótszych bokach kontenerów. Nie było to łatwe, ale możliwe dzięki potężnej lornetce i stabilnej platformie obserwacyjnej, jaką stanowił samochód.

- Osiem - dziewięć - trzy - trzy - pięć - powiedział po rosyjsku.
- Który to? Gdzie?

Podniecenie i niecierpliwość sprawiły, że głos Katii zabrzmiał piskliwie. Ostateczny cel wydawał jej się niewiarygodnie bliski, niemal na wyciągnięcie ręki. Już wkrótce osiągnie władzę i bogactwo tak wielkie, że

już nic jej nie zagrozi.

Będzie całkowicie bezpieczna. Nareszcie.

- Kontener w górnym rzędzie, zaraz za fokmasztem - powiedział Kasatonin.

- Czy wyładują go w pierwszej kolejności?

- Prawdopodobnie.

Katia zmarszczyła brwi.

- Ja bym umieściła go gdzie indziej.

- Ja też. Celnicy na początku kontroli okazują więcej zapału niż pod koniec roboty.

Kasatonin opuścił lornetkę i spojrzał na Katię. Skrzywiła się.

- Jeśli zgłosimy jakieś zastrzeżenia - powiedziała - zdradzimy się z naszą wiedzą.

Jego milczenie starczało za odpowiedź.

Niczego więcej nie potrzebowała. Oboje zdawali sobie sprawę, że Harmonia to złożona struktura, budowana częściowo na zaufaniu, częściowo na jego braku, a jej równowaga oparta jest na niezmiernie złożonych mechanizmach wewnętrznych.

Szata Buddy była jednak sprawą zbyt ważną, żeby można ją było komukolwiek powierzyć. Wiedza Liu ograniczała się do tego, iż poproszono go o przeszmuglowanie czegoś w zamkniętym szklanym cylindrze. Tylko Katia i Kasatonin wiedzieli, co zawiera pojemnik. Człowiek, który go wykonał i umieścił w nim jedwab, już riie żył.

A przynajmniej tak to sobie Kasatonin zaplanował. Założył, że Liu odkrył lub domyślił się, co zawiera szklany cylinder, tak jak on sam domyślił się, jaką trasą cenny ładunek będzie przerzucany.

- Tyle kłopotów z powodu jednej szmaty - mruknął po rosyjsku.

- Dla ciebie to tylko szmata, dla Kodzimury jednak stanowi skrzyżowanie Całunu Turyńskiego ze Świętym Graalem.

- Brednie.

- Gdyby ludzie nie byli durkami, to jaki los przypadłby nam w udziale? - zauważyła Katia.

- Bylibyśmy martwi albo klepalibyśmy biedę, co zresztą na jedno wychodzi.

Roześmiała się.

- Zaczął się wyładunek - mruknął Kasatonin. Jego spojrzenie podążyło ku portowemu nabrzeżu.

Suwnica bramowa gładko podtoczyła się na właściwą pozycję. „Długonogie” ośmiokołowe transportery kontenerowe zgromadziły się na dole jak rój gigantycznej szarańczy. Na dany sygnał stalowe "owady" oczyszczą cały statek z ładunku.

Katia zastukała w okno oddzielające ją od Tony' ego Liu i kierowcy. Szyba opuściła się. Chmura dymu przeniknęła do luksusowo urządzonej części dla pasażerów. Chińczyk mógł sprawiać wrażenie absolutnie niewzruszonego, ale od godziny palił mocne azjatyckie papierosy, jednego za drugim.

Kobieta opuściła przyciemnioną boczną szybę cadillaca. - Katia - ostrzegawczo rzucił Kasatonin.

- Nie mogę znieść chińskiego tytoniu - odparła po rosyjsku. - A poza tym w pobliżu nie ma żywej duszy.

Do samochodu wdarł się zimny wiatr wiejący od strony zatoki. "Esmeraida" znajdowała się w odległości niespełna stu metrów. Z parkingu firmy spedycyjnej statek widać było tylko częściowo, niektóre jego partie kryły się za kolumnami ustawionych jeden na drugim kolorowych kontenerów.

- Który jest nasz? - spytała Katia Uu po angielsku.

- Ten po drugiej stronie, tuż za sterówką.

- A jak ukryto kapsułę?

Liu zakasłał cicho, opuścił boczną szybę i splunął przez okno. Katia z trudem zdołała ukryć obrzydzenie. Zachowanie tego człowieka było obraźliwe bardziej niż zwykle.

- W ryżu - odparł Chińczyk. - W worku tajskiego ryżu odmiany basmati.

- Czy to nie wyda się podejrzanе? - drążyła Rosjanka. - Przecież Amerykanie sami eksportują ryż.

Liu uśmiechnął się.

- Basmati to ulubiony gatunek tutejszych smakoszy. W kontenerze jest dwieście worków.

- A ten szklany cylinder? Też tu jest? - spytał Kasatonin. .

- Tak.

- Szkło jest bardzo kruche.

- Proszę się nie martwić, panie Kasatonin. Znam się na swojej robocie.

_ Oczywiście - pośpiesznie wtrąciła Katia. - Jeśli idzie o szmugiel, pańska firma nie ma sobie równych.

Nie było to pochlebstwo, a zwyczajne stwierdzenie faktu. Chińczyk podziękował nieznacznym skinieniem głowy.

- Bardziej martwią mnie szpieczy niż kruchość szkła - powiedziała Rosjanka.

Tony Liu wciągnął powietrze przez szparę między przednimi zębami. Była to oznaka irytacji.

- Członkowie tongu "Ziemia i Niebo" odznaczają się wielką lojalnością - oświadczył.

Katia wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku.

- Nie chciałam dyskredytować pańskiego tongu - powiedziała pojednawczo. - Z drugiej jednak strony, wszyscy, jak tu siedzimy, jesteśmy dorośli i wiemy, że w naszym fachu lojalność zawsze można kupić. W szparze między zębami Chińczyka znowu zaświstało powietrze. Kobieta uśmiechnęła się i cofnęła rękę.

Zmechanizowana armia ruszyła do pracy przy "Esmeraidzie". Rozładunek przebiegał w szybkim tempie.

Suwnica bramowa przeniosła na brzeg trzy kontenery zza sterówki i łagodnie opuściła je na ziemię.

Ekipa pracująca na dziobie wydawała się mniej sprawna. Pierwszy z czterech kontenerów, opatrzony numerami osiem-dziewięć-trzy-trzydzieć, wciąż wisiał w powietrzu, gdy granatowy helikopter z rykiem silnika

wdarł się nad zatokę Elliota. Maszyna przeleciała wzdłuż "Esmeraidy", zawisła na chwilę nieruchomo,

po czym wróciła do stosu kontenerów, które jeszcze przed chwilą znajdowały się za sterówką.

Jednocześnie zza parkanu otaczającego parking rozległo się wycie syren. Trzy samochody przemknęły obok zaskoczonych strażników i wjechały na terminal kontenerowy.

Z piskiem opon i wyciem syren lawirowały między ciągnikami i stosami pojemników wyładowanych z "Esmeraidy".

Gdy mijaly cadillaca, Katia odchyliła się do tyłu, aby nikt jej nie zobaczył. Oznakowania pędzących wozów nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Przez ciało-Rosjanki przepłynęła taka porcja adrenaliny, że aż nią zatrzęsło.

- Amerykańska służba celna - zauważyła ponuro.

Operator suwnicy zaczął opuszczać cenny kontener prosto w ramiona celników Stanów Zjednoczonych.

Liu obserwował tę scenę z całkowitą obojętnością. Jego kierowca rozsiadł się wygodnie na przednim siedzeniu i drzemał, naciągnawszy czapkę na twarz.

- Co to jest? - spytała Katia po angielsku. Liu wyciągnął rękę i poklepał ją po policzku.

- Zgodnie z oczekiwaniem, służba celna Stanów Zjednoczonych odparł.

- O czym pan mówi?

- Proszę wszystko uważnie obserwować - powiedział. - Wiele się pan nauczy.

Z tymi słowami odwrócił się do nich tyłem, by móc przyglądać się całemu zajściu.

Kasatonin wykonał gwałtowny ruch w stronę Chińczyka, ale Katia szybkim gestem powstrzymała swego kochanka.

- Czekaj - rzuciła po rosyjsku.

- Jeśli nas zdradził ... - wycodził.

- Wtedy go zabijesz - dokończyła.

- Wtedy może już być za późno.

- Na to, żeby umrzeć, czas zawsze się znajdzie.

Kasatonin obserwował nabrzeże spod przymrużonych powiek. Podobnie jak ekipa dokerów, celnicy działali nadzwyczaj sprawnie.

Z samochodów wyskoczyło kilkunastu agentów w granatowych kombinezonach, uzbrojonych w karabiny i pistolety. W jednej chwili obstawili cały teren.

Przyjechały kolejne samochody. Oddzielnymi ciężarówkami przybyły dwie jednostki z psami. Zwierzęta i ich przewodnicy zeskoczyli na ziemię. Owczarki niemieckie szarpały się na smyczach, podniecone i chętne do pracy.

Katia spojrzała na Tony'ego Liu.

Chińczyk był spokojny niczym kwiat lotosu. Patrzył, jak kontener ze współczesnym ryżem i zażytkowym jedwabiem odbywa powietrzną drogę na ląd. Pojemnik powoli zbliżał się do ziemi, a po całym nabrzeżu kręcili się agenci.

Kasatonin złapał za klapy beżowego garnituru Liu.

- Przerwij wyładunek, ty głupcze - warknął. - Kontener, z kapsułą jeszcze nie dotknął amerykańskiej ziemi.

Celnicy nie mają żadnego prawa, by go przeszukać!

Zaskoczenie ustąpiło miejsca wściekłości, gdy Chińczyk uświadomił sobie, że Kasatonin wie, w którym kontenerze znajduje się jedwab.

Rosjanin brutalnie potrząsał małym człowieczkiem.

- Tak, głupcze, wiemy, gdzie to jest - oznajmił. - Przerwij wyładunek, zanim będzie za późno!

Liu uśmiechnął się, ukazując pożółkłe od nikotyny zęby.

- Głupiec? To nie ja - powiedział. - Jeśli cierpliwie poczekacie, przekonacie się o tym na własne oczy.

- Jeśli stracimy tę kapsułę, będziesz martwym głupcem. Uu roześmiał się jeszcze serdeczniej.

- Ilja - wtrąciła się Katia. - Spójrz!

Nie wypuszczając z rąk śmiejącego się Chińczyka, Kasatonin odwrócił się i wyjrzał przez otwarte okno. Zespoły celników zajęły się trzema niebieskimi kontenerami, które stały już na ziemi. Załoga "Esmeraldy" i gromada dokerów z ciekawością śledzili to, co działo się na nabrzeżu. Jeden z agentów łomem zerwał pieczęcie z kontenera. Cienkie metalowe taśmy nie stawiały oporu.

Gdy dwaj mężczyźni otworzyli drzwi, jeden z psów rzucił się na stojące na samym froncie tekturowe pudło i rozszarpał je. Z powstałej dziury wyleciały plastikowe torebki i rozsypały się po ziemi.

Dwa psy rzuciły się teraz na torebki, rozdzierając je zębami. Zanim przewodnicy zdolali odciągnąć zwierzęta, w powietrze uniosła się chmura białego pyłu.

Wokół rozsypanego ładunku zebrali się celnicy i robotnicy portowi.

Helikopter wylądował nieopodal. Pęd powietrza wywołany obracaniem się śmigła wzbil biały proszek jeszcze wyżej, a plastikowe torebki rozniósł po całym terenie.

Z warczeniem i ujadaniem psy rozrywały kolejne opakowania. Wszyscy z wyjątkiem przewodników usuwali się im z drogi. Wiele torebek wpadło do wody między burtą "Esmeraldy" a nabrzeżem.

Liu zanosił się od śmiechu.

- Z czego się pan śmieje? - spytała Katia. - Spotkało nas straszne nieszczęście!

Chińczyk dalej się śmiał i tylko potrząsał głową.

_ Te psy - wysapał wreszcie - są tak świetnie wyszkolone, że gdy tylko poczują szczyptę heroiny, kompletnie tracą rozum.

Rosjanka spojrzała na Chińczyka takim wzrokiem, jakby i on, idąc za przykładem psów, właśnie postradał zmysły.

_ Kontener esiem - dziewięć - trzy - trzy - pięć - odezwał się nagle Kasatonin. - Katiu, patrz!

Przedstawienie na przystani zyskiwało coraz szerszą widownię, przyciągając uwagę załóg z innych statków. Operator suwnicy nie przerywał rozładunku. Niebieski kontener pięć-dziewięć-trzy-trzy-pięć skończył właśnie powietrzną podróż i teraz ostrożnie opuszczano go na ziemię.

Kilku pracowników portowych zdołało się wyrwać z tłumu zgromadzonego wokół pierwszych trzech pojemników. Podeszli do świeżo wylądowanego kontenera, w którym znajdował się zabytkowy jedwab. Transporter błyskawicznie podniósł kontener z ziemi i opuścił nabrzeże. Łudząco przypominał mamę kangurzycę, której młode ciekawie wygląda z torby na świat.

Chwilę później zniknął za wysokim na trzy piętra składowiskiem kontenerów. Kasatonin puścił kłapy Liu. •

- Mały cwaniak - mruknął z uznaniem. - Ile heroiny poszło przy tym na straty?

- Kilogram.

Chińczyk zachichotał, nie odrywając wzroku od przedstawienia, które osobiście zaaranżował.

- Z tej odległości wyglądało to na znacznie więcej niż kilogram zauważyła Katia.

- Heroina była silnie zanieczyszczona - wyjaśnił Liu. - Psy reagują wyłącznie na zapach. Nie potrafią rozpoznać jakości towaru.

Ostentacyjnie odwrócił się w stronę Rosjanina i rzucił mu badawcze spojrzenie.

- A więc nie ufa mi pan? - odezwał się, zasysając powietrze przez szparę w zębach. - Nasyła na mnie szpiegów?

- Oczywiście - odparł Kasatonin stanowczo. - Ta kapsuła ma ogromną wartość.

- Chińska Republika Ludowa wyznaczyła za nią wysoką nagrodę zgodził się Liu. - Ale postanowiłem jej nie przyjąć.

Kasatonin nie odpowiedział.

- Kto z mojego tongu sprzedał panu tę informację? - spokojnym głosem zapytał Chińczyk.

Rosjanin wzruszył ramionami.

- Przekazanie mi tej wiadomości wyjdzie panu na korzyść - zauważył Liu. - Jeśli panu udało się kupić tę tajemnicę, inni również mogą to zrobić.

- Powiedz mu - mruknęła Katia. - Ma rację.

Kasatonin nie wahał się dłużej. Czekał tylko na sygnał od swojej szefowej, bo już wcześniej przedyskutowali taką ewentualność.

Lepiej niech Liu osobiście odwali brudną robotę. Członkowie Harmonii mogą się poczuć zaniepokojeni, jeśli dojdą do wniosku, że groźny Rosjanin zagraża im bezpośrednio.

- Ricky Po - odparł. - Przypuszczam, że to pański likwidator, pański główny stróż "prawa" w Bangkoku.

Liu skinął głową. Na jego twarzy pojawił się ledwie zauważalny wyraz rozczarowania.

- Ricky - powiedział Chińczyk ze smutkiem. - Owszem, jest moim likwidatorem. Teraz będę miał tylko

kłopot ze ściągnięciem kogoś z Hongkongu, żeby go zabić.

- Mogę coś zorganizować, jeśli pan sobie życzy - zaproponował Kasatonin.

- Dziękuję, ale nie skorzystam.

- Niech pan robi, co pan chce, byle on umarł. Każdy, kto sprzedaje sekrety za marne dziesięć tysięcy dolarów kanadyjskich, jest durniem.

- Zabiłby pan zdrajcę, którego osobiście pan przekupił? - mruknął Liu.

- Jak pan słusznie zauważył, jeśli jeden człowiek może coś kupić, to samo może kupić i drugi.

Chińczyk zerknął na Katię.

- Pani likwidator musi mieć w żyłach choć odrobinę chińskiej krwi, skoro instynktownie rozumie, że bezwzględność jest rzeczą konieczną. Czy pani mu ufa?

Katia uśmiechnęła się do kochanka.

- Ach, mój likwidator - mruknęła. - Oczywiście, że mu ufam. To jedyny spośród znanych mi ludzi, który jest równie bezlitosny jak ja.

Nadal się uśmiechała, gdy Liu odwrócił się i powiedział coś do kierowcy we własnym języku.

Po chwili limuzyna odjechała, zostawiając za sobą chaos.

23

Jadąc taksówką do waszyngtońskiej siedziby Risk Limited w Georgetown, Dani zaczęła się zastanawiać, czy słusznie podejrzewa Henleya. Niewykluczone, że dziekan zachował się po prostu jak zwyczajny idiota, który musi "przypomnieć podwładnym dyscyplinie pracy, bo bez tego nie potrafi żyć.

Ale pamięć niebezpieczeństw, jakie czyhały na nią w Lhasie i na Arubie, wciąż była świeża i dziewczyna nie mogła wyzbyć się uczucia, że wokół niej dzieje się znacznie więcej, niż można by sądzić, widząc spokojną powierzchnię.

Przy ścieżce prowadzącej w głąb posesji pracowało dwóch ogrodników. Metodycznie przykrywali grządki kwiatowe na pół zamrożonym nawozem. Dani przyjrzała się im. Obaj mężczyźni nosili miniaturowe słuchawki,

które, jak wytłumaczył jej Gillespie, były połączone z krótkofalówkami.

W zasięgu ręki jednego z ogrodników znajdował się częściowo ukryty uzi. Upchnięto go między bardziej tradycyjnymi narzędziami ogrodniczymi.

Czy poprzednio to miejsce było równie pilnie strzeżone, tylko ja tego nie dostrzegłam? - zastanawiała się Dani,

idąc w kierunku wejścia. Prawdopodobnie tak, stwierdziła. Sześć tygodni temu nie zauważyłabym po prostu ani

broni, ani słuchawek. A ogrodnicy byliby najzwyklejszymi pod słońcem ogrodnikami sadzącymi cebulki tulipanów, aby mogły zakwitnąć na wiosnę.

Ogrodnicy przyjrzeni się dziewczynie dyskretnie, ale bardzo uważnie:

Uprzejmie ich pozdrowiła.

Jeden z nich odpowiedział jej nieznacznym uśmiechem. Drugi powiedział coś cicho do ukrytego mikrofonu.

Cassandra Redpath otworzyła drzwi, zanim Dani zdążyła nacisnąć dzwonek.

- Wejść - powiedziała. - Gillie przygotowuje herbatę w pokoju konferencyjnym. Tam porozmawiamy.

- Herbatę z masłem jaka?

Redpath skrzywiła się, słysząc pełne nadziei pytanie Dani, i zamknęła za przybyłą drzwi.

- Będąc dyplomata, musiałam próbować mnóstwa rozmaitych egzotycznych "delikatesów" - mruknęła, potrząsając głową. - Herbata z masłem jaka należy do najgorszych paskudztw, zjakimi się w życiu zetknęłam.

- Zamieniłabym ją na odrobinę zupy minestrone - rzuciła Dani w rozmarzemu.

Rudowłosa kobieta uśmiechnęła się.

- Ja też miałam na nią ochotę. Razem z Gilliem ugotowaliśmy minestrone dziś rano. Jestem pewna, że trochę zostało.

- A znajdą się może chorały gregoriańskie do kompletu?

- Chcesz odseparować się na chwilę od ffi.wiata?

- Tak - przyznała dziewczyna otwarcie.

- Da się zrobić.

- Co za szczęście.

- Większości ludzi do szczęścia trzeba czegoś więcej - zauważyła starsza kobieta, prowadząc Dani w głąb domu.

- Lhasa miała oczyszczający wpływ na moje pątrzeby - stwierdziła dziewczyna sucho. - Coraz większą wagę

przywiązuję do wążachnia kwiatów i robię to przy każdej nadarzającej się okazji.

Przeszły przez ostatni z ogólnodostępnych pokoi. Specjalnie skonstruowane drzwi zamknęły się za nimi.

- Jesteśmy poza zasięgiem jakiegokolwiek podsłuchu - odezwała się Redpath. - Mów, co się stało.

- Pamiętasz Henleya Cage'a?

- Tak. Był jednym z moich najambitniejszych studentów, a jednocześnie odznaczał się niezbyt dużym zacięciem naukowym. Teraz jest dziekanem twojego wydziału. Zgodził się, abyś na jakiś czas oddała swoją wiedzę na nasz użytek.

- Zmienił zdanie.

Redpath odwróciła się i spojrzała na Dani bystrzymi zielonymi oczyma. Dziewczyna odniosła wrażenie, że została

prześwietlona szmaragdowym laserem.

- Poza protokołem - zaznaczyła. - Henley zagroził, że jeśli będę upierała się przy współpracy z tobą, zaniehbując

uczelniane obowiązki, mogę nie uzyskać stałego etatu.

Cassandra pokręciła głową. Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczona.

- A kiedy poprosiłam go o polecenie na piśmie - ciągnęła Dani wykręcił się sianem.

Redpath wciąż kręciła głową, bezustannie spacerując po pokoju.

Dziewczyna chodziła za nią krok w krok.

- Wiedziałam, że Henley nie darzy mnie specjalną sympatią, ale nie przypuszczałam, że jest mi wrogi - stwierdziła

na koniec Cassandra.

- Wydaje mi się, że nie w tym rzecz - odparła Dani. - Im więcej o tym myślę, tym bardziej skłaniam się do wniosku, że Henley działa na czyjeś polecenie, a nie z własnej inicjatywy.

- Ciekawe - zauważyła Redpath, przystając przy zamkniętych drzwiach. - Dlaczego tak sądzisz?

- Henley dużo pracował w Xi'an i w środkowych Chinach - wyjaśniła Dani. - Ma rozległe kontakty w

ministerstwie kultury w Pekinie. Zabiega o to, by być z nimi w jak najlepszych stosunkach, gdyż praktycznie cała

jego praca badawcza jest uzależniona od dobrej woli tamtejszych urzędników.

- Nie można również wykluczyć, że zaczęłam cierpieć na manię prześladowczą - dodała po chwili.

- Nawet maniacy z urojeniami ...

- ... miewają prawdziwych wrogów - dokończyła Dani sucho. W strząsnęła nią dreszcz. - Wychodząc z pracy, zabrałam wszystkie dokumenty Risk Limited.

Redpath spojrzała na bladą, napiętą twarz młodszej kobiety.

- Jeszcze nie jest za późno, Dani. Możesz zostawić tutaj te papiery, wrócić na uniwersytet i powiedzieć Henleyowi, że łuski spadły ci z oczu i dostrzegłaś światło prawdy.

Dziewczyna wolno pokręciła głową.

- To, co ujrzałam, to nie było światło - szepnęła. Redpath łagodnie dotknęła ramienia Dani.

- Przemysł to bardzo dokładnie - powiedziała. - Byłaś dla nas ogromną pomocą, ale sytuacja stała się naprawdę niebezpieczna.

- Czy stało się coś złego? Chodzi o Shane'a? - dopytywała się Dani. - Czy z nim wszystko w porządku?

- Tak, jest w sąsiednim pokoju - odparła Redpath. Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- Już się bałam, że znowu pojechał do Lhasy albo na Arubę, albo w jakieś inne, jeszcze gorsze miejsce - powiedziała. - Nawet nie wiedziałabym, gdzie jest, gdyby znalazł się w niebezpieczeństwie lub został ranny

...

W spólczucie zmiękczyło rysy starszej kobiety.

- Shane pracuje nad plikami Harmonii. Sprawdza każdy nowy pomysł hakerów usiłujących złamać kody - poinformowała. - Prawie w ogóle nie sypia. Nie oczekuj od niego zbyt wiele.

Twarc Dani stała się nieprzenikniona.

- Dlaczego miałabym czegośkolwiek od niego oczekiwać? - spytała.

- To tylko moje domysły, nic więcej - odparła Cassandra. - W takim nastroju jeszcze Shane' a nie widzieliśmy, ani Gillie, ani ja. - A czy święci miewają nastroje? - spytała Dani z goryczą.

- Shane nie jest świętym.

- Miałabyś duże trudności ze znalezieniem przekonujących dowodów.

Redpath uśmiechnęła się, lecz prawie natychmiast spoważniała. - Więc tak sprawy wyglądają.

Zastanawiałam się nad tym. Dani milczała.

- Nie wiem, czy to cokolwiek pomoże - powiedziała Cassandraale Gillie nosił się z zamiarem zabrania

Shane' a do siłowni i dania mu dobrze w kość.

- Będzie miał pełne ręce roboty.

- Obaj będą mieli.

Dziewczynie udało się rozciągnąć wargi w uśmiechu.

- Mniejsza z tym. Przeżyłam już gorS2ie pomyłki niż Shane Crowe.

- Wiesz na pewno, że to pomyłka?

- Nie, ale w jego pojęciu ja nią jestem.

Zapadła cisza. Redpath zastanawiała się, co powiedzieć.

- W starym świecie - odezwała się wreszcie, starannie dobierając słowa - w świecie, który z wolna pozostaje za nami, wojownicy i kobiety chadzali różnymi drogami. Jednak ta tradycja powoli staje się przeszłością. W dzisiejszych czasach bywają kobiety, które chcą iść na wojnę u boku ukochanych mężczyzn. Mężczyźni tego nienawidzą, ale ... wzruszyła ramionami. - Wszyscy sięjakoś dostosowujemy. Z tym tylko, że czasami bywa to bolesne.

Dani spojrzała na Cassandrę i uzmysłowiła sobie, jak wiele w niej życia i energii nawet po trudnych doświadczeniach ostatnich dni. Tkwiącą w niej siłę witalną można było niemal dotknąć ręką.

Charyzma, pomyślała dziewczyna. Co do tego Henley miał rację. Za to nie mógł się bardziej mylić w odniesieniu do całej reszty.

- Co się stało? - spytała Dani. - I nie próbuj mi wmawiać, że nic.

- Kasatonin usiłował wymienić życie Gillespiego na moją zgodę na tajną współpracę z Harmonią.

- Co takiego? Kiedy?

- Gdy byliście na Arubie. Przyłapał mnie samą na ulicy. Rozmawialiśmy, a w tym czasie jego ludzie próbowali zabić Gilliego w Miami.

- Mój Boże!

- Gillie zajął się tamtymi bandziorami. Ajedyną przyczyną, dla której ja jeszcze żyję - dodała Redpath - jest to, że Kasatonin nie uwierzył, iż naprawdę jestem tak bezbronna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

Dźwięk, który mógł być równie dobrze śmiechem, jak przekleństwem, stanowił jedyną odpowiedź Dani.

- Katię spotkało podobne szczęście - powiedziała po chwili. - Shane bez trudu mógł ją zabić.

- Mówił nam o tym. Cieszę się, że tego nie zrobił. Tak dla jego dobra, jak i dla naszego. To, co znalazł w jej sejfie, sprawiło, że nabrała w jego oczach ludzkiego wymiaru. Zagubione dziecko ...

Głos Redpath zamarł. Wolno potrząsnęła głową.

- Jeśli o mnie idzie, to Shane ograniczył się do informacji, że nie znalazł tam jedwabiu - oświadczyła Dani.

- Chronił cię. W sejfie Katii nie ma nic budującego.

Podczas gdy dziewczyna przetrawiała te słowa, Redpath otworzyła drzwi do sali konferencyjnej i gestem zaprosiła ją do środka.

Pomieszczenie wyraźnie różniło się charakterem od prywatnej biblioteki Redpath. Wprawdzie i tu było mnóstwo książek, ale na pierwszy plan wysuwało się sześć terminali komputerowych, dwukrotnie więcej aparatów telefonicznych oraz inne urządzenia elektroniczne, których przeznaczenia nie dawało się tak od razu odgadnąć. Rozstawione były po całej sali, a poszczególne stanowiska oddzielono cienkimi przepierzeniami.

Dani ukradkiem spojrzała na Shane'a.

Siedział plecami do niej. Na uszach miał słuchawki podobne do tych, jakich używają kontrolerzy ruchu powietrznego: lekkie, wygodne, wysokiej jakości.

Wpatrywał się w ekran usiany rozmaitymi liczbami, symbolami i literami. Patrzył nań z taką intensywnością, jakby zamierzał złamać kod wyłącznie za pomocą siły woli.

- Czy ktoś ma ochotę na zupę minestrone? - spytała Redpath. Gillespie podniósł wzrok znad stosu wydruków. Tuż obok niego stał elegancki srebrny serwis do herbaty i talerzyki z ciasteczkami.

Sierżant wydawał się podenerwowany i jednocześnie znużony, jak człowiek, który za dużo widział w życiu chciwości, głupoty, bólu i śmierci.

- Nie, dziękuję - powiedział - ale zadzwonię do kuchni.

- Sama się tym zajmę - odparła Redpath.

Shane ani na moment nie oderwał wzroku od ekranu. Zaszifrowane informacje spoglądały na niego oczami tysięcy martwych ludzi.

Nacisnął kilka klawiszy. Cursor przybrał postać malutkiego niebieskiego globusa, który zaczął szybko wirować. Sygnalizował w ten sposób operatorowi, że komputer pracuje, chociaż na ekranie nie widać żadnych rezultatów.

- Dani przekazano właśnie zawołane groźby, "przesyłkę" od Chińskiej Republiki Ludowej - poinformowała Redpath.

Shane odwrócił się. Obrzucił dziewczynę baczny spojrzeniem, jakby chciał się przekonać, że na pewno nic się jej nie stało. Następnie przeniósł wzrok na starszą kobietę.

- Czy wiesz o Arubie? - spytał. Redpath zerknęła na Dani.

- Henley widział w moim gabinecie książkę o Karaibach - rzekła dziewczyna. - Powiedziałam mu, że szukam atrakcyjnego miejsca na urlop.

- Kupił to? - dopytywał się Shane.

- Odniosłam wrażenie, że tak. Po mojej odpowiedzi zaczął wertować monografię na temat jedwabników.

Shane przeniósł spojrzenie na Gillespiego.

- Nic tu nie ma, kolego - powiedział sierżant. - Nawet najmniejszej wzmianki, że, ty czy Dani zostaliście zidentyfikowani na Arubie.

- Ale ktoś w komunistycznych Chinach wiedział o udziale Dani w tej sprawie - powiedział Shane na pozór obojętnie. .

- Lhasa - podsunęła Redpath.

_ Może i tak. Ale nie można wykluczyć kogoś, kto mieszka znacznie bliżej domu.

- Nie podejrzewam Henleya Cage'a - oświadczyła Redpath.

_ Jest o wiele bardziej prawdopodobnym źródłem przecieku niż Błękitni - odparł Shane. - Przyjrzę mu się, i to bardzo dokładnie.

Redpath i Gillespie wymienili spojrzenia, które były zrozumiałe wyłącznie dla nich dwojga.

- Nie ty - oświadczyła szefowa. - Zlecę to Walkerowi.

- Dobrze - zgodził się Shane.

_ Mam nadzieję, że przyniosłaś ze sobą jakieś ubrania - zwrócił się do Dani. - Zostajesz tutaj. Gdybyś chciała wyjść na zewnątrz, to tylko

z obstawą.

Nie czekając na odpowiedź, wrócił do komputera. Niebieski globus wciąż wirował: elektronowy mózg nieprzerwanie trzymał się nad rozszyfrowaniem pliku.

- Są jakieś postępy? - spytała Redpath. Odpowiedzi udzielił jej Gillespie.

_ To sowiecki kod. Jakiś relikw z zimnej wojny. Cholemy trudny do złamania.

- A co na to nasi hakerzy?

_ Nic, co można by powtórzyć. Wieszają psy na programie dekodującym, który zakosili z centralnego komputera Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Wirujący globus zatrzymał się.

Na ekranie pojawiła się bezsensowna mieszanina liter i symboli.

_ No i gówno - zaopiniował Shane. - To tyle, jeśli idzie o wersję dziewiątą.

_ Właśnie nadesłali przez modem wersję dziesiątą - obwieścił Gillespie. - Ten sam plik, punkt dziesiąty. Powiedzieli, że może zadziałać w odniesieniu do kilku zbiorów, ale z pewnością nie do wszystkich.

Cwana dziwka z tej Katii.

Shane nacisnął kilka klawiszy. Czekał.

Mały niebieski globus ponownie zawirował, gdy komputer zaczął się wgrzać w permutacje i kombinacje nowej instrukcji dekodującej.

Po chwili na ekranie pojawiło się dwadzieścia linii znaków, na oko zupełnie bezsensownych.

Shane przyjrzał się im uważnie, podświetlił wszystko i, wcisnąwszy odpowiedni klawisz, zażądał tłumaczenia.

Ekran wypełnił się czytelnymi słowami i zdaniem.

- Bingo - rzekł cicho Shane.

Gillespie zerwał się na równe nogi, podbiegł do Crowe'a i wbił spojrzenie w ekran.

- Pięćdziesiąt jeden z głowy, zostało jeszcze sto trzydzieści - odczytał Shane na głos.

- Co to znaczy? - spytała Redpath.

- Trafne pytanie - mruknął Gillespie.

- Jakiś rodzaj memorandum - podsunął Shalie.

Redpath i Dani podeszły jednocześnie i popatrzyły na ekran. Ujrzały cały szereg akronimów, skrótów i liczb.

- Równie dobrze mogłoby dalej być po rosyjsku - warknął Shane. Chwycił najbliższą słuchawkę i przycisnął guzik interkomu.

- Front i centrum - rzekł. - Mamy dla was jeszcze coś.

Po dobrej chwili do pokoju wszedł Boston. Dani spojrziała na niego. Wyglądał, jakby w ciągu kilku dni postarzał się o całe lata.

- Było mi bardzo przykro, gdy dowiedziałam się o ... twoim bracie - powiedziała dziewczyna.

Słyszając ton jej głosu, Boston zrozumiał, że nie były to tylko grzecznościowe kondolencje. Naprawdę mu współczuła.

- Dziękuję - odparł cicho. - Mój brat będzie pomszczony. Patrząc na niego, Dani nie miała co do tego żadnych wątpliwości. - Czy coś z tego rozumiesz? - spytał Shane.

Arubijczyk pochylił się nad ekranem i przez chwilę wpatrywał się w sekwencje liter i cyfr.

- Tak - powiedział i wskazał dwa zapisy: AA491 oraz AR-MIA.,

- Oznaczają codzienny rejs samolotu American Airlines z Aruby do Miami - oznajmił.

- Jesteś pewien? - dopytywał się Shane.

- Wielokrotnie odwoziłem ludzi na ten właśnie lot.

- A co z resztą?

Boston przejechał kursorem przez cały dokument.

- Caryca w takiej formie dawała mi listy gości, gdy trzeba było wyjeżdżać na powitanie przybywających mafiosów.

Shane wrócił kursorem do początku dokumentu i jeszcze raz szybko przejrzał całość.

- Harmonogram podróży - stwierdził. - Nie, raczej kilka różnych tras. Odczytał głośno numery lotów, literowe kody przewoźników i portów lotniczych: harmonogramy podróży dla dziesięciu osób.

- Dwóch leci z Moskwy Aeroflotem - podsumował. - Po jednym z Rzymu, Paryża i Londynu. W Nowym Jorku mają przesiadkę na linie wewnętrzne.

Redpath i Gillespie spojrzeli po sobie, ale żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

_ Kolejna trójka przybywa do Miami z trzech różnych miejsc na Karaibach - ciągnął Shane. - W dalszą podróż udają się już wspólnie.

Wskazał dziesiątą pozycję dokumentu. Skróty niewiele mu mówiły, nie znał ich.

_ ANA 511 - "odczytał na głos. - Czy ktoś je rozpoznaje?

_ AU Nippon Airlines - powiedziała Dani, zanim Boston zdążył się odezwać.

_ Faktycznie - rzekł Shane., Potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić umysł. - Sam powinienem być o tym pomyśleć.

- Powinieneś raczej pomyśleć o odpoczynku - zauważyła Redpath.

Puścił jej słowa mimo uszu.

_ Wszystkie podróże zaplanowano na ten sam dzień - stwierdziła Dani. - Wszyscy jednocześnie znajdują się w powietrzu.

_ Zgadza się, ale dlaczego? - zastanawiał się Shane. Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć.

- Boston? - spytała Redpath.

- Nie mam pojęcia. Bardzo mi przykro.

Arubijczyk wpatrywał się w ekran komputera z taką intensywnością, jakby chciał samą tylko żądzą odwetu skłonić widniejące tam cyfry i akronimy do wyjawienia swych tajemnic.

_ Ktoś, kto ma dostęp do systemu rezerwacyjnego linii lotniczych, mógłby nam powiedzieć, kim są ci pasażerowie, dokąd lecą i kiedy znajdują się u celu podróży - orzekł Shane.

- Już się za to biorę - odparł Gillespie.

Podszedł do innego komputera, skopiował plik i wybrał numer telefoniczny.

_ Dobrze - powiedział po chwili do słuchawki. - Wysyłam.

Kilka uderzeń w klawisze i dziesięć harmonogramów podróży pomknęło do innego komputera, jednego z wielu w sieci Risk Limited.

Shane wywołał następny dokument. Na ekranie pojawiła się istna abrakadabra. PonoWl'lie uruchomił dziesiątą wersję programu dekodującego.

Malutki globus znowu zawirował wokół własnej osi.

_ Boston - odezwała się Redpath. - Spróbuj odpocząć. Może jesteś głodny? W kuchni podgrzewają zupę minestrone dla Dani. Starczy jej i dla ciebie.

- Gdybym był potrzebny ... - zaczął Arubijczyk.

_ Zawołamy cię - przerwał mu Shane zaskakująco łagodnym głosem. - A póki co, odpoczywaj.

Boston kiwnął głową i opuścił pokój.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o jedwabiu podczas mojej nieobecności? - spytała Redpath.

- Nie było cię raptem kilka minut - odparł Shane.

Spojrzała na niego spod w półprzymkniętych powiek. .

- Następnym razem sam możesz pofatygować się do drzwi - powiedziała.

- Z chęcią, ale pod warunkiem, że z drugiej strony będzie stał Kasatonin - odparował.

- Wykluczone, tego gagatka zarezerwowałem dla siebie - oświadczył Gillespie. - Nie zapomnij o tym, kolego.

Shane popatrzył na ciemnoskórego mężczyznę i uznał, że na ten temat lepiej z nim nie dyskutować.

- Nie ma nawet wzmianki o jedwabiu w żadnym dokumencie, który udało nam się odczytać - powiedział sierżant.

- Zaczynam podejrzewać, że tliła operacja jest prowadzona z jego inicjatywy - mruknął Shane. - A on zwykle pracuje w pojedynkę.

- W takim razie spróbuj się wczuć w sytuację. Powinieneś ją dobrze rozumieć - rzuciła Dani bez zastanowienia.

- To znaczy? - chłodno spytał Shane.

- Mówiłeś przecież, że wolisz pracować sam. Co byś zrobił, będąc na miejscu Kasatonina?

- Szlag by mnie trafiał na samą myśl, że miałbytn przekazać ten jedwab Tony'emu Liu.

- Jednak zrobiłbyś to, gdyby nie było innego sposobu wywiezienia go z Chin - wtrąciła Redpath.

Shane wzruszył ramionami.

- Ale przez cały czas patrzyłbym temu parszywemu sukinsynowi na ręce - mruknął.

- I to jest największy problem ludzi marginesu - powiedziała Redpath. - Jeden mały krok poza granice wyznaczone prawem i już można polegać wyłącznie na sobie.

- Dziwne, że ta cała Harmonia jeszcze się nie rozpadła - zauważyła Dani.

- Katia - powiedział Shane.

- Albo Kasatonin - poprawiła go Redpath. - Propozycja, którą mi złożył była dwuznaczna i prowokująca, łagodniej się już tego nie da określić.

Gillespie wydał mrozący krew w żyłach okrzyk, który byłby o wiele bardziej na miejscu, gdyby rozległ się podczas jednej z bitew toczonych w górach Szkocji.

Zaskoczona Dani zwróciła się w jego stronę:

_ Mamy ich! - obwieścił sierżant wpatrzony w ekran swojego komputera.

- Gdzie? - dopytywał się Shane.

_ Seattle. Pakować manatki, dziewczęta i chłopcy. Wybieramy się na polowanie.

_ Dani nigdzie nie jedzie - sprzeciwił się Shane. - Zostaje tutaj, pod strażą.

_ Ani mi się śni. Przemyśl to jeszcze raz - zaprotestowała dziewczyna.

- Nie ma takiej potrzeby ..

_ Do diabła z tobą. Nadal jestem jedyną osobą, która potrafi rozpoznać ten jedwab dotykiem, nawet po ciemku. Czy wziąłeś to pod uwagę?

Pamiętał o tym, ale cała sytuacja nie przypadła mu do gustu. Ani trochę.

24

- Wydrukuj to, Gillie - poleciła Redpath, zażegnując tymi słowy kłótnię między Dani a Shanem. - Notatki Katii również.

Wkrótce drukarka laserowa zaczęła wypluwać kolejne kartki papieru. Rudowłosa kobieta kręciła się koło niej niczym orzeł pikujący nad tarliskiem. Wyrwała wydruki z maszyny, ledwie ukazało się tyle białego papieru, że miała za co chwycić.

Shane stał za jej plecami i przeglądał kolejne arkusze.

_ Idę o zakład, że agent w biurze podróży kocha Katię nad życie - powiedział, gdy ukazało się kilka kartek. .

_ Dlaczego? - spytała Dani, usiłując coś dojrzeć pod jego ramieniem.

Nozdrza Crowe'a rozdeły się, gdy pochwycił jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny zapach dziewczyny. Przez jego ciało przepłynęła fala gorąca w szalonej reakcji, której nie był w stanie kontrolować. Jeszcze dwa dni, pomyślał.

_ Bo na rezerwacjach w pierwszej klasie jest lepsza prowizja - wyjaśnił.

_ Te nazwiska nic mi nie mówią - stwierdziła Dani.

- Fałszywe dokumenty - mruknęła Redpath, wyraźnie nieobecna duchem. - Bez listy Katii nie mielibyśmy pojęcia, kto, co, kiedy i dlaczego. .

- Facet, który ma rezerwację na jutrzejszy lot Alitalia z Mediolanu, to prawdopodobnie Spagnolini - zawyrokował Shane. - Chociaż podróżuje pod nazwiskiem Buttafucio.

Redpath, chwyciła notatnik. Ustaliwszy na podstawie kraju pochodzenia, kto podługuje się tym czy innym fałszywym nazwiskiem, zaczęła szybko coś pisać.

- Ale co ... - Shane umilkł, gdy uniosła w górę rękę, nakazując ciszę. Po chwili zaczęła czytać zestawienie, które właśnie skończyła.

- Szefer Union Corse podróżuje jako Jacques Revel. Leci bezpośrednio z Marsylii - zakomunikowała. Shane spojrział na oświetloną mapę świata podzieloną na strefy czasowe.

- Za cztery godziny znajdzie się w powietrzu - powiedział.

- Katia i Kasatonin już wyruszyli -.: stwierdziła Cassandra, zerkając na zegarek - podobnie jak nasz przyjaciel Tony Liu, który wylądował ... jedną chwileczkę ... tak, mam go, wylądował w Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej.

- Vancouver? Sądziłem, że oni wszyscy wybierają się do Seattle zdziwił się Shane.

- A owszem. Tony Liu przesiadł się na linię wahadłową i poleciał tam dziś rano - odparła Redpath.

- Wszystko pasuje - dorzucił Gillespie. - Właśnie się dowiedzieliśmy, że Liu dostał kanadyjski paszport. Korzysta z niego podczas wizyt w tutejszym oddziale swojej vancouverkiej firmy. Wygląda na to, że odwiedza również Stany.

- Czy nie figuruje przypadkiem na czarnej liście Urzędu Cel i Imigracji? - spytał Shane.

- Tak mi się wydawało - odparł ciemnoskóry mężczyzna. - Każę komuś zbadać tę sprawę.

- Spokojnie - rzuciła Redpath. - Pozwólmy tej rybie swobodnie popływać, zanim zagnamy ją do sieci.

- Jesteśmy całkiem spokojni, szefie.

Gillespie ujął słuchawkę i zaczął wystukiwać numer.

- Gdzie w tej chwili przebywa Uu? - spytała Dani. Redpath przeglądała rozszyfrowane memorandum Katii.

- Hotel Four Seasons w Seattle - powiedziała. - Zdobycie tego dokumentu było wspaniałą robotą, Shane.

- Co do mnie, wolałbym mieć w garści jedwab, a całe to memorandum mogłoby piekło pochłonąć - odparł.

- Mamy się teraz czego uchwycić, a to znacznie więcej, niż mieliśmy przed chwilą.

Dani zerknęła ponad ramieniem rudowłosej kobiety.

- Wszyscy zatrzymają się w Four Seasons? - spytała.

- Na to wygląda - rzuciła w odpowiedzi Redpath. - Na pojutrze zaplanowano prywatne przyjęcie z obiadem w jednej z tamtejszych najlepszych restauracji.

- Szczyt Nad Stekiem w Seattle - podsumowała Dani sucho. - Ciekawe, czy zamierzają poprzegryzać sobie nawzajem gardła, popijając wódką z sokiem pomidorowym?

Shane roześmiał się głośno i chrapliwie.

- Takie nadzieje są chyba zbyt wygórowane - oświadczył Gillespie, podnosząc się z miejsca. - To największy w dziejach międzynarodowy zjazd przywódców wielkich organizacji przestępczych. Szczyt appalaski z 1957 roku wydaje się przy tym tutaj spotkaniem absolwentów szkoły średniej.

- Ale to oznacza, że będziemy się co krok potykać o agentów FBI zauważył Shane.

- Mało prawdopodobne - odparł Gillespie. - To jedna z tych cholernych spraw, które gubią się gdzieś po drodze między Biurem a Agencją. - Innymi słowy - wtrąciła Redpath - skoro nikt nie jest za to odpowiedzialny, nikogo to nie obchodzi.

- Masz, niestety, rację - mruknął Gillespie.

- To i tak bez znaczenia. Ci faceci nie będą przecież siedzieć na workach z heroiną ani używać uzi jako środka perswazji.

- Wszyscy, co do jednego, będą czyści jak paznokcie chirurga - zgodził się z nią Gillespie. - Ot, po prostu, spotkanie przedstawicieli różnych organizacji, którzy w ciszy i spokoju wymienią poglądy na temat szans i perspektyw światowej przestępczości. Koniec, kropka

- Podróżują pod fałszywymi nazwiskami - zauważył Shane. W Stanach Zjednoczonych traktowane jest to jako przestępstwo.

- Tylko drobne pogwałcenie przepisów imigracyjnych - cynicznie skorygował Gillespie. - Zapłacą po dziesięć tysięcy dolarów kaucji i po krzyku.

- Czy to oznacza, że nie możemy nic zrobić? - spytała Dani.

- Oficjalnie nie - odparła Redpath. - Członków Harmonii w żaden sposób nie da się powiązać z brudną robotą, już dawno się od niej odcięli.

Shane powrócił do studiowania listy.

- Jukio Kojama - odezwał się po chwili. - Czy pod tym nazwiskiem nie kryje się przypadkiem Kodzamura?

- Nie - odparła Redpath. - Tamten podróżuje jako Fudziwara. Zaczęli dopasowywać do siebie poszczególne nazwiska i porównywać rozkłady lotów.

- Chyba startuje poza konkursem - zawyrokował na koniec Shane. - Myślisz, że posługuje się własnym nazwiskiem?

- Gillie, sprawdź, proszę, czy w naszych spisach figuruje niejaki Jukio Kojama - poleciła Redpath. Ciemnoskóry mężczyzna wszedł do bazy danych, uruchomił operację poszukiwania i czekał.

- Na czarnych listach go nie ma - odrzekł po jakimś czasie.

- Fascynujące - mruknęła. - Szukaj dalej.

Szczupłe palce Gillespiego ponownie zatańczyły po klawiaturze.

- Jest - zakomunikował po chwili. - W otwartym zbiorze.

Redpath czekała na dalszy ciąg.

Gillespie cicho gwizdnął.

- To nie byle kto, szefie.

Shane spojrział na komputer sierżanta.

- Japoński przemysłowiec - odczytał z ekranu.

- Prezes jednego z największych finansowych towarzystw holdingowych w Tokio. Był doradcą kilku ostatnich premierów - uzupełnił Gillespie.

- Co ten wzór cnót obywatelskich robi w towarzystwie ludzi z Harmonii? - spytał Shane.

- Dobre pytanie - skomentowała Redpath. - Gillie? Sierżant ponownie pochylił się nad klawiaturą. Kilka minut później podniósł wzrok.

- Nie ma jeszcze żadnej odpowiedzi, szefie. Arcybiskup Canterbury wygląda przy tym Kojamie jak zawodowy morderca.

- N o cóż, nie możemy tak po prostu siedzieć na tyłkach i kręcić palcami młynka - stwierdził ze złością Shane. - Jeśli nie odzyskamy tego jedwabiu, przyjdzie nam słono za to zapłacić. A płacić będą musieli wszyscy, od pasterzy tybetańskich począwszy, na Risk Limited skończywszy!

Nieskrywany gniew w jego głosie wstrząsnął Dani. Cyborg zen, jakiego pamiętała z Aruby, gdzieś zniknął, a na jego miejsce pojawił się mężczyzna, który wyraźnie panuje nad sobą ostatkiem sił.

Wtedy w Lhasie uratował mnie, a nie jedwab, pomyślała dziewczyna ze smutkiem. Czy dlatego teraz ledwie może na mnie patrzeć?

- Mam znajomego, który chyba mógłby nam pomóc - oświadczyła bez zastanowienia.

- Kogo? - spytał Shane. - Nie chodzi chyba o to kurze łajno, Henleya?

- Nie. Ale ten człowiek zajmuje szczególnie odpowiedzialne stanowisko.

- Dyskrecja nie jest dla nas niczym nowym - wtrąciła Redpath. Dziewczyna wyciągnęła z torebki notes, znalazła numer i podeszła do najbliższego telefonu.

Pozostali robili, co mogli, by niczego nie słyszeć.

Przyciszonym głosem Dani porozmawiała z kilkoma osobami, trochę dłużej z kimś jeszcze, wreszcie odłożyła słuchawkę.

- Tom spotka się ze mną w Renwick Gallery za piętnaście minut obwieściła.

- Prędzej mi kaktus ... - zaczął Shane.

- Idź z nią - przerwał mu sierżant sztabowy. - Ja się zaopiekuję Cassandrą.

Shane nie wyglądał na uszczęśliwionego, ale nie protestował. Gdy Gillespie wzywał samochód, zwrócił się do Dani.

- Jesteś pewna, że on nie mógłby przyjść tutaj? - zapytał.

- Całkowicie. Ma za to dobry powód, by znaleźć się w Renwick.

- Chodźmy więc. Czas działa na korzyść Harmonii.

- Zaczekaj no - powiedziała Dani. - Tym razem ja dowodzę. Tom jest moim przyjacielem, wiem, jak z nim rozmawiać.

Przez moment myślała, że Shane odmówi. Ale uśmiechnął się tylko i gestem wskazał drzwi.

- Proszę przodem, szefowo.

Dani czułaby się o wiele lepiej, gdyby nie szczerzył tak mocno zębów.

Szybko przeszła obok niego. Ledwie jednak znaleźli się w samochodzie, Shane ponownie zasypał ją pytaniami. .

- Najmocniej przepraszam - przerwał mu kierowca - ale Cassandra powiedziała, że pani Warren ma dostać trochę zupy, zanim upieczesz ją na wolnym ognili.

- Zupy? Jakiej zupy? O czym ty, Walker, mówisz, do ciężkiej cholery? - dopytywał się Shane.

- O zupie minestrone - odparł kierowca z kamienną twarzą. - Jest w pojemniku koło twojego siedzenia.

- Czy nie miałaś przypadkiem zająć się Henleyem?

- Gillie zlecił to komuś innemu. Komuś, kto podczas strzelania do tarczy nie wyciąga stu procent trafień.

Dani uważniej przyjrzała się mężczyźnie za kierownicą. Miał w uchu słuchawkę krótkofalówki.

Zastanowiła się, czy pod jego paznokciami nie tkwią nadal resztki błota.

Kubek parującej zupy minestrone pojawił się przed samym jej nosem. Niemal ginał w ogromnej dłoni

Shane'a.

- Jedz - polecił zwięźle. - Wyglądasz, jak nieboszczyk na urlopie.

- Wielkie dzięki. Tobie także nic nie brakuje.

- Jedz, bo zacznę cię karmić.

- Obiecanki, cacanki - mruknęła Dani.

A potem zaczęła jeść zupę z szybkością i zachłannością, które dowodziły niezbitości, iż przywykła do pochłaniania gorących płynów w zimnych namiotach na terenie Tybetu.

Shane patrzył na dziewczynę i starał się nie wspominać smaku jej ust.

A gdy skończyła jeść i zaczęła oblizywać plastikową łyżkę, raptownie odwrócił wzrok.

- Kim jest ten twój znajomy? - spytał.

Zamiast udzielić odpowiedzi, Dani nadal oblizywała łyżkę.

- Nie jestem pewna, czy powinienesz ze mną jechać - powiedziała wreszcie. - Tom wcale o to nie prosił.

- Zabójcy nie zwracają sobie głowy takimi drobiazgami. Przez jakiś czas słychać było wyłącznie odgłos pocierania plastikiem o plastik, gdy Daru. wyskrobywała z kubka ostatnie smakowite krople, które potem starannie zlizywała z łyżki.

Shane starał się na nią nie patrzeć. Było to jednak równie łatwe, jak zgubienie własnego cienia w słoneczny dzień.

- Dani ... - zaczął. Jego głos brzmiał szorstko i chrapliwie.

- Tom - przerwała mu pośpiesznie. - Nazywaj go "Tom".

- Tom, a dalej?

- Tomohide Noda - wyjawiała Dani niechętnie.

Samochód stanął przed wejściem do Renwick Gallery. Budynek, w którym się mieściła, przylegający do Blair House, wyglądał jak źle ubrany strażnik. Naprzeciwko, po drugiej stronie Pennsylvania Avenue widniał Biały Dom.

Wiktoriański gmach z czerwonego piaskowca był cichy jak pusty kościół. Renwick Gallery szczyciła się tym, iż organizowała najbardziej ezoteryczne ekspozycje w całej stolicy. Przychodzili tu tylko najbardziej zapaleni zwolennicy sztuk i rzemiosł tajemnych ... i osobnicy zmarznięci lub bezdomni.

- Nikt za nami nie jechał - poinformował Walker.

- Podnieś szybę - polecił Shane.

Kulodoporny szklany ekran podjechał do góry, oddzielając kierowcę od pasażerów na tylnym siedzeniu.

- O co chodzi? - spytał bez ogródek Shane. - Boisz się, że zacznę przesłuchiwać twojego kumpla z bronią w ręku?

- Jesteś w takim nastroju, że możesz wybuchnąć. A Tom nie zasłużył na twój gniew, nawet jeśli masz prawo do mnie mieć pretensje.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Najpierw przeze mnie straciłeś jedwab, a potem ja ... - zaczerwieniła się. - Twoje cholerne śluby, niech to szlag trafi. W każdym razie, nie wyładowuj się na nim.

- Nie jestem zły na ciebie ani z powodu jedwabiu, ani z powodu ślubów czystości.

- Zapomnij o tym, co powiedziałam.

- Jasna sprawa - odparł Shane sucho. - Nastąpi to w momencie, gdy przestanę oddychać.

Zagryzła dolną wargę. Crowe odwrócił wzrok.

- Posłuchaj - odezwał się po chwili. - Pozwolę ci kierować rozmową z dobrym starym Tomem, ale nie pozwolę ci iść tam samej. Umowa stoi?

Zawahała się, a potem westchnęła.

- Zgoda.

- Poczekaj, aż cię wypuszczę z samochodu.

Wysiadł, obszedł samochód i otworzył dziewczynie drzwi.

Jego wełniana marynarka była rozpięta. Gdy szli w stronę budynku powiał silny wiatr. W jednej chwili odsłonił kaburę pistoletu i szelki, które nosił Shane.

Dani ponownie naszły wątpliwości, czy miała prawo narażać Tomohide'a Nodę na potencjalne niebezpieczeństwo.

Ale było już za późno, by zmienić decyzję. Shane otwierał właśnie drzwi do foyer. Dziewczyna weszła do środka.

- Zacznijmy od głównej galerii - powiedziała głośno i wyraźnie.

- Jak sobie życzysz, kochanie.

Dani przytuliła się do swego towarzysza.

- I pamiętaj - dodała ściszym głosem. - Tom, godząc się na to spotkanie wyświadcza mi osobistą

przysługę. Nikt mu nie płaci za nadstawianie karku.

Shane zastanawiał się w duchu, na ile osobista jest ta przysługa, ale był za mądry, by dzielić się z dziewczyną swoimi wątpliwościami.

- Dobry przyjaciel? - spytał rzeczowo.

- Jest attache kulturalnym ambasady japońskiej. Znam go od lat.

Spojrzenie ciemnych oczu Shane'a omiotło szeregi szklanych gablot ustawionych w głównej galerii. Każda gablota zawierała pracownice haftowane jedwabne kimono. Różnorodność kolorów była wprost oszałamiająca.

Wysoka jakość wykonania sprawiła, że rzemiosło przerodziło się w sztukę.

- Czy to on zorganizował tę wystawę? - spytał Shane.

- Tak. To najlepsza kolekcja współczesnych jedwabów japońskich, którą pozwolono wywieźć za granicę. - Naprawdę robi wrażenie.

- I pamiętaj - powiedziała Dani cicho, ale z naleganiem w głosie - że Tom ma dużo do stracenia, jeśli ktoś tak potężny jak Kojama dowie się, że pomagał Risk Limited.

Shane nie odpowiedział. Napawał się po prostu świeżym zapachem bijącym od włosów dziewczyny.

- Ta wystawa stanowi znakomity pretekst, pozwalający mu opuścić ambasadę i spotkać się z nami - ciągnęła Dani. - Okaż więc choć trochę zainteresowania.

- Jak bliski jest twój związek z tym facetem?

- Czy to pytanie osobiste czy zawodowe?

- W Japonii nie ma takiego rozróżnienia - odparł Shane. - Dyplomaci mają własne cele. Czy Tom uważa, że ta sprawa może przynieść jakieś korzyści jemu lub jego rządowi?

- Tom wychował się w San Francisco. Jest w równym stopniu Amerykaninem co Japończykiem.

Shane pochylił się i wtulił usta w pachnące włosy dziewczyny.

- Uważaj na to, co mówisz - szepnął jej do ucha. - Ten sam rząd, który płaci pensję twojemu przyjacielowi, bije czołem takiemu Kojaj: mie. Dobry stary Tom mógł już wpaść w tarapaty.

- W głębi duszy on jest artystą, a nie dyplomata zainteresowanym walką o wpływy i władzę.

- Artyści, których nie stać na luksus cywilizacyjnej zbroi, z konieczności muszą być zainteresowani walką o wpływy i władzę - zauważył Shane. - I tu właśnie jest miejsce dla takich jak ty czy ja. To my jesteśmy ich zbroją.

Dani roześmiała się mimowolnie.

- Jesteś doprawdy dziwnym człowiekiem, Shanie Crowe - szepnęła. - Ty faktycznie postrzegasz swoją siłę jak tarczę.

- Poza kopaniem rowów nie widzę dla niej innego zastosowania.

- Niektórzy mężczyźni poczytują swą siłę za broń, a nie za tarczę czy narzędzie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszał zbliżające się kroki. Błyskawicznie się odwrócił, stając między Dani, a tym, kto właśnie nadchodził.

- To Tom - powiedziała dziewczyna cicho.

Shane ustąpił na bok.

Japoński attache pokonał kamienne schody z gracją i zwinnością gimnastyka. Tomohide Noda mierzył jakieś metr sześćdziesiąt pięć i był nadzwyczaj proporcjonalnie zbudowany.

- Danielle, zbyt długo się nie widzieliśmy - powiedział, wyciągając ku niej obie ręce.

Wziął dziewczynę w ramiona i na chwilę przytulił ją do siebie. Odpowiedziała serdecznym uściskiem.

Shane odetchnął z ulgą. Język ciała tych dwojga powiedział mu, że łączy ich wzajemny szacunek i gorąca sympatia, ale nie ma między nimi nawet cienia pociągu seksualnego.

- Czy przyszedłeś, żeby nareszcie obejrzeć wystawę? - spytał Noda.

- Zaglądam tutaj raz Vi tygodniu od chwili jej otwarcia, ale Shane nigdy jej nie widział - odparła dziewczyna. - Pomyślałam, że byłoby dla niego cennym doświadczeniem, gdyby mógł spojrzeć na nią twoimi oczami.

Spojrzenie, jakim Tom obrzucił Shane'a, zdradzało nieprzeciętną inteligencję.

- Tomie, to jest Shane Crowe. Shane, Tomohide Noda - przedstawiła Dani obu mężczyzn.

Uścisk dłoni Nody, jak przystało na prawdziwego Amerykanina, był krótki i mocny.

- Zawsze się cieszę, gdy mogę poznać kogoś z przyjaciół Danielle - oświadczył attache.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieznacznie.

- Shane i ja ... eee, udzielamy konsultacji w sprawie kawałka tybetańskiego jedwabiu, który został skradziony - powiedziała.

- Dani z wielkim szacunkiem wypowiadała się na temat pańskiej pracy - stwierdził Shane. - Z tego, co już zdążyłem obejrzeć w tej galerii, wynika jednak, że nie doceniła pańskich zdolności i zmysłu estetycznego.

Noda uśmiechnął się.

- Uprzejme, azjatyckie powitanie. Rozmiary pańskiego ciała sprawiły, że w pierwszej chwili nie doceniłem wewnętrznej subtelności, panie Crowe.

Shane uśmiechnął się i lekko skłonił.

- Nie jest pan pierwszym, któremu się to przydarzyło.

- Idę o zakład, że nie będę także ostatnim - odrzekł Noda i zwrócił się do Dani: - Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

- Tak - odparła dziewczyna.

Oczy Japończyka zwięziły się.

- W porządku - powiedział. - Nazwisko, które wymieniłaś przez telefon, jest dobrze znane każdemu, kto interesuje się tą dziedziną sztuki.

Shane czekał, ale prawdę powiedziawszy, nie wiązał z toczącą się rozmową wielkich nadziei. Ton głosu Nody nie bardzo podnosił na duchu.

- Nie pytam o żadne tajemnice służbowe - oświadczyła Dani - tylko o to, co możesz mi o tej osobie powiedzieć na podstawie ogólnie dostępnych źródeł. Niewykluczone, że informacje te pomogą w uratowaniu jednego z najcenniejszych okazów jedwabiu, jakie istnieją w dzisiejszym świecie.

Przez chwilę Noda przyglądał się dziewczynie uważnie. Potem przeniósł spojrzenie na Shane'a. Wreszcie zapatrzył się w przestrzeń przed sobą.

- Twoja rada dotycząca sposobów ratowania gobelinów z piwoniowym wzorem okazała się bezcenna - powiedział na koniec. - Kultura japońska jest twoim dłużnikiem.

- Nie, ja ... - zaczęła Dani.

- Minimum, które mogę w zamian zrobić, to pokazać ci nasze wspaniałe kimono - ciągnął Japończyk, nie pozwalając sobie przerwać. - Zobaczysz okazy, które cię zachwycą i pomnożą twoją wiedzę zawodową.

Z tymi słowy Noda ruszył ku rzędowi gablot.

Dani spojrzała na Shane'a i podążyła za swoim przewodnikiem.

- Co do mnie, to zdecydowanie wolę współczesne okrycia - mówił dalej Japończyk.

Wskazał luźne, powiewne kreacje, które bardziej przypominały szlafrok zachodniego kroju aniżeli kimono.

- Japonia musi się trochę wyswobodzić spod ciężkiej ręki tradycji, podobnie jak uczyniła to Ameryka mniej więcej 'sto lat temu.

Dani wydała jakiś grzechotliwy okrzyk, Shane milczał.

- Nasi artyści muszą opanować śmiałość, nowatorskie sploty i zacząć stosować barwniki, które nadałyby ich dziełom nowy kierunek - kontynuował Noda. - Ta wystawa jest próbą zachęcenia ich do wykorzystania artystycznej wolności.

Nieznaczny nacisk położony na słowo wolność skłonił Shane'a do skupienia uwagi na mężczyźnie, który oprowadzał ich po wystawie.

Zaczął wsłuchiwać się w słowa Japończyka z takim samym skupieniem, z jakim swego czasu chłonał nauki mistrzów zen, siedząc u ich stóp.

Z tych samych zresztą powodów. Noda miał coś do powiedzenia, ale to coś mogło być im przekazane nie wprost, a w formie mocno zawołowanej. _ Modernistyczne upodobania nie przeszkadzają mi jednak w docenianiu niektórych elementów rzemiosła tradycyjnego, zwłaszcza wtedy, gdy tradycja splata się ze współczesnymi trendami.

_ Czy zechciałby pan wskazać jakiś przykład? - poprosił Shane cicho. Dani przyjrzała mu się spod oka. Jego koncentracja wydawała się niemal namacalna.

Zupełnie jak w Lhasie, pomyślała. Jak na Arubie. Musiał wyczuć w Tomie coś, co kompletnie uszło mojej uwadze.

Noda przystanął przed dużą szklaną gablotą. Znajdowało się w niej wspaniałe kimono z niebieskiego jedwabiu, ozdobione pięknym złoto-zielonym haftem.

_ To najszlachetniejszy okaz w całej współczesnej historii japońskiej sztuki tekstylnej - wyjaśnił attache.

Dani nie musiała czytać tabliczki informacyjnej.

- "Kimono Szefa" - powiedziała. - Nadzwyczajne osiągnięcie.

_ Dzieło Noridz Tanaki - objaśnił Shane'a Noda. - Jednej z najlepszych artystek japońskich tworzących w materiałach włókienniczych. Naprawdę jest znakomita. Wiele się można od niej dowiedzieć i nauczyć.

I znowu nacisk położony na słowa dowiedzieć i nauczyć zaalarmował Shane'a, każąc mu szukać dodatkowego znaczenia ukrytego w wypowiedzi Nody.

Gdy Dani ruszyła wokół gabloty, podążył za nią. Oboje przyglądali się uważnie, niezwykle dziełu ludzkich rąk.

_ Proszę zwrócić uwagę na desień bocznych brytów - ciągnął dalej Noda. - Łączy elementy wzornictwa tradycyjnego z abstrakcyjnym.

_ Starodawne święte żurawie wśród niebieskich i białych fal oceanu - wolno powiedziała Dani. - Wrażenie płynności ruchu to jednak całkiem nowy element.

_ Dokładnie -!- potwierdził Noda. - A teraz przyjrzyj się plecom. Tylna część kimona została udrapowana jak pełen wdzięku wachlarz, na którym widniał czarno-złoty karp przepływający między kołyszącymi się roślinami rzecznyymi.

- Motyw jest tradycyjny - mówiła dziewczyna - zaczerpnięty bezpośrednio z okresu Edo.

_ Lecz w przeciwieństwie do pierwowzoru - dorzucił z namysłem Noda - sam karp jest bardzo współczesny. Rzucają się wręcz w oczy jego postmodernistyczne kompleksy i troska o własny image. Można to poznać po wyrazie sprytu i wyzwania w jego oczach.

Shane przyjrzał się rybie. Jej wąsy faktycznie wyglądały jak broda japońskiego patriarchy.

- Ten karp jest znakomity - zaczęła Dani ostrożnie - ale chyba nie do końca rozumiem, o co ci chodzi.

- Aby to pojąć, musisz zapoznać się z tradycyjnym znaczeniem karpia - odparł Noda.

- Karp jest symbolem cierpliwości i nie wzruszonego trwania przy swoich przekonaniach - wtrącił Shane.

Japończyk uśmiechnął się, zupełnie nie zdziwiony wiedzą Amerykanina.

- W tym przypadku - powiedział - można myśleć o tym karpie jak o człowieku interesu, który, płynąc pod prąd, powoli toruje sobie drogę i czeka, aż cierpliwość zacznie mu przynosić korzyści.

- To przecież tradycyjny obraz japońskiego biznesmena - zauważyła Dani.

- Ale ten karp wydaje się bardziej zadowolony z siebie, niż to się dzieje zazwyczaj - odparł Noda. - Jakby miał pewność, że prąd wkrótce popłynie w pożądanym przez niego kierunku.

- Ciekawe - mruknął Shane.

- W rzeczywistości - kontynuował Noda - ten właśnie karp jest świetnym komentarzem do natury współczesnego japońskiego człowieka interesu.

- I to wszystko na plecach? - spytała Dani.

- Widziałaś ten jedwab od spodu? - spytał Noda. - Wywodzi się z klasycznych kostiumów teatru Noh.

Jedna z najlepiej znanych postaci tego teatru to młoda dziewczyna, która szuka wejścia do świątyni.

- Pamiętam - rzekła Dani. - Publiczność wie, że ona nie jest zwyczajną dziewczyną.

- Tak - potaknął Japończyk. - Wiedzą, że jest czarodziejką, ponieważ dostrzegają blask srebrnych trójkątów na białymjędwabiujej odzieży spodniej. Wiedzą, że to migotanie węzowych łusek.

Dani w milczeniu przyglądała się kimonu i pełna nadziei czekała, aż Noda przestanie w końcu być taki tajemniczy.

Shane rzucił okiem na tabliczkę informacyjną umieszczoną w gablocie. Zawierała informacje o projektancie okrycia i podziękowanie dla właściciela za zgodę na wystawienie jedwabiu na widok publiczny.

Właścicielem kimona był niejaki Jukio Kojama.

Shane w milczeniu wskazał Dani tabliczkę.

_ Japończycy - ponownie odezwał się Noda - mają dość dziwny pogląd na to, w jaki sposób praworzędna część społeczeństwa i świat podziemny wchodzi we wzajemne relacje. Niektóre japońskie obyczaje praktykowane w świecie interesów w oczach Amerykanów uchodziłyby za pokretnie lub zgoła nieuczciwe.

- Jak to? - zapytała Dani

_ Na przykład - odparł Noda - istnieją *sokaija*, czyli gangsterzy finansowi, którzy wdzierają się na zebrania akcjonariuszy i wymuszają na dużych firmach wielkie sumy pieniędzy. Większość Japończyków żyje w przekonaniu, iż są oni członkami rozmaitych jakuz, czyli japońskiej odmiany przestępczości zorganizowanej.

_ Ale w takim razie - zauważyła Dani - ten karp-biznesmen powinien być raczej zmartwiony, a nie zadowolony.

- Chyba że ma jakieś powiązania z *sokaijā* - wtrącił Shane. Noda ponownie się uśmiechnął.

_ Jestem przekonany, że ten tutaj to, eee, ojciec chrestny wszystkich karpie - powiedział Noda, wskazując jedwabny eksponat. - Kontroluje *sokaijē*, czyli interfejs, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, między przestępczością

zorganizowaną a legalną władzą w Japonii.

. _ Nic dziwnego, że Kodzimura zaczął kolekcjonować jedwabie. Dzięki temu mają o czym rozmawiać w miejscach publicznych.

_ Pod tym względem sztuka przypomina prawdziwe życie - orzekł Noda. - Pełna jest niuansów, sekretów i nierzadko zaskakuje nas niespodziankami.

Japończyk rozejrzał się wokół, upewniając się, że poza nimi nikogo

w galerii nie ma. Następnie z kieszeni na piersi wyciągnął kopertę, na której nie było żadnych napisów, i wręczył ją Dani.

- Nie każ mi zbyt długo czekać na następne spotkanie - powiedział do dziewczyny. A zerknąwszy na Shane'a, dorzucił: - Panie Crowe, pozwolę sobie któregoś dnia do pana zadzwonić.

_ Ilekroć przyjdzie panu na to ochota - zachęcił go Amerykanin. - Dani ma mój numer.

- Dziękuję. Z pewnością skorzystam.

Noda odwrócił się i opuścił galerię, nie oglądając się więcej za siebie.

Dziewczyna wpatrywała się w kopertę, którą jej podał. Nic nie wskazywało na jej pochodzenie czy przeznaczenie.

- Mogę? - spytał Shane, wyciągając rękę.

_ Dlaczego nie? - mruknęła z przekąsem. - Wydaje się, że ty i Tom doszliście do całkowitego porozumienia.

Shane wziął kopertę i palcem złamał pieczęć.

- Zorientował się, że nie pytałaś o ten jedwab z czystej ciekawości - odparł. - Dał mi więc delikatnie do zrozumienia, że winien mu jestem przysługę.

- Nigdy nie zrobił na mnie wrażenia osoby chodzącej krętymi drogami.

- A kto mówi o chodzeniu krętymi drogami?

Koperta zawierała pojedynczą kartkę papieru. Była to fotokopia wy_cinka z gazety. Wąskie kolumny i nagłówki, przypominające napisy nagrobne, sugerowały, że wycinek ma już swoje lata.

"Pięciu japońskich przemysłowców skazanych za zbrodnie wojenne" - głosił tytuł.

Shane trzymał papier tak, że mogli go czytać razem. Uwagę obojga od razu przykuło nazwisko, które podkreśliła nieznana ręka.

Jukio Kojama .

W artykule przytoczono zarzuty, jakie Kojamie i pozostałym japońskim biznesmenom postawiono przed trybunałem wojskowym, powołanym do rozpatrywania zbrodni wojennych po drugiej wojnie światowej. Przestępstwa, o jakie zostali oskarżeni, były stosunkowo drobne. Zapadły więc łagodne wyroki - od kilku miesięcy do kilku lat więzienia.

Shane wydał dźwięk typowy dla polującego łowcy, zadowolonego z tego, że wreszcie ma zdobycz w zasięgu wzroku.

- Kojama jest zbrodniarzem wojennym - rzekł spokojnie. - Wprawdzie pośledniejszego gatunku i nie ma co porównywać go do nazistów, ale zbrodniarzem.

- To samo dałoby się powiedzieć o połowie przywódców z tamtych czasów - stwierdziła Dani. - A poza tym, od tamtej pory minęło już pięćdziesiąt lat.

Shane ponownie przeczytał artykuł.

- Nie ma żadnej wzmianki o możliwości oficjalnego ułaskawienia _ zauważył.

- Więc?

- Może to wystarczająca podstawa, by trzymać tego ojca chrzestnego wszystkich karpi poza granicami Stanów Zjednoczonych. Zakładając, że właściwi ludzie zostaną zawczasu o tym poinformowani.

- A ty znasz właściwych ludzi?

Shane uśmiechnął się.

- Cassandra zna.

- I co nam to da?

- Czas, którego w chwili obecnej najbardziej nam brakuje.

25

Seattle

Listopad

Katia leżała z ramionami rozrzuconymi nad głową, oszołomiona częściowo snem, lecz przede wszystkim nadmiarem seksu. Jej twarz

miała rzadko u niej spotykany wyraz całkowitego odprężenia.

Kasatonin przeciągnął palcem wzdłuż ramienia dziewczyny.

- Uważaj, bałwanie - mruknęła, nie otwierając oczu. - Nie znoszę łaskotek.

Nic nie mówiąc, przesunął palec w kierunku szyi, apotemzjechał w dół na obojczyk.

Oczy kobiety pozostały zamknięte.

Palec opuścił się jeszcze niżej. Kasatonin przejechał paznokciem po jej piersi.

- Nie znosisz łaskotek - powiedział. - Czy z tego właśnie powodu nigdy nie słyszałem twojego śmiechu? A przynajmniej niczego takiego sobie nie przypominam?

Jego palec powędrował ku brodawce Katii.

Przytrzymała go za rękę. Bez trudu wyswobodził dłoń z jej uścisku. - Żadne z nas nie ma zbyt wielu powodów do śmiechu - mruknęła.

- Ponure stwierdzenie. I bardzo rosyjskie. Jeszcze trochę, a zaczniesz się rozglądać za bałałką, aby ze szlochem wyśpiewywać stare ballady.

Przy tych słowach palce Kasatonina postukiwały o żebra kobiety, jakby miał pod ręką instrument muzyczny. Otworzyła szeroko oczy. Były ciemne, a jednocześnie przejrzyste, ze źrenicami rozszerzonymi pod wpływem wódki.

- Jesteś dzisiaj niezwykle rozbawiony - zauważyła.

- A tobie to nie w smak, co?

Katia bez słowa wstała z łóżka, narzuciła szlafrok i pomaszzerowała w kierunku barku. Zapatrzyła się w swoje odbicie w podłużnym lustrze w złotej ramie, które wisiało za barkiem.

Zajmowała nadroższy apartament w hotelu Four Seasons. Urządzony był w sposób, jaki przemawiał do japońskich biznesmenów, ale w oczach Rosjanki uchodził za szczyt szmiry i tandety.

- Nie jestem taka jak inni - powiedziała spokojnie. - Nigdy nie czuję się całkiem szczęśliwa.

- Z wyjątkiem chwil po dobrym numerku.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma o czym gadać. Szczęście, podobnie jak oddech, najpierw jest, a za chwilę go nie ma.

Z wiaderka z lodem wyciągnęła butelkę wódki i napełniła do połowy małą szklaneczkę. Wypiła i skrzywiła się.

- Nie jest dość zimna. Dlaczego w amerykańskich hotelach zamrażarki są takie małe?

- Biedna, mała, smutna myszka - powiedział mężczyzna z ironią. - Nigdy nie jest szczęśliwa.

- Szczęście jest dobre dla głupców. Ja wolę władzę.

Kasatonin usiadł na łóżku i podrapał niewielką okrągłą bliznę na brzuchu. Potem przeciągnął się, aż sięgnął pleców i ramion głośno mu zatrzeszczały.

- Czy teraz czujesz, że ją masz? - zapytał.

W odpowiedzi Katia tylko gniewnie wzruszyła ramionami.

- A powinnaś - powiedział, ziewając. - Nawet Tony Liu zrozumiał wreszcie, że byłby idiotą, gdyby próbował nas zlekceważyć.

- Doprawdy? - spytała.

- Gdy tylko zaczniesz podskakiwać, będzie martwy. I dobrze o tym wie.

Katia przełknęła wódkę jednym haustem, jakby miała do czynienia ze szczególnie gorzkim lekarstwem.

- Najtrudniej mi się opanować wtedy, gdy wszystko układa się pomyślnie - stwierdziła krótko.

- Jest takie amerykańskie przysłowie, że najtrudniej pogodzić się z sukcesem.

- Nie można się uśmiechać, gdy potwory z Harmonii zbierają się razem. Jeden diabeł wie, co mogą zaplanować za twoimi plecami.

Kasatonin roześmiał się głośno i odrzucił prześcieradła. Wstał i podszedł do Katii. Jego ciało, gibkie i muskularne, samo w sobie było groźną bronią.

- Jeśli zrobią coś głupiego - rzucił obojętnym tonem - zabiję ich i po krzyku. Przecież głównie po to mnie trzymasz, prawda? A może to tylko drugorzędny cel, co, myszko?

Katia obserwowała go w lustrze. Nadziwić się nie mogła, że udało jej się zdobyć władzę nad tą skondensowaną męską potęgą. Zawdzięczała to wyłącznie swym wargom i ruchliwemu językowi. Dla tego rodzaju władzy warto było trochę pocierpieć.

Nie, przyznała w głębi ducha. Tego rodzaju władza' sprawia, że ból staje się afrodyzjakiem. I on o tym wie, żeby go szlag trafił. On wie.

Kasatonin objął Katię i przyciągnął do siebie. Jego ciało twardością przypominało mur.

- Moje biedne, małe, opuszczone dziecko - zadrwił. - Bez przerwy coś kombinujesz, wciąż się zamartwiasz i boisz. Wkrótce staniesz się najpotężniejszą i najbardziej wpływową kobietą od czasów Kleopatry, a nadal się nad sobą użalasz.

Spod w półprzymkniętych powiek badawczo przyjrzał się odbitej w lustrze twarzy kobiety. Wcześniej, podczas obiadu w towarzystwie pierwszych przybyłych na spotkanie członków Harmonii, Katia była pełna życia i energii. Żaden mężczyzna, jego samego nie wyłączając, nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Teraz, rozluźniona na tyle, na ile sobie w ogóle pozwalała, nosiła maskę śmierci. Jej oczy były puste, a przeświecające przez skórę żyłki nadawały jej cerze wygląd cienkiej, kruchej błonki.

Gdy Katia wyciągnęła rękę po butelkę z wódką, przytrzymał jej dłoń. - Dostyc już wypijaś - powiedział niemal łagodnie. - Wódka przestała ci służyć.

Z zaskakującą gwałtownością Katia wyszarpnęła się z jego objęć i chwyciła butelkę.

- Nie jesteś moim ojcem! - krzyknęła.

W oczach jej płonął gniew, nadając tęczęwkom intensywniejszą barwę. Ona stoi na krawędzi przepaści, pomyślał Kasatonin. Jest z nią gorzej, niż przypuszczałem. Potrzebował jakiegoś mostu nad tą przepaścią, czegoś, co pozwoliłoby mu uchwycić władzę nad światem. Władzę, która Katii wymykała się z rąk. Cassandra Redpath świetnie by się tu nadawała. Przeklinał w duchu wyszkolenie Gillespiego, które pozwoliło mu wymknąć się z rąk nasłanych przez Rosjanina zabójców.

A tak niewiele brakowało, pomyślał z goryczą. Przy odrobinie szczęścia miałby teraz nową, znacznie mądrzejszą Katię.

Przez chwilę zastanawiał się, czy Redpath w łóżku byłaby podobna do pięknej blondynki, która traciła nad sobą kontrolę tylko w szczytowych momentach bólu i rozkoszy.

Ale nie zanosilo się na to, by miał okazję przekonać się o tym osobiście. Przynajmniej na razie. Musi więc zadowolić się tym, co ma.

To znaczy Katię.

- Mówiłaś coś o kontroli - powiedział chłodno. - Wódka cię jej pozbawia.

- Nie.

- Oj tak. Widywałem już takie rzeczy w rosyjskiej armii: te nagłe zmiany nastroju i wybuchy wściekłego gniewu. Alkohol zdecydowanie przestał ci służyć.

- Służy. Nie służy. Dobro. Zło. To tylko słowa, Iłja. Dźwięki pozbawione znaczenia. Świat jest zły, chyba nie zaprzeczysz?

- Wódka nie zmienia zła w dobro.

- To prawda, ale dzięki niej zło staje się łatwiejsze do zniesienia.

Ruchy Kasatonina były tak szybkie, że kobieta nie zdołała pochwycić wzrokiem ręki, która wyciągnęła się i wyrwała jej z dłoni butelkę. Mężczyzna otoczył Katię ramieniem i przyciągnął do siebie tak gwałtownie, że łopatkami uderzyła o jego pierś.

- Słuchanie, jak Katia Pilenkowa rozprawia o dobru i złu, jest bardzo zabawne - oświadczył.

Zesztywniała. Przez chwilę walczyła, żeby się uwolnić z jego objęć, ale szybko dała za wygraną.

Jak zwykle zresztą.

- Nie mam żadnych złudzeń - oświadczyła bezbarwnym głosem. - Tylko mężczyźni twojego pokroju mogą sobie na nie pozwolić. - Mężczyźni mojego pokroju? To znaczy jacy?

- Okrutni. Szybcy. Silni. Żli.

Zachichotał.

- Znakomity partner dla bystrej małej myszki, prawda?

- Oddaj mi tę butelkę!

- Nie.

Walczyła z dziką zawziętością.

Kasatonin śmiał się, bez trudu udaremniając jej wysiłki. Ale taka sytuacja była mu bliska i kojarzyła się z seksem: podążanie za ofiarą i pochwycenie jej dawało mu poczucie własnej męskości, którą dodatkowo potęgowało gwałtowne zachowanie kobiety.

Bez ostrzeżenia Katia zatopiła zęby w jego muskularnym przedramieniu.

To już był nowy element. Od czasu, gdy po raz pierwszy ją posiadał, nie próbowała go ranić. Myślał, że odczytał ją tego raz na zawsze.

Najwyraźniej jednak nauka poszła w las i niezbędna stała się druga lekcja.

Kasatonin odstawił butelkę do wiaderka z lodem i prawym ramieniem otoczył szyję kochanki. Bez wysiłku odchylił jej głowę do tyłu.

Tchawica kobiety znalazła się w zgięciu jego łokcia.

Dopiero wtedy podniósł lewą rękę i obejrzał ranę. Ślady po zębach zdążyły już nabiec krwią.

- Suka - warknął. - Zobacz, co zrobiłaś.

Jedyną odpowiedzią było zduszone sapnięcie. Katia walczyła o oddech, ale tchawicę uciskało ramię twarde jak żelazna sztaba.

Kasatonin uniósł kobietę w górę, tak że palce jej stóp znalazły się kilka centymetrów nad dywanem. Młóciła wściekle rękami i nogami, nie wyrządzając mu jednak żadnej szkody. Po minucie jej ruchy osłabły, wreszcie całkiem ustały. Wydała dziwny dźwięk. Źrenice uciekły jej w głąb czaszki, ciało zwisło bezwładnie.

Mężczyzna wytrzymał tak jeszcze chwilę, na koniec zmienił chwyt, tak by zwolnić nacisk na gardło kobiety, podtrzymując jednocześnie całe jej ciało.

Zdławionymi haustami Katia chwytiała powietrze.

- Krwawię przez ciebie - powiedział wprost do jej ucha. - Czy mam ci odpłacić tym samym?

Była tak pochłonięta samym aktem oddychania, że nie odpowiedziała. Zachłystywała się, chwytając

powietrze, którego gwałtownie domagał się organizm.

Kasatonin po raz drugi zaczęła dusić, stopniowo zwiększając ucisk. - Czy mam ci odpłacić tym samym?

- powtórzył.

, Unosiła się gdzieś na granicy świadomości. Odczucie było dziwnie miłe. Chwyła się tego, podobnie jak z upodobaniem uciekała się do odurzenia wywołanego alkoholem. Osiągała ten stan za każdym razem, gdy pochłonęła odpowiednią ilość wódki. Taka porcja zanosila ją gdzieś na pogranicze śmierci, nie odbierając jednocześnie przeświadczenia, że żyje i nadal kontroluje swoje emocje.

- Czy masz pojęcie, jak długo goją się rany zadane zębami człowieka? - zapytał.

Niezdolna do wydania głosu, Katia potrząsnęła tylko przecząco głową. - Bardzo długo, myszko. I zawsze pozostają blizny. Przypomnij sobie

ślady, jakie ja zostawiłem na twoim ciele.

Zadrzała.

- Gdzie mam cię ugryźć? - dopytywał się Kasatonin.

Znowu zmienił chwyt i wsunął dłoń pod szlafrok kochanki. Jego palce zaciskały się na jej piersi w pieszczocie, która niosła przyjemność zmieszana z bólem.

- Tam? - spytał. - Chcesz być ugryziona właśnie tam?

Katia zeszywniała. Dźwięk, jaki wydała, nie miał nic wspólnego z potrzebą powietrza.

Nie umiał powiedzieć, czy ten dźwięk wydarł się z jej gardła pod wpływem przyjemności, bólu czy może obu tych odczuć jednocześnie. Dzięki temu właśnie Katia podniecała go bardziej niż wszystkie inne kobiety. Jej reakcje coraz bardziej popychały oboje ku śmierci, która przyczała się tuż za rogiem i cierpliwie czekała. Może tym razem, myślał Kasatonin z niechęcią zmieszana z jakąś dziką żądzą. Może ...

Odwrocił Katię przodem do siebie i rozchylił brzegi szlafroka. Potem podniósł rękę i przesunął skaleczonym miejscem po jej bladym policzku. Krwawe smugi wyglądały jak czerwone wino rozlane na białym śniegu.

- Może ugryźć cię w ramię? - spytał. Zsunął niżej szlafrok, odsłaniając ramiona Katii. A potem kciukiem i palcem wskazującym chwycił mięsień powyżej obojczyka.

Nie wydała żadnego dźwięku, lecz ból usztywnił jej ciało, a zwierzęce niemal podniecenie rozpałiło łono.

Ta gra nie była dla niej nowością. Kochsnek sprawi jej ból, może nawet duży ból, ale nie pozostawi żadnych trwałych śladów.

- A może tutaj? - spytał miękko, wsuwając rękę między jej uda. Jęknęła w oczekiwaniu na rozkosz połączoną z bólem. Nic, nawet wódka, nie mogłoby jej doprowadzić do takiego stanu.

- Nie - oświadczył Kasatonin. - Nie ugryzę cię tam, bo za bardzo to lubisz.

Zwolnił uchwyt na jej ramieniu i zewnętrzną krawędzią dłoni przeciągał tam i z powrotem między nogami kobiety. Tą ręką zwykle zabijał. Jej krawędź była szorstka i poorana bliznami.

Katia widziała kiedyś, jak tą właśnie ręką Kasatonin rozbijał cegły. Wiedziała również, że skręcenie kobiecie karku jest znacznie prostszym zadaniem.

Powoli poddawała się dłoni, która potrafiła być również bronią.

Myślała przy tym o śmierci, którą ręką ta przyniosła wielu ludziom. Nagła śmierć przyjdzie i po nią, jeśli któregoś dnia źle oceni sytuację i za bardzo go sprowokuje.

Ta myśl była niesłychanie podniecająca.

- Ach, moja słodka śmierci - powiedziała głosem dziwnie infantylnym. - Obiecuję być dla ciebie grzeczną i dobrą dziewczynką.

- Dobrą? Ty?

Dłoń mężczyzny przekreśliła się i z ust Katii wydarł się krzyk. Zadrzała. Na dłoń mężczyzny pocięło coś mokrego i gorącego jak krew.

Roześmiał się, gdy to, co pozostało z jego męskości, obudziło się do życia. Tylko Katia potrafiła dać mu te nędzne okruchy rozkoszy, bo Afgańczycy zadbali o to, by na nic więcej nie było go stać. Tylko ona, gdyż symbol jego dawnych cierpień wprawiał ją w szczerzy zachwyt. Jego kalectwo podniecało ją do poziomu, którego w obecności zdrowego mężczyzny nie byłaby w stanie osiągnąć.

_ Pragniesz tylko jednego - powiedział Kasatonin, poruszając ręką coraz szybciej i mocniej. - Bólu.

Tęsknisz za nim chyba jeszcze bardziej niż za wódką. Dam ci go, myszko. Może ...

Oddech kobiety znacznie przyspieszył. Czowała, że traci kontrolę nad swoim ciałem.

W tym bólu było coś wspaniałego, nadzwyczajnego.

Telefon zadzwonił dwukrotnie, zanim dotarł do niej jego dźwięk. Zeszywniała, jakby prąd pobudzający do życia aparat telefoniczny przepłynął także przez nią.

_ To nie jest telefon hotelowy - wysapała - tylko moja komórka.

- Zatem do roboty, myszko.

Zanim dzwonek zadzwieczał po raz trzeci, uwolnił ją, otarł kant dłoni o jej szlafrok i zabrał z barku

butelkę wódki.

Katia wygładzała poły szlafroka, idąc przez pokój w kierunku swojej aktówki. Niecierpliwie chwyciła aparat i wcisnęła guzik.

- Tak?

Jej głos zabrzmiał chłodno, całkowicie nad nim panowała.

Podnieciło to Kasatonina.

Pociągnął solidny łyk prosto z butelki. A potem roześmiał się szyderczo z siebie i swojego żalostnego kikuta. Tu kryła się jego słabość,

wiedział o tym aż za dobrze.

Podejrzewał, że i Katia zdołała go już rozryść, domyślić się tej jego słabości. A kiedy on, Ilja, całkiem się co do tego upewni, jej życie potrwa krócej niż mgnienie oka.

_ Mów wyraźniej - powiedziała Katia do słuchawki. - Nie rozumiem.

Do jej uszu doszedł ostry falset mówiący coś którymś z języków azjatyckich. Po chwili usłyszała inny głos. Mężczyzna mówił po angielsku, ale z wyraźnym dbcym akcentem.

_ Gość honorowy bez zezwolenia na twoje plany - oznajmił.

Katia rozpoznała Miuro Tamę, asystenta i bliskiego współpracownika Jukio Kojamy. Przeniknął ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego z rozkoszą i śmiercią.

Pracowałam nad tym całe lata, myślała z wściekłością: Lata! Tyle roboty, starannie opracowanych planów, tak wielu zabitych, a teraz taki paszтет!

- Przykro mi to słyszeć - odparła opanowanym głosem. - Moi współpracownicy i ja bardzo cieszyliśmy się na to spotkanie.

- Ale to niemożliwe, niemożliwe - Tama prawie krzyczał. - Niemożliwe! Katia pstryknęła palcami, aby zwrócić na siebie uwagę Kasatonina.

Gdy na nią spojrział, wyciągnęła rękę po wódkę.

Przemierzył pokój i podał jej butelkę. Wzięła ją, ale jeszcze nie piła. Intensywnie myślała, usiłując znaleźć sposób na wydobywanie ze swego rozmówcy niezbędnych informacji bez zdradzania szczegółów planu, nie można bowiem było wykluczyć podsłuchu.

Tama skorzystał z ogólnodostępnej linii. Ich rozmowę mógł słyszeć każdy, kto miał telefon komórkowy.

- Czy jest jakiś szczególny powód zmiany planów? - zapytała. Usłyszała, że Kojama rozmawia z kimś po japońsku.

Po chwili rzucił do słuchawki gniewnym głosem:

- To z powodu Amerykanów. Odebrali mi wizę.

- Co takiego? Pańską wizę?

W strąśnięta Katia zastanawiała się, co mogło spowodować tak obraźliwe zachowanie amerykańskich biurokratów. Pociągnęła łyk wódki i przełknęła gładko, jakby to była woda z lodem.

- Jakiś reporter dogrzebał się do starej informacji - wyjaśnił Kojama. - Nazwał mnie zbrodniarzem wojennym. - Z jakiej gazety?

- Z nowojorskiego "Timesa". Nazwali mnie zbrodniarzem!

W głosie Japończyka brzmiała wściekłość.

- Jeszcze mnie za to przeproszą - oświadczył stanowczo. - Choćbym miał wykupić cały Manhattan i odsprzedać go Koreańczykom.

- Niewiele jest pożytku z drażnienia wielkich potęg - powiedziała Katia pojednawczym tonem. - A zapewniam, że gazeta, którą pan wymienia, to wielka potęga.

Japończyk jednak nie chciał słuchać głosu rozsądku.

- Najpierw ten gnojek wypytywał o mnie w amerykańskim urzędzie imigracyjnym - mówił wzburzony. - A potem ~adzwońił do mnie i pytał o "zbrodnie" popełnione w czasie wojny, której już nikt nie pamięta! - A w jaki sposób zdobył tę informację? - spytała Katia.

- Nie mam pojęcia.

- Czy zna pan jego nazwisko?

- Tolliver - odparł Kojama. - Znajdźcie go. I jego źródło. A potem zróbcie to, co cywilizowani ludzie zwykli robić z takimi śmieciami.

- W Ameryce prasie przysługuje szczególny immunitet - rzuciła Katia. - Cieszy się przywilejem ograniczonej odpowiedzialności za swoje słowa.

- Myślałem, że ma pani dobrze ustawionych "przyjaciół". Najwyraźniej nie jest to prawdą. Nie będę więc dłużej zawracał pani głowy.

- Źle mnie pan zrozumiał - powiedziała Rosjanka szybko.
 - Znakomicie. Oczekuję, że wyjazd nastąpi w zaplanowanym terminie.
 - Proszę okazać trochę cierpliwości. To może zabrać nieco więcej czasu niż osiemnaście godzin.
 Dźwięk, jaki wydał z siebie Kojarna, sugerował, że nie jest on skłonny do okazywania cierpliwości.
 Gdy Katia odezwała się ponownie, jej głos był lekko schrypnięty, ciepły i nieskończenie kobiecy ..
 - Proszę mi zaufać, mój przyjacielu - wymruczała. - Mamy dla pana prezent, który udowodni, jak wielki żywimy wobec pana szacunek.
 Kojama prychnął, jakby okazywane mu względy były rzeczą zrozumiałą samą przez się. .
 - Czegoś takiego nigdy pan nie widział - ciągnęła Katia. - Zdobycie owego prezentu wielu ludzi przypłaciło śmiercią. Za to inni całe życie poświęcili na zachowanie go w jak najlepszym stanie.
 - Co to może być, że mnie pani tak kusi?
 Katia' roześmiała się uwodzicielsko, zachęcając w ten sposób starego człowieka, by zareagował jak mężczyzna, a nie jak obrażony baron zbrodniczego świata.
 - Odpowiedź popsułaby całą niespodziankę - rzekła.
 - W Stanach Zjednoczonych nic nie zdoła mnie zaskoczyć.
 - Jeśli okaże pan odrobinę cierpliwości, to ja ...
 - Nie jestem byle kim - przerwał jej chłodno Kojama. - Albo wejdę frontowymi drzwiami, albo wcale.
 Katia zastanawiała się przez chwilę, potem jej twarz rozjaśnił uśmiech.
 - Oczywiście - zapewniła. - Osobiście zmienię rezerwację na pańskim bilecie i zadbam o wprowadzenie niezbędnych korekt do naszych planów.
 - Co to ma znaczyć?
 - Wszyscy będziemy oczekiwać pana w K'anadzie. Tam też wręczymy panu prezent, który udowodni, że współpraca z nami może się okazać bardzo cenna.
 - Kiedy?
 - W ciągu dwóch dni.
 - Proszę się tego trzymać.
 Połączenie zostało przerwane.
 Katia popatrzyła na telefon, który trzymała w dłoni. Wyraz jej twarzy kontrastował z ciepłym tonem, jakim przed chwilą mówiła.
 - Kłopoty? - spytał Kasatonin.
 - Nic, czemu nie dałoby się zaradzić. Ale gdy następnym razem będziesz trzymał nóż na gardle pani Redpath, użyj go.

26

Stan Waszyngton

Listopad

Odrzutowiec Risk Limited przemierzał powietrzny szlak na wschód od Spokahe. Niebo za oknami ciemniało w zapadającym zmierzchu. W dole kłębiły się chmury, którym zachodzące słońce nadało barwę płomieni. Dani budziła się powoli. Wróciwszy do rzeczywistości, zerknęła na zegarek. Spała ponad trzy godziny. Shane Crowe siedział w fotelu naprzeciwko niej. Oczy miał zamknięte i wyglądał na zrelaksowanego, ale dopiero widok jego całkowicie rozluźnionych dłoni upewnił dziewczynę, że naprawdę śpi. Poruszyła się delikatnie, tak aby go nie obudzić, i przeciągnęła się. Życie w ciągłym napięciu było bardzo męczące. A najgorsze ... a może najlepsze ... ma dopiero nadejść, pomyślała. Dobry Boże, mogłabym spać choćby i tydzień. .

Jak Shane to znosił? Może właśnie spokoju szukał w buddyjskim klasztorze?

Samolot nieznacznie zmienił kurs, skręcając o kilka stopni na południe. Przez iluminator wpadł do środka strumień słonecznego światła.

Promień oświetlił twarz Shane'a i niczym pędzel artysty wydobył z mroku każdy splot mięśni, każdy cień, każdą zmarszczkę.

Dani zwalczyła w sobie chęć odgarnięcia jegwabistych włosów z jego czoła, dotknięcia jego policzków, szorstkich od świeżego zarostu, obrysowania palcami warg, a potem języka.

Adrenalina, powiedziała sobie. Po prostu adrenalina. Gdybyśmy spotkali się w normalnych warunkach, Shane nie byłby dla mnie ani w połowie tak atrakcyjny i pociągający. A jeśli będę to sobie powtarzać dostatecznie

często, może w końcu w to uwierzę.

Obudził go promień słońca padający bezpośrednio na powieki. Wolno poruszył głową i otworzył oczy.

Ujrzał utkwione w siebie spojrzenie Dani. Uśmiechnął się i przesunął swoje długie nogi tak, by jego kolana

zetknęły się z kolanami dziewczyny. - Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj - powiedział. - Unikałaś mnie. Jego głos był schrypnięty od snu i jeszcze czegoś; czegoś, co przywołało u Dani wspomnienie Aruby, ulewnego deszczu i przyjemności, w której istnienie nie bardzo wcześniej wierzyła.

- Po prostu próbuję ułatwić trochę życie - odparła.

- Komu ułatwić? Sobie?

- Nam obojgu.

Wyprostowała się w fotelu i uniosła ręce wysoko nad głowę, próbując rozluźnić mięśnie pleców i ramion. Jej ruchy nie miały być ani zmysłowe, ani prowokacyjne, ale były.

Bluzka opięła ciasno piersi, których wrażliwość wzrosła od samego patrzenia na Shane'a i pod wpływem wspomnień z Aruby.

Zbyt późno zorientowała się, że górne guziki jedwabnej bluzki są rozpięte. Materiał rozchylił się, odsłaniając stanik. Opuściła ręce, aby doprowadzić ubranie do porządku.

W chwili, gdy zapinała pierwszy guzik, spostrzegła, że Shane przypatruje się jej z czysto męskim zainteresowaniem. Palce jej zdrząły. Prosta czynność stała się raptem niewykonalna. Guzik w żaden sposób nie chciał przejść przez dziurkę w śliskim jedwabiu.

Shane delikatnym ruchem odsunął jej ręce i sam zapiął bluzkę. Gdy wygładzał materiał, poczuła delikatną pieśczość jego palców na nabrzmiałych brodawkach.

- Gotowe - powiedział. - Wszystko zapięte pod samą szyję. Opuściła wzrok i przez chwilę wpatrywała się w swoje dłonie. Przeklinała je za to, że zdradziły, co czuje.

- Przepraszam - szepnęła. - Wcale nie próbuję cię uwodzić.

- Wiem.

- Na pewno? - spytała, patrząc mu w oczy.

- Tak - odparł. - W czasie między snem a jawą podstawowe, najbardziej elementarne uczucia stają się najsilniejsze.

Zatonęli w sobie spojrzeniami. Dani z trudem nabierała powietrza w płuca, walcząc z gwahowną falą pożądania.

Shane toczył podobną walkę, a zarazem rozkoszował się myślą, że dziewczyna pragnie go równie gorąco, jak on jej.

Już niedługo, powtarzał sobie w duchu. Już wkrótce.

Lecz wydawało mu się, że okres ślubowanej wstrzeźliwości potrwa jeszcze całe wieki. Gdy składał śluby, miał nadzieję, że bez seksu jego życie stanie się łatwiejsze.

Prasam Dhamsa był odmiennego zdania. Dostrzegł w Amerykaninie nazwiskiem Crowe coś, co jemu samemu udało się przeoczyć.

Drzwi w przedniej grodzi otworzyły się, przerywając pełną napięcia ciszę. Do kabiny pasażerskiej weszła Lea Rubin, główny pilot Risk Limited.

Shane przyjrzał się wchodzącej kobiecie. Ani wysoka, ani niska, ani gruba, ani chuda, nie odznaczała się niczym szczególnym, poza błyskawicznym refleksem, jakiego nie spotkał dotąd u nikogo, bez względu na płeć.

- SeaTac czy Boeing Field? - spytała Rubin. - Na ziemi chcą to wiedzieć.

- Boeing - odparł Shane. - Czekają na operację w centrum miasta. Kto jest na dole?

- Gelmann. Wczoraj przyleciał z Los Angeles.

- Zna Seattle?

- Do pomocy wezwał lokalnego agenta, niejakiego Flandersa.

- Flanders? - Shane nie kojarzył nazwiska.

- Kiedyś pracował w urzędzie celnym. Spędził w tych stronach wiele lat.

- Czy powinienem go znać?

- Nie jest nikim sławnym, jeśli o to ci chodzi - odparła Rubin. - Właściwie należałoby go uznać za niesławnego.

Shane uśmiechnął się.

- Problem nie jest mi obcy - stwierdził, zerkając w stronę Dani. - Co się stało?

- Wywalono go w zeszłym roku - wyjaśniła Rubin.

- Dlaczego?

- Oficjalnie przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

- A nieoficjalnie?

- Znadto utrudniał życie indiańskim szmuglerom papierosów, którzy chcieli wyłgać się od płacenia podatku - poinformowała Rubin. Sporo wie także o poczynaniach miejscowych Chińczyków.

- Pasuje do nas jak ulał - zawyrokował Shaie. - Zwolennik równych szans, nikogo nie dyskryminuje. Zbyt

uparty, żeby mogło się to spodobać politykom.

Dani skrzywiła się.

- Jeszcze nie jest za późno - powiedział, przyglądając się jej. - Zawsze możesz wrócić na uczelnię.

- Dlaczego w twoim głosie wciąż pobrzmiwają echa "wieży z kości słoniowej" ...

- Wybacz. Odruch, jak sądzę.

- ... jakby klasztor buddyjski był mniej oderwany od spraw tego świata niż kampus uniwersytecki? - kontynuowała Dani, nie robiwszy najmniejszej przerwy.

Rubin roześmiała się.

- Mogę nie znać krwawych szczegółów dotyczących tongów, mafii, karteli narkotykowych czy płatnych zabójców - oświadczyła Dani - ale nie zamierzam stąd uciec i skryć się w mysiej norze.

Przez chwilę Rubin taksowała dziewczynę spojrzeniem, potem mrugnęła do Shane'a.

- Idealistka i realistka zarazem - orzekła. - Mówiłam ci, że Redpath i ja nie jesteśmy jedynymi kobietami, w których te cechy się łączą. - Lepiej zajmij się pilotowaniem swojego samolotu - mruknął w odpowiedzi.

- Tak jest, panie i władco. - Rubin złożyła szyderczy ukłon. - Zauważ, Dani, że on lubi kobiety, które potulnie wykonują rozkazy.

- Tak, tak, najpierw człowiek urabia sobie ręce po łokcie, a potem umiera - odparła Dani słodkim głosem.

Rubin wciąż jeszcze się śmiała, gdy zamykała za sobą drzwi wiodące do kokpitu.

- Filozofia zen? - spytał mężczyzna.

- Wyrazy uszanowania dla Shane'a Crowe'a, mnicha zen.

- Jeszcze tylko przez chwilę - odparł spoglądając na zegarek. - I bardzo dobrze. Polubisz Juana.

Dani potrząsnęła głową, wprawiając w ruch ciemne błyszczące włosy.

- Czyżbym miała wziąć udział w tej imprezie? - spytała.

- Jesteś jej najważniejszym uczestnikiem. Zaufaj mi.

- Pojęcia nie mam, co właściwie będziemy robić w Seattle - mruknęła.

- Juan Gelmann jest socjologiem. Napisał pracę doktorską o gangach ulicznych w Los Angeles, a potem postanowił zrobić ze swej wiedzy użytek w bardziej bezpośredni, nieakademicki sposób.

- Zupełnie jak ty.

- Nigdy nie próbowałam pisać rozprawy doktorskiej.

- Fakt. Ty ją przeżywałeś. A to ogromna różnica.

- Ty swoją też przeżywałaś. Ilu pracowników naukowych spędza czas w terenie?

- Zbyt mało - odparła Dani krótko.

- No cóż. A może uczelnie stanowią niezbędny azyl.

- Niezbędny?

- Nie wszyscy są tak odporni jak ty, Dani. A równie pięknych można policzyć na palcach.

- Pięknych? - powtórzyła zaskoczona - Taaa. Jasne.

- Cieszę się, że choć w jednym punkcie jesteśmy zgodni.

- Nie jesteśmy. Mam w domu kilka luster. Należałoby mnie uznać za całkiem przeciętną, jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny.

- Mamy więc różne zdania - stwierdził Shane. - W moich oczach jesteś ... piękna.

Nie wiedziała, jak zareagować. Zwłaszcza że zdawała sobie sprawę, iż mówił szczerze.

Uśmiechnąwszy się lekko, Shane przymknął powieki i zostawił dziewczynie do rozważenia kwestię różnic w spojrzeniu na świat. Nie otworzył oczu aż do momentu, gdy piętnaście minut później samolot dotknął ziemi.

Na spotkanie wyszedł im Juan Gelmann, szczupły, czarnowłosy Latynos o smutnych oczach za okrągłymi okularami w drucianych oprawkach. Z wyglądu bardziej przypominał nauczyciela niż agenta Risk Limited. Gelmann przedstawił nowo przybyłych swojemu towarzyszowi, Billowi Flandersowi.

Dani bacznie przyjrzała się Flandersowi. Był to masywnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku, o twarzy zaczerwienionej od słońca, wiatru i whisky. Jego usta zastygły w wyrazie cynizmu, charakterystycznego dla człowieka, który całe życie grzebał wśród śmieci: ludzkich i całkowicie nieludzkich wyrzutków społeczeństwa.

Ostre porywy wiatru szarpały połami jego wełnianej koszuli angielskiej firmy Pendleton, odsłaniając pistolet zatknięty za pasek dżinsów.

Flanders wyglądał na faceta, który czułby się nieswojo, nie mając broni w zasięgu ręki.

Dziewczyna, bogatsza o doświadczenia ostatnich kilku tygodni, nie chciała go oceniać na podstawie pierwszego wrażenia. Może gość nie jest takim głąbem, na jakiego wygląda, pomyślała.

- Jak się macie? - odezwał się Flanders kolejno do Shane'a i Dani. Mówił z południowym, teksaskim

akcentem, złagodzoną nieco przez długoletni pobyt na Zachodnim Wybrzeżu.

Dziewczyna spodziewała się, że albo całkiem ją zignoruje, albo co najwyżej zaszczyty przelotnym spojrzeniem. Poczuli się mile zaskoczona, gdy nic takiego nie nastąpiło.

Flanders wskazał wana o przydymionych szybach, czekającego na nich po drugiej stronie płyty lotniska. Z zewnątrz samochód sprawiał wrażenie nigdy niemytego pojazdu, który służy wyłącznie do celów rekreacyjnych.

- Powóz już czeka, panowie i pani - obwieścił Bill.

- Słyszałeś kiedyś o myjniach samochodowych? - spytał Shane, gdy podeszli do auta.

- Czyste blachy za bardzo błyszczą - odparł Flanders. - Oczy mnie bolą od takiego blasku.

Crowe roześmiał się i otworzył drzwiczki.

- Ładnie, nie ma co - zauważył, omiótłszy spojrzeniem wnętrze wozu. - Samobieżna platforma obserwacyjna.

- Jest tu wszystko z wyjątkiem anteny satelitarnej - zgodził się Flanders. - Ten cholerny talerz za bardzo rzuca się w oczy.

Dani weszła do środka i zobaczyła to, o czym mówił Shane: wygodne fotele, nadawczo-odbiorczy aparat radiowy, lornetki i noktowizory. - Wcześniejsza emerytura, co? - mruknęła.

- Niektóre przyzwyczajenia trudno zmienić - odparł Flanders pogodnie.

Gelmann usiadł na miejscu obok kierowcy i zamknął drzwi.

- Prawo celne ma swoje dobre strony - stwierdził Flanders. - Przewiduje mianowicie nagrody za łapanie niegrzecznych chłopców.

- Doprawdy? - spytała zaskoczona Dani.

- Tak, proszę pani. Zarabiam mniej więcej tyle samo, co wtedy, gdy pracowałem dla rządu. Za to nie muszę ślezczyć nad żadnymi papierami na temat praw konstytucyjnych. Taką robotę trzeba było odwalac w nadgodzinach, za które nikt nie płacił.

- Świetnie się spisałeś, Juan - powiedział Shane, aprobując wybór Flandersa.

- Też tak myślę - zgodził się Gelmann.

Crowe ponownie przyjrzał się wyposażeniu samochodu, a potem spojrzął na właściciela pojazdu.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - zwrócił się do Flandersa - moglibyśmy znaleźć dla ciebie także inne robotki. Byłbyś zainteresowany? - Nie zadawaj głupich pytań. Jasne, że'tak.

Dani roześmiała się cicho.

Flanders włączył silnik i ruszył w kierunku wyjazdu z lotniska na boczną drogę. Chociaż przecięli po drodze wiele skrzyżowań i pokonali szereg zakrętów, nawet okiem nie rzucił na drogowskazy i ani razu nie szukał drogi na mapie.

- Czy nasze informacje były dokadne? - spytał Shane Gelmanna.

- Recepcja hotelowa potwierdziła wszystkie dane - odparł Kalifornijczyk.

- A czy obserwacja je potwierdza?

Gelmann zdjął okulary, wytarł o rękaw sztruksowej marynarki i założył ponownie.

- Cassandra poleciła nie podchodzić za blisko - odparł.

- A jak blisko to już za blisko? - spytał Shane.

Uśmiech nadał smutnej twarzy Kalifornijczyka chochlikowaty wyraz.

- Wczorajszego wieczoru w barze hotelowym widziałem dzentelmena z Sycylii i jego francuskiego towarzysza. Siedziałem przy sąsiednim stoliku. W odniesieniu do obydwu identyfikacja pozytywna.

Shane mruknął coś z zadowoleniem.

- Przesiedzieli całą noc, popijając kosztowną brandy i opowiadając głodne kawałki o swoich osiągnięciach finansowych i sukcesach z kobietami - dodał Gelmann.

- Usłyszałeś coś, co mogłoby się nam przydać?

- Rozmawiali po francusku, bo to jedyny język, w którym mogą się dogadać. Mówili raczej otwarcie, ale nie usłyszałem nic, czego bym wcześniej nie wiedział.

- Znasz francuski? - zapytała Dani.

- Juan włada dziesięcioma językami - wtrącił Shane.

- Nawet dwunastoma, jeśli liczyć także baskijski i fiński - skorygował Gelmann - ale jakie to ma znaczenie?

- Popatrz no, aja myślałem, że jesteś tylko jajogłowym Meksykaninem - odezwał się Flanders.

- Popatrz no, a ja myślałem, że jesteś tylko tępogłowym Tekszańczykiem - odgryzł się Gelmann.

Flanders powiedział coś szybko po hiszpańsku, Kalifornijczyk odpalił w podobnym stylu i obaj mężczyźni roześmiali się.

- Wygląda na to, że w tym trzynastym języku nieźle się dogadują - zauważył Shane.

- To znaczy w jakim? - zapytała Dani.
- W rynsztokowym anglohiszpańskim.
- Wierzę ci na słowo. Jedyne naprawdę brzydkie wyrazy, jakie znam, są po angielsku, no i w narzeczeniach niektórych plemion. .
- Mógłbym cię nauczyć - zaproponował Gelmann, odwracając się ku niej.
- Edukację Dani wziąłem już na siebie - oświadczył Shane. Kalifornijczyk przyjrzał mu się bacznie i bez słowa usiadł przodem do kierunku jazdy.
- Co z Pilenkową i Kasatoninem? - spytał Growe.
- Są zameldowani w Four Seasons. Zajmują największy apartament.
- Udało ci się dotrzeć do nich trochę bliżej?
_ Stary znajomy Billa pracuje w obstawie hotelowej - poinformował Gelmann.
_ Oboje siedzieli cicho jak myszy pod miotłą - rzekł Flanders. - Jedyne wyjątek stanowiły drobne ślady krwi na pościeli.
- Czyje?
_ Żadnych widocznych opatrunków - odparł Teksańczyk. - Wygląda na to, że któreś się skaleczyło i wytarło krew o prześcieradła.
_ Dla niektórych ludzi - wtrąciła Dani - seks jest krwawym sportem.
Shane zerknął na dziewczynę spod oka.
_ Znając tę parę - powiedział - nie czułbym się zdziwiony.
_ Poza tym - dorzucił Flandres - spędzili tam dwie noce i rozprawili się z niemal całą butelką wódki "Stolicznaja". A to już całkiem solidne picie, synu - skomentował. - Uwierz takiemu, co zna się na rzeczy. - Przekonałeś się o tym na własnej skórze?
_ Jasne, że tak - gładko odparł Flanders. - A za dowód niech posłużą moje blizny. .
_ Blizny Katii widać tylko w jej oczach - wtrąciła Dani.
_ Pewnie więc oślepnie z przepicia - zawyrokował Teksańczyk. Shane sięgnął po lornetkę i ustawił ostrość. Potem przyjrzał się widniejącemu w oddali szczytowi Mount Rainier.
_ Czy zauważyłeś u Katii jakieś oznaki napięcia? - zwrócił się do Gelmanna.
Nie - odparł Kalifornijczyk. - Ale trzymam się od nich z daleka. D laczego pytasz?
_ Dani i ja podkręciliśmy wczoraj wieczorem temperaturę, a przynajmniej próbowaliśmy to zrobić - wyjaśnił Shane. - Miałem nadzieję, że nasza akcja przyniesie natychmiastowe skutki.
_ Nic mi się nie rzuciło w oczy - powtórzył Gelmann. - A tobie, Bill? .
_ Nic nie wiem o tych waszych Rosjanach - odpowiedział Flanders - więc niewiele mogę wam pomóc.
Ale ...
Shane czekał, podczas gdy Teksańczyk wjechał na trzeciego między dwie ciężarówki dostawcze. Prowadził z pewnością siebie człowieka, który ma wśród policjantów z drogowki wielu przyjaciół.
_ ... facet z chińskiego tongu "Ziemia i Niebo" miał się dzisiaj rano ze mną spotkać - ciągnął Flanders. - Nie pokazał się jednak.
- Jeden z ludzi Tony'ego Liu? - dopytywał się Shane.
Teksańczyk kiwnął głową:
- W lokalnym oddziale pełni funkcję tak zwanego mistrza kadzidła, a miałby ochotę na awans. Co jakiś czas, gdy dochodzi do wniosku, że mu się to opłaci, przekazuje mi pewne informacje.
- Czy można na nim polegać? Dotrzymuje słowa, gdy umawia się na spotkanie? - dopytywał się Shane.
- Wystawił mnie po raz pierwszy. Może trafiło go tych pięć piorunów, o których oni wciąż gadają.
- Zdarza się.
- Dużo to się zdarzało na meksykańskiej granicy, gdzie dorastałem _ zauważył Gelmann.
- Czy chińskie tongi działają i tam? - spytała Dani.
- Zaraz po drugiej stronie granicy jest meksykańskie miasto, w którym stoi największa ichnia świątynia na południe od San Franciscopoinformował Flanders. - W rzeczywistości ...
- A co ci podpowiada instynkt? - przerwał mu Shane. Zapytany ponownie zerknął we wsfeczne lustro.
- Instynkt, patrzcie go!
- Gdybyś go nie miał, już dawno byś nie żył.
- Niewiele osób przywiązuje do niego wagę. Zwykle wszystko trzeba im wykladać kawa na ławę i jeszcze racjonalnie uzasadniać. - Ja do nich nie należę - zapewnił go Shane.
Flanders uśmiechnął się.
- Cóż, wczoraj na terminalu kontenerowym przy zatoce Elliota odbyło się polowanie na prochy. Czegoś tak dziwnego w życiu nie widziałem.

- Przypadkowy nalot czy gliny dostały jakiś cynk?
- Och, z całą pewnością nie był to przypadek - odrzekł Flanders. _ Jeden z chłopców z tutejszej brygady antynarkotykowej dostał informację o dostawie heroiny w kontenerze z Bangkoku.
- A co w tym dziwnego? - spytała Dani.
- W pierwszej chwili wszystko wydawało się w porządku - kontynuował Flanders. - Celnicy i DEA szybko zidentyfikowali ten pojemnik.
- Cały kontener heroiny? - zdziwiła się dziewczyna.
- Żadne takie, po prostu dwadzieścia kilo białego proszku. Doniosły o tym wszystkie gazety i telewizja w wiadomościach o szóstej - ciągnął dalej Flanders. - Prawdziwy triumf toczącej się międzynarodowej batalii przeciwko narkotykom.
- A gdzie jest pies pogrzebany?
- Ten proszek zawierał niecałe pięć procent heroiny. Dobrze zmieszane, dobrze zamaskowane, ale funta kłaków niewarte.
- Masz rację - przyznał Shane. - Faktycznie dziwne.
- Nie rozumiem, dlaczego? - dopytywała się Dani.
- Żaden przemytnik przy zdrowych zmysłach nie będzie ciągnął dziewiętnastu kilogramów talku i tylko kilograma tego, co się naprawdę liczy - wyjaśnił Flanders.
- A już z pewnością nie robi tego chiński szmugler - dorzucił Shane. - Tongi cenią wydajność i skuteczność tylko odrobinę niżej od lojalności.
- No więc? - spytała Dani.
- Ktoś zadał sobie cholemię dużo fatygi i wydał nieco grosza, aby zainscenizować to wczorajsze przedstawienie w porcie - podsumował Flanders.
- I myślisz, że stała za tym grupa Tony'ego Liu? - spytał Shane.
- Ujmijmy to tak - rzekł były celnik. - DEA dostała cynk od ulicznego handlarza niskiego szczebla, który prowadzi knajpę w Bellingham, tuż pod kanadyjską granicą.
- Czyżby chińską? - spytał Shane głosem wypranym z wszelkich emocji.
- Właśnie.
- Co to za knajpa?
- "Shanghai Inn".
- To przykrywką dla "Ziemi i Nieba" - wtrącił Gelmann. - Utrzymują całą sieć chińskich restauracji. Tong dostarcza im kapustę, fasolkę szparagową, marchewkę i za jednym zamachem bieluchną heroinę numer cztery.
- Zatem ktoś z "Ziemi i Nieba" zasypał własny ładunek - stwierdził Shane. - Dlaczego? Czyżby walczyli między sobą?
- Nic z tych rzeczy - Flanders potrząsnął głową. - Trzymają się tam jeden drugiego niczym bliźnięta syjamskie. Nie, jeśli wydali własny to-, war, to znaczy, że chronili coś znacznie dla nich cenniejszego.
- Jedwab - rzuciła Dani.
- Jedwab - zgodził się z nią Shane.
- Musi to być bardzo cenny kawałek jedwabiu, skoro opłacało im się robić taki cyrk - zauważył Teksańczyk.
- Nie da się ukryć - potwierdziła dziewczyna.
- Zatem materiał już tutaj dotarł - orzekł Shane. - Ciekawe tylko, jak Harmonia ustosunkuje się do faktu, że raptem zabrakło im honorowego gościa.
- Zabrakło? - spytał Flanders.
- Owszem - odparł Shane. - Czy mógłbyś trochę przyspieszyć? Czas ucieka, a nie mamy go zbyt wiele. Były celnik zerknął we wsteczne lustro, chcąc się upewnić, czy Crowe nie żartuje. Najwyraźniej mówił poważnie.
Flandres poprawił się na fotelu i wdepnął pedał gazu. Teraz jechali naprawdę szybko.

27

Gdyby nie szpara między przednimi zębami, Tony Liu z pewnością przyniósłby chlubę kotu z Cheshire. W ostrym świetle starych drewnianych lamp, zwisających z belkowanego sufitu magazynu, twarz Chińczyka co chwila rozjaśniał przebiegły uśmiech.

Budda promieniał również, ale jakoś inaczej.

Rzeźba wykonana z drewna tekowego, prawdziwe dzieło sztuki, była sporych rozmiarów. Ramiona i tors siedzącego Buddy, które z powodzeniem mogłyby należeć do mężczyzny będącego w szczytowej formie fizycznej, dodawały szczypty zmysłowości do wzniosłej duchowości posągu.

Ale wielkość artysty uwidoczniła się przede wszystkim w twarzy.

Rysy Buddy wyrażały zarówno pogodę ducha, jak i niczym nie zmałowany spokój.

Liu potarł błyszczące ramię posągu swoim rękawem.

- Ładny, prawda?

Kasatonin skinął głową.

- Bardziej przypomina żołnierza niż Boga - powiedział wolno. Zgodzisz się ze mną, Katiu?

Rosjanka wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z religią, budziło w niej niepokój.

- Ten posąg wyrzeźbiono w Bangkoku - poinformował ich Chińczyk. - Będzie centralnym elementem świątyni, którą buddyści budują w Seattle.

Katia odwróciła się niecierpliwie i stanęła z Tonym Liu twarzą w twarz.

Od godziny subtelnie się z nimi drażnił. Co i rusz robił jakieś aluzje do tego, że jedwab jest gdzieś pod ręką, ale jeszcze go nie pokazał.

- Prawda, że to zadziwiające - rzekł Chińczyk - jak silnie działają na ludzi wizerunki religijne, takie jak ten tutaj. Czujemy się wobec nich mali i nieważni, i to nawet jeśli nie jesteśmy szczególnie religijni lub wyznajemy inną wiarę.

Kasatonin obserwował Tony'ego, a spojrzenie jego niebieskich oczu było zupełnie bez wyrazu.

_ Nawet dostojnicy państwowi i biurokraci chylą przed tym posągiem czoła - ciągnął Liu.

- A czy jest jakaś puenta? - spytała Rosjanka z błędym uśmiechem. Chińczyk nieznacznie skinął głową, ciesząc się z jej zniecierpliwienia.

- Zawsze jest jakaś puenta - mruknął.

- A tym razem?

- Byłoby rzeczą nie do pomyślenia, gdyby jakiś niski rangą inspektor celny zbyt wnikliwie badał kosztowny wizerunek religijny o dużej wartości artystycznej, taki jak ten tutaj - odrzekł Liu.

Wziął do ręki młotek, który służył do rozpakowania posągu, i uniósł go lekko do góry, jakby chciał zważyć albo sprawdzić, czy dobrze leży w dłoni.

- Byłoby na przykład nie do pomyślenia zrobić coś takiego - kontynuował.

Przy tych słowach z całej siły zamachnął się młotkiem.

Ruch był równie szybki, co nieoczekiwany. Stał uderzyła w drewno.

Nieziemska, piękna twarz Buddy rozleciała się na kawałki. Na wszystkie strony posypały się drzazgi.

Katia gwałtownie wciągnęła powietrze. Mimo pozornej obojętności wobec posągu w głębi ducha pozostała rosyjską dziewczynką pełną dziecięcej bojaźni wobec boskich wizerunków.

Na widok jej reakcji Liu roześmiał się głośno i gestem przywołał jednego z pomocników.

Otworzył skrzynię i wyjął głowę Buddy, równie piękną i niezwykłą jak ta, która przed chwilą została zniszczona.

_ Bez obaw - powiedział. - Budda nie stanie bez głowy w swojej nowej świątyni. Dysponuję częścią zamienną, dłuta tego samego artysty. - Wywiązał się pan ze swojego zadania nadzwyczaj dobrze - stwierdził Kasatonin.

Liu kiwnął głową.

- Już od pewnego czasu byłem w posiadaniu tego pięknego dwugłowego posągu i tylko czekałem na specjalne zadanie - oświadczył. Wiedziałem, że któregoś dnia trafi mi się kontrabanda warta opieki samego Buddy.

- Harmonia jest panu wdzięczna - powiedziała Katia.

- To tylko drobny rewanż za podarunek, jakim była możliwość poznania mojego wnuka - odparł.

Obszedł rzeźbę i sięgnął w głąb posągu. Z pewną ostentacją wyjął stamtąd zawiniątko nieco większe od piłki futbolowej. Scyzorykiem rozciął taśmę, którą pakunek był okręcony.

Gdy odwinął materiał ochronny, oczom obecnych ukazał się szklany cylinder długości około pół metra i dziesięciu centymetrów średnicy. Zatkany był zwykłym korkiem. Znajdujące się wewnątrz pakieciki z żelazem krzemionkowym miały za zadanie wchłonąć najmniejszy nawet ślad wilgoci, która mogłaby się dostać do środka wraz z powietrzem przenikającym przez korkową zatyczkę. Miniaturowy otworek, który swego czasu posłużył do odessania powietrza, teraz był zatkany kawałkiem hebanu.

- Oto jedwab - powiedział Liu - cały i nietknięty. Równie piękny dzisiaj, jak w dniu, kiedy skradziono go z klasztoru w Lhasie.

Katia uważnie przyjrzała się szklanemu pojemnikowi. Nie dostrzegła żadnych szczerb czy pęknięć. A co ważniejsze, nie dostrzegła wody skroplonej na wewnętrznej ścianie szklanego cylindra. Chociaż dość topornie

wykonany, pojemnik spełnił swoje zadanie.

- Proszę zwrócić uwagę, że w środku nie ma żadnych śladów wilgoci - dodał Liu.

- Pańskie szczęście - mruknął Kasatonin. - Niech no mu się przyjrzę. W wielkich dłoniach Rosjanina szklany cylinder wydawał się wyjątkowo kruchy. Mężczyzna obracał go, oglądając szkło pod światło. Spod grubego białego jedwabiu, który służył jako warstwa ochronna, wystawał niebieski rożek. Na zwiewnym błękitcie połyskiwały złote nitki. Kasatonin wzruszył ramionami i podał cylinder Katii.

- Spłowiła niebieska szmata - zawyrokował. A zawarte w niej złoto nie warte jest nawet rubla. Buty czyszczyć czymś lepszym niż to.

Liu uśmiechnął się szeroko. Był zadowolony, bo przez chwilę obawiał się, że Rosjanin będzie robił trudności z powodu wystającego rożka.

. Katia ostrożnie ujęła cylinder. Wpatrywała się w jedwab, a na jej twarzy błąkał się blady uśmiešek.

- Jak na mój gust, niewart jest tych wszystkich kosztów i trudówdodał Kasatonin. - No, ale ja jestem tylko żołnierzem, a nie generałem. - Panu Kojamie oferujemy nie tyle piękno, co historię - oświadczyła Katia. - Jestem pewna, że będzie naprawdę zadowolony.

- A zatem przyjeżdża? - spytał Liu schrypniętym głosem.

- Oczywiście, że przyjeżdża - zapewniła. - Dlaczego miałby nie przyjechać?

- Jak dotąd, japońska jakuza nie zdradzała najmniejszej chęci do współpracy - zauważył Chińczyk.

- Kojama bardziej potrzebuje nas niż my jego - odparł Kasatonin. Liu wyglądał na człowieka, którego nadal trapią wątpliwości.

- Obie strony potrzebują się w takim samym stopniu - podkreśliła Katia. - Rywalizujemy jak równy z równym. A do niego należy decyzja, czy będziemy przyjaciółmi czy wrogami. Ufamy, że Kojama wybierze korzystniejszy wariant.

- Oczywiście - rzucił Liu niecierpliwie. - Ale jak zamierzacie rozwiązać jego problemy wizowe?

Nie odrywając spojrzenia od rożka antycznego jedwabiu, Katia nieprzerwanie obracała w palcach szklany cylinder.

- Urzędowe decyzje nigdy nie są ostateczne - powiedziała. - Zawsze znajdzie się jakiś wyższy urzędnik, który pozytywnie rozpatrzy odwołanie ... za dobrą opłatą.

Chińczyk opuścił powieki. Jego oczy zmieniły się w błyszczące czarne szparki.

- No tak - mruknął. - Kolejny biurokrata z urzędu imigracyjnego przejdzie niedługo na emeryturę i osiadzie na Florydzie.

- Tym razem nie - zaprzeczyła Rosjanka. - Mamy już kogoś pod swoją kontrolą: kobietę, która podpisała zgodę na pański wjazd do Ameryki.

- Ona jest w Ottawie - upierał się Liu. - Jest Kanadyjką. Jaki pożytek będzie z niej miał Kojama?

Katia uśmiechnęła się.

- Ajak daleko stąd do Kanady? - spytała. - Na przykład do Vancouveru?

- Jakieś dwieście kilometrów - odparł - ale ...

- Wszystko zostało zorganizowane, gdy my tutaj traciliśmy czas - przerwał mu Kasatonin.

Katia rzuciła kochankowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Przenosimy nasze spotkanie do hotelu Four Seasons w centrum Vancouveru - poinformowała.

- Kiedy? - dopytywał się Liu.

Rozdrażniony postawą Chińczyka Kasatonin postąpił pół kroku do przodu. Powstrzymało go dotknięcie smukłej dłoni Katii.

- Kojama przylatuje do Vancouveru dziś wieczór - powiedziała Rosjanka spokojnie. - Spotkanie odbędzie się jutro.

- Jeśli potrzebne wamjest bezpieczne miejsce spotkania, tong "Ziemia i Niebo" ma wiele atrakcyjnych propozycji - rzekł Liu.

- Dziękuję, ale tym razem nie będzie to konieczne.

- Co właściwie ma pani na myśli? - zapytał ostrym głosem.

Po raz drugi Kasatonin zrobił ruch w kierunku małego człowieczka. I po raz drugi Katia powstrzymała go dotknięciem ręki.

- Zamierzamy wyczarterować jacht dla tych wszystkich, którzy opecnie przebywają w Seattle - wyjaśniła. - W drodze do Vancouveru opłyniemy wyspę San Juan.

Liu jęknął.

- Pan, oczywiście - dodała uprzejmie - nie będzie płynął razem z nami.

N a twarzy Chińczyka na moment uwidoczniał się lęk.

- Dlaczego nie? - spytał szorstko. .

- Bo będzie pan bardzo, bardzo zajęty - odrzekła kobieta.

Z uśmiechem na ustach wręczyła mu szklany cylinder.

- Pańskim zadaniem będzie przeszmugłowanie dla nas tej szmaty po raz drugi - wyjaśnił Kasatonin. I Liu ukrył ulgę jeszcze szybciej niż przedtem obawę.

- Sądzę, że nie będzie pan miał żadnych kłopotów - powiedział Rosjanin. - Granica między Stanami a Kanadą jest równie łatwa do penetracji, jak uliczna dziwka.

- To prawda, nie spodziewam się żadnych kłopotów - oświadczył Liu, uśmiechając się i kiwając głową.

- Jak pan to zrobi? - spytał Kasatonin.

- Im mniej ludzi będzie wiedziało, jak i którędy, tym zdrowiej dla nas wszystkich - stwierdził Chińczyk.

- Mnie to nie wystarczy - warknął Kasatonin.

- Skoro przedtem zaufaliście "Ziemi i Niebu" ...

- Zaufaliśmy? - przerwał mu Rosjanin ze śmiechem. - Śledziłem ten jedwab na trasie o wiele uważniej niż pan.

Po twarzy Chińczyka przemknął wyraz czujności i zaniepokojenia. - Proszę mi podać planowaną trasę do Vancouveru - rozkazał Kasatonin. - I to szczegółowo.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni marynarki złożoną mapę. Rozpostarł ją tak, by drogi łączące Seattle z Vancouverem stały się w pełni widoczne.

Rozgniewany Tony Liu wyprostował się na całą swoją wysokość stu sześćdziesięciu centymetrów.

Wyglądał jak terier warczący na potężnego owczarka kaukaskiego.

- Proszę mu odpowiedzieć - wtąciła pojednawczo Katia, uśmiechając się i delikatnie dotykając ramienia Chińczyka. - Harmonia istnieje dlatego, że współpraca przynosi większe zyski niż wojna.

Liu zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Wiedział o tym od chwili, gdy ujrział swój kanadyjski paszport.

Dokument stwarzał mu szansę na poznanie wnuka, lecz jednocześnie subtelnie dawał do zrozumienia, że nad maleństwem zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ale nawet w tak trudnej sytuacji Liu bardzo niechętnie godził się na to, by krwiożerczy podwładny Katii wydawał mu rozkazy. Wciągnął powietrze przez szparę między zębami okazując w ten sposób swoje niezadowolenie.

Potem wziął do ręki mapę i położył ją na jakiejś skrzyni. - Istnieje kilka możliwości - oświadczył bez wstępów. Kasatonin i Katia stanęli po obu jego bokach.

- Na przykład? - zapytała Rosjanka.

- Jest lokalna droga, którą ludzie jeżdżą do pracy. Wiedzie przez przejście graniczne w Blaine - powiedział. - Wozy z odpowiednim oznakowaniem przejeżdżają prawie niekontrolowane.

- Dobrze - powiedziała Katia. - W tym przypadku jedwab dotrze do Vancouveru w ciągu trzech godzin, prawda?

Liu zaprzeczył, gwałtownie kręcąc głową.

- Tylko nieliczni Azjaci dysponują takim oznakowaniem - odparł. Do przewozu trzeba by było zatrudnić białego. Może pan Kasatonin ... -

Nie - przerwała mu. - Ilja zostanie ze mną.

Chińczyk nie był zaskoczony. W Harmonii wiadano powszechnie, że Kasatonin pełni funkcję osobistego ochroniarza Katii, będąc jednocześnie jej faworytem i ulubionym specjalistą od mokrej roboty.

- Więc może ktoś inny - zaproponował.

Kobieta spojrzała na swego kochanka. Zabijanie było jego najmocniej szą stroną, ale świetnie się spisywał także w zakresie taktyki i logistyki. - Nie - odrzekł Kasatonin. - Żadnych obcych na tym etapie, chyba że już zupełnie nie da się tego uniknąć.

- A co z łodziami rybaków? - podsunęła Katia. - Czy nie pływają po tej trasie aż do Alaski? - Przy tych słowach wskazała cieśninę między wyspą Vancouver a kanadyjskim terytorium na stałym lądzie.

- Kapsułę bez trudu da się schować gdzieś przy zębie - dodał Kasatonin.

- Trasa łodzi rybackich uzależniona jest od pory roku - odparł Liu. To nie jest właściwy czas.

- Jaką zatem trasę pan proponuje? - Rosjanin tracił cierpliwość.

- Proponuję skrzynkę - powiedział Liu. - To przypuszczalnie najlepszy wybór w każdej sytuacji. Łatwy do kontrolowania. Bo przecież o to wam chodzi, prawda? O kontrolę?

- Proszę to wyjaśnić - polecił Kasatonin. - Znam ten termin, ale nie w odniesieniu do przemytu przez granicę.

- Jak już pan zauważył, ta granica nie jest szczególnie ostro pilnowana. Ludzie "Ziemi i Nieba" często ją przekraczają, tyle że zwykle w przeciwnym kierunku.

- W jaki sposób?

- Dostarczamy heroinę do małego kanadyjskiego miasteczka na wyspie Vancouver, a potem drogą wodną przewozimy ją na południe szlakiem promowym wiodącym przez wyspy San Juan.

Katia zmarszczyła brwi.

- A co z kontrolą celną? - spytała.
- Przeprowadzają ją głównym torze wiodącym z kraju do kraju - odparł Liu. - Ale między tymi wyspami promy kursują w tę i z powrotem, i nawet pies z kulawą nogą się nimi nie interesuje.
- Naprawdę? - spytała. - To dziwne, nawet jak na Amerykanów. Uśmiechnął się, hałaśliwie zasysając powietrze.
- Szlaki promowe na tych wyspach same w sobie tworzą istny labirynt, który dodatkowo komplikuje się z uwagi na rozkłady jazdy - powiedział. - Można przewieźć towar powiedzmy na wyspę San Juan, ale zostawić go gdzieś w bezpiecznym miejscu, czyli w skrzynce.
Kasatonin od razu się zorientował, do czego Chińczyk zmierza. Zaczął kiwać aprobująco głową, zanim przywódca "Ziemi i Nieba" skończył swoje wywody.
- Ktoś z kanadyjskiej strony wsiada na prom kursujący między wyspami, opróżnia skrzynkę i wraca do Victorii - mówił Liu. - Stamtąd w ciągu kilku minut można hydroplanem dostać się do Vancouveru. A między głównym terytorium Kanady a kanadyjskimi wyspami nie ma, rzecz jasna, żadnej kontroli celnej.
- Dlaczego akurat San Juan? - spytał Rosjanin, patrząc na mapę. - Jest tam małe miasteczko. Friday Harbor. Liu wzruszył ramionami.
- No i?
- Dlaczego nie któraś z pomniejszych wysepek, gdzie mieszka znacznie mniej ludzi. Im mniej ludzi, tym mniejsza jest szansa, że ktoś będzie to obserwował.
- Ponieważ, mój przyjacielu - wyjaśnił Liu - we Friday Harbor dysponujemy miejscem, gdzie bezpiecznie możemy przechowywać kontrabandę.
- Co to za miejsce? - spytała Katia. .
- Restauracja zwana "Chińska Dziewczyna". - Liu skrzywił się. - Brzydzę się tą nazwą, ale najwyraźniej przypadła turystom do gustu.
- Czy ta knajpa należy do waszego tongu? - dopytywał się Kasatonin. Liu uraczył ich kolejnym uśmiechem kota z Cheshire, prezentując szparę między przednimi zębami. Chociaż w tym akurat momencie zdecydowanie bardziej przypominał rozwścieczonego szczura niż zadowolonego z życia kota.
- To miejsce jest równie bezpieczne, jak skarbiec w banku - oświadczył.
Katia zerknęła na Kasatonina, czekając na jego zgodę bądź sprzeciw wobec planu Chińczyka. Przez kilka minut w magazynie panowała kompletna cisza. Rosjanin starannie analizował plan gangstera, rozpatrując go z coraz to innej strony. Wreszcie kiwnął głową na znak zgody.
- Jedwab musi się znaleźć w Vancouverze najpóźniej jutro o dziesiątej rano - poinformowała Chińczyka Katia. -
Uwinie się pan z transportem do tego czasu?
- Oczywiście, Caryco - odparł Liu.
- A zatem proszę wykonać zadanie - poleciła. Uśmiechnęła się do niego, planując jednocześnie sposób wzięcia odwetu na aroganckim Chińczyku. Na tę myśl jej ciało przeszło dreszcz oczekiwania.
Ale najpierw, napomniała się, Liu musi odegrać rolę, jaką mu wyznaczyłam.

28

Kiedyś była tutaj chińska dzielnica, ale teraz w rozpadających się budynkach mieściły się hurtownie i magazyny. Zwalone na stos kawałki belek i połamanych cegieł przywodziły na myśl kurhany kryjące w sobie ciała zmarłych. Mimo iż większość posesji było opuszczonych, wśród stuletnich budynków wciąż jeszcze wyraźnie czuło się atmosferę Dalekiego Wschodu, jaką pozostawili po sobie dawni mieszkańcy. Przez ostatnie dwadzieścia minut Dani próbowała wyobrazić sobie, jak to miejsce kiedyś wyglądało. Tego rodzaju ćwiczenie umysłowe było jej sposobem radzenia sobie z mieszaniną niepokoju i pospolitej nudy, która ją opanowała.

Nie ulegało wątpliwości, że obserwacja, która jak dotąd ograniczała się do siedzenia i gapienia na nic, to potwornie monotonne zajęcie.

- Czy obserwacja zawsze jest taka ... eee ... podniecająca? - spytała z przekąsem.

- Tak - odparł Shane.

- Obserwacja jest nudna tylko wtedy, gdy obserwator przebywa w odległości pół mili od swego celu - mruknął Flanders pod nosem.

- Co, proszę? - spytała Dani.

Teksańczyk zajęty był właśnie czyszczeniem i polerowaniem wielkiego pistoletu. Teraz podniósł na nią wzrok.

- Jeśli podejdzie się bliżej, obserwacja może być o wiele bardziej interesująca niż przyglądanie się schnącej farbie.

Jego słowa padły jednak w próżnię. Crowe siedział w całkowitym bezruchu i przez przydymione szyby vana obserwował świat za oknami. Wyglądał jak tygrys ukryty w mrocznej dżungli, rozświetlonej tu i ówdzie pstrymi plamkami.

Flanders wymruczał kilka przekleństw po hiszpańsku i zaczął ładować pistolet.

- Obserwacja jest zajęciem nudnym i nienudnym - odezwał się Shane. - Można uznać, że nie jest ani taka, ani taka, albo że jest i taka, i taka jednocześnie.

- Powiedz to jeszcze raz, ale po angielsku.

- W porównaniu z wpatrywaniem się w płamę widniejącą na kamiennej ścianie lodowatej klasztornej celi i rozmyślaniem o nieskończonej różnorodności przejawów nieskończoności obserwacja wydaje się niesłychanie stymulująca - stwierdził Shane.

- Obserwacja zen, no, no - powiedział Flanders. - Zawsze słyszałem, że wy, ludzie z Risk Limited, jesteście mózgowcami, ale pojęcia nie miałem, że w waszych szeregach pozostali jeszcze jacyś wojownicy zen. - On jest mnichem - poinformowała Dani z odcieniem goryczy w głosie. - A to wielka różnica.

- Poszukiwaczem - poprawił oboje Shane. - Nic więcej, nic mniej.

- Szukasz czegoś szczególnego? - spytał Flanders z niewinną miną. - Seattle jest dużym miastem, można tu znaleźć niemal wszystko.

Shane roześmiał się. W ciągu kilku godzin, jakie razem spędzili w samochodzie obserwacyjnym, nauczył się cenić zgryźliwego, pozbawionego wszelkich złudzeń Teksańczyka.

Przyszło mu do głowy, że Prasam Dhamsa również polubiłby Flandersa. Dostrzegłby jego upór w poszukiwaniu lepszego świata, głęboko skrywany pod warstwą cynizmu.

- Tym, czego szukam, jest spokój wewnętrzny - powiedział. W gruncie rzeczy wszyscy właśnie tego szukają.

- Mów za siebie - wpadła mu w słowo Dani. - Co do mnie, to szukam czegoś bardziej namacalnego: szaty Buddy.

- O tak, znalezienie jej przyniosłoby mi spokój - zgodził się Shane. - Bardzo dużo spokoju.

Flanders machnął pistoletem w kierunku magazynu, który obserwowali już od godziny, to znaczy od chwili, gdy Katia i Kasatonin weszli do środka.

- Czy nie przeszkadza ci, że prawdopodobnie gapimy się dokładnie na to, czego szukamy? - zapytał.

- Nie wiemy tego na pewno - odparł Shane.

- Moglibyśmy wykopać te drzwi i sprawdzić.

- Ale nie moglibyśmy cofnąć tego wykopywania, gdyby się okazało, że jedwabiu tam nie ma - odparował Crowe.

- A co byś powiedział na mały mikrofon kierunkowy albo na wbity w ścianę magazynu miniaturowy nadajnik? - zaproponował Flanders. - Zbyt niebezpieczne. Na pewno wystawili czujki i cały budynek jest pod obserwacją.

- Potrafię przekonująco udawać bezdomnego pijaka. Shane potrząsnął przecząco głową.

- Kurwa! - zaklął Flanders pod nosem. - Wygląda na to, że Risk Limited ma opory przed stosowaniem niezbyt czystych chwytów?

- To zależy.

- Najwyraźniej nie usiłujesz zmontować z tego sprawy przed sądem federalnym? - spytał Teksańczyk. - Wszystko, na czym ci zależy, to informacje, zgadza się?

- I to anonimowe - dodał Shane. - Takie, których źródła nie da się potem wysledzić.

- W takim razie mikrofon kierunkowy pasowałby tutaj jak ulał. Shane ponownie potrząsnął głową.

- Nie mamy do czynienia z pokątnymi sprzedawcami handlującymi najtańszymi dziankami koki - powiedział. - Kasatonin na kilometr wyczuwa niebezpieczeństwo.

- Podobnie jak ty - zauważyła Dani.

- Ani ciebie, ani mnie nie uchroniło to jednak w Lhasie od wpadnięcia w porządne tarapaty, gdy znaleźliśmy się blisko niego - stwierdził Shane.

Flanders podniósł wzrok.

- Na ile porządne?

- Minęliśmy się ze śmiercią o włos.

- Podszedłeś do niego stanowczo zbyt blisko, synu.

- Wiem - odparł Shane. - Nie chcę, żeby Dani po raz drugi znalazła się w takim niebezpieczeństwie. Jest osobą cywilną.

- N o dobra, zgoda - oświadczył Flanders. - W końcu ty tu rządzisz.

- Ajak długo będziemy tujeszc'ze sterczeć? - spytała Dani. Pytanie skierowane było do Shane' a.

- Aż coś zobaczymy.

- Czy tak samo byś postępował, gdyby mnie tutaj nie było? - drażyła dziewczyna dalej.

- Prawdopodobnie. Flanders tylko prychnął.

- Możemy sobie pozwolić na jeszcze odrobinę cierpliwości - powiedział Shane. - Nasi tokijscy agenci pilnują Kojamy. Mamy więc dość czasu, by od razu wszystko zrobić, jak należy, tak żeby nie trzeba było potem nic poprawiać.

- Ale ... - zaczęła Dani.

- Później - przerwał jej ostro.

Dziewczyna aż otworzyła oczy ze zdumienia. W ułamku sekundy Shane przeobraził się w prawdziwego drapieznika.

Chwilę później ożywił się również Flanders. Wyprostował się w fotelu, wsunął pistolet za pas i podniósł lornetkę do oczu.

Shane zdążył już użyć swojej.

Po drugiej stronie usianej gruzami parceli, przed samym wejściem do magazynu "Ziemi i Nieba"

zatrzymała się brunatna półciężarówka z przy_ czepą kempingową. Kierowca wysiadł, podszedł do drzwi i zapukał.

- Chen Li Hwan - oznajmił Flanders, rozpoznając przybysza. - Ciężka cholera! Pięć tysięcy dolarów od ręki. Nie przypuszczałem, że ten palant jeszcze kiedykolwiek pokaże swoją wyleńiałą bródkę i chudy tyłek po mojej stronie granicy.

Drzwi magazynu uchyliły się i Chińczyk wszedł do środka.

Shane przeprowadzał w duchu inwentaryzację magazynu, omiatając uważnym spojrzeniem wnętrze pomieszczenia. .

- Osiem do dziesięciu osób w środku - powiedział na głos. - Kasatonin, Katia, Liu. I posąg siedzącego Buddy, rzeźba świątynna, której jednak brakuje głowy.

- No, to teraz już wiesz, jak przesznułowali towar - zauważył Flanders. .

- Na co my właściwie czekamy? - spytała Dani z podnieceniem w głosie.

- Na lepsze szanse - odparł Shane zwięźle.

Z torby leżącej koło nóg były celnik wyciągnął telefon komórkowy.

- Słyszałeś kiedyś o dziewięćset jedenaście? - spytał Shane'a.

- Owszem, ale nie dzwoń.

- Chen jest poszukiwany przez władze federalne - odparł Flanders. - Anonimowy telefon na miejscowy komisariat i w ciągu pięciu minut pojawią się tu uzbrojone po zęby oddziały specjalne.

Shane odprowadzał wzrokiem przyczepę kempingową, niknącą za przesuwными drzwiami magazynu.

Odpowiedział dopiero po chwili.

- Odlóż telefon - polecił.

- Chcesz odzyskać ten cholerny jedwab czy nie? - spytał Flanders.

- Ten jedwab jest delikatny jak pajęczyna - powiedział Shane. - Musimy czekać, póki nie uzyskamy pewności, że uda nam się go dostać w stanie nieuszkodzonym. Subtelność i delikatność działania nie jest najmocniejszą stroną oddziałów specjalnych.

Miał poza tym na uwadze jeszcze jedną sprawę. Sprawę, o której dotychczas wiedział tylko on, Redpath, Gillespie i pewien anonimowy tkacz. Jeśli jego plan się powiedzie, Harmonia legnie w gruzach.

Flanders z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Ty jesteś szefem - mruknął. - Ale kiedyś będziemy musieli zaryzykować, albo nigdy nie uda ci się podejść na tyle blisko, żeby mogło to mieć jakieś praktyczne znaczenie.

- Musimy wyprzedzić Harmonię i zastawić pułapkę - oświadczył Shane, nie odrywając wzroku od zamkniętych drzwi magazynu. - Kim jest ten Chen Li Hwan?

- Szmuglerem heroiny - odpowiedział Tekszańczyk. - Poszukiwanym przez Urząd Celny. Jego rodzina

proceedzi sklep spożywczy w chińskiej dzielnicy w Victorii. Prawdopodobnie służy jako przechowalnia dla najmniejszej połowy heroiny przetrucanej z Azji, ale nikomu nie udało się jak dotąd zdobyć dowodów.

- Czy Chen jest człowiekiem "Ziemi i Nieba"? - spytał Shane.

- Na to wygląda - odparł krótko Flanders. - Obcych nie wpuszcza się do takiego magazynu frontowymi drzwiami.

Obaj mężczyźni przez kilkanaście minut w milczeniu obserwowali wejście do budynku.

Nic się nie działo.

Nagle rozległo się ciche, rytmiczne stukanie w boczną ściankę vana.

Na dźwięk otwieranych drzwi Shane odwrócił głowę. Do środka wszedł Gelmann. Wyraz zadowolenia na twarzy Kalifornijczyka mówił wyraźnie, że agent przynosi jakieś wieści.

Shane podniósł lornetkę do oczu i ponownie podjął obserwację magazynu.

- Mów- odezwał się do Gelmanna.

- Dozorczynią hotelu jest śliczna młoda Latynoska, urodzona i wychowana, tak jak ja, w Guadalajarze - powiedział przybyły.

- A mówiłeś mi, że urodziłeś się w Guanajuato - wpadł mu w słowo Flanders.

Gelmann wymownie wzruszył ramionami.

- Dozorczyńni przez całe rano była bardzo zajęta - ciągnął dalej. _ Przygotowuje do drogi luksusowy jacht wyczarterowany dla grupy bogatych cudzoziemców, którzy zatrzymali się tymczasem w hotelu Four Seasons.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - wtrąciła Dani.

- Ciepłowości, *chica* - odparł zapytany, uśmiechając się. - Po dwóch dniach pobytu, mimo pięciodniowej rezerwacji, naj bogatsi członkowie Harmonii decydują się na opuszczenie hotelu i udanie się drogą morską do Vancouveru. Chodzi tu o miasto, nie o wyspę.

- Kiedy wyruszają?

- Za kilka godzin.

- Jak się nazywa ten jacht? - spytał Shane.

- "Party Tyme" - odparł Gelmann. - Katia wyczarterowała ten jacht na nocny rejs, do Vancouveru mają przybyć jutro o dziesiątej rano. Dla Harmonii zarezerwowano kilka noclegów w hotelu Four Seasons przy Georgia Street.

- Kto będzie na pokładzie?

- Wszyscy z wyjątkiem Tony'ego Liu.

Shane uśmiechnął się.

- Dobra robota - oświadczył. - Naprawdę znakomita.

- Vancouver - powiedziała Dani. - Czy Kojarna mógł dostać wizę kanadyjską?

- Jasne - odparł Flanders. - Przepisy kanadyjskie są o wiele bardziej liberalne niż amerykańskie.

Kanadyjczycy udzieliliby azylu politycznego nawet facetowi odpowiedzialnemu za Pearl Harbour.

- Więc wszystko na nic - podsumowała Dani ponuro. - Harmonia będzie miała swoje japońskie kontakty, Kojarna dostanie jedwab, a reszta świata może się powiesić.

- Hej - odezwał się Shane miękko. Odłożył lornetkę i oparł dłonie na ramionach dziewczyny. Była spięta, aż drżała z gniewu. - Wszystko w porządku - zapewnił ją. - Mamy teraz szansę wyśfOrowania się nieco do przodu.

- Wysforowania się? Na litość boską, Shane! Oni prawdopodobnie obstawili już ten hotel w Vancouverze. O jachcie nie warto nawet wspominać. Co niby mamy robić? Płynąć w ślad za nimi?

- Nazywamy to taktyką psów pasterskich - wyjaśnił Shane.

- Nazwij to raczej kłęką na całej linii.

- Zmusiliśmy ich do obrania nowego kierunku - powiedział. - Kierunku, którego przedtem nie brali pod uwagę. W takiej sytuacji nietrudno o popełnienie błędu, a to nam daje szansę, Dani.

- Słuchając cię, dochodzę do wniosku, że taka zabawa jest o wiele bardziej ryzykowna niż wdarcie się tam siłą i zagarnięcie tego jedwabiu - mruknął Flanders.

Shane odwrócił się w stronę Teksańczyka.

- Zastanów się - powiedział. - Jak duża jest szansa, że Harmonia zabierze ten jedwab na jacht?

Flanders zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- O tej porze roku na tej trasie panuje bardzo mały ruch rekreacyjno-turystyczny - stwierdził. - Wystarczyłby jeden telefon, a kanadyjska policja konna oblażyłaby ten jacht jak pchły brudnego kundla.

- Ci Rosjanie są bardzo ostrożni - wtrącił Gelmann. - Nie zaryzykują przyłapania z trefnym towarem.

- I dlatego właśnie Tony Liu nie płynie razem z nimi - odparł Shane. - Jest ekspertem, jeśli chodzi o nielegalny przetrut przez granicę. Jak wy, na jego miejscu, byście się do tego zabrali?

- Chen Li Hwan - bez sekundy namysłu odpowiedział Flanders. Jest przebiegły i śliski jak piskorz.

- Czy on nie jest przypadkiem Kanadyjczykiem? - spytała Dani.

- Kanały przerzutowe działają w obie strony - zauważył Crowe i zwrócił się do Flandersa: - Podaj mi, proszę, komórkę z urządzeniem szyfrującym.

Z torby leżącej koło jego stóp Teksaszczyk wyjął duży telefon komórkowy i podał go Shane'owi. Crowe chwycił aparat i zaczął przyciskać guziki.

Po kilku sekundach uzyskał połączenie. Dekoder zmieniał trochę głos Redpath, ale dawało się go rozpoznać.

- Cześć, Cassandro - odezwał się Shane. - Czy Gillie jest gdzieś pod ręką?

- Tak.

- To dobrze. Przełącz może na głośnik.

Dani obserwowała go z zapartym tchem. Czekał, aż Redpath przełączy rozmowę na głośnik stojący na jej biurku. Napięcie, jakie malowało się na jego twarzy, niemal ją hipnotyzowało.

- Jesteśmy prawie pewni, że w tej chwili nasz jedwab znajduje się w pewnym magazynie na terenie International District w Seattle - oznajmił.

- A jak się tam dostał? - zapytała Redpath.

- W brzuchu Buddy.

- Możesz tam wejść bez informowania o tym całego świata? - wtrącił Gillespie.

- W żaden sposób. Dobrze go pilnują. Czy japoński karp już wyleciał?

- Zaczekaj chwilę - odparła Redpath. - Gillie właśnie dzwoni do Tokio.

Pół minuty później Shane znał już odpowiedź. Przekazał ją pozostałym:

- Agenci tokijscy odprowadzili Kojamę na lotnisko Narita. W tej chwili przebywa w strefie wolnocłowej, w rękę trzyma kartę pokładową samolotu Air Canada. Nie mogą podejść na tyle blisko, żeby odczytać numer lotu.

- Do kitu z taką robotą - mruknął Flanders.

- Poproś, aby sprawdzili na tablicy odlotów - rzucił Shane do słuchawki. - Idę o zakład, że w ciągu najbliższych dwudziestu minut jest planowy rejs do Vancouveru w Kanadzie.

Czekał, podczas gdy wiadomość przekazano do Tokio, a potem wysłuchano odpowiedzi, którą następnie mu powtórzono.

- Jesteś genialny - orzekła Redpath.

- Jasne - Shane uśmiechnął się ponuro. - I pewnie dlatego pozwoliłem, żeby ten jedwab wymknął mi się z rąk.

- Bzdura. Gdybyś postąpił inaczej, osobiście wywaliłabym cię z firmy - oświadczyła rudowłosa szefowa. Uśmiech Shane' a złagodniał.

- Czy Gillie wciąż tam jest?

- Jestem - odezwał się sierżant sztabowy.

- Przechodzimy do planu B. Jak poszła robota pionowi technicznemu?

- Palce lizać.

- To dobrze - rzucił Shane. - Oho, musimy się zbierać. Chen właśnie wyjeżdża. Będziemy was informować na bieżąco.

Flanders opadł na fotel kierowcy i włączył silnik.

- Zatrzymajmy go-, gdy tylko zniknie z tego terenu - zdecydował Shane. .

- Myślałem, że mieliśmy nie pokazywać się nikomu na oczy - zdziwił się Gelmann.

- Jestem pewien, że Bill zdoła skłonić Chena, żeby trzymał język za zębami - powiedział Shane. - Na jego miejscu doradziłbym temu Chińczykowi skorzystanie z konstytucyjnego prawa do współpracy z władzami. W końcu musi przecież jakoś zapracować na zmniejszenie wyroku.

Gelmann wyglądał na zdezorientowanego. Flanders natomiast wybuchnął gromkim śmiechem.

- Zauważyłeś, co?

- Trudno byłoby przeoczyć, zwłaszcza że nosisz przy sobie tę armatę - odparł Shane.

- O czym wy, do licha, mówicie? - spytała Dani.

Crowe wyciągnął nogę, zaczepił stopą o pasek ciężkiej skórzanej torby Flandersa i przyciągnął ją ku sobie.

- O tym - powiedział, sięgając do torby.

Wyjął z niej granatową wiatrówkę i rozpostarł ją szeroko. Z przodu i z tyłu okrycia widniały napisy wykonane wielkimi, białymi, drukowanymi literami: SŁUŻBA CELNA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

- Masz również odznakę? - spytał Flandersa.

- Fałszywą, ale jak dotąd nie było żadnych skarg.

- Może po prostu jej nie dostrzegali, tak byli wpatrzeni w twój wielki pistolet - podsunęła Dani.

- Taak. Moja wysłużona zabawka działa destrukcyjnie na zdolność koncentracji niegrzecznych chłopców - wycedził Teksańczyk.

Przez przydymione szyby wyraźnie widzieli, jak półciężarówka Chena odbiła od krawężnika i ruszyła w kierunku Kingdome.

Flanders tyłem wyjechał z ich dotychczasowej kryjówki. Przez jakieś dwa kilometry trzymał się w dyskretnej odległości za Chińczykiem. Nagle Chen skręcił w małą boczną uliczkę dzielnicy portowej.

- Wybiera się na azjatycki targ z zieleniną - wyjaśnił Flanders. Zawsze uważaliśmy, że ukrywa swój towar w kapuście pekińskiej.

- Przygwoźdź go - polecił Shane. - Ruszaj się. Szybko.

Van skoczył do przodu z zaskakującą prędkością. Po chwili zrównał się z półciężarówką Chińczyka, a potem nieznacznie ją wyprzedził. Bez najmniejszego ostrzeżenia Flanders skręcił na prawy pas i ostro zahamował. Zgodnie z przewidywaniem Chen z całej siły przydepnął pedał hamulca i odbił trochę w prawo, żeby uniknąć zderzenia. Było to błędem, ale Azjata zbyt późno zorientował się w sytuacji. Jego auto zostało unieruchomione, przyciśnięte do krawężnika przez samochód Teksańczyka.

Flanders stanął i otworzył drzwi od strony kierowcy. Sekundę później podchodził do półciężarówki.

Na widok mundurowej kurtki Chen spróbował wrzucić tylny bieg. Nie udało mu się, więc ponowił próbę.

- Nie ruszaj się, durniu - warknął Flanders, mierząc do Chińczyka z wielkiego pistoletu.

Chen zamarł.

- Nie ruszaj się - polecił Dani Shane. - Nie nadajesz się do tego.

- Dobrze sobie - zachnęła się dziewczyna. - Pierwsze od wielu godzin ciekawe wydarzenie, a mnie przypada wyłącznie rola widza.

Mówiła do siebie. Shane i Gelmann zdążyli już wyskoczyć przez boczne drzwi vana. Wspólnymi siłami wyciągnęli Chena z szoferki, pchnęli go na maskę wozu i przeszukali.

- Się masz, Chen Li Hwan - odezwał się Flanders. - Wpadłeś jak śliwka w *kim chee*, i to po same uszy. Trzeba ci było siedzieć cicho w Victorii albo w Kantonie. Tam jest znacznie bezpieczniej. Nie tak blisko więzienia federalnego USA.

- Nie, nie, nie - protestował Chińczyk, wciąż jeszcze rozciągnięty na masce samochodu. - Dostał pan nie tego Chena. Poszukuje pan innego Chena.

- Tuż przed przybyciem tego towaru z Vancouveru cały tydzień deptałem ci po piętach - radośnie odparł Flanders. - Poza tym, już na pierwszy rzut oka rozpoznaję moich Chenów. A teraz widzę ciebie, durniu. -

Nie, nie, wcale nie mnie, wcale nie mnie. Jakiegoś innego Chińczyka, nie mnie.

- Odciski palców nigdy nie kłamią - spokojnie wtrącił Shane. - Jeśli jesteś nie tym Chenem, przeprosimy cię. A jeśli jesteś tym, którego szukamy, to zadzwonisz do żony i powiesz jej, że spóźnisz się na obiad. O jakieś dwadzieścia lat.

Chwył mężczyznę za nadgarstek i wykreślił mu ramię do tyłu, jakby przygotowując się do skucia go kajdankami.

- Jakie odciski palców? - spytał zatrzymany. Shane spojrzał na Flandersa.

- Plastikowe opakowania były całe usiane odciskami. - Teksańczyk kłamał bez zająknięcia. - A na własne oczy widziałem, jak trzymałeś te torby.

Chen wyglądał na zaskoczonego, jakby zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, kiedy tak beztrudnie obchodził się z kontrabandą.

Flanders jednak nie dał mu czasu do namysłu. Uchwycił marynarkę mniejszego od siebie mężczyzny i siłą ustawił go do pionu.

_ Rząd Stanów Zjednoczonych nie będzie sobie zawracał głowy przemytnikami - wycedził przez zęby, patrząc z góry na swego jeńca. - Przejście na tę stronę granicy było głupotą, Chen. Wielką głupotą.

_ Nie jestem przemytnik - odparł zatrzymany. - Jestem właściciel restauracji, to wszystko.

_ Taaa - mruknął Flanders z całkowitym brakiem zainteresowania. - Wszyscy tak mówią. Bo co znaczy odrobina heroiny zmieszana z kapustą pekińską? Nic, prawda?

- Nie! Żaden przemytnik!

_ Zamknij dziób! - warknął Shane. Zabrzmiało to jak strzał z bata. - Bo dorzucimy ci następne, pięć lat za obrazę.

Wargi zatrzymanego zacisnęły się w wąską linię.

_ Żaden przemytnik - uparcie powtarzał Chen.

_ Dwadzieścia pięć lat - odezwał się Gelmann. - Jeszcze trochę, a doigrasz się trzydziestu, więc dobrze ci radzę: uważaj.

- Pewnie - rzucił Shane. - Nienawidzę łgarzy.

_ Przemyśl to sobie - łagodnie powiedział Flanders. - Trzymamy cię już w garści, ale możemy ci życie ułatwić albo utrudnić. Tylko od ciebie zależy, czy wrócisz dzisiaj na czas do domu.

Przez chwilę Chen wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. A potem wyraźnie mu ulżyło, popadł niemal w euforię.

_ Chcecie kogoś innego, tak? - dopytywał się skwapliwie. - Mogę dać wam kogoś innego, kogoś dużego, naprawdę dużego.

Flanders wyglądał na całkowicie znudzonego.

_ Czy proponujesz na wymianę braci z tongu "Ziemia i Niebo"? spytał. - Z tongu, któremu przysięgałeś wierność do ostatniej kropli krwi?

Chen uśmiechnął się.

_ On nie należy do bractwa. Jest biały, tak jak pan. To wielki rosyjski gangster, tak mi się zdaje.

_ Mów dalej - polecił Shane. I dodał parzdo łagodnie: - Tylko nie kłam, Chen. Nie przypadnie ci do gustu *tg*, co cię spotka, gdy odkryjemy prawdę. A odkryjemy ją z pewnością.

_ Złapicie Rosjanina bez żadnych kłopotów - oświadczył Chen. Zapowiedział, że będzie jechał tuż za mną, aby śledzić każdy mój krok.

No, chcecie?

Pięść Shane'a wyrznęła w maskę półcieżarówki.

- A niech to! - warknął.

- Co się stało? - spytał Flanders.

_ Jeśli Kasatonin jest tuż za Chenem - wyjaśnił Shane - to znaczy, że jest również tuż za nami.

- O kurwa!

- Amen. Ruszamy się, dzieci - zarządził Shane. - Bo lada chwila możemy go mieć na karku.

29

Właścicielem M. V. "Party Tyme" był wielki mężczyzna o czerstwej, spalonej wiatrem twarzy. Miał sześćdziesiąt lat, starał się, wyglądać na czterdzieści, a zachowaniem przypominał dwudziestolatka. Przez lornetkę przyglądał się lubieżnie grupie idących pomostem, jaskrawo ubranych, młodych kobiet. Wysokość ich obcasów była odwrotnie proporcjonalna do długości spódniczek.

- Wprawdzie kiepski z nich materiał na marynarzy - powiedział na głos - ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby jedna czy druga z impetem mnie dosiadła.

Za jego plecami, w odległości około dwóch metrów, stał Ilja Kasatonin i przeglądał dziennik nawigacyjny łodzi. Skończywszy, rozmyślnie rzucił go na konsolę z kompasem.

Zirytowany głośnym stuknięciem, kapitan opuścił lornetkę i obejrzał się za siebie.

Kasatonin zignorował go jednak całkowicie, uporczywie wpatrywał się w kompas, jakby zobaczył tam coś ogromnie ciekawego.

Kapitan ponownie podniósł lornetkę do oczu.

Po raz drugi dziennik nawigacyjny piasnął głośno o konsolę.

- Młody człowieku - odezwał się właściciel jachtu - jeśli nie potrafi pan utrzymać przedmiotów, to może niech pan lepiej nie bierze ich do ręki.

- Jest pan gorącym wielbicielem kobiecego ciała, kapitanie - powiedział Kasatonin, nadal zapatrzony w kompas.

- Jestem mężczyzną - padło w odpowiedzi.

- Kobiety na pokładzie nie są przeznaczone ani dla pana, ani dla pańskiej załogi.

Rosjanin podniósł nagle oczy na swego rozmówcę, i obrzucił go pozbawionym wyrazu spojrzeniem zawodowego mordercy.

- Wszyscy pozostaną w swoich kajutach, z wyjątkiem osób pełniących wachtę - zarządził. - Dotyczy to również pana.

Właściciel łodzi uśmiechnął się nieznacznie, ale wciąż jeszcze uprzejmie.

- Proszę się nie obawiać - powiedział. - Załoga jest doświadczona.

Pańscy goście, zgodnie z umową, będą mieli zapewnioną całkowitą dyskrecję.

Kasatonin odwrócił od niego ciężkie spojrzenie i kontynuował obserwację kompasu.

- Z drugiej jednak strony - ciągnął kapitan - gdyby któraś z młodych dam zapragnęła posmakować życia marynarza, proszę ją przysłać na mostek. Nigdy jeszcze nie miałem skarg z powodu ... eee ... widoków.

Szybki ruch głowajaki wykonał Kasatonin przywołał na myśl błyskawiczne uderzenie węża.

Kapitan rzucił okiem na swego pasażera i cofnął się, nim zdołał powstrzymać ten zdradzający jego nagle przerażenie odruch. Chociaż obaj mężczyźni byli jednakowej postury, w spojrzeniu Rosjanina było coś z gada, jakiś chłód, który działał obezwładniająco.

- Nie słuchał mnie pan uważnie - stwierdził Kasatonin dobitnie. Pańscy ludzie, poza tymi na służbie, mają być niewidoczni.

- Niektórych gości cieszy możliwość przebywania rta mostku - mruknął kapitan. - Staramy się sprawić im przyjemność, to wszystko. - Na początku rejsu nie będzie mniema pokładzie.

Właściciel łodzi starał się ukryć ulgę, jaką odczuł słysząc te słowa. Na próżno.

- Dołączę do was w Victorii - powiadomił go Kasatonin. - Jeśli ktoś, obojętne kto, okaże się natrętny wobec któregokolwiek z gości, pan mi za to odpowie. Są jakieś pytania?

Twarz kapitana przybrała barwę o ton ciemniejszą. Nie był przyzwyczajony do słuchania rozkazów.

- Najwyraźniej nie rozumie pan praw morza - oświadczył opryskliwie. - Podczas rejsu rządzą tuja, nie pan. A jeśli pojawią się jakieś problemy, również nie pan je będzie rozwiązywał.

Kasatonin zrobił taki ruch, jakby miał odejść, po czym nagle odwrócił się. Jedną ręką złapał szyprę za gardło.

- Jest pan kapitanem pływającego burdelu, a nie statku liniowego oznajmił spokojnie.

Starszy mężczyzna wyprężył się w postawie zasadniczej. I nie tyle chodziło mu o okazanie szacunku, ile o zmniejszenie nieco ucisku stalowych palców Kasatonina na swoją tchawicę.

- Pańska łódź oferuje rejsy dla przyjemności w naj szerszym tego słowa znaczeniu - powiedział Kasatonin. - Jeśli pan albo któryś z członków załogi w jakikolwiek sposób zakłóci przyjemność pasażerom, osobiście pana wykastruję. Czy teraz dobrze się rozumiemy, kapitanie?

Mężczyzna wydał zdławiony jęk i kiwnął głową. Napastnik rozluźnił nieco chwyt na jego gardle. - Dopływa pan do Victorii o północy, prawda? Kapitan ponownie skinął głową.

- Gdzie pan cumuje?

- Prywatne nabrzeże tuż przy Government Street - wyszeptał zapytany, mimo "imadła" zaciskającego się na jego szyi. - Mam tam zarezerwowane miejsce.

- Proszę nie planować długiego postoju - zarządził Rosjanin. - Musimy dotrzeć do portu w Vancouverze w porze śniadania. Czyli za około osiemnaście godzin. Chcę zdążyć na lotnisko, gdzie mam wyznaczone spotkanie. Ma pan jakieś pytania?

- Nie - chrapliwym głosem odparł kapitan.

- Proszę wszystko przygotować tak, byśmy za godzinę mogli podnieść kotwicę.

Uwolnił swą ofiarę równie nagle, jaką przedtem zaatakował i opuścił mostek.

Po drabince zszedł na główny pokład, a jego ruchy cechowała szybkość i koordynacja charakterystyczna dla atlety, którym kiedyś był.

Katia przebijała się przez stos pudeł i worków, świeżo dostarczonych na pokład. Zawierały zimowy ekwipunek i nosiły znaki firmowe sklepu mieszczącego się w centrum Seattle.

- Długo cię nie było - powiedziała. - Jakież problemy?

- Nic, czym warto by było zawracać ci głowę.

Spojrzała mężczyźnie w oczy.

- Gdyby kapitan sprawiał jakiegokolwiek kłopoty - powiedział Kasatonin - przypomnij mu tylko, że będę czekał na ten jego pływający burdel u wylotu Government Street w Victorii.

Katia uśmiechnęła się i niczym kotka zamruczała z zadowolenia. Świadomość, że mężczyzna równie niebezpieczny jak Kasatonin dawał się prowadzić na pasku, sprawiała jej rozkosz.

- Z pewnością tak zrobię, naj droższy - zapewniła go.

Schyliła się i z jednego z pudeł wyciągnęła długą zimową kurtkę z kapturem. Z wdziękiem nałożyła ją na siebie ..

- Jest ich tu więcej - powiedziała. - Nasi ludzie nie byli przygotowani na żeglowanie pod koniec jesieni.

- Niech raczej te dziwki zadbają, żeby naszym chłopcom było ciepło.

Mówiąc to, obojętnie rzucił okiem na kobiety, których całe stadko sterczało na końcu pomostu. Paliły i rozmawiały niczym ekspedientki w sklepie, czekające na rozpoczęcie dnia pracy.

- Czy one wszystkie mają dokumenty podrózne? - spytał.

- Tak.

Z pełnym pogardy prychnięciem Kasatonin odwrócił się plecami do jaskrawo ubranych prostytutek.

- Upewnij się co do tego - przestrzegł. - Kanadyjczycy mogą mieć jakieś dziwne przepisy dotyczące sprowadzania prostytutek.

- Ich szef z Cosa Nostra przysłał je tutaj wynajętym odrzutowcem z Los Angeles - poinformowała 'go Katia.

- Wszystkie są Amerykankami i nie potrzebują zezwolenia na wjazd do Kanady.

- A co z zaopatrzeniem? Sprawdziłaś kuchnię i spiżarnię? Dysponujesz odpowiednimi środkami

pobudzającymi?

- Oczywiście, że tak - odparła, ziewając. - Znam się na swojej robocie. Przestań się martwić.

Kasatonin milczał. Gdzieś, w głębi duszy odczuwał niepokój. Uczucie to nie opuszczało go, odkąd Chen wyjechał z magazynu.

- Rozluźnij się, kochanie - zamruczała Katia. - To naprawdę będzie rejs dla przyjemności.

Mężczyzna tylko coś odburknął.

- Tony Liu i jego ludzie przypilnują, aby prezent dla Kojamy dotarł bezpiecznie do Victorii - zauważył. - Rozzerwij się trochę, nim zaczniemy pertraktacje z jakuzą.

Napięcie w ciele Kasatonina nie ustąpiło nawet na jotę.

Katia westchnęła. Miała nadzieję, że podczas tego rejsu ona i jej zbrodniczy kochanek spędzą trochę czasu na ulubionych niebezpiecznych grach seksualnych.

- Spójrz - powiedziała, podnosząc w górę grubego sweter. - Kupiłam go dla ciebie. Będziesz miał uczucie, że jesteś w domu, w Rosji.

Nad wodami zatoki powiała ostra bryza, rozwiewając jasne, jedwabiste włosy mężczyzny i długie loki kobiety.

- Ten kraj jest tak zimny i czysty - powiedziała Katia w zamyśleniu, oddychając głęboko. - Sprawia, że budzi się we mnie tęsknota za tym, co było.

- To, co było, minęło.

Skrzywiła się. Ponury nastrój Kasatonina zupełnie jej nie odpowiadał. - Noś to - powiedziała miękko, wyciągając ku niemu sweter. - Będziesz

w nim wyglądał jeszcze przystojniej niż zwykle.

Odsunął prezent na bok.

- Za daleko zabrnęliśmy, żeby się teraz rozpraszać - oświadczył.

- Ale kto może nam wejść w drogę? - spytała Katia.

Kasatonin z pewnością odpowiedziałby na to pytanie, gdyby tylko potrafił. Polegał jedynie na swoim instynkcie. Instynkcie polującego drapieżnika, który od czasu do czasu staje się również zwierzyną łowną. Teraz ten instynkt doskwierał mu niczym włosienica.

- Kanadyjczycy mają w głowie tylko jedno: żeby nie szmuglowano do nich amerykańskich papierosów - przekonywała kobieta. - Nikt z naszych tym się nie zajmuje. Jedwab jest bezpieczny.

Gdy Kasatonin nadal milczał, Katia przyłożyła sweter do jego szerokich barów. Następnie ułożyła jeden z rękawów wzdłuż potężnego ramienia, sprawdzając długość.

Jej palce natknęły się na cienki bandaż ukryty pod rękawem koszuli.

Przypomniała sobie swój lęk i podniecenie na widok krwi wypływającej z mocno umięśnionego ciała mężczyzny, pogłębiony świadomością, że sama to spowodowała.

Musnęła wargami rękaw, w miejscu, gdzie znajdowała się rana.

- Proszę, kochanie, chodź ze mną - powiedziała schrypniętym głosem. - Pozwól mi wynagrodzić krzywdę, jaką ci wyrządziłam.

Przysunęła się bliżej. Celowo i świadomie dotknęła biustem torsu mężczyzny.

Kasatonin złapał ją za ramiona i odsunął bezceremonialnie. Jej pożądanie i zapach wódki działały podniecająco.

A to pogłębiało jeszcze jego niepokój.

- Dlaczego tak bardzo chcesz, żebym teraz był z tobą? - zapytał. Zwykle jesteś zadowolona, gdy możesz wysłać mnie gdzieś, żebym pilnował twoich interesów. Czyżbyś planowała coś, o czym nie wiem?

Twarz kobiety zdradzała zdumienie, ale nie było na niej widać niepokoju.

- Oczywiście, że nie! - zapewniła.

- Więc dlaczego chcesz, żebym został? Czy coś ci przestraszyło, skarbie?

Katia naparła na niego silniej. Pragnęła się przytulić, ale nadal trzymał ją na dystans. Jego dłonie zaciskały się na jej ramionach równie mocno, jak przedtem. Odwróciła wzrok. Nie pozwoli, by kochanek wyczytał z jej oczu, że boi się niczym mała dziewczynka.

- Tak - szepnęła. - Nie chcę czekać samotnie, mając wokół siebie te wszystkie bestie. Czuję, że już nie można im ufać.

- Nigdy nie było można - odparł. - Gdyby nie wielki rosyjski brytan stojący u twego boku, zjedliby cię na przystawkę. Nawet wykałaczką nie byłaby im potrzebna.

Fala strachu przeszła Katii po krzyżu. Zadrżała.

- Wiem - powiedziała. - Zostań ze mną. Proszę.

Usiłowała schować się w jego ramionach, ale on ze śmiechem trzymał ją zdala od siebie.

- A więc pojełaś na koniec, że jestem ci potrzebny - stwierdził. A skoro naprawdę mnie doceniasz ...

Katia zamarła, w oczekiwaniu.

Kasatonin skierował wzrok na drugą stronę smaganych wiatrem wód Zatoki Elliota, ku nieregularnym szczytom Hurricane Ridge. Milczał.

- O co chodzi? - nie wytrzymała wreszcie. - Czego chcesz?

- Partnerstwa na równych prawach. To jedyne sprawiedliwe wyjście z sytuacji, prawda?

- Chcesz połowę tego, na co pracowałam całe życie? - spytała Katia miękko. - Połowę tego, co osiągnęłam za cenę gwałtów i bicia?

- Uważasz, że osiągnęłaś to wszystko samodzielnie? - zapytał ostrym głosem.

- Tak!

- Jestem innego zdania.

Gniew, podsycony strachem i wódką, doprowadził Katię do ataku wściekłości.

- Wyciągnęłam cię z tej kupy gnoju, jaką była Radziecka Armia warknęła. - Uchroniłam przed chlaniem do końca życia taniej wódki w towarzystwie tetryczających kumpli. Przed oplakiwaniem wraz z nimi starych dobrych czasów. I ty teraz śmiesz twierdzić, że zasłużyłeś na połowę tego, co mam?

- Byłem twoim chłopcem od mokrej roboty. Beze mnie nie osiągnęłabyś niczego. Myślałem, że nareszcie to zrozumiałaś. Ale widzę, że nie. - Wzruszył ramionami. - Nadal zachowujesz się jak skrzywdzone dziecko.

- Beze mnie, ty ...

- Czy naprawdę myślisz, że jak rozpuścisz język, to ułagodzisz tego Włocha? - wpadł jej w słowo Kasatonin.

- Ułagodzę? Phi! Lata za mną jak buhaj za krową.

- Czy on cię kiedyś dotknął? Choćby raz?

Katia była o krok od powiedzenia "tak", ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Kłamstwo nie przyniosłoby jej pożytku, a mogło mieć nieobliczalne następstwa.

- Nie - wycodziła przez zęby.

- A jak myślisz, dlaczego? - łagodnie spytał Kasatonin.

- Bo wie, że byś go zabił, tak jak w zeszłym roku zabiłeś tego kapusia z jego mafii w Kalabrii.

- I wie również, że nie zrobiłbym tego przy pomocy bomby w samochodzie, ale nożem, powoli.

Katia nie wątpiła w jego słowa. Podobnie jak żaden z członków Harmonu.

- Jeśli chcesz - oświadczył Kasatonin, uśmiechając się pod wąsem to potraktuj to, co powiedziałem, jako propozycję małżeństwa.

Błada twarz kobiety wyrażała autentyczny szok.

- Możesz też podejść do tego, jak do czysto handlowej oferty - kontynuował - jeśli wolisz utrzymać nasze kontakty na płaszczyźnie pieprzenia. Ale dobrze się zastanów, nim odrzucisz moją propozycję. Drugiej z pewnością nie będzie.

Przez dobrych kilka chwil Katia tylko wybałuszała na niego oczy. A potem na jej wargach pojawił się nieznaczny, spokojny uśmiech, lustrzane odbicie uśmiechu mężczyzny.

- A gdybym jej nie zaakceptowała? - spytała. Świetnie знаła odpowiedź, ale udawała, że potrzebuje bliższych wyjaśnień.

- Będziesz miała do wyboru śmierć - odparł Kasatonin. - Tak, jak zawsze. Tyle, że tym razem nie dopuszczę, by twoja uroda osłabiła moje postanowienie. A wtedy zamiast połowy, będę miał wszystko.

- Nic nie będziesz miał - parsknęła. - Gdy mnie zabraknie kontrola nad Harmonią przysporzy ci wielu kłopotów.

- Prawdopodobnie tak - zgodził się.

- A zatem mamy sytuację patową - podsumowała.

Kasatonin uśmiechnął się szerzej.

- Może powinniśmy nazwać to małżeństwem z rozsądku - rzucił z szyderstwem w głosie.

Uśmiech zamarł na wargach Katii.

- A może małżeństwem z piekła rodem? - podsunęła.

- W niebie niewiele można zdziałać - odparował. - Piekło natomiast ma niejedno do zaoferowania ludziom takim, jak my.

- Czyżby? - szepnęła.

Kasatonin roześmiał się. Potem przyciągnął ją brutalnie do siebie i pocałował tak, że na jej ustach pojawiła się krew.

- A jakże - powiedział, patrząc jak Katia oblizuje wargi. - Polubisz piekło, myszko. Z miejsca poczujesz się tam jak w domu. To twoje naturalne środowisko.

30

Listopadowy zachód słońca ozłocił metalowe elementy i pokłady z drewna tekowego długiego białego

jachtu. Przez mgnienie oka przy stojna para - postawny rosyjski żołnierz i smukła kusicielka o jasnoblond włosach, wydawała się utrwalona w złotej poświacie niczym owady zatopione w bursztynie.

- Słodki widok, prawda? - zauważyła Dani.

- Kasatonin i Katia? - upewnił się Shane.

- Tak.

_ Tylko z daleka. Wystarczy spojrzeć im w oczy, a złudzenie pryska.

Dani ponownie zerknęła na "Party Tyme" . Siedziała w towarzystwie Shane' a w restauracji na moło numer pięćdziesiąt siedem. Ich stolik znajdował się w pewnej odległości od okna. Mogli stąd obserwować jacht, bez obawy, że zostaną zauważeni.

_ Ale wyglądają tak, jakby byli zakochani - dziewczyna uparcie obstawała przy swoim.

Wydał zduszony dźwięk, wyrażający zaskoczenie, rozbawienie i niedowierzenie.

_ Na świecie zdarzały się już dziwniejsze rzeczy - mruknęła Dani.

- Nie ma na to żadnych dowodów.

- Nie wierzysz, że miłość istnieje?

_ Między tymi dwojgiem? Mowy nie ma. Łączy ich tylko dość złożona forma nienawiści.

- To dlaczego wciąż są ze sobą? Z chciwości?

_ Niewykluczone - odparł Shane. - A może dlatego, że nienawiść potrafi wiązać równie silnie, jak miłość.

- Mnie to chyba nie dotyczy.

_ Faktycznie, ciebie nie. Tak się różnisz od Katii, jak diament od gówna.

Dani ze zdumieniem spojrzała n.a Shane'a. Jego uwagę w dalszym ciągu pochłaniał jacht.

Trzy błyszczące limuzyny podjechały do nabrzeża przy Alaska Way. Drzwi otworzono z należytą czolołbitnością. Ośmiu pasażerów, samych mężczyzn, pojawiło się na oświetlonym złościście chodniku. Wszyscy mieli na sobie kosztowne ubrania i poruszali się z prawdziwie książęcą pewnością siebie.

- Aaa, jeszcze kilku członków Harmonii. Trzeba przyznać, że ta nazwa jest wyjątkowo źle dobrana - stwierdził Shane. - Nie sądzę, byś chciała wiedzieć, co oni "kochają".

- Władzę - zwięźle odparła Danie.

- Oczywiście. Ale jak wyrażają tę miłość ... - Shane tylko potrząsał głową. - To jest właśnie to, czego wiedzieć nie chcesz.

- Ale ty wiesz?

- Ja nie mam wyboru. Pierwszą zasadą na wojnie jest poznanie wroga.

Dziewczyna obserwowała w milczeniu, jak załoga jachtu zeszła po trapie i zaczęła wyładowywać bagaż z samochodów.

Ośmiu ojców chrzestnych, przywódców najpotężniejszych na świecie syndykatów zbrodni, kręciło się po nabrzeżu, podziwiając jacht i żartując, niczym grupa najzwyklejszych w świecie turystów udających się na wakacje.

Scenka była tak zwyczajna, że aż wiało nudą.

- Oni wyglądają tak normalnie -I zauważyła Dani. - Są moimi wrogami, a ja ich zupełnie nie znam.

- Wcale tego nie chcesz.

- A co ma z tym wspólnego moje chcenie? - wyzywająco rzuciła dziewczyna. - Czy ty chciałeś wiedzieć, czy po prostu uznałeś, że jest ci to potrzebne?

Zawahał się.

- Lepiej, żebyś tego nie wiedziała - oświadczył tak cicho, że Dani ledwo go słyszała. - W niczym ci ta wiedza nie pomoże.

- Shane, posłuchaj mnie - perswadowała, nachylając się ku niemu. Od czasu pobytu w Lhasie mój rozum i instynkt toczą ze sobą nieustanną walkę. Wpojono mi przekonanie, że zło jest pojęciem przestarzałym, tymczasem przeczuwam, że w człowieku tkwi go więcej, niż w samym piekle.

Przez chwilę mężczyzna trwał w całkowitym bezruchu.

- Tak samo było ze mną - powiedział półgłosem. - Ja w końcu wyładowałem w klasztorze, ty na uniwersytecie.

- A wreszcie oboje znaleźliśmy się w Lhasie.

Przymknął oczy.

- Pomóż mi, żeby nie dokonała błędnego wyboru w najmniej odpowiednim momencie - poprosiła Dani. - Muszę to wiedzieć.

Shane odetchnął głęboko i otworzył oczy. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał lekko, niemal żartobliwie,

lecz w oczach czaiła się powaga.

- No to zobaczymy, kogo tu mamy - powiedział tonem towarzyskiej pogawędki.

Przesunął swoje krzesło tak, by mieć lepszy widok na ośmiu mężczyzn, którzy nadal kręcili się po nabrzeżu.

_ Czy widzisz wysokiego, przystojnego bruneta z cienkim wąsikiem? - spytał.

_ Tak. Jose Gabriel de la Pena z kolumbijskiego kartelu - wyrecytowała Dani, przypominając sobie, czego ją uczono. - Baron narkotykowy. _ Jest również nowatorem, jeśli idzie o modę - uzupełnił Shane.

_ Na ten temat w jego aktach nie było najmniejszej wzmianki - zauważyła dziewczyna zaskoczona.

_ Gillie ocenzurował je starannie, zanim dostałaś je do ręki.

- Ale dlaczego?

_ Bo straszenie nieświadomych niczego ludzi nie ma po prostu za grosz sensu.

_ Ale moja ignorancja jest teraz o wiele mniejsza, niż była w Lhasie.

- Wiem, Dani. I bardzo tego żałuję.

- A ja nie. Opowiedz mi o de la Penie i o wprowadzonych przez niego zmianach w dziedzinie mody.

_ Wylansował coś, co nazywa się kolumbijskim krawatem - powiedział. - Nie będę zwracał ci głowy szczegółami, ale chodzi o pionowe rozcięcie gardła i wyciągnięcie przez tę ranę języka na zewnątrz.

Powieki dziewczyny zatrzepotały. To była jej jedyna reakcja.

_ Jednocześnie okazuje wiele serca swojej matce - ciągnął dalej Shane. - I ona, i jej lokalny kościół katolicki mogą się kąpać w forsie.

- Jak ksiądz może przyjmować od niej pieniądze?

_ Jak mógłby nie przyjąć? Pomyśl tylko, ile dobrego może przy ich pomocy zdziałać. .

Słyszając ironię w jego głosie, Dani pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

Ale stało się. I teraz musiała być konsekwentna.

_ Jest w tej grupce Sallie Spagnolini. To ten ubrany w czarną jedwabną koszulę w białe groszki - mówił dalej Shane. - Zmarznie w nocy na jachcie, ale tego rodzaju ekstrawagancja to jego znak firmowy.

Dani skinęła głową.

_ Sallie pochodzi z Chicago, ale dużo czasu spędza w Vegas - ciągnął Shane.

_ W aktach Gilliego nie było żadnej wzmianki, że Spagnolini jest hazardzistą.

- Bo nie jest. W Vegas mówi się o nim "Sallie Ogier".

Wzruszyła ramionami.

- To nic nowego.

- Sallie zużywa po kilka dziewczyn każdej nocy - kontynuował Shane. - I dokładnie to mam na myśli: zużywa je. Jeszcze nie znalazł takiej, która przetrwałaby cały seans. Ale jak sama kiedyś podkreślałaś, dla niektórych mężczyzn seks jest krwawym sportem.

Powieki Dani ponownie zadrgały, lecz nie powiedziała nic.

- Kilka miesięcy temu Sallie podsłuchał, jak jedna z dziewczyn krytykowała jego technikę w łóżku. Jej alfons dostał przesyłkę pocztową, a w niej język, sutki i jeszcze parę luźnych kawałków. Reszty ciała nigdy nie odnaleziono.

Wargi Dani zacisnęły się mocno. Całe jej ciało zdradzało napięcie, wywołane zarówno obrzydzeniem wobec tego, co właśnie usłyszała, jak i gniewem brzmiącym w głosie mężczyzny.

Chciał ją chronić. Poznaj swoich wrogów.

- Sallie ma kompletnego bzika na punkcie swoich dzieci - opowiadał dalej Shane. - Kupuje im tyle zabawek, że z powodzeniem starczyłoby dla całego przedszkola.

Przerwał na chwilę, ale Dani nie odezwała się ani słowem.

- Hoduje także konie wyścigowe. Te, które wygrywają żyją w marmurowych stajniach, wśród luksusów. Inne zabija, żeby uzyskać pieniądze z ubezpieczenia.

Milczała.

- Widzisz tam Givanniego Scarfo? - spytał Shane.

- Tak - odparła. - Trudno nie rozpoznać tej grzywy siwych włosów.

- Ucieszy cię pewnie informacja, że nie jest podobny do pozostałych mężczyzn Harmonii. To człowiek prawdziwie rodzinny, z kochanką na boku, ot, uosobienie porządnego obywatela Kalabrii.

Dani czekała na dalszy ciąg. Domyślała się, że nie usłyszy nic miłego. Nie wiedziała tylko, jak bardzo niemiłe jest to, co Shane trzyma jeszcze w zanadrzu.

- Scarfo wpompowuje rocznie do Stanów Zjednoczonych jakieś siedemset pięćdziesiąt kilogramów osiemdziesięciopięcioprocentowej heroiny. Ale jest na tyle dobrym obywatelem, że w chwilach wolnych od interesów, zajmuje się sierotami.

- Sierotami? - spytała Dani słabym głosem.

- Taak. Małymi dziewczynkami. Naprawdę małymi. Poniżej siedmiu lat. Chcesz zgadnąć po co?

- Musi cieszyć Się wzięciem w Internecie - skomentowała dziewczyna, siląc się na taką samą ironię, jaka dźwięczała w jego głosie.

Ale nie uzyskała spodziewanego efektu.

- Masz już dość? - spytał Shane.

_ Miałam dość już podczas czytania tych ocenzonej akt.

_ To po co dopytujesz się o resztę? Czyżbyś była masochistką, tylko nie chcesz się do tego przyznać?

_ Gdybym była masochistką, nigdy w życiu nie wystąpiłabym o rozwód - odparła Dani z napięciem. -

Ale spójrz na tych mężczyzn, żeby ich szlag trafił. Wyglądają tak cholemie zwyczajnie.

- Ciężko na to pracują.

_ Ale dlaczego zwracają sobie tym głowę? Przecież jedną połowę świata trzymają w garści, a z drugiej biorą to, co najlepsze.

_ Gdyby kręcący się wśród nas zbrodniarze mieli ogon i rogi, znacznie trudniej przyszłoby nam udawać, że stanowią tylko wąski margines, który się w ogóle nie liczy - sucho skwitował Shane. - Chcą wpoić nam przekonanie, że między Harmonią, a innymi ponadnarodowymi korporacjami występuje tylko jedna drobna różnica: taka, że narkotyki "zażywane w celach rekreacyjno-towarzyskich" są nielegalne.

Dani skrzywiła się, ale jak zaczarowana wpatrywała się w ten idylliczny, z pozoru obrazek: kilku mężczyzn skąpanych w złotych promieniach słońca.

_ A co byś powiedziała na chwilę relaksu? - spytał Shane, spoglądając na swoją towarzyszkę. - Byłaś kiedyś w palami kokainy, Dani? Albo może na pogotowiu, gdy przywieźli kogoś, kto się jej za dużo nawdychał?

Człowieku, tam dopiero mają radochę.

_ Dlaczego jesteś na mnie taki zły? - spytała dziewczyna. - Czy wciąż masz pretensje o to, że przeze mnie ten jedwab wymknął ci się z rąk?

. - To był mój wybór, a nie twój.

_ Więc dlaczego wyżywasz się na mnie? Nawet nie próbuj zaprzeczać. Twoim głosem dało by się pociąć rekina na kawałki.

Shane otworzył usta. Zamknął je. Spojrzał na Dani.

_ Obawiam się, że nadal nic nie rozumiesz - powiedział.

- Czego nie rozumiem?

_ Ci faceci zabiliby cię w ułamku sekundy, przy najmniejszym choćby podejrzeniu, że usiłowałaś wejść im w drogę.

_ Weź pod uwagę, że byłam w Lhasie. Jestem pewna, że Kasatonin wcale o tym nie zapomniał.

_ Tamto spotkanie było czysto przypadkowe.

- Bywają różne przypadki.

_ To wszystko nic w porównaniu z tym, co robisz teraz - stwierdził Shane - Jeśli mój plan zagra ... i jeśli Harmonia odkryje, że maczałaś w tym palce ... to może się okazać, że już nigdy nie będzie ci wolno wrócić do normalnego życia.

Spojrzała na niego ostro.

- A co to za plan? - zapytała. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie musisz tego wiedzieć. Wcale cię tu nie chciałem.

- A to ci niespodzianka. Ho, ho, kto by pomyślał. - Głos dziewczyny ociekał jadem. - Ale tak czy siak, jestem. Pytanie tylko, po co? Pozwoliłeś mi jedynie wyglądać przez okno.

Oczy mężczyzny zwięzły się pod wpływem gniewu, którego nie usiłował już ukryć. Ani przed nią, ani przed sobą.

Dani nie spuszczała z niego wzroku.

- Nie boisz się mnie, prawda? - spytał.

- Zgadłeś.

- Nie najlepiej to świadczy o twojej inteligencji.

- Najchętniej kieruję się instynktem - stwierdziła jadowicie.

Shane nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Potem z obojętną miną rozejrzał się wokół. Nikt nie siedział na tyle blisko, by słyszeć ich rozmowę.

- Zamierzam podkraść się do tej kapsuły i podmienić ją na inną oświadczył bez wstępow.

Dani otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Odchrząknęła.

- Na jaką? Czyżby Błękitni mieli inny kawałek starego jedwabiu, zupełnie niepotrzebny? - spytała w końcu.

- Pamiętasz to szkolenie, na które się tak skarżyłaś?

- Ciężko byłoby zapomnieć. Nie miałam pojęcia, że tyle wiem o dawnych technikach produkcji jedwabiu.

- Zrobiłaś wielkie wrażenie na naszej ... eee ... konsultantce - oznajmił Shane. - Przygotowała dla nas materiał zastępczy.

- Z czego, jeśli można wiedzieć?

- Użyła ręcznie tkanego jedwabiu tussowego z dodatkiem ręcznie tkanych nici od kilku odmian jedwabnika morwowego. Dokładnie tak jak mówiłaś.

- Proszę, proszę, jakie to proste.

- No, cóż, mieliśmy cholemię dużo kłopotów ze znalezieniem dostatecznie delikatnego złotego drutu, ale w końcu udało się. Następnie przekazaliśmy ten kawałek materiału do laboratorium, żeby go odpowiednio "postarzyli".

- No i co, dali radę?

_ Ledwie zdążyli. Gillie wysłał to naszą wewnętrzną pocztą ekspresową. - Shane spojrział na zegarek. - Lada chwila powinien tu być.

_ Więc to dlatego nie próbowałaś wcześniej wykraść im tego jedwabiu - stwierdziła Dani. - Nie chciałaś, żeby Harmonia wiedziała, że została wystrychnięta na dudka.

Po twarzy Shane' a przemknął drapieżny, prawdziwie wilczy uśmiech.

- Z grubsza o to właśnie chodziło - potwierdził.

_ Z grubsza, hę? Może dorzuciłbyś garść szczegółów?

- Nie potrzebujesz ...

_ ... tego wiedzieć - wpadła mu w słowo.

_ Ogromnie cieszy mnie fakt, że spotkałem się ze zrozumieniem.

Dziewczyna skrzywiła się:

_ Więc dlaczego wziąłeś mnie ze sobą? - Cassandra się uparła.

- Dlaczego?

_ Bo możesz rozpoznać ten jedwab samym dotykiem - odparł Shane. - Nikt inny nie zdoła tego dokonać.

Zacząła coś mówić, lecz urwała w pół słowa. Nagle pojęła o co chodzi.

_ Boisz się, że ten jedwab już raz podmieniono? Prawda? - zapytała.

_ Tony Liu miał motyw, możliwości, środki. A i czasu pod dostatkiem.

_ Myślałam, że jest członkiem Harmonii.

_ Ale to wcale nie oznacza, że zawsze tańczy, jak mu zagrają. Może mieć własne plany.

_ Żadnego honoru wśród tych złodziei - zauważyła Dani.

_ Honor obchodzi ich tyle, co zeszłoroczny śnieg.

_ W jakim pięknym świecie przyszło ci ... nam ... żyć.

_ To był twój wybór - zauważył Shane. - Stawałem na głowie, żeby utrzymać cię jak najdalej od tego wszystkiego.

_ Nie. Ty tylko chciałaś utrzymać mnie w całkowitej nieświadomości.

- Ignorancja jest źródłem szczęścia.

_ Ejże? To dlaczego jest na świecie aż tylu nieszczęśliwych ludzi?

Shane uśmiechnął się ze znużeniem.

- Ty i Cassandra stanowicie dobraną parę.

- To znaczy?

- Powiedziała to samo.

- A co z Gilliem?

_ Jest podobny do mnie - odparł Shane. - Wciąż usiłuje chronić swoją kobietę, nie bacząc na kłody rzucane mu pod nogi.

- Niewykluczone, że ona również usiłuje go chronić - stwierdziła Dani - i robi to w ten sposób, że nie wiesza mu się, jak kamień, na szyi.

Roześmiał się zaskoczony. Myśl, że Redpath usiłuje chronić kogoś tak niebezpiecznego, jak sierżant sztabowy Gillespie, wydała mu się niedorzeczna. Jednak szybko przestał się śmiać. Popatrzył na Dani z niezwykłą uwagą.

- Czy to właśnie robisz? - zapytał. - Usiłujesz mnie chronić?

- Czy wyglądam tak, jakbym kompletnie postradała zmysły? - odpowiedziała pytaniem.

. Ale jej głos nie był równie spokojny co spojrzenie.

- A zresztą, do diabła z tym wszystkim - dodała ze znużeniem. _ Jestem idiotką. To chyba dla ciebie nic

nowego.

Shane przesunął palcami po policzkach dziewczyny, a potem po jej wargach. Poczuł przyspieszony ciepły oddech.

- Nie zamierzałem wyśmiewać się z ciebie - powiedział bardzo łagodnie. - Jak dotąd, nikt tak delikatny nie usiłował mnie chronić. Zaskoczyło mnie to i tyle.

Dani zaczerwieniła się i uciekła spojrzeniem od błyszczących czarnych oczu Shane'a.

- Zapomnij o tym - mruknęła. - Wiem, że akurat tak samo potrzebujesz ochrony, co szarżujący bawół.

- Przed Afganistanem zgodziłbym się z tobą bez namysłu. Potem jednak wiele się nauczyłem.

Nabrzmiały emocjami głos mężczyzny zmusił ją do podniesienia wzroku. Mieszana gniewu i żalu w jego spojrzeniu wstrząsnęła nią i zmusiła do płaczu ... bezgłośniego i nie uzewnętrznionego ... tak jak on kiedyś musiał płakać.

- I są rany i rany - stwierdził spokojnie mężczyzna. - Byłem pewien, że już się Zdołały zagoić. A potem patrzyłem, jak ryzykujesz własnym życiem, byle tylko uratować kawałek świętego jedwabiu ...

Uśmiech rozjaśnił mu twarz. Uśmiech tak łagodny, że Dani ścisnęło się gardło od powstrzymanego szlochu.

- Bardzo żałuję, że zostałeś ... zraniony - powiedziała ochryple.

- Mógłbym to samo powiedzieć o tobie. Ale ból jest znakomitym nauczycielem. Musimy tylko uważać, żeby nie uczyć się zbyt szybko.

- Co masz na myśli?

Shane ponownie musnął opuszkami palców policzek dziewczyny. To była cała jego odpowiedź.

- Gdyby coś poszło źle - powiedział - siedź cicho i trzymaj się od tego z daleka.

- Ale ... - zaczęła Dani.

Nie pozwolił sobie przerwać.

- Potem będziesz mogła wrócić na uczelnię, do swojej pracy naukowej i tylko ludzie z Risk Limited będą wiedzieli, że brałaś udział w tej zabawie - powiedział.

- A co z tobą?

- Jeśli mi się poszczęści, Harmonia przejdzie do historii.

- A jeśli noga ci się powinie, to zginiesz? - spytała Dani bez owijania w bawełnę.

- Harmonia da z siebie wszystko. I ja też.

- Shane ...

Położył palce na jej wargach, powstrzymując dalsze słowa.

- Żadnych dyskusji - uciął. - Obiecuj mi, że będziesz siedziała cicho.

- Jeśli będę mogła.

- Dani...

- Nie mam zamiaru chronić własnej głowy twoim kosztem - przerwała mu gniewnie. - Możesz więc oszczędzić sobie gadania!

Shane przecesał palcami włosy, ale nic mądrego nie przyszło mu na myśl. Żaden błyskotliwy argument, który można by przeciwstawić determinacji widniejącej w jej orzechowych oczach.

Rzucił okiem na zegarek i zdusił przekleństwo.

- Przesyłka od Gilliego już tu powinna być - zauważył.

Spojrzał na przycumowany do mola jacht. Załoga już prawie skończyła ładowanie zapasów żywności.

Wkrótce łódź będzie gotowa do wyjścia w morze.

- Spójrz! - powiedziała Dani cicho.

Kasatonin wspinał się po trapie na ulicę. Katia odprowadzała go wzrokiem, póki nie zniknął w tłumie krążącym, jak zwykle, późnym popołudniem po nabrzeżu.

Dani zerknęła na Shane'a. Nie wyglądał na' zaskoczonego ani niezadowolonego. Nagle zrozumiała, co zamierza i żołądek skurczył jej się ze strachu.

- Chcesz podmienić jedwab pod samym nosem tego mordercy? spytała przejęta.

- Jeśli nie będzie innego wyjścia, to tak - odparł Shane. - Ale planuję dokonać zamiany w Seattle, nim Kasatonin osobiście stanie na straży prawdziwego jedwabiu.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i odwrócił głowę, z szybkością drapieżnika.

Przez salę restauracyjną szedł w ich kierunku Gelmann. Usiadł obok i oświadczył cicho:

- Złe wiadomości,

- Już siedzimy - zauważył Shane.

- Dzwonili właśnie z samolotu - mruknął nowo przybyły. - Szlag im trafił pompę wtryskową. Muszą usiąść w Boise. Spóźnią się o jakąś godzinę, może dwie.

- Cholera! - To był jedyny komentarz.
Shane spojrział na jacht. Ostatnią cumę właśnie rzucono na pokład. Czarny dym buchnął z komina.
Bрудna woda za rufą zaczęła się gotować.
- Możemy się nie wyrobić - zauważył Gelmann.
- Czy jest bardzo źle? - zapytała Dani.
- Chen ma wyruszyć za dziesięć minut.
- Tak szybko? - zdziwił się Shane. - Żeby to szlag trafił! Ta cholerna pompa nie miała już kiedy wysiąść!
- Za dwie godziny Chen wjedzie do pokładu promu z Anacortes do Victorii - poinformował Gelmann.
- Anacortes? - powtórzył Shane. Wyobraził sobie mapę stanu Washington.
- Przy dobrej pogodzie samochodem można tam dotrzeć w półtorej godziny - uprzedził następne pytanie Gelmann. - Nie daje nam to zbyt szerokiej możliwości.
- Potrzebna nam jest jedna szansa. Tylko jedna mama szansa - odparł Shane.
- To na co właściwie czekamy? - spytała Dani. - Ruszmy się stąd. Tę szansę musimy stworzyć sobie sami.
Gelmann posłał jej zdumione spojrzenie. Shane był już w drodze do drzwi.

31

Anacortes

Listopad

Kiedy ostatnie cytrynowożółte promienie jesiennego słońca zniknęły po zachodniej stronie nieba, prom Winomish, własność stanu Washington, wpłynął do portu w Anacortes. Na ląd zeszło kilkunastu pasażerów. Gdy byli już na chodniku, załoga zezwoliła samochodom z Kanady na opuszczenie pokładu. Na nabrzeżu, w kilku szeregach, stały wozy zmierzające w przeciwnym kierunku. Nie było ich wiele. Na swoją kolej czekało niecałe sześćdziesiąt pojazdów. Trasa promu wiodła do Victorii w Kanadzie z postojem we Friday Harbor w stanie Washington.

Półciężarówka Chena Li Hwana była druga z kolei, w drugim rzę- III dzie pojazdów. Za nią, w odległości pięciu samochodów, stało auto Kasatonina. Obserwacyjny van Risk Limited zaparkował przezornie dziesięć wozów dalej.,

Dani prawie nauczyła się żyć w cieniu tropionego wroga. Wyciągnięta na ławce z boku pojazdu, ostatnią godzinę spędziła w stanie półsnu, znużona nudą i męczącym napięciem.

Jedyna przerwa w ich rutynowym czekaniu nastąpiła wtedy, gdy dziewczyna uniosła na cal zasłonę w bocznym oknie vana i popatrzyła na stalowoniebieską wodę cieśniny Rosario, od której dzieliła ich tylko

szerokość parkingu. '

W tym momencie mijały ich dwa holowniki, które płynęły w stronę otwartego oceanu. Kierowały się na północ, ciągnąc za sobą zbite z desek barki. Spędziwszy nad mapami wiele godzin, Dani orientowała się, że barki zmierzają na zachód, na wody kanadyjskie.

Prowadzenie inwigilacji daje człowiekowi mnóstwo wolnego czasu.

Dziewczyna odnosiła wrażenie, że zdobyła już kwalifikacje niezbędne do oprowadzania wycieczek po wyspach San Juan.

Ciekawe, jak szybko "Party Tyme" dotrze do Victorii?, pomyślała. Nie powiedziała jednak ani słowa na ten temat. W vanie i bez tego

panowało wystarczająco duże napięcie.

Czas uciekał.

- Ten cały Chen to niezły model- mruknął Flanders.

Dani zerknęła na przód samochodu, gdzie oprócz Teksasńczyka nikogo nie było. .

- Dlaczego tak mówisz? - spytała bez większego zainteresowania.

- Świetnie wie, że ciągnie za sobą długi na milę konwój, a siedzi tam jakby nigdy nic i udaje, że śpi - odparł Flanders.

Shane wydał jakiś nieokreślony dźwięk. Tkwił z tyłu pojazdu, w pobliżu Dani, ukryty za firankami samochodu. Odchylił jedno z oparcie tyłu i rozłożył się wygodnie, niczym kot w słońcu.

Najbardziej ze wszystkiego irytował dziewczynę fakt, że jego spokój wcale nie był pozą. Jakimś cudem potrafił odciąć się od wszystkiego, oszczędzając energię do chwili, kiedy będzie mu potrzebna.

Istny cyborg zen, uznała.

Wtem przypomniała sobie Arubę. Przez jej ciało przepłynęła fala gorąca.

Cóż, pomyślała kwaśno, w tym momencie jest cyborgiem zen. Też bym chciała nim być.

Ale nie wiedziała, jak to się robi. Nie potrafiła wyłączyć swego umysłu. Jej myśli wciąż krążyły między nudną rzeczywistością, przerażającą przyszłością i odbierającą spokój ducha przeszłością, kiedy to odkryła

namiętność w ramionach mężczyzny, a potem dowiedziała się, że mężczyzna ów przestrzega celibatu. Shane usiadł bez pośpiechu. Końcem palca delikatnie odsunął firankę. Tylko tyle, by utworzyć małą szparę. Ukazał się w niej samochód Kasatonina, niczym wyęskniony obiekt w polu widzenia strzelca wyborowego.

- Chen odznacza się stalowymi nerwami szmuglera i bezczelnością włamywacza - zawyrokował. - Niebezpieczna kombinacja.

- Twój rosyjski przyjaciel wygląda na człowieka doprowadzonego do ostateczności - zauważył Flanders. - Od wyjazdu z Seattle wierci się tak, jakby siedział na szpilkach. Można by pomyśleć, że wiezie ten jedwab osobiście.

- On zawsze tak wygląda - odparła Dani.

- Powinien opanować sztukę relaksowania się - stwierdził Tekszańczyk. - Przeciężny celnik umie odczytywać język ciała, jakby to była reklama na słupie ogłoszeniowym.

- Mogą mu przetrząsnąć samochód i przeprowadzić rewizję osobistą - powiedział Shane. - Nie znajdują absolutnie niczego. Katia może go sobie traktować jak oswojonego wilka, ale to cwaniak pierwszej wody.

- Czy naprawdę ona tam rządzi? - zainteresowała się Dani.

~ Ona trzyma to wszystko w kupie. Jest jak klej, bez którego Harmonia rozleciałaby się na drobne kawałki - odparł Shane.

Flanders parsknął.

- Myślę, że to logiczne. Wielcy przestępcy przypominająurne byki. Bez krowy za nic nie ustawiliby się w szeregu.

- Za takie słowa Redpath własnoręcznie poderżnęłaby ci gardło - zauważył Crowe.

- A ja bym jej pomogła - dodała Dani.

- Twoja szefowa? - spytał Flanders Shane'a, całkowicie ignorując dziewczynę.

- Aha - beztrzęsliwie potwierdził zapytany.

- Jak to jest, gdy się pracuje dla kobiety? - dociękał Tekszańczyk. Przeszedłem na emeryturę, zanim spółniczki przeskoczyły mnie w hierarchii służbowej.

- Czy kobiety naprawdę tak bardzo się różnią, gdy chodzi o sprawy zawodowe? - spytała Dani, zanim Shane zdążył odpowiedzieć.

Uśmiechnął się.

- Czytałaś może kiedyś refleksje Siin-cy na temat wojny?

- Jeszcze do niedawna wiedza z tej dziedziny nie była mi do niczego potrzebna - odparła.

- Taka lektura mogłaby się okazać całkiem pouczająca - stwierdził. Siin wyznaje poglądy, które w świetle kultury i tradycji zachodniej wydają się niemal kobiece.

Flanders ziewnął.

- Na przykład? - nie dawała za wygraną Dani.

- Siin wierzy, że najlepiej jest wygrywać, nie staczając bitwy. Natomiast większość mężczyzn wolałaby stanąć do otwartej walki i przegrać, niż uciekać się do subtelnych manipulacji czy podstępów.

- Trzeba wiedzieć, kiedy można atakować, a kiedy należy przeczekać - zgodziła się Dani. - Tyle nakazuje zwykła logika.

- Logika nie ma tu absolutnie nic do rzeczy - stwierdził Shane. Gdyby faktycznie miała jakieś znaczenie, światem rządziłyby kryształy.

, - No, a skąd wiadomo, że tak nie jest? - odcięła się dziewczyna.

Roześmiał się.

- Mam ochotę napuścić cię któregoś dnia na Prasama.

- Odniosłam wrażenie, że kobiety są jakimś egzotycznym gatunkiem dla ...

Przerwała, bo silnik wana raptem zaskoczył. Sznury samochodów zaczęły wjeżdżać na pokład promu.

Z cichym przekleństwem Shane wziął do ręki telefon z urządzeniem szyfrującym i wcisnął guzik.

- Za pięć minut opuścimy Anacortes - powiedział ostro. - Gdzie do cholery jest ta przesyłka?

Dani nastawiła uszu, ale odpowiedź Gelmanna do niej nie dotarła. Za to Shane słyszał wszystko wyraźnie. I zupełnie mu się to nie spodobało. - Posłuchaj, siedzę mu w tylnej kieszeni - oświadczył stanowczo. -

On nie tknie tego jedwabiu, póki nie miną kanadyjskiej kontroli celnej w Victorii. A potem będzie już po herbacie. Cały czas realizujemy plan

D. Jasne?

Dani w duchu zastanawiała się, na czym polega plan D. Wyraz oczu Shane'a uprzytomnił jej, że raczej nie chciałaby tego wiedzieć.

Znów ogarnęło ją pragnienie, żeby go chronić. Intensywność tego uczucia zaskoczyła ją sarną. Nie chciała,

żeby Shane doznał przykrości, żeby cierpiał, żeby znowu musiał walczyć o zachowanie jakiejś takiej równowagi w swoim życiu.

Czy on odczuwa to sarno wobec mnie?, zastanawiała się w duchu.

Nie o to chodzi, że on nie dorósł do zadań, które przed nim stoją ... tylko o to, że ja wiem, ile go to kosztuje.

I nie chcę, żeby musiał za wszystko płacić.

Akurat tak sarno potrzebujesz ochrony co szarżujący bawół.

"Przed Afganistanem zgodziłbym się z tobą bez namysłu. Potem jednak wiele się nauczyłem".

Oby nie musiał się już uczyć niczego więcej poprzez fizyczne czy psychiczne cierpienie.

Decyzja jednak nie należała do niej.

Opuścił telefon komórkowy i spojrzał na Flandersa. - O której wpłyniemy do Friday Harbor? - zapytał.

- Za jakąś godzinę.

- Mają tam lotnisko?

- Tak, ale niewykluczone, że z pasa startowego trzeba będzie przegonić jakieś czworonogi.

- W porządku - rzucił Shane do telefonu. - Wyczarterujcie naj szybszy helikopter, jaki wam wpadnie w ręce.

I to zaraz. Nie. Po prostu wykonać.

Dani aż zeszytniała, słysząc ostre nuty w jego głosie.

- Niech śmigłowiec czeka w Boeing, gotowy do natychmiastowego startu. Już teraz załatwcie zezwolenie na lot do Friday Harbor - polecił Shane. - Jak tylko nasz odrzutowiec siądzie, łap paczkę i pędź na złamanie karku. Możesz wejść na prom we Friday Harbor jako pieszy pasażer.

Shane wykonał dłonią gwahowny gest.

- Oczywiście, że mamy czas - oświadczył stanowczo. - Dostarcz po prostu tę cholerną przesyłkę Billowi.

- Spotkam się z nim koło baru - krzyknął Teksańczyk.

- Spotkanie koło baru - przekazał Shane do słuchawki. - Z Flandersem. Załapałeś?

Uznał widocznie, że Gelmann wszystko zrozumiał, bo przerwał połączenie i odłożył aparat, zanim tamten zdobył się na odpowiedź.

- Pozwól mi spotkać się z Juanem - zaproponowała Dani. - Mężczyzna podrywający kobietę ...

- Nie - uciął Shane.

- Dlaczego? - nie ustępowała.

- Kasatonin.

Dalsze argumenty zamarły jej na ustach.

- Poznałby mnie - uświadomiła sobie. - I ciebie.

- W mgnieniu oka - zgodził się. - Byłyby to prawdopodobnie nasze ostatnie chwile w życiu.

- Jak długo to potrwa? - spytał Flanders.

- Odrzutowiec jest jakieś dziesięć minut lotu od Boeing.

- Chryste Panie! Zaplanowane na styk, nie zostawiłeś luzu nawet na żabi włos - westchnął Flanders. - A co, jeśli nie zdążymy do Friday Harbor?

Oczy Shane'a zwężyły się. Powiedział jednak tylko:

- Wjedź na pokład i ustaw nas tak, żebyśmy mieli wóz Chena stale na oku.

- Zrobię, co się da zrobić bez zwracania na siebie uwagi - mruknął Teksańczyk.

Wprowadził vana na pokład i zaparkował. Półciężarówka Chińczyka stała blisko dziobu. Dwa samochody za nim, ale w następnym rzędzie ustawił swój wóz Kasatonin. Kierowcy opuszczali pojazdy i udawali się do pomieszczeń pasażerskich na górnym pokładzie. Chen wysiadł z szoferki, zamknął drzwi na klucz i dołączył do osób zmierzających na górę.

Chwilę później wysiadł Kasatonin. Przeciągnął się, zamknął wóz i podążył za Chińczykiem.

- Idę za nim -!- oświadczył Flanders. - Wracam zaraz po spotkaniu z Juanem.

Niczym niedźwiedź dopiero co obudzony z zimowego snu, wysiadł z vana, zamknął go i na pozór niespiesznie ruszył w kierunku schodów. W rzeczywistości był na tyle szybki, że wkrótce dogonił, a następnie wyprzedził Kasatonina.

Zatrzymał się dokładnie na wprost niego i wetknął sobie papierosa w usta. Poklepał się po kieszeni i, nie znalazłszy niczego, rozejrzał się wokół w poszukiwaniu osoby dysponującej ogniem.

Kasatonin. potrząsnął przecząco głową.

Flanders ponownie ruszył w kierunku schodów i identyczną pantomimę odegrał przed jakimś Bogu ducha winnym pasażerem. Znowu bez rezultatów.

Kasatonin nie zwracał na niego uwagi.

- Zwolnienie Flandersa z pracy było poważnym błędem ze strony amerykańskiego Urzędu Celnego - zawyrokował Shane. - On jest genialny.

- Wyobrażam sobie, że Risk Limited mogłoby go jakoś wykorzystać - zauważyła Dani sucho.
- Mam nadzieję. Jest zbyt niebezpieczny, żeby działać samopas.
- I kto to mówi? - rzuciła dziewczyna, potrząsając głową.

Shane zerknął na nią spod oka.

- Czy to jakaś aluzja? - spytał. - Przecież wobec ciebie zachowałem się prawie, jak na dzentelmena przystało. Jeśli idzie o resztę świata, to przyznaję, że bywało różnie.
- To właśnie miałam na myśli. Pod niektórymi względami, ty i Flanders aż za bardzo przypominacie ludzi, których ścigacie. Obaj macie w sobie coś z tropiącego drapieżnika.
- Jeśli zamierzasz polować na rekiny, musisz mieć ostre zęby.
- Ale twoja skóra nie jest tak gruba, jak u rekina - zauważyła Dani miękko. - Dosłownie i w przenośni.
- Tylko dzięki temu pozostałem człowiekiem.
- I czasem boli.
- To jedno i to samo.

Silniki promu ożyły nagle w tonacji tak niskiej, że łatwiej je było wyczuć niż usłyszeć. Niezgrabna biała łódź wycofała się ze swego stanowiska postojowego i, zatoczywszy łuk, ruszyła na zachód ku wyspie San Juan. Po raz pierwszy od czasu Aruby Dani uświadomiła sobie, że są z Shanem tylko we dwoje. Ta myśl na chwilę pozbawiła ją tchu, ale wkrótce nadeszło przypomnienie.

Śluby czystości.

Chcąc rozprostować zeszywniałe plecy, Dani wsparła łokieć o boczne oparcie i jak długa wyciągnęła się na ławce.

Shane wstał ze swojego fotela i podszedł do niej.

- Podwiń może swoje śliczne nóżki, dobrze? - poprosił. - Chciałbym mieć furgonetkę Chena na oku, a z twojego miejsca jest najlepszy widok.

Dziewczyna bez słowa przesunęła się na środek miękko wyściełanej ławki, robiąc mu miejsce obok siebie.

Usadowił się wygodnie, wyciągając swoje długie nogi. .

- Dzięki - powiedział. - Jestem za duży i za stary na tego rodzaju karę.

Roześmiała się bezradnie i potrząsnęła głową.

Przez jakiś czas siedzieli dotykając się biodrami. Shane przez szparę w zasłonie obserwował półciężarówkę Chena.

Każdą komórką swego ciała Dani wyczuwała bijące od niego ciepło. Szukała najego twarzy oznak, że on też to ciepło czuje, że jest świadom jej obecności, że choć trochę go niepokoi realna możliwość, iż jedno z nich, lub oboje, zginą w ciągu najbliższych kilku godzin.

Ale usta mężczyzny nie zdradzały napięcia. Najego policzkach widniał cień zarostu. Oczy zmrużył w wąskie szparki, ale tylko po to, by uzyskać ostrzejszy obraz. Właściwie wyglądał tak, jakby przysypiał. I przypuszczalnie naprawdę drzemał.

_ Jak ty to robisz? - przerwała ciszę Dani, doprowadzona do ostateczności.

- Robię co? - zapytał, odwracając się ku niej.

_ Jesteś taki zrelaksowany - powiedziała. - Im bliżej ostatecznej rozgrywki, tym jesteś spokojniejszy. A przecież wiem, że nie uważasz się wcale za kulodopornego faceta.

Shane rzucił okiem na furgonetkę i ponownie na Dani.

_ Z góry pogodziłem się ze wszystkim, co może mi się przytrafić odparł. - W ten sposób jestem w stanie robić to, czego wymaga sytuacja, i żadne niepokojące myśli nie rozpraszają mojej uwagi.

_ Kodeks wojownika, prawda? - spytała odrobinę wyzywająco. - Tylko ten, kto akceptuje swoją śmierć, panuje nad własnym życiem. - Coś w tym guście.

_ Czy dlatego żyjesz w celibacie? Żeby cię nic nie rozpraszało? Dziewczyna nie zdążyła jeszcze skończyć zdania, a już pożałowała swoich słów. Cofnęłyby je, gdyby tylko mogła.

_ Mniejsza z tym - rzuciła spiesznie. - Nie mam prawa zadawać takich pytań.

_ Jesteś jedyną osobą, która ma do tego prawo - zapewnił ją Shane. - Zachowanie czystości traktowałem jako ćwiczenie doskonalące siłę woli. Swoisty trening w zakresie samodyscypliny. I nie sprawiał mi on większych trudności. Potem pojawiłaś się ty. I zaczęły się problemy.

_ Tak mi przykro. Gdybym o tym wiedziała, nigdy bym ...

Położył długie palce na jej wargach. .

_ Nie - powiedział. - Nie ma tu twojej winy. Jesteś jedyną niewinną istotą na całym tym cholernym promie.

_ Niewinną? - Dani roześmiała się niemal histerycznie. - Zupełnie jakbyś mówił o dziewczynce w

szkolnym fartuszku.

_ Miałem na myśli to, że jesteś czysta, wolna od grzechu, nie skażona ...

- Złem? - podsunęła.

Wzruszył ramionami.

- Słowo tak samo dobre, jak wiele innych.

- Nie jestem świętą figurą.

- Jesteś stuprocentową kobietą - zgodził się Shane. - Niestety.

Jego usta zacisnęły się surowo, gdy rzucił okiem na zegarek. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny i jedna minuta dzieliły go od wygaśnięcia ślubów czystości.

Wystarczy, żeby ją chronić, pomyślał. Chociaż z trudem. Gołym okiem widać, jak bardzo jest spięta. A przecież mógłbym ją od tego napięcia uwolnić. Mam nadzieję, że ona nie odbiera podobnych sygnałów ode mnie.

Muszę trzymać się od niej z daleka. Kasatonin mnie zna ... wie, kim jestem, czym jestem, co robię. Jak długo on żyje, nikt nie może w żaden sposób skojarzyć Dani z moją osobą.

Nigdy.

- Shane?

- Nie martw się kochanie. Wiem, co robię.

- Ale ja nic nie wiem!

- Czy nie możesz mi zaufać?

- Przecież od początku ci ufałam. I nie pytaj mnie, dlaczego, bo na to pytanie sama nie znam odpowiedzi. - Nie jest mi potrzebna.

Shane odwrócił się do dziewczyny, powolnym ruchem położył rękę na jej ramieniu i poczuł jak przenika go ciepło jej ciała. Dani ubrana była w lekką puchową kamizelkę naciągniętą na wełniany sweter. Jej delikatne kobiece kształty nęciły go bardziej niż cokolwiek innego.

Zacisnął palce i ucieszył się, że ramię dziewczyny poddaje się temu uciskowi. Wsunął dłoń pod kamizelkę. Przez sweter wyczuł zarys stanika i przypomniał sobie, jak to w Lhasie' przeglądał jej bagaż, czując się niczym Tomcio Podglądacz.

Żadnych fantazyjnych czarnych koronek, przypomniał sobie. Nie potrzebowała ich. Była wystarczająco gorąca, by rozpalić każdego mężczyznę.

A zwłaszcza mnie.

Delikatnie masował palcami napięte mięśnie dziewczyny. - Jesteś twarda jak kamień - powiedział.

Dani zamknęła oczy starając się za wszelką cenę stłumić zmysłową reakcję swego ciała na jego dotknięcie.

- Boję się - wyznała przez zaciśnięte zęby.

- Mnie?

- Nigdy nie brałam udziału ... w rozgrywce ... takiej jak ta.

Była to tylko część prawdy. W dodatku ta mniej ważna dla obojga.

Shane wiedział o tym. Zastanawiał się tylko, czy i Dani wie. W milczeniu, delikatnie, z uporem masował jej mięśnie, chcąc zlikwidować napięcie.

_ Nie boisz się - powiedział po dłuższej chwili. - W każdym razie nie tej rozgrywki.

Dostrzegł łzy, zanim dziewczyna wyrwała się z jego rąk. Usiadła tyłem, wyprostowana jak struna.

_ Czego się boisz? - nalegał Shane, mając pełną świadomość, że postępuje niewłaściwie.

Lecz w głębi ducha czuł, że musi usłyszeć to, o czym i tak już wiedział: Dani pragnie go równie silnie, jak on jej.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Odetchnęła głęboko.

_ Czy nie byłoby lepiej, gdybyś wrócił na swoje stanowisko obserwacyjne? - spytała z udawanym spokojem.

W jej głosie pobrzmiwała nuta gorzkości. - Jeśli coś pójdzie nie tak, jak trzeba, nie chciałabym czuć się odpowiedzialna za rozpraszanie uwagi cy ... wojownika zen.

Shane w milczeniu położył obie ręce na jej plecach.

Przeszkadzała mu kamizelka. Rozpiął więc suwak i opuścił ją do połowy ramion dziewczyny.

- Shane ...

_ W porządku - uciszył jej protest. - Twierdziłaś, że mi ufasz, pamiętasz? Jesteś zawiązana na supeł, a to nie pomoże nikomu.

Jego ręce lekko spoczęły na jej barkach, tak że palcami dotykał obojczyków. Kciukami delikatnie zaczął rozciągać skurczone mięśnie.

Chociaż Dani siliła się na spokój, ciało jej drżało, czując subtelny siłę tych dłoni.

Zagryzając wargi, starała się zneutralizować oszałamiające wrażenia, których doznawała przy każdym ruchu.

Wreszcie nadszedł moment, gdy nie mogła już zwalczyć tego, co było jej potrzebne bardziej, niż powietrze. Schyliła głowę poddając się rozkosznej pewności, że jej ciało i ręce Shane'a stanowią razem najbardziej doskonałą i skończoną całość. Ich własny pulsujący zmysłami wszechświat.

_ Jesteś taka twarda - powiedział Shane. - Taka silna. Myślę, że nigdy w żadnej kobiecie nie wyczuwałem tyle siły.

Dani roześmiała się smutno.

_ Silna? - spytała cichym głosem. - Chyba nie bardzo. Nie poradziłabym sobie ze stukilogramowym ciężarem.

- Nie taki rodzaj siły miałem na myśli.

Jej oddech stał się drżący.

- Akurat w tej chwili czuję się słaba i miękka - oświadczyła. - Niczym wosk w pobliżu ognia.

Oczy Shane'a przymknęły się zmysłowo. Pod palcami wyczuł napięcie stanika.

Zanim Dani zdążyła zaprotestować, wsunął ręce pod jej wełniany sweter i błyskawicznie rozpiął biustonosz.

W głębi duszy pragnęła odwrócić się do niego i przycisnąć jego dłonie do swoich piersi.

Celibat.

Gniewnie przymknęła oczy i zmusiła się do myślenia o czymś innym. Wszystko jedno o czym. Nie chciała ponownie rozbudzać w nim namiętności, której nie mógłby zaspokoić.

Ręce Shane'a wysunęły się spod ubrania dziewczyny. Ponownie zaczął bezosobowy masaż.

Najchętniej uchylałaby się od fizycznego kontaktu, który przyprawiał ją niemal o utratę zmysłów, al'e bała się, że ten ruch zdradzi jej UCZUCIA.

- Zdecydowałaś się spędzić życie wśród piękna najdoskonalszych wytworów ludzkich rąk - powiedział Shane spokojnie.

- Czy to oskarżenie?

- Nie. Stwierdzam tylko fakt. Starasz się ocalić i zachować fragmenty piękna, które przetrwało do naszych czasów.

- A ty zdecydowałaś się na życie wśród brzydoty najgorszych ludzkich uczynków - odparła.

- Niezupełnie. Zdecydowałem się podjąć wysiłek 'Zmieniaania tego, co najgorsze. Jeśli chcę osiągnąć ten cel, nie mogę trzymać się z daleka. - Stawia cię to w bardzo niekorzystnej sytuacji - zauważyła Dani ochryplym głosem. - Ty starasz się nie zabijać, natomiast osobników pokroju Kasatonina nie krępują żadne ograniczenia.

- Za to ty masz w sobie więcej cudu i magii życia, niż jakakolwiek inna ludzka istota. Gdy myślę o tobie ... tracę z oczu cały świat.

Dani zeszywniała, jakby uderzył ją w twarz.

- Więc nie dotykaj mnie - wycedziła przez zęby.

- Jesteś zbyt spięta. Potrzebujesz ...

- Kolejnego zbliżenia z litości? - przerwała mu z goryczą w głosie. - Ale to nawet nie było to, prawda?

Jak to się właściwie nazywa, gdy mężczyzna... .

Dalsze jej słowa przerodziły się w okrzyk zdumienia, gdy Shane obrócił ją gwałtownie twarzą ku sobie.

- Nazywamy to kochaniem się - powiedział miękko.

Ale spojrzenie miał twarde i gniewne. Ją także ogarniała złość.

- Kochać się trzeba we dwoje - podkreśliła dobitnie. - Akt solowy ... no, cóż, wiele mu brakuje. I nie mów mi, że nie zauważyłeś!

- Zauważyłem.

- To dlaczego, do ciężkiej cholery, znowu nas torturujesz?

- Ja ... nic nie potrafię na to poradzić - szepnął. - Z dwojga złego wolę dotykać cię i cierpieć, niż nie dotykać i cierpieć tak samo.

- Aja nie! Jak twoim zdaniem mogę się czuć, biorąc wszystko i nie dając w zamian nic? Jak ty byś się czuł, będąc na moim miejscu? - Osaczony. Sfrustrowany. Gotów lada chwila wybuchnąć.

- Bingo.

- Usiłuję cię chronić, Dani.

- Przed czym?

- Przede mną.

Te słowa tak nią wstrząsnęły, że przez chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Nigdy byś mnie nie skrzywdził - powiedziała.

~ Pod względem seksualnym? Nie. Kochałbym cię od pięt po czubek głowy i z powrotem. I jeszcze raz. I...
Roześmiał się, a jego śmiech zabrzmiał w ciszy niczym suchy trzask bicia.

Dani wzdrygnęła się.

- Zapomnij o tym - mruknął szorstko. Żadne z nich jednak nie potrafiło zapomnieć.

- Puść mnie - powiedziała dziewczyna. - Twoje śluby. Shane spojrzął na zegarek.

- Gdyby to było jutro o tej porze, nic nie zdołałoby utrzymać mnie z dala od ciebie.

- Ale wciąż mamy dzisiaj - stwierdziła półgłosem.

- To prawda. Bądź wdzięczna losowi, Dani. Jeszcze żadnej kobiety nie pragnąłem tak, jak ciebie. A nie jestem z tych mężczyzn, co to "dziś są, jutro ich nie ma".

- Krótko mówiąc, chcesz wszystko albo nic?

- Tak - odparł po prostu.

- Wobec tego, sam powinienes być wdzięczny losowi, że to jeszcze nie jutro. Bo ja nie należę do kobiet z gatunku "dziś są, jutro ich nie ma".

Shane spojrzął w orzechowe oczy dziewczyny i ze smutkiem potrząsnął głową.

- Nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną - szepnął.

- A tak naprawdę chcesz powiedzieć, że to ja nie jestem dla ciebie odpowiednią kobietą.

- Dani. - Głos Shane'a załamał się. - Usiłuję cię oszczędzić.

- Gdy będę chciała być "oszczędzona", bez zwłoki zakomunikuję ci to sama. .

- Nie rozumiesz. Widziałem rzeczy ... robiłem rzeczy. Shane spazmatycznie wciągnął powietrze.

- No więc ... ? - spytała.

- Do diabła z tym! W ogóle nie słuchasz! Nie jestem takim mężczyzną, jak myślisz.

- Cyborg zen.

- Jestem aż nadto ludzki - zaprotestował z pasją. - Łamano mnie w sposób, o jakim ci się nawet nie śniło.

- Wiem. Wiem również, że prawdziwa siła tkwi w zdolności do prostowania się, a nie w tym, by nigdy nie dać się łamać.

Powieki mężczyzny drżały, jakby te słowa były solą wysypaną na świeżą ranę.

Zapadło milczenie. Wreszcie Shane odetchnął głośno. Chcąc się rozluźnić, usiadł wygodnie, odchylając plecy do tyłu. Potem wyciągnął ku niej ramiona.

- Czy pozwolisz, żebym cię przytulił - poprosił. - Nic więcej. Tylko przytulił.

- To nie jest dobry pomysł - szepnęła.

Ale zaczęła się ku niemu przysuwać, zanim skończyła mówić. Zerknął na jej usta. Drżały niepewne, czy mają wyrażać smutek, czy może raczej radość. .

- Cudowny pomysł - westchnął. - Chodź i połóż się tu przy mnie. To wszystko, co możemy zrobić. Gdy ta cała afera się skończy, nie zobaczysz mnie więcej.

Chociaż Dani nie wyrzekła ani słowa, nagle zeszytywnienie jej ciała jednoznacznie świadczyło o tym, że nie przyjmuje jego słów do wiadomości.

- Kasatonin - powiedział Shane. - Nie śluby czystości.

- Chyba nie rozumiem.

- Kasatonin wie doskonale, że biorę udział w tej grze. Jeśli odkryje, że jesteś ze mną, będziesz skazana na śmierć. Nie chcę, żeby tak się stało. Więc przytul się do mnie, Dani. Po prostu ... przytul.

Z westchnieniem ni to ulgi, ni to rozpaczy osunęła się w jego ramiona i położyła mu głowę na piersiach. Tak jak kiedyś we wnętrzu tybetańskiej ciężarówki.

I jak wtedy, w zetknięciu z tym dużym, silnym wielkim ciałem zdała sobie sprawę z własnej słabości.

Ale tym razem jego fizyczna przewaga nie budziła żadnych obaw.

Przeciwnie. Zdązała ku niemu i wydawało się to równie nieuniknione, jak w przypadku rzeki płynącej do morza.

Powoli oczy Dani zamknęły się. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że stanowią absolutnie doskonałą jedność.

Pod wieloma względami było to nawet lepsze niż zbliżenie. Kochała i doznawała miłości.

- Jaki piękny uśmiech - szepnął

- Bo dokonałam właśnie pięknego odkrycia.

. - Jakiego?

- Dla niektórych mężczyzn siła fizyczna może być darem i źródłem radości. Na przykład, dla ciebie, Shane. Jego ramiona zacisnęły się, przyciągając ją jeszcze bliżej. Nie potrafił ukryć oznak pożądania. Dani

zareagowała natychmiast.

Odepchnęła się od jego piersi, usiłując usiąść.

Ramiona mężczyzny przytrzymały ją delikatnie. Oddech musnął jej szyję niczym pocałunek.

- Nie - powiedziała. - Nie chcę być tą, przez którą złamiesz przysięgę. Znienawidziłbyś mnie za to.

- Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- No to znienawidziłbyś samego siebie!

Shane nie odpowiedział, ale też nie wypuścił jej z objęć. Nie mógłby tego zrobić za żadne skarby świata.

Dlaczego nie złożyłem swoich ślubów dzień wcześniej, na próżno pytał sam siebie. Tylko jeden dzień wcześniej.

No, ale stało się. A teraz nie miał żadnej gwarancji, że dożyje spełnienia obietnicy, jaką niosło jutro.

Szkoda, że właściwa strefa czasowa nie przebiega przez cieśninę Puget, pomyślał.

I nagle roześmiał się głośno.

Jego śmiech zabrzmiał radośnie, nie było w nim ani śladu goryczy.

- Shane? - odezwała się Dani ze znużeniem w głosie.

- Jest taka linia wzdłuż 180 południka, od której na wschód i na zachód różnica w czasie wynosi jeden dzień - powiedział.

- Co za linia?

- Na dobre czy na złe, ale w Tybecie jest już jutro - oświadczył.

Dani chciała zapytać, co on właściwie przez to rozumie, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Błyskawicznie podciągnął jej sweter w górę, odsłaniając piersi. Na ich widok wydał jakiś nieokreślony dźwięk.

Dani oddychała z trudem.

- Shane? Jesteś pewien?

Z gardłowym pomrukiem wyrażającym radość i namiętność poprowadził jej rękę wzdłuż swego ciała, żeby dziewczyna mogła sama ocenić, jak wielkie jest jego pragnienie.

- A co z tobą - spytał. - Jesteś pewna?

Dani chciała odpowiedzieć, ale słowa rozplynęły się w jękach rozkoszy, gdy Shane zaczął pieścić ustami najpierw jedną jej pierś, potem drugą. Powtarzała więc tylko bez końca jego imię czując wprowadzający ją w największą ekstazę dotyk szorstkiej dłoni między udami.

W odpowiedzi na tę pieszczotę uniosła ku niemu biodra. Miała wrażenie, że zamienia się w jego rękach w płynny jedwab.

Shane, mamrocząc coś niezrozumiale, jednym ruchem zdarł z niej spodnie i bieliznę, po czym znieruchomiał na chwilę w oczekiwaniu, gdy dziewczyna rozpinała mu dzinsy.

- Nie mogę cię zabezpieczyć - powiedział.

- A czy prosiłam o to?

Z zaciśniętymi szczękami usiłował, choć częściowo, odzyskać kontrolę nad sobą. Ale z każdym oddechem, z każdym dotknięciem przychodziło mu to coraz trudniej. Powietrze wokół nich przesycone było zapachem miłości.

- Chciałbym, żeby to trwało wiecznie - wydyszał chrapliwie.

- Następnym razem - odparła Dani. - Następnym razem. Bo teraz ...

Jej słowa utonęły w okrzykach rozkoszy, gdy Shane pociągnął ją na kolana i przywarł ciałem do jej ciała, tak, że stanowili jedność. Przez nieskończenie długą chwilę trwali wtuleni w siebie, doświadczając w uniesieniu pełnej wspólnoty potrzeb fizycznych i duchowych.

A potem jego biodra poruszyły się, i nagle cały świat pozostał gdzieś daleko w tyle, a powstała próżnię wypełniło narastające, niewyobrażalne pragnienie. Jęknęła i oddała się całkowicie, bez żadnych zahamowań. Ruszając się rytmicznie, wychodziła mu naprzeciw, podwajając, zwielokrotniając doznania płynące z ich wspólnego tańca.

Z gardła mężczyzny wyrwał się pierwotny pomruk. Dani odpowiedziała chrapliwym 'szloch' i drobnymi delikatnymi skurczami, które całkowicie pozbawiły Shane'a samokontroli. Wykrzyczał jej imię i oddał się jej bez reszty, wchodząc w nią głęboko, raz za razem.

Ekstaza całkowicie odmieniła Dani. Fala za falą, przepływała przez nią rozkosz, pozbawiając dziewczynę tchu, zdolności widzenia czy mówienia. Mogła tylko przywrzeć do Shane'a, z głęboką, instynktowną świadomością, że oto za jednym zamachem rozplynęła się gdzieś i ponownie objawiła.

Mężczyzna tuląc ją do siebie odczuwał to samo; oboje ztratili się całkowicie i w jakiś cudowny sposób odnaleźli.

Trwali w uścisku, póki do ich uszu nie dobiegł warkot potężnego helikoptera lecącego szybko i nisko nad wodą.

- Juan? - spytała Dani.
- Przy odrobinie szczęścia, tak.

A może nieszczęścia.

Potem każde z nich zastanawiało się, czy te słowa nie zostały przypadkiem wypowiedziane na głos.

32

Gdy prom wypływał z Friday Harbor, Dani, całkowicie ubrana, siedziała zwinięta w kłębek na kolanach Shane'a. Z podbródkiem

wspartym na jej głowie mężczyzna przez szparę w zasłonie obserwował furgonetkę Chena.

Dziewczyna miała zamknięte oczy. Przytulona do Shane'a usiłowała znaleźć jakieś argumenty, które zdołałyby zachwiać jego niewzruszonym przekonaniem, że ich związek jest dla niej równoznaczny z wyrokiem

śmierci. Przynajmniej dopóki Kasatonin pozostaje przy życiu.

A może to wcale nie jest takie proste, myślała zrozpaczona. Może to tylko wykręt. Może Shane nie chce mnie więcej widzieć, bo z mojego powodu złamał śluby czystości.

Ta myśl wywołała ból. Celibat... a raczej, co gorsze, naruszenie go ... było jedną z rzeczy, o których nie chciała z nim dyskutować. Nie powiedział na ten temat ani słowa, poza tajemniczą uwagą, że w Tybecie jest już jutro.

Jutro, myślała Dani, dotykając wargami pulsującego miejsca na szyi ukochanego. Przecież on z całą stanowczością zadecydował, że nie będzie dla nas żadnego wspólnego jutra.

Tylko dzisiaj.

Zgrzyt klucza obracającego się w drzwiach vana koło fotela kierowcy, rozdarł panującą wokół ciszę. Zamek ustąpił. Gelmann wśliznął się za kierownicę.

- Poobudkaaa! Do roboty, dziewczęta i chłopcy - wyśpiewywał cicho za zaciągniętą firanką.

Dani wyczuła, że ciało Shane'a prawie niezauważalnie zeszywniało pod wpływem napięcia.

- Zaczynamy przedstawienie? - zapytał.

- Opuszczam to pudło i wracam na pokład pasażerski - poinformował Gelmann.

- Dlaczego?

- Bo Flanders wyłazi ze skóry, żeby mieć jednocześnie na oku i Chena, i Kasatonina. Jeszcze trochę i może dostać kręčka.

- Czy oni trzymają się razem? - zapytał ostro Crowe.

- Wręcz przeciwnie. Zachowują się tak, jakby przebywali na różnych planetach.

Musnąwszy delikatnie wargami usta Dani, Shane zsunął ją z kolan i posadził na ławce obok siebie.

- Co właściwie porabia Chen? - spytał. - Ani razu nie zajrzał do swojej furgonetki.

- Przepadł gdzieś, na chwilę przed zawinięciem promu do Friday Harbor. U dawał, że idzie do toalety, w rzeczywistości jednak spotkał się z jeszcze jednym gościem. Azją, w uniformie tutejszego stewarda.

- Standard - rzucił Shane. Informacja nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. - Coś jeszcze?

- Flanders nie mógł podejść dostatecznie blisko, żeby się upewnić, ale wyglądało na to, że Chen wręczył temu drugiemu kluczyki wozu.

- Co takiego? - spytała Dani, gwałtownie się prostując. - Czyżby miał zamiar wyprowadzić nas w pole?

- Jeśli nie nas, to Kasatonina - odparł Gelmann. - Podejrzewam, że najchętniej wystrychnąłby na dudka obie strony. W opinii Flandersa ten

facet jest śliski jak węgorz. .

- Obojętne, kogo ten drań chce wykiwać. My w każdym razie musimy działać szybko - oświadczył Shane.

- Wracaj na górę. Przypilnujcie z Flandersem wszystkich trzdech.

- Już mnie tu nie ma - powiedział Gelmann, sięgając po klamkę w drzwiach szoferki.

- Gdyby któryś z nich wybierał się na dół, zadzwoń na komórkę.

- Nie da rady - cicho stwierdził Gelmann. - Jesteśmy poza zasięgiem. Poza tym może być ciężko.

Ostatecznie ich jest trzech, a nas tylko dwóch.

- Zróbcie, co się da. W razie czego, dajcie nam cynk. Nie chciałbym się odwrócić i stwierdzić, że nóż Kasatonina tkwi w moich plecach.

- O.K.

Gelmann wśliznął się na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. Upewniwszy się, że wokół samochodu nie ma żywego ducha, Shane

sięgnął ręką za firankę oddzielającą szoferkę od kabiny. Jego palce natrafiły na sztywną walizeczkę firmy Halliburton. Przyciągnął ją ku sobie.

- Co Juan nam tutaj zostawił? - zainteresowała się Dani.

- Mam nadzieję, że ty mi to powiesz.

Shane położył walizeczkę na kolanach i otworzył zamki. Wnętrze aluminiowej obudowy wyściełane było z obu stron grubą warstwą gąbki. Wycięto ją tak, by powstało miękkie zagłębienie zdolne pomieścić szklany cylinder.

Spod osłony, z grubszego, białego materiału, połyskując złotymi nitkami, wystawał rożek niezmiernie delikatnej niebieskiej tkaniny.

- To przecież jest ten jedwab! - szepnęła Dani.

- Jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem.

Koniec cylindra zamknięty był korkiem, w którym tkwiła hebanowa zatyczka wielkości wykałaczki.

Uszczelniała ona niewielki otwór, przez który pompa próżniowa odessała powietrze. W pojemniku, obok jedwabiu, mieściły się trzy pakiety z żelazem krzemionkowym.

Shane wyciągnął ze swego podręcznego zestawu małą latarkę i oświetlił ścianki kapsuły.

Nie nosiły żadnych śladów wilgoci.

- No i jak ci się to podoba, Dani? - zapytał.

- Na tak postawione pytanie można odpowiadać rozmaicie - odparła.

- Możesz udzielić nawet tysiąca odpowiedzi, ale tylko jedna będzie się naprawdę liczyć.

- W takim razie muszę się temu dokłaczniej przyjrzeć.

Shane gestem powstrzymał dziewczynę przed dotknięciem powierzchni szkła.

- Czekaj - powiedział. - Oni potrafią zdejmować odciski palców nie gorzej od nas. Nie chcę, żeby się dowiedzieli, że masz z tymjakikolwiek związek.

Z kieszeni spodni wyjął parę cienkich czarnych rękawiczek i wręczył je dziewczynie. Były to zwykłe rękawiczki w rodzaju tych, jakich używa się w miastach, w chłodniejsze dni.

Dani wytrzeszczyła oczy.

- Kasatonin nosi identyczne - stwierdziła.

- Są bardzo popularne. Dlatego je wybrał. Gdybyś raptem zaczęła paradować w gumowych chirurgicznych rękawiczkach, na każdym kroku towarzyszyłyby ci podejrzliwe spojrzenia.

Z wielką ostrożnością Shane wydobył szklany pojemnik. Wyciągnął go ku dziewczynie, żeby mogła obejrzeć

znajdujący się wewnątrz rulon jedwabiu. Nic więcej nie można było zrobić bez otworzenia cylindra i dotknięcia jego zawartości.

- Wygląda dobrze - zawyrokowała po chwili Dani. - Ale jest coś ... Wydała jęk ropaczy, chwyciła latarkę i wzdłuż cylindra puściła wiązkę

światła, od dna ku wylotowi.

- A niech to - mruknęła pod nosem.

- Coś jest nie tak?

- Należało słuchać uważniej.

- Co masz na myśli? - spytał Shane.

- Sposób tkania. Zastosowano właściwą technikę, ale niezupełnie ten sam rytm.

- I?

- Każdy, kto się na tym naprawdę zna, z miejsca zauważy różnicę - oświadczyła.

- Jak szybko?

- Co jak szybko?

- Ile osób, poza tobą, jest w stanie to stwierdzić? I jak szybko mogą się zorientować? Już na pierwszy rzut oka?

Dani zawahała się, wreszcie potrząsnęła głową.

- Wątpię - oświadczyła. - Zawsze mi mówiono, że mam nadzwyczajne oko.

- Dla mnie twoje oczy zawsze wyglądały nadzwyczajnie - stwierdził Shane. - Odkąd je po raz pierwszy ujrzałem w Lhasie.

- Zmysł dotyku mam jeszcze lepszy - powiedziała Dani, ignorując komplement.

- Amen.

Błysk w jego oczach upewnił dziewczynę, że nadal pamięta on te stal one chwile, kiedy liczyło się tylko jedno:

kontakt skóry ze skórą. A potem nastąpiło połączenie tak głębokie, że pamiętać je będzie do końca życia. Roześmiała się jak człowiek będący u kresu sił.

- Nie słuchasz mnie - powiedziała. - Prędzej czy później ... prawdopodobnie później ... ten jedwab zostanie uznany 'za imitację. Świetną, żeby nie było wątpliwości, jednak tylko imitację.

Ku zdziwieniu dziewczyny, Shane uśmiechnął się.

- Na to właśnie liczyła Cassandra - powiedział. - Miała nadzieję, że podróbka będzie dobra, lecz nie

doskonała.

- Ale ...

- Nie mam teraz czasu - wpadł jej w słowo. - Muszę je jakoś podmienić.

Rozsunął trochę firanki i przyjrzał się półciężarówce Chena. i! W pobliżu nie było nikogo. . Z kieszonki na breloczek wyjął kluczyk od stacyjki, a z zestawu narzędziowego dwa śrubokręty.

- Zostań tutaj - polecił. - Za kilka minut będzie po wszystkim.

- Chcę z tobą iść - oświadczyła Dani. - Jeśli dzięki mojej pomocy będziesz się narażał choćby o dziesięć sekund krócej ...

- Nie - uciął Shane. - Ktoś musi tu być, jeśli Gelmann da jakiś znak ostrzegawczy. A poza tym, twoją rolą jest ochrona piękna, a nie nadstawianie karku. Zwłaszcza, gdy po drugiej stronie stoi osobnik tak obrzydliwy jak Kasatonin ..

Dani odetchnęła głęboko i zaczęła go przekonywać, gdy nagle zdała sobie sprawę, że zatrzymując Shane'a, zwiększa zagrożenie.

- Wracaj szybko - powiedziała w napięciu.

Jego pocałunek był tak szybki, że nie zdążyła nawet zareagować. Po chwili mężczyzna był już na zewnątrz vana i

ostrożnie posuwał się po stalowy ryll pokładzie promu.

~ Dusza poety, jaja włamywacza - mruknęła do siebie Dani, przytaczając słowa Flandersa. - Pospiesz się, do cholery!

Irytując powoli Shane przechodził między rzędami samochodów ku dziobowi promu. Słychać było zawodzenie

ostrego, zimnego wiatru. Temperatura wody o tej porze roku nie przekraczała siedmiu stopni Celsjusza.

Crowe był zadowolony, że nie musi swego celu osiągać wpływ. Zanurzenie się w tych warunkach bez

należytego wyposażenia, nawet silnego mężczyznę zabiłoby w ciągu niecałych piętnastu minut.

Idąc, trzymał kluczyk w pogotowiu. Rozejrzał się wokół siebie, niby to od niechcienia, w rzeczywistości jednak

bardzo uważnie.

Na pokładzie nie było nikogo.

Podszedł do półciężarówki od strony pasażera. Gładko obrócił kluczyk w zamku. Drzwiczki otworzyły się cicho i

bez oporu. Shane wcisnął się na fotel, zamknął szoferkę i wyjął zza pazuchy szklany pojemnik.

Jeszcze jedno szybkie spojrzenie wokół siebie upewniło go, że nadal jest sam na pokładzie. Wyciągnął z deski

rozdzielczej popielniczkę i ukrył się, kucając w miejscu przeznaczonym na nogi pasażera. Uruchomiwszy wewnętrzny "zegar", który z miej sca zaczął odliczać czas, przystąpił do odkręcania śrub mocujących kolumnę na której opierała się deska rozdzielcza.

Nie minęło czterdzieści sekund, gdy uporał się z trzema śrubami.

Przechylił kolumnę na jedną stronę, odsłaniając zadziwiająco duży schowek. W środku znajdował się szklany cylinder.

Rożek błękitnego jedwabiu połyskiwał zachęcająco.

Shane wyciągnął pojemnik z kryjówek. Korek, hebanowa zatyczka i pakieciki z żelam wyglądały tak, jak opisał je wywiadowca pracujący dla Risk Limited.

Zjedną różnicą: zabytkowy materiał zawinięty był w coś zbliżonego do białej mięsistej satyny, a nie zwykłego grubego jedwabiu, o którym wspominała zarówno Dani, jak i agent Risk Limited.

Szlag by to trafił, pomyślał ze złością. Trzeba będzie zamienić materiał ochronny.

Błyskawicznie wyciągnął korek z kapsuły Chena. Ku jego wielkiej uldze, nie rozległ się świst powietrza.

Zatyczka najwyraźniej nie była szczelna, co oznaczało, że będzie mógł skończyć robotę na miejscu, zamiast przenosić wszystko do vana, gdzie na wszelki wypadek trzymał pompę próżniową.

Szybkimi, delikatnymi ruchami otworzył swój własny pojemnik, po czym zamienił materiały chroniące błękitną zawartość. Umieściwszy zawiniątko w odpowiednich pojemnikach zakorkował cylindry i ponownie rzucił okiem ku schodom prowadzącym na pokład pasażerski.

Dostrzegł małego człowieczka w uniformie stewarda, który właśnie zszedł na dół. Nowo przybyły rozejrzał się po pokładzie, zlokalizował interesujący go samochód i ruszył w jego kierunku.

Przez moment znalazł się pod zawieszoną u sufitu lampą. Żarówka pokryta była warstwą soli i pociemniała od spalin, ale rzucane przez nią światło aż nadto wystarczyło Shane'owi do stwierdzenia, że nieznajomy jest

Azjata.

W rękę trzymał komplet kluczyków. Pod pachą niósł owiniętą ręcznikiem paczkę. Miała dokładnie te same wymiary, co zawiniątko przyniesione przez Shane'a.

"Steward" zmierzał prosto do półcięzarówki Chena.

Ciekawe, w co właściwie oni grają?, zadał sobie w duchu pytanie rozwścieczony Shane. .

Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Wcisnął blokadę drzwi, przywarł do podłogi i czekał.

Steward otworzył drzwiczki po stronie kierowcy, schylił się, żeby wejść do środka i padł nieprzytomny.

Nawet kątem oka nie zdążył zauważyć ręki, która wystrzeliła raptem z ciemnego wnętrza.

Shane wciągnął człowieczka do środka i zamknął za nim drzwi szoferki. Obserwując bacznie nieprzytomnego mężczyznę, wsunął wyprodukowany przez Risk Limited falsyfikat w wolną przestrzeń za kolumną, przykręcił śruby i włożył popielniczkę na właściwe miejsce.

Steward jęknął. Shane jedną ręką ucisnął jego tętnicę szyjną, pogłębiając tym samym omdlenie, drugą ręką natomiast odwinął paczkę tamtego.

Wybałuszonymi oczami, gapił się na szklaną kapsułę identycznajak

ta, którą właśnie wyciągnął ze skrytki.

Nawet biały jedwab ochronny niczym nie różnił się od oryginału. Żeby to szlag trafił! szepnął.

Steward zdradzał oznaki powracającej świadomości. Shane ostrożnie odwrócił mu głowę. Krótki mocny cios i mały Azjata ponownie pogrążył się w ciemności. Został usadzony wygodnie z czołem wspartym o

kierownicę. Wyglądał tak, jakby spał.

Shane miał nadzieję, że ten sen nie będzie trwał wiecznie, ale w sytuacji, w jakiej się znalazł, było mu to, w gruncie rzeczy, obojętne. Byle tylko mały człowieczek nie wchodził mu więcej w drogę.

Błyskawicznie pochwycił dwa szklane pojemniki oraz ręcznik przyniesiony przez Azjatę. Wepchnął wszystko za pazuchę i rozejrzał się wokoło.

Ktoś schodził po schodach na pokład samochodowy. Siwa kobieta w różowych spodniach i wrzosowego koloru żakiecie. W rękę trzymała wytłuszczoną torbę.

Pasażerka, pomyślał Shane niecierpliwie. Mam nadzieję, że nie przyszła tutaj, aby sobie uciąć drzemkę.

Nowo przybyła otworzyła drzwi samochodu stojącego cztery pojazdy przed półcięzarówką Chena, ale w następnym rzędzie. W tym samym momencie piesek wielkości szczura zaczął ujadać jazgotliwie i skakać na fotelu samochodu. Kobieta wzięła na ręce kudłate, wierzące się stworzenie i poczęstowała smakołykami z zatłuszczonej torby.

Jeśli karmi tego kundla resztkami z tutejszej kuchni, to nie ma czego mu zazdrościć, pomyślał Shane. Lepiej by chyba wyszedł na wykradaniu żarcia szczurom w Lhasie.

Kobieta popieściła jeszcze przez chwilę swego miniaturowego ulubieńca, po czym zamknęła ponownie samochód i pospieszyła do ciepłych pomieszczeń pasażerskich.

Shane uchylił okno. Słuchał i czekał, chcąc nabrać pewności, że znowujest sam na pokładzie.

Wtem jakieś drzwi otworzyły się gdzieś w rufowej części promu i czyjeś kroki zaczęły się zbliżać do furgonetki.

Dostrzegłszy w lusterku bocznym Dani, zirytował się, ale wcale nie był zdziwiony. Od pojawienia się 'stewarda, niemal oczekiwał jej przyjścia.

- Właż - powiedział otwierając drzwi.

Nie miała wielkiego wyboru. Krzyknęła zaskoczona, ale nim zdążyła zrobić coś więcej, znalazła się na kolanach mężczyzny. W ślad za nią zamknęły się drzwi.

- Widziałam stewarda, a ty się nie pokazywałeś i ... - zaczęła i w tym momencie zauważyła nieprzytomnego Azjatę. Czy on nie żyje? - zapytała.

- Do diabła z nim - warknął Shane. - Który z tych dwóch jedwabiów jest prawdziwy? '

Dani nie domagała się mocniejszego światła. Mrok panujący na pokładzie samochodowym był ich najlepszą osłoną. Gwałtownymi ruchami potarła koniuszki palców o rękaw swetra, żeby je rozgrzać, oczyścić, wysuszyć i uwrażliwić jednocześnie.

Następnie zamknęła oczy. -

Shane ugryzł się w język i przemilczał uwagę, że lepiej by sobie poradziła, mając oczy otwarte. Odwinął po prostu róg jednego z jedwabii i trzymał go tak, że Dani ledwie muskała materiał opuszkami palców.

Wstrzymała oddech, ale nie z podniecenia. Nie chciała bez potrzeby chuchać na zabytkową tkaninę. Jej palce lekko przesunęły się po materii, potem jeszcze raz, i jeszcze, tym razem mocniej.

- Nie - orzekła. - Nie ten splot. - Bardziej perski niż hinduski czy chiński. Ale głowę bym dała, że ten jedwab jest stary. Bardzo stary. Jeśli to imitacja, to lepsza niż nasza.

- Wprost cudownie - stwierdził krótko Shane. Wyciągnął drugi jedwab.
Dziewczyna powtórnie potarła palcami o sweter. Następnie lekko, delikatnie przesunęła nimi po jedwabiu, najpierw w jedną, potem w drugą stronę, pod innym kątem. Wyczuła niezmiernie słaby rytm nadany materii przez dawno zmarłego rzemieślnika-artystę. Pozwoliła sobie na jeszcze jedno rozkoszne muśnięcie, zanim powoli podniosła głowę.
- Tak - rzekła po prostu.
Shane nie pytał, czy jest tego pewna. Szybko zamienił białe tkaniny ochronne. Zwykłym grubym jedwabiem otoczył materiał wybrany przez Dani. Zawiniątko znalazło się w szklanym cylindrze, korek powrócił na miejsce, a mężczyzna rozejrzał się dookoła.
Nie było żywego ducha.
Otworzył drzwiczki, a gdy dziewczyna wysiadła, wepchnął jej pod kamizelkę pojemnik.
_ Wracaj do samochodu - polecił. - I pod żadnym pozorem więcej nie wychodź. Rozumiesz?
- A ty nie ...
- Zrób, co powiedziałem.
Odwróciła się i ruszyła w stronę wozu Flandersa.
Shane owinął szybko przyniesiony przez stewarda falsyfikat białą satyną i umieścił w szklanym pojemniku. Dopiero po zakorkowaniu go zaczął się wahać.
Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że powinien wycofać się stąd czym prędzej, póki jeszcze ma taką możliwość.
Z drugiej jednak strony ...
Pracował szybko, precyzyjnie. Skończywszy, jedną ręką chwycił stewarda z przodu za mundur, drugą zaś przytknął do tętnicy szyjnej tamtego, szukając pulsu.
Członek tongu wciąż jeszcze żył.
Spokojnie, miarowo bił nieprzytomnego mężczyznę po twarzy. Po dłuższej chwili Azjata jęknął. Nagle Shane przycisnęła mu głowę do fotela i rozejrzał się wokół.
Pokład był pusty, ale w pobliżu schodów mignął cień człowieka.
Mam nadzieję, że to Flanders, pomyślał Shane.
W każdym jednak razie, należało opuścić półciężarówkę, i to natychmiast.
Otworzył drzwi i wyskoczył na pokład. Minę miał obojętną i pewną siebie. Obserwując przez cały czas kątem oka ów cień wielkości człowieka, ruszył do przodu, udając, że zmierza w kierunku schodów.
_ Szybko - usłyszał stłumiony głos Flandersa. - Zostawiłem Kasatonina w sraczu. Lada moment może się tu pojawić.
- Gelmann?
_ Obserwuje Chena. Czy tego niby stewarda nie należałoby przypadkiem zlikwidować?
- Żywy bardziej nam się przyda.
_ Grzeczny chłopczyk - rzucił Flanders z irytacją. - Dokładnie tego się spodziewałem.
Shane roześmiał się cicho i ruszył w kierunku vana.
Chwilę później na pokładzie samochodowym nie było żywej duszy.

33

Waszyngton, D.C.
Grudzień
Ciemny, nie oznakowany samochód zatrzymał się przy krawężniku przed kwaterą główną Risk Limited. Siedząca w środku Dani z ciekawieniem spoglądała na budynek.
Nikt nie grzebał teraz w zamrożonej ziemi.
Nikt nie zamiatał alejek, nie malował krawężników ani nie wykonywał innych tego typu prac, chętnie wykorzystywanych przez strażników jako znakomity kamuflaż.
- Gdzie się wszyscy podziali? - spytała Dani kierowcę. - Ostatnim razem, gdy tu byłam, co chwila potykałam się o któregoś z twoich kumpli. Byli wszędzie, niczym wysypka na skórze.
- Czasy się zmieniają - odparł Walker.
Dani odpowiedziała uśmiechem mimo smutku, który od jakiegoś czasu stał się jakby nieodłączną częścią jej osobowości.
- To prawda - przyznała. - Czasy się zmieniają.
A wraz z nimi zmienił się i Shane.
Z chwilą, gdy dotarli do "Czterech Pór Roku" w Vancouverze, opuścił vana i ruszył przed siebie. Nigdzie jak dotąd nie zagrzezał dłuższej młęjsca.
I ani razu się nie obejrzał. Nie pisał. Nie dzwonił.

U boku Dani pojawił się nowy agent Risk Limited, Walker, i towarzyszył jej jak cień.

Czasy się zmieniły. Zmieniali się ochroniarze.

Tylko uczucia okazały się bardziej uparte.

Dlaczego ja nie mogę się zmienić?, pytała samą siebie znużona dziewczyna. Czy za kilka lat moje serce wciąż jeszcze będzie biło jak szalone na widok każdego wysokiego faceta, o charakterystycznych nonszalanckich ruchach?

Nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną. Usiłuję cię oszczędzić.

Kasatonin nie ma żadnych wątpliwości, że ja biorę udział w tej grze.

Jeśli stwierdzi, że jesteś ze mną, będzie to oznaczało wyrok śmierci dla ciebie. A ja nie mogę do tego dopuścić.

Nie dopuścił. Zniknął, jakby go nigdy nie było. Jakby istniał wyłącznie w marzeniach Dani.

Drzwi po jej stronie otworzyły się. Dziewczyna przyzwyczała się do tego rodzaju grzeczności, którą dyktowała rozważa i ostrożność. Wzięła torebkę, starając się zapanować nad wzburzeniem.

_ Jesteśmy na miejscu - odezwał się Walker. - Ona czeka na ciebie.

- Dzięki.

Ponieważ mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru jej towarzyszyć, Dani przystanęła i obejrzała się przez ramię.

_ Polecono mi, i to bez ogródek, żebym poczekał na zewnątrz - wyjaśnił Walker z dziwnym uśmiechem na ustach. - Naprawdę bez ogródek.

- Ciekawe.

_ Powiedziałbym, że to musztarda po obiedzie.

- Słucham?

Twarz Walkera ponownie się rozjaśniła. Jego uśmiech, serdeczny i szczerzy, sprawił, że stał się całkiem przystojnym mężczyzną.

_ Twoja obecność jest dla nas prawdziwą przyjemnością, Danioświadczył. - Jeśli kiedyś znudzi ci się czekanie, aż Crowe nabierze rozumu, daj mi znać.

W oczach dziewczyny znienacka zabłyśły łzy. Cofnęła się i szybko uściskała Walkera.

_ Dzięki - powiedziała ochryple. - Ja też cię lubię.

Odwrociła się i spieszenie ruszyła w stronę budynku. Przy każdym kroku czuła dojmujące poddmuchy lodowatego grudniowego wiatru, przed którymi nie chroniło jej nawet grube wellliane palto.

Drzwi otworzyły się, gdy Dani pokonywała schody. Wpuścił ją nieznanym mężczyzną.

- Tędy proszę, doktor Warren.

Dani mogła nie znać nazwiska tego mężczyzny, ale nauczyła się rozpoznawać ludzi jego pokroju: uzbrojonych, świetnie wyszkolonych, oszczędnych w ruchach i bynajmniej nie głupich.

_ Czy Gillie szykuje herbatę w bibliotece? - zapytała, na poły żartobliwie.

- Sierżant sztabowy wyjechał na urlop.

Informacja była tak zaskakująca, że dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę? W życiu bym go o to nie podejrzewała.

- Zachciało mu się na Karaiby.

- Spacerować wzdłuż plaży, co?

- Niewiele więcej jest do roboty na Arubie. Chyba że ktoś lubi hazard.

Dani na chwilę zmyliła krok. Jak błyskawica przemknęły jej przez głowę wspomnienia Aruby i Shane'a, ulewy i ekstazy. Wstrząsnęły nią do głębi.

- A czy Gillie lubi hazard? - spytała, starając się zapanować nad sobą.

- Nie dla pieniędzy.

Mężczyzna dwukrotnie zapukał i otworzył przed gościem drzwi gabinetu Redpath.

- Jest pani oczekiwana - powiedział. Sam pozostał na korytarzu.

Widok znajomego pomieszczenia znowu przypominał jej Shane'a.

Ni z tego, ni z owego Dani ogarnęło uczucie, że on gdzieś tu jest, pośród książek i dzieł sztuki, że czeka na nią, uśmiecha się, wyciąga ku niej ręce ...

Przestań! Upomniała gwałtownie samą siebie. Z tamtym koniec. Musisz się z tym faktem pogodzić i żyć dalej.

Ale nie potrafiła przestać tęsknić za Shanem, podobnie jak nie mogła przestać oddychać. Każdej nocy uczucie to wzmagało się. Z coraz większym trudem wstawała rano, wychodziła do pracy, uśmiechała się i udawała, że wcale nie kocha mężczyzny, który najwyraźniej nie odwzajemniał jej uczuć.

- Dzień dobry, Dani - odezwała się Redpath. - Chociaż prawdę mówiąc, bliżej już wieczora niż ranka.

Dziewczyna odetchnęła spazmatycznie i spojrzała w kierunku, skąd dochodził głos.

Cassandra Redpath siedziała obok globusa z przezroczystego kryształu, na którym delikatną kreską zaznaczano lądy i morza. Ze stojącej przed gospodynią filiżanki unosiła się para, a na pobliskim stole czekał dzbanek z herbatą oraz talerzyk z ciasteczkami.

- W zimie popołudnie niewiele się różni od wieczoru - odparła Dani. Starsza kobieta przyjrzała się dziewczynie badawczo, a następnie skinęła głową, jakby właśnie znalazła potwierdzenie jakichś swoich domysłów.

_ Chodź tu i siadaj - rzuciła, poklepując kanapę obok siebie. - Herbaty?

- Dziękuję.

_ A może zjadłabyś obiad? Wyglądasz na człowieka, który w ferworze pracy zapomina o posiłkach.

_ Miałam sporo do nadrobienia - przyznała Dani, siląc się na uśmiech.

- Uporałaś się już z tym?

- W każdym razie posuwam się do przodu.

_ Zupełnie na to nie wyglądasz - oświadczyła Redpath otwarcie.

Dani pominęła tę uwagę milczeniem.

_ Szlachetni mężczyźni są niekiedy gorsi niż wrzód na tyłku, prawda? - zauważyła gospodyni. - Ich dobre intencje stają się nie do zniesienia. III

Smiech Dani przypominał raczej stłumiony szloch.

_ Siadaj, proszę - nalegała Cassandra. - Nie mam żadnego wpływu na idiotycznie upartych, szlachetnych mężczyzn, ale mogę ci opowiedzieć, co stało się z jedwabiem, który pomógł nam uratować.

_ Och, znakomicie. Walker nabrał wody w usta i na ten temat milczał jak zakłęty.

_ Walker jest dobrym człowiekiem, mimo że Shane czepia się go jak rzep.

Dani nie łudziła się, że potrafi ukryć wrażenie, jakie wywarł na niej dźwięk tego imienia. Niewiele uchodziło zielonym oczom i bystremu umysłowi Redpath.

Z dość ponurą miną dziewczyna podeszła do kanapy. Przed rudowłosą szefową Risk Limited piętrzył się stos różnorodnej prasy. Były tam gazety zadrukowane ideogramami, anglojęzyczna wersja dziennika z Hongkongu, hiszpański czy portugalski brukowiec. Wśród nich znajdował się również "The New York Times".

_ Nadrabiasz braki w lekturze? - spytała Dani.

_ W gazetach można się natknąć na najdziwniejsze informacje. Rzadko, rzecz jasna", na pierwszej stronie.

_ Jeśli chodzi o niektóre z tych gazet, to nie umiałabym odróżnić pierwszej strony od ostatniej.

Gospodyni roześmiała się cicho, nalała herbatę i wręczyła Dani parującą filiżankę.

- Pijasz czarną, prawda? - spytała. Dziewczyna kiwnęła głową.

- Dziękuję.

Redpath postawiła przed swym gościem talerzyk z ciasteczkami i uprzejmie czekała, aż Dani się poczęstuje.

Dziewczyna przez grzeczność wybrała najmniejsze ciasteczko i odgryzła kawałek.

- Przypominasz sobie pana Jukio Kojamę, prawda? - spytała szefowa Risk Limited.

- Tak - odparła Dani krótko. - Pamiętam ... wszystko, od "a" do "z".

- Nie ma się co dziwić. Adrenalina znakomicie wzmacnia pamięć. Wielokrotnie też słyszałam, że ratuje życie.

Dani mruknęła coś uprzejmie i pożałowała w duchu, że z powodu nadmiaru adrenaliny jej wspomnienia o Shane'ie są wciąż tak boleśnie żywe.

- Wygląda na to, że w losach pana Kojamy nastąpił nieoczekiwany i dramatyczny zwrot - delikatnie poinformowała ją Redpath.

Dani przestała udawać, że interesuje ją ciastko i utkwiała spojrzeniem

swych orzechowych oczu w twarzy kobiety. - Jak to? - spytała.

Cassandra przekopywała się przez leżący przed nią stos gazet.

- Aaa, tu cię mam - mruknęła.

Ideogramy i fotografie przeplatały się ze sobą. Redpath zaczęła czytać głośno, tłumacząc swobodnie na angielski.

- Uznany i szanowany pan Jukio Kojama przestał się cieszyć zaufaniem czołowych przedstawicieli świata biznesu i innych liczących się członków społeczeństwa, dla których był ... - urwała. - Cholera, nie mamy odpowiedniego słowa. Interfejsem. Pośrednikiem. Przekazicielem. Szarą emmencją.

- Ale co się stało?

Uśmiech Cassandry upodobił ją do kocicy.

- Utracił twarz i to w straszny sposób - mruknęła. - Wieść niesie, że podczas wydanego przez niego obiadu doszło do niezmiernie kłopotliwego incydentu.
- Jak bardzo kłopotliwego? .
- Śmiertelnie. Fantastyczny, zabytkowy kawałek jedwabiu, którego właścicielem niedawno został Kojarna, okazał się współczesnym falsyfikatem.
- Wprost nie do wiary - beznamiętnie skomentowała Dani.
- A co gorsza, jakiemuś łachudrze z piekła rodem udało się za pomocą atramentu sympatycznego umieścić na materiale sentencję. Napis uwidocznił się pod wpływem światła, ale dopiero po dłuższej ekspozycji.
- \
- I co tam było?
- W wolnym przekładzie, coś w stylu: "prima aprilis, ty durniu".
- Po raz pierwszy od wielu tygodni Dani roześmiała się serdecznie.
- Jak łatwo się domyślić, Kojama wpadł w szal - ciągnęła dalej Redpath. - Zwrócił się bezpośrednio do Katii, która oświadczyła, że to Risk Limited musiała podmienić jedwabie na promie. Ona z pewnością nie miała żadnego powodu, żeby chcieć go poniżyć. Bardzo zależało jej na współpracy Kojamy z Harmonią.
- Uwierzył?
- Najwyraźniej. Nie zabił jej.
- Wobec tego dziwię się, że nie masz wokół siebie uzbrojonych po zęby strażników.
- Och, Kojama zdążył mi już złożyć wizytę - oświadczyła Redpath głosem wypranym z wszelkich emocji.
- Co takiego? Kiedy?
- W ubiegłym tygodniu.
- Czyżby zakopano go w ziemi razem z cebulkami tulipanów?
- Nic aż tak drastycznego - odparła Cassandra z uśmiechem na ustach. - Po prostu wyjaśniłam mu, że faktycznie podmieniliśmy na promie materiały, dawszy wpieryw po głowie podwładnemu Liu.
- Dani zamrugnęła powiekami.
- Idę o zakład, że Kojama był zachwycony.
- A potem pokazałam jedwab, który dostaliśmy w zamian.
- Co? Pokazałaś mu jedwab Buddy? - słabym głosem spytała dziewczyna.
- Nie. Pokazałam mu bryt pięknego starego jedwabiu, który miał zastąpić szatę Buddy.
- Czy ten, który oglądałam na promie? Tę podróbkę Chena?
- Prawdę powiedziawszy - mruknęła Redpath - pokazałam Kojamie podróbkę, którą sami spreparowaliśmy na wszelki wypadek, gdyby z tą pierwszą coś nie wyszło. Był to kawałek starego perskiego jedwabiu, któremu nasze laboratorium nadało niepowtarzalny odcień spłowiałego błękitu. Do dzisiaj pewnie barwnik całkowicie zniknął. Współczesna chemia ma swoje wady, ale potrafi być niezmiernie użyteczna.
- Dani stwierdziła, że siedzi z otwartymi ustami. Zamknęła je.
- Zasugerowałam - ciągnęła dalej szefowa Risk Limited - żeby Kojama poszukał raczej sprawcy wśród członków tongu Tony'ego Liu. Podsunęłam, że rosnąca na terenie Azji potęga Harmonii mocno Chińczyka niepokoiła. A poza tym obawiał się o życie swego wnuka w Ameryce. I co najważniejsze, że zanim jeszcze szata Buddy opuściła Złoty Trójkąt, za dwa miliony funtów szterlingów przehandlował święty jedwab władzom komunistycznym w Pekinie.
- Ale to niemożliwe, nie mógł tego zrobić - z miejsca zaprotestowała Dani. - Szata Buddy była na promie, osobiście jej dotykałam. Jestem tego najzupełniej pewna!
- Tego samego zdania jest Prasam Dhamsa. A propos, przesyła ci wyrazy szacunku i wdzięczności. Ma nadzieję, że wkrótce go odwiedzisz. I że będzie to naprawdę wkrótce. Ma ci dużo do powiedzenia.
- Ja ... ale ... do diabła z tym, powiedz, kto ma prawdziwy jedwab?
- Prawowici właściciele. Błękitni mnisi.
- Jesteś pewna?
- Całkowicie. Kojama jednak jest święcie przekonany, że Liu go zdradził. - Redpath wzruszyła ramionami. - Logiczny wniosek. Odkrył tkaczy, którzy na polecenie Tony'ego wykonali imitację dla "Ziemi i Nieba". - W głowie mi się nie mieści, że Liu okazał się takim durniem. Sfałszowanie jedwabiu, zgoda. Ale żeby miał tą szmatą ucierać Kojamie nosa, me.
- Redpath znowu stała się podobna do kotki.
- Liu wcale nie był głupcem - stwierdziła. - Ale nie zmienia to faktu, że nie żyje.

- Kojama go zabił?
- Prawdopodobnie. Z drugiej strony, tongi zostawiają krwawe ślady wzdłuż wszystkich wybrzeży Pacyfiku. Liu mógł równie dobrze zginać z ręki dowolnego spośród jego licznych, ambitnych rywali. Typowo gangsterska walka o władzę.

- Bon appetit - rzuciła Dani uszczypliwie.

- Tak, to doprawdy pocieszające. Częstuj się. Czy może wciąż jeszcze bawisz się tym pierwszym herbatnikiem?

Dani spojrzała na pokruszone ciasteczko na talerzu, i uświadomiła sobie, że jej palce oblepione są cukrem pudrem i okruszkami. Zawstydzona potrząsnęła przecząco głową.

- Jak tyś to zrobiła? - spytała. - I nie mam na myśli ciastek.

- Prawdę mówiąc, nie ja, tylko Shane. Ten facet ma kwadratowy łeb, a umysł pokrętny z natury.

Dani pociągnęła łyk herbaty, żeby ukryć wyraz twarzy.

- Shane odkrył prawdziwy jedwab w furgonetce Chena, w miejscu wskazanym przez Chińczyka. Na nieszczęście, materiał owinięty był w lśniącą satynę, a nie w zwykły biały jedwab, o którym mówiłaś i który my, rzecz jasna, gorliwie podrobiliśmy.

- No i?

- Shane'owi się to nie spodobało. Podmienił materiały ochronne, do kryjówki włożył naszą imitację i już miał się stamtąd zwinąć, gdy pojawił się "steward".

Na to wspomnienie Dani zrobiło się zimno.

- Dostrzegłam go - szepnęła. - Czułam się kompletnie bezradna. Nie mogłam ostrzec Shane'a, nie mogłam go ratować, mogłam jedynie siedzieć i

- Taaa - przerwała Redpath przedłużając się ciszę. - Musiała to być dla ciebie straszna chwila.

Coś w wyrazie oczu i w brzmieniu głosu starszej kobiety powiedziało Dani, że rudowłosa szefowa niejednokrotnie znajdowała się w takiej właśnie, bardzo trudnej, sytuacji.

Oillie, pomyślała dziewczyna. Biedna Cassandra. Ale przynajmniej nie porzucił jej dla jej własnego bezpieczeństwa.

- W każdym bądź razie - podjęła Redpath z ożywieniem - powaliwszy stewarda, Shane stanął wobec nadmiaru jedwabów, co okazało się dość kłopotliwe. Uciekł się wtedy do twojej pomocy.

- W najmniejszym stopniu nie był zachwycony moim widokiem.

- Jak już wcześniej mówiłam: wrzód na tyłku i tak dalej.

Twarz Dani rozjaśnił blady, ale szczery uśmiech.

- Jak tylko zniknęłaś z prawdziwym eksponatem owiniętym w najzwyklejszy biały jedwab - ciągnęła Cassandra - Shane otworzył skrytkę ponownie, włożył tam chińską podróbkę, a naszą zamknął w pojemniku stewarda i zawiązał w jego ręcznik. Dołożył oczywiście starań, by wszystko wyglądało tak jak w oryginalnym opakowaniu.

- Ciężko się w tym wszystki połączyć. Aż mnie głowa rozboleła.

- Jak już mówiłam, umysł pokrętny z natury.

- Dla kogo właściwie ten steward pracował? - zapytała dziewczyna.

- Dla Liu. Kiedy odzyskał przytomność, wykombinował sobie, że ten, co mu przyłożył, sam się oszukał, podmieniając jeden fałszyfikat na drugi. Włożył do skrytki tę drugą podróbkę, wyjął to, co w jego mniemaniu było oryginałem, i zniknął.

- Czyli mówiąc w skrócie: Istna gra w muszelki.

- Mieliliśmy przy tym całkiem niezłą zabawę - zauważyła sucho Redpath.

- Skoro Kojamie dostał się jedwab produkcji Risk Limited, co się w takim razie stało z eksponatem wprowadzonym do gry przez stewarda?

- W chwili obecnej znajduje się pod kluczem w pekińskim magazynie, w którym władze komunistyczne przechowują najświętsze skarby Tybetu.

- A jak długo jeszcze Chińska Republika Ludowa ma pozostać w błogiej nieświadomości?

Cassandra rzuciła okiem na zegar ścienny, obok którego wolno przesuwawa się wygięta linia, znacząca początek dnia w różnych miejscach na świecie.

- Niedługo - odparła z satysfakcją. - Dla tongu "Ziemia i Niebo" nadchodzi trudne chwile. Komunistyczne władze chińskie traktują swoich wrogów bezpardonowo. A Tybetańczycy nie są ani odrobinę lepsi.

Przy tych słowach Redpath wzięła do ręki kolejną gazetę.

- Wygląda na to - rzuciła - że Ruch Na Rzecz Wolnego Tybetu przejawia zwiększoną aktywność. Swoją kampanię prowadzą pod hasłem "Świętego Błękitu". Myślę, że ma to coś wspólnego z jedwabiem.

Z piersi Dani wyrwało się długie westchnienie ulgi. - Warto było zatem ratować ten

materiał.

- Nie ma żadnych gwarancji, że Ruch odniesie sukces.
- To prawda, ale przynajmniej Tybetańczycy zachowają kawałek swego świętego dziedzictwa.
- I to baśniowo piękny kawałek - zgodziła się Redpath.
- Katia musi wprost szaleć ze złości - zauważyła Dani.
- Katia nie żyje.

Oczy dziewczyny otworzyły się szeroko.

- Jesteś pewna?
- Całkowicie. Kasatonin zabił ją w ataku szału albo namiętności. Policja nie ma pewności, co naprawdę nim kierowało. Wkrótce potem popełnił samobójstwo.
- To chyba ... niemożliwe
- Wszystkich nas to czeka.

Dani niecierpliwie machnęła ręką.

- Po prostu nie potrafię uwierzyć, że bandzior taki, jak Kasatonin, mógłby skończyć ze sobą z powodu kobiety.

- Na szczęście policja arubijska nie znała go tak dobrze jak ty. Oficjalnie całą sprawę uznano za przypadek morderstwa i samobójstwa.

- Czy śledztwo jest już zamknięte?

- Całkowicie.

- Gillie musiał odczuć wielką ulgę - powiedziała ,dziewczyna.

- Gillie ma wielkie szczęście, że jego piękna skóra nie zdobi żadnej z moich ścian - odparła Redpath, kierując spojrzenie gdzieś obok Dani.

_ Aja tu pędziłem na łeb na szyję, żeby ugotować ci obiad - oznajmił ciemnoskóry mężczyzna, zamykając za sobą drzwi biblioteki.

Mimo iż sierżant sztabowy mówił różnym głosem, rzucało się w oczy, jak bardzo jest zmęczony. Na twarzy miał kilka siniaków. Przy chodzeniu lekko utykał.

_ Bardzo męczące były te wakacje? - spytała go Dani.

- Miewałem gorsze.

Redpath obrzuciła go uważnym spojrzeniem, rejestrując wszystkie niekorzystne zmiany.

_ Usiądź - powiedziała miękko. - Należę ci herbaty.

_ Nie ma na to czasu. Prasam Dhamsa i jego świta czekają we frontowym pokoju przyjąć.

- Żartujesz sobie.

_ Wyłąził wprost ze skóry - poinformował Gillespie. - Nic nie było go w stanie powstrzymać od chwili, gdy Kasatonin został wyeliminowany z gry.

- Za jego plecami drzwi ponownie się otworzyły.

_ Prasam Dhamsa nie ma w sobie ani odrobiny niecierpliwości - stwierdziła Redpath.

_ Fakt. Za to ja się niecierpliwię, i to jak jasna cholera - rzucił od progu Shane.

A chociaż słowa te skierowane były do starszej z kobiet, mężczyzna ani na moment nie odwrócił wzroku od twarzy Dani, która w jednej chwili poderwała się na nogi.

Rozdarta między bólem serca a nadzieją, wpatrywała się w niego bez tchu. Podobnie jak sierżant, Shane także sprawiał wrażenia wyczerpanego, a mimo to w oczach Dani nigdy nie wyglądał wspanialej.

Wyminąwszy w progu Crowe'a, do biblioteki wkroczył Prasam Dhamsa. Obrzucił pokój baczny spojrzeniem swoich czarnych oczu i z zadowoleniem odnotował obecność tylu osób.

_ Wszyscy zbierają się - powiedział. "- To jest dobre.

_ Wasza świątobliwość - odezwała się Redpath, zrywając się na równe nogi. - To dla nas nieoczekiwany zaszczyt. Wybieraliśmy się właśnie do Virginii, z wizytą do pana.

_ Niemordowany - powiedział Dhamsa, wskazując Shane'a.

Lama chciał powiedzieć coś więcej i przeszedł na tybetański. Shane błyskawicznie tłumaczył jego wypowiedź na angielski:

_ Najpierw ten niemordowany musiał wykrzyć, kto wykradł jedwab ze świętego miejsca.

_ Ten niemordowany? - spytała Dani. - Aaa, to znaczy ty.

- Owszem, ja. I to w znacznie większym stopniu, niż bym, psiakrew, chciał. Nie spuszczałem Pakita z oczu. Przyciąłem się jak kot pod mysią dziurą.

- Pakit? - spytała Redpath. - Zatem Gillie miał rację, podejrzewając o tę kradzież kogoś z Błękitnych.

- Co ci nasunęło tę myśl? - zapytała Dani Gillespiego.

- To Shane wyszkolił strażników- odparł ciemnoskóry mężczyzna. - A zdarzało mi się pracować z ludźmi, którzy wyszli spod jego ręki. Nikt z zewnątrz nie mógłby się tam wśliznąć niepostrzeżenie,

zatem musiała to być robota kogoś z wewnątrz.

- Teoria Gilliego nie całkiem mi odpowiadała - przyznał Shane. Prasam zapytał o coś po tybetańsku, Crowe odpowiedział w tym samym języku. Stary mnich uśmiechnął się niczym Budda, znowu wyrzucił z siebie kilka słów, po czym umilkł wyczekująco.

Uśmiech Shane'a nie był tak łagodny.

- Prasam przypomniał mi stare butldyjskie porzekadło - powiedział. - Gdy głupcy mają głupiego przywódcę, czeka ich zagłada. Pakit najwyraźniej uznał swego lamę za durnia, a Tybetańczyków, którym ten lama przewodzi, za głupców zmierzających ku własnej zgubie.

- Czyżby doszedł do wniosku, że przyszłością dla inteligentnego, rzutkiego człowieka jest Chińska Republika Ludowa? - spytała Dani.

- Tak właśnie brzmiała ostateczna wersja. Bo wcześniej opowiadał się za odsunięciem wszystkich durniów od pełnej przesądów i zabobonów przeszłości. Uważał to pociągnięcie za absolutnie konieczne, wstęp do dalszych działań.

- I stąd święty jedwab - mruknęła Redpath.

- Taak. Pakit ukradł go dla Kasatonina, a dopiero potem zaczął myśleć. Wykombinował sobie, że Rosjanin poderżnię mu gardło, jak tylko dostanie ten jedwab w swoje ręce.

Gillespie chrząknął.

- Okazuje się więc, że ten chłopak wcale nie był taki głupi, prawda?

- Ale też i niespecjalnie bystry - odparł Shane. - Trząśł się ze strachu jak osika, ale jedwabiu nie zwrócił.

- Więc co ostatecznie zrobił? - spytała Redpath.

- Dał go Fengowi - ciągnął dalej Crowe. - Na koniec napuścił go na Dani i przyczaił się. Czekał na skandal, jaki musiałby wybuchnąć, gdyby przyłapano amerykańską obywatelkę na kupowaniu na bazarze zabytkowego dzieła sztuki, będącego jednocześnie świętą relikwią. A komunistyczne władze odegrałyby rolę prawdziwych herosów, ratujących cenny kawałek tybetańskiego dziedzictwa.

_ Który potem zostałby wywieziony do Pekinu pod pretekstem konieczności zapewnienia mu należytego bezpieczeństwa - sucho skomentowała

Redpath.

_ Takie były zamierzenia - potwierdził Shane. - Ale od początku nic nie szło według planu. Pakit zbiera teraz zamarznęte gówno jaka i w mroźnej chacie oddaje się medytacjom. A wszystko dlatego, że Amerykanka,

o której mowa, miała dość rozumu i odwagi, by przyjąć pomocną dłoń.

"Niez mordowany" wyciągnął do dziewczyny rękę:

_ Chwilowo uie mam w pobliżu żadnych tybetańskich dachów - powiedział - ale i tak chcę cię mieć przy sobie.

Dani przymknęła oczy. Nie potrafiła, nie mogła w to uwierzyć. Obawiała się, że ten mężczyzna, wyciągający do niej dłoń, to tylko twór wyobraźni.

_ Twoje śluby - przypomniała. W jej głosie słychać było napięcie.

_ Prasam zwolnił mnie z przysięgi tego wieczoru, kiedy ujrzał nas razem.

Otworzyła szeroko oczy.

- Co takiego?

_ To buddyjski zwyczaj - wyjaśnił Shane. - Można unieważnić śluby zbyt ciężkie. Człowiek, który odbierał przysięgę, zwraca wtedy słowo przysięgającemu. Śluby czystości składałem przed Prasamem, a on zwolnił mnie z przysięgi. Oddał mi moje słowo.

_ Ale ... na Arubie ... ja ... ty ... my nie ... - płątała się Dani, aż w końcu umilkła i tylko bezradnie potrząsała głową.

_ Nie jestem taki mądry, jak Prasam - wyjaśnił Shane. - Wytrzymałem pełne trzy lata. A potem na promie uświadomiłem sobie, że w tym momencie w Tybecie zaczął się już nowy dzień. Dotrzymałem więc słowa.

_ Linia wzdłuż 180. południka - przypomniała sobie dziewczyna.

_ Czy podasz mi rękę, abyśmy wspólnie mogli złożyć przysięgę? - spytał Shane.

_ Nigdy nie zwrócę ci słowa - odparła drżącym głosem - nawet jeśli będziesz mnie o to prosił.

_ Nigdy cię o to nie poproszę. Dotrzymuję słowa, Dani. Podobnie jak ty.

Dani nie wiedziała, jak to się stało, że raptem znalazła się w jego ramionach, obejmując go jednocześnie z całej siły.

Po chwili Prasam Dhamsa zaczął coś mówić.

_ Ma dla nas prezent - powiedział Shane. - *Kata*.

- A co to jest?

- Tradycyjny tybetański podarunek. Szal tkany z dobrymi intencjami.

Dani oddychała z trudem.

Lama wyciągnął ku niej niezwykle kawałek jedwabiu. Dawno temu był on koloru indygo, tak ciemnego, jak niebo o zmierzchu. Pod wpływem czasu zjaśniał, przybierając odcień błękitu.

Trzęsącymi się palcami Dani dotknęła materiału, podczas gdy Redpath owinęła nim szyje obojga młodych. Układ nitki, faktura materiału wydały się dziewczynie znajome. Jedwab Buddy.

Tyle że kolor był inny. Zbyt głęboki. No i materiał kilkakrotnie cerowano, a chociaż zrobiono to bardzo zręcznie,

miejsca reperacji różniły się od nie uszkodzonej materii. Bardzo dawno temu, może przed wiekami, ktoś ozdobił

szal miękkimi kremowymi frędzlami.

- Tkacz - rzekła Dani ochryłym głosem. - Utkąła to ta sama osoba. Uśmiech starego lamy stał się jeszcze pogodniejszy. Powiedział coś szybko.

- W rodzinie Prasama istnieje legenda, że szatę Buddy utkał któryś z jego przodków - tłumaczył Shane. - Prasam

dziękuje ci raz jeszcze za potwierdzenie, że życie jest jednością, a my stanowimy jego część.

- Ale ja nie mogę tego przyjąć - zaprotestowała Dani ochryple, dotykając jedwabiu.

Dhamsa skłonił się i znowu przemówił.

- Prasam jest ostatnim z rodziny - powiedział Shane. - Wkrótce umrze. Ma świadomość, że rola strażnika szala

jest ciężarem. Chce, żebyśmy zatrzymali jedwab i wzięli ten ciężar na swoje barki. Chce, żebyśmy uwolnili go od

ostatnich więzów łączących go z cyklem śmierci i ponownych narodzin.

- Shane? - szepnęła, szukając jego wzroku.

- W porządku, Dani. Dhamsa wiedział o tym wszystkim, jak tylko mnie ujrzał.

- Nie rozumiem.

- Wiedział, że żywot mnicha nie jest mi przeznaczony. Nie wierzyłem mu, ale teraz domyślam się, co on wtedy zobaczył oczami duszy.

- Co?

- Nas. Poślubisz mnie czy nie, nasze losy i tak pozostaną ze sobą splecione. To właśnie widział Dhamsa.

Dani uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Przeznaczenie? - spytała ochryple.

- Przekonamy się?

- Razem?

- Zawsze. Jeśli tego właśnie chcesz ...

Szal, którego dotyk czuła na szyi, łączył przeszłość z teraźniejszością. Uniosła głowę i spojrzała w oczy przyszłości.

Shane z uśmiechem odwzajemnił jej spojrzenie. Dani radośnie wyciągnęła ku niemu ramiona.